

Philip K. Dick

Raport mniejszości

Minority Report

Przekład Konrad Brzozowski

Kiedyś wierzyłem, że wszechświat jest z natury wrogi i nieprzyjazny. Wierzyłem, że do niego nie pasuję, że znalazłem się tu przypadkiem... zabrany z innego wszechświata. I dlatego, gdy on mówił „tak”, ja mówiłem „nie”, i na odwrót. Miałem wrażenie, że upodobał mnie sobie, bo byłem inny, dziwny. Nigdy nie mogłem się z nim dogadać.

Przerażała mnie myśl, że wszechświat odkryje kiedyś, jak bardzo się od niego różnię. Jedyne, o co go podejrzewałem, to że pozna prawdę o mnie i zareaguje we właściwy sobie sposób, to znaczy dobierze mi się do tyłka. Nie uważałem, że wynikało to z jego złośliwości, lecz spostrzegawczości. A nie ma nic gorszego od spostrzegawczego wszechświata, jeśli w jakikolwiek sposób się wyróżniasz.

W tym roku zdałem sobie jednak sprawę, że się myliłem. Ten wszechświat jest spostrzegawczy, ale i przyjazny... I już nie czuję, że bym tak bardzo się od niego różnił.

Philip K. Dick, fragmenty wywiadu z 1974 roku
w „Only Apparently Real”

WPROWADZENIE

Raport mniejszości to trzeci hollywoodzki przebój kinowy, który powstał na podstawie prozy Philipa K. Dicka. Wcześniej były filmy: *Łowca androidów* (nakręcony na podstawie powieści *Blade Runner*) oraz *Pomiąć absolutna* (w oparciu o opowiadanie *Przypomnijmy to panu hurtowo*).

Wśród innych adaptacji utworów Dicka znalazły się: *Tajemnica Syriusza* Dana O'Bannona (opowiadanie *Odmiana druga*) i *Impostor — Test na człowieczeństwo* Gary'ego Fledera, oparty na opowiadaniu pod tym samym tytułem. Wspomnieć jeszcze należy o francuskim filmie *Confessions d'un Barjo*, który jest adaptacją *Wyznań Igarza* — powieści o życiu w Stanach Zjednoczonych w latach 50. XX wieku. Niektórych projektów niedokończono: John Lennon interesował się powieścią *Trzy stygmaty Palmera Eldritch'a* — nietrudno zauważyć, że Dick nadawał swym utworom specyficzne tytuły; próbowano również nakręcić *Przez ciemne zwierciadło* — pierwszą próbę miał podjąć Terry Gilliam, a obecnie ekranizacją zainteresowani są George Clooney i Steven Soderbergh.

Trudno uwierzyć, że w chwili śmierci pisarza — 20 lat temu (zmarł mając zaledwie 54 lata) — utwory Dicka znane były jedynie w wąskim kręgu zagorzałych wielbicieli. Dick większość swego życia przeżył jako człowiek bardzo ubogi. Bywały nawet chwile skrajnego ubóstwa, o czym nie bez ironii wspominał on sam w jednym z artykułów, opisując, jak przez pewien czas musieli z żoną jeść karmę dla zwierząt. Współcześni mu amerykańscy pisarze SF, tacy jak Isaac Asimov, Robert A. Heinlein czy Frank Herbert, zarabiali krocie na wydawanych na całym świecie książkach. A jednak, w przeciwieństwie do Dicka, każdy z tych gwiazdorów science fiction może pochwalić się tylko jednym filmem nakręconym na podstawie jego prozy. Są to: *Człowiek przyszłości* (według Asimova), *Żołnierze kosmosu* (według *Kawalerii kosmosu* Heinleina) i *Diuna* (według Herberta).

Czemu tak się dzieje? Z jakiego powodu utwory tego pisarza nędzarza, z których wiele napisał wspomagając się amfetaminą w ciągu zaledwie kilku tygodni (w najlepszym okresie Dick pisał sześć w roku), wydane w tanich, krzykliwych papierowych okładkach, cały czas wzbudzają takie zainteresowanie?

Przede wszystkim chciałbym zaznaczyć, że właśnie Philipa K. Dicka powszechnie uważa się za geniusza literatury science fiction. Nie jest on może mistrzem stylu, a w jego utworach często widać pośpiech, ale za to zalewa czytelnika strumieniem nowych pomysłów, którym towarzyszą charakterystyczne w jego prozie, przyprawiające o zawrót głowy, zmiany percepcji i punktu widzenia. Dick widział przyszłość inaczej niż inni, bardziej znani twórcy SF. Tam, gdzie oni w centrum uwagi stawiali problem lub pojęcie, on umieszczał ludzi. A jego postacie nie są typowymi bohaterami, lecz zwykłymi ludźmi, mieszkańcami przyszłości, którzy zmagają się z innymi rodzajami tych samych ludzkich problemów. Tak jak my, muszą radzić sobie z kłopotami z pieniędzmi, w pracy, w związkach z innymi ludźmi.

Dick wiedział, że w granicach SF problemy i zmagania można rozwinąć i uwydatnić tak, by były śmieszne i pomysłowe. W typowym opowiadaniu Dicka, jeśli bohater nie ma pieniędzy na czynsz, drzwi do jego mieszkania nie wpuszczą go do środka i jeszcze udzielą mu krótkiego wykładu na temat odpowiedzialności. Taksówkę zastąpi latający pojazd z robotem za sterami, który w czasie podróży udzieli bezpłatnej porady psychiatrycznej połączonej z mądrościami ludowymi. Wszystko, co nas otacza, często okazuje się zupełnie inne, niż sądziliśmy: codzienna rzeczywistość to wielkie i starannie zaaranżowane oszustwo, a każdy, kto przedrze się przez warstwę pozorów, znajdzie doprawdy przedziwny świat.

Większość powieściopisarzy pisze o rzeczach, o których coś wiedzą, choć wielu stara się to

ukryć. Dick nie był tu wyjątkiem. Interesowała go filozofia, a szczególnie debaty na temat rzeczywistości i jej postrzegania. Sam pisarz nie miał zbyt lekkiego życia. Żenił się pięciokrotnie, i wiecznie, jak już wspomniałem, brakowało mu pieniędzy. Jak wielu innych w latach 60^{tych} nadużywał narkotyków, co miało swe dalekosiężne konsekwencje. W ostatnich latach życia doświadczał czegoś, co sam określał mianem religijnych objawień (choć mogły to być zaburzenia w pracy mózgu — zapowiedź późniejszych udarów, z których jeden okazał się śmiertelny), a jego książki stały się trudniejsze i mniej przystępne w odbiorze.

Raport mniejszości powstał w pierwszej dekadzie aktywności twórczej Dicka, gdy pisarz opublikował ogromną liczbę opowiadań i pierwszy tuzin z ponad 40 powieści.

W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat, w miarę jak przyszłość odsłaniała przed nami swoje oblicze, nawet najbardziej dzikie i niesamowite proroctwa zdawały się spełniać na naszych oczach. I właśnie wizje Philipa K. Dicka, wizje zwykłych ludzi wplątanych w niezwykle sytuacje, zdają się najlepiej oddawać to, co dziś czujemy. To główna przyczyna, dla której filmowcy sięgają tak chętnie i często po jego dzieła.

Wielka szkoda, że sam Dick nie dożył tej chwili: widział wprawdzie zapowiedzi *Łowcy androidów* na początku 1982 roku, ale zmarł, zanim film wszedł na ekrany i zmienił zupełnie spojrzenie opinii publicznej na jego dzieła. Sam potraktowałby to zapewne jako apogeum ironii losu, która towarzyszyła mu przez całe życie. Jednak jego dzieła wciąż żyją, wciąż równie niezwykle i oryginalne, jak w czasie, gdy je pisał.

Malcolm Edwards

WSTĘP

Jak poznać, że czytamy Philipa K. Dicka?

Myślę, że najpierw była wszechogarniająca osobliwość. Bo taki był i jest Dick. I myślę, że dlatego wertowałem katalogi science fiction, by znaleźć o nim jak najwięcej informacji, i czekałem na każdą nową książkę. Czasem słyszy się: „X myśli inaczej niż inni”. To była prawda o Dicku. Gdy czytasz jego opowiadanie, nigdy nie możesz przewidzieć, co się stanie dalej.

A jednak jego bohaterowie są najwyraźniej normalni... poza trafiającą się raz na jakiś czas psychotyczną, rozwrzeszczaną kobietą. Można ją często spotkać u Dicka. Z reguły jednak postacie w jego książkach to właśnie zwykli ludzie złapani w kleszcze przedziwnych sytuacji, kierujący siłami policji przy pomocy mamroczących mutantów, walczący z rozmnażającą się siecią fabryk, które przejęły kontrolę nad światem. I, co ciekawe, mimo całej tej dziwaczności Dick, w przeciwieństwie do wielu innych pisarzy, dba zawsze, by jego bohaterowie występowali na całkiem realnym tle.

Bo w ilu jeszcze opowiadaniach science fiction zostajemy poinformowani, jak zarabia na życie nasz bohater, wplątany właśnie w jakąś nieprawdopodobną sytuację? Jedyne, co wiemy, to że jest członkiem załogi, jakimś naukowcem albo młodym Werterem. U Dicka szczegółowe informacje na ten temat znajdujemy już na pierwszej stronie. W prawie wszystkich opowiadaniach Dicka (sprawdziłem dokładnie), a szczególnie w powieściach, wyczuwamy obecność „ciemnych” interesów. I jeśli nasz bohater, dajmy na to, handluje antykami i staje przed szansą zrobienia dobrego interesu, Dick opisze wszystko ze szczegółami, mimo że zdarzenie to może nie mieć związku z głównym wątkiem. Nawet kiedy umarli przemawiają, dają porady handlowe. Dick nigdy nie ukrywa przed nami, jak jego bohaterowie zarabiają na życie. To element niepowtarzalnego stylu Dicka.

Kolejnym elementem stylu Dicka są poszarpane, urywane dialogi. Nigdy nie mogłem do końca stwierdzić, na ile są one u Dicka realne. Jego bohaterowie nie komunikują się ze sobą w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Wygłaszają natomiast monologi albo dla potrzymania akcji, albo gdy autor chce zwrócić na coś uwagę czytelnika.

A jest na co zwracać uwagę. Fabuły u Dicka są jedyne w swoim rodzaju i w całym pisarstwie SF nie znajdzie się podobnych. Jeśli pisze o podróżach w czasie, wydarzenia przybierają tak nieoczekiwany obrót, że opowiadanie staje się majstersztykiem. I, co typowe, główny, zaskakujący zwrot akcji nie zostaje pokazany centralnie, bezpośrednio, ale „podchodzi” czytelnika, ukryty w wynikach jakiejś kampanii wyborczej.

Ponadto wszelkie podobieństwo Dicka do zwykłego pisarza SF jest czysto przypadkowe. W chwilach, kiedy patrzę na świat bardziej optymistycznie, wydaje mi się, że Dick rozumie, jakie zjawiska zachodzą, gdy podłącza się lampę do kontaktu i naciska włącznik. Dick nie zajmuje się skomplikowaną technologią i nauką. Naukę w jego prozie reprezentuje technologia duszy, powierzchowna znajomość psychologii.

Jak dotąd, udało mi się pokazać dziwactwa Dicka kosztem jego zalet. Co jednak sprawia, że wciąż go czytamy? Jak już wspomniałem, na pewno ta osobliwość — to, że w jego utworach dominują próby i starania. Bohaterowie zawsze usiłują coś osiągnąć, wykonać jakieś zadanie lub przynajmniej zrozumieć coś niepojętego. W większości jego postacie to ludzie cierpiący. Dick jest prawdziwym mistrzem maszyny cierpienia.

Kolejnymi wspaniałym elementem światów Dicka są pustkowia, często powstałe po uderzeniu bomby. Każde niepowtarzalne i jedyne w swoim rodzaju, bo nawet tu znaleźć można galerię

różnorodnych elementów. Są nimi częstokroć mutanty lub roboty, którym udało się przetrwać. Często pozostają anonimowe, przypadkowo dostrzega je tylko któryś z bohaterów. Czym się zajmują? Również starają się... tak jak ludzie. Przemarznięty wróbel okrywa się kawałkiem szmaty, a szczur mutant tka sieci — u Dicka świat, choć często wyniszczony i skazany na powolną zagładę, żyje jednak milionami istot, lub raczej: próbuje i stara się żyć. Jednak w jego obrazie świata nie brakuje współczucia, którego Dick nigdy nie pokaże wprost. Gdzieś na szarym pustkowiu pojawia się także od czasu do czasu miłość, i choć szybko ginie, sprawia jednak, że utwory Dicka są niepowtarzalne.

James Tiptree junior
grudzień 1986

AUTOFABRYKA

1

Czekali w napięciu. Pałac papierosa za papierosem, chodzili wte i wewte i bezmyślnie kopali zielsko przy drodze. Osłepiające słońce spoglądało w dół na brązowe pola, rzędy wypielegnowanych domów z plastiku i odległe pasmo górskie, które rozciągało się dalej na zachodzie.

— Już prawie czas — przerwał ciszę Earl Perine, splatając kościste dłonie.

— Wszystko zależy od wielkości dostawy. Pół sekundy za każde dodatkowe pół kilograma.

— Ale jesteś skrupulatny — wycedził Morrison. — Bardziej niż ta maszyna. Nie można po prostu założyć, że czasami się spóźnia?

Trzeci mężczyzna milczał. O'Neill pochodził z innej osady i nie znał Perine'a i Morrisona na tyle, by się z nimi spierać. Zaczął układać papiery wpięte do aluminiowego segregatora. Krople potu na jego opalonych, owłosionych ramionach lśniły w słońcu. Żyłasty, o siwych, zmierzwionych włosach i w rogowych okularach wydawał się najstarszy z nich. Miał na sobie luźne spodnie, sportowy podkoszulek i buty na gumowej podeszwie. Promienie słońca migotały na metalowej powierzchni wiecznego pióra, którym posługiwał się wyjątkowo sprawnie.

— Co piszesz? — mruknął Perine.

— Rozpisuję plan procedury, której użyjemy — odparł spokojnie O'Neill.

— Lepiej ustalić to teraz, niż później działać na chybcika. Musimy przecież wiedzieć, czego już próbowaliśmy i co nie działa. W przeciwnym razie utkniemy w martwym punkcie. Problem, przed którym stoimy, polega na braku komunikacji; przynajmniej ja tak uważam.

— Brak komunikacji? — powtórzył Morrison głębokim, gardłowym głosem. — O to chodzi. Nie możemy w żaden sposób połączyć się z tym cholerstwem. Przyjeżdża, zostawia ładunek i odjeżdża — nie ma z nim kontaktu.

— To przecież cholerna maszyna — warknął Perine. — Martwa, ślepa i głucha.

— Ale utrzymuje kontakt ze światem zewnętrznym — zauważył O'Neill. — Musi istnieć jakiś sposób, żeby do niej dotrzeć. Określone sygnały semantyczne mają dla niej jakieś znaczenie; musimy tylko je określić. A właściwie odkryć na nowo. To jakieś sześć do siedmiu kombinacji na miliard.

Rozmowę przerwał dudniący łomot. Zaniepokojeni, spojrzeli w górę. Zaczęło się.

— Już jest — powiedział Perine. — Dobra, mądrale, zobaczmy, czy choć raz uda się wam zmienić jej procedurę.

Ogromna, wyładowana po brzegi ciężarówka, dudniąc i uginając się pod ciężarem ładunku, toczyła się z hukiem w ich stronę. Na pierwszy rzut oka nie różniła się zbyt od zwykłych, kierowanych przez człowieka pojazdów transportowych, z jednym tylko wyjątkiem — nie miała kabiny kierowcy. Pionowa powierzchnia służyła za platformę załadunkową, a tam, gdzie powinny znajdować się światła i krata chłodnicy, widać było włóknistą, gąbczastą masę receptorów — ograniczony aparat czuciowy urządzenia, które było ruchomym przedłużeniem ogromnego kombinatu.

Ciężarówka wykryła obecność mężczyzn, zwolniła i zatrzymała się. Automatycznie zaciągnęła hamulec awaryjny. Chwilę później stacja przekaźnikowa wysłała odpowiedni sygnał, część platformy załadunkowej przechyliła się i na drogę posypała się sterta ciężkich pudeł. Wraz z nimi

spadła szczegółowa lista dostarczonych produktów.

— Wiecie, co robić — krzyknął O'Neill. — Szybko, zanim odjedzie.

Rzucili się w stronę pudeł. Zerwali taśmy ochronne i wyciągnęli zawartość: mikroskop soczewkowy, przenośne radio, sterty plastikowych naczyń, leki, bandaże, żyłетки, ubrania i jedzenie. Jak zwykle, większość ładunku stanowiła żywność. Po kolei niszczyli i rozbijali wszystko. I już po chwili stali wśród szczątków tego, co zostało z transportu.

— O to chodzi — O'Neill cofnął się, dysząc ciężko. Nerwowo szukał segregatora z notatkami.
— Zobaczmy, co teraz robi.

Ciężarówka ruszyła już w powrotną drogę; po chwili jednak zatrzymała się gwałtownie w miejscu i zwróciła w ich kierunku. Jej receptory odnotowały fakt zniszczenia ładunku. Zgrzytając i chrzęszcząc, obróciła się i skierowała w ich stronę zespół receptorów. Wysuwając w górę długą antenę, nawiązała kontakt z fabryką. Pobierała instrukcje dotyczące dalszego działania.

W chwilę później wyładowała kolejną porcję pudeł o identycznej zawartości.

— Nic z tego — jęknął Perine, przyglądając się liście produktów, która była duplikatem tej pierwszej. — Rozwaliliśmy cały ładunek na marne.

— Co teraz? — Morrison zwrócił się do O'Neill. — Jaki jest następny krok na tej twojej liście?

— Pomóżcie mi — O'Neill chwycił jedno z pudeł, z trudem wciągnął je z powrotem na platformę ciężarówki i ruszył po następne. Pozostali dwaj z ociąganiem poszli w jego ślady. Wkrótce cały ładunek znów znajdował się na platformie. Zdążyli wrzucić ostatni kontener, zanim ciężarówka ruszyła w dalszą drogę.

Receptory odnotowały obecność ładunku na platformie i pojazd zatrzymał się. Z wnętrza maszyny dochodził cichy warkot i brzęczenie.

— Może teraz zgłupieje — mruknął O'Neill. — Wykonała polecenia i nie przyniosło to żadnego rezultatu.

Ciężarówka skoczyła gwałtownie do przodu, zatrzęsła się, obróciła wokół własnej osi i ponownie zrzuciła cały ładunek z platformy na ziemię.

— Bierzcie je! — krzyknął O'Neill. Rzucili się na kontenery, gorączkowo pakując je z powrotem na ciężarówkę. Ale gdy tylko pudła trafiały na platformę, bariery zabezpieczające spychały je i ładunek zsuwał się na ziemię.

— To bez sensu — orzekł Morrison, ciężko dysząc. — Robota głupiego.

— Wydymali nas — dodał ponuro Perine. — Znów to samo. Jak ktoś obrywa, to zawsze my, ludzie.

Maszyna przyglądała się im spokojnie, jej receptory były obojętne i uśpione. Robiła to, co do niej należało. Kontrolująca planetę sieć automatycznych fabryk bez trudu realizowała cele, które postawiono przed nią pięć lat temu, w pierwszych dniach Wielkiego Globalnego Konfliktu.

— O, odjeżdża — zauważył posępnie Morrison. Ciężarówka schowała antenę, wrzuciła niski bieg i zwolniła hamulec.

— Spróbujmy ostatni raz — powiedział O'Neill, wyciągając jedno z pudeł. Otworzył je, wyjął czterdziestolitrowy baniak mleka i odkręcił zakrętkę. — Może wydać się to komuś głupie...

— To absurd — sprzeciwił się Perine. Odszukał wśród pozostałości pierwszego ładunku plastikowy kubek i napełnił go mlekiem. — Dziecinada!

Ciężarówka zatrzymała się, lustrując ich uważnie.

— No, dalej — ponaglił O'Neill. — Tak, jak ćwiczyliśmy.

Wszyscy trzej pili teraz łączywie, wylewając połowę mleka na siebie; nietrudno było przewidzieć ich intencje.

Zgodnie z umową, O'Neill zaczął pierwszy. Na jego twarzy pojawił się wyraz obrzydzenia, cisnął kubkiem o ziemię, rozlewając mleko.

— Na miłość boską — wykrztusił.

Pozostali zrobili to samo: tupiąc ze złości i przeklinając głośno, kopali Pojemnik z mlekiem i spoglądali gniewnie na ciężarówkę.

— Paskudztwo! — wrzasnął Morrison.

Zaintrygowana ich zachowaniem maszyna zawróciła. Elektroniczna synapsa trzaskała i warkotała, analizując sytuację; antena strzeliła w górę niczym maszt.

— To chyba działa — powiedział drżącym głosem O'Neill. I gdy maszyna przyglądała im się uważnie, wyciągnął kolejny baniak mleka, otworzył go i wypił kilka łyków. — To też! — krzyknął w stronę ciężarówki. — Tego się nie da pić!

Metalowy cylinder wystrzelił z maszyny, lądując tuż pod nogami Morrisona, który podniósł go szybko i otworzył.

RODZAJ WYKRYTEGO USZKODZENIA

Wewnątrz znajdowała się lista możliwych usterek, które można było zakreślić w odpowiedniej kratce.

— Co mam zaznaczyć? — spytał Morrison. — Skażone? Zainfekowane? Skwaśniałe? Zepsute? Źle oznaczone? Połamane? Zniszczone? Pokruszone? Wgniecione? Zanieczyszczone?

— Nie zaznaczaj niczego — odparł O'Neill po chwili namysłu. — Fabryka jest z pewnością przygotowana na każdą ewentualność. Sprawdzi wszystko, dokona własnej analizy produktu i zignoruje nas. — Jego twarz rozjaśniła się jakby w przypływie jakiegoś szaleńczego natchnienia. — Tam na dole powinno być puste miejsce na dodatkowe uwagi. Napisz tam.

— Ale co?

— Napisz: „Produkt jest całkowicie kutaśny”.

— A co to znaczy? — Perine był zbity z tropu.

— Pisz! To semantyczny bełkot, fabryka nie będzie w stanie tego zinterpretować. Może tak uda się ją przyblokować.

Piórem O'Neilla Morrison starannie napisał, że mleko było kutaśne. Potrząsając głową, zamknął cylinder i wsadził go z powrotem do maszyny. Ciężarówka zabrała pojemniki z mlekiem i starannie zamknęła barierkę zabezpieczającą towary przed ześlizgnięciem. Ruszyła z piskiem opon, wypływając wcześniej kolejny cylinder i oddaliła się szybko. Na środku zakurzonej drogi leżał pojemnik z ostatnią wiadomością.

O'Neill otworzył cylinder i trzymał papier tak, by pozostali też mogli go przeczytać.

WKRÓTCE ZOSTANIE PRZYŚLANY

PRZEDSTAWICIEL FABRYKI.

PROSZĘ PRZYGOTOWAĆ SZCZEGÓLNE DANE

DOTYCZĄCE WAD PRODUKTU.

Przez chwilę panowała głucha cisza. W końcu Perine zachichotał cicho.

— Udało się. Nawiązaliśmy kontakt. Wreszcie się przebiliśmy.

— Jak diabli — przytaknął O'Neill. — Nigdy wcześniej nikt nie napisał o kutaśnym produkcie.

Masywny sześcian metalowego gmachu fabryki Kansas City wrzynał się w podstawę gór. Zewnętrzna powierzchnia siedziby była skorodowana, przeżarta przez promieniowanie, popękana i miejscami pokruszona — ślady po pięcioletniej wojnie, która przetoczyła się przez te tereny. Większa część kombinatu znajdowała się pod ziemią. Na powierzchni widać było tylko główne wejście. W tę właśnie stronę gnała teraz ciężarówka. W jednolitej strukturze gmachu pokazał się

otwór, w którym maszyna zniknęła. Chwilę później wejście zamknęło się z głośnym trzaskiem.

— Najgorsze jeszcze przed nami — powiedział O'Neill. — Teraz trzeba będzie jakoś nakłonić fabrykę, żeby przerwała działalność... i sama się zamknęła.

II

Judith O'Neill podała siedzącym w salonie gorącą czarną kawę. Jej mąż mówił, a inni słuchali go w skupieniu. O'Neill był najlepszym znawcą systemu autofab.

W rejonie Chicago, skąd pochodził, udało mu się wyłączyć napięcie w zaporze ochronnej miejscowej fabryki na tak długo, że zdołał wynieść taśmy z danymi przechowywane w centrum sterowania, które mieściło się na zapleczu kombinatu. Fabryka, co nietrudno zgadnąć, natychmiast opracowała lepszy i wydajniejszy rodzaj zapory, ale O'Neill udowodnił tym wyczynem niedoskonałość systemu autofabryk.

— Instytut Cybernetyki Stosowanej — tłumaczył O'Neill — miał pełną kontrolę nad całą siecią. Wojna, a może bałagan i zakłócenia na liniach komunikacyjnych spowodowały, że informacje, których tak bardzo potrzebujemy, zostały utracone. Tak czy siak, instytutowi nie udało się przesłać nam danych, więc nie jesteśmy w stanie przekazać fabrykom, że wojna się skończyła, a my możemy znów przejąć kontrolę nad produkcją.

— A tymczasem — wtrącił szorstko Morrison — ta cholerna sieć rozwija się i odbiera nam coraz więcej zasobów naturalnych.

— Czasami mam wrażenie — dodała Judith — że jeśli mocniej tupnę, wpadnę prosto w podziemny tunel fabryczny. Te kopalnie ciągną się już chyba wszędzie dookoła.

— Nie istnieją żadne ograniczenia — rzucił nerwowo Perine. — Czy będą rozrastać się tak bez końca?

— Każda fabryka ma określony obszar działania — odpowiedział O'Neill — ale sama sieć nie podlega żadnym ograniczeniom. Może czerpać z naszych surowców przez całą wieczność. Instytut ustawił ją w uprzywilejowanej pozycji; my, zwykli ludzie, jesteśmy na drugim miejscu.

— Czy zostanie dla nas cokolwiek? — spytał Morrison.

— Nie liczyłbym na to, chyba że uda się nam powstrzymać działania sieci. Już zużyto połowę podstawowych surowców. Brygady odkrywkowe każdej z fabryk przeczesują teren dwadzieścia cztery godziny na dobę. Znajdą nawet najmniejszą cząstkę każdego przydatnego minerału.

— A gdyby doszło do skrzyżowania tuneli z dwóch fabryk? O'Neill wzruszył ramionami:

— To nieprawdopodobne. Każda z fabryk operuje w ściśle określonym sektorze, na jakie podzielono planetę. Każda ma własną działkę i może tam robić, co zechce.

— Ale nie można wykluczyć takiej możliwości.

— Cóż, ich główny cel to szukanie surowców; jeśli gdziekolwiek zostaną jakieś resztki, któraś z fabryk na pewno je znajdzie. — O'Neill zastanowił się.

— Tak, to ciekawe... Jeśli zasoby surowców zmniejszą się drastycznie...

Umilkł, bo w drzwiach pojawiła się jakaś postać. Stała w progu i obrzuciła wszystkich uważnym spojrzeniem.

W półmroku wyglądała prawie jak człowiek. Przez ułamek sekundy O'Neill pomyślał, że to spóźniony mieszkaniec osady. Ale kiedy przybysz poruszył się, od razu zdał sobie sprawę, że to nie człowiek, lecz dwunożna istota wyposażona w receptory danych. Przypominała człowieka, ale widać było, że konstruktor nie troszczył się o wierne podobieństwo.

Przedstawiciel fabryki przybył na spotkanie.

Zaczął się od krótkiego wyjaśnienia:

— To urządzenie do zbierania danych wyposażone w moduł komunikacji werbalnej. Posiada zarówno instrument wysyłający, jak i odbierający przekazy głosowe. Gromadzi i przetwarza dane zgodnie z wytycznymi indagacji.

Głos brzmiał przyjaźnie, lecz stanowczo. Najwyraźniej pochodził z taśmy nagranej przez któregoś z inżynierów instytutu jeszcze przed wojną. Brzmiał groteskowo, gdy używała go ta człowiekopodobna maszyna. Oczami wyobraźni O'Neill widział młodego mężczyznę — zapewne od dawna już nieżyjącego — którego głos wydobywał się teraz z mechanicznych ust tej dwunożnej maszynerii, pełnej kabli, przewodów i stali.

— Istotna uwaga — ciągnął uprzejmy głos. — Poruszanie problemów innych niż wprowadzone do pamięci urządzenia jest bezcelowe. Choć ma ono ściśle określone wytyczne, nie potrafi myśleć koncepcyjnie; przystosowano je do gromadzenia i przetwarzania danych związanych z uprzednio wprowadzonymi instrukcjami.

Optymistycznie brzmiący głos ucichł, a w jego miejsce pojawił się inny. Przypominał poprzedni, ale w tonie brak było jakichkolwiek śladów indywidualizmu lub nacechowania emocjonalnego. Maszyna dostosowała fonetyczny wzorzec mowy nieżyjącego mężczyzny do własnych potrzeb.

— Analiza zwróconego produktu — oznajmił głos — nie wykazała żadnych ciał obcych i śladów wyraźnego uszkodzenia. Produkt spełnia wszystkie normy narzucone przez sieć produkcyjną. Reklamacja produktu musi się zatem opierać na przesłankach innych niż te, które zawiera system kontroli jakości. Oznacza to wprowadzenie norm niedostępnych dla sieci.

— Zgadza się — O'Neill uważnie dobierał słowa. — Uznaliśmy jakość mleka za niewystarczającą. Nie nadaje się ono do użytku. Naszym zdaniem należy więcej uwagi poświęcić procesowi produkcji.

Podanie odpowiedzi zajęło robotowi chwilę.

— Sieć nie potrafi rozpoznać semantycznej wymowy określenia „kutaśny”. Terminu takiego nie odnaleziono w zarejestrowanym słowniku. Proszę przedstawić rzeczową analizę mleka w kontekście obecnych bądź brakujących elementów.

— To niemożliwe — odparł ostrożnie O'Neill. Gra, którą teraz rozpoczął, była trudna i niebezpieczna. — „Kutaśny” to pojęcie ogólne i nie da się go sprowadzić do opisu składników chemicznych.

— Co oznacza termin „kutaśny”? — spytał robot. — Czy można go zdefiniować przy użyciu zmiennych symboli semantycznych?

O'Neill zawahał się. Należało w jakiś sposób odwieść maszynę od wątku zepsutego mleka i nadać dyskusji bardziej ogólny temat, tak aby omówiona została sprawa zamknięcia fabryki. Gdyby tylko udało mu się wpleść ten wątek, zacząć rozważania teoretyczne...

— „Kutaśny” — powiedział — oznacza status produktu, który jest wytwarzany, choć nie ma na niego popytu. Termin ten sugeruje odrzucenie pewnych produktów, gdy nie ma na nie zapotrzebowania.

— Analiza sieci wykazuje popyt na wysokiej jakości pasteryzowany produkt mlekopodobny w tym rejonie. Nie wykryto żadnego innego źródła produkcji; sieć kontroluje wszystkie syntetyczne urządzenia udojowe, jakie istnieją — odparł robot. — Oryginalne instrukcje opisują mleko jako istotny składnik ludzkiej diety.

O'Neill przegrywał. Nie zdołał przechytryć maszyny, która teraz powracała do ważnego dla niej tematu.

— Zdecydowaliśmy — rzucił desperacko — że nie potrzeba nam więcej mleka. Poradzimy sobie bez dostaw, przynajmniej do chwili, gdy uda nam się odnaleźć prawdziwe krowy.

— To niezgodne z wytycznymi sieci — zaproponował przedstawiciel. — Krowy nie istnieją. Mleko produkuje się wyłącznie syntetycznie.

— Więc sami uruchomimy jego syntetyczną produkcję! — przerwał mu gwałtownie Morrison. — Dlaczego nie mielibyśmy przejąć kontroli nad sprzętem? Chryste, nie jesteśmy przecież dziećmi! Sami powinniśmy decydować o sobie!

Robot cofnął się w stronę wyjścia.

— Dopóki wasza społeczność nie znajdzie innego źródła produkcji mleka, sieć będzie je dostarczać. Urządzenie do pomiarów i oceny pozostanie w tym rejonie i będzie regularnie pobierać próbki produktu do sprawdzenia jego jakości.

— Jak możemy odkryć inne źródła produkcji? — krzyknął Perine. — To wy macie wszystkie urządzenia i kontrolujecie cały proces! Podobno nie jesteśmy jeszcze gotowi, żeby wziąć sprawy w swoje ręce — to wasze zdanie. Skąd wiecie? Nie daliście nam szansy! Nigdy jej nie mieliśmy!

O'Neill zamarł. Maszyna wyraźnie zmierzała ku wyjściu. Jej ograniczony umysł odniósł całkowite zwycięstwo.

— Posłuchaj — powiedział twardo, zastępując robotowi drogę — chcemy, żebyście zamknęli fabrykę. Chcemy przejąć kontrolę nad maszynami i uruchomić produkcję. Wojna się skończyła, do cholery, nikt was już nie potrzebuje!

Przedstawiciel fabryki przystanął w drzwiach.

— Procedura cyklu zatrzymania — odparł — zostanie uruchomiona dopiero wtedy, gdy całkowita produkcja sieci będzie tylko powielala produkty wytwarzane gdzie indziej, poza siecią. Obecnie, jak wynika z systematycznie prowadzonych badań, sieć pozostaje jedyną strukturą przemysłową. Dlatego produkcja będzie kontynuowana.

Morrison bez ostrzeżenia zamachnął się i zdzielił maszynę stalową rurką, którą trzymał w ręku. Rurka trafiła robota w bark i przebiła się przez skomplikowaną sieć aparatu zmysłowego wypełniającego klatkę piersiową maszyny. Skrzynka z receptorami pękła, zasypując pomieszczenie odłamkami szkła, zwojami drutu i fragmentami podzespołów.

— To paradoks! — wrzasnął Morrison. — Gra słów... semantyczna gra, w którą nas wciągają. Cybernetycy to ukartowali. — Znów uniósł rurkę i ponownie uderzył robota, który nawet nie próbował się bronić. — Chcą nas załatwić, a my mamy związane ręce.

W pomieszczeniu zawrzało.

— To jedyny sposób — dorzucił Perine, przepychając się koło O'Neilla. — Musimy ich zniszczyć. Albo sieć, albo my.

Mówiąc to, chwycił lampę i uderzył nią przedstawiciela fabryki w „twarz”. Lampa i plastikowa powierzchnia maszyny pękły z trzaskiem. Perine parł naprzód i próbował chwycić robota. Wszyscy obecni otoczyli maszynę ciasnym kręgiem, kipiąc z bezsilnej złości. Powalili robota na ziemię i rzucili się na niego.

O'Neill odwrócił się. Żona chwyciła go za rękę i pomogła odejść na bok.

— Kretyni — powiedział załamany. — Nie można go zniszczyć; przez takie działania sieć tylko umocni swoje systemy ochronne. To pogorszy sprawę.

Do salonu wpadł zespół naprawczy sieci. Jednostki mechaniczne błyskawicznie odłączyły się od przewożącego je gaśnicowego pojazdu — matki i ruszyły w kierunku kłębiących się w pokoju ludzi. Przedarły się sprawnie przez walczący tłum i przeszukały pomieszczenie. Chwilę później martwy korpus przedstawiciela fabryki został umieszczony w specjalnym pojemniku, w który wyposażono pojazd — matkę. Pozbierano i zapakowano wszystkie części oraz zniszczone podzespoły robota. Odnaleziono plastikowy amortyzator i układ przeniesienia napędu. Następnie zespół naprawczy zniknął równie szybko i sprawnie, jak się pojawił.

Przez otwarte drzwi wszedł kolejny przedstawiciel autofabryki, idealna kopia poprzednika. W

korytarzu czekały już dwa podobne urządzenia. W osadzie zaroilo się od przedstawicieli sieci. Niczym horda wszytkožernych mrówek maszyny do zbierania danych przetoczyły się przez miasteczko i w końcu jedna z nich natknęła się na O'Neilla.

— Dewastacja sieciowego urządzenia do zbierania danych to działanie przynoszące szkodę społeczności ludzkiej — oznajmił robot. — Pobór surowców naturalnych osiągnął niepokojąco niski poziom. W związku z tym wszelkie dostępne zasoby podstawowych surowców należy poddać obróbce w wytwórni artykułów konsumpcyjnych.

O'Neill stanął naprzeciw robota.

— To ciekawe — odparł spokojnie. — Zastanawiam się, czego brakuje wam najbardziej... O co byście się naprawdę pozabijali.

Wirnik helikoptera świszczał nad głową O'Neilla. Nie zwracał jednak uwagi na hałas, wpatrzony w znajdujące się pod nimi pustkowia. Nie lecieli zbyt wysoko.

Dokoła widać było żużel i zgliszcza dawnych budowli. Gdzieniedzie przebiegały się karłowate łądygi chwastów, między którymi krążyły chmury owadów. Tu i ówdzie można było dostrzec szczurze kolonie — nierówne kopce z kości, śmieci i szczątków. Promieniowanie stanowiło bezpośrednią przyczynę licznych mutacji szczurów, podobnie jak i innych zwierząt czy owadów. Trochę dalej O'Neill wypatrzył ptasi szwadron w pogoni za wiewiórką. Wiewiórka ukryła się w starannie przygotowanej jamie i ptaki, zniechęcone porażką, zawróciły.

— Myślisz, że kiedykolwiek uda się to odbudować? — spytał Morrison. — Rzygać się chce, jak człowiek patrzy na ten świat.

— Na to trzeba czasu — odparł O'Neill. — Oczywiście pod warunkiem, że uda nam się odzyskać kontrolę nad przemysłem. I że w ogóle będzie jeszcze co odbudowywać. Rozszerzymy osady krok po kroku.

Na prawo rozciągała się kolonia ludzi — obszarpani jak strachy na wróble, wychudzeni i posepni, zamieszkiwali ruiny czegoś, co kiedyś było małym miasteczkiem. Udało im się oczyścić kilka akrów jałowej ziemi. Gdzieniedzie widać było, jak zwiedłe warzywa smażą się w słońcu, między nimi smętnie kręciły się śnięte kury, a w cieniu skleconej niedbale szopy leżał, dysząc ciężko, nękanym przez roje much koń.

— Biedota z ruin — mruknął ponuro O'Neill. — Za daleko od sieci... niepowiązani z żadną fabryką.

— Sami tego chcieli — odparł gniewnie Morrison. — Mogli przecież dołączyć do jednej z osad.

— Tu było ich miasto. Próbuja zrobić to, co my — sami zbudować wszystko od nowa. Tylko że oni zaczynają bez narzędzi i maszyn, składając do kupy to, co znajdują. Ale nie tędy droga. Potrzeba nam maszyn. Nie da się naprawić ruin, musimy na nowo uruchomić przemysł.

Przed nimi ciągnęło się pasmo poszarpanych wzgórz, na których spoczywały rozrzucone szczątki dawnego mostu. Dalej dostrzegli ogromny lej, krater po bombie wodorowej, wypełniony do połowy mętną wodą i szlamem.

A jeszcze dalej... wielkie poruszenie.

— Patrzcie — w głosie O'Neilla można było wyczuć napięcie. Gwałtownie obniżył pułap. — Możecie określić, z której są fabryki?

— Dla mnie wszystkie wyglądają tak samo — mruknął Morrison, przyglądając się uważnie maszynom. — Trzeba poczekać i zobaczyć, do której pojedą z ładunkiem.

— Jeśli w ogóle będzie jakiś ładunek — poprawił go O'Neill.

Zespół wydobywczy autofabryki zignorował przelatujący helikopter. Tuż przed masywną ciężarówką, torując sobie drogę przez sterty złomu i odpadów, jechały dwa ciągniki. Ich sondy raz po raz znikały pod skorupą kurzu, który pokrywał żużel. Oba szperacze, wryte w ziemię tak, że

widać było tylko anteny, stopniowo przekopywały się dalej. Ich długie ramiona wirowały z głośnym trzaskiem.

— Czego szukają? — spytał Morrison.

— Diabli wiedzą — O'Neill poszukał czegoś w segregatorze. — Trzeba przeanalizować wszystkie niezrealizowane zamówienia.

Zespół wydobywczy został w dole, gdzieś za nimi. Helikopter pędził teraz nad pustynną równiną, gdzie piasek mieszał się z żuzłem. Żadnego ruchu. Chwilę później dostrzegli mały ciemny zagajnik, a w oddali, bardziej na prawo, kilka drobnych poruszających się kropek.

Była to cała procesja automatycznych pojazdów do transportu rudy i minerałów. O'Neill zawrócił helikopter w ich stronę i już po kilku minutach znaleźli się nad kopalnią.

Wszędzie aż roiło się od wszelkiego rodzaju maszyn górniczych. Puste transporterzy czekały cierpliwie w kolejce do szybów. Odgłosy pracujących maszyn zagłuszały wszystko dookoła. Takie poruszenie na tym zapomnianym żuźlowym pustkowiu było czymś nowym i zaskakującym.

— Zbliża się zespół wydobywczy — powiedział Morrison, spoglądając do tyłu. — Myślisz, że będzie draka? — Uśmiechnął się szeroko. — To chyba zbyt wiele szczęścia naraz.

— Tym razem jeszcze nie — odparł O'Neill. — Myślę, że szukają innych surowców. Zwykle są tak zaprogramowane, by ignorować się nawzajem.

Pierwszy pojazd wydobywczy dotarł do ustawionych w rzędzie transporterów, zmienił nieznacznie kierunek jazdy i kontynuował przeszukiwanie terenu. Transporterzy, jakby nigdy nic, dalej poruszały się jeden za drugim.

Morrison odwrócił się od okna i zaklął.

— To bez sensu. Traktują się jak powietrze.

Zespół wydobywczy stopniowo oddalał się od transporterów i w końcu zniknął za pasmem pobliskich wzgórz. Nie było pośpiechu: maszyny górnicze zupełnie go nie interesowały.

— Może są z tej samej fabryki — powiedział Morrison. O'Neill wskazał na anteny maszyn.

— Są ustawione pod różnym kątem. To znak, że należą do dwu różnych fabryk. Będzie ciężko. Trzeba wszystko dokładnie wyliczyć i przygotować. Inaczej się nie uda. — Włączył radio i wywołał operatora w osadzie. — Znaleźliście coś w listach niezrealizowanych zamówień?

Operator przełączył go do centrum dowodzenia.

— Dopiero napływają — odparł Perine. — Jak tylko będziemy mieli dość danych, sprawdzimy, których surowców brakuje konkretnym fabrykom. Trudno będzie dokonać trafnej analizy, szczególnie z bardziej złożonych substancji. Spodziewamy się, że część podstawowych składników jest wspólna dla różnych półproduktów.

— Co będzie, kiedy uda nam się wyodrębnić brakujący składnik? — spytał Morrison O'Neill.

— Co się stanie, gdy ustalimy, że dwóm sąsiadującym fabrykom brak tego samego surowca?

— Zaczniemy sami zbierać ten surowiec — odparł O'Neill — nawet jeśli trzeba będzie przetopić całą osadę.

III

Noc była ciemna, wiał lekki, chłodny wiatr. W powietrzu roiło się od ciem i innych owadów. Gęste posycie pełne było metalicznych, szeleszczących dźwięków. W krzakach i trawie buszowały nocne gryzonie — czujne, pobudzone, szukające pożywienia.

Miejsce było zupełnie dzikie, od najbliższej osady dzieliły ich całe mile. Teren był płaski i wypalony przez liczne wybuchy bomb wodorowych. Wśród chwastów i wszechobecnego żuźlu

leniwie torował sobie drogę wążutki strumyk. Znikał w sieci rur, które kiedyś stanowiły skomplikowany labirynt kanałów ściekowych. Wszędzie dookoła widniały fragmenty popękanych rur kanalizacyjnych — sterczące niczym kikuty i pokryte warstwą rozrastającej się roślinności. Lekki wiatr wzbijał tumany kurzu, które tańczyły wśród bujnie plewiących się chwastów. Gdzieś w oddali ogromny zmutowany strzyżyk poruszył się sennie, zakopał głębiej w swoje nocne posłanie ze szmat i odpadków i ponownie zapadł w sen.

Na krótką chwilę zamarł wszelki ruch. Earl Perine zadrzał, spojrzął w niebo i przysunął się bliżej do pulsującego ciepłem grzejnika, który umieścili przed sobą.

— I co? — spytał Morrison, szczękając zębami.

O'Neill nie odpowiedział. Dokończył papierosa, zgasił go w kupce gnijącego żużlu, wyjął zapalniczkę i zapalił kolejnego. Ich przynęta — sterta wolframu — leżała niecałe sto metrów dalej.

W ciągu ostatnich kilku dni w fabrykach w Detroit i Pittsburghu wyczerpał się zapas wolframu. A przynajmniej w tym jednym sektorze pola działania obu fabryk pokrywały się. Na luźno rozrzuconą stertę surowca składały się narzędzia do precyzyjnego cięcia, części wymontowane z włączników elektrycznych, wysokiej jakości sprzęt chirurgiczny, fragmenty magnesów, urządzenia pomiarowe — wolfram w każdej możliwej postaci, efekt gorączkowych poszukiwań we wszystkich osadach.

Nad stertą zawisła gęsta, ciemna mgła. Ćma, zwabiona błyskiem odbijającego się światła gwiazd, zastygła na chwilę nad złomowiskiem, bezskutecznie bijąc skrzydłami o płataninę metalowych elementów, po czym szybko zniknęła w cieniu winorośli, które porastały kikuty rur.

— Paskudne miejsce — mruknął Perine z przekąsem.

— Przestań — odparł O'Neill. — Jest bardzo dobre. To tu autofabryki same wykopią sobie grób. Kiedyś ten kawałek ziemi będzie celem pielgrzymek. Umieszczą tu wielką na kilometr tablicę pamiątkową.

— Starasz się podtrzymać nas na duchu? — parsknął Morrison. — Sam nie wierzysz, że pozabijają się o stertę jakichś narzędzi chirurgicznych i drucików do cholernych żarówek. Jestem pewny, że na najniższym poziomie fabryki mają maszynę, która wydobywa potrzebny wolfram bezpośrednio ze skał.

— Może — przyznał O'Neill. Próbował zabić komara, ale owad zwinnie uniknął ciosu i już po chwili nękał Perine'a. Perine zamachnął się nań nerwowo i aż przykucnął, wycierając spodnie o wilgotną trawę.

Tam właśnie zobaczyli to, czego szukali.

O'Neill zdał sobie sprawę, że patrzył na to od kilku minut. Mały robot wywiadowczy leżał bez ruchu na niewielkiej hałdzie żużlu. Receptory miał wysunięte na całą długość. Wyglądał, jakby go porzucono, nie dawał żadnego znaku życia. Doskonale wtopił się w ponury krajobraz. Niewyraźny metalowy kształt — tuba pełna przekładni — czekał nieruchomo i uważnie obserwował otoczenie.

Właśnie patrzył na stertę wolframu. Pierwsza ryba połknęła haczyk.

— Jest branie — rzucił Perine. — Spławik drgnął i idzie pod wodę.

— Co ty gadasz, do cholery? — warknął Morrison, który zobaczył robota dopiero po chwili. — O Jezu — wyszeptał, unosząc się i pochylając do przodu. — To już połowa sukcesu. Teraz trzeba jeszcze jakiejś jednostki z drugiej fabryki. Skąd jest ten?

O'Neill odszukał wzrokiem antenę komunikacyjną i ocenił jej kąt nachylenia.

— Pittsburgh. Módlcie się teraz za Detroit... módlcie się jak cholera.

Zadowolony z wyników wstępnej ekspertyzy, robot zbliżał się do sterty wolframu. Wykonał szereg skomplikowanych manewrów, podjeżdżając najpierw z jednej, potem z drugiej strony. Przypatrywali się tym zabiegom ze zdziwieniem, ale w ciemnościach dostrzegli kształty innych robotów.

— Porozumiewają się — powiedział O'Neill. — Jak pszczoły.

W kierunku sterty wolframowych przedmiotów podjeżdżało już pięć robotów pittsburskiej fabryki. Poruszone ważnym dla nich odkryciem, pędziły na szczyt wzgórza, wymachując ochoczo receptorami. Pierwszy robot zakopał się w stercie narzędzi, zaczął badać znalezisko.

Po dziesięciu minutach pojawiły się wagony transportowe. Pośpiesznie załadowały cenny surowiec i ruszyły w stronę fabryki.

— A niech to! — parsknął wściekle O'Neill. — Zabiorą wszystko, zanim pojawi się Detroit.

— Nie można ich jakoś spowolnić? — zapytał Perine. Mówiąc to, poderwał się, chwycił kamień i cisnął nim w przejeżdżający transporter. Kamień odbił się od metalowej powierzchni, a maszyna niczym niezrażona dalej robiła swoje.

O'Neill wstał i w bezsilnej złości krążył w tę i z powrotem, szukając jakiegoś rozwiązania. Co się mogło stać? Autofabryki nie różniły się od siebie zupełnie niczym, a miejsce, które wybrali, znajdowało się dokładnie w połowie drogi pomiędzy nimi. Pojazdy obu zakładów powinny zatem dotrzeć tu jednocześnie. Tymczasem wciąż nie było śladu po maszynach z Detroit... a Pittsburgh właśnie kończył załadunek ostatnich kawałków wolframu.

Nagle coś przemknęło tuż koło niego.

Poruszało się tak szybko, że nie zdążył go rozpoznać. Obiekt przedarł się przez splątane krzewy i błyskawicznie pomknął na szczyt wzgórza. Tu zatrzymał się na krótką chwilę, jakby wybierał cel, i popędził w dół zbocza, uderzając z impetem w jeden z transporterów. Pocisk i cel zatrzęsły się z głośnym trzaskiem.

Morrison aż podskoczył.

— Co, do cholery?

— Jest! — wrzasnął Perine, tańcząc w kółko i wymachując chudymi rękami. — To Detroit!

Po chwili pojawił się kolejny robot wywiadowczy z Detroit. Zawahał się na moment, oceniając sytuację, po czym natarł wściekle na jeden z wycofujących się transporterów. W powietrze wystrzeliły wolframowe części — dwaj przeciwnicy dosłownie się rozsypali, plując wokół zwojami przewodów, fragmentami połamanej obudowy, zniszczonych kół zębatach, sprężyn i śrub. Pozostałe transportery toczyły się z piskiem. Jeden zrzucił cały ładunek i zaczął uciekać, łomocząc i trzeszcząc. Jego śladem podążył kolejny, wciąż obciążony wolframem. Robot z Detroit dogonił go, zablokował mu drogę i wywrócił. Oba pojazdy wpadły do płytkiej rozpadliny i osunęły się, ładując w niewielkim bajorze. Ociekając wodą i strzelając snopami iskier, walczyły, zanurzone prawie do połowy.

— Cóż — powiedział O'Neill — udało się. Możemy wracać do domu. — Nogi miał jak z waty. — Gdzie samochód?

Kiedy włączał silnik, w oddali zobaczyli jakiś błysk: coś dużego, metalowego mknęło przez pokryte pyłem pustkowie. Zwarty oddział ciężkich transporterów do przewozu surowców przybywał z odsieczą. Z której fabryki?

Nie miało to teraz znaczenia, bo z przeciwka, przedzierając się przez gęste pnącza winorośli, jechały im na spotkanie nowe jednostki przeciwnika. Ze wszystkich stron wypełzały roboty wywiadowcze, zamykając ciasnym pierścieniem porzucone części wolframu. Żadna z fabryk nie chciała oddać tak cennego surowca; żadna też nie miała zamiaru go porzucić. Ślepo, mechanicznie, schwyte w potrzask niedających się obejść dyrektyw, fabryki mozolnie gromadziły siły.

— No już — ponaglił Morrison. — Wyośmy się stąd, zanim rozpęta się tu prawdziwe piekło.

O'Neill skierował samochód w stronę osady. Ciężarówka z głośnym stukotem wiozła ich do domu. Co jakiś czas przed oczami przemykały im metaliczne kształty. Pędziły w przeciwnym kierunku.

— Widzieliście ten ostatni transporter? — spytał z niepokojem Perine. — Nie był pusty.

Pozostałe, które podążały za nim, również wiozły ładunek — długi rząd wypakowanych po brzegi pojazdów prowadzonych przez jednostkę nadzorującą.

— Broń — powiedział Morrison, wyraźnie przestraszony — zwożą broń. Ale kto jej użyje?

— Oni — O'Neill wskazał na prawo. — Patrzcie. Tegośmy się nie spodziewali.

Do akcji wkraczał pierwszy przedstawiciel fabryki.

Gdy ciężarówka dotarła do osady Kansas City, Judith wybiegła im na spotkanie. W ręce trzymała skrawek metalicznego papieru.

— Co to? — spytał O'Neill, wrywając jej kartkę.

— Właśnie przyszło — Judith z trudem chwytała oddech. — Automatyczny pojazd... strasznie gnał... wyrzucił to tutaj i odjechał. Wielkie poruszenie. Kurczę, fabryka... wygląda jak wielki snop światła. Widać ją na wiele kilometrów.

O'Neill spojrział na kartkę. To było zaświadczenie z fabryki, potwierdzające ostatnie zamówienie, oraz lista potrzebnych produktów, utworzona na podstawie analizy dokonanej przez fabrykę. W poprzek listy biegł duży napis, wykonany czarnymi literami:

WSZYSTKIE DOSTAWY WSTRZYMANE DO ODWOŁANIA

O'Neill głośno wypuścił powietrze i podał kartkę Perine'owi.

— Koniec z dostawami — powiedział z ironią w głosie. Jego twarz przeszył nerwowy grymas. — Sieć wkroczyła na wojenną ścieżkę.

— To co, udało się? — zapytał Morrison z wahaniem.

— Tak — powiedział O'Neill. Teraz, kiedy konflikt naprawdę się zaognił, czuł przejmujący strach. — Pittsburgh i Detroit będą walczyć do upadłego. Już nie ma odwrotu... oni szykują się do wojny.

IV

Chłodne poranne słońce oświetlało pokrytą czarnym metalicznym pyłem równinę. Pył, wciąż ciepły, tlił się posępną, niezdrową czerwienią.

— Patrz pod nogi — powiedział O'Neill. Pomógł żonie wysiąść z przerdzewiałej, rozklekotanej ciężarówki i wspiąć się na rumowisko betonowych bloków, pozostałości po rozległym bunkrze. Earl Perine, ostrożnie stawiając każdy krok, niepewnie podążał za nimi.

Za plecami mieli podupadłą osadę, chaotyczną szachownicę domostw, budynków i ulic. Od czasu wstrzymania wszelkich dostaw ludzkie osiedla popadały w ruinę, pogrążając się w mrokach barbarzyństwa. Wszelkie urzędnictwa niszczały i prawie nie nadawały się do użytku. Minął już ponad rok od przyjazdu ostatniej fabrycznej ciężarówki z dostawą żywności, narzędzi, ubrań i części zamiennych. Leżący u podnóża góry ogromny kombinat z betonu i stali nie nawiązał z nimi żadnego kontaktu.

Ich życzenie się spełniło — zostali odcięci, odłączeni od sieci fabryk.

Zdani byli tylko na siebie.

Wokół osady rozciągały się pola porośnięte pszenicą i postrzępionymi łodygami spalonych przez słońce warzyw. Dzielono się prostymi narzędziami, wykonanymi z mozołem przez mieszkańców poszczególnych osad. Łączność między osadami utrzymywano za pomocą powolnego telegrafu, a powszechnym środkiem transportu stały się wozy konne.

Udało się jednak utrzymać jaki taki porządek. Dobra i usługi wymieniano na starych zasadach. Wytwarzano i rozwożono podstawowe artykuły. Ubrania, które mieli teraz na sobie O'Neill, jego żona i Perine, były proste, wręcz surowe, ale solidne. Poza tym udało im się przerobić kilka ciężarówek z napędu benzynowego na drzewny.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział O'Neill. — Stąd będzie dobrze widać.

— A czy warto? — spytała wyczerpana Judith. Pochyliła się i próbowała wydłubać kamyk z miękkiej podeszwy. — Tak długą drogę trzeba przejść, żeby zobaczyć coś, co oglądamy codziennie od trzynastu miesięcy.

— Racja — odparł O'Neill, kładąc dłoń na ramieniu żony. — Ale może to już ostatni raz. A właśnie to chcemy zobaczyć.

W oddali, na tle szarego nieba przemieszczał się, kreśląc koła, jakiś czarny punkt. Wysoki i daleki, zakreślił gwałtownie i pomknął przed siebie, poruszając się po skomplikowanym torze. Kolisty lot stopniowo znosił go coraz bardziej w stronę gór, u których podnóża rozciągała się masywna, zniszczona przez bomby budowla.

— Z San Francisco — wyjaśnił O'Neill. — To jeden z pocisków raketowych dalekiego zasięgu, dotarł tu aż z zachodniego wybrzeża.

— I myślisz, że to już ostatni? — spytał Perine.

— Jedyny, jaki pojawił się w tym miesiącu. — O'Neill usiadł i zaczął sypać tytoń na mały kawałek brązowego papieru. — Wcześniej latały ich tu całe setki.

— Może znalazły coś lepszego — powiedziała Judith. Znalazła w miarę płaski i gładki kamień i usiadła na nim. — Czy to możliwe?

Na twarzy jej męża pojawił się ironiczny uśmiech.

— Nie. Nie mają nic lepszego.

Czekali w skupieniu. Czarny punkt stopniowo się przybliżał. W fabryce panowała cisza, żadnego znaku życia, jakby ogromny kombinat Kansas City był zupełnie martwy. Chmury rozgrzanego pyłu owiewały budynek, którego część była doszczętnie zburzona. Został wielokrotnie trafiony. Wzdłuż równiny ciągnęły się zasypane gruzem i porośnięte winoroślą korytarze podziemnych tuneli.

— Cholerna winorośl — mruknął Perine, pocierając starą ranę na nieogolonej brodzie. — Niedługo zarośnie cały świat.

Wokół fabryki rdzewiały setki zniszczonych pojazdów. Transportery, ciężarówki, roboty wywiadowcze, przedstawiciele fabryki, wozy bojowe, działa, podziemne pociski tworzyły zbitą, bezkształtną masę. Niektóre zniszczono, gdy wracały do fabryki. Inne zestrzelono, gdy ją opuszczały, uginające się pod ciężarem przewożonego sprzętu. A sama fabryka — czy raczej to, co z niej zostało — zapadła się jeszcze głębiej w ziemię. Jej zewnętrzna część była prawie niewidoczna, prawie ginęła pod tonami pyłu unoszącego się w powietrzu.

Od czterech dni wokół fabryki nie widzieli żadnego ruchu.

— Jest martwa — powiedział Perine — widać to gołym okiem.

O'Neill milczał. Przykucnął tak, by było mu w miarę wygodnie, i przygotował się na dłuższe czekanie. Był prawie pewny, że w przeżartej rdzą, zniszczonej fabryce nie ustały wszystkie procesy automatyzacji. Cóż, czas pokaże. Spojrzał na zegarek — była ósma trzydzieści. Dawniej, o tej właśnie godzinie w fabryce rozpoczynał się zwykły dzień produkcyjny. Całe procesje ciężarówek i innych pojazdów opuszczały kombinat, kierując się do ludzkich siedzib.

Na prawo coś się poruszyło. Szybko spojrzął w tamtą stronę. Rozklekotany transporter pełną ociężałości w kierunku fabryki. Ostatnia jednostka, która starała się do końca wypełnić swoje zdanie. Transporter był pusty, nie licząc kilku skrawków metalu, które wiozł. Niczym padlinożerca zebrał je po drodze — części zniszczonych pojazdów. Maszyna z trudem toczyła się w stronę fabryki.

Jechała bardzo powoli. Co chwilę przystawała, podskakiwała i trzęsła się, raz po raz gubiąc drogę.

— Zdalne sterowanie zawodzi — powiedział Judith z przerażeniem w głosie. — Fabryka ma problemy ze ściągnięciem jej z powrotem.

Widział to już, gdy w rejonie Nowego Jorku fabryczny nadajnik wysokich częstotliwości całkowicie stracił moc. Pojazdy krążyły we wszystkich kierunkach, zbaczały z drogi, wpadając na skały i drzewa, lądowały w jarach i rozpadlinach, wywracały się i w końcu nieruchomiały.

Transporter dojechał do skraju równiny i gwałtownie się zatrzymał. Widoczny w górze czarny punkt cały czas krążył po niebie. Transporter wciąż się nie ruszał.

— Fabryka próbuje podjąć decyzję — powiedział Perine. — Potrzebuje surowca, ale boi się tej rakiety.

Dopóki fabryka analizowała sytuację, transporter ani drgnął. A potem obrał wcześniej przerwany kurs. Ominął płataninę winorośli i ruszył przez środek poszarpanej równiny. Poruszał się z wyraźnym trudem, zachowując największą ostrożność. Zmierzał do ciężkiej, wtopionej w podnóże gór konstrukcji z ciemnego betonu i metalu.

Rakieta przestała kołować.

— Padnij! — krzyknął O'Neill. — Wyposażyli ją w nowe ładunki. Judith i Perine przykucnęli tuż za nim i cała trójka z obawą spoglądała na metalowego owada, który mozolnie brnął przed siebie. Rakieta mknęła teraz po linii prostej, aż znalazła się tuż nad transporterem. Na krótką chwilę zawisała w powietrzu, po czym, bez żadnego ostrzeżenia, gwałtownie zanurkowała w dół.

— Nie mogę na to patrzeć! — krzyknęła Judith, kryjąc twarz w dłoniach. — To wstrętne! Jak dzikie zwierzęta!

— Jej celem nie jest transporter — wyjaśnił O'Neill.

Pocisk był coraz bliżej ziemi, a transporter przyspieszył gwałtownie, jakby resztką sił. Pędził teraz z hukiem w stronę fabryki, trzeszcząc i dudniąc. W ostatniej rozpaczliwej próbie starał się ukryć w bezpiecznym miejscu. Zapominając o niebezpieczeństwie, fabryka otworzyła automatyczne wrota i prowadziła pojazd prosto w ich kierunku. Stało się to, na co czekała rakietka.

Opadła tuż nad ziemię jak drapieżny ptak i mknęła teraz zaledwie parę metrów nad powierzchnią. Kiedy transporter zniknął w bramie, tuż koło niego śmignął ciemny metalowy kształt. Pocisk ominął rozklekotany pojazd i leciał wprost do wnętrza fabryki, która, nagle orientując się w zagrożeniu, próbowała zatrzasnąć mechaniczne wrota. Niestety, przytrzasnęły one transporter, jednocześnie wpuszczając do środka rozpędzoną raketę. Pojazd miotał się bezradnie, złapany w kleszcze na w pół zamkniętej bramy.

To, czy się uwolni, nie miało już znaczenia. Usłyszeli głucho, potężne uderzenie, jakby grzmot. Ziemia zadrżała, wzbijając tumany pyłu. Czuli wyraźnie, jak pod ich stopami przeszła podziemna fala uderzeniowa. Z wnętrza fabryki uniósł się wysoki słup czarnego dymu. Betonowa konstrukcja pękła niczym wysuszony strąk. Jej powierzchnia zmarszczyła się i rozpadła, zasypując okolicę deszczem odłamków. Dym wisiał jeszcze przez chwilę, a potem rozpląnął się w porannym wietrze.

Fabryka, wypatroszona jak zwierzę, została całkowicie zniszczona.

O'Neill podniósł się na odrętwiałych nogach.

— Już po wszystkim. Nasz plan się powiódł: zniszczyliśmy sieć autofabryki. — Zerknął na Perine'a. — O to nam przecież chodziło, prawda?

Spojrzeli na leżącą za nimi osadę. Niewiele zostało z dawnego porządku — domów stojących w równych rzędach, prostych ulic. Pozbawiona sieci osada szybko podupadła.

— Oczywiście. — Perine zawahał się. — Gdy dostaniemy się do wnętrza fabryki i uruchomimy własne linie produkcyjne...

— Czy zdołamy cokolwiek uruchomić? — przerwała mu Judith.

— Coś musiało ocaleć. Dobry Boże, przecież podziemne poziomy ciągnęły się na wiele

kilometrów w głąb.

- Niektóre bomby skonstruowane już pod koniec były naprawdę wielkie — zauważyła Judith.
- Lepsze od wszystkiego, co udało się nam kiedykolwiek wynaleźć.
- Pamiętacie obóz, który widzieliśmy? Biedotę żyjącą w ruinach?
- Nie było mnie wtedy z wami — odparł Perine.
- Zachowywali się jak dzikie zwierzęta. Żarli jakieś korzenie i larwy. Ostrzyli kamienie i garbowali skóry. Barbarzyńcy.
- Ale przecież tacy jak oni właśnie tego chcą — bronił się Perine.
- Doprawdy? A my? — O'Neill wskazał zrujnowaną osadę. — Czy takich efektów oczekiwaliśmy, kiedy podrzuciliśmy im stertę wolframu? Albo w dniu, gdy mówiliśmy przedstawicielowi fabryki, że mleko było... — Nie mógł sobie przypomnieć tego słowa.
- Kutaśne — powiedziała Judith.
- Chodźcie — rzekł O'Neill — trzeba brać się do roboty. Sprawdzimy, czy coś ocalało w tej fabryce... cokolwiek użytecznego.

Dotarli do ruin późnym popołudniem. Cztery ciężarówki podjechały z łoskotem i zatrzymały się na skraju olbrzymiej wyrwy. Robotnicy zeskoczyli na ziemię i niepewnie szli po wciąż gorącym pyle.

- Może jeszcze za wcześnie — powiedział któryś. O'Neill nie miał zamiaru czekać.
- Ruszać się — nakazał. Wyciągnął latarkę i szedł w dół, do wnętrza krateru.
- Ukryty maszyn kombinatoru Kansas City mieli teraz wprost przed sobą. W szczękach wypatroszonej fabryki wciąż tkwił zniszczony transporter. Za nim rozciągał się ponury, przerażający widok. W świetle latarki O'Neill zobaczył resztki kolumn i wsporników.
- Musimy dostać się głębiej — powiedział do Morrisona, który szedł tuż za nim. — Jeśli coś ocalało, to na najniższych poziomach.
- Maszyny do drążenia tuneli z Atlanty dobrały się do najgłębszych warstw.
- Wcześniej niż inne przekopały swoje tunele — O'Neill przeszedł ostrożnie przez zniszczoną bramę, wspinał się na stertę gruzu, która wysypała się na zewnątrz przez szczelinę i znalazł się wewnątrz fabryki — spalonego, zdemolowanego rumowiska.
- Entropia — powiedział Morrison — największy wróg fabryki. Walka z nią to był jej nadrzędny cel. Wszędzie nieład. Bezcelowość i chaos.
- Idziemy w dół — nalegał O'Neill. — Możemy tam trafić na jakieś zamknięte enklawy. Wiem, że dzielili się na niezależne sekcje. Próbowali w ten sposób chronić zespoły naprawcze, aby potem odtworzyć złożoną strukturę fabryki.
- Maszyny do drążenia dobrały się i do nich — rzekł Morrison, idąc za O'Neillem.
- Za nimi powoli szli robotnicy. Fragment gruzowiska obsunął się, pociągając za sobą lawinę rozżarzonych odłamków.
- Wracajcie do samochodów — polecił O'Neill. — Nie ma sensu narażać wszystkich. Jeśli Morrison i ja nie wrócimy, nie szukajcie nas... nie ryzykujcie ponownego wejścia do fabryki.
- Gdy robotnicy zawrócili, O'Neill wskazał prawie nienaruszoną rampę, która prowadziła w dół.
- Tędy zejdziemy.
- W milczeniu przemierzali kolejne martwe piętra. Nieskończone korytarze ukryte w mroku ruin. Gdzieś w ciemnościach majaczyły zarysy maszyn, nieruchomych taśm produkcyjnych i niedokończone kadłuby raket i pocisków, wygięte i powgniatane przez niedawną eksplozję.
- Część dałoby się jeszcze ocalić — powiedział O'Neill, choć sam w to nie wierzył. Wszystkie urządzenia były spalone i bezkształtne. Pod wpływem ogromnej temperatury wewnątrz fabryki zlało się i stopiło, tworząc bezpostaciową i bezużyteczną masę. — Gdy tylko wyciągniemy to na

powierzchnię...

— To niemożliwe — przerwał mu Morrison. — Nie mamy podnośników ani dźwigów. — Kopnął gniewnie stertę zwęglonych surowców, które ogień ogarnął na pękniętej taśmie produkcyjnej. Ich szczątki posypały się wzdłuż rampy.

Szli dalej przez opustoszałe korytarze i mijali kolejne poziomy.

— Wtedy myślałem, że to dobre rozwiązanie — rzekł O'Neill. — Teraz nie jestem tego taki pewien.

Zeszli już dosyć głęboko. Przed nimi leżało ostatnie piętro. W świetle lampy O'Neill starał się odnaleźć zachowane odcinki taśmy produkcyjnej, nieuszkodzone części montażowe i maszyny.

Morrison poczuł to pierwszy. Padł na ziemię i przywarłszy do podłogi, nasłuchiwał.

— Na miłość boską...

— Co jest? — krzyknął O'Neill. On również to wyczuł: nieznaczne, ciągle drgania podłogi pod nimi, nieustający pomruk pracujących maszyn.

Mylili się. Wybuch rakiety wcale nie zniszczył wszystkiego. Na najgłębszym poziomie fabryka wciąż żyła. Nadal działały tam jakieś linie montażowe.

— Sama dla siebie — wymamrotał O'Neill, szukając wejścia do windy, jakiegokolwiek drogi na dół. — Niezależna produkcja, zaprogramowana do pracy nawet wtedy, gdy pozostałe sekcje przerwą działanie. Jak się tam dostaniemy?

Winda była uszkodzona, a wejście do niej przysypane zwałami gruzu i metalu. Niższy poziom został całkowicie odcięty.

O'Neill rzucił się w stronę wyjścia. Pędził, mijając po raz kolejny puste poziomy. Gdy znalazł się na powierzchni, krzyknął w stronę najbliższej ciężarówki:

— Dawajcie palnik, do cholery! Szybko!

Dysząc ciężko, chwycił palnik i ruszył pędem w głąb zniszczonej fabryki, gdzie czekał na niego Morrison. Obaj gorączkowo przebijali się przez kolejne warstwy metalowej siatki, która tworzyła podłogę.

— Już prawie — rzucił nerwowo Morrison, mrużąc oczy w oślepiającym blasku płomienia. Część metalowej podłogi odpadła z głośnym szczękiem, niknąc gdzieś na niższym piętrze, a przez powstały otwór do ciemnego tunelu wdarła się smuga jasnego światła. Cofnęli się oślepieni.

W odciętym od światła pomieszczeniu słychać było głośny huk maszyn. Taśmociąg przesuwał się, narzędzia przy taśmie produkcyjnej były w ciągłym ruchu, a między nimi krążyły urządzenia nadzorujące proces produkcyjny. Z jednej strony płynęły nieprzerwanym ciągiem surowce i materiały niezbędne do produkcji, a z drugiej ukazywał się gotowy już produkt. Natychmiast poddawany był testom i kontroli, a następnie pakowany w kapsuły i układany na kolejnym taśmociągu, który zniknął gdzieś w ścianie.

Widzieli to tylko przez moment. Wykryto bowiem otwór w poszyciu i roboty przeszły w stan oczekiwania. Światła zamigotały i przygasły, a taśma produkcyjna zatrzymała się, przerywając szaleńczą pracę.

Maszyny wyłączyły się i ucichły.

Po przeciwnej stronie pomieszczenia pojawiło się nieduże urządzenie, które błyskawicznie znalazło się przy wyciętej przez nich dziurze, zasłoniło ją kawałkiem metalu i zaspawało. Znowu nic nie widzieli. Po chwili podłoga znowu wypełniła się delikatnymi wibracjami. Wznowiono produkcję. Morrison, błądy i roztrzęsiony, spytał:

— Co oni tam robią? Co produkują?

— Na pewno nie broń — odparł O'Neill.

— Ale gdzieś to potem wysyłają. Gdzieś na powierzchnię. O'Neill podniósł się z klęczek

— Myślisz, że znajdziemy to miejsce?

— Tak mi się wydaje.

— Więc zacznijmy szukać... — O'Neill poświecił w górę i ruszył w kierunku rampy. — Trzeba sprawdzić, co wysyłają w tych kulach na powierzchnię.

Drugi koniec podziemnego taśmociągu ginął wśród pnączy winorośli, jakieś czterysta metrów za fabryką. Znaleźli go w skalnym zagłębieniu u podnóża gór. Z odległości większej niż osiem metrów nie sposób było go dostrzec. Dlatego zauważyli taśmociąg dopiero, gdy prawie na niego weszli.

Co parę chwil z otworu wystrzeliwała kolejna kapsuła, lecąc wysoko w niebo. Rura wylotu co rusz zmieniała kąt i nachylenie, tak że każda kapsuła wyrzucana była w innym kierunku i na inną odległość.

— Dokąd lecą? — spytał Morrison.

— Wystrzeliwuje je na chybił trafił — O'Neill zbliżył się ostrożnie do wylotu, ale maszyna nie zwróciła na niego uwagi. Na jednej ze skalnych ścian dostrzegli rozplaszczoną kapsułę. Przez pomyłkę maszyna skierowała ją prosto w skałę. O'Neill wspiał się, odczepił kapsułę i zeskoczył na ziemię.

Kapsuła była rozbita, a wewnątrz znaleźli jakieś urządzenia, tak małe, że bez mikroskopu nie można było określić ich zastosowania.

— To nie broń — powiedział O'Neill.

Cylinder rozpadł się. W pierwszej chwili trudno było stwierdzić, czy pod wpływem wstrząsu czy celowo. Z rozwartej szczeliny wypłynął strumień metalowych drobin. O'Neill przykucnął, żeby lepiej się im przyjrzeć.

Drobinki poruszały się. Mikroskopijna maszyna pracowała w pocie czoła — budowała coś, co przypominało mały prostokąt ze stali.

— One budują — stwierdził O'Neill. Wstał i zaczął szukać czegoś dokoła. Na skraju niewielkiego wąwozu znalazł kolejną kapsułę. Była bardziej rozwinięta. Widocznie wystrzelono ją jakiś czas temu.

Postęp budowy był już tak zaawansowany, że dało się rozpoznać jej cel. Choć konstrukcja, którą wznosiły mikroskopijne maszyny, była miniaturowych rozmiarów, jej kształt wydawał się znajomy. Wznoszono tu miniaturową replikę zniszczonej fabryki.

— Cóż — powiedział O'Neill w zamyśleniu — jesteśmy w punkcie wyjścia. Lepiej to czy gorzej... nie wiem.

— Zdaje się, że nie ma miejsca na Ziemi, do którego jeszcze nie dotarli — odparł Morrison. — Ładują wszędzie i od razu biorą się do roboty.

Nagła myśl zaświtała O'Neillowi w głowie.

— Może część z nich jest w stanie pokonać siłę grawitacji. To by było niezłe — sieć autofabryk we wszechświecie.

Za jego plecami maszyna nieustannie wypluwała grad metalowych zarodków.

NAPRAWA

Należałoby najpierw wyjaśnić, czym zajęty był Courtland, gdy ktoś zadzwonił do drzwi.

David Courtland siedział nad plikiem bieżących raportów w swoim wypieszczonym apartamencie przy ulicy Leavenworth, tam, gdzie Russian Hill opada w stronę North Beach i zatoki San Francisco. Raporty zawierały dane techniczne dotyczące rezultatów testów Mount Diablo. Jako kierownik działu badań w Pesco Paints, Courtland zajmował się porównywaniem trwałości różnych powłok, które produkowała jego firma. Pomalowane gonty prażyły się w kalifornijskim skwarze przez pięćset sześćdziesiąt cztery dni. Nadszedł wreszcie czas, żeby sprawdzić, które farby podkładowe najlepiej oparły się utlenieniu, i wprowadzić odpowiednie zmiany w procesie produkcyjnym.

Pochłonięty analizą skomplikowanych danych, Courtland w pierwszej chwili nie usłyszał dzwonka. W rogu salonu z zestawu hi-fi firmy Bogen płynęła symfonia Schumanna. Żona Davida, Fay, zmywała w kuchni naczynia, a synowie, Bobby i Ralf, spali już w swoich piętrowych łózkach. Courtland sięgnął po fajkę, rozparł się w fotelu, przeczesał dłonią rzednące siwe włosy... i usłyszał dzwonek.

— Cholera — mruknął. Zaczął się zastanawiać, ile to już razy ów dźwięk starał się zwrócić na siebie jego uwagę. Podświadomie zdawał sobie sprawę, że nie była to pierwsza taka próba. Druki i raporty gdzieś znikły, rozmyły się przed jego zmęczonymi oczami. Kto to mógł być, do diabła? Minęła dopiero dziewięta trzydzieści; za wcześnie, żeby mieć do kogoś pretensje.

— Mam otworzyć? — zawołała z kuchni Fay.

— Nie trzeba — Courtland dźwignął się z fotela, wsunął stopy w kapcie i ruszył ociężale w stronę drzwi. Minał kanapę, stojącą lampę, gazetnik, gramofon i regał z książkami. Był zwalistym technologiem w średnim wieku i bardzo nie lubił, gdy przeszkadzano mu w pracy.

W drzwiach stał jakiś obcy facet.

— Dobry wieczór panu — powiedział niespodziewany gość, z uwagą studiując swój notatnik. — Przepraszam, że pana niepokoję.

Courtland rzucił młodemu mężczyźnie chłodne spojrzenie. Pewnie akwizytor. Szczupły, blond włosy, biała koszula, krawat, jednorzędowy niebieski garnitur. Młodzieniec stał przed nim ściskając notatnik w jednej, a wypchaną czarną walizkę w drugiej ręce. Na jego kościstej twarzy malowało się głębokie skupienie. Otaczała go aura wystudiowanej konsternacji — zmarszczone brwi, zaciśnięte usta, mięśnie policzków drgające w nieskrywanym zakłopotaniu. Spojrzał na Courtlanda i spytał:

— Czy to Leavenworth 1846, mieszkanie 3 A?

— Zgadza się — odparł Courtland z cierpliwością należną istocie niższego gatunku.

Oblicze młodzieńca rozpozgodziło się nieco.

— To dobrze — powiedział. Zerknął przez ramię Courtlanda, omiatając spojrzeniem apartament, i dodał: — Przepraszam, że niepokoję o tak późnej porze. Pewnie oderwałem pana od pracy. Ale, jak się pan zapewne orientuje, byliśmy ostatnio zawaleni robotą. Dlatego nie od razu odpowiedzieliśmy na pana wezwanie.

— Na moje wezwanie? — powtórzył Courtland. Poczuł, jak pod kołnierzykiem robi mu się gorąco, a na szyi wyskakują czerwone plamy. To pewnie sprawka Fay. Wpakowała go w coś, czym według niej powinien się zająć, coś niezmiernie ważnego. — O czym pan, do diabła, mówi? — zapytał. — Proszę jaśniej!

Młodzieniec zaczerwienił się, przełknął głośno ślinę, uśmiechnął się i jednym tchem wypalił:

— Jestem mechanikiem, którego pan wzywał. Przyjechałem naprawić pańskiego szwibla.

Courtlandow i przyszła do głowy nieco frywolna i złośliwa riposta. Żałował później, że nie odważył się wypowiedzieć jej na głos. — Może — mógłby odpalić — nie chcę, żeby ktoś naprawiał mój szwibel. Może podoba mi się taki, jaki jest. — Ale nie powiedział nic takiego. Zamiast tego otworzył nieco szerzej drzwi i spytał:

— Moje co?

— Tak, proszę pana — ciągnął młodzieniec — dotarł do nas zapis instalacyjny pańskiego szwibla. Zwykle w takich wypadkach dokonujemy automatycznego rozpoznania błędu, ale pan zdążył do nas wcześniej zadzwonić. Mam tu cały potrzebny sprzęt. A co do natury zaistniałego problemu — zaczął szukać czegoś gorączkowo w swoim notatniku. — Zresztą to nieważne. Może mi pan go osobiście przedstawić. Jak pan z pewnością wie, oficjalnie nie jesteśmy oddziałem korporacji, która sprzedaje szwibla... mamy swego rodzaju ochronę ubezpieczeniową, która zaczyna obowiązywać w chwili dokonania zakupu. Można oczywiście zrezygnować z naszych usług. — Wyraźnie starał się błysnąć jakimś dowcipem. — Słyszałem, że są inne, konkurujące z nami firmy.

Porzucił żartobliwy ton i dokończył już poważnie:

— Ale musi pan wiedzieć, że zajmujemy się naprawą szwibli od czasu, gdy stary RJ. Wright opracował model eksperymentalny.

Przez chwilę Courtland nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Przed oczami przesuwają mu się różne obrazy — przypadkowe, pseudonaukowe pomysły, jakieś nieistotne symbole i oznaczenia. Więc szwibla się psują... ogromne kompanie... wysyłają serwisantów zaraz po zawarciu transakcji. Taktyka monopolistyczna... wygryźć konkurencję, zanim w ogóle zacznie działać. Pewnie także łapówki dla spółki macierzystej. Wspólne księgi rachunkowe.

Jednak wszystko to miało niewiele wspólnego z obecną sytuacją. Courtland z trudem wrócił myślami do mężczyzny, który stał w progu ze swoją walizką z narzędziami i notatnikiem.

— Przykro mi — powiedział z naciskiem. — Podano panu zły adres.

— Zły adres? — powtórzył młodzieniec. Wyraz jego twarzy zdradzał zakłopotanie. — Dobry Boże, pewnie wezwanie zawierało błąd, wszystko przez ten nowomodny...

— Niech pan lepiej sprawdzi jeszcze raz w swoich papierach — przerwał mu Courtland, przymykając drzwi. — Nie wiem, co to za cholerstwo, ten szwibel, ale cokolwiek by to było, u mnie pan tego nie znajdzie. I do nikogo nie dzwoniłem.

Zatrząskując drzwi, zdążył dostrzec na twarzy młodzieńca wyraz skrajnego przerażenia. Potem ociężale ruszył w stronę biurka.

Szwibel. Co to, u licha mogło być? Usiadł w fotelu i starał się wrócić do przerwanej pracy, ale jego myśli wędrowały gdzie indziej.

Przecież coś takiego jak szwibel nie istniało. Jeśli chodzi o przemysł i produkcję, był na czasie. Czytał „U.S. News” i „Wall Street Journal”. Gdyby pojawiły się jakieś szwibla, wiedziałby o tym... Chyba że szwibel to jakaś pierdoła, kolejny bezużyteczny gadżet do domu. Niewykluczone.

— Słuchaj — krzyknął do żony, gdy stanęła na moment w drzwiach kuchennych ze ścierką do naczyń i niebieskim talerzem w ręku — wiesz, o co w tym chodzi? Słyszałaś o jakiś szwiblach?

Fay potrząsnęła głową.

— Nie, nigdy.

— Nie zamówiłaś przypadkiem chromowo — plastikowego elektrycznego szwibla od Macy’ego?

— Na pewno nie.

Może to coś dla dzieciaków. Może jakaś kolejna moda, nowe wariactwo — jakaś zabawka, gra

albo karty? Ale przecież dziewięciolatki nie kupują rzeczy, do których potem wzywa się ludzi z serwisu z wielkimi walizkami pełnymi różnych narzędzi — nie za pięćdziesiąt centów kieszonkowego na tydzień.

Ciekawość wzięła górę nad niechęcią. Musiał się dowiedzieć, co to było, sam dla siebie. Szybko poderwał się z fotela, podbiegł do drzwi i gwałtownie je otworzył.

Oczywiście korytarz był pusty. Młodzieniec już poszedł. Zostawił po sobie tylko słabą woń wody kolońskiej zmieszanej z zapachem potu. Nic więcej.

Nic oprócz zmiętego kawałka papieru, który musiał mu wypaść z notatnika. Courtland pochylił się i podniósł kartkę. Była to kopia zlecenia z wypisanym kodem identyfikacji, nazwą firmy dokonującej naprawy i adresem klienta.

ul. Leavenworth 1846 S. F. zlec. przyjął Ed Fuller o 21.20, 28.05.
Szwibel model 30sl5H (deluxe). Zlecenie: sprawdzić boczne
sprzężenie zwrotne i bank zamiany nerwowej. Aaw3-6.

Liczby i opis zlecenia nic mu nie mówiły. Zamknął drzwi i powoli wrócił do biurka. Prostując pognieciony skrawek, przeczytał go ponownie. Starał się odnaleźć w niezrozumiałej informacji jakiś sens. Spojrzał na firmowy nagłówek:

PRZEDSIĘBIORSTWO USŁUG ELEKTRONICZNYCH
ul. Montgomery, San Francisco 14 Ri8 — 4456n
Rok zał. 1963

To było to. Wyblakły napis: Rok zał. 1963. Czuł, jak drżą mu ręce. Odruchowo sięgnął po fajkę. Teraz stało się jasne, dlaczego nigdy wcześniej nie słyszał o szwiblach... i dlaczego nigdy żadnego nie kupił. Nie miało znaczenia, do ilu jeszcze drzwi zastuka ów młodzieniec — i tak nie znajdzie nikogo, kto posiada takie urządzenie.

Po prostu jeszcze go nie wynaleziono.

Courtland przez chwilę bił się z myślami, a potem chwycił słuchawkę i wykręcił domowy numer swojego pracownika z laboratorium Pesco.

— Nie interesuje mnie — powiedział — co zaplanowałaś na dzisiejszy wieczór. Wydam ci teraz kilka poleceń, które masz natychmiast wykonać.

Jack Hurley próbował protestować:

— Teraz? Posłuchaj, Dave, firma to nie cały świat... mam własne życie. Dzisiaj chciałem...

— To nie ma nic wspólnego z Pesco. Potrzebny mi magnetofon i kamera wideo z soczewkami na podczerwień. Masz też sprowadzić zawodowego stenografa. Wybierz także najlepszego elektryka z firmy i zadzwoń po Andersona z działu inżynieryjnego. Jeśli nie uda ci się go złapać, ściągnij kogoś z naszych projektantów. Potrzebny mi też ktoś z linii produkcyjnej, jakiś doświadczony mechanik, który wie wszystko o maszynach.

— Ty tu rządysz. Przynajmniej jeśli chodzi o badania. Ale będziesz musiał się z tego wytłumaczyć przed kierownictwem. Będziesz miał coś przeciwko, jeśli skontaktuję się z Pesbrokiem i zapytam go o zdanie? — odparł Hurley.

— Nie — rzucił szybko Courtland. — Albo lepiej sam to zrobię. Będzie chciał wiedzieć, o co chodzi.

— No właśnie, a o co chodzi? — w głosie Hurleya słychać było nieskrywaną ciekawość. — Nigdy się tak nie zachowywałaś... Czy ktoś wynalazł farbę samorozpylającą?

Courtland odłożył słuchawkę. Z trudem odczekał chwilę i wybrał numer swojego przełożonego,

właściciela Pesco Paint.

— Masz może wolną chwilę? — spytał nerwowo, gdy siwowłose starszy pan podszedł do telefonu, wyrwany przez żonę z drzemki. — Trafiłem na coś grubszego. Dzwonię, żeby o tym z tobą porozmawiać.

— Czy to coś związanego z farbami? — mruknął Pesbroke pół żartem, pół serio. — Jeśli nie...

Courtland przerwał mu w połowie zdania. Dokładnie opowiedział o niespodziewanej wizycie mechanika od szwibli. Gdy skończył, Pesbroke milczał przez chwilę.

— Cóż — rzekł wreszcie — myślę, że trzeba by to załatwić oficjalnie. Ale zaintrygowałeś mnie. Niech ci będzie. Wchodzę w to. Ale — dodał ściszym głosem — jeśli to tylko marnowanie czasu, potrączę ci z pensji za użycie sprzętu i ludzi.

— Czy marnowanie czasu to robienie czegoś, na czym nie da się zarobić?

— Nie — odparł Pesbroke. — Strata czasu oznacza, że wiesz, że to jakiś kant, i świadomie ciągniesz dalej tę szopkę. Jeśli jest inaczej i rzeczywiście uważasz, że coś w tym może być, obciążę kosztami firmę.

— To nie żart — zapewnił Courtland. — Obaj jesteśmy za starzy na takie numery.

— Cóż — skwitował Pesbroke — to rzeczywiście wygląda dziwnie. Zadzwońię do Hurleya i powiem mu, że się zgadzam. Masz wolną rękę... Przepuszczam, że będziesz chciał przycisnąć tego chłopaka i dowiedzieć się, o co naprawdę chodzi.

— Dokładnie.

— A jeśli to naprawdę nie żaden głupi dowcip... co wtedy?

— Wtedy postaram się dowiedzieć, co to jest ten szwibel. To na początek. A potem może...

— Myślisz, że on się jeszcze pojawi?

— Może. Nie znajdzie przecież właściwego adresu. Tego jestem pewien. Nikt w okolicy nie wzywał mechanika od szwibli.

— Czy to ważne, czym jest ten szwibel? Nie lepiej dowiedzieć się, jak chłopakowi udało się przeskoczyć w czasie?

— Myślę, że on prędzej będzie wiedział, co to szwibel... Nie wydaje mi się, żeby miał pojęcie, w jaki sposób się tu znalazł. Przecież on nawet nie wie, że to inne czasy.

— Brzmi rozsądnie — orzekł Pesbroke. — Jeśli przyjadę, wpuścisz mnie? Chciałbym przy tym być.

— Oczywiście — powiedział Courtland. Był cały mokry. Wciąż wpatrywał się w zamknięte drzwi. — Ale będziesz musiał się schować w drugim pokoju. Nie chcę niczego schrzanić. Taka szansa może się już nie powtórzyć.

Pospiesznie zmontowana ekipa zebrała się w apartamencie Courtlanda i czekała na dalsze instrukcje. Jack Hurley, w hawajskiej koszuli, luźnych spodniach i butach na gumowej podeszwie, nie starał się nawet kryć niechęci. Zwrócił się do Courtlanda, machając mu przed nosem zapalonym cygarem:

— No więc jesteśmy tu. Nie wiem, coś nagadał Pesbroke'owi, ale z pewnością to kupił. — Rozejrzał się po mieszkaniu i dodał: — Czy wyjaśnisz nam wreszcie, o co chodzi? Ci ludzie nie będą w stanie ci pomóc, jeśli nie powiesz im, o co biega.

W drzwiach sypialni, mrużąc zaspane oczy, stanęli dwaj synowie Courtlanda. Fay podeszła do chłopców i zapędziła z powrotem do łóżek. Grupa zebranych mężczyzn i kobiet rozlokowała się w salonie. Na ich twarzach malowały się różne uczucia, od zdziwienia i niechęci, przez ciekawość, do obojętności i znudzenia. Anderson, inżynier projektant, trzymał się na uboczu i sprawiał wrażenie zblazowanego. MacDowell, przygarbiony tokarz z brzuszkiem, patrzył z odrazą na kosztowny wystrój salonu. Porównując z nim swój strój — robocze buty i poplamione, zmięte

portki — pograżył się w wywołanej zakłopotaniem apatii. Specjalista od nasłuchu zajął się podłączaniem mikrofonów do ukrytego w kuchni magnetofonu. Szczupła, młoda kobieta, stenotypistka, znalazła sobie wygodne miejsce do pracy w rogu salonu. Parkinson, elektryk, usiadł na kanapie i przeglądał leniwie egzemplarz „Fortune”.

— Gdzie kamera? — spytał Courtland.

— W drodze — odparł Hurley. — Co ty, próbujesz złapać złodzieja skarbu konkwistadorów?

— Do tego nie zatrudniałbym inżyniera i elektryka — uciął oschle Courtland. Spięty, chodził wzdłuż salonu. — Pewnie się nie pojawi. Wrócił do swoich czasów albo błąka się Bóg wie gdzie.

— Kto? — zawołał podekscytowany Hurley, wypuszczając kłęby gęstego dymu. — Co tu jest grane?

— Jakiś facet zapukał dziś do moich drzwi — Courtland nie wdawał się w szczegóły. — Mówił o jakimś urzędzeniu, o którym nigdy w życiu nie słyszałem. Nazywa się to szwibel.

Siedzący w salonie spojrzeli po sobie zdziwieni.

— Spróbujmy zgadnąć, co to może być — zaproponował Courtland. — Anderson, ty pierwszy. Czym jest według ciebie szwibel?

— Haczyk, który sam znajduje rybę — odparł Anderson z uśmiechem. Parkinson miał inny pomysł:

— Angielskie auto z jednym kołem.

Po nim, z wyraźną dezaprobatą, odezwał się Hurley:

— Coś kretyńskiego. Kibel dla zwierząt domowych.

— Nowy plastikowy stanik — dorzuciła stenotypistka.

— Nie wiem — mruknął beznamyślnie MacDowell — nigdy o czymś takim nie słyszałem.

— W porządku — Courtland spojrzął na zegarek. Zaczynał panikować; minęła już godzina, a chłopak nie pojawił się. — Teraz tego nie wiemy; nie możemy nawet zgadywać. Ale pewnego dnia, za dziewięć lat jakiś Wright wymyśli szwibele i będzie to złoty interes. Jedni będą je produkować, drudzy kupować i płacić, a serwisanci będą się kręcić po domach i je naprawiać.

Drzwi się otworzyły i do salonu wszedł Pesbroke. Na głowie miał kowbojski kapelusz, a pod pachą trzymał zwinięty płaszcz.

— No i co, pojawił się? — Rozejrzał się po pokoju. — Wszystko przygotowane, jak widzę.

— Niestety — odparł Courtland ponuro. — Niech to szlag... a ja go odesłałem. Że też nie zorientowałem się wcześniej. — Wręczył Pesbroke'owi zmiętą kartkę.

— No tak — powiedział Pesbroke, oddając mu po chwili notatkę. — Jeśli wróci, masz zamiar nagrać wszystko, co powie, i sfotografować jego sprzęt. — Wskazał na Andersona i MacDowella: — Ale do czego oni są ci potrzebni?

— Chciałem mieć tu ludzi, którzy wiedzą, o co pytać — wyjaśnił Courtland. — Zakładając, że on wróci. A jeśli nawet, nie zostanie tu przecież zbyt długo. Musimy więc wyciągnąć z niego, ile się... — Przerwał, bo do salonu weszła Fay. — O co chodzi?

— Chłopcy chcieliby popatrzeć — wyjaśniła. — Mogą zostać? Obiecali, że będą cicho. Je też chciałabym to zobaczyć.

— Więc patrzcie — odparł ponuro Courtland. — O ile będzie na co patrzeć. Fay podała kawę, a Courtland wrócił do tematu.

— Musimy sprawdzić, czy to nie żaden bajer, głupi dowcip. Pierwsze pytania muszą zbić go z tropu, tak żeby, jeśli kłamie, popełnił jakiś błąd. Wezwałem ich, bo to specjaliści. Jeżeli facet wciska kit, na pewno go na czymś złapią.

— A jeśli mówi prawdę? — wtrącił Anderson. — Jeśli, jak to ująłeś, nie wciska kitu?

— To znaczy, że pochodzi z następnej dekady i chcę wycisnąć z niego, ile się da. Ale... — Courtland przerwał na chwilę — wątpię, by dostarczył nam wielu informacji technicznych. Ten

gość to raczej płotka. Trzeba wypytać go dokładnie o jego działkę. Na tej podstawie można będzie wyciągnąć pewne wnioski i zbudować szerszy obraz całego problemu.

— Myślisz, że po prostu opowie nam, jak zarabia na życie — zauważył Pesbroke — i to wystarczy.

— Będziemy mieli szczęście, jeśli w ogóle się pojawi — odparł Courtland. Usiadł na kanapie i zaczął metodycznie stukać fajką o brzeg popielniczki. — Jedyne, co nam zostało, to czekać. Zastanówcie się teraz nad pytaniami, które chcielibyście mu zadać. Pomyślcie, czego chcielibyście się dowiedzieć od kogoś, kto przybył z przyszłości, nie zdaje sobie sprawy, że cofnął się o parę lat, i próbuje naprawić sprzęt, który jeszcze nie istnieje.

— To przerażające — powiedziała stenotypistka. Zbladła, filiżanka kawy zadrżała w jej dłoni.

— Mam tego dość — mruknął Hurley, wbijając wzrok w podłogę. — To bez sensu.

I właśnie wtedy pojawił się serwisant. Tak jak poprzednio nieśmiało zapukał do drzwi.

Był wyraźnie zakłopotany.

— Niezmiernie mi przykro, proszę pana — zaczął. — Widzę, że ma pan gości, ale sprawdziłem notatki i nie ma mowy o błędzie. To musi być ten adres — dodał ze smutkiem. — Próbowałem też gdzie indziej, ale nikt nie wiedział, o co mi chodzi.

— Proszę wejść — Courtland odsunął się na bok, przepuszczając serwisanta, i wprowadził go do salonu.

— To on? — spytał Pesbroke, mrużąc oczy. Courtland zignorował go.

— Proszę siadać — wskazał młodzieńcowi krzesło. Kątem oka dostrzegł, że Anderson, Hurley i MacDowell przysunęli się bliżej, a Parkinson odłożył „Fortune” i wstał. Z kuchni dobiegł odgłos włączanego magnetofonu... wreszcie coś się zaczęło.

— Mogę przyjść kiedy indziej — powiedział chłopak, z niepokojem patrząc na otaczających go ludzi. — Nie chciałem panu przeszkadzać. Nie wiedziałem, że spodziewa się pan gości.

— To żaden kłopot — odparł Courtland, przysiadając na oparciu fotela. — Prawdę mówiąc, nawet dobrze, że pan tu jest. — Wyraźnie czuł, że napięcie mija. Teraz mieli szansę. — Nie wiem, co we mnie wstąpiło — dodał szybko. — Chyba byłem trochę roztargniony. Oczywiście, że mam szwibla. Jest w jadalni.

Twarz serwisanta wykrzywiła się w uśmiechu.

— W jadalni? — wydusił. — To najlepszy żart, jaki słyszałem.

Courtland rzucił Pesbroke'owi szybkie spojrzenie. Co w tym było śmiesznego, do cholery? Ciarki przeszły mu po plecach, na czole pojawiły się krople potu. Co to jest szwibel, do diabła? Lepiej zapytać prosto z mostu... albo nie pytać wcale. Może chodzi o coś zupełnie innego, niż się spodziewali. Może — ta myśl nie była przyjemna — lepiej nie wiedzieć.

— Zmyliła mnie — podjął ostrożnie — nazwa, której pan użył. Nie myślę o tym jak o szwiblu. Wiem, że to popularne określenie, taki żargon, ale tu chodzi o tak drogą rzecz, że wolę bardziej oficjalną nazwę.

Serwisant popatrzył na niego osłupiały. Courtland zrozumiał, że popełnił kolejny błąd. Szwibel — taka musiała być właściwa nazwa. Odezwał się Pesbroke.

— Od ilu lat naprawia pan szwibele, panie...? — zawiesił głos, ale młodzieniec nie zareagował. — Jak brzmi pańskie nazwisko, młody człowieku?

— Moje co? — odparł serwisant. — Przepraszam, ale chyba pana nie zrozumiałem?

Dobry Boże, pomyślał Courtland. To będzie o wiele trudniejsze, niż przypuszczał... niż wszyscy mogli przypuszczać.

— Przecież musi pan mieć jakieś nazwisko — rzucił gniewnie Pesbroke. — Każdy je ma.

Chłopak zaczerwienił się, głośno przełknął ślinę i wbił wzrok w podłogę.

— Jestem dopiero w czwartej grupie serwisowej. Nie mam jeszcze nazwiska.

— Nieważne — wtrącił Courtland. Co to za społeczność, w której nazwiska są symbolem statusu? — Chcę się upewnić, że ma pan wszelkie wymagane kwalifikacje — wyjaśnił. — Od jak dawna zajmuje się pan naprawą szwibli?

— Sześć lat i trzy miesiące — odparł serwisant. — Mój talent ujawnił się już w szkole dla juniorów. — Dumnie wypiął wątlą pierś. — Można powiedzieć, że jestem urodzonym szwiblemanem.

— To dobrze — stwierdził niepewnie Courtland. Nie mógł uwierzyć, że chodziło o tak ogromny przemysł. Przeprowadzali testy już na najmłodszych uczniach? Czy umiejętność naprawy tych urządzeń traktowano jak podstawowy talent, jak zdolność do operowania pojęciami i symbolami? Czy praca ze szwiblami stała się czymś tak fundamentalnym jak talent muzyczny lub umiejętność postrzegania zależności przestrzennych?

— Cóż — młodzieniec sięgnął po torbę z narzędziami — mogę zaczynać. Muszę niedługo wrócić do zakładu... mam dużo innych zleceń.

Pesbroke stanął przed młodzieńcem i bez ogródek wypalił:

— Co to są szwible? Mówi pan, że naprawia te rzeczy. Czym jest szwibel? To proste pytanie, więc musi istnieć prosta odpowiedź.

— Ale... — młodzieniec zawahał się. — To znaczy... Trudno powiedzieć. Wyobraźmy sobie... Wyobraźmy sobie, że zapyta mnie pan, co to jest pies lub kot. Jak mam odpowiedzieć na takie pytanie?

— W ten sposób do niczego nie dojdziemy — wtrącił Anderson. — Ten szwibel to jakiś produkt, prawda? Musi więc pan mieć opis techniczny, plan, schemat, cokolwiek. Proszę go pokazać.

Chłopak chwycił skrzynkę z narzędziami.

— Co tu się dzieje? Czy to jakiś żart... — Zwrócił się do Courtlanda. — Chcę zabrać się do pracy. Naprawdę nie mam wiele czasu.

— Chciałbym sprawić sobie szwibla — odezwał się MacDowell, który stał w kącie z rękami w kieszeniach spodni. — Moja pani twierdzi, że powinniśmy go mieć.

— Och, z całą pewnością — przytaknął ochoczo serwisant. — Dziwi mnie jednak, że jeszcze pan go nie nabył. W rzeczy samej, nie wiem, co z państwem jest nie tak. Zachowujecie się jakoś tak... dziwnie. Skąd państwo pochodzą, jeśli wolno spytać? I dlaczego jesteście tak... hm... niedoinformowani?

— Ci ludzie — wyjaśnił Courtland — pochodzą z miejsca, w którym nie ma jeszcze szwibli.

Słyszając to, serwisant od razu nabrał podejrzeń.

— Tak? To bardzo ciekawe. O jakim miejscu mówimy?

Kolejny błąd. Courtland rozpaczliwie szukał jakiejś wiarygodnej odpowiedzi. MacDowell odchrząknął i pospieszył mu z odsieczą.

— Jak już mówiłem — zaczął — chcemy z żoną kupić jeden. Ma pan przy sobie jakieś foldery? Zdjęcia różnych modeli?

— Obawiam się, że nie. Proszę podać mi swój adres, a dział sprzedaży prześle panu wszelkie istotne informacje. A jeśli pan zechce, przedstawiciel handlowy firmy zadzwoni w dogodnej dla pana porze i opowie o korzyściach wynikających z posiadania szwibla.

— Pierwszy szwibel wyprodukowano w 1963 roku? — spytał Hurley.

— Zgadza się. — Na moment udało im się uśpić czujność serwisanta. — I był to bardzo odpowiedni moment. Ujmę to w ten sposób... Gdyby nie pierwszy działający model Wrighta, ludzkość przestałaby istnieć. Skoro nie znacie szwibli, może i nie wiecie o tym... przynajmniej wyglądacie, jakbyście nie wiedzieli. Ale żyjecie dzięki staremu dobremu R.J. Wrightowi. To dzięki szwiblom ten świat wciąż istnieje.

Otworzył skrzynkę z narzędziami i wyjął jakieś skomplikowane urządzenie, płataninę przewodów i tub. Wypełnił przezroczystą substancją jeden z cylindrów, zamknął szczelnie, sprawdził przycisk spustu i powiedział:

— Na początek zaaplikuję trochę dx, to zwykle sprawia, że zaczynają działać.

— Co to jest? — spytał Anderson. Zaskoczony pytaniem chłopak odpowiedział:

— To wysokoproteinowy koncentrat odżywczy. Z naszych obserwacji wynika, że dziewięćdziesiąt procent usterek to skutek niewłaściwej diety. Klienci nie wiedzą, jak obchodzić się z nowym szwiblem.

— Boże — wyszeptał Anderson — to żyje.

Courtland czuł, jak jego umysł zapada się gwałtownie. Mylił się. To nie był zwykły mechanik. Przyszedł tu, by naprawić szwibla, ale specjalizował się w czymś innym, niż przypuszczali. Nie był serwisantem. Był kimś w rodzaju weterynarza.

Wykładając kolejne instrumenty i mierniki, młodzieniec tłumaczył: — Nowoczesne szwible są znacznie bardziej złożone niż ich poprzednicy. Potrzebne mi to wszystko, zanim w ogóle zabiorę się do pracy. No cóż, wińcie za to wojnę.

— Wojnę? — powtórzył ostrożnie Courtland.

— Nie, tą wcześniejszą. Wielką, w siedemdziesiątym piątym. Ta mała, z sześćdziesiątego pierwszego, to nic. Wright był wtedy inżynierem wojskowym. Stacjonował w... wtedy nazywali to chyba Europa. Musiał wpaść na ten pomysł, obserwując uchodźców, którzy przekraczali granice. Tak, tak to musiało wyglądać. Podczas tej mniejszej wojny, w sześćdziesiątym pierwszym, były miliony. Płynęły w obie strony. Mój Boże, pomyśleć, że ludzie przemieszczali się wte i wewte między dwoma obozami — to przerażające.

— Nie jestem najlepszy z historii — powiedział Courtland przytłumionym głosem. — W szkole nigdy mnie to nie interesowało... wojna z sześćdziesiątego pierwszego... ta między Rosją a Ameryką?

— Och — westchnął chłopak — właściwie każdy w niej walczył. Rosja przewodziła blokowi wschodniemu, a Ameryka zachodniemu. Ale wszyscy byli w to wplątani. Choć to ta mniejsza wojna. Ta nieistotna.

— Nieistotna? — wtrąciła przerażona Fay.

— Cóż — przyznał serwisant — wtedy wydawała się ogromna, ale przecież ocalały niektóre budynki. No i trwała zaledwie kilka miesięcy.

— Kto wygrał? — spytał Anderson.

— Wygrał? — zachichotał młodzieniec. — Dziwne pytanie. Po stronie bloku wschodniego było więcej ocalonych, jeśli o to wam chodzi. Tak czy siak, najważniejszy skutek wojny z sześćdziesiątego pierwszego to, jestem pewien, że wasi nauczyciele historii musieli o tym wspomnieć, powstanie szwibli. R.J — Wright zaczerpnął ten pomysł od zmieniających strony uciekinierów. I w siedemdziesiątym piątym, gdy wybuchł ogromny konflikt, mieliśmy już mnóstwo szwibli. — Zamyślił się na chwilę i dodał: — Prawdziwa wojna rozpętała się właśnie o szwible. I była to już ostatnia wojna — między tymi, którzy chcieli ich, a tymi, którzy byli im przeciwni. Nie muszę chyba dodawać, kto wygrał.

— Co stało się ze stroną przeciwną? — zapytał Courtland. — Z tymi... którzy nie chcieli szwibli?

— No cóż — odparł młodzieniec — dostały ich szwible. Courtland próbował drżącą dłonią zapalić fajkę:

— O tym nie wiedziałem.

— Jak to szwible? — zainteresował się Pesbroke. — Co to znaczy, że ich dostały?

Młodzieniec ze zdumieniem potrzęsął głową.

— Ignorancja laików jest wprost niewiarygodna. — Rola eksperta wyraźnie mu odpowiadała. Wypiąwszy chudą pierś, kontynuował swój wykład o historii współczesnej. Zebrani słuchali go w skupieniu. — Pierwszy wrightowski model szwibla był, ma się rozumieć, dość prymitywny. Ale spełniał swoje zadanie. Od początku potrafił rozróżniać i dzielić zmieniających obozy na dwie grupy — tych, którzy naprawdę rozumieli i wierzyli oraz hipokrytów. Tych, którzy chcieli się wycofać... nie byli naprawdę oddani sprawie. Władze musiały wiedzieć, ilu uchodźców chciało przejść na stronę Zachodu, a ilu było w rzeczywistości szpiegami i tajniakami. To zadanie powierzono pierwotnie szwiblom. Teraz wydaje się to niczym.

— Zaiste — zgodził się z nim Courtland — to nic.

— Obecnie — ciągnął serwisant — nie zajmujemy się już takimi sprawami. Bez sensu byłoby czekać, aż dana jednostka przyjmie wrogą ideologię, i łudzić się, że niedługo ją porzuci. Co za ironia, prawda? Po wojnie z sześćdziesiątego pierwszego istniała tylko jedna wroga ideologia — tych, którzy nie akceptowali szwibla.

Roześmiał się.

— Więc szwible zmieniły tych, którzy nie chcieli być przez nie zmieniani. To dopiero była wojna. Nie jakiś tam chaotyczny konflikt z mnóstwem bomb i napalnu. To była prawdziwa wojna naukowa — żadnych przypadkowych zniszczeń. Szwible po prostu zeszły do piwnic i ruin, znalazły kryjówki opozycjonistów i dokopały się do nich. Wyłapaliśmy ich wszystkich. Teraz — zakończył, zbierając narzędzia do walizki — nie musimy martwić się o wojny i tym podobne rzeczy. Nie będzie już żadnych konfliktów, bo nie ma sprzecznych ideologii. Jak wykazał Wright, to bez znaczenia, jakie mamy przekonania; nieważne, czy jest to komunizm, wolny rynek, socjalizm, faszyzm czy nawet niewolnictwo. Jedyne, co się liczy, to że wszyscy jesteśmy zgodni i całkowicie oddani sprawie, lojalni. Dopóki mamy nasze szwible... — mrugnął porozumiewawczo do Courtlanda. — Jako świeżo upieczony posiadacz szwibla zapewne poznał pan już jego zalety. Poczucie bezpieczeństwa i pewność, że pańska ideologia jest całkowicie zgodna z tym, w co wierzy cały świat. Nie ma żadnej możliwości, nawet cienia niebezpieczeństwa, że zboczy pan z właściwej drogi... i stanie się posiłkiem znajdującego się w pobliżu szwibla.

MacDowell pierwszy zdołał wziąć się w garść.

— Tak — przyznał z ironią — właśnie tego pragniemy moja pani i ja.

— Ależ muszą państwo mieć własnego szwibla — zachęcał serwisant. — Proszę tylko pomyśleć... gdyby go państwo mieli, automatycznie by was ukierunkował, dopasował. Czuwałby nad państwem i mielibyście pewność, że nie zbaczacie z właściwego toru. Proszę sobie tylko przypomnieć szwiblowe hasło: Precz z częściową lojalnością! Dzięki własnemu szwiblowi pański światopogląd zostanie bezboleśnie zmodyfikowany... ale jeśli nadal będzie się pan łudzić, że stąpa po właściwej ścieżce, któregoś dnia wejdzie pan do domu znajomych i ich szwibel rozpląta pana i pożre żywcem. Niewykluczone — dodał — że jakiś przypadkowy szwibel zdąży pana ustawić. Ale to rzadko się zdarza. Zwykle — uśmiechnął się — dla ludzi, którzy zblądzili, jest już za późno na zbawienie.

— A pańska praca — wtrącił Pesbroke — polega na konserwacji szwibla.

— Zostawione same sobie trochę się rozregulowują.

— Czy to nie paradoks? One nas odpowiednio ustawiają, a my jesteśmy im potrzebni do tego samego... zamknięte koło.

Serwisant wyglądał na zaintrygowanego:

— Tak, to bardzo interesujące spostrzeżenie. Jednak szwible wymagają ścisłej kontroli. W przeciwnym razie po prostu by zdechły. — Wzdrygnął się. — Albo i gorzej.

— Zdechły? — spytał Hurley, nic nie pojmując. — Ale skoro je produkujecie... — przerwał na chwilę i zmarszczył brwi. — Albo są maszynami, albo czymś żywym. Jak to w końcu jest?

Serwisant cierpliwie wytłumaczył podstawowe aspekty:

— Szwibel to struktura organiczna wykształcona na bazie białkowej w ściśle określonych warunkach. Najważniejsza tkanka nerwowa, która sta — nowi podstawężywionej części szwibla, żyje, czyli rozwija się, myśli, odżywia i wydalą. Tak. z całą pewnością można ją nazwać czymś żywym. Jednak szwibel jako całość to produkt fabryczny. Tkanę organiczną umieszcza się w głównym kadłubie i szczelnie zamyka. Tej części nie naprawiamy. Podajemy tylko odżywki, aby przywrócić równowagę żywieniową, i zwalczamy organizmy pasożytnicze, które na nim żerują. Staramy się zachować go w czystości i zdrowiu. Równowaga całego szwibla jest czysto mechaniczna.

— Czy szwibele mają bezpośredni dostęp do ludzkich umysłów? — spytał Anderson.

— Naturalnie. To przecież sztucznie wytworzony wielokomórkowy organizm telepatyczny. Wynajdując go. Wright rozwiązał podstawowy problem naszych czasów — obecność odmiennych, wrogich ideologicznie frakcji, zjawisko zdrady i różnicy poglądów. Jak powiedział generał Steiner: „Wojna to przedłużenie niezgody od urny wyborczej do okopów”. A we wstępie do Międzynarodowej Karty Praw i Zobowiązań czytamy: „Jeśli chcemy wyeliminować wojny, musimy zacząć od umysłów ludzi, bo tam rodzą się wszelkie konflikty”. Do roku 1963 nie mieliśmy możliwości dotarcia do ludzkich umysłów. Problem wydawał się zatem nierozwiązywalny. — .

— I dzięki Bogu — powiedziała Fay.

Pochłonięty swoją przemową chłopak nie usłyszał jej słów.

— Dzięki szwiblom — ciągnął — zdołaliśmy zmienić podstawowy problem lojalności w rutynową, mechaniczną procedurę, która wymaga tylko konserwacji i napraw. Naszym zadaniem jest dopilnowanie, by szwibele prawidłowo funkcjonowały. Reszta zależy już od nich.

— Innymi słowy — zauważył Courtland — wy, serwisanci, jako jedyni macie kontrolę nad szwiblami. Reprezentujecie złożoną z ludzi organizację, która nad nimi stoi.

Chłopak zastanowił się przez chwilę.

— Na to wychodzi — przyznał skromnie.

— Więc poza wami one rządzą całą ludzkością. Młodzieniec dumnie wypiął chudą pierś.

— Można tak powiedzieć — rzekł.

— Posłuchaj — Courtland złapał chłopaka za ramię. — Skąd, do cholery, macie pewność, że to wy rządzą? — Narastała w nim jakaś szalona nadzieja. Dopóki ludzie sprawowali kontrolę nad szwiblami, dopóty istniała szansa, żeby to wszystko odkręcić. Można by rozebrać szwibele na części, a skoro musiały co jakiś czas oddać się w ręce mechaników, sytuacja nie była beznadziejna.

— Co proszę? — spytał zdziwiony serwisant. — Oczywiście, że to myje kontrolujemy. Bez obawy. — Zdecydowanym ruchem wyswobodził się z uścisku Courtlanda. — No to gdzie ten pański szwibel? — Rozejrzał się po pokoju. — Czas nagli.

— Nie mam szwibla — odparł Courtland.

Gdy te słowa dotarły do chłopaka, wykrzywił twarz w dziwnym grymasie.

— Jak to? Przecież powiedział pan...

— Coś poszło nie tak — wyjaśnił Courtland. — Nie ma żadnych szwibli. Jest za wcześnie... nikt ich jeszcze nie wynalazł. Rozumie pan? Przyszedł pan za wcześnie.

Oslupiały serwisant pośpiesznie zebrał narzędzia, cofnął się w stronę drzwi i otworzył usta, próbując coś powiedzieć.

— Za... wcześnie? — wykrztusił. I wtedy do niego dotarło. Wyglądał teraz starzej, dużo starzej. — Nie dawało mi to spokoju. Te wszystkie niezniszczone budynki... staromodne meble. Urządzenie transmisyjne musiało wygenerować błąd! — Wpadł w gniew: — Te natychmiastowe usługi... Mówiłem, żeby trzymać się starego systemu mechanicznego. Że trzeba przeprowadzić

dokładniejsze testy. Boże, rozpęta się piekło. Zdziwię się, jeśli uda się to wszystko odkręcić.

Wrzucił resztę narzędzi do torby, zamknął ją z trzaskiem, wyprostował się i lekko uklonił Courtlandowi.

— Miłego wieczoru — rzucił pośpiesznie. I zniknął.

Serwisant wrócił tam, skąd przybył.

Po chwili Pesbroke dał znak facetowi w kuchni.

— Możesz wyłączyć magnetofon — mruknął — nie ma już co nagrywać.

— Dobry Boże — Hurley był wstrząśnięty. — Świat rządzony przez maszyny.

Fay wzdrygnęła się.

— Nie mogę uwierzyć, że ten człowieczek ma tak ogromną władzę. Myślałam, że to tylko jakaś płotka.

— Raczej główny szef — rzucił Courtland. Zapadła cisza.

Jeden z chłopców ziewnął przeciągle. Fay odwróciła się i zapędziła chłopców do sypialni.

— Na was już czas, pora spać — powiedziała z udawaną wesołością. Wyraźnie niezadowoleni zniknęli w sypialni, zamykając za sobą drzwi.

Obecni w salonie powoli otrząsali się z odrętwienia. Operator magnetofonu zaczął przewijać taśmę. Stenotypistka zbierała notatki i chowała ołówki. Hurley zapalił cygaro i pogrążył się w zadumie.

— Myślę — powiedział Courtland — że teraz wszyscy wiemy, że to nie żaden żart.

— Cóż — odparł Pesbroke — chłopak po prostu zniknął. To wystarczający dowód. I te narzędzia, które ze sobą przyniósł...

— To tylko dziewięć lat — powiedział elektryk Parkinson. — Wright już jest na świecie. Trzeba go znaleźć i zlikwidować.

— Inżynier wojskowy R.J. Wright. — mruknął MacDowell. — Namierzenie go nie powinno być trudne. Może uda się powstrzymać to szaleństwo.

— Ile czasu ludzie tacy jak on mogą utrzymywać kontrolę nad szwibłami? — spytał Anderson. Courtland wzruszył ramionami.

— Boja wiem. Może latami... Może i cały wiek. Ale prędzej czy później coś się zdarzy; coś, czego nie przewidzą. I te bestie zaczną na nas żerować. Ciałem Fay wstrząsnął gwałtowny dreszcz.

— To okropne. Cieszę się, że nas to nie dotyczy.

— Po nas choćby potop — wtrącił ironicznie Courtland. Fay miała już dość.

— Później o tym porozmawiamy. — Uśmiechnęła się do Pesbroke'a. — Jeszcze kawy? Nastawię wodę. — Obróciła się na pięcie i pobiegła do kuchni.

Gdy napełniała czajnik wodą, ktoś zadzwonił do drzwi. Wszyscy zamarli. Spoglądali na siebie w niemym przerażeniu.

— Wrócił — wymamrotał Hurley.

— Może to nie on — rzekł bez przekonania Anderson. — Może dotarli wreszcie ludzie z kamerą.

Nikt nie ruszył w stronę drzwi. Po chwili dzwonek rozległ się ponownie, tym razem dłuższy i bardziej natarczywy.

— Trzeba otworzyć — wybełkotał Pesbroke.

— Na mnie nie liczcie — zastrzegła się stenotypistka.

— To nie moje mieszkanie — oznajmił MacDowell.

Courtland sztywno podszedł do drzwi. Zanim ujął za klamkę, domyślił się, o co chodzi. Kolejne zlecenie, tym razem przy użyciu najnowszego transmittera, który kierował zespół robotników i serwisantów prosto pod wskazany adres. Dzięki temu kontrola szwibli została opanowana do

perfekcji. Nie było mowy o błędzie.

A jednak czegoś nie dopilnowano. System zawiódł. Działał do góry nogami i wstecz. Przerósł sam siebie, był nieskuteczny, bo zbyt perfekcyjny. Courtland nacisnął klamkę i otworzył drzwi.

Na korytarzu stało czterech mężczyzn w szarych kombinezonach i czapkach. Jeden z nich zdjął czapkę, przeczytał coś na kartce, którą trzymał w ręku, i uklonił się.

— Dobry wieczór panu — powiedział wesoło. Był barczysty, na spocone czoło opadł mu kosmyk brązowych włosów. — Trochę... eee... błędziliśmy. Przepraszamy za spóźnienie.

Zaglądając do mieszkania, podciągnął ciężki skórzany pas, wetknął kartkę do kieszeni i zatarł dłonie.

— Jest na dole, w skrzyni — oświadczył, zwracając się do Courtlanda i pozostałych. — Niech pan powie, gdzie go można ustawić, to wniesiemy go na górę. Potrzeba sporo miejsca... tam koło okna będzie dobrze. — Odwrócił się i wraz z kolegami ruszył do windy towarowej. — Ten model szwibła potrzebuje dużo przestrzeni.

MONOPOLISTKA

W sobotę przed południem, o jedenastej, pani Edna Berthelson była już gotowa do swojej małej podróży. Choć powtarzało się to co tydzień i pochłaniało cztery godziny jej cennego czasu, zawsze robiła to sama, zachowując i korzyści, i sekret swego znaleziska tylko dla siebie.

Właśnie. Znalezisko, łut nieprawdopodobnego szczęścia. Nigdy wcześniej nie przytrafiło się jej nic podobnego, choć prowadziła interes od pięćdziesięciu trzech lat. A nawet dłużej, jeśli uwzględnić lata, w których sklepem zarządzał ojciec. Lecz ten okres tak naprawdę się nie liczył: miała tylko zdobyć potrzebne doświadczenie (tak powiedział ojciec) i nie dostawała za pracę żadnego wynagrodzenia. I zdobyła je, nauczyła się prowadzić mały, wiejski sklep, czyścić ołówki, rozwieszać lep na muchy, ważyć suszoną fasolę i przeganiać kota z beczki z sucharami, gdzie lubił drzemać.

Teraz sklep był stary, ona też. Ojciec, postawny mężczyzna o krzaczastych brwiach, od dawna nie żył. Dzieci i wnuki wyrosły i rozjechały się po świecie. Pojawiały się jedno po drugim, dorastały w Walnut Creek i znikwały, też jedno po drugim. Z każdym rokiem ona i jej sklep stawali się coraz bardziej surowi, ponurzy i wåtli. Upodabniali się do siebie.

Tego ranka Jackie spytał:

— Babciu, dokąd jedziesz?

Wiedział oczywiście, dokąd jechała. Jak w każdą sobotę wy ruszała starą półcięzarówkąna przejażdżkę. Ale Jackie lubił o to pytać. Podobało mu się, że odpowiedź była zawsze taka sama.

Równie niezmienna była odpowiedź na kolejne pytanie: „Czy mogę jechać z tobą?” Ale ta nie bardzo mu się podobała. Brzmiała bowiem: „Nie”.

Edna Berthelson mozolnie przenosiła paczki i pudła z zaplecza sklepu na platformę półcięzarówki. Pojazd był zakurzony, a czerwona karoseria powyginana i przeżarta przez rdzę. Silnik już pracował, rozgrzewając się w południowym słońcu. Stado starych, wynędzniałych kur grzebało w ziemi obok kół. Na ganku przycupnęła tłusta biała owieczka. Obojętnie przyglądała się krzątaniu. Wzdłuż bulwaru Mount Diablo sunęły samochody. Aleją Lafayette przechadzali się kupujący — głównie farmerzy z żonami, drobni biznesmeni, pracownicy sezonowi i miejscowe damulki w jaskrawych spodniach, koszulkach z nadrukami i sandałach. Z umieszczonego przy wejściu do sklepu radia płynęły popularne przeboje.

— Zadałem ci pytanie — nalegał Jackie. — Spytałem, dokąd jedziesz. Pani Berthelson pochyliła się, by podnieść ostatnie pudło. Większość załadował poprzedniego dnia Arnie Szwed, zwalisty, siwowłosy mężczyzna, który wykonywał w sklepie najcięższe prace.

— Co? — mruknęła w zamyśleniu. Na jej pomarszczoną twarz stopniowo wracał wyraz koncentracji. — Przecież doskonale wiesz, dokąd jadę.

Weszła do sklepu po książkę zamówień, a Jackie smętnie podreptał za nią.

— Mogę jechać z tobą? Proszę! Nigdy mi nie pozwalasz... nikomu nie pozwalasz!

— To chyba zrozumiałe — odparła ostro. — To moja sprawa, dokąd jeżdżę.

— Ale ja chcę jechać z tobą — nalegał chłopiec.

Staruszka odwróciła głowę i zerknęła na niego bystro, niczym zmęczony ptak, który przejrzał świat na wylot.

— Inni też by chcieli — uśmiechnęła się tajemniczo i dodała: — Ale nie mogą.

Jackiemu nie podobała się ta odpowiedź. Wyraźnie niezadowolony, wycofał się z rękoma głęboko wetkniętymi w kieszenie dzinsów. Nie chciał być tam, gdzie jego nie chciano, i nie

akceptował czegoś, w czym nie mógł brać udziału. Pani Berthelson nie zwracała na niego uwagi. Okryła chude ramiona wytartym niebieskim swetrem, założyła okulary przeciwsłoneczne i starannie zamknawszy drzwi sklepu, ruszyła do auta.

Wrzucenie biegu w tym pojeździe nie było wcale proste. Przez chwilę pani Berthelson siedziała, szarpiąc dźwignię i raz po raz wciskając sprzęgło. W końcu zębatki zbiegły się z chrzęstem i piskiem, samochód lekko podskoczył, a pani Berthelson wcisnęła pedał gazu, jednocześnie zwalniając ręczny hamulec.

Ciężarówka z turkotem potoczyła się do przodu. Jackie wyszedł z cienia i pobiegł za nią. Matki nie było w pobliżu. Poza wylegającą się owcą i dwoma kurczakami w ogóle nie było tu nikogo. Nawet Arnie Szwed gdzieś zniknął. Pewnie poszedł po zimną kole. To był odpowiedni moment. Niepowtarzalna okazja. Jackie nie mógł jej przegapić.

Chwycił za tylną klapę, podciągnął się i wylądował na stercie ciasno ułożonych pudeł. Ciężarówka podskakiwała na wyboistej drodze, więc z całych sił przywarł do pakunków, podciągnął nogi, przykucnął i trzymał się, czego popadnie, żeby nie wypaść. Gdy wstrząsy wreszcie osłabły, odetchnął z ulgą i usiadł wygodniej na platformie.

Udało się. Wreszcie się udało. Towarzyszył pani Berthelson w jej tajemniczej cotygodniowej wyprawie, w sekretnym przedsięwzięciu, z którego, jak słyszał, czerpała ogromne zyski. Gdzieś w głębi swego dziecięcego umysłu czuł, że ta podróż musi być niezwykła, wspaniała i z pewnością warta zachodu.

Miał tylko nadzieję, że staruszka nie zatrzyma się gdzieś po drodze, aby sprawdzić ładunek.

Tellman przygotował sobie „kawę”. Najpierw wsypał prażone ziarna do kanistra na benzynę, którego używano w kolonii jako naczynia do mieszania. Potem dodał garść cykorii i trochę suszonych otrębów. Brudnymi rękami zdołał rozpalic ogień pod metalową kratką. Ustawił garnek z wodą na ogniu i rozejrzał się za łyżką.

— Co robisz? — usłyszał zza pleców głos żony.

— Eee... — wymamrotał. — Nic specjalnego. — Przystąpił z nogi na nogę i dodał zadziornie: — Chyba mogę sobie czasem coś przygotować? Tak samo jak pozostali.

— Powinieneś być gdzie indziej. Pomagać.

— Byłem. Coś mi przeskoczyło w plecach. — Odsunął się niepewnie od żony i skubiąc brzeg podartej, uwalanej ziemią koszul i, ruszył w stronę drzwi. Już przy wyjściu z baraku rzucił: — Każdy musi kiedyś odpocząć, do cholery.

— Odpoczniesz, gdy dotrzemy do celu. — Gladys odgarnęła do tyłu gęste jasne włosy. — Wszyscy mają już dość.

Tellman zaczerwienił się z gniewu:

— Kto rozrysował trajektorię? Kto odwalił całą nawigatorską robotę? Na twarzy Gladys pojawił się szyderczy uśmieszek.

— Najpierw zobaczymy, ile są warte te twoje wykresy — odparła. — Dopiero potem pogadamy.

Tellman wypadł z baraku wprost na podwórze zalane oślepiającym światłem popołudniowego słońca.

Nie cierpiał tego nudnego, jasnego blasku, który zaczynał się około piątej rano i trwał aż do dziewiątej wieczorem. Wielki Wybuch wysłał z powietrza wszelką wodę, a słońce prażyło bezlitośnie, nie oszczędzając nikogo. Choć zostało niewielu, którzy mogli się tym martwić.

Po jego prawej stronie znajdował się obóz; kilka chat, skleconych z czego popadnie — desek, kawałków blachy powiązanych drutem, strzępów papy, betonowych kłoców, ze wszystkiego, co udało się przytaszczyć z ruin San Francisco położonych czterdzieści mil na zachód. Zamiast drzwi

wieszali koce, które miały ich chronić przed pasożytniczymi insektami od czasu do czasu nawiedzającymi obóz. Normalnie problem owadów załatwiłyby ptaki, ale od dwóch lat nie widział ani jednego; i nie spodziewał się, że jakiegoś zobaczy. Za obozem rozciągało się niezmierzone pustkowie — wypalony, zwęglony, pokryty grubą warstwą popiołu świat. Żadnego urozmaicenia, żadnych oznak życia.

Obóz zbudowano w naturalnej niszy. Z jednej strony ochraniały go resztki niewielkiego łańcucha górskiego. Siła wybuchu zniszczyła piętrzące się tu klify. Przez wiele dni odłamki skał i gruzu sypały się na dno doliny. Gdy San Francisco zostało zrównane z ziemią, ci, którzy przeżyli kryli się między ogromnymi skalnymi blokami, uciekając przed słońcem. Właśnie ono stanowiło największy problem — nie chmary insektów, nie chmury radioaktywnego pyłu, nie przerażające eksplozje, tylko niczym nieprzesłonięte, palące słońce. Pragnienie i odwodnienie zabiły więcej ludzi niż substancje toksyczne.

Tellman wyjął z kieszeni na piersi paczkę bezcennych papierosów. Zapalił jednego. Ręce mu się trzęsły. Po części ze zmęczenia, po części z gniewu i napięcia. Jakże nienawidził tego obozu. Nie cierpiał też jego mieszkańców, łącznie ze swą żoną. Czy zasłużyli na ratunek? Szczerze w to wątpił. Większość już upodobniła się do barbarzyńców. Jakie miało znaczenie, czy uda im się uruchomić statek? Wypruwał sobie żyły, żeby ich uratować. Do diabła z nimi.

Niestety, jego bezpieczeństwo było nierozdzielnie związane z ich bezpieczeństwem.

Ruszył w stronę Barnes'a i Mastersona, którzy stali nieopodal, pogrążeni w rozmowie.

— No i jak? — spytał ochryple.

— Dobrze — odparł Barnes. — Niedługo koniec.

— Jeszcze tylko jedna dostawa — dodał Masterson. Na jego twarzy pojawił się wyraz niepewności. — Miejmy nadzieję, że nic się nie pochrzani. Powinna tu być lada chwila.

Tellman nie znosił ostrej woni potu, którą roztaczało muskularne cielsko Mastersona. Nawet w ich sytuacji nie powinien chodzić brudny jak świnia... Na Wenus będzie inaczej. Na razie Masterson jest potrzebny. Doświadczony mechanik, niezastąpiony przy naprawie i konserwacji silników. Ale gdy statek już wylądjuje i wymontują z niego, co się da...

Tellman zaczął się zastanawiać nad przywróceniem właściwego porządku. Hierarchia została pogrzebana pod gruzami miast, ale powróci, w jeszcze ostrzejszej formie. Taki Flannery, na przykład, to tylko wulgarny irlandzki doker wyśpiewujący szanty. Teraz zawiaduje załadunkiem statku, a to najważniejsze zadanie. Jest numerem jeden, ale to się zmieni.

Musi się zmienić. Podniesiony na duchu, Tellman zostawił Barnes'a i Mastersona i ruszył w stronę statku.

Statek był ogromny. Wzdłuż przedniej części ciągnął się napis, niezatarty jeszcze do końca przez unoszący się powietrzu pył i palące promienie słońca:

ARSENAL ARMII STANÓW ZJEDNOCZONYCH

GRUPA A-3 (B)

Pierwotnie była to ultraszybka „globalna broń odwetowa”, wyposażona w głowice wodorowe, zdolna do masowego unicestwienia wrogów. Rakieta nigdy nie została odpalona. Toksyczne kryształy wystrzelone przez Sowieców dostały się przez okna i drzwi do miejscowej jednostki dowodzenia i koszar. Gdy nadszedł dzień odpalenia, nie został już nikt, by uruchomić odpowiednie procedury. Ale nie miało to żadnego znaczenia. Wróg przecież też już nie istniał. Rakieta stała przez wiele miesięcy... była tu, gdy zaczęli pojawiać się pierwsi uchodźcy szukający schronienia wśród wzgórz.

— Niezły, co? — zagadnęła Patricia Shelby. Posłała Tellmanowi zmęczony uśmiech. Jej

drobna, ładna twarz zdradzała oznaki skrajnego wyczerpania. — Coś jak trylon na Nowojorskich Targach Światowych.

— Jezu — rzucił Tellman — ty to pamiętasz?

— Miałam wtedy osiem lat — odparła. W cieniu ogromnej rakiety starannie sprawdzała automatyczne przełączniki odpowiedzialne za utrzymywanie właściwej temperatury, stężenia tlenu i wilgotności na statku. — Ale nigdy tego nie zapomnę. Może mam coś z jasnowidza... gdy zobaczyłam, jak ją podnoszą, poczułam, że kiedyś stanie się dla wszystkich bardzo ważna.

— Bardzo ważna dla naszej dwudziestki — sprecyzował Tellman. W przyływie nagłego impulsu podał jej końcówkę papierosa. — Pewnie byś zapaliła.

— Dzięki — wróciła do pracy, trzymając papierosa w ustach. — Prawie skończyłam... Kurczę, niektóre z przełączników to naprawdę maleństwa. Pomyśl tylko — podniosła mikroskopijny dysk z przezroczystego plastiku — tam na górze od nich będzie zależało nasze życie. — W jej ciemnoniebieskich oczach pojawił się dziwny wyraz. — Życie całej ludzkości.

Tellman roześmiał się:

— Ty i Flannery. Zawsze recytujecie te same idealistyczne banialuki. Profesor John Crowley, kiedyś dziekan wydziału historii w Stanford, a obecnie przywódca kolonii, siedział z Flannerym i Jean Dobbs i badał ropyjące ramię dziesięcioletniego chłopca.

— Promieniowanie — stwierdził. — Jego poziom wzrasta. To przez osiadający pył. Jeśli szybko się stąd nie wyniesiemy, będzie po nas.

— To nie promieniowanie — zaproponował Flannery. — To toksyczna substancja krystaliczna. Wciąż pełno jej na wzgórzach. Bawił się tam.

— Czy to prawda? — spytała Jean Dobbs. Chłopak kiwnął głową. Bał się na nią spojrzeć. — Masz rację — powiedziała do Flannery'ego.

— Posmarujcie to maścią — polecił Flannery. — I módlcie się, żeby przeżył. Poza sulfatazolem niewiele mamy. — Spojrzał na zegarek. — Chyba że dziś przywiezie penicylinę.

— Jeśli nie dziś, to nigdy — wtrącił Crowley. — To ostatni ładunek. Wciągamy go na pokład i natychmiast odlatujemy.

Flannery zatarł ręce.

— No to wyskakuj z kasy!

Crowley uśmiechnął się.

— Dobra. — Pogrzebał w jednej z metalowych, zamykanych na klucz szafek i wyciągnął garść banknotów. Pomachał nimi przed nosem Tellmana. — Poczęstuj się. Bierz wszystko.

— Ostrożnie — rzucił Tellman. — Stara pewnie znów podniosła ceny.

— Mamy ich pełno. — Flannery wcisnęła plik banknotów między częściowo wypchane paczki, które za chwilę miały zostać odtransportowane na statek. — Wszędzie dookoła leżą pieniądze, razem z popiołem i fragmentami kości. Na Wenus nie będą nam potrzebne... może zabrać wszystkie.

Na Wenus, pomyślał Tellman ze złością, wróci właściwy porządek, a Flannery wróci do kopania rowów, gdzie jego miejsce.

— Co przywozi tym razem? — spytał Crowleya i Jean Dobbs, ignorując Flannery'ego. — Co zamówiliście?

— Komiksy — powiedział rozmarzonym tonem Flannery, wycierając pot z łysiejącego czoła. — I harmonijki.

Crowley mrugnął do niego.

— I hawajskie gitary. Będziemy całe dni leżeć w hamakach, brzdąkając *Someone's in the Kitchen with Dinah*.

— I mieszadełka do drinków — dorzucił Flannery — żebyśmy mogli w pełni docenić smak

bąbelków naszego szampana rocznik trzydziesty ósmy.

Tellman nie wytrzymał.

— Wy... zwyrodnialcy!

Crowley i Flannery parsknęli śmiechem, a Tellman odszedł na bok, czując gorzki smak kolejnego upokorzenia. Banda idiotów i popaprańców. Cały czas tylko robią sobie jaja... Z żalem spojrzął na statek. Czy właśnie tak będzie wyglądał świat, który mają odnaleźć?

Rakieta połykiwała w promieniach bezlitośnie palącego słońca. Ogromna tuba, stop metalu i ochronnych włókien, wznosiła się nad żalosnym skupiskiem skleconych z byle czego chat. Jeszcze jeden transport i odlatują. Jeszcze jedna ciężarówka, kolejny zapas nieskażonych produktów, które wyznaczały im granice między życiem a śmiercią. Modląc się w duchu, żeby wszystko poszło jak trzeba, Tellman czekał na przyjazd pani Edny Berthelson i jej rozklekotanej czerwonej ciężarówki, kruchej pępowiny, która była ich jedynym łącznikiem z zamożnym, nieskażonym światem przeszłości.

Po obu stronach drogi ciągnęły się gaje brzoskwiniowe. Muchy i pszczoły sennie brzęczały leniwie nad gnijącymi na ziemi owocami. Co chwila mijali przydrożne stragany obsługiwane przez lunatycznie senne dzieci. Na podjazdach stały zaparkowane buicki i oldsmobile. Gdzieniedzie włączyły się psy — Przy jednym ze skrzyżowań stała elegancka tawerna. Jej neon migał w bladym świetle poranka.

Edna Berthelson obrzuciła tawernę i zaparkowane wokół niej samochody surowym spojrzeniem. Miastowi zapuszczali się coraz dalej w dolinę, wycinali stare dęby, równali z ziemią sady, wznosili domy, popijali whisky w barach w środku dnia i radośnie jechali dalej. Pędzili swoimi chryslerami sto trzydzieści na godzinę. Kolumna aut, która zdążyła się utworzyć za ciężarówką, nagle wystrzeliła do przodu, zostawiając ją w tyle. Przyjęła to z kamienną twarzą. Niech gnają. Dobrze im tak. Gdyby ona ciągle tak się śpieszyła, nigdy nie odkryłaby tej dziwnej zdolności, która pozwalała jej patrzeć „z wyprzedzeniem”. Nigdy nie odkryłaby szczeliny w czasie, która umożliwiała jej handel na tak dogodnych warunkach. Niech sobie pędzą. Tył ciężarówki ugiął się rytmicznie pod ciężarem ładunku. Silnik rzeźił, a na tylnej szybie brzęczała ledwie żywa mucha.

Jackie leżał między kartonami i pudłami. Rozkoszował się jazdą, obserwując gaje brzoskwiniowe i przejeżdżające samochody. Dostrzegł wierzchołek Mount Diablo, niebiesko — biały szczyt skalnego masywu. Góra osnuta była mgłą i strzelała wysoko ku rozgrzanemu niebu. Jackie zrobił minę do stojącego przy drodze psa, który szykował się do przejścia na drugą stronę. Pomachał radośnie do pracownika Pacific Telephone Co” który rozwijał przewód z ogromnej szpuli.

Ciężarówka zjechała z autostrady na boczną drogę. Ruch był tu dużo mniejszy. Auto pięło się teraz pod górę. Gaje brzoskwiniowe znikły. Ich miejsce zajęły płaskie brązowe pola. Po prawej stronie dostrzegł zniszczoną farmę. Przyglądał się jej z zaciekawieniem. Zastanawiał się, ile może mieć lat. Wkoło nie było żadnych innych budynków, pola wyglądały na zaniedbane. Gdzieniedzie widać było resztki walących się ogrodzeń. Jakieś poniszczone znaki, drogowskazy, które nic już nie znaczyły. Ciężarówka zbliżała się do podnóża Mount Diablo... prawie nikt tędy nie jeździł.

Chłopiec zaczął się zastanawiać, co skłoniło panią Berthelson do podróży w te strony. Przecież nikt tu nie mieszkał. Okolica w pobliżu stromego zbocza góry była dzika i odludna. Wszędzie tylko pasma wzgórz porośniętych lasem i porozrzucane dookoła ogromne głazy... poza przeciwpożarową wieżą obserwacyjną i zbiornikiem na wodę nie było tu zupełnie nic.

Jackie poczuł ukłucie strachu. Przecież żaden klient nie mieszka w tej okolicy... Był prawie

pewien, że czerwona półciężarówka zawiezie go do jakiegoś miasta, do San Francisco, Oakland czy Berkeley, gdzie mógłby wysiąść, przejść się po okolicy i zobaczyć coś interesującego. Tu niczego takiego nie było. Tylko pustkowie — milczące i złowrogie. W cieniu góry powietrze było chłodne. Wzdrygnął się. Zaczął żałować, że tu przyjechał.

Pani Berthelson zwolniła i wrzuciła niższy bieg. Ciężarówka zaczęła piąć się w górę stromego zbocza. Omijała ostre, niebezpiecznie wyglądające muldy i głazy. Gdzieś przed nimi rozległ się głośny krzyk ptaka. Dźwięk gasł w oddali, niesiony przez echo, a Jackie zastanawiał się, w jaki sposób przyciągnąć uwagę babki. Fajnie byłoby usiąść z przodu, w kabinie. Fajnie byłoby...

I wtedy to zauważył. W pierwszej chwili myślał, że ma jakieś omamy... ale szybko przekonał się, że to dzieje się naprawdę.

Ciężarówka stawała się coraz bardziej przezroczysta i zaczynała znikać.

Powoli, tak że trudno to było zauważyć, stawała się coraz bardziej wyblakła. Najpierw przybrała szarawy odcień, a potem całkiem straciła swój pierwotny, czerwony kolor. Przez podłogę można było zobaczyć czerń drogi. W gwałtownym przypiływie strachu próbował złapać się pudeł z towarem, ale jego dłonie nie mogły ich pochwycić. Nagle znalazł się pośrodku jeziora rozmytych cieni, w którym tańczyły niewidzialne fantomy.

Zaczął zsuwać się w dół i na chwilę utknął w podłodze ciężarówki, tuż nad rurą wydechową. Desperacko próbował przytrzymać się jednego z pudeł, które teraz znajdowały się nad nim.

— Ratunku! — wrzasnął. Echo własnego głosu było jedynym dźwiękiem, jaki słyszał. Warkot ciężarówki ucichł i chłopak z łoskotem spadł na ziemię.

Impet uderzenia wyrzucił go poza drogę i Jackie wylądował w wyschniętym na wiór zielsku, które porastało brzeg pobliskiego rowu melioracyjnego. Oszołomiony i oślepiiony bólem, ciężko dysząc, bezskutecznie próbował się podnieść. Panowała głucha cisza. Ciężarówka pani Berthelson gdzieś zniknęła. Został zupełnie sam. Zamknął oczy i leżał bez ruchu, sparaliżowany strachem.

Po jakimś czasie, chyba niezbyt długim, obudził go pisk hamulców. Zakurzona pomarańczowa półciężarówka jednego z przedsiębiorstw państwowych zatrzymała się gwałtownie i wyskoczyło z niej dwóch mężczyzn ubranych w kombinezony khaki. Podbiegli do chłopca.

— Co się stało? — zawołał jeden z nich. Podnieśli go z ziemi. — Skąd się tu wziąłeś?

— Wypadłem — wymamrotał. — Z ciężarówki.

— Z jakiej ciężarówki? — spytał mężczyzna. — Jakim cudem?

Nie potrafił odpowiedzieć. Wiedział tylko, że pani Berthelson zniknęła. Znów pojechała sama. A on nigdy się nie dowie, dokąd i kim są jej tajemniczy klienci.

Pani Berthelson ścisnęła kurczowo kierownicę. Przejście już nastąpiło. Brązowe pola, skały i zielone krzewy znikły. Gdy przedostała się „do przodu” pierwszy raz, ciężarówka brnęła przez morze czarnego pyłu. Ale ona była tak poruszona odkryciem, że nie zwróciła uwagi na warunki, jakie panowały „po drugiej stronie”. Wiedziała, że gdzieś tam są klienci... i pędziła na złamanie karku, by dotrzeć do nich jako pierwsza. Uśmiechnęła się z satysfakcją... nie musiała się śpieszyć, bo nie miała tu żadnych konkurentów. Wręcz przeciwnie klienci byli chętni do współpracy i starali się jak najbardziej jej wszystko ułatwić.

To oni zbudowali tę prowizoryczną drogę, coś w rodzaju drewnianej platformy, po której teraz jechała ciężarówka. Starsza pani nauczyła się rozpoznawać moment przejścia. Następowало dokładnie w chwili, gdy ciężarówka mijała kanał ściekowy, pół kilometra w głąb dawnego parku miejskiego. „Po drugiej stronie” kanał również istniał, lecz została z niego tylko ledwo widoczna sterta kamieni. Droga była zasypana popiołem. Deski platformy trzeszczały pod kołami auta. Byłoby kiepsko, gdyby złapała gumę... choć któryś z nich pewnie potrafiłby naprawić koło. Zawsze nad czymś pracowali, jedno zadanie więcej nie zrobiliby im żadnej różnicy. Już było ich

widać. Stali na skraju drewnianej platformy, wypatrując jej niecierpliwie. Za plecami mieli prymitywny obóz, za którym stał statek.

Dobrze wiedziała, skąd się tu wziął. Ukradli go. Kiedyś należał do armii amerykańskiej. Chwyliła dźwignię biegów, wrzuciła luz i zatrzymała ciężarówkę. Zaciągała ręczny hamulec, gdy mężczyźni podeszli do samochodu.

— Dzień dobry — mruknął profesor Crowley, spoglądając na tył ciężarówki.

Pani Berthelson odburknęła coś niechętnie. Nie lubiła ich... brudni, cuchnący potem i strachem, ich ciała i ubrania pokrywał brud. Otoczyli ciężarówkę niczym złężnione, wynędzniałe dzieci i zaczęli wyładowywać skrzynie.

— Ej, wy tam — rzuciła ostro — zabierać łapy.

Jak oparzeni cofnęli ręce. Pani Berthelson wysiadła, stanowczym gestem sięgnęła po listę zamówień i podeszła do Crowleya.

— Poczekać chwilę — powiedziała. — Wszystko trzeba dokładnie sprawdzić.

Zerknąwszy na Mastersona, skinął głową i oblizał spierzchnięte wargi. Czekał, pozostali również. Zawsze według jednakowego schematu — i oni, i ona wiedzieli, że tylko w ten sposób mogą zdobyć zapasy. A gdyby za którymś razem nie dostali jedzenia, leków, ubrań, narzędzi i surowców naturalnych, nie mogliby wystartować.

„Po drugiej stronie” te wszystkie rzeczy nie istniały. A przynajmniej nie można było ich zdobyć. Ten świat był jedną wielką ruiną. Zmarnowali go, zamienili w czarne, pokryte pyłem pustkowia. No cóż. To ich problem.

Nigdy specjalnie nie interesowała jej zależność między tym światem a jej własnym. Wystarczała jej świadomość, że oba istnieją i że mogła bez trudu przemieszczać się między nimi. Tylko ona wiedziała, jak to robić. Kilka razy ludzie z tego świata próbowali wrócić wraz z nią. Nigdy im się to nie udało. Gdy ona przechodziła na drugą stronę, zostawali na pustkowiu. To była jej zdolność, której z nikim nie musiała dzielić, co bardzo jej odpowiadało. Dla kogoś prowadzącego interes był to bardzo cenny dar.

— W porządku — powiedziała sucho. Stała tak, by mieć ich na oku, i zaczęła sprawdzać kolejne pudła wnoszone z ciężarówki. Była dokładna i pewna siebie — zawsze prowadziła interesy w ten sposób. Ojciec nauczył ją, jak przetrwać w świecie biznesu. Przyswoiła sobie jego surowe zasady i ściśle się ich trzymała.

Flannery i Patricia Shelby stali z boku. Flannery trzymał pieniądze, zapłatę za towar.

— Cóż — mruknął pod nosem — teraz możemy jej powiedzieć, żeby się bujała.

— Na pewno? — spytała nerwowo Pat.

— Mamy już ostatnią dostawę. — Uśmiechnął się szeroko, przeczesując drżącą dłonią przerzedzone ciemne włosy. — Teraz damy sobie radę sami. Statek będzie wyładowany po brzegi. Możemy nawet usiąść tutaj i zjeść część zapasów. — Wskazał tekturowe pudło z artykułami spożywczymi. — Bekon, jajka, mleko, prawdziwa kawa. Może nie warto upychać tego w chłodni, tylko zjeść ostatni, normalny posiłek przed odlotem.

— Miło by było — powiedziała Patricia tęsknym głosem. — Dawno nie jedliśmy takich smakołyków.

Masterson podszedł do nich i zagadnął:

— Zabijmy ją i ugotujmy w jakimś kotle. Stara, pomarszczona wiedźma... byłaby z niej niezła zupka.

— Lepiej upiec w piekarniku — zaproponował Flannery. — Mielibyśmy piernik na drogę.

— Nie mówcie tak — zaniepokoiła się Pat. — Ona jest... może i jest jak wiedźma. To znaczy, pewnie takie były wiedźmy... stare kobiety o dziwnych zdolnościach. Takie jak ona... które potrafiły przenosić się w czasie.

— Mieliśmy farta — podsumował Masterson.

— Ale ona nic nie rozumie. Czy ona wie, że mogłaby ocalić nas wszystkich, dzieląc się swoimi zdolnościami? Czy ona w ogóle wie, co stało się z naszym światem?

Flannery zastanowił się przez chwilę:

— Pewnie nie ma pojęcia... albo guzik ją to obchodzi. Ma klapki na oczach — tylko biznes i zysk. Sprzedaż po zawyżonych cenach, ogromne profity. Najzabawniejsze w tym wszystkim jest to, że pieniądze nie mają dla nas przecież żadnej wartości. W tym świecie to tylko zwykłe świstki papieru. Ale ona jest zbyt ograniczona, żeby mogła to pojąć. Dla niej liczy się tylko zysk — potrząsnął głową. — Takie zdolności... uwięzione w żalonym, wypaczonym, kurzym mózdzku.

— Ale chyba widzi — upierała się Pat — popioły i ruiny. Jak mogła się nie zorientować?

Flannery wzruszył ramionami.

— Pewnie nie łączy tego w żaden sposób ze swoim życiem, swoim światem. Za parę lat umrze... nie dożyje wojny. Dla niej to tylko wyprawa w nieznane rejony. Taka wycieczka. Może wjechać i wyjechać... my utknęliśmy tu na dobre. To musi dawać poczucie bezpieczeństwa, takie przechodzenie z jednego świata w drugi. Jezu, dałbym wszystko, żeby móc z nią wrócić.

— Próbowaliśmy przecież — przypomniał mu Masterson. — Ten dureń Tellman spróbował. I wrócił, cały oblepiony pyłem. Powiedział, że ciężarówka nagle się rozpułyła.

— Nic dziwnego — powiedział cicho Flannery. — Przecież odjechała nią do Walnut Creek. Do roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego.

Wyładunek dobiegł końca. Mieszkańcy obozu taszczyli teraz pakunki po zboczu w stronę statku. Pani Berthelson podeszła z Crowleyem do Flannery'ego.

— Oto spis towarów — powiedziała energicznym tonem. — Niektórych rzeczy nie udało mi się sprowadzić. Wie pan, nie mam wszystkiego w sklepie. Większość musiałam zamawiać gdzie indziej.

— Zdajemy sobie z tego sprawę — odparł Flannery, rozbawiony jej uwagą. To byłby naprawdę ciekawy wiejski sklep, w którym można by kupić mikroskop soczewkowy, tokarkę rewolwerową, zamrożone pakiety antybiotyków, nadajniki radiowe wysokiej częstotliwości czy specjalistyczne poradniki na każdy możliwy temat.

— Dlatego muszę policzyć nieco drożej. — Starsza pani nie zamierzała odstąpić od zasady wyciśnięcia z nich ostatniego grosza. Przejrzała listę, którą Crowley wręczył jej podczas poprzedniej wizyty. — Niektórych z nich nie mogłam zdobyć. Dostarczę je z następną partią. Te metale z laboratorium na wschodzie... mówią, że trzeba poczekać. — Jej oczy nabrały przebiegłego wyrazu. — To będzie sporo kosztować.

— Nieważne — odparł Flannery, wręczając jej pieniądze. — Może pani odwołać wszystkie zamówienia.

Widać było że nie bardzo rozumie. Ale jej twarz nie wyrażała żadnych emocji.

— Nie będzie już żadnych dostaw — wyjaśnił Crowley. Napięcie ustąpiło. Po raz pierwszy nie czuł przed nią strachu. Już nie byli od niej zależni.

— Odlatujemy — powiedział Flannery, uśmiechając się szeroko. — Mamy wszystko, czego nam trzeba.

Wreszcie do niej dotarło.

— Ale ja już zamówiłam te rzeczy — powiedziała spokojnie. — Niedługo je dostanę. Będę musiała za nie zapłacić.

— Cóż — odparł Flannery — ma pani cholernego pecha. Crowley posłał mu ostrzegawcze spojrzenie.

— Przykro nam — rzekł. — Ale nie możemy dłużej zostać. Robi się tu nieprzyjemnie. Musimy jak najprędzej wystartować.

Na jej pomarszczonej twarzy pojawił się grymas wściekłości.

— Zamówiliście je! Nie możecie się wycofać! — Pisk przeszedł w gniewny skowyt: — Co mam z nimi zrobić?

Flannery miał już gotową uszczypliwą odpowiedź, ale Pat Shelby nie dała mu dojść do słowa.

— Pani Berthelson — zaczęła cicho — wiele pani dla nas zrobiła, nawet jeśli nie pomogła nam pani z przejściem w czasie. Jesteśmy za to bardzo wdzięczni. Gdyby nie pani, nie zebralibyśmy wystarczających zapasów. Ale teraz naprawdę musimy już startować. — Wyciągnęła rękę, by pogłodzić ją po ramieniu, ale staruszka odsunęła się z wściekłością. — To znaczy — dodała Pat z zakłopotaniem — nie możemy zostać dłużej, choćbyśmy nawet chcieli. Widzi pani ten pył unoszący się dookoła? Jest radioaktywny i jest go coraz więcej. Poziom skażenie wzrasta... jeśli zostaniemy tu dłużej, zginieemy.

Edna Berthelson stała, ściskając w ręku spis towarów. Gwałtowny przypływ furii ustąpił miejsca chłodnemu i wyrachowanemu spojrzeniu. Jej oczy przypominały teraz szare kamienie, beznamiętne i pozbawione uczuć.

Na Flannerym nie zrobiło to większego wrażenia.

— Oto pani łup. — Zamachał garścią banknotów. — Do diabła z nimi — zwrócił się do Crowleya — dajmy jej wszystko.

— Zamknij się — warknął Crowley. Flannery cofnął się niechętnie.

— Do kogo to było?

— Dosyć tego — Crowley próbował przemówić starej do rozumu. — Dobry Boże, nie przypuszczała pani chyba, że zostaniemy tu na zawsze?

Nie odpowiedziała. Odwróciła się na pięcie i bez słowa ruszyła w stronę ciężarówki.

Masterson i Crowley spojrzeli na siebie niepewnie.

— Odbiło jej — powiedział ten pierwszy z niesmakiem.

Tellman, nie spuszczać oczu z pani Berthelson, zaczął grzebać w jednym z kartonów zjedzeniem. Na jego twarzy pojawił się wyraz dziecięcej zachłanności.

— Patrzcie — rzucił — kawa... z osiem kilo. Może byśmy tak otworzyli jedną paczkę? Trzeba to uczcić.

— Dlaczego nie — odparł Crowley ściszone głosem, cały czas wpatrując się w ciężarówkę. Auto zawróciło, zataczając szeroki łuk i ruszyło wzdłuż prowizorycznej platformy w stronę pokrytych pyłem pól. Widzieli je jeszcze przez krótką chwilę, po czym zniknęło im z oczu. Pozostała tylko jałowa, spalona przez sionce czarna równina.

— Czas na kawę! — wrzasnął radośnie Tellman. Podrzucił metalową puszkę wysoko w powietrze i złapał ją niezdarnie. — Świętujemy! To nasza ostania noc... ostatnia wyżera na Ziemi!

To była prawda.

Pani Berthelson zajrzała w kolejne „przejście” i przekonała się, że powiedzieli jej prawdę. Zacisnęła wąskie wargi. W ustach czuła cierpki smak żółci. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że kiedyś zrezygnują z jej usług. Nie było przecież żadnej konkurencji, innego źródła dostaw.

Nigdy już nie znajdzie tak dobrych klientów. Ci byli idealni. Nie było szans na lepsze zamówienia. W zamykanym na klucz pudełku na zapleczu sklepu, pod zapasowymi workami ziarna, ukryła prawie dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Prawdziwa fortuna, zgromadzona w ciągu zaledwie kilku miesięcy, a wszystko to od uwięzionych kolonistów, którzy z mozołem budowali swój statek.

To dzięki niej im się udało. To ona przyczyniła się do tego, że teraz mogli odlecieć. Jakaż była krótkowzroczna. Powinna była to przewidzieć.

Wracając do domu, analizowała całą sytuację. To wszystko jej wina — tylko ona mogła im

dostarczyć potrzebne towary. Bez niej byli bezradni.

Wykorzystując swój niecodzienny dar, szukała z nadzieją, zaglądając w różne czasowe „przejścia”. Było ich kilka. Układały się przed nią jak wzór utworzony z kwadratów, sieć światów, które mogła odwiedzić, jeśli tylko któryś ją zainteresował. Ale w żadnym nie znalazła tego, czego szukała.

We wszystkich powtarzał się ten sam obraz. Martwe, pokryte czarnym pyłem pustkowie i ani żywej duszy. Tych, których tak bardzo szukała, nie było w żadnym ze światów.

Struktura „przejsć” była niezwykle skomplikowana. Poszczególne sekwencje łączyły się ze sobą jak koralce na sznurku — łańcuchy „przejsć”, tworzące całe sploty powiązań. Jeden krok pociągał za sobą następne... ale nie prowadził do następnych łańcuchów.

Ostrożnie i z uwagą zaczęła przeglądać poszczególne łańcuchy. Było ich całe mnóstwo... potencjalna nieskończoność prawdopodobnych „przejsć”. A ona mogła wybierać. Przyglądała się teraz jednemu, w którym przyparciu do muru koloniści próbowali zbudować statek. Pojawiając się tam, wyodrębniła je, w jakiś sposób wywołała i zawiesiła w czasie. Wyłowiła je spośród wielu innych, z mnóstwa możliwości.

Musiała znaleźć inne. Tamto okazało się niezadowolające. Interes nie wypalił.

Ciężarówka wjechała do Walnut Creek. Gdy mijala kolorowe sklepy, domy i supermarkety. Edna znalazła w końcu to, czego szukała. Jej umysł nie tak bystry jak dawniej... ale udało się. Od razu zorientowała się, że to było to. Podpowiedział jej to wrodzony kupiecki instynkt.

Ze wszystkich możliwości ta była wyjątkowa. Statek stał zbudowany solidnie i odpowiednio sprawdzony. Każde kolejne „przejście” pokazywało, co działo się dalej. Rakieta uniosła się, zatrzymała na chwilę i po chwili przedarła przez wierzchnią warstwę atmosfery, mknąc w stronę Wenus. Na kilku innych „przejściach”, widać było katastrofę statku, który eksplodował, rozpadając się na drobne kawałki. Wszystkie te sekwencje pani Berthelson zignorowała. Nie byłoby z nich żadnego pożytku.

Ale w paru następnych statek nie zdołał wystartować. W turbinach coś zahuczało, układ wydechowy był nieszczelny... i statek nawet nie drgnął. Ludzie wybiegli na zewnątrz i zaczęli szukać przyczyn awarii. Takie rozwiązanie też nie miało większego sensu. W późniejszej sekwencji łańcucha usterkę naprawiono i start odbył się bez przeszkód.

Ale jeden z łańcuchów pokazywał korzystniejsze rozwiązanie. Każdy element, każde następne połączenie przebiegało po jej myśli. Zamknięto włązy ciśnieniowe statku. W turbinach zapłonął ogień i statek uniosł się nad ciemnym, pokrytym pyłem pustkowie. Nagle, trzy mile nad ziemią, tylne dysze urwały się, statek gwałtownie wytracił prędkość i zanurkował w dół z głośnym świstem, mknąc z powrotem w stronę Ziemi. Natychmiast włączyły się silniki lądowania awaryjnego, które miały zostać wykorzystane dopiero na Wenus. Statek opadał teraz coraz wolniej, na krótką chwilę zawisł w powietrzu, po czym runął na rumowisko skał, dawną Mount Diablo. Pocięte płyty metalu płonęły w przerażającej ciszy.

Po chwili z wraku zaczęli wychodzić ludzie. Wstrząśnięci, w milczeniu szacowali straty. Musieli zaczynać wszystko od nowa. Najpierw gromadzenie materiałów, potem naprawa rakiety... Stara uśmiechnęła się do siebie.

Tego właśnie chciała. Znakomity obrót sytuacji. Jedyne, co musiała zrobić — doprawdy drobnostka — to wybrać następnym razem właśnie tę sekwencję. Już podczas kolejnej podróży w najbliższą sobotę.

Crowley leżał na wpół zasypany pyłem. Pocierał głębokie skaleczenie na policzku. Złamany ząb chwiał się i pulsował. Strużka krwi napłynęła mu do ust, poczuł jej słonawy smak. Próbował poruszyć nogą, ale nie miał w niej czucia. Była złamana.

Gdzieś w półmroku poruszył się Flannery. Jakaś kobieta jęknęła z bólu. Między skałami i połamanymi fragmentami statku leżeli ranni i konający. Ktoś podniósł się z trudem, zachwiał i runął na ziemię. Błysnęło sztuczne światło. To Tellman brnął niezdarnie przez zniszczone pozostałości ich świata. Wpatrywał się bezmyślnie w Crowleya. Okulary trzymały mu się tylko na jednym uchu, a w miejscu dolnej szczęki ziała ciemna dziura. Runął twarzą do przodu na dymiące jeszcze zgliszcza statku. Jego wychudzone ciało drgało spazmatycznie.

Crowley z trudem dźwignął się na kolana. Masterson pochylał się nad nim, powtarzając coś raz po raz.

— Nic mi nie jest — wykrztusił Crowley.

— Nie udało się. Statek rozbity.

— Wiem.

W głosie Mastersona pojawiła się nuta hysterii:

— Czy myślisz...

— Nie — wybełkotał Crowley — to niemożliwe.

Masterson zachichotał nerwowo. Łzy płynęły mu po twarzy, zmywając brud i plamiąc nadpalony kołnierz.

— To jej sprawka. Załatwiła nas. Nie chce, żebyśmy odlecieli.

— Nie — powtórzył Crowley. Nie przyjmował tego do wiadomości. To było niemożliwe. Niemożliwe. — Damy radę — dodał — zbierzemy pozostałe części... zaczniemy od nowa.

— Ona wróci — powiedział Masterson drżącym głosem. — Wie, że będziemy tu na nią czekać. Cholerni klienci!

— Nie — Crowley wciąż nie mógł w to uwierzyć. Nie chciał w to wierzyć. — Uda nam się. Wydostaniemy się stąd!

WZÓR YANCY'EGO

Leon Sipling westchnął głośno i z niechęcią odsunął dokumenty. Jako jedyny w tej ogromnej, wielotysięcznej organizacji nie potrafił stworzyć nic nowego. Możliwe, że był jedynym yancemanem na Callisto, który nie robił tego, co do niego należało. Nękany strachem i gwałtownym przypiływem desperacji chwycił radio i połączył się z Babsonem, głównym księgowym biura.

— Słuchaj, Bab — rzucił ochryplym głosem — chyba utknąłem. Może trzeba by przejrzeć cały wzorzec, aż do mojego miejsca? Może znów złapię rytm... — Uśmiechnął się słabo. — Wiesz, w otoczeniu innych, twórczych umysłów.

Po chwili zastanowienia Babson sięgnął po nadajnik. Na jego twarzy malowały się niechęć i dezaprobatę.

— Opóźniasz cały proces, Sip. Musimy poskładać wszystko do szóstej. Według planu materiał ma pójść podczas godzinnej przerwy obiadowej.

Na ekranie ściennym pojawił się obraz. Sipling przyglądał mu się uważnie, zadowolony, że nie czuje na sobie zimnego wzroku Babsona.

Na ekranie widniał trójwymiarowy wizerunek Yancy'ego. Zwyczajne ujęcie, od pasa w górę. John Edward Yancy w wyblakłej koszuli z podwiniętymi rękawami, które odsłaniały ramiona. Mężczyzna dobrze po pięćdziesiątce, o ogorzałej twarzy, zaczerwienionym karku i przyjaznym uśmiechu, mrużył oczy, spoglądając na słońce. Za Yancym zadbane podwórko, garaż, ogród pełen kwiatów, trawnik i tył przytulnego, białego domu z plastiku. Uśmiechał się do Siplinga — sąsiada, który przystanął na chwilę w upalne popołudnie, zmęczony koszeniem trawnika, by rzucić kilka banalnych uwag na temat pogody, sytuacji planety i stanu obejścia.

Z głośników na biurku popłynął spokojny, niski głos Yancy'ego.

— Dziwna rzecz przydarzyła się pewnego ranka mojemu wnukowi Ralfowi. Pewnie pamiętacie, że zawsze wychodzi do szkoły pół godziny wcześniej... mówi, że lubi usiąść w klasie, zanim pojawią się inni.

— Gorliwiec — mruknął Joe Pines znad sąsiedniego biurka. Yancy mówił dalej:

— Otóż Ralf wypatrzył gdzieś wiewiórkę. Siedziała sobie na chodniku. Zatrzymał się więc i zaczął się jej przyglądać.

Yancy opowiadał tak przekonująco, że Sipling prawie mu uwierzył. Oczyma wyobraźni widział tę wiewiórkę i jasnowłosego chłopca, najmłodszego z wnucząt Yancy'ego, dziecko syna najszlachetniejszego i najbardziej ukochanego człowieka na planecie.

— Ta wiewiórka — ciągnął Yancy — zbierała orzechy. Była dopiero połowa czerwca, a to małe stworzonko — przerwał, pokazując dłońmi rozmiary gryzonia — robiło już zapasy na zimę.

Z twarzy mówcy zniknął wyraz rozbawienia. Teraz był poważny, a jego niebieskie oczy pociemniały (facet od kolorów odwalił kawał dobrej roboty). Rysy twarzy wyostrzyły się (ekipa od androidów również nie próżnowała), nadając obliczu Yancy'ego dojrzały i bardziej imponujący wygląd. Za jego plecami scena z ogródkiem zniknęła, w jej miejsce pojawiło się inne tło. Stał teraz niczym posąg na tle rozległej panoramy górskich szczytów i olbrzymiej prastarej puszczy targanej porywistym wiatrem.

— Zacząłem się zastanawiać — mówił teraz wolniej i bardziej dobitnie — skąd ta mała wiewiórka wiedziała o nadejściu zimy. Czyniła do niej przygotowania — podniósł głos — do zimy, której przecież nigdy wcześniej nie widziała.

Sipling zamarł w oczekiwaniu. Już niedługo. Przy sąsiednim biurku Joe Pines uśmiechnął się i zawołał: — Do startu! Gotów!

— Ta wiewiórka — powiedział Yancy — miała w sobie wiarę. Nigdy nie widziała żadnych oznak zimy, a jednak wiedziała, że kiedyś nadejdzie. — Ostro zarysowana szczeka poruszyła się, Yancy uniósł powoli dłoń...

I nagle obraz zastygł w bezruchu i ciszy. Nie słychać było żadnych słów, kazanie ucięło się gwałtownie, w środku zdania.

— To tyle — skomentował Babson. — Pomogło? Sipling niezdarnym ruchem przysunął papiery.

— Nie — odparł — nie pomogło. Ale jakoś sobie poradzę.

— No, myślę — twarz Babsona pociemniała, a jego małe oczka zwężyły się jeszcze bardziej. — Co z tobą? Problemy w domu?

— Będzie OK — szepnął Sipling, pocąc się jak mysz. — Dzięki.

Na ekranie wciąż majaczyła sylwetka Yancy'ego, zatrzymana na słowie „nadejdzie”. Reszta wzorca znajdowała się w głowie Siplinga. Dalszy ciąg wypowiedzi i układ gestów nie zostały jeszcze opracowane i dołączone do całości. Brakowało fragmentu, za który odpowiadał Sipling, i dlatego nagranie urywało się w połowie.

— Słuchaj — rzucił Joe Pines — mogę to przejąć. Wyłączmy twoje biurko z obiegu i wskoczę w to miejsce.

— Dzięki — mruknął Sipling — ale tę część tylko ja mogę przygotować. To najważniejszy moment.

— Powinieneś trochę odpocząć. Za dużo ostatnio pracujesz.

— Wiem — przytaknął Sipling. Był bliski hysterii. — Nie czuję się najlepiej.

Żadne okrycie. Wszyscy w biurze to widzieli. Ale praw dziwa przyczynę znał tylko on sam. I powstrzymywał się ze wszystkich sił, by nie wykrzyknąć jej na całe gardło.

Choć podstawową analizę sytuacji politycznej na Callisto przeprowadziły komputery Niplanu w Waszyngtonie, końcową ocenę sporządzili technicy. Komputery wykazały, że polityczna struktura Callisto zmierza w stronę systemu totalitarnego, nie potrafiły jednak podać szczegółowego opisu tego przypadku. Do ustalenia stopnia zagrożenia potrzebni byli ludzie.

— To niemożliwe — zaprotestował Taverner — przecież na Callisto cały czas trwa wymiana przemysłowa. Poza syndykatem Ganimedes kontrolują cały pozaplanetarny handel. Gdyby coś zaczęło się dziać, wiedzielibyśmy od razu.

— Niby jak? — spytał Kellman, naczelnik policji.

Taverner wskazał wykresy danych i tabele liczbowe pokrywające ściany biura policji Niplan.

— Na milion różnych sposobów. Ataki terrorystyczne, areszty polityczne, obozy zagłady. Na pewno przechwycilibyśmy pogłoski o przetasowaniach politycznych, zdradach, aktach nielojalności... wszystkie podstawowe symptomy dyktatury.

— Mylisz pojęcia. Dyktatura to nie to samo co społeczeństwo totalitarne — wtrącił Kellman. — Totalitaryzm przenika wszystkie sfery życia obywateli, kształtuje ich opinie na każdy temat. Rolę dyktatora może pełnić rząd, parlament, prezydent lub rada duchownych. Wszystko jedno.

— No dobra — odparł Taverner — polecę tam. Wezmę ze sobą paru ludzi i zobaczymy, co się tam dzieje.

— Postarajcie się wyglądać jak mieszkańcy Callisto.

— A jak oni wyglądają?

— Nie jestem pewien — przyznał po namyśle Kellman, spoglądając na pokryte wykresami ściany. — Ale jakkolwiek by wyglądali, z pewnością już zaczynają się do siebie upodabniać.

Wśród pasażerów międzygwiazdowego promu, który wylądował na Callisto, znajdował się Taverner, jego żona i dwójka dzieci. Z niepokojem wyłowił z tłumu sylwetki celników, którzy czekali na podróżnych przy wyjściu. Wszyscy przyjezdni byli poddawani drobiazgowej kontroli. Gdy tylko rampa dotknęła ziemi, w ich stronę ruszyła grupa urzędników.

Taverner wstał i zebrał wokół siebie rodzinę.

— Nie zwracaj na nich uwagi — powiedział do Ruth. — Mamy takie papiery, że mogą nam nagwizdać.

Według profesjonalnie spreparowanych dokumentów był handlarzem metalami kolorowymi, szukającym hurtowni, z którą mógłby ubić dobry interes. Na Callisto kwitł handel minerałami i ziemią. Napływali tu żądni zysku przedsiębiorcy, którzy przywozili surowce naturalne ze słabo rozwiniętych księżyców oraz sprzęt górniczy z innych planet.

Taverner przerzucił płaszcz przez ramię. Postawny mężczyzna po trzydziestce, mógł uchodzić za bogatego biznesmena. Miał na sobie drogi, choć nie rzucający się w oczy, dwurzędowy garnitur i starannie wypastowane buty. Krótko mówiąc, nic w jego wyglądzie nie wskazywało, że nie jest tym, za kogo się podaje. Gdy z żoną i dziećmi schodził wzdłuż rampy prowadzącej do wyjścia, stanowili idealną imitację rodzin} biznesmena z innej planety.

— Cel wizyty? — spytał urzędnik w zielonym mundurze. Ołówek, który trzymał w ręku, zastygł nad kwestionariuszem. Ich identyfikatory sprawdzono, skopiowano i umieszczono w bazie danych. Standardowa procedura: odczyt i porównanie wzoru fal mózgowych.

— Handel metalami kolorowymi... — zaczął Taverner, ale drugi urzędnik wszedł mu w słowo.

— Już trzeci gliniarz tego ranka. Co was ugryzło tam na Ziemi? Taverner ze wszystkich sił starał się opanować.

— Muszę odpocząć — odparł zdawkowo. — Alkoholizm... ostry przypadek... sprawa prywatna.

— To samo mówili twoi kumple — urzędnik uśmiechnął się szeroko. — Cóż, jeden ziemski glina mniej czy więcej. — Mówiąc to, odsunął barierkę blokującą przejście i wskazał im drogę: — Witamy na Callisto. Bawcie się dobrze. To najszybciej rozwijający się księżyc w systemie.

— Prawie planeta — mruknął Taverner z ironią.

— Lada dzień — odparł urzędnik, zaglądając do notatek. — Nasi dobrze poinformowani przyjaciele z waszej małej organizacji twierdzą, że powyklejaliście ściany wykresami i danymi na nasz temat. Czemu zawdzięczamy to zainteresowanie?

— Zwykła zawodowa ciekawość — odparł Taverner. Jeśli namierzono ich trzech, to cały zespół był spalony. Władze wyraźnie kładły duży nacisk na wykrywanie wszelkich prób inwigilacji...

A jednak przepuścili go. Czyżby byli aż tak pewni swego?

Sytuacja nie wyglądała najlepiej. Wypatrując taksówki, przygotowywał się w duchu na nowe wyzwanie. Trzeba zebrać członków rozbitej sieci i odbudować zespół.

Wieczorem, w barze Stay-Lit przy głównej ulicy w handlowej dzielnicy miasta Taverner spotkał się z pozostałymi dwoma członkami siatki. Pochyleni nad szklankami whisky porównywali notatki.

— Jestem tu od prawie dwunastu godzin — zaczął Eckmund, wpatrując się bezmyślnie w rzędy butelek na ladzie. W powietrzu unosił się dym cygar. W rogu huczała automatyczna szafa grająca. — Łaziłem po mieście, przyglądałem się różnym rzeczom, obserwowałem.

— Ja — wtrącił Dorser — przejrzałem zbiór nagrań. Skonfrontowałem mit z lokalną rzeczywistością. Gadałem z naukowcami... kręcili się tam różni wykształceni ludzie, coś skanowali.

Taverner powoli sączył drinka.

— Coś interesującego?

— Wiesz, że najlepiej sprawdzić wszystko na własnej skórze — odparł Eckmund. — Błąkałem się po dzielnicach slumsów i wdałem się w rozmowę z jakimiś ludźmi czekającymi na autobus. Zacząłem psioczyć na władzę, na opóźnienia autobusów, kanalizację, podatki, na wszystko. Natychmiast podchwycili temat. Żadnego wahania czy strachu.

— Rząd — wyjaśnił Dorser — zorganizowano według starego modelu. System dwupartyjny, jedna partia bardziej konserwatywna od drugiej i żadnych fundamentalnych różnic. Obie wybierają kandydatów na otwartych zebraniach przedwyborczych w tajnym głosowaniu. — Nagle go olśniło. — To przypomina wzorcową demokrację. Czytałem tutejsze podręczniki. Pełne idealistycznych sloganów — wolność słowa, zgromadzeń, wyznania i tym podobne.

Wszyscy trzej zamilkli na chwilę.

— Mają tu więzienia — powiedział Taverner. — Każda społeczność boryka się z przestępczością.

— Byłem w jednym — odparł Eckmund i czknął. — Drobne złodziejzki, mordercy, oszuści, chuligani... nic nowego.

— Więźniowie polityczni?

— Nie ma — Eckmund podniósł głos. — Nie musimy mówić szeptem. I tak nikogo to nie obchodzi... władze mają to gdzieś.

— Pewnie po naszym wyjeździe wpakują kilka tysięcy ludzi do pudła — mruknął z namysłem Dorser.

— Jezu — rzucił w jego stronę Eckmund — ludzie mogą stąd wyjechać, kiedy tylko zechcą. Jeśli robisz państwo policyjne, to z reguły zamykasz granice, a tu... są otwarte na oścież. Co dzień przyjeżdża i wyjeżdża stąd tłum ludzi.

— Może dodają jakiejś chemii do u ody pitnej — zasugerował Dorser.

— Jak, do cholery, mogą mieć państwo totalitarne i żadnych terrorystów? — retorycznie spytał Eckmund. — Jestem pewny... nie ma tu żadnej policji politycznej. Nikt tu nie żyje w strachu.

— A jednak jakoś trzymają to wszystko — upierał się Taverner.

— Nie przy udziale gliniarzy — zapewnił Dorser. — Na pewno nie siłą ani nielegalnymi aresztowaniami, więzieniem i pracą przymusową.

— Gdyby to było państwo policyjne — zauważył Eckmund — istniałby jakiś ruch oporu, podziemie. Ktoś próbowałby obalić rząd. Tu każdy może się skarżyć. Można wykupić czas w telewizji czy w radiu, kawałek strony w gazecie... co tylko zechcesz. — Wzruszył ramionami. — Na co tu komu ruch oporu? To bez sensu.

— Tak czy inaczej — powiedział Taverner — ci ludzie żyją w społeczeństwie zdominowanym przez jedną partię, z oficjalną ideologią. Są jak króliki doświadczalne... i nieważne, czy mają tego świadomość.

— Myślisz, że nie zorientowaliby się?

Taverner potrząsnął głową.

— Myślę, że bardzo szybko. Musi być coś jeszcze, jakiś mechanizm, którego nie rozumiemy.

— Nie ma żadnych ograniczeń. Możemy swobodnie wszystko podpatrywać.

— Może nie szukamy tam, gdzie trzeba, albo nie wiemy, czego szukać. — Taverner leniwie spojrział na telewizor, który zamontowano nad barem. Z ekranu zniknęły roznegliżowane, podskakujące w rytm muzyki panienki i pojawiła się twarz jakiegoś mężczyzny. Był po pięćdziesiątce, miał błękitne oczy o szczerym spojrzeniu, prawie dziecięcy wyraz ust i ciemne włosy opadające na lekko odstające uszy.

— Przyjaciele — odezwał się tubalnym głosem — cieszę się, że znów się spotykamy. Chętnie utnę sobie z wami krótką pogawędkę.

— Reklama — wtrącił Dorser, zamawiając u stojącego za ladą robota kolejne drinki.

— Kto to? — spytał zaintrygowany Taverner.

— Ten sympatyczny staruszek? — Eckmund zerknął do notatek. — Popularny komentator. Niejaki Yancy.

— Jest członkiem rządu?

— Nic mi o tym nie wiadomo. Raczej domorosły filozof. Znalazłem w kiosku jego biografię — Eckmund podał szefowi kolorową broszurę. — Zwykły gość. Tak myślę. Kiedyś służył w armii. Odznaczył się w wojnie Jowisza z Marsem... został awansowany do stopnia majora. — Obojętnie wzruszył ramionami. — Taki gadający almanach. Mądrości życiowe na każdą okazję.

Stare, sprawdzone rady — jak wyleczyć przeziębienie, z jakimi kłopotami boryka się Ziemia...

Taverner uważnie przeglądał broszurę.

— Tak, widziałem jego zdjęcia.

— Bardzo popularny Ludzie go ubóstwiają. Swój chłop... mówi w ich imieniu. Gdy kupowałem papierosy, zauważyłem, że reklamuje jedną markę. Jest tak popularna, że prawie wyparła inne z rynku. To samo z piwem. Szkocka, którą pijemy, też pewnie należy do ulubionych gatunków Yancy'ego. Podobnie piłki do tenisa. Choć on sam woli krykieta. Gra w każdy weekend. — Sięgając po drinka Eckmund podsumował: — No i teraz wszyscy w grają w krykieta.

— Jakim cudem krykieta stał się najpopularniejszą grą na tej planecie? — spytał Taverner.

— To nie planeta — wtrącił Dorser — tylko zwykły księżyc.

— Yancy by się z tobą nie zgodził — rzucił Eckmund. — Powinniśmy myśleć o Callisto jak o planecie.

— Jak to? — zdziwił się Taverner.

— Jeśli chodzi o sprawy duchowe, to już planeta. Yancy chce, żeby ludzie patrzyli na rzeczywistość w sposób uduchowiony. Mocno wierzy w Boga, uczciwość rządu, ciężką pracę i czystość. Odgrzewane truizmy.

Taverner zamyślił się.

— Ciekawe — mruknął — muszę do niego zajrzeć i uciąć sobie pogawędkę.

— Po co? Przecież trudno sobie wyobrazić większego przeciętniaka.

— No właśnie — odparł Taverner — i dlatego mnie intryguje.

Babson, potężny, wzbudzający respekt facet, czekał na Tavernera przy wejściu do budynku Yancy'ego.

— Oczywiście, że może pan spotkać się z panem Yancym. Ale to bardzo zajęty człowiek... znalezienie wolnego terminu trochę potrwa. Każdy marzy o spotkaniu z nim.

Na Tavernerze nie zrobiło to żadnego wrażenia.

— Jak długo mam czekać?

Kiedy szli przez główny korytarz w stronę wind, Babson szybko doliczył w myślach.

— Jakies cztery miesiące.

— Cztery miesiące!

— John Yancy to najpopularniejszy spośród żyjących obecnie ludzi.

— Może tutaj — rzucił gniewnie Taverner, gdy wchodzili do zatłoczonej windy. — Ja nigdy wcześniej o nim nie słyszałem. Skoro jest taki wybitny, to dlaczego całe Niplan o nim nie trąbi?

— Szczerze mówiąc — przyznał Babson, poufale zniżając głos — to nie wiem, co ludzie w nim widzą. Dla mnie to zwykły nadęty pierdziel. Ale tu wszyscy wariują na jego punkcie. Mimo wszystko Callisto to ciągle prowincja. A Yancy idealnie trafia do prostych umysłów... do ludzi, którzy lubią, gdy świat jest nieskomplikowany. Myślę, że Ziemia jest dla niego zbyt wyrafinowana.

— Próbowaliście?

— Jeszcze nie — odparł Babson i dodał po namyśle: — Może... kiedyś.

Gdy Taverner zastanawiał się nad znaczeniem jego słów, winda zatrzymała się. Znaleźli się teraz w luksusowo urządzonym holu, który oświetlały ukryte we wnękach lampy. Babson otworzył jakieś drzwi i weszli do przestronnego biura.

Nagrywano właśnie ostatnie przemówienie Yancy'ego. Grupa yancemanów z uwagą spoglądała na ekran. Yancy siedział w swoim gabinecie przy staromodnym dębowym biurku. Widać było, że pracuje nad jakimś filozoficznym zagadnieniem — blat pokrywała sterta książek i papierów. Na jego twarzy widać było głębokie skupienie... siedział, podparłszy ręką czoło.

— To pójdzie w niedzielę rano — wyjaśnił Babson. Yancy drgnął i przemówił.

— Przyjaciele — zaczął głębokim, przyjaznym głosem — siedzę sobie tu, przy biurku... hm... tak jak wy w swoich pokojach. — Kamera omiotła pokój, ukazując otwarte drzwi gabinetu. W salonie obiektyw wyśledził znajomą postać żony Yancy'ego. Pani Yancy, sympatyczna kobieta w średnim wieku, siedziała na wygodnej sofie i szyła — żona idealna. Na podłodze salonu ich wnuk Ralf grał w znane wszystkim kości, a w kącie pokoju drzemał pies.

Jeden z yancemanów zapisał coś w notatniku. Taverner przyglądał mu się z zaciekawieniem.

— Oczywiście, byłem tam z nimi — ciągnął Yancy, uśmiechając się łagodnie — czytałem Ralfowi komiksy z gazet. Siedział mi na kolanach. — W tle ukazał się na moment Ralf siedzący dziadkowi na kolanach, po czym wrócił poprzedni obraz pracowni i obłożonego książkami biurka. — Jestem wdzięczny losowi za rodzinę, którą mnie obdarował — wyznał Yancy. — W tych trudnych czasach właśnie na łonie rodziny odnajduję spokój, to ona daje mi siłę.

Yanceman znów zapisał coś w notatniku.

— Siedząc tu, w pracowni, w ten przepiękny niedzielny poranek — mówił Yancy — zdałem sobie sprawę, jakie mamy szczęście, żyjąc na tej wspaniałej planecie, wśród cudownych ludzi, w pięknych domach... wśród tego wszystkiego, czym hojnie obdarował nas Bóg. Musimy jednak być ostrożni. Musimy zadbać, by tego nie stracić.

W Yancym zaszła jakaś zmiana. Taverner odniósł wrażenie, że to już nie jest ten sam mężczyzna. Wyglądał teraz starzej, dostojniej, przypominał surowego ojca przemawiającego do dzieci.

— Przyjaciele — powiedział — istnieją siły, które mogą osłabić naszą planetę. Wszystko, co budowaliśmy z takim mozolem dla naszych ukochanych dla naszych dzieci, może zostać nam odebrane w ciągu zaledwie jednej nocy. Musimy być czujni. Musimy bronić naszej wolności, naszej własności, naszego stylu życia. Jeśli się podzielimy, zaczniemy klócić o drobiazgi, staniemy się łatwym łupem dla wroga. Musimy współdziałać, przyjaciele. O tym właśnie myślałem w ten niedzielny poranek. O współpracy. Kooperacji. Musimy zapewnić sobie bezpieczeństwo, zjednoczyć się. To jest słuszna droga, przyjaciele, droga do dostatniego życia. — Wskazując na ogród i trawnik, Yancy dodał: — Byłem...

Głos ucichł. Obraz zastygł w bezruchu. W pokoju zapalono światło, a oglądając) program yancemani wrócili do swoich zajęć.

— Niezłe — powiedział jeden z nich. — Przynajmniej do tego momentu. Ale gdzie reszta?

— Sipling znowu nawalił — odparł inny. — Nie dostaliśmy jeszcze jego fragmentu. Co się z nim dzieje?

Wyraźnie zdenerwowany Babson ruszył w ich stronę.

— Proszę mi wybaczyć — powiedział do Tavernera — obowiązki mnie wzywają... sprawy natury technicznej. Proszę się rozejrzeć. Przejrzyć książki, notatki, cokolwiek pana zainteresuje.

— Dziękuję — odparł Taverner. W głowie miał zupełny mętlik. Wszystko wydawało się niegroźne, nawet nieco trywialne. Ale coś mu tu nie pasowało.

Pełen podejrzeń zaczął rozglądać się po biurze.

Było jasne, że John Yancy poruszył w swoich przemówieniach wszelkie możliwe tematy. Każdy mógł się dowiedzieć, co sądzi o sztuce nowoczesnej, czosnku, napojach alkoholowych, jedzeniu mięsa, socjalizmie, wojnie, edukacji, sukienkach z głębokim dekoltem, wysokich podatkach, ateizmie, rozwodach, patriotyzmie i tysiącu innych zagadnień.

Czy istniała jakakolwiek kwestia, na której temat Yancy nie wyraził swego zdania?

Taverner przejrzał rzędy kaset ustawionych na półkach. Wypowiedzi Yancy'ego zarejestrowano na milionach metrów taśmy... czy jeden człowiek mógł mieć opinie na temat każdej dziedziny?

Na chybił trafił wybrał jedną z taśm. Trafił na wykład zachowania przy stole

— Wiecie — cienki głos miniaturowego Yancy'ego wibrował Tavernerowi w głowie — któregoś wieczoru przy kolacji patrzyłem, jak mój wnuk Ralf kroi stek. — Uśmiechnął się do kamery, a ekran na krótką chwilę wypełnił obraz sześciolatka mozolnie krojącego kawałek mięsa. — Cóż, pomyślałem sobie, oto Ralf toczy bezskuteczną walkę ze swoim stekiem. Wydało mi się.

Taverner wyjął kasetę i odłożył na półkę. Yancy miał jasną i zdecydowaną opinię na każdy temat... ale czy naprawdę były one tak jasne?

Narastało w nim dziwne podejrzenie. Gdy chodziło o mało istotne sprawy.

Yancy podawał precyzyjne zasady i maksymy zaczerpnięte z zasobnej skarbnicy mądrości ludowych. Natomiast w wypadku podstawowych kwestii natury filozoficznej czy politycznej rzecz miała się zgoła inaczej.

Taverner wybrał jedną z licznych kaset poświęconych wojnie i przejrzał ją wrywkowo.

— Jestem zdecydowanym przeciwnikiem wojny — deklarował gniewnie Yancy. — I wiem, co mówię. Sam przecież służyłem w armii.

Po tych słowach następowała sekwencja scen bitewnych: wojna Marsa z Jowiszem, w której Yancy wykazał się odwagą, wiernością towarzyszącej mu broni i nienawiścią do wroga.

— Ale — ciągnął Yancy z zapalem — wierzę, że planeta musi być silna. Nie możemy łatwo się poddawać... słabość prowokuje atak i wywołuje agresję. Słabością zachęcamy innych do wojny. Musimy się jednoczyć, by chronić siebie i bliskich. Szczerze potępiam bezmyślne wojny, ale powtarzam raz jeszcze, że człowiek powinien stawiać czoło zagrożeniu i prowadzić wojnę, jeśli cel jest słuszny. Nie należy bać się takiej odpowiedzialności. Wojna to rzecz straszna, lecz czasem nieunikniona...

Odkładając taśmę na półkę, Taverner zastanawiał się nad sensem słów Yancy „ego. Co on właściwie myślał o wojnie? Zawsze by ł gotów wypowiadać się o tak istotnych i trudnych kwestiach, jak wojna, planeta, Bóg, podatki. Ale czy mówił coś konkretnego?

Taverner poczuł na plecach nieprzyjemny dreszcz. Gdy chodziło o konkretne i zarazem trywialne sprawy, Yancy zawsze udzielał konkretnych odpowiedzi: psy są lepsze od kotów, grejpfruty są za kwaśne bez odrobiny cukru, najlepiej wstawać wcześniej rano, a z alkoholem nie należy przesadzać. Ale w sprawach naprawdę istotnych... pustka wypełniona stekiem górnołotnych sloganów i truizmów. Ludzie podzielający poglądy Yancy'ego na temat wojny, podatków, Boga czy planety, w gruncie rzeczy nie mieli poglądów.

Wydawało im się tylko, że mają jakieś zdanie.

Taverner zaczął pospiesznie przeglądać inne taśmy, które dotyczyły poważnych kwestii. Wszędzie ten sam bełkot. W jednym zdaniu Yancy formułował jakąś opinię, a w następnym ją kwestionował. W rezultacie każde kolejne zdanie stanowiło podważenie tezy zawartej w poprzednim. Odbiorca zaś odnosił wrażenie, że to, czego wysłuchał, było prawdziwą intelektualną uczcią. Niesamowite. Pełny profesjonalizm: wszystko łączyło się ze sobą, nic nie było dziełem

przypadku.

Nieszkodliwy, nudny John Edward Yancy nie miał sobie równych. Ktoś tak cholernie porządny nie mógł istnieć naprawdę.

Taverner opuścił główną salę i ruszył w stronę gabinetów na zapleczu, gdzie yancemani siedzieli przy biurkach i panelach montażowych. Wszyscy pracowali pełną parą. Przyglądał się ich łagodnym, przyjaznym twarzom, na których można było dostrzec drobne oznaki znudzenia. Przypominali mu Yancy'ego, równie nieszkodliwi i trywialni.

Wszystko było tu nieszkodliwe... tyle że była to wręcz nieszkodliwość diaboliczna. I nic nie można było z tym zrobić. Skoro ludzie chcieli oglądać Johna Edwarda Yancy'ego, skoro chcieli się na nim wzorować — co mogła na to poradzić Policja Niplanu?

Przecież nikt nie łamał prawa.

Nic dziwnego, że Babson nie przejął się obecnością policji. Władze również nie miały powodu, by nie wpuścić ich na Callisto. Nie było tu ani więzień politycznych, ani obozów pracy przymusowej... nie były potrzebne.

Salę tortur i obozy zagłady były potrzebne, gdy zawodziły metody perswazji. A tu perswazja działała bez zarzutu. Terror pojawiał się, kiedy totalitarny aparat państwowy zaczynał słabnąć. Niedoskonałość poprzednich systemów totalitarnych polegała na tym, że władze nie potrafiły przeniknąć do każdej dziedziny życia obywateli. Lecz od tego czasu znacznie udoskonalono techniki przekazu. I właśnie tu, na jego oczach tworzono pierwszy naprawdę udany system totalitarny — pozornie niegroźny i mało poważny. Jego ostatnim stadium miała być zapewne sytuacja, w której wszyscy nowo narodzeni chłopcy otrzymywali imiona John Edward.

Dlaczego nie? Przecież i tak już żyli, zachowywali się i myśleli jak John Edward. Dla kobiet zaś przewidziano wzór w postaci pani Margaret Ellen Yancy. Ona również miała w zanadrzu garść ciekawych opinii. Miała swoją kuchnię, styl ubierania się, mnóstwo przepisów i praktycznych porad, z których mogła skorzystać każda kobieta.

Yancy miał też dzieci, które mogła naśladować młodzież. Władze pomyślały o wszystkim i o wszystkich.

Do Tavernera podszedł Babson z przyjaznym uśmiechem na twarzy.

— Jak leci, panie oficerze? — zachichotał, kładąc mu dłoń na ramieniu.

— W porządku — wymamrotał Taverner, odsuwając się nieznacznie.

— I jak, podoba się panu nasze biuro? — w jego głosie dało się wyczuć dumę. — Kawał dobrej roboty, co? Prawdziwa sztuka... na najwyższym poziomie.

Drżąc ze wzburzenia, Taverner wypadł na korytarz. Nie czekał na windę, pobiegł w kierunku schodów. Chciał jak najszybciej wydostać się z tego koszmarnego budynku.

W ciemnym zaułku korytarza pojawił się nagle jakiś mężczyzna. Był blady i wyraźnie przerażony.

— Proszę zaczekać. Czy... mogę z panem chwilę porozmawiać? Taverner wyminął go.

— O co chodzi?

— To pan jest z Ziemi, z policji Niplanu? Ja... — mężczyzna głośno przełknął ślinę — ...tu pracuję. Sipling, Leon Sipling. Muszę coś zrobić, dłużej tego nie zniosę.

— Nic nie można na to poradzić — rzucił Taverner. — Jeśli chcą być tacy jak Yancy...

— Nie ma żadnego Yancy'ego — przerwał mu Sipling. Jego szczupła twarz wykrzywiła się spazmatycznie. — To myśmy go wymyślili... stworzyli.

Taverner stanął jak wryty.

— Co takiego?

— Już podjąłem decyzję — głos drżał mu z podniecenia. — Muszę coś z tym zrobić... i wiem, co. — Chwycił Tavernera za rękaw i wyszeptał: — Musi mi pan pomóc. Mogę zatrzymać to

wariactwo, ale sam nie dam rady.

Siedzieli w wygodnie urządzonej salonie Siplinga, pijąc kawę i patrząc na bawiące się dzieci. W kuchni żona Siplinga i Ruth Taverner wycierały naczynia.

— Yancy to swego rodzaju synteza — wyjaśnił Sipling — osobowość zbiorowa. Nikt taki naprawdę nie istnieje. Stworzyliśmy go, opierając się na danych z badań socjologicznych; stanowi połączenie różnych typów osobowości. I to jest jego prawdziwa strona. Pozbawiliśmy go jedynie pewnych niepożądanych cech, a te pożądane nieco uwypukliliśmy. Ktoś taki mógłby istnieć — dodał po chwili. — Właściwie pełno tu takich jak on. I w tym rzecz.

— Celowo i świadomie manipulujecie ludźmi, żeby upodobnić ich do wybranego wzorca?

— Nie wiem, jaki jest końcowy zamysł. Pracowałem jako specjalista od reklamy w firmie produkującej płyn do płukania ust. Ci z Callisto zatrudnili mnie, mówiąc tylko, czego ode mnie oczekują. Jeśli chodzi o generalny cel, mogę się jedynie domyślać.

— „Ci”, to znaczy kto, rada wykonawcza?

Sipling wybuchnął śmiechem.

— Miałem na myśli syndykat handlowy, który faktycznie zarządza całym księżycem, tym kramem o nazwie Callisto. Choć właściwie nie powinienem używać nazwy księżyc — wydał wargi w ironicznym uśmiechu. — Najwyraźniej władze prowadzą tu jakąś kampanię zakrojoną na szeroką skalę. Jednym z celów jest wchłonięcie konkurencji handlowej z Ganimedesa. Kiedy to się uda, całkowicie opanują tutejszy rynek.

— Ganimedes nie podda się bez walki. Będzie wojna — odrzekł Taverner. — Medeańskie przedsiębiorstwa też stanowią nie lada siłę. — Wtedy dotarło do niego, co sugerował Sipling. — No tak — powiedział, ścisząc głos — oni po prostu zaczną wojnę. Dla nich to jest warte wojny.

— Jak cholera. Ale żeby zacząć wojnę, potrzebują poparcia społeczeństwa. A prawdę mówiąc, tutejsi ludzie nie mają wiele do zyskania. Wojna wymiotłaby stąd wszystkich drobnych przedsiębiorców. Władza znalazłaby się w rękach zaledwie kilku firm... a i teraz konkurencja jest niewielka. Żeby nakłonić osiemdziesiąt milionów ludzi do wojny, władze muszą najpierw zmienić całą populację w stado zubożniałych, posłusznych baranów. I to właśnie robią. Dzięki kampanii Yancy'ego ludzie na Callisto zgodzą się na wszystko. On już za nich myśli. Mówi im, jak się czesać, w co grać. Opowiada dowcipy, które oni potem powtarzają znajomym. Jego żona pichci obiad, który potem jedzą wszyscy. Ten świat to osiemdziesięciomilionowy duplikat życia Yancy'ego. Nieważne, co robi i w co wierzy. Indoktrynujemy ich bez przerwy od jedenastu lat. Najważniejszym elementem kampanii jest jej niezmienna monotonia. Całe pokolenie dorasta, oczekując od Yancy'ego odpowiedzi na wszystkie pytania.

— To ogromne przedsięwzięcie — zauważył Taverner — projekt stworzenia Yancy'ego i utrzymywania go przy życiu.

— Tylko do pisania tekstów zatrudnia się tysiące ludzi. Widział pan zaledwie pierwsze stadium produkcji. Wysyłają to do każdego miasta. Taśmy, filmy, książki, magazyny, plakaty, broszury, słuchowiska i przedstawienia teatralne, muzyka, komiksy dla dzieci, ustne relacje, wymyślne reklamy... i cała reszta. Niepowstrzymany zalew nowych informacji o Yancym. — Wziął z ławy jakiś magazyn i wskazał tytuł głównego artykułu: — *Co z sercem Johna Yancy'ego?* W następnym tygodniu opublikuje tekst o żołądku Yancy'ego — rzekł i dodał uszczypliwie: — Możemy opisać każdy centymetr jego ciała. Nazywają nas yancemanami. To nowa forma sztuki.

— A co wy... ekipa, myślicie o Yancym?

— Jest jak balon wypełniony gorącym powietrzem. — Nikogo z was nie przekonuje?

— Nawet Babson się z niego wyśmiewa. A on jest najwyżej. Nad nim siedzą już tylko ci, którzy podpisują czeki. Boże, gdybyśmy kiedykolwiek uwierzyli w Yancy'ego... gdybyśmy zaczęli

myśleć, że ta sieczka ma jakieś znaczenie... — wyraz jego twarzy zmienił się gwałtownie, zdradzając skrajne przerażenie. — Dłużej tego nie znoję.

— Dlaczego? — spytał Taverner. Miniaturowy mikrofon ukryty w kołnierzu rejestrował wszystko, przekazując nagranie do biura w Waszyngtonie. — Dlaczego chce się pan wycofać?

Sipling pochylił się i skinął na syna.

— Mike, przerwij zabawę i podejdź tu na chwilę. — Zwrócił się do Tavernera z wyjaśnieniem: — Mike ma dziewięć lat. Nie pamięta czasów przed Yancym.

Chłopiec zbliżył się z ociąganiem.

— Tak, ojcze?

— Jakie masz oceny w szkole? — spytał Sipling.

Mike dumnie wydał pierś.

— Same piątki i szóstki.

— To mądry dzieciak — powiedział Sipling — dobry z matematyki, geografii, historii i innych przedmiotów. — Zwrócił się do syna: — Zadam ci kilka pytań i chcę, żeby ten pan posłuchał, jak na nie odpowiadasz. Dobrze?

— Tak, ojcze — odparł posłusznie malec.

— Powiedz, co myślisz o wojnie. Uczyli was w szkole. Znasz przebieg wszystkich ważniejszych wojen, prawda?

— Tak, ojcze. Uczono nas o rewolucji amerykańskiej, o pierwszej i drugiej wojnie światowej, o pierwszej wojnie wodorowej i o wojnie między kolonistami z Marsa i Jowisza.

— Do szkół — wyjaśnił Tavernerowi Sipling — również rozsyłałyśmy informacje o Yancym. Yancy wprowadza dzieci w świat historii, tłumaczy różne wydarzenia i zjawiska. Naucza i mówi absolutnie o wszystkim. Ale nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że mój syn... — głos uwiązł mu w gardle. Znów zwrócił się do chłopca: — Więc wiesz wszystko o wojnie. To dobrze, ale co o niej myślisz?

— Wojna jest zła. To najstraszniejsza rzecz na świecie. Prawie zniszczyła ludzkość — wyrecytował chłopiec bez namysłu.

Uważnie przypatrując się synowi, Sipling zadał kolejne pytanie:

— Czy ktoś kazał ci tak mówić?

Malec zawahał się.

— Nie, ojcze.

— Naprawdę wierzysz w to, co powiedziałeś

— Tak, ojcze. To przecież prawda.

— Tak, to prawda. Ale co z wojną w słusznej sprawie?

Znów bez chwili namysłu chłopak wypalił:

— Takie wojny trzeba prowadzić. To oczywiste.

— Czemu?

— Hm, musimy bronić tego, co mamy.

— Ale dlaczego?

— Bo nie możemy pozwolić innym, żeby robili z nami, co im się podoba. To sprowokowałoby bardziej agresywną wojnę. Nie można tolerować świata brutalnej władzy. Nasz świat powinien być... — szukał właściwego słowa — światem prawa.

Sipling szepnął jakby sam do siebie:

— Sam napisałem te słowa osiem lat temu. — Znów zwrócił do syna: — Więc wojna jest zła. Ale w słusznej sprawie trzeba walczyć. Załóżmy zatem, że ta... planeta Callisto zupełnie przypadkiem znajdzie się w stanie wojny z... powiedzmy... Ganimesem. Czy to będzie słuszna wojna? A może tylko zwykła zła wojna?

Tym razem chłopiec milczał. Bezskutecznie szukał odpowiedzi.

— Nie wiesz? — spytał chłodno Sipling.

— Ale... — Mike zawahał się. — To znaczy... — Spojrzał na nich z nadzieją w oczach. — Gdy nadejdzie taka chwila, chyba ktoś to wyjaśni?

— Oczywiście, że ktoś to wyjaśni. Może nawet sam pan Yancy? Chłopiec odetchnął z ulgą.

— Tak, ojczu. Pan Yancy na pewno to wyjaśni — powiedział. — Czy mogę już iść?

Mike odszedł, a Sipling zwrócił się do Tavernera:

— Wie pan, w co się bawią? Ta gra nazywa się hipek–hopek. Proszę zgadnąć, kto uwielbia w nią grać i kto ją wymyślił?

Milczeli przez moment.

— Co pan proponuje? — spytał w końcu Taverner. — Mówił pan, że jest jakiś sposób, aby to powstrzymać.

Twarz Siplinga przybrała przebiegły wyraz.

— Znam cały projekt. Wiem, jak go zniszczyć. Przez dziewięć lat dobrze poznałem klucz do duszy Yancy’ego... klucz do nowej odmiany człowieka, którą tu hodujemy. To proste. Podstawowe zasady to zmienność i brak własnej woli.

— Wchodzę w to — odparł Taverner. Miał nadzieję, że w Waszyngtonie dobrze wszystko słyszą.

— Wszystkie przekonania Yancy’ego są mdłe i bezbarwne. Właśnie to stanowi klucz do sukcesu. Każdy element jego ideologii został wyjąłowiony i rozrzedzony. Żadnej przesady. Osiągnęliśmy mistrzostwo w formułowaniu pseudopoglądów, tworząc istotę pozbawioną w rezultacie jakichkolwiek w ogóle poglądów. Sam pan to zauważył.

— To prawda — przyznał Taverner. — Ale zostawiliście złudzenie, że jest to jakiś punkt widzenia.

— Musimy kontrolować wszystkie aspekty osobowości, żeby kontrolować całego człowieka. Każdemu zagadnieniu musi więc odpowiadać określony pogląd. Nasza dewiza brzmi: Yancy zawsze wybiera najmniej kłopotliwe rozwiązania. I proste, takie które nie pobudzają do myślenia.

— Poglądy, które mają uspić i ogłupić — podchwycił Taverner. — A gdyby tak wprowadzić jakiś skomplikowany problem, który wymagałby wysiłku i przemyśleń...

— Yancy gra w krykieta, więc wszyscy dookoła pałętają się z drewnianymi młotkami. — Oczy Siplinga zabłyśły. — Ale wyobraźmy sobie, że upodobałby sobie... *Kriegspiel*.

—Co?

— To odmiana szachów. Partię rozgrywa się na dwu oddzielnych planszach. Każdy gracz ma własny zestaw pionów i nie widzi planszy przeciwnika. Sędzia widzi obie plansze i informuje graczy, gdy tracą lub zbijają piony, wchodzą na zajęte pole, robią nieprawidłowy ruch, szachują albo sami są szachowani.

— Rozumiem — odparł Taverner. — Każdy gracz stara się ustalić pozycję figur przeciwnika. Gra na ślepo. Boże, przy tym trzeba się nieźle namęczyć.

— Prusacy uczyli w ten sposób swoich oficerów taktyki. To więcej niż gra. To jak kosmiczne zapasy w przestrzeni. Gdyby tak Yancy siadał wieczorami z żoną i wnukiem i rozgrywał miłutką sześciogodzinną partyjkę *Kriegspiell* Pomyślmy też o jego ulubionych lekturach... może by zastąpić powieści wojenne tragedią grecką? A gdyby jego ulubionym utworem nie była piosenka *Mój Stary Dom w Kentucky*, tylko *Kunst der Fuge* Bacha?

— Chyba wiem, o co chodzi — powiedział Taverner najspokojniej, jak potrafił. — Myślę, że możemy panu pomóc.

— To nielegalne! — krzyknął Babson.

— No właśnie — potwierdził Taverner. — I dlatego tu jesteśmy.

Na jego znak do siedziby Yancy'ego wkroczył oddział tajniaków z Niplanu. Nie zwracali uwagi na zaskoczonych pracowników, którzy siedzieli sztywno przy biurkach.

— Jak tam nasze grube ryby? — rzucił Taverner do mikrofonu ukrytego w kołnierzu.

— To zależy — mimo rozbudowanego systemu przekazników między Ziemią a Callisto głos Kellmana brzmiał słabo. — Niektórym udało się wymknąć, ale większość nie przypuszczała, że podejmiemy jakiegokolwiek kroki.

— Nie możecie! — skamlał Babson. — Co takiego zrobiliśmy? Jakim prawem...

— Myślę — przerwał mu Taverner — że możemy was wsadzić choćby pod zarzutem złamania prawa handlowego. Używaliście nazwiska Yancy'ego, by promować różne produkty, a taka osoba nie istnieje. To naruszenie zasad reklamy i promocji towarów.

— Nie istnieje? — bronił się Babson. — Przecież wszyscy go znają. On... — zająknął się — on jest wszędzie.

Nagle w jego pulchnej dłoni pojawił się pistolet. Wymachiwał nim bezładnie. Dorser bez trudu wytrącił mu broń z ręki. Z brzękiem potoczyła się po posadzce. Babson zupełnie się rozkleił.

Zniesmaczony Dorser założył mu kajdanki.

— Nie zachowuj się jak baba — rzucił szorstko.

Oszołomiony Babson nie odpowiedział. W ogóle nie zdawał sobie sprawy z tego, co się działo.

Taverner minął grupkę zdezorientowanych urzędników i ruszył w stronę biura położonego w głębi budynku. Podszedł do biurka, przy którym siedział zapracowany Leon Sipling.

Na ekranie wyświetlano pierwszy z przerobionych programów. Obaj uważnie obejrzeni materiał.

— No i co pan o tym myśli? — spytał Taverner, gdy nagranie dobiegło końca.

— Powinno zadziałać — odparł Sipling. — Mam nadzieję, że nie przesadziliśmy... budowa systemu trwała jedenaście lat. Trzeba unicestwić go stopniowo.

— Najtrudniej będzie zrobić pierwszy wyłom. Potem powinno być już łatwiej — powiedział Taverner, idąc w stronę drzwi. — Da pan sobie sam radę?

Sipling zerknął na Eckmunda, który po drugiej stronie biura nadzorował yancemanów.

— Mam nadzieję. A co z panem?

— Chcę oglądać to na bieżąco i obserwować pierwsze reakcje ludzi. — Przystanął przy drzwiach. — To trudne zadanie. Musi pan całe nagranie przygotować sam. Na razie proszę nie oczekiwać od nikogo pomocy.

Sipling wskazał na innych pracowników. Powoli wracali do pracy.

— Oni tu zostaną — powiedział — przynajmniej dopóki ktoś będzie im za to płacił.

Taverner podszedł do windy. Po chwili już jechał na dół.

Tuż za rogiem budynku stała grupa ludzi wpatrujących się w ekran telewizora. Czekali na popołudniowe wystąpienie Johna Edwarda Yancy'ego.

Początek był taki jak zwykle. Nie ulegało wątpliwości, że Sipling jest świetnym fachowcem. Odwalił kawał naprawdę dobrej roboty.

Yancy, w uwalanych ziemią spodniach, koszuli z podwiniętymi rękawami i słomkowym kapeluszu, przykucnął w swoim ogródku z motyką w ręku. Jego twarz rozjaśniał promienny, przyklejony uśmiech. Obraz był tak sugestywny, że Taverner niemal zapomniał, iż ten człowiek jest tylko czyimś wymysłem. A przecież widział na własne oczy, jak ekipa Siplinga pracowała nad przygotowaniem tego materiału.

— Dzień dobry — zaczął przyjaźnie Yancy. Otarł pot z rumianej twarzy i wstał powoli. — Rany — powiedział — ale upał. — Wskazał na grządkę z pierwiosnkami. — Właśnie je powsadzałem. Co za robota.

Jak dotąd, szło nieźle. Ludzie oglądali nagranie beznamietnie, chłonąc ideologiczną pożywkę bez żadnego sprzeciwu. Na całym księżycu — w każdym domu, szkole, biurze, na każdej ulicy — pokazywano ten sam program. I jeszcze będą go powtarzać.

— Tak — powtórzył Yancy — straszny skwar. Za gorąco dla tych kwiatów. Woła cień. — Szybki odjazd kamery i oczom widzów ukazał się schowany w cieniu garażu równiutki rząd pierwiosnków. — Z drugiej strony — ciągnął Yancy łagodnym, dobrotliwym głosem — moje dalej potrzebują dużo słońca.

Znów cięcie i obraz dalii kwitnących w słońcu.

Yancy usiadł na fotelu ogrodowym, zdjął kapelusz i chusteczką otarł pot z czoła.

— I dlatego — podjął — jeśli ktoś zapyta mnie, co jest lepsze, cień czy słońce, odpowiem, że to zależy, czy jest się pierwiosnkiem czy dalią. — Posłał w stronę kamery swój słynny szczerzy uśmiech. — Ja chyba jestem pierwiosnkiem... mam dość słońca na dzisiaj.

Widzowie chłonili te uwagi bez żadnego komentarza. Niewinny początek, który zaowocuje dalekosiężnymi konsekwencjami. A Yancy już przystępował do dzieła.

Jego przyjazny uśmiech zniknął. Pojawiło się znane spojrzenie, które zawsze zapowiadało jakieś głębsze przemyślenia, nieomylny zwiastun zbliżającej się mądrości. Lecz tym razem Yancy miał powiedzieć coś, czego widzowie się nie spodziewali.

— Wiecie — mówił powoli, poważnym głosem — to daje wiele do myślenia. — Sięgnął po szklanę ginu z tonikiem... szklanę, która do dziś zawsze wypełniona była piwem. A koło niej leżał nie „Dog Stories Monthly”, lecz „Journal of Psychological Review”. Zmiana rekwizytów zostanie zarejestrowana w podświadomości. Teraz cała uwaga widzów skupiona była na słowach Yancy’ego.

— Przyszło mi na myśl — mówił takim tonem, jakby zupełnie nowa mądrość właśnie olśniła jego umysł — że niektórzy ludzie mogą sądzić, że, dajmy na to, słońce jest dobre, a cień zły. To bzdura. Światło słoneczne służy daliom i różom, ale spaliłoby na proch moje fuksje.

Kamera pokazała rozsiane po całym ogrodzie fuksje.

— Może znacie takich ludzi. Oni po prostu nie rozumieją — tu swoim zwyczajem odwołał się do mądrości ludowej — że to, co jest dobre dla jednego, innemu może zaszkodzić. Ja na przykład, lubię zjeść na śniadanie sadzone jajka, kilka suszonych śliwek i tost. Ale Margaret woli płatki na mleku, a Ralf najchętniej je naleśniki. A jegomość z naszej ulicy, ten, który ma przed domem duży trawnik, jada cynaderki i wypija do tego butelkę mocnego portera.

Taverner spojrział na ludzi zgromadzonych przed ekranem. Stali nieruchomo, chłonąc słowa Yancy’ego. To były pierwsze oznaki nowego porządku — każdy ma inną skalę wartości, odrębny styl życia. Każdy ma prawo lubić i akceptować odmienne rzeczy.

Potrzeba na to czasu, jak powiedział Sipling. Ogromny zbiór taśm trzeba zastąpić nowymi nagraniami, stopniowo wycofać ustanowione nakazy i zakazy. I tym samym zapoczątkować nowy sposób myślenia. Pierwszym krokiem stała się banalna uwaga o kwiatkach. Od dziś, gdy dziewięcioletni chłopiec zechce rozstrzygnąć, czy jakaś wojna była sprawiedliwa, czy nie, odpowiedzi będzie musiał szukać we własnej głowie. Yancy nie poda mu rozwiązania jak na tacy. Już trwały prace nad nowym programem o wojnie, który pokazywał, że ta sama wojna może być różnie postrzegana przez różnych ludzi.

Zwłaszcza jeden odcinek Taverner chciał zobaczyć. Ale zanim go wyemitują, minie sporo czasu. Yancy zmieniał w nim swój artystyczny gust, stopniowo, lecz nieubłaganie. Któregoś dnia mieszkańcy Callisto dowiedzą się, że nie podobają mu się już sielskie krajobrazy żywcem wyjęte z taniego kalendarza.

Dowiedzą się, że docenił piękno płócien piętnastowiecznego holenderskiego mistrza makabry i diabolicznej grozy Hieronima Boscha.

RAPORT MNIEJSZOŚCI

I

Gdy tylko Anderton zobaczył młodego mężczyznę, pomyślał: Wkrótce będę łysy. Łysy, stary i gruby. Oczywiście, nie powiedział tego na głos. Przeciwnie, odsunął fotel, wstał i sztywno obszedł biurko, wyciągając rękę. Uśmiechnął się z wymuszoną serdecznością i uściśnął młodzieńcowi dłoń.

— Pan Witwer? — spytał z dobrze udaną uprzejmością.

— Zgadza się — powiedział tamten. — Ale dla pana oczywiście Ed. Jeśli podziela pan moją niechęć do zbędnych formalności. — Z jego jasnej, zbyt pewnej siebie twarzy można było wyczytać, że uważa sprawę za zamkniętą. Teraz byli już na ty — ich współpraca powinna więc od samego początku układać się zgodnie.

— Bez problemów znalazłeś budynek? — spytał ostrożnie Anderton, nie zwracając uwagi na nieco poufały ton chłopaka. Dobry Boże, musi się jakoś trzymać. Czuł narastający strach i zaczął się pocić. Witwer przechadzał się po biurze, tak jakby już należało do niego... jakby oceniał jego wielkość. Nie mógł poczekać jeszcze kilka dni?... Tak by wypadło.

— Oczywiście — odparł radośnie Witwer z rękami w kieszeniach. Z zainteresowaniem przeglądał grube akta, które stały pod ścianą. — Nie jestem tak całkiem zielony. Wiem co nieco o Prewencji, jak działa i tak dalej...

Anderton drżącą ręką zapalił fajkę.

— No jak? Chciałbym wiedzieć.

— Zupełnie nieźle — odparł powoli Witwer. — Właściwie całkiem przyzwoicie.

Anderton przyglądał mu się uważnie.

— To twoja prywatna opinia? Czy tylko pusta gadanina?

Witwer spojrzał mu prosto w oczy.

— Prywatna i publiczna. Senat jest zadowolony z tego, co robicie. Prawdę mówiąc, jest do was nastawiony bardzo entuzjastycznie. Na tyle, na ile entuzjastycznych może być kilku podstarzałych facetów.

Anderton poczuł gwałtowny skurcz. Opanował się jednak i nie dał po sobie nic poznać. Zastanawiał się, o czym tak naprawdę myśli Witwer. Co naprawdę siedzi w tym krótko ostrzyżonym łbie? Młody mężczyzna miał jasne, błękitne... i niepokojąco szczere oczy. Nie był w ciemnie bity. No i z całą pewnością był cholernie ambitny.

— Jeśli dobrze zrozumiałem — zaczął ostrożnie Anderton — będziesz moim asystentem, dopóki nie przejdę na emeryturę.

— Tak, też tak to rozumiem — odparł Witwer bez wahania.

— Może zrobię to w tym lub w przyszłym roku... a może za dziesięć lat. — Fajka zadrżała mu w rękę. — Nie ma żadnych nacisków. To ja założyłem Prewencję i mogę pracować tu tak długo, jak będę miał ochotę. To zależy tylko i wyłącznie ode mnie.

Witwer przytaknął z tym samym szczerym wyrazem twarzy.

— To zrozumiałe.

Anderton z trudem trochę się uspokoił.

— Chciałem to wyjaśnić.

— ...zaraz na wstępie. Rozumiem — dodał Witwer. — Rozumiem. Ty tu rządzisz. Będzie, jak

każesz. — I zupełnie szczerze zapytał: — Czy mógłbyś mi pokazać całą organizację? Chciałbym jak najszybciej zapoznać się z podstawowymi procedurami.

Mijali kolejne, oświetlone żółtymi lampami, tętniące życiem biura.

— Oczywiście znasz — zagadnął Anderton — samą teorię Prewencji. To chyba możemy uznać za pewnik.

— Znam wszystkie powszechnie dostępne informacje — odparł Witwer. — Z pomocą przedwstępnych mutantów śledczych, czyli prekogów, udało się wam sprawnie i skutecznie usunąć postkryminalny penitencjarny system więzień i kar. Ogólnie wiadomo, że karanie przestępców nigdy nie było wystarczającym rozwiązaniem. Poza tym to wątpliwe pocieszenie dla ofiar przestępstw, które często już nie żyły.

Weszli do windy. Gdy jechali nią na dół, Anderton powiedział:

— Pewnie zdajesz sobie sprawę z podstawowej prawnej wady systemu Prewencji. Krótko mówiąc, zajmujemy się ludźmi, którzy nie popełnili jeszcze przestępstwa.

— Ale z całą pewnością kiedyś to zrobią — odrzekł Witwer z przekonaniem.

— Na szczęście nie... bo łapiemy ich, zanim zdążą popełnić jakąkolwiek zbrodnię. I dlatego jej popełnienie to zupełna metafizyka. Twierdzimy, że są winni. Oni z kolei twierdzą, że są całkowicie niewinni. I w pewnym sensie mają rację.

Drzwi windy otworzyły się i znów ruszyli wzdłuż żółtego korytarza.

— W naszym społeczeństwie brak cięższych przestępstw — ciągnął Anderton. — Mamy za to obozy pełne niedoszłych, potencjalnych przestępców.

Przeszli przez automatyczne drzwi i znaleźli się w dziale analiz. Przed nimi stały imponujące urządzenia — receptory danych, maszyny obliczeniowe, które analizowały i przetwarzały napływające informacje. A dalej, za całym systemem maszyn, wśród płataniny kabli, przewodów i otaczającej je aparatury z trudem można było dostrzec trzy mutanty śledcze.

— Oto i one — powiedział Anderton sucho. — I co o nich myślisz?

W ponurym półmroku, plotąc coś bez składu i ładu, siedzieli troje imbecyli. Każde nieskładne zdanie i każda przypadkowa sylaba były natychmiast analizowane, porównywane, przetwarzane na symbole graficzne, zapisywane na perforowanych kartach i umieszczane w oznaczonych przegrodach. Uwięzione w fotelach z szerokimi oparciami, cały czas trzymane przez klamry i pasy w jednej pozycji, prekogi bełkotały coś bez przerwy. Ich potrzeby fizjologiczne załatwiane były automatycznie. Potrzeb duchowych nie miały. Przypominały rośliny. Postękiwały, gapiły się tępo dookoła... jakby nieobecne tutaj, gdzie je uwięziono.

Rzeczywiście, te paplające, jękające się istoty o nienaturalnie dużych głowach i bezużytecznych ciałach myślami były w przyszłości. Maszyneria analityczna słuchała uważnie tego, co miały do powiedzenia, i zapisywała prognozy.

Po raz pierwszy Witwer stracił pewność siebie, wyraźnie wstrząśnięty tym, co zobaczył.

— To... nic przyjemnego — wymamrotał. — Nie zdawałem sobie sprawy, że są tacy... — wyraźnie szukał w myślach odpowiedniego słowa — tacy... zdeformowani.

— Zdeformowani i opóźnieni — przytaknął Anderton. — Szczególnie dziewczyna. Donna ma czterdzieści pięć lat. Ale wygląda na dziesięć. Dar prekognicji pochłania wszystko. Ośrodek odpowiedzialny za zdolności paranormalne przyczynia się do zaniku przedniego płata kory mózgowej. Ale co nam do tego? Dostajemy prognozy. Dają nam to, czego chcemy. Sami nic z tego nie rozumieją, ale my możemy to wykorzystać.

Witwer, zaszokowany, zbliżył się do maszyn. Wyjął z jednej z przegródek plik kart.

— Czy to nazwiska, które wygenerowano? — spytał.

— Naturalnie — Anderton odebrał mu karty. — Jeszcze nie miałem czasu Się im przyjrzeć — wyjaśnił, tłumiąc zniecierpliwienie.

Zafascynowany Witwer patrzył, jak maszyna wypływa kolejną kartę, umieszczając ją w pustej teraz przegródce. Za nią ukazała się kolejna i jeszcze jedna. Drgające dyski wypływały je jedna za drugą.

— Te mutanty muszą spoglądać w całkiem odległą przyszłość. — Niezupełnie. Ich zasięg jest mocno ograniczony — wyjaśnił Anderton.

— Tydzień, najwyżej dwa. Większość informacji jest dla nas bezużyteczna... nie ma nic wspólnego z naszą działalnością. Ale przekazujemy je odpowiednim agencjom, które w zamian dostarczają nam pewne dane. Każda licząca się agencja ma własne laboratorium z małpisonami.

— Z małpisonami? — zdziwił się Witwer. — Aaa, rozumiem. Trzy małpy. Nie widzieć, nie mówić *et cetera*. Bardzo śmieszne.

— Bardzo trafne — Anderton odruchowo zebrał nowe karty wyrzucone przez wirującą maszynę. — Część nazwisk odrzucimy. Większość pozostałych informacji to opisy drobnych przestępstw: kradzieże, oszustwa podatkowe, pobicia, wymuszenia. Jak pewnie wiesz, Prewencja zmniejszyła liczbę poważnych przestępstw o dziewięćdziesiąt dziewięć i osiem dziesiątych procent. Morderstwo czy zdrada zdarzają się niezwykle rzadko. Przecież winowajca wie, że wsadzimy go do obozu na tydzień przed popełnieniem przez niego zbrodni.

— Kiedy ostatnio popełniono morderstwo? — spytał Witwer.

— Pięć lat temu — odparł dumnie Anderton.

— Jak to się stało?

— Przestępca wymknął się naszym oddziałom. Znaliśmy jego nazwisko... właściwie to znaliśmy wszystkie szczegóły związane z tą zbrodnią, łącznie z nazwiskiem ofiary. Wiedzieliśmy dokładnie, kiedy i gdzie dojdzie do zaplanowanego przestępstwa. I mimo naszej ingerencji udało mu się je popełnić. — Anderton wzruszył ramionami. — Wiadomo, wszystkich nie złapiemy. Ale większość tak — dodał, potrząsając kartami.

— Jedno zabójstwo na pięć lat — Witwer odzyskiwał pewność siebie. — To imponujący wynik... powód do dumy.

— I jestem z tego dumny — odpowiedział Anderton. — Opracowałem teorię trzydziści lat temu... w czasach, gdy oportuniści i samolubny myśleli tylko o szybkich numerach na giełdzie, podkupowaniu akcji, przejmowaniu firm. Ja miałem wizję — praworządną, o ogromnej społecznej wartości.

Rzucił pakiet kart Wally'emu Page'owi, swojemu zastępcy w zarządzaniu blokiem małpisonów.

— Sprawdź, które się przydadzą — polecił. — Wybierz według uznania. Gdy Page zniknął z kartami, Witwer rzekł z namysłem:

— To duża odpowiedzialność.

— W rzeczy samej — potwierdził Anderton. — Jeśli pozwolimy uciec choć jednemu bandziorowi, jak przed pięciu laty, będziemy mieli na sumieniu ludzkie życie. Spoczywa na nas pełna odpowiedzialność. Jeśli nawalimy, ktoś straci życie. — Zabrał trzy nowe karty z przegródki. — Społeczeństwo obarczyło nas zaufaniem.

— Czy nigdy nie kusi was... — Witwer zawahał się. — No wiesz, niektórzy z tych wskazanych na pewno dużo wam oferują.

— To by nie miało większego sensu. Duplikaty kart pojawiają się równocześnie w Głównym Sztapie Dowodzenia Armii. To zapewnia ład i porządek. W każdej chwili mogą nas sprawdzić. — Anderton spojrzał przelotnie na pierwszą z brzegu kartę. — Więc nawet jeśli zgodzilibyśmy się przyjąć...

Przerwał nagle, zaciskając wargi.

— Co się stało? — spytał zaintrygowany Witwer. Anderton powoli zwinął kartę i wsadził ją do

kieszeni.

— Nic — burknął — nic takiego.

Powiedział to tak oschle, że twarz Witwera nabiegła krwią.

— Nie lubisz mnie — stwierdził.

— Szczerze mówiąc — odparł Anderton — to nie bardzo...

Sam nie wierzył, że aż tak bardzo. To niemożliwe, niemożliwe! Coś poszło nie tak. Zaszokowany, starał się uspokoić.

Na karcie widniało jego imię i nazwisko. Wers pierwszy — przyszły morderca! Zgodnie z zakodowaną na karcie informacją Główny Komisarz Prewencji John A. Anderton zabije człowieka... w ciągu tygodnia.

Nie mógł w to uwierzyć.

II

W gabinecie młoda, szczupła, atrakcyjna żona Andertona rozmawiała z Page'em. Pochłonięta ożywioną wymianą zdań na temat strategii i polityki, prawie nie zwróciła uwagi na wchodzącego męża i Witwera.

— Cześć, kochanie — powiedział Anderton.

Witwer milczał, ale na widok ciemnowłosej kobiety w dopasowanym policyjnym mundurze jego oczy rozbłysły. Lisa pracowała w Prewencji na jednym ze stanowisk kierowniczych, ale przedtem, jak wiedział, była sekretarką Andertona.

Anderton zauważył zainteresowanie Witwera i zaczął się zastanawiać. Podrzucenie karty do maszynerii wymagałoby pomocy kogoś z wewnątrz... kogoś blisko związanego z Prewencją i mającego dostęp do aparatury analitycznej. Lisa raczej nie wchodziła w grę. Choć nie mógł wykluczyć takiej ewentualności.

Oczywiście spisek mógł sięgać głębiej i być na większą skalę. Nie ograniczał się tylko do jednej spreparowanej karty, którą umieszczono gdzieś na linii. Możliwe, że dokonano również zmian pierwotnych danych. Teraz już nie da się określić, jak dalece je zmieniono. Gubił się w domysłach i czuł coraz większy strach. W pierwszym odruchu pomyślał, żeby otworzyć maszyny i usunąć wszelkie dane, ale wiedział, że to zbyt prymitywna metoda. Prawdopodobnie informacje na dyskach były zgodne z informacjami na kartach. Usuając dane, tylko utwierdziłby innych w przekonaniu, że jest winny.

Miał około dwudziestu czterech godzin. Potem wojskowi porównają karty i wykryją nieprawidłowość. Znajdą w swoich aktach duplikat karty, której istnienie zataił. Miał tylko jedną z dwu kopii, więc ukrycie jej nic mu nie dawało.

Na zewnątrz rozległo się buczenie samochodów policyjnych, które ruszały na rutynową łapankę. Ile czasu upłynie, zanim jeden z nich zatrzyma się przy jego domu?

— Co się stało, kochanie? — spytała Lisa. — Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha. Wszystko w porządku?

— Tak — zapewnił ją.

Lisa pochwyciła pełne podziwu spojrzenie Eda Witwera.

— Czy ten pan to twój nowy współpracownik, kochanie? — spytała.

Anderton przedstawił ich sobie. Lisa uśmiechnęła się do młodego mężczyzny. Czyżby znali się wcześniej? — zastanawiał się Anderton z niepokojem. Trudno wyczuć. Boże! Zaczął podejrzewać niemal wszystkich. Nie tylko własną żonę i Witwera, ale i z tuzin podwładnych.

— Pan z Nowego Jorku? — zapytała Lisa.

— Nie — odparł Witwer — z Chicago. Tu mieszkam w hotelu, jednym z tych kolosów, w centrum. Chwileczkę... mam tu gdzieś kartkę z nazwą. Gdy przetrząsał kieszenie. Lisa zaproponowała:

— Może zje pan z nami obiad. Skoro będziemy współpracować, powinniśmy się lepiej poznać.

Anderton cofnął się zaskoczony. Czy ta niespodziewana uprzejmość jego żony była przypadkowa i czysto kurtuazyjna? Witwer będzie towarzyszyć im do wieczora, a potem pojedzie z nimi do domu, cały czas mając go na oku. Zupełnie rozbity, odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

— Dokąd idziesz? — spytała zaskoczona Lisa.

— Wracam do bloku małpisonów — odparł. — Chcę przejrzeć pewne nietypowe dane, zanim zobaczą je wojskowi. — Wyszedł na korytarz, nie dając jej czasu na wymyślenie czegokolwiek, by go zatrzymać.

Gwałtownie ruszył w kierunku rampy na końcu korytarza. Schodził po schodach prowadzących na publiczny chodnik, gdy dogoniła go Lisa.

— Co cię opętało? — spytała, łapiąc go za ramię. — Co z tobą? Wszyscy mówią, że... — zreflektowała się. — Że jesteś jakiś dziwny.

Anderton zdjął rękę żony z ramienia.

— Zwijam się — powiedział. — Póki jeszcze mam czas. — Ale... dlaczego?

— Wrabiają mnie... celowo i perfidnie. Ta kreatura dybie na mój stołek. A senat dobierze się do mnie przy jego pomocy.

Lisa wpatrywała się w niego zdumiona.

— Sprawia wrażenie miłego młodego człowieka.

— No, milutki to on jest... jak żmija.

— Przesadzasz, kochanie. Wszystko przez ten ciągły stres. — Uśmiechnęła się i dodała z wahaniem: — To niemożliwe, żeby Ed Witwer chciał cię zrobić. A gdyby nawet chciał, to jak? Ed na pewno...

— Ed!

— Chyba tak ma na imię, prawda? — W jej brązowych oczach pojawiło się niedowierzanie. — Boże, podejrzewasz wszystkich. Pewnie ubzdurałeś sobie, że ja też jestem w to zamieszana?

Zastanowił się.

— Jeszcze nie mam pewności — odparł. Rzuciła mu oskarżycielskie spojrzenie.

— Kłamiesz. Zdażyłeś już w to uwierzyć. Może przydałoby ci się parę tygodni odpoczynku. Musisz zrobić przerwę. To ciągle napięcie, pojawienie się młodszego mężczyzny... Zachowujesz się jak paranoik. Nie widzisz tego? Wydaje ci się, że ludzie coś knują za twoimi plecami. A znalazłeś choćby okrucieństwo dowodu, jakkolwiek poszlakę?

Anderton wyjął portfel i podał żonie złożoną kartę.

— Przeczytaj to.

Krew odpłynęła jej z twarzy. Westchnęła i przełknęła ślinę.

— To chyba jasne, że mnie wrabiają — powiedział najspokojniej, jak potrafił. — To da Witwerowi podstawę prawną, żeby mnie natychmiast usunąć. Nie będzie musiał czekać, aż sam zrezygnuję. Wie przecież, że nieprędko to nastąpi.

— Ale...

— To zakłóci równowagę. Prewencja nie będzie już niezależną agencją. Senat przejmie kontrolę nad policją, a potem — zacisnął wargi — dobiorą się też do armii. To chyba aż nadto logiczne. Oczywiście, że nie lubię Witwera... i mam motyw. Nikt nie chce być zastąpiony przez jakiegoś młodzika i wysłany na cholerną emeryturę. Wszystko to brzmi logicznie... ale ja nie mam najmniejszego zamiaru zabijać Witwera. Problem w tym, że nie potrafię tego dowieść. Co zatem

mam zrobić?

— Nie... nie wiem. Kochanie, gdyby tylko...

— Jedyne — przerwał jej gwałtownie — co przychodzi mi w tej chwili do głowy, to jechać do domu i spakować rzeczy. Potem coś wymyślę.

— Spróbujesz gdzieś się zaszyć?

— Tak. Nawet jeśli będę musiał zwać na kolonję Centaura. Innym się to udawało. Mam dwadzieścia cztery godziny. — Spojrzał na żonę: — Wracaj do pracy. Nie ma sensu, żebyś ze mną jechała.

— Myślałeś, że pojedę? — spytała nieswoim głosem. Spojrzał na nią zaskoczony.

— A nie? — Przerwał na chwilę. — Wciąż mi nie wierzysz. Cały czas uważasz, że to wymyśliłem. — Z wściekłością wskazał na kartę: — Nawet ten dowód cię nie przekonał.

— Nie — przytaknęła szybko. — Chyba nie przeczytałeś jej zbyt uważnie, kochanie. Nie ma na niej nazwiska Eda Witwera.

Z niedowierzaniem wziął od niej kartę.

— Nikt nie twierdzi, że zabijesz Eda Witwera — powiedziała nerwowo. — Ta karta musi być autentyczna, rozumiesz? Nie ma nic wspólnego z Edem. On cię nie wrabia. Nikt cię nie wrabia.

Anderton stał w milczeniu, studiując kartę. Lisa miała rację. W rubryce „ofiara” nie było nazwiska Eda Witwera. W piątej linijce widniało inne nazwisko:

Leopold Kaplan

Zupełnie zbity z tropu, schował kartę. Nigdy wcześniej nie słyszał tego nazwiska.

III

Dom był cichy i pusty. Anderton natychmiast zaczął przygotowywać się do podróży. Gdy się pakował, po głowie tłukły mu się coraz bardziej przerażające myśli.

Może mylił się co do Witwera... skąd jednak miał to wiedzieć? Tak czy inaczej, spisek przeciw niemu był bardziej złożony, niż przypuszczał. Wi — twer mógł być zaledwie marionetką sterowaną przez kogoś innego — kogoś nieosiągalnego, kto dobrze wtapiał się w tło.

Niepotrzebnie pokazał żonie kartę. Lisa na pewno opisze ją dokładnie Witwelowi. Nie uda mu się nawet opuścić Ziemi. Nigdy nie pozna życia na innych, odległych planetach.

Usłyszał tuż za sobą skrzypienie podłogi. Chwyciwszy wypłowiałą zimową kurtkę, odwrócił się i spojrzał prosto w lufę szaroniebieskiego pistoletu.

— Szybko się uwinęliście — powiedział, wpatrując się w muskularnego mężczyznę w brązowym płaszczu i rękawiczkach. — Nie wahała się specjalnie, co?

Z twarzy intruza trudno było coś wyczytać.

— Nie wiem, o czym pan mówi — odparł. — Proszę za mną. Zaskoczony Anderton odłożył kurtkę.

— Pan nie z agencji? Nie z policji?

Mimo protestów wepchnięto go do stojącej przed domem limuzyny. Siedział między trzema uzbrojonymi mężczyznami. Drzwi zamknęły się i samochód ruszył z piskiem opon. Obojętne twarze mężczyzn podrygiwały miarowo, kiedy auto mknęło autostradą.

Gdy znaleźli się poza miastem, limuzyna skręciła na wyboistą boczną drogę i po chwili wjechała do ciemnego podziemnego garażu. Ktoś wydał głośny rozkaz, zamki w drzwiach

zamknęły się z trzaskiem i zapalono światło. Kierowca wyłączył silnik.

— Pożalujecie tego — ostrzegł ich Anderton, gdy wywlekli go z samochodu. — Wiecie, kim jestem?

— Tak — odparł facet w brązowym płaszczu.

Prowadząc go pod bronią, kazali mu przejść z wilgotnego garażu do wyłożonego miękkimi dywanami holu. Znalazł się w jakiejś luksusowej rezydencji, którą wzniesiono w zniszczonej podczas wojny wiejskiej okolicy. Na drugim końcu korytarza dostrzegł wejście do jakiegoś pokoju — pełna książek pracownia, urządzona skromnie acz elegancko. W kręgu światła rzucanego przez lampę, z twarzą częściowo ukrytą w mroku, siedział mężczyzna, którego Anderton widział po raz pierwszy w życiu.

Anderton podszedł bliżej. Mężczyzna założył okulary bez oprawek, z głośnym trzaskiem zamknął etui i zwilżył językiem spierzchnięte wargi. Był stary, grubo po siedemdziesiątce i bardzo chudy. Mocno przerzedzone ciemne włosy odcinały się od kościstej, bladej czaszki. Najwięcej życia zdradzały oczy.

— To jest Anderton? — spytał zrzędliwie, zwracając się do mężczyzny w brązowym płaszczu. — Gdzie go znaleźliście?

— W domu. Pakował rzeczy... tak, jak przypuszczaliśmy. Ciało starca przebiegł dreszcz.

— Pakował rzeczy — zdjął okulary i drżącą dłonią schował je do futerału. — Posłuchaj pan — zwrócił się do Andertona — co z panem? Czy pan oszalał? Jak można zabić kogoś, kogo się nawet nie zna?

W tym momencie Anderton zrozumiał. To był Leopold Kaplan.

— Najpierw ja chciałbym o coś spytać — wtrącił gwałtownie. — Zdaje pan sobie sprawę z tego, co właśnie zrobił? Jestem komisarzem policji. Mogę pana za to wsadzić na dwadzieścia lat.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale nagle go olśniło.

— Jakim cudem się pan dowiedział? — rzucił ostro. Mimowolnie dotknął kieszeni, w której schował kartę. — To chyba nie dzięki drugiej...

— Pańska agencja nie miała z tym nic wspólnego — przerwał mu Kaplan, wyraźnie rozdrażniony. — Fakt, że nigdy pan o mnie nie słyszał, wcale mnie nie dziwi. Leopold Kaplan, generał Armii Federacji Bloku Zachodniego — wyrecytował, po czym dodał z niechęcią: — W stanie spoczynku, od końca wojny angielsko — chińskiej i rozwiązania AFBZ.

To miało sens. Anderton podejrzewał, że wojskowi przetwarzali, dla własnego bezpieczeństwa, duplikaty kart natychmiast po ich otrzymaniu. Nieco uspokojony zapytał:

— I co teraz? Przywiózł mnie pan tu i co dalej?

— Nie zabiję pana — odparł Kaplan — bo natychmiast by to wydrukowano na jednej z tych kretyńskich kart. Intryguje mnie pan. Wydało mi się nieprawdopodobne, żeby człowiek o pańskiej pozycji planował zamordowanie z zimną krwią nieznanego sobie osoby. Tu musi chodzić o coś więcej. I, szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, o co. Gdyby to była jakaś nowa policyjna strategia... — wzruszył chudymi ramionami — z pewnością nie dopuściłby pan, żebyśmy dostali duplikat tej karty.

— Chyba że — zauważył jeden z obecnych — spreparowany duplikat. Kaplan przyglądał się Andertonowi przenikliwie.

— No i co pan na to?

— Tak właśnie jest — odparł Anderton, przekonany, że powinien szczerze wszystko wyjaśnić. — Prognozę na karcie sfabrykowała grupa spiskowców z agencji policyjnej. Dzięki tej karcie mogą mnie załatwić, usunąć ze stanowiska w trybie natychmiastowym. Mój asystent zajmie moje miejsce, twierdząc, że zapobiegł morderstwu w zwykły dla Prewencji sposób. Nie muszę chyba dodawać, że żadnego zabójstwa nie będzie, nie mówiąc już o moich zbrodniczych zamiarach.

— Co do tego pierwszego, zgadzam się z panem — przyznał sucho Kaplan. — Zostanie pan w areszcie policyjnym. Osobiście tego dopilnuję.

Przerażony Anderton próbował oponować.

— Wyda mnie pan? Jeśli trafię do aresztu, nigdy nie udowodnię, że...

— Prawdę mówiąc, mało mnie interesuje, czy zdoła pan coś udowodnić — przerwał mu Kaplan. — Jedyne, na czym mi zależy, to pozbyć się pana jak najprędzej. Dla własnego bezpieczeństwa.

— Gdzieś się wybierał — wtrącił jeden z mężczyzn.

— To prawda — potwierdził Anderton. Był mokry od potu. — Jeśli mnie złapią, zostaną odesłani do obozu. Witwer przejmie kontrolę... — Twarz mu pociemniała. — A moja żona... Wygląda na to, że działają razem.

Przez krótką chwilę zdawało się, że Kaplan się waha.

— Niewykluczone — stwierdził, przyglądając się uważnie Andertonowi. Potem potrząsnął głową. — Nie mogę ryzykować. Jeśli pana wrobili, przykro mi. Ale to nie moja sprawa. — Uśmiechnął się słabo. — Chociaż nie życzę panu źle — dodał i zwrócił się do swoich ludzi: — Zabierzcie go na komendę i zaprowadźcie do najwyższego stopniem funkcjonariusza. — Wymienił nazwisko obecnego komisarza i czekał na reakcję Andertona.

— Witwer! — powtórzył John z niedowierzaniem.

Wciąż się uśmiechając, Kaplan odwrócił się i włączył zamontowane na konsoli radio.

— Witwer już się upomniał o stanowisko. I naturalnie robi z całej sprawy niezłą aferę.

Odbiornik szumiał przez chwilę, po czym z głośników popłynął donośny głos czytający najnowszy komunikat.

— Zabrania się udzielać schronienia lub jakiegokolwiek innej pomocy temu niebezpiecznemu przestępcy. Ucieczka i pobyt na wolności kryminalisty, który planuje dokonanie aktu przemocy, to w dzisiejszych czasach sytuacja niecodzienna. Niniejszym informuje się wszystkich obywateli, że osoby, które odmówią współpracy z organami ścigania w schwytaniu Johna Allisona Andertona, zostaną pociągnięte do odpowiedzialności prawnej. Powtarzam: Agencja Prewencji Federalnego Rządu Bloku Zachodniego prowadzi śledztwo, którego celem jest pojmanie i neutralizacja byłego komisarza, Johna Allisona Andertona, który, zgodnie z danymi uzyskanymi metodą prekognicji, zostaje uznany za potencjalnego zabójcę i tym samym odbiera mu się prawo do wolności i wszystkie związane z nim przywileje.

— Szybko się uwinął — mruknął Anderton z obrzydzeniem. Kaplan wyłączył radio i głos umilkł.

— Lisa musiała pójść prosto do niego — zauważył Anderton z goryczą.

— A na co miał czekać? — spytał Kaplan. — Znał przecież pańskie zamiary. Skinął na swoich ludzi.

— Zabrać go z powrotem do miasta. Nie czuję się przy nim zbyt pewnie. W tej sprawie zgadzam się z komisarzem Witwerem. Trzeba się go jak najszybciej pozbyć.

IV

Samochód jechał przez zalane strugami ulewnego deszczu ulice Nowego Jorku. Zbliżali się do gmachu policji.

— Chyba go pan rozumie — zauważył jeden z mężczyzn. — Na jego miejscu zrobiłby pan dokładnie to samo.

Anderton wpatrywał się tępo przed siebie.

— Tak czy inaczej — ciągnął dalej tamten — nie jest pan sam. Tysiące ludzi wysłano już do tego obozu. Samotność panu nie grozi. Może nawet tak się panu spodoba, że nie będzie się pan chciał stamtąd ruszać.

7 Raport mniejszości 97

Anderton obserwował moknących na deszczu przechodniów. Opadły z niego wszystkie emocje. Czuł tylko narastające zmęczenie. Nieco otępiały, spoglądał na numery ulic. Zbliżali się do budynku agencji.

— Ten Witwer wie, jak wykorzystać okazję — zagadnął inny mężczyzna. — Zna go pan osobiście?

— Słabo — odparł Anderton.

— Chciał zająć pański stółek... więc pana wrobił. Jest pan tego pewien? Anderton skrzywił się.

— A jakie to ma znaczenie?

— Tak pytam, z ciekawości — mężczyzna przyglądał mu się sennie. — Więc jest pan byłym komisarzem policji. Ludzie w obozie na pewno się ucieszą. Muszą pana dobrze pamiętać.

— O, na pewno — przytaknął Anderton.

— Witwer nie marnuje czasu. Kapłan ma szczęście, że to on teraz rządzi — posłał Andertonowi wymowne spojrzenie. — Naprawdę pan myśli, że to spisek?

— Oczywiście.

— Nie skrzywdziłby pan Kapłana? Po raz pierwszy w historii Prewencja popełniła błąd? Wrobiono niewinnego człowieka za pomocą jednej z tych kart? Może wcześniej też trafiali się niewinni?

— To całkiem prawdopodobne — przyznał Anderton ponuro. — Niewykluczone, że cały ten system jest zawodny. Pan z pewnością nie popełni żadnego morderstwa... ale możliwe, że i pozostali też by nie popełnili. To dlatego powiedział pan Kapłanowi, że chce uniknąć uwięzienia? Liczył pan, że udowodni wadę systemu? Mam otwarty umysł, więc możemy szczerze porozmawiać, jeśli pan chce. Drugi mężczyzna pochylił się i zapytał:

— Tak między nami, czy naprawdę był jakiś spisek? Ktoś pana wrobił?

Anderton westchnął. Teraz sam już nie wiedział. Może ugrzązł w jakimś błędnym kole — zamkniętej pętli czasu, bez końca i początku. Właściwie był gotów się przyznać, że padł ofiarą jakiś omamów, neurotycznych fantazji, które wyległy się z narastającego strachu i napięcia. Zmęczenie stopniowo go pokonywało. Walczył z czymś niemożliwym, a wszystkie karty miał w ręku przeciwnik.

Pisk opon wyrwał go z letargu. Kierowca rozpaczliwie starał się zapanować nad autem. Ostro odbił kierownicą, wciskając jednocześnie hamulec, gdy ogromna ciężarówka wyłoniła się nagle z mgły, blokując im drogę. Może gdyby dodał gazu, udałoby się ominąć przeszkodę. Niestety, za późno zrozumiał swój błąd. Limuzyna wpadła w poślizg, zatrzęsła się i z impetem uderzyła w ciężarówkę.

Siedzenie pod Andertonem skoczyło w górę i więzień uderzył głową o drzwi. Ostry, nieznośny ból rozsadał mu czaszkę, gdy próbował się podnieść. Gdzieś w oddali słyszał trzask płomieni.

Nagle czyjeś ręce sięgnęły do wnętrza pojazdu. Zdał sobie sprawę, że ktoś wyciąga go z auta przez dziurę, która kiedyś była drzwiami. Zdecydowanym ruchem odsunął na bok oderwany fragment siedzenia, pomógł Andertonowi wstać, odejść od rozbitego auta i ukryć się w cieniu pobliskiej alei.

W oddali rozległo się wycie policyjnych syren.

— Nic ci nie będzie — zadzwęczał mu przy uchu szorstki, niski głos. Nie słyszał go nigdy wcześniej. — Słyszysz, co do ciebie mówię?

— Tak — potwierdził Anderton. Bezwiednie szarpnął podarty rękaw koszuli. Skaleczenie na policzku zaczynało boleśnie pulsować. Oszołomiony, starał się zorientować w sytuacji. — Ty nie jesteś...

— Zamknij się i słuchaj. — Mężczyzna był potężnie zbudowany. Jego wielkie łapska przyspiliły Andertona do mokrej ściany budynku, z dala od deszczu i blasku światel płonącego samochodu. — Musieliśmy to zrobić w ten sposób — wyjaśnił. — To była jedyna możliwość. Nie mieliśmy zbyt wiele czasu. Sądziliśmy, że Kaplan przetrzyma cię dłużej.

— Kim pan jest? — wykrztusił Anderton.

Mokra od deszczu twarz wykrzywiła się w ponurym uśmiechu.

— Nazywam się Fleming. Jeszcze się spotkamy. Za kilka sekund będzie tu policja. A wtedy znów znajdziemy się w punkcie wyjścia. — Wcisnął Andertonowi do rąk płaski pakunek. — To na razie powinno wystarczyć. Znajdziesz tam dokumenty. Będziemy w kontakcie. — Zachichotał nerwowo. — Dopóki nie udowodnisz swoich racji.

Anderton zamrugął.

— Więc to spisek?

— No pewnie — rzucił ostro mężczyzna. — Co, nawet ciebie przekonali?

— Myślałem... — mówił z trudem. Jeden z przednich zębów ruszał się, jakby miał zaraz wypaść. — Ta niechęć do Witwera... moja żona i młodszy mężczyzna, naturalna niechęć...

— Nie ośmieszaj się — przerwał mu mężczyzna. — Wiesz dobrze, jak to jest. Wszystko starannie przygotowano. Kontrolowali każde posunięcie. Kartę podłożono tak, żeby zbiegła się z przybyciem Witwera. Pierwszy cel udało im się osiągnąć. Witwer jest już komisarzem, a ty ściganym przestępcą.

— Kto za tym stoi?

— Twoja żona.

Anderton poczuł nagły zawrót głowy.

— To pewne?

Mężczyzna zaśmiał się.

— Założymy się? — Rozejrzał się dookoła. — No i jest policja. Odejdź tą aleją. Złap autobus, zaszyj się gdzieś w slumsach, wynajmij pokój i kup sobie jakieś pisma, żeby zabić nudę. I nowe ciuchy... Jesteś bystry, dasz sobie radę. Tylko nie próbuj opuścić Ziemi. Mająłoko na wszystkie loty międzyplanetarne. Jeśli nie złapią cię przez następne siedem dni, to wygrasz.

— Kim jesteś?

Fleming puścił go i ostrożnie wyjrzał za róg. Pierwsze z policyjnych aut przyhamowało przy mokrym chodniku i wolno zbliżało się do rozbitej limuzyny Kaplana. Jej pasażerowie wyczołgali się na zalaną deszczem ulicę, zostawiając za sobą dymiący wrak.

— Potraktuj nas jak ligę ochrony — powiedział cicho Fleming. Jego nalana, pozbawiona wyrazu twarz połyskiwała w deszczu. — Policja, która patrzy na ręce policji. Żeby sprawdzić — dodał — czy wszystko działa jak należy.

Wysunął potężną rękę i popchnął zataczającego się Andertona wzdłuż ciemnej, zaśmieconej alei.

— Idź już — nakazał ostro. — I nie zgub tej paczki.

Gdy Anderton odchodził, potykając się o zwalę śmieci, w uszach dźwięczały mu ostatnie słowa mężczyzny:

— Przejrzyj ją dokładnie, to może przeżyjesz.

V

W dokumentach figurował jako Ernest Temple, bezrobotny elektryk na zasiłku. Miał żonę i czwórkę dzieci w Buffalo i mniej niż sto dolarów na koncie. Poplamiona zielona karta umożliwiała mu podróżowanie bez stałego adresu. Facet szukający pracy musiał przemieszczać się z miejsca na miejsce.

Jadąc autobusem przez miasto, Anderton studiował dane Ernesta Temple'a. Z całą pewnością dokumenty wykonano z myślą o nim: wszystkie informacje pasowały jak ulał. A co z odciskami palców i wzorem fal mózgowych? Ich nie dało się podrobić. Wszystkie te karty umożliwiały mu jedynie przejście mniej szczegółowej kontroli.

Ale to już było coś. Poza dokumentami znalazł w paczce dziesięć tysięcy dolarów. Schował pieniądze i karty do kieszeni i zaczął się zastanawiać nad wiadomością, którą do nich dołączono.

W pierwszej chwili nie bardzo rozumiał znaczenie zapisanych słów. Długo wpatrywał się w wiadomość, zupełnie zdezorientowany.

Istnienie większości implikuje
obecność mniejszości

Autobus właśnie wjechał do rozległej dzielnicy slumsów — obskurne, tanie hotele i wałace się kamienice, zbudowane już po wojnie. Zatrzymał się i Anderton wstał. Kilku pasażerów bez specjalnego zainteresowania przyglądało się jego podartemu ubraniu i pokaleczonej twarzy. Nie zwracając na nich uwagi, wysiadł z autobusu prosto na zalany deszczem chodnik.

Recepcjonista, wzięwszy pieniądze, przestał się nim interesować. Anderton wspiął się po schodach na drugie piętro i wszedł do przesiąkniętego zapachem wilgoci pokoju. Zadowolony, że wreszcie tu dotarł, zarygłował drzwi i zaciągnął żaluzje. Pokój był mały, ale czysty. Łóżko, komoda, kalendarz panoramiczny, krzesło, lampa i radio na ćwierćdolarówki.

Wrzucił monetę i położył się wygodnie na łóżku. Wszystkie większe stacje nadawały komunikaty policji. To było coś nowego, ekscytującego, coś, z czym obecne pokolenie nigdy się nie zetknęło. Przestępca na wolności! Społeczeństwo było żywo zainteresowane tym faktem.

— ...człowiek ten, wykorzystując swą pozycję, zdołał uciec — spiker odpowiednio modulował głos. — Ze względu na piastowany urząd miał dostęp do nieprzejranych jeszcze informacji, a pokładane w nim zaufanie pozwoliło mu uniknąć normalnej procedury wykrycia i przesiedlenia. W okresie sprawowania urzędu wysłał niezliczoną rzeszę potencjalnych przestępców do przeznaczonego im miejsca, ratując w ten sposób życie niewinnych ofiar. Ten człowiek, John Allison Anderton, był współtwórcą systemu Prewencja — profilaktycznego programu wczesnego wykrywania osób będących potencjalnym zagrożeniem dla społeczeństwa. Przestępców wykrywano dzięki pomocy przedwstępnych mutantów śledczych, tak zwanych prekogów, zdolnych przewidywać przyszłość. Uzyskane od nich dane przetwarzane były przez maszyny analityczne. Te trzy mutanty pełniące tak ważną społeczną rolę...

Anderton wszedł do ciasnej łazienki i głos przycichł. Zdjął płaszcz i koszulę, napuścił gorącej wody do umywalki i przemył ranę na policzku. W aptece na rogu kupił jodynę, plastry, maszynkę do golenia grzebień, szczoteczkę do zębów i inne niezbędne rzeczy. Rano chciał poszukać jakiegoś sklepu z używaną odzieżą i sprawić sobie odpowiednie ubrania. W końcu był teraz bezrobotnym elektrykiem, a nie poturbowanym w wypadku komisarzem policji.

W pokoju cały czas grało radio. Częściowo tego świadomy, stał przed popękany lustrem, oglądając złamany ząb.

— ...system trzech prekogów opracowały komputery w połowie naszego stulecia. W jaki sposób sprawdza się rezultaty podawane przez komputer? Otóż wprowadza się dane do drugiego, identycznego komputera. Ale to nie wystarcza. Jeśli komputery podadzą różne odpowiedzi, nie można określić a priori, która z nich jest poprawna. Rozwiązaniem tego problemu, opartym na szczegółowej analizie statystycznej, zajmuje się trzeci komputer, który ponownie analizuje obie odpowiedzi. W ten sposób otrzymuje się tak zwany raport większości. Można założyć z dużą dozą pewności, że zgodność dwu z trzech komputerów wskazuje, która odpowiedź jest prawidłowa. Prawdopodobieństwo uzyskania identycznych, lecz błędnych odpowiedzi z dwóch komputerów jest bliskie zeru...

Anderton rzucił ręcznik i wbiegł do pokoju. Drżąc z podniecenia, pochylił się nad radiem i wyczuł słuch.

— ...jak wyjaśnia obecny komisarz, pan Witwer, jednomyślność wszystkich trzech mutantów to bardzo pożądany, choć niezwykle rzadki przypadek. Najczęściej otrzymuje się raport większości pochodzący od dwóch mutantów oraz uzyskany od trzeciego mutantu raport mniejszości, który jest z reguły wariacją tamtego, jeśli chodzi o czas i miejsce przestępstwa. Zjawisko to tłumaczy teoria wielowątkowej przyszłości. Gdyby istniała tylko jedna ścieżka czasowa, wszystkie informacje dotyczące przyszłości straciłyby znaczenie, ponieważ nawet ich posiadanie nie umożliwiałoby zmiany przyszłości. W naszej pracy musimy zatem przyjąć założenie, że...

Anderton, rozgorączkowany, chodził nerwowo po pokoju. Odrzucony raport... tylko dwa mutanty potwierdziły dane, na podstawie których sporządzono kartę. To tego właśnie dotyczyła dziwna wiadomość. Z nieznanego mu przyczyny raport mniejszości, pochodzący od trzeciego mutantu, miał jakieś znaczenie.

Tylko jakie?

Spojrzał na zegarek. Minęła północ. Page pewnie wyszedł już z pracy. Wróci do bloku małpisonów dopiero po południu. Szansa była niewielka, ale warto spróbować. Może Page zgodzi się go kryć, a może nie. Musiał zaryzykować.

Musiał zobaczyć ten odrzucony raport.

VI

Między dwunastą a pierwszą po południu na zaśmieconych ulicach było pełno ludzi. Wybrał tę porę, najruchliwszy czas w ciągu dnia, by zadzwonić. Dzwonił z budki telefonicznej w dużej, zatłoczonej drogerii. Wykręcił znajomy numer policji i stał, trzymając zimną słuchawkę przy uchu. Celowo nie wybrał linii wideofonu, tylko zwykły telefon. Bał się, że zostanie rozpoznany.

Zgłosiła się recepcjonistka. Nie znał jej głosu. Widocznie nowa. Podał wewnętrzny do Page'a. Jeśli Witwer zwalniał personel i obsadzał stanowiska swoimi ludźmi, nie zdziwiłby się słysząc obcy głos.

— Słucham — w słuchawce zabrzmiał szorstki głos Page'a.

Anderton odetchnął z ulgą i niepewnie rozejrzał się dookoła. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Klienci spacerowali wśród półek, zajęci zakupami.

— Możesz teraz rozmawiać — spytał — czy jesteś zajęty?

Chwila ciszy. Oczyma wyobraźni widział niepewność na łagodnej twarzy Page'a, gdy ten zastanawiał się, co powinien zrobić. W końcu Page wydukał:

— Po... po co tu dzwonisz? Anderton zignorował pytanie. — Nie znam tej recepcjonistki.

Nowa?

— Jak wielu innych — odparł Page cicho. — Dużo się tu ostatnio zmieniło.

— Słyszałem — rzucił Anderton, po czym dodał z napięciem w głosie: — A co z tobą? Utrzymasz stołek?

— Poczekaj chwilę — Page odłożył słuchawkę i Anderton usłyszał stłumiony odgłos kroków. Potem cichy trzask zamykanych drzwi i Page wrócił do telefonu. — Teraz możemy spokojnie porozmawiać.

— Jesteś pewien?

— Nie bardzo. Gdzie jesteś?

— Spaceruję po Central Parku — odparł Anderton. — Rozkoszuję się słońcem.

— O ile znał Page'a, podszedł do drzwi, aby się upewnić, że podsłuch działa. Powietrzny oddział policji pewnie był w drodze. Mimo to musiał zaryzykować.

— Zmieniłem branżę — powiedział krótko. — Jestem teraz elektrykiem.

— O? — zdziwił się Page.

— Może masz dla mnie jakąś robotę? Mógłbym wpaść i obejrzeć wasze komputery. Najbardziej interesują mnie dane i zbiory analityczne w bloku małpisonów.

Page odpowiedział dopiero po chwili.

— Moglibyśmy... się umówić. Jeśli to naprawdę takie ważne.

— Naprawdę — zapewnił Anderton. — Kiedy ci pasuje?

— Mm — mruknął niechętnie Page — mają przyjść technicy do interkomu. Komisarz chce usprawnić system. Mógłbyś przyjść z nimi.

— Dobra. Kiedy?

— Powiedzmy o czwartej. Wejście B, poziom szósty. Będę tam... czekał.

— W porządku — odparł Anderton. — Mam nadzieję, że gdy się zjawię, nadal będziesz tam pracował.

Odłożył słuchawkę i szybko wyszedł z budki. Chwilę później przepychał się przez tłum okupujący pobliską kafeterię. Tam nikt go nie wypatrzył.

Miał jeszcze trzy i pół godziny. Czas ciągnął się w nieskończoność. To były trzy najdłuższe godziny w jego życiu.

Spotkali się zgodnie z planem.

Pierwsze słowa Page'a brzmiały:

— Chyba ci odbiło. Po coś tu w ogóle przyszedł?

— Nie zabawię długo — Anderton ostrożnie okrążył blok małpisonów, zamykając wszystkie drzwi. — Nie wpuszczaj nikogo. Nie mogę ryzykować.

— Powinieneś być sam odejść — targany strachem Page dreptał za nim. — Witwer kuje żelazo, póki gorące. Rozpętał taką aferę, że cały kraj łaknie twojej krwi.

Anderton nie zwracał na niego uwagi. Otworzył jedną z maszyn analitycznych.

— Który małpison dał raport mniejszości?

— Mnie nie pytaj... spadam stąd. — Przy wyjściu Page zatrzymał się na chwilę, wskazał środkowego mutantą i wyszedł. Drzwi zamknęły się automatycznie. Anderton został sam.

Środkowy. Znał go dobrze. Przykurczona, zgarbiona postać, która ostatnie piętnaście lat spędziła, siedząc w plątaninie kabli i przełączników. Anderton podszedł bliżej. Żadnej reakcji. Oczy prekoga były szkliste, nieobecne. Ślepy i obojętny na otaczającą go rzeczywistość, rozważał świat, który jeszcze nie zaistniał.

„Jerry” miał dwadzieścia cztery lata. Początkowo sklasyfikowano go jako dotkniętego wodogłowiem imbecyla, ale testy psychologiczne, przeprowadzone, gdy miał sześć lat, wykryły u niego zdolność do przewidywania przyszłości. Umieszczono go więc w rządowym centrum

treningowym i rozwijano tę umiejętność. Gdy skończył dziewięć lat, była już na tyle udoskonalona, że zaczęto ją wykorzystywać. Ale sam „Jerry” cały czas pozostawał zatopiony gdzieś w odmetach własnego debilizmu. Rozwijające się zdolności zupełnie zdominowały jego osobowość.

Anderton przykucnął i zaczął rozmontowywać obudowę, która chroniła szpule z taśmą przechowywane w maszynie analitycznej. Korzystając z odpowiednich schematów, ustalił miejsce, w którym informacje „Jerry’ego” odłączały się od pozostałych. Po kilku minutach znalazł dwie półgodzinne kasety — dane, których nie włączono do raportu większości. Za pomocą tabel kodowych odnalazł fragment taśmy dotyczący jego karty.

Obok zainstalowano skaner. Wstrzymując oddech, umieścił w nim taśmę, włączył ją i wyteżył słuch. Trwało to zaledwie chwilę. Już pierwsze zdanie wszystko wyjaśniało. Znalazł to, czego szukał.

Wizja „Jerry’ego” nie była zsynchronizowana. Z powodu niekonsekwentnego charakteru przewidywania badał on nieco inną przestrzeń czasową niż dwa pozostałe prekogi. Informacja, że Anderton popełni zbrodnię, była dla niego tylko fragmentem większej całości. Innymi słowy, był to element, który, w połączeniu z reakcją nań Andertona, stanowił kolejne ogniwo układanki.

Rzecz jasna, raport „Jerry’ego” podważał prawdziwość raportu większości. Po otrzymaniu informacji, że popełni przestępstwo, Anderton zmieniłby zdanie i do zabójstwa by nie doszło. Informacja o przewidywanym popełnieniu morderstwa sama przez się wykluczała jego zaistnienie. Prze — chwycenie karty z własnym nazwiskiem było dla Andertona wystarczającym hamulcem. Samoczynnie powstawała zatem nowa ścieżka czasowa. Tylko że raport „Jerry’ego” odrzucono.

Anderton przewinął taśmę i włączył nagrywanie. Używając opcji szybkiego kopiowania, zrobił duplikat raportu i wyjął go z maszyny. Miał teraz w ręku dowód, że karta była nieważna — zawierała nieaktualne informacje. Musiał tylko pokazać ją Witwerowi...

Jego własna głupota zaskoczyła go. Witwer na pewno widział tę część raportu, a mimo to przejął obowiązki komisarza i wydał rozkaz pościgu. Najwyraźniej nie miał zamiaru się wycofać i nie obchodziło go, czy Anderton jest winny, czy nie.

Co więc miał zrobić? Kogo mogła zainteresować ta taśma?

— Ty cholerny głupcze! — usłyszał za plecami.

Odwrócił się gwałtownie. W drzwiach, ubrana w policyjny mundur, stała Lisa i patrzyła na niego z wyrazem przerażenia i konsternacji na twarzy.

— Nie przejmuj się mną — rzucił krótko, pokazując szpulę z taśmą. — Właśnie wychodziłem. Skrzywiła się i ruszyła w jego stronę.

— Gdy Page mi powiedział, nie mogłam uwierzyć. Niepotrzebnie cię wpuścił. Wciąż nie pojmuje, kim się stałeś.

— No kim? — spytał szorstko Anderton. — Zanim odpowiesz, może posłuchaj tej taśmy.

— Ani mi się śni! Wynoś się stąd! Ed Witwer wie, że tu jesteś. Page stara się go jakoś zająć, ale... — przerwała nagle, oglądając się za siebie. — Już tu jest! Zaraz dostanie się do środka.

— Nie możesz użyć swoich wdzięków? Pewnie zaraz o mnie zapomni. Lisa rzuciła mu gorzkie spojrzenie.

— Na dachu stoi statek patrolowy. Jeśli chcesz się stąd wydostać... — głos uwiązł jej w gardle. — Za chwilę będę odlatywać. Jeśli chcesz lecieć ze mną...

— Chcę — odparł. Nie miał wyboru. Znalazł taśmę, miał dowód, ale nie opracował żadnej drogi ucieczki. Ruszył biegiem za żoną. Wydostali się z bloku bocznymi drzwiami i ruszyli w dół korytarzem gospodarczym.

— To dobry, szybki statek — rzuciła Lisa przez ramię. — Zatankowany do pełna. Miałam dokonać inspekcji wybranych jednostek.

VII

Siedząc za sterami szybkiego policyjnego krążownika, Anderton wyjaśnił żonie, co zawierała taśma z odrzuconym raportem. Lisa słuchała bez słowa, z dłońmi zaciśniętymi na udach.

W dole, niczym mapa plastyczna, rozciągały się zniszczone przez wojnę tereny — ruiny farm i fabryk, opustoszałe obszary między miastami, poprzecinane siecią kraterów po bombach.

— Zastanawiam się — powiedziała, gdy skończył — ile razy zdarzyło się to w przeszłości.

— Raport mniejszości? Setki razy.

— Nie. Chodzi mi o to, że jeden z mutantów nie zsynchronizował się. Używając jako danych informacji z raportów dwóch pozostałych prekogów... wykluczył je. — Spoglądała na niego ze smutkiem. — Może w obozach siedzi więcej takich jak ty.

— Nie — upierał się Anderton. Ale i jemu nie dawało to spokoju. — Ja miałem możliwość zobaczenia karty, przejrzenia raportu. I dlatego tak się stało.

— Ale... — zaczęła Lisa — ale może oni wszyscy zareagowaliby podobnie. Mogliśmy powiedzieć im prawdę.

— Nie można było podjąć tak dużego ryzyka — wciąż trwał przy swoim. Roześmiała się głośno.

— Ryzyko? Prawdopodobieństwo? Niepewność? Mając mutanty? Anderton skupił się na pilotażu.

— To sprawa bez precedensu — powtórzył. — Musimy ją jak najszybciej wyjaśnić. Później rozważymy aspekty teoretyczne. Muszę pokazać tę taśmę komu trzeba... zanim twój sprytny młody przyjaciel ją zniszczy.

— Zabierzesz ją do Kapłana?

— Oczywiście. — Postukał w szpulę, która leżała między nimi na siedzeniu. — Zainteresuje go. To dowód, że nic mu nie grozi.

Lisa wyjęła z torebki papierośnicę.

— I liczysz na to, że ci pomoże?

— Może tak, może nie. Warto spróbować.

— Jakim cudem udało ci się ukryć tak szybko? — spytała. — Trudno o dobry kamuflaż.

— Wystarczy mieć pieniądze — odparł wymijająco. Lisa zamyśliła się.

— Może Kapłan rzeczywiście będzie cię chronił — powiedziała. — Ma władzę i możliwości.

— Myślałem, że to tylko emerytowany generał.

— Oficjalnie... tak właśnie jest. Ale Witwer ma jego dossier. Kapłan jest szefem jedynej w swoim rodzaju elitarniej organizacji weteranów. To coś w rodzaju klubu, wąskie grono ściśle określonych ludzi. Tylko wysocy oficerowie... międzynarodowe stowarzyszenie skupiające byłych żołnierzy obu stron. Tu, w Nowym Jorku, mają ogromną rezydencję, trzy pisma i program telewizyjny, na który wydają fortunę.

— Do czego zmierzasz?

— Do niczego. Przekonałeś mnie, że jesteś niewinny. To znaczy, że nie popełnisz tego morderstwa. Ale musisz zdać sobie sprawę, że raport większości to nie podróbka. Nikt go nie spreparował. Ani Ed Witwer, ani też nikt inny nie knuje przeciwko tobie. Jeśli uznajesz raport mniejszości za autentyczny, musisz przyjąć, że raport większości też taki jest.

— Masz rację — przytaknął niechętnie.

— Ed Witwer — ciągnęła Lisa — działa w dobrej wierze. Naprawdę uważa, że jesteś

potencjalnym zabójcą... bo i czemu nie? Ma przecież na biurku raport większości, a ty masz w kieszeni kartę.

— Zniszczyłem ją — szepnął Anderton. Lisa pochyliła się ku niemu.

— Ed Witwer nie robi tego, żeby dostać twój stołek. — Powiedziała. — Robi to z tych samych pobudek, które kierowały tobą przez tyle lat. Wierzy w Prewencję. Chce, żeby system nadal działał. Rozmawiałam z nim i jestem pewna, że mówi prawdę.

— Chcesz, żebyśmy pokazał tę taśmę Witwerowi? — zapytał Anderton. — Jeśli to zrobię... pozbędzie się jej.

— Bzdura — sprzeciwiła się. — Od początku miał przecież oryginał. Mógł go zniszczyć, gdyby tylko chciał.

— Racja — przyznał. — Całkiem możliwe, że po prostu nie wiedział.

— Oczywiście, że nie. Spójrz na to z tej strony. Jeśli Kaplan zdobędzie tę taśmę, ośmieszy policję. Nie rozumiesz, dlaczego? To dowód, że raport większości był błędny. Ed Witwer ma rację. Musisz zostać złapany, jeśli Prewencja ma dalej działać. Myślisz o własnym bezpieczeństwie. Ale pomyśl przez chwilę o systemie. — Zgasiła papierosa i natychmiast wyjęła z torebki następnego. — Co jest dla ciebie ważniejsze: twoje bezpieczeństwo czy istnienie systemu?

— Moje bezpieczeństwo — odparł Anderton bez wahania.

— Jesteś pewien?

— Jeśli system ma przetrwać tylko dzięki więzieniu niewinnych ludzi, to zasługuje na to, by go zniszczyć. Moje bezpieczeństwo jest ważne, bo jestem człowiekiem. Poza tym...

Lisa wyjęła z torebki niewiarygodnie mały pistolet.

— Trzymam palec na spuście — powiedziała twardo. — Tak mi się przynajmniej wydaje. Nigdy nie używałam takiej broni, ale korci mnie, żeby spróbować.

— Chcesz, żebyśmy zawrócił? — spytał Anderton po chwili.

— Tak. Wracaj do komendy. Przykro mi. Jeśli nie potrafisz przedłożyć dobra systemu nad własne...

— Daruj sobie to kazanie — przerwał jej. — Zawrócę statek, ale nie zamieram wysłuchiwać, jak bronisz czegoś, pod czym nikt przy zdrowych zmysłach by się nie podpisał.

Lisa ze złością zacisnęła usta. Wciąż trzymając go na muszce, śledziła jego ruchy, kiedy zaczął zawracać. Statek nabrał przechyłu i kilka przedmiotów spadło na podłogę. Jedno skrzydło wzniosło się majestatycznie ku górze, niemal osiągając pion.

Przypięci pasami, oboje bezpiecznie siedzieli w fotelach. Trzeci pasażer — nie.

Kątem oka Anderton dostrzegł jakiś ruch. W tej samej chwili usłyszał głuchy łoskot. Zwalisty mężczyzna stracił grunt pod nogami i zderzył się ze ścianą statku. To, co nastąpiło potem, trwało zaledwie kilka sekund. Fleming szybko odzyskał równowagę i, zataczając się, próbował złapać pistolet, który trzymała Lisa. Anderton był zbyt zaskoczony, by ją ostrzec. Obróciła się, zobaczyła mężczyznę... i krzyknęła. Fleming wytrącił jej broń z ręki. Pistolet potoczył się po podłodze.

Fleming odepchnął Lisę i podniósł broń.

— Przepraszam — wykrztusił — że zwlekałem tak długo, ale myślałem, że powie coś więcej.

— Byłeś tu, kiedy... — zaczął Anderton i urwał. To jasne, że Fleming i jego ludzie obserwowali go przez cały czas. Doskonale wiedzieli o statku Lisy. Gdy ona zastanawiała się, czy zabrać Andertona ze sobą, Fleming zakradł się na statek i ukrył w luku bagażowym.

— Będzie lepiej — powiedział Fleming — jeśli dasz mi tę taśmę. — Wyciągnął po nią wilgotne paluchy. — Miałeś rację... Witwer by ją zniszczył.

— Kaplan też? — spytał Anderton, wciąż zaskoczony obecnością Fleminga.

— Kaplan współpracuje bezpośrednio z Witwerem. To dlatego jego nazwisko figuruje na karcie. Który z nich jest rzeczywistym szefem, nie wiemy. Możliwe, że żaden. — Fleming odrzucił

na bok mały pistolecik i wyjął swój służbowy. — Popelnileś błąd, wsiadając z nią na statek. Mówiłem ci, że ona też jest w to zamieszana.

— Nie wierzę — zaprotestował Anderton. — Jeśli ona...

— Nic nie kapujesz. Ten statek przygotowano na rozkaz Witwera... Chcieli cię wywieźć poza budynek, żebyśmy nie mogli się do ciebie dostać. Zostawiony sam sobie nie miałbyś żadnych szans.

Twarz Lisy przybrała dziwny wyraz.

— Nieprawda — szepnęła. — Witwer nic nie wiedział o tym statku. Miałam nadzorować...

— Prawie ci się udało — przerwał jej twardo Fleming. — Będziemy mieli szczęście, jeśli nie leci już za nami jakiś patrol. Nie było czasu żeby to sprawdzić. — Przykucnął za fotelem Lisy. — Po pierwsze, musimy się jej pozbyć. Potem trzeba cię przenieść gdzie indziej. Tu jesteś spalony. Page na pewno już powiedział Witwerowi o twoim nowym przebraniu i te informacje podają teraz wszystkie media.

Wciąż kucając, chwycił Lisę i rzuciwszy swój pistolet Andertonowi, sprawnie wykręcił jej szyję w bok i do góry, tak że skronią dotykała oparcia fotela. Lisa drapała go wściekle, wyjąc z przerażenia, nie zwracał jednak na to uwagi. Zaciśnął ogromne łapska wokół jej szyi i zaczął dusić.

— Żadnej rany postrzałowej — wyjaśnił, dysząc ciężko. — Będzie miała wypadek. Wyleci ze statku. Takie rzeczy się zdarzają. W tym jednak przypadku wyleci ze skręconym karkiem.

Anderton zastanawiał się, czemu zwlekał tak długo. W końcu uniósł pistolet i grzmotnął Fleminga kolbą w tył głowy. Ohydne łapska poluźniły uścisk. Fleming osunął się bezwładnie i oparł o ścianę statku. Próbował wstać, ale Anderton uderzył go ponownie, tym razem nad lewym okiem. Mężczyzna upadł i znieruchomiał.

Lisa z trudem łapała oddech; dopiero po jakimś czasie na jej pobladłej twarzy znów pojawiły się słabe rumieńce.

— Możesz przejąć stery? — spytał Anderton.

— Tak... mi się wydaje. — Machinalnie chwyciła wolant. — Nic mi nie będzie. Nie przejmuj się mną.

— Ten pistolet — powiedział — to broń wojskowa. Ale nie z wojny. To jeden z najnowszych typów. Może sprawy nie zaszły jeszcze za daleko...

Podczołgał się do miejsca, w którym leżał Fleming. Starając się nie dotykać jego głowy, rozpiął mu płaszcz i przetrząsnął kieszenie. Po chwili przeglądał zawartość przesiąkniętego potem portfela.

Jak wynikało z dokumentów, Tod Fleming był majorem w Wewnętrznym Departamencie Wywiadu Wojskowego. Między papierami Anderton znalazł dokument podpisany przez generała Leopolda Kaplana, który stwierdzał, że Fleming znajduje się pod specjalną opieką jego grupy, określonej jako Międzynarodowe Stowarzyszenie Weteranów.

Fleming i jego ludzie działali z polecenia Kaplana. Ciężarówka, wypadek, wszystko zostało zaaranżowane.

Znaczyło to, że Kaplan celowo trzymał go z dala od policji. Ludzie generała wprowadzili go z domu, gdy się pakował. Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego to zrobili. Musieli mieć pewność, że zdążą przed policją. Od samego początku chodziło o to, żeby Witwer nie zdołał go aresztować.

— Mówiłaś prawdę — powiedział do żony, siadając obok niej. — Czy możemy skontaktować się z Witwerem?

Skinęła głową i wskazując radiostację na tablicy rozdzielczej, spytała:

— Co znalazłeś?

— Połącz mnie z Witwerem. Muszę jak najszybciej z nim porozmawiać. To pilne.

Wybrała numer, weszła w zamknięte pasmo i połączyła się z kwaterą główną nowojorskiej

policii. Wkrótce na ekranie pojawiła się twarz Eda Witwera.

— Pamiętasz mnie? — spytał Anderton.

Witwer zbladł.

— Dobry Boże. Co się stało? Lisa, złapałaś go? — Nagle zobaczył pistolet w rękę Andertona.

— Posłuchaj — powiedział ostro — jeśli coś jej zrobisz... Nieważne, co myślisz. To nie ona jest za to odpowiedzialna.

— Zdażyłem się o tym przekonać — odparł Anderton. — Możesz nam pomóc? Możemy potrzebować ochrony w drodze powrotnej.

— Powrotnej?! — Witwer patrzył na niego z niedowierzaniem. — Wracasz? Poddajesz się?

— Tak — potwierdził Anderton i dodał z naciskiem: — Jest jedna rzecz, którą musisz zrobić natychmiast. Zamknij blok małpisonów. Upewnij się, że nikt tam nie wejdzie... Page czy ktokolwiek inny. A zwłaszcza wojskowi.

— Kaplan — Witwer pokiwał głową.

— Co z nim?

— Był tu. Dopiero co wyszedł.

Serce Andertona na moment przestało bić.

— Co tam robił?

— Zbierał jakieś dane. Sporządzał kopie dotyczących ciebie raportów. Twierdził, że potrzebuje ich jedynie dla własnego bezpieczeństwa.

— Czyli już je ma — westchnął Anderton. — Za późno.

— Mów wreszcie, o co chodzi? Co się dzieje? — krzyknął Witwer.

— Powiem ci — odparł Anderton — gdy tylko wrócę do swojego biura.

VIII

Witwer czekał na dachu wieżowca. Gdy statek wylądował, grupa eskortujących go pojazdów odleciała. Anderton podszedł do młodego mężczyzny.

— Masz, czego chciałeś — powiedział. — Możesz mnie zamknąć i wysłać do obozu. Ale to nie wystarczy.

W niebieskich oczach Witwera dostrzegł niepewność.

— Obawiam się, że nie rozumiem...

— To nie moja wina. Nie powinienem był opuszczać budynku policji. Gdzie Wally Page?

— Już go zamknęliśmy — odparł Witwer. — Nie będzie już sprawiał żadnych problemów.

Twarz Andertona przybrała ponury wyraz.

— Trzymacie go z niewłaściwego powodu — powiedział. — Wpuszczenie mnie do bloku małpisonów to jeszcze nie przestępstwo. Ale przekazywanie informacji wywiadowi wojskowemu, owszem. Miałeś tu wtyczkę. To znaczy, ja miałem.

— Odwołałem pościg za tobą. Teraz wszystkie jednostki szukają Kapłana. — I co?

— Odjechał stąd wojskową ciężarówką. Śledziliśmy go, ale ciężarówka wjechała na teren koszar. Teraz zastawili wjazd czołgiem szturmowym R-3. Jeśli spróbujemy go usunąć, skończy się to wojną domową.

Lisa z trudem wysiadła ze statku. Była blada i drżała na całym ciele. Na jej szyi widniały czerwone pręgi, ślad po łapskach Fleminga.

— Co ci się stało? — spytał Witwer. Po chwili zauważył rozciągnięte na podłodze nieruchome ciało Fleminga. Spojrzał Andertonowi prosto w oczy. — W końcu przestałeś udawać, że to spisek,

który przygotowałem.

— Tak.

— Nie uważasz już, że to ja... — skrzywił się — wrabiałem cię, żeby zająć twój stółek.

— Przecież to prawda. Wszyscy postępujemy w ten sposób. Ja kombinuję, jak go nie stracić. Ale tu chodzi o coś innego... nie jesteś za to odpowiedzialny.

— Dlaczego wciąż się upierasz — spytał Witwer — że jest za późno, abys się poddał? Zamknę cię w obozie, minie jakiś tydzień i Kaplan wciąż będzie się cieszył dobrym zdrowiem.

— To prawda — przyznał Anderton. — Ale on ma w ręku dowód, że nawet gdybyście mnie nie zamknęli i tak by przeżył. Wszedł w posiadanie informacji, które potwierdzają błąd raportu większości. Dzięki temu może zniszczyć system Prewencji. Wóz albo przewóz... jeśli on wygra, my przegramy. Wojsko nas ośmieszy. Ich strategia okazała się skuteczniejsza.

— Dlaczego tyle ryzykują? Co chcą osiągnąć?

— Po wojnie angielsko — chińskiej armia straciła dawną pozycję. Skończyły się stare dobre czasy AFBZ. Wtedy oni decydowali o wszystkim. I sami prowadzili działania policyjne.

— Jak Fleming — dodała Lisa słabym głosem.

— Po wojnie Blok Zachodni został zdemilitaryzowany. Oficerów, takich jak Kaplan, wysłano na emeryturę, pozbyto się ich. Trudno się z czymś takim pogodzić. — Anderton uśmiechnął się gorzko. — Jestem w stanie go zrozumieć. Nie on jeden został tak potraktowany. Ale przecież musieliśmy jakoś podzielić władzę.

— Mówisz, że Kaplan wygrał — powiedział Witwer. — Nic nie da się już zrobić?

— Przecież go nie zabiję. Wiemy to my, wie i on. Pewnie pojawi się wkrótce, proponując jakiś układ. Pozwoli nam dalej działać, ale senat pozbawi nas prawdziwych wpływów i władzy. Nieciekawa perspektywa, co?

— Istotnie — przyznał Witwer. — Któregoś dnia to ja będę rządził tą agencją. — Zaczerwienił się. — Nie od razu, oczywiście.

Anderton spojrział na niego ponuro.

— Niedobrze się stało, że opublikowałeś raport większości. Gdybyś utrzymał go w tajemnicy, można by go po cichu wycofać. Teraz już za późno. Ta możliwość odpada.

— Na to wygląda — przyznał z zakłopotaniem Witwer. — Może... nie dostanę tej posady tak łatwo, jak mi się zdawało.

— Nie bój się, dostaniesz... w swoim czasie. Będiesz dobrym policjantem. Wierzysz przecież w status quo. Ale naucz się nie traktować wszystkiego tak serio. — Anderton wyminął go. — Teraz przestudiuję dokładnie raport większości. Muszę się dowiedzieć, w jaki sposób miałem zabić Kapłana. — Po chwili namysłu dodał: — Może to podsunie mi jakieś rozwiązanie.

Taśmy z informacjami „Donny” i „Mike’a” przechowywano osobno. Wybrawszy maszynę, która dokonała analizy „Donny”, zdjął osłony i wyjął zawartość. Tak jak poprzednio, dzięki kodowi znalazł odpowiednie szpule i już po chwili je odtwarzał.

Na taśmie było to, czego się spodziewał: materiał przekazany przez „Jerry’ego”, odrębna ścieżka czasowa. W tej wersji agencji wywiadu wojskowego, którym kierował Kaplan, porwali Andertona, gdy jechał z domu do pracy. Przewieziony do willi Kapłana, głównego centrum dowodzenia Międzynarodowego Stowarzyszenia Weteranów, musiał wybierać: albo dobrowolnie wywołał sabotaż w systemie Prewencji, albo naraził się na otwarty konflikt z wojskiem.

W odrzuconej wersji Anderton, jako komisarz policji, zwrócił się o pomoc do senatu. Ten jednak pomocy nie udzielił. Aby uniknąć wojny domowej, ratyfikowali rozwiązanie systemu policyjnego i zadekretowali powrót do kodeksu wojskowego, by „zażegnać ewentualny kryzys”. Zebrawszy najwierniejszych ludzi, Anderton odnalazł Kapłana i innych członków Stowarzyszenia Weteranów. Doszło do strzelaniny. Kaplan zginął na miejscu, zastrzelony przez Andertona.

Pozostali, choć odnieśli rany, przeżyli. Przewrót zakończył się pełnym sukcesem.

Taka była wersja „Donny”. Anderton cofnął taśmę, żeby przejrzeć materiał pochodzący od „Mike’a”. Powinien być identyczny z relacją „Donny”. Oba mutanty musiały stworzyć taki sam obraz wydarzeń. „Mike” zaczął tak samo jak „Donna”: Anderton dowiedział się o spisku Kaplana przeciw policji. Coś tu się jednak nie zgadzało. Zaskoczony, wrócił do początku nagrania. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu relacje obu prekogów nie były w pełni zgodne. Po raz kolejny odtworzył taśmę, słuchając uważnie.

Raport „Mike’a” różnił się znacznie od raportu „Donny”.

Po godzinie Anderton skończył porównywać oba raporty, odłożył taśmy i opuścił blok małpisonów. Na jego widok Witwer zapytał:

— Co się stało? Widzę, że coś jest nie tak.

— Nie — odparł Anderton, wciąż zatopiony w myślach. — Nie całkiem. — Za oknem usłyszał jakiś hałas. Wyrzwał na zewnątrz.

Na ulicy było pełno ludzi. Środkiem jezdni maszerowali czwórkami żołnierze. Karabiny, hełmy, mundury bojowe. Sztandary AFBZ powiewały na chłodnym popołudniowym wietrze.

— Parada — wyjaśnił ponuro Witwer. — Myliłem się. Nie zaproponują nam żadnego układu. Bo i po co? Kaplan ujawni błąd w raporcie.

Nie zaskoczyło to Andertona.

— Odczyta raport mniejszości?

— Na to wygląda. Zażądają, żeby senat zawiesił naszą działalność i odebrał nam władzę. Oskarżą nas o aresztowanie niewinnych ludzi... nocne naloty, i tak dalej. Terror.

— Myślisz, że senat się ugnie? Witwer zawahał się.

— Nie wiem, czy chcę czekać na odpowiedź.

— Według mnie — powiedział Anderton — tak właśnie będzie. To, co się dzieje na ulicy, zgadza się z informacjami, które zebrałem w bloku. Sami zapędziliśmy się w kozi róg. Teraz zostaje nam już tylko jedno. — Jego oczy płonęły stalowym blaskiem.

— To znaczy? — zapytał Witwer.

— Gdy ci powiem, zaczniesz się zastanawiać, dlaczego sam na to nie wpadłeś. Przecież to oczywiste. Muszę postąpić tak, jak wynika z raportu większości. Zabić Kaplana. To jedyny sposób, żeby uniknąć kompromitacji.

— Ale przecież — zaproponował Witwer — raport większości zdezaktualizował się.

— Nadal mogę to zrobić — odparł Anderton — tyle że za odpowiednią cenę. Wiesz przecież, co grozi za zabójstwo pierwszego stopnia?

— Dożywocie.

— W najlepszym razie. Jeśli jednak wykorzystasz swoje wpływy, może uda ci się zamienić je na wygnanie. Możecie wysłać mnie do jednej z odległych kolonii planetarnych, na stare, dobre pogranicze.

— Podoba ci się takie rozwiązanie?

— Jasne, że nie — odparł Anderton — ale z dwojga złego to chyba lepsze. Trzeba to zrobić.

— Ale jak zabijesz Kaplana? Anderton wyjął pistolet Fleminga.

— Choćby tym.

— Dopuszczą cię do niego?

— Niby dlaczego nie? Mają przecież raport mniejszości, z którego jasno wynika, że zmieniłem zdanie.

— Więc i ten raport jest błędny?

— Nie — zaprzeczył Anderton — mówi prawdę. Ale ja i tak zabiję Kaplana.

IX

Nigdy nikogo nie zabił. Nigdy też nie widział zabójstwa. A był przecież komisarzem policji od trzydziestu lat. Dla tego pokolenia zabójstwa z premedytacją przestały istnieć. Po prostu się nie zdarzały.

Samochód policyjny zawiózł go w pobliże defilującego wojska. Ukryty na tylnym siedzeniu, dokładnie sprawdził pistolet Fleminga. Wszystko było w porządku. Anderton nie miał już żadnych wątpliwości. Wiedział, jak zakończy się ta historia. Schował pistolet do kieszeni, otworzył drzwi i wysiadł z auta.

Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Ludzie przepychali się, by znaleźć się jak najbliżej maszerujących. Wszędzie pełno było mundurowych, a na wydzielonym dla żołnierzy terenie ustawiono czołgi i inną ciężką broń.

Wojskowi wzniesli metalową trybunę. Za nią powiewała ogromna flaga AFBZ, symbol sprzymierzonych sił, które brały udział w wojnie. Jak na ironię, Stowarzyszenie Weteranów skupiało także oficerów, którzy wtedy walczyli po stronie wroga. Ale generał pozostawał generałem, a kolory odznaczeń z czasem blakły i różnice zacierały się.

Pierwsze rzędy zajmowali najwyższą rangą członkowie dowództwa AFBZ. Za nimi siedzieli młodszy oficerowie. Sztandary poszczególnych regimentów powiewały mnogością kolorów i emblematów. Na trybunie zasiedli dygnitarze Stowarzyszenia Weteranów, pogrążeni w pełnym napięciu oczekiwaniu. Na obrzeżach tłumu rozmieszczono kilka jednostek policji, które rzekomo miały czuwać nad porządkiem. W rzeczywistości byli to informatorzy uważnie obserwujący otoczenie. Gdyby zaszła konieczność przywrócenia porządku, zrobiliby to wojsko.

Popołudniowy wiatr niósł przytłumione głosy zebranego tłumu. Anderton z trudem przedzierał się przez zwartą masę ciał. Ludzie byli wyraźnie poruszeni i podekscytowani. Czuli, że dzieje się coś podniosłego, wyjątkowego. Anderton zdołał obejść rzędy ustawionych krzeseł i podszedł do ciasno zbitej gromadki oficerów opodal trybuny.

Kaplan też tam był. Teraz już jako generał Kaplan.

Kamizelka, złoty zegarek na łańcuszku, laska i garnitur znikły. Na tę okazję założył swój stary, pachnący naftaliną mundur, do którego przypiął również wszystkie odznaczenia i medale. Na nogach miał oficerki, a na głowie generalską czapkę z daszkiem. Wyprostowany jak struna, w otoczeniu ludzi z dawnego sztabu generalnego, wyglądał doprawdy imponująco.

Zauważywszy Andertona, odłączył od grupy i ruszył w jego stronę. Widać było, że się cieszy ze spotkania z komisarzem policji.

— Co za niespodzianka — powiedział, wyciągając dłoń w szarej rękawiczce. — Wydawało mi się, że obecny komisarz już pana aresztował.

— Wciąż cieszę się wolnością — odparł krótko Anderton, potrząsając dłonią generała. — W końcu Witwer ma tę samą taśmę. — Wskazał paczkę, którą Kaplan trzymał w drugiej ręce, i spojrzał mu prosto w oczy.

Generał był w świetnym humorze.

— To dla wojska wspaniała okazja — wyznał. — Ucieszy pana wieść, że zamierzam przedstawić opinii publicznej wszystkie szczegóły związane z postawieniem panu fałszywych zarzutów.

— To dobrze — odparł oschle Anderton.

— Ujawnimy, że został pan niesłusznie oskarżony. — Wyraźnie starał się wybadać, ile Anderton wie. — Czy Fleming znalazł czas, by zaznajomić pana z sytuacją?

— Do pewnego stopnia — odpowiedział Anderton. — Czy odczyta pan tylko raport

mniejszości? Czy tylko to ma pan w tej paczce?

— Mam zamiar porównać oba raporty. — Generał skinął na adiutanta, który podał mu skórzaną teczkę. — Tutaj są wszystkie potrzebne nam dowody. Nie ma pan chyba nic przeciwko temu, że użyjemy pana jako przykładu? Pański przypadek symbolizuje los innych niewinnie aresztowanych. — Spojrzał na zegarek. — Czas zaczynać. Czy zechce pan towarzyszyć mi na mównicy?

— Ja? A po co?

Chłodno i z dobrze skrywanym gniewem, Kaplan odparł:

— Żeby mogli zobaczyć żywy dowód moich słów. Ja i pan, razem... zabójca i jego ofiara. Stoją ramię w ramię, ujawniając cyniczne machinacje sił policyjnych.

— Z przyjemnością — zgodził się Anderton. — Na co jeszcze czekamy? Generał Kaplan ruszył w stronę trybuny. Zerkał raz po raz na Andertona, jakby się zastanawiał, po co komisarz się tu zjawił i ile wie. Jego niepokój wyraźnie wzrósł, gdy Anderton wspiął się po schodach na podium i stanął tuż obok mównicy.

— Zdaje pan sobie sprawę z konsekwencji mojego wystąpienia — powiedział. — Możliwe, że senat ponownie rozważy sens istnienia systemu Prewencji.

— Rozumiem — odparł Anderton, splatając ręce na piersiach. — Zaczynamy.

Tłum ucichł. Ale kiedy Kaplan zaczął wyjmować z teczki dokumenty, od strony zebranych dobiegł niespokojny pomruk.

— Człowiek, który stoi obok mnie — zaczął generał — jest wam dobrze znany. Dziwicie się zapewne, widząc go tu, bo jeszcze niedawno policja ścigała go jako niebezpiecznego zabójcę.

Oczy zebranych skierowały się na Andertona. Wprost pożerali go wzrokiem. Był wszak jedynym potencjalnym zabójcą, jakiego mieli okazję zobaczyć z bliska.

— Jednak przed kilkoma godzinami — podjął generał — rozkaz został cofnięty. Czy dlatego, że były komisarz dobrowolnie oddał się w ręce wymiaru sprawiedliwości? Nie. Przecież siedzi tu z nami. Nie poddał się, a jednak policja już się nim nie interesuje. John Allison Anderton nie był, nie jest i nie będzie winny jakiegokolwiek zbrodni. Postawione mu zarzuty były nieprawdziwe. To wynik diabolicznych wynaturzeń, do jakich doszło w wypaczonym systemie karnym. Systemie, który stał się monstrualną, bezduszną maszyną niszczącą życie tysięcy niewinnych mężczyzn i kobiet.

Zafascynowany tymi rewelacjami tłum spoglądał to na Kaplana, to na Andertona. Wszyscy zdążyli się już zorientować w sytuacji.

— Wielu ludzi pojmano i uwięziono dzięki tak zwanemu profilaktycznemu systemowi Prewencja — ciągnął Kaplan coraz donioślejszym głosem. — Oskarżano ich nie o zbrodnie, które popełnili, lecz o te, które mieli popełnić. Zakładano bezpodstawnie, że gdyby ludzie ci pozostali na wolności, w niedługim czasie dopuściliby się ciężkich zbrodni.

Ale pewna wiedza o przyszłości nie istnieje. Wszelkie otrzymane informacje natychmiast zaczynają się wzajemnie wykluczać. Stwierdzenie, że ten człowiek popełni w przyszłości zbrodnię to paradoks. Sam fakt posiadania takich informacji automatycznie czyni je fałszywymi. W każdym przypadku raporty otrzymane od trzech mutantów wykluczały się nawzajem. I nawet gdyby rzekomym sprawcom nie odebrano wolności, nie byłoby żadnych zbrodni.

Anderton słuchał przemówienia jednym uchem, ale tłum chłonał każde słowo generała. Kaplan streszczał właśnie raport mniejszości. Wyjaśnił jego pochodzenie i charakter.

Anderton ukradkiem wyjął z kieszeni pistolet i ukrył go pod połą płaszcza. Kaplan skończył omawiać odrzucony raport i sięgnął po informacje zebrane od „Donny” i „Mike’a”.

— Oto oryginalny raport większości — wyjaśnił — czyli dwóch mutantów, które twierdziły, że pan Anderton popełni zbrodnię. Teraz przedstawię materiały, które wykluczają taką ewentualność.

— Założył okulary i zaczął czytać.

Nagle jego twarz przybrała dziwny wyraz. Zająknął się i gwałtownie przerwał. Kartki wypadły mu z ręki. Niczym osaczone zwierzę obrócił się, przykucnął i odsunął od mównicy.

Jego wykrzywiona twarz mignęła Andertonowi tuż przed oczami. Wstał, uniósł pistolet i pociągnął za spust. Kapłan krzyknął, zachwiał się i trzepocząc rękami, runął z podestu na ziemię. Anderton podszedł do barierki i spojrzał na generała. Kolejny strzał był zbędny.

Kapłan, zgodnie z raportem większości, był martwy. Leżał nieruchomo, z ogromną dziurą w piersiach, a wokół jego ciała unosiła się chmura pyłu.

Anderton odwrócił się z niesmakiem i przeszedł między oniemiałymi oficerami, którzy dopiero teraz ruszali się z miejsc. Miał broń, która dawała mu pewność, że żaden z nich nie spróbuje go powstrzymać. Zeskoczył z platformy i wmieszał się w tłum. Przerażeni ludzie starali się zobaczyć, co się stało. Wypadek, który zdarzył się na ich oczach, trudno było wytłumaczyć.]Vfinie trochę czasu, zanim otrząsną się z pierwszego szoku.

Wydostawszy się z tłumu, Anderton podszedł do czekających na niego policjantów.

— Ma pan szczęście, że udało się panu uciec — szepnął jeden z nich już w samochodzie.

— To prawda — odparł Anderton. Próbował się uspokoić. Miał zawroty głowy i silne dreszcze. Gwałtownie pochylił się do przodu i zwymiotował.

— Biedaczysko — mruknął współczująco jeden z policjantów. Anderton nie wiedział, czy gliniarz miał na myśli Kapłana, czyjego samego.

X

Czterech barczystych policjantów pomagało Lisie i Johnowi Andertonom pakować rzeczy. Przez pięćdziesiąt lat były komisarz policji zgromadził sporo dóbr. Zamyślony przyglądał się, jak zanoszono pudła do czekających ciężarówek.

Ciężarówkę zawiozą je na połowe lotnisko, z którego polecą wewnątrz — systemowym promem na Centaura X. Długa podróż dla starego człowieka. Ale była to podróż w jedną stronę, chociaż tyle.

— Przedostatnie pudło — powiedziała Lisa. Ubrana w sweter i luźne spodnie, biegła po opustoszałym domu, sprawdzając, czy niczego nie zapomnieli. — Chyba nie będziemy mogli tam używać tych nowych urządzeń. Na Centaurze wszystko mają jeszcze na prąd.

— To chyba niewielki problem — odparł Anderton.

— Przyzwyczajmy się — posłała mu przelotny uśmiech. — Prawda?

— Mam nadzieję. Jesteś pewna, że nie będziesz żałować? Gdybym...

— Jestem pewna — przerwała mu. — A teraz pomóż mi z tym pudłem.

Gdy wsiedli do pierwszej ciężarówce, pojawił się Witwer. Wyskoczył z samochodu i podbiegł do nich. Twarz miał dziwnie zmartwioną.

— Zanim odleciś — powiedział do Andertona — musisz mi wyjaśnić, jak wygląda sytuacja z raportami. Naciskają mnie w senacie. Chcą wiedzieć, czy raport pośredni, ten, który unieważniał pierwszy z raportów, był błędny czy nie. — Zamilkł na chwilę i dodał zakłopotany: — Wciąż nie potrafię tego wyjaśnić. To raport mniejszości był nieprawdziwy?

— Ale który raport? — spytał rozbawiony Anderton.

Witwer zamrugnął.

— Więc to tak. Mogłem się domyślić.

Anderton wyjął fajkę, nabił ją tytoniem i zapalił zapalniczką żony. Lisa jeszcze raz wróciła do domu, by się upewnić, że wszystko zabrali.

— Istniały trzy raporty mniejszości — powiedział i uśmiechnął się, widząc zaskoczenie młodego mężczyzny. Któregoś dnia Witwer nauczy się nie mieszać w sprawy, które go przerastają.

Anderton czuł satysfakcję. Choć stary i niepotrzebny, tylko on potrafił ogarnąć cały problem.

— Były trzy raporty mniejszości — wyjaśnił — Pierwszy od „Donny”. W tej ścieżce czasowej Kaplan zdradził mi istotę spisku i niedługo potem go zamordowałem. „Jerry” poszedł trochę dalej niż „Donna”. Użył jej raportu jako danych. Włączył w to fakt, że wiedziałem o obciążającym mnie raporcie „Donny”. U niego nie chciałem zabić Kaplana. Liczyło się tylko utrzymanie posady i zachowanie wolności oraz dotychczasowego trybu życia.

— A raport „Mike’a” był trzeci. Ukazał się już po raporcie mniejszości? To znaczy ukazał się jako ostatni?

— Tak, raport „Mike’a” był ostatni. Znając pierwszy raport, postanowiłem nie zabijać Kaplana. To przyczyniło się do powstania drugiego raportu, którego poznanie skłoniło mnie do zmiany decyzji. Drugi raport i druga sytuacja to to, co chciał osiągnąć Kaplan. A policji zależało na odtworzeniu sytuacji z pierwszego raportu. Do tego czasu myślałem już o policji i odkryłem, co planował Kaplan. Trzeci raport unieważnił drugi w ten sam sposób, w jaki drugi raport wykluczył pierwszy. I to cofnęło nas do punktu wyjścia.

Nadbiegła zdyszana Lisa.

— Jedźmy już. Wszystko zabraliśmy. — Zwinnie wspięła się do kabiny i usiadła obok męża. Kierowca włączył silnik, dając innym ciężarówkom hasło do odjazdu.

— Każdy raport był inny — podsumował Anderton — jedyny w swoim rodzaju. Ale dwa z nich zgadzały się w jednym punkcie. Jeśli zostanę na wolności, zabiję Kaplana. To stworzyło złudzenie raportu większości. I właściwie to wszystko było jednym wielkim złudzeniem. „Donna” i „Mike” przewidzieli to samo zdarzenie... ale w dwóch różnych ścieżkach czasowych, które zdarzyły się w odmiennych okolicznościach. „Donna” i „Jerry”, czyli pół raportu większości i raport mniejszości, pomylili się. Z całej trójki tylko „Mike” miał rację... bo po nim nie ukazał się już żaden raport, który mógłby podważyć jego przewidywania. I tak to się kończy.

Witwer dreptał równo z ciężarówką. Na jego twarzy malował się niepokój.

— Czy to się powtórzy? Czy trzeba poprawić ustawienia?

— Może się zdarzyć tylko w wyjątkowych okolicznościach — odparł Anderton. — Mój przypadek był wyjątkowy, bo miałem dostęp do danych. Mogłoby się to zdarzyć... ale tylko kolejnemu komisarzowi policji. Musisz więc być czujny. — Uśmiechnął się szeroko, patrząc na zatroskane oblicze Witwera.

Lisa zacisnęła rękę na jego dłoni.

— Miej oczy dookoła głowy — poradził Anderton Witwerowi. — Tobie też może się przydarzyć coś takiego.

MECHANIZM PAMIĘCI

Nazywam się Humphrys — powiedział psychoanalityk. — To ze mną chciał się pan widzieć. — Na twarzy pacjenta dostrzegł strach i wrogość, więc dodał: — Mogę opowiedzieć anegdotę o analitykach. Czy to poprawi panu nastrój? Albo przypomnieć, że opłaca mnie Państwowa Kasa Chorych. Nie wyda pan z własnej kieszeni ani centa. Mogę też przytoczyć opowieść o psychoanalityku, który w zeszłym roku popełnił samobójstwo. Zrobił to, bo zamartwiał się nieuczciwie wypełnionym zeznaniem podatkowym. Pacjent zdobył się na słaby uśmiech.

— Słyszałem o tej sprawie. Więc i psychologowie popełniają błędy. — Wstał i wyciągnął rękę. — Nazywam się Paul Sharp. Moja sekretarka umówiła mnie z panem. Mam drobny problem, nie poważnego, ale chciałbym go rozwiązać.

Wyraz jego twarzy wskazywał, że problem wcale nie jest błahy, a jego rozwiązanie to sprawa życia lub śmierci.

— Proszę wejść — powiedział Humphrys, otwierając drzwi gabinetu. — Usiądźmy wygodnie.

Sharp opadł na miękki fotel i wyprostował nogi. — Nie ma kozetki — zauważył.

— Zniknęły gdzieś około 1980 — odparł Humphrys. — Powojenni psychoanalitycy czują się na tyle pewnie, że nie muszą siedzieć wyżej od pacjenta. — Poczęstował Sharpa papierosem i sam zapalił. — Pańska sekretarka nie podała mi żadnych szczegółów. Powiedziała tylko, że potrzebuje pan porady.

— Mogę być z panem szczerzy? — spytał Sharp.

— Wiąże mnie umowa — wyjaśnił z dumą Humphrys. — Jeśli cokolwiek z tego, co pan mi powie, wpadnie w ręce służb bezpieczeństwa, będę musiał zapłacić grzywnę w wysokości około dziesięciu tysięcy dolarów w srebrnych monetach Bloku Zachodniego. Twarda waluta, nie jakieś tam papierki.

— To mi wystarczy — powiedział Sharp i przeszedł do rzeczy. — Jestem ekonomistą, pracuję w Departamencie Rolnictwa — Wydział Odzysku Mienia. Zaglądam do lejów po bombach wodorowych i sprawdzam, co warto odbudować. A dokładniej, przeglądam raporty o zniszczeniach i udzielam rekomendacji. To ja poleciłem odzyskać tereny uprawne wokół Sacramento i obszar przemysłowy tu, w Los Angeles.

Humphrys był pod wrażeniem. Oto siedzi przed nim facet zajmujący się planowaniem dla rządu. Zdał sobie jednocześnie sprawę, że Sharp, jak każdy zwyczajny, nękanymi łękami obywatel, zgłosił się do Psychofrontu po pomoc.

— Moja szwagierka zrobiła dobry interes na terenach, które odzyskaliście w Sacramento — powiedział. — Miała tam niewielki sad orzechowy. Rząd sfinansował usunięcie pyłu, odbudowę domu i pomieszczeń gospodarczych i nawet podarował jej tuzin nowych drzew. Poza raną na nodze ma się teraz tak dobrze jak przed wojną.

— Tak, jesteśmy zadowoleni z projektu Sacramento — przytaknął Sharp. Zaczął się pocić. Na jego gładkim, bladym czole pojawiły się zmarszczki, papieros w ręce drżał. — Oczywiście, północna Kalifornia interesuje mnie ze względów osobistych. Urodziłem się tam, niedaleko Petalomy. To było zagłębienie kurzych ferm... — jego głos załamał się gwałtownie. — Humphrys — wybełkotał. — Co ja mam zrobić?

— Przede wszystkim musi mi pan opowiedzieć więcej.

— Mam... — Sharp uśmiechnął się bezmyślnie — mam jakieś halucynacje. Od lat, ale jest coraz gorzej. Próbowałem się ich pozbyć... — dodał gestykulując — one jednak wracają, i nasilają

się...

Obok biurka pracowały cicho kamera i magnetofon.

— Proszę mi opowiedzieć coś więcej o tych halucynacjach — zachęcił Humphrys — a może zdołam ustalić ich przyczynę.

Był zmęczony. Siedział otepiały w zaciszu salonu, przeglądając stertę raportów o mutacjach marchwi. Jakaś jej odmiana, zewnętrznie niczym nie — różniąca się od zwykłej, powodowała konwulsje, gorączkę i częściową ślepotę. Mnóstwo ludzi w Oregonie i Missisipi trafiło do szpitali. Dlaczego Oregon i Missisipi? Do raportu dołączono zdjęcia groźnej odmiany — wyglądała jak zwykła marchew. W raporcie był też opis toksycznego składnika oraz polecenie znalezienia antidotum.

Sharp odłożył ten raport i sięgnął po następny.

Wynikało z niego, że cieszący się złą sławą szczur z Detroit pojawił się w St Louis i Chicago. Zaatakował osady przemysłowe i rolnicze wzniesione w miejscu dawnych miast. Szczur z Detroit — Sharp widział kiedyś jednego.

Trzy lata temu. Wrócił do domu późno w nocy, otworzył drzwi i zobaczył w ciemnościach, jak coś czmychnęło. Uzbrojony w młotek, odsunął meble i znalazł go. Wielki szary szczur, który właśnie budował sieć — od ściany do ściany. Gdy zwierzę skoczyło, zabił je młotkiem. Szczur przedzający pajęczyny...

Wezwał zawodowego szczurołapa i zgłosił obecność szkodników.

Rząd powołał Agencję Zdolności Specjalnych, która zajęła się paranormalnymi zdolnościami mutantów wojennych z napromieniowanych obszarów. Ale, jak się zorientował, agencja zajmowała się tylko ludzkimi mutantami i ich telepatycznymi, proroczymi czy parakinetycznymi umiejętnościami. Powinna powstać także Agencja Zdolności Specjalnych dla warzyw i gryzoni.

Zza krzesła dobiegł go cichy odgłos. Obrócił się i zobaczył wysokiego, szczupłego mężczyznę w brązowym płaszczu i z cygarem w ręku.

— Przestraszyłem cię? — spytał Giller, chichocząc cicho. — Uspokój się, Paul. Wyglądasz, jakbyś miał zemdleć.

— Pracowałem — wyjaśnił Sharp, częściowo odzyskując spokój. — Ach, rozumiem.

— Właśnie rozmyślałem o szczurach. — Odsunął raporty na bok — Jak tu wszedłeś?

— Drzwi były otwarte — Giller zdjął płaszcz i rzucił na kanapę. — Zgadza się, to ty ubiłeś jednego z Detroit. W tym pokoju. — Rozejrzał się po elegancko, acz nie ostentacyjnie urządzonej salonie. — Czy mogą zabić?

— Zależy, gdzie cię dopadną. — Sharp poszedł do kuchni i znalazł w lodówce dwa piwa. Nalewając je do szklanek, powiedział: — Nie powinni marnować na to zboża... ale skoro już to robią, grzech nie wypić.

Giller ochoczo sięgnął po szklankę.

— Fajnie jest być grubą rybą i żyć w takim luksusie. — Jego małe, ciemne oczka z zaciekawieniem śledziły wystrój kuchni. — Własny piec, własna lodówka. — Cmoknął. — No i piwko. Nie piłem piwa od sierpnia.

— Jakoś przeżyjesz — powiedział Shaip bez cienia współczucia. — Czy to wizyta służbowa? Jeśli tak, to przejdź do rzeczy. Mam jeszcze sporo pracy.

— Chciałem się tylko przywitać z kolegą petalumańczykiem — powiedział Giller.

Sharp skrzywił się.

— To brzmi kretyńsko.

Giller zdawał się niepocieszony.

— Wstydzisz się, że pochodzisz z miejsca, które kiedyś było...

— Wiem, wiem. Jajeczną stolicą wszechświata. Czasem zastanawiam się... ile kurzego pierza latało w powietrzu w dniu, kiedy pierwsza bomba wodorowa uderzyła w nasze miasteczko?

— Miliardy piór — odparł posępnie Giller. — I niektóre z nich należały do mnie. To znaczy do moich kur. Twoja rodzina miała farmę, co?

— Nie — rzucił Sharp. Nie chciał być taki jak Giller. — Moja rodzina prowadziła aptekę przy autostradzie 101. Druga ulica za parkiem, koło sklepu sportowego. — I dorzucił pod nos: — Idź do diabła. Nie zmienię zdania, choćbyś nawet spędził przed moim domem resztę życia. Petaluma nie jest aż tak ważna, a poza tym wszystkie kury już nie żyją.

— Jak tam odbudowa Sacramento? — spytał Giller.

— W porządku.

— Znów pełno tych drzew orzechowych?

— Miejscowym orzechy wychodzą już bokiem.

— Myszy buszują w stertach skorup?

— Tysiące. — Sharp upił łyk piwa. Bardzo dobre. Pewnie tak dobre, jak przed wojną. Mógł tylko zgadywać. W 1961, gdy wybuchła, miał zaledwie sześć lat. Ale smak piwa przypominał mu tamte czasy — dostatnie i beztroskie.

— Z naszych obliczeń wynika — powiedział ochryplym głosem Giller — że obszar Petaluma — Sonoma można odbudować za jakieś siedem miliardów. To nic w porównaniu z pieniędzmi, które wydajecie.

— Tylko że Petaluma — Sonomy nie ma nawet co porównywać z obszarami, nad którymi pracujemy — burknął Sharp. — Myślisz, że potrzeba nam teraz jajek i wina? Bzdura. Potrzebujemy maszyn. A to oznacza Chicago, Pittsburgh, Los Angeles, St Louis i...

— Zapominasz o jednym — przerwał mu Giller. — Jesteś z Petaluma. Mówiąc tak, uciekasz od własnych korzeni... i od obowiązku, który na tobie spoczywa.

— O czym ty mówisz?! Myślisz, że rząd płaci mi za tworzenie lobby, które będzie wspierać jakiś mało ważny region farmerski? — Sharp aż poczerwieniał z gniewu. — Jeśli o mnie chodzi, to...

— Wszyscy tam to twoi krajanie — upierał się Giller. — I o nich powinieneś myśleć przede wszystkim.

Gdy Sharp w końcu pozbył się natręta, stał jeszcze przez chwilę w ciemnościach, wpatrując się w odjeżdżające auto Gillera. Cóż, pomyślał, tak to już jest... To ja jestem najważniejszy. Reszta niech się sama troszczy o siebie.

Westchnął i ruszył ciemną alejką w stronę ganku. W oknach przyjaźnie Połyskiwało światło. Drząc, wyciągnął rękę i chwycił poręcz.

I właśnie wtedy, gdy wolno wspinał się po schodach, stała się rzecz straszna. Światła w oknach nagle zamigotały, a poręcz rozpląnęła się pod jego dłonią. Narastający w uszach piskliwy skowyt zupełnie go ogłuszył. Spadał. Rozpaczliwie starał się czegoś złapać, ale otaczał go tylko pusty mrok. Żadnej materii. Żadnej rzeczywistości. Tylko otchłań, w którą leciał, i jego własny przeraźliwy krzyk.

— Ratunku! — wrzasnął. Odpowiedziało mu tylko echo. — Spadam!

Chwilę później leżał na mokrym trawniku, ściskając palcami kępki trawy i grudki ziemi. Pół metra od ganku... W ciemnościach nie trafił na pierwszy stopień, poślizgnął się i upadł. Zwykła rzecz. Poręcz zasłoniła światło z okien. Wszystko trwało zaledwie ułamek sekundy i nie spadł przecież z wysoka. Po prostu się przewrócił. Na czole miał krew. Skaleczył się, upadając.

Niegroźny, choć przykry wypadek.

Roztrzęsiony, wstał i wspinał się po schodach. W domu oparł się o ścianę. Wciąż drżał i ciężko dyszał. Stopniowo strach minął, a jego umysł znów zaczął pracować racjonalnie.

Czemu spadanie tak go przerażało?

Trzeba coś z tym zrobić. Tak źle nie było jeszcze nigdy. Nawet wtedy, gdy potknął się w biurze, przy wyjściu z windy i, wrzeszcząc wniebogłosy, zrobił z siebie widowisko.

Co by się stało, gdyby kiedyś naprawdę skądś spadł? Gdyby stracił równowagę na jednej z naziemnych ramp, które łączyły biurowce w Los Angeles? Upadłby na specjalne ochronne płachty. Takie wypadki zdarzały się często i nikt nigdy nie ucierpiał. Ale dla niego sam wstrząs psychiczny mógł być zabójczy. Na pewno byłby. Przynajmniej dla jego umysłu.

Zanotował sobie w pamięci: żadnego wchodzenia na rampy. Nigdy więcej. Już od lat ich unikał. Teraz jednak zaczął o nich myśleć jak o samolotach. Od 1982 roku nie odbył żadnego lotu. A w ciągu ostatnich kilku lat rzadko odwiedzał biura znajdujące się powyżej dziesiątego piętra.

Ale jeśli przestanie korzystać z ramp, jak dostanie się do swojego archiwum? Można się tam było wspiąć tylko po rampie — wąskiej, metalowej ścieżce, która biegła pod górę z niższych pięter.

Spocony i przerażony, opadł ciężko na tapczan i skulony zastanawiał się, jak zdoła kontynuować pracę.

I jak zdoła przeżyć.

Humphrys milczał, choć jego pacjent najwyraźniej skończył opowieść.

— Czy czuje się pan lepiej, jeśli powiem — spytał wreszcie — że strach przed spadaniem to bardzo powszechna fobia?

— Nie — odparł Sharp.

— Racja. To żadne pocieszenie. Mówi pan, że zdarzało się to już wcześniej? Kiedy po raz pierwszy?

— Miałem osiem lat. Wojna trwała od dwóch. Byłem na powierzchni i oglądałem swój ogródek warzywny. — Uśmiechnął się słabo. — Już jako dziecko musiałem coś hodować, coś tworzyć. W San Francisco wykryli ślady spalin sowieckiej rakiety. Wszystkie wieże ostrzegawcze zapłonęły jak na noworocznym pokazie fajerwerków. Byłem przy wejściu do schronu. Podbiegłem, podniosłem właz i rzuciłem się w stronę schodów. Na dole czekali rodzice. Poganiali mnie. Zacząłem zbiegać.

— I upadł pan? — wtrącił Humphrys.

— Niezupełnie. Nagle ogarnął mnie paniczny strach. Nie mogłem zrobić kroku. Stałem tam, a oni krzyčeli coś z dołu. Chcieli zamknąć wewnętrzny właz, ale nie mogli tego zrobić, dopóki byłem na górze.

— Pamiętam te dwupoziomowe schrony — wtrącił Humphrys. — Ciekawe, ilu ludzi utknęło między zewnętrznym a wewnętrznym włazem. — Patrzył na pacjenta. — Czy w dzieciństwie słyszał pan o takich przypadkach? O ludziach uwiezionych na schodach, którzy nie mogli ani się cofnąć, ani zejść niżej...

— To nie myśl o uwiezieniu mnie przerażała! Bałem się upadku... bałem się, że runę w dół schodów, głową naprzód. — Sharp oblizał spierzchnięte wargi. — I dlatego zawróciłem... — Przeszył go dreszcz. — Wróciłem na powierzchnię.

— W czasie ataku?

— Udało im się zestrzelić rakietę. A ja spędziłem cały ten czas, pielęgnując warzywa w ogródku. Już po wszystkim ojciec sprzął mnie na kwaśne jabłko.

Humphrys szybko układał myśli w słowa. Źródło poczucia winy, pomyślał.

— Następnym razem — zaczął Sharp — wydarzył się, kiedy miałem czternaście lat. Kilka miesięcy po zakończeniu wojny. Wróciliśmy, żeby sprawdzić, co zostało z naszego miasteczka. W miejscu, w którym się kiedyś znajdowało, znaleźliśmy tylko głęboki na kilkadziesiąt metrów, wypełniony

radioaktywnym żużlem krater. Kilka brygad zeszło na jego dno. Stałem na skraju i wtedy znów dopadł mnie strach. — Zgasił papierosa i siedział w milczeniu, dopóki psychoanalityk nie podał mu kolejnego. — Szybko się stamtąd wyniosłem. Ale co noc ta czarna, martwa, ziejąca dziura powracała w snach. Złapałem ciężarówkę wojskową i pojechałem do San Francisco.

— A następny raz? — zapytał Humphrys.

— Potem zdarzało się to coraz częściej — odparł Sharp z nieskrywaną irytacją. — Za każdym razem, gdy byłem gdzieś na wysokości, gdy musiałem wejść albo zejść po schodach... zawsze w miejscach, gdzie można było spać. Doszło do tego, że boję się chodzić po własnych schodach... — głos załamał mu się na chwilę. — Nie mogę pokonać nawet trzech stopni — dodał z goryczą — Trzy cholerne betonowe schodki.

— Czy oprócz tych ma pan jeszcze jakieś szczególnie przykre przeżycia? — Kochałem się kiedyś w pięknej dziewczynie o kasztanowych włosach, na najwyższym piętrze jednego z bloków na osiedlu Atchesona. Pewnie nadal tam mieszka. I tak tego nie sprawdzę. Pokonałem pięć, może sześć stopni i... powiedziałem dobranoc i zawróciłem. — Z ironią w głosie dodał: — Pewnie pomyślała, że jestem zdrowo walnięty.

— Coś jeszcze? — spytał Humphrys. Jednocześnie odnotował obecność elementu seksualnego.

— Raz odrzuciłem propozycję pracy, bo wymagała ciągłego podróżowania samolotami. Chodziło o nadzór projektów rolniczych.

— Dawniej psychoanalitycy szukali źródła fobii — wyjaśnił Humphrys. — Teraz pytamy: jak się ona objawia? Zwykle odpycha chorego od sytuacji, których on podświadomie nie aprobuje.

Na twarzy Sharpa pojawił się wyraz dezaprobaty i rozczarowania.

— Tylko na tyle was stać?

Zbity z tropu Humphrys wymamrotał:

— Nie powiedziałem, że zgadzam się z tą metodą i że będzie ona skuteczna w pana przypadku. Ale chcę podkreślić jedną rzecz: to nie upadku się pan boi, lecz czegoś, o czym upadek panu przypomina. Przy odrobinie szczęścia uda nam się ustalić to pierwotne doświadczenie. Kiedyś nazywano je pierwotnym przeżyciem traumatycznym. — Wstał i zaczął ustawiać wspartą na stojakach maszynę, złożoną z elektronicznych luster. — Moja lampa — wyjaśnił — przełamie wszelkie bariery.

Sharp spoglądał na urządzenie z nieskrywanym niepokojem.

— Chwileczkę — powiedział nerwowo — nie chcę żadnej rekonstrukcji umysłu. Może i jestem neurotykiem, ale moja osobowość mi odpowiada.

— To nie wpłynie w żaden sposób na pańską osobowość. — Pochyliwszy się, Humphrys podłączył lampę do kontaktu. — Wydobędzie jedynie pewne informacje, których nie potrafi pan świadomie sobie przypomnieć. Mam zamiar odtworzyć całą ścieżkę pańskiego życia do momentu, w którym nastąpiło traumatyczne zdarzenie... czyli odnaleźć właściwe źródło pańskich lęków.

Ogarnęła go ciemność. Krzycząc, walczył desperacko, by uwolnić się z uścisku dłoni, które przytrzymały mu ręce i nogi. Coś uderzyło go w twarz. Runął do przodu, plując krwią i kawałkami wybitych zębów. Na chwilę rozbłysło ostre światło. Obserwowano go.

— Martwy? — spytał jakiś głos.

— Jeszcze nie — ktoś kopnął go czubkiem buta. Półprzytomny, usłyszał chrzęst własnych żeber. — Ale prawie.

— Słyszysz mnie, Sharp? — jakiś głos mówił mu wprost do ucha.

Nie zareagował. Leżał i starał się nie umrzeć. Próbował zdystansować się do tego poobijanego wora, w jaki zmieniło się jego ciało.

— Pewnie myślisz — odezwał się ponownie głos, dziwnie znajomy — że powiem teraz, iż

dajemy ci ostatnią szansę. Błąd. Straciłeś swoją szansę, Sharp. Powiem ci za to, co z tobą zrobimy. Starał się tego nie słyszeć. I daremnie próbował nie czuć tego, co mu robili.

— Dobra — powiedział znajomy głos, gdy było już po wszystkim — resztę wywalcie.

To, co zostało z Paula Sharpa, przepchnięto przez okrągły właz. Zewsząd otoczyła go mglista ciemność, w którą — ku swemu przerażeniu — został chwilę później wypchnięty. Spadał. Tym razem jednak nie krzyczał.

Nie miał już czym krzyczeć.

Wyłączając pośpiesznie lampę, Humphrys pochylił się i potrząsnął przygarbioną postacią.

— Sharp! Proszę się obudzić! Niech pan się z tego otrząśnie! Mężczyzna jęknął i zadrzał. W jego oczach można było wyczytać strach i cierpienie.

— Chryste Panie — szepnął, wpatrując się gdzieś przed siebie — oni...

— To minęło — powiedział Humphrys, wciąż nie mogąc się otrząsnąć z tego, co właśnie zobaczył. — Nie ma się już czego bać. Jest pan bezpieczny. Już po wszystkim... to było dawno temu.

— Po wszystkim — powtórzył żałośnie Sharp.

— Wrócił pan do teraźniejszości. Rozumie pan, co się dzieje?

— Tak — wybełkotał Sharp. — Ale... co się stało? Wypchnęli mnie... dokądś. Poleciałem w dół. — Zatrząsał się gwałtownie. — Spadłem.

— Wypadł pan przez właz — wyjaśnił spokojnie Humphrys. — Został pan ciężko pobity i poważnie ranny... śmiertelnie, jak przypuszczali. Ale przeżył pan. Żyje pan dalej. Wyszedł pan z tego.

— Co zrobili? — spytał Sharp łamiącym się głosem. Jego poszarzałą twarz wykrzywił grymas bólu i przerażenia. — Niech mi pan pomoże, Humphrys...

— Pamięta pan, kiedy to się stało? — Nie.

— A pamięta pan, gdzie?

— Nie — twarz Sharpa drgała spazmatycznie. — Oni chcieli mnie zabić... Zabili mnie! — Próbował się wyprostować. — Nic takiego nigdy mnie nie spotkało. Przecież takie rzeczy się pamięta. To jakieś fantazje, nieprawdziwe wspomnienia... ktoś mi je podłożył!

— Tkwiły w panu przez długi czas — zaoponował stanowczo Humphrys — tłumione przez ból i lęk. To rodzaj amnezji... te wspomnienia przekradały się do świadomości pod postacią pana fobii. Ale teraz, kiedy przywołał je Pan świadomie...

— Czy muszę tam wrócić? — zawołał histerycznie Sharp. — Czy muszę znów siadać pod tą cholerną lampą?

— Trzeba przywrócić panu te wspomnienia — przyznał Humphrys. — Ale nie wszystko naraz. Na dziś wystarczy.

Wzdychając z ulgą, Sharp usadowił się wygodniej w fotelu.

— Dziękuję — powiedział słabo. — I pomyśleć — szepnął, dotykając twarzy — że nosiłem to w sobie przez tyle lat. Niszczyło mnie, zżerało od środka...

— Teraz, gdy zmierzył się pan z samym źródłem lęku — zapewnił psychoanalityk — objawy fobii powinny trochę osłabnąć. Zrobiliśmy dziś duży krok naprzód. Wiemy już, co wzbudza w panu strach. Bezpośrednią przyczyną wydaje się ciężkie pobicie przez zawodowych przestępców. Byłych żołnierzy wczesnopowojennej ery... grupę bandziorów.

Sharp odzyskał nieco pewności siebie.

— W tych okolicznościach nietrudno zrozumieć mój strach przez spadaniem. Biorąc pod uwagę to, co mnie spotkało... — Próbował wstać, ale zdołał tylko głośno jęknąć.

— Co się stało? — Humphrys podbiegł i podtrzymał go za ramię. Sharp odskoczył gwałtownie,

zachwiał się i opadł bezwładnie na krzesło. — Coś nie tak?

— Nie mogę wstać.

— Słucham?

— Nie mogę się podnieść. — Wpatrując się w psychoanalityka błagalnym wzrokiem, powiedział: — Boję się... boję się, że się przewrócę. Jezu! Panie doktorze, teraz boję się nawet wstać.

Przez chwilę obaj milczeli. Wreszcie, ze wzrokiem utkwionym w podłogę, Sharp wyszeptał:

— Przyszedłem do pana, Humphrys, bo ma pan gabinet na parterze. Śmieszne, prawda? Nie dałbym rady wejść wyżej.

— Trzeba będzie znów włączyć lampę — powiedział psychoanalityk.

— Tak myślałem. I boję się tego. — Ściskając kurczowo oparcie krzesła, dodał: — Niech pan zaczyna. Nic innego nam nie pozostało. Przecież nie mogę nawet stąd wyjść. Doktorze, to mnie wykończy.

— Nie tak prędko — Humphrys ustawił lampę w odpowiedniej pozycji. — Wyciągniemy pana z tego. Teraz proszę się rozluźnić. Nie myśleć o niczym szczególnym. — Włączając urządzenie, dodał spokojnym głosem: — Tym razem interesuje mnie nie tylko samo traumatyczne przeżycie. Muszę poznać jego kontekst, cały wachlarz uczuć i emocji, który je otacza — większą część całości.

Paul Sharp szedł cicho po śniegu. Jego oddech zamieniał się w gęstą chmurę pary. Na lewo rozciągały się ruiny budynków. Pokryte śniegiem zgliszcza zdawały się zupełnie opustoszałe. Sharp przystanął na chwilę, przyglądając się im w zamyśleniu.

— Ciekawe — zauważył jeden z członków ekipy badawczej. — Można by tam znaleźć mnóstwo rzeczy... różnych rzeczy.

— To jest na swój sposób piękne — rzucił Sharp.

— Widzi pan tę wieżyczkę? — młodzieniec wskazał coś dłonią w grubej rękawicy. Miał na sobie kombinezon z ołowianą powłoką. On i jego ludzie badali wcześniej otoczenie skażonego krateru. Ich wiertła do badania gruntu leżały w równym rzędzie. — To był kiedyś kościół — wyjaśnił młodzieniec Sharpowi — całkiem ładny zresztą. A tam wyżej... — wskazał niczym niewyróżniające się rumowisko — znajdował się ośrodek kultury.

— Miasto nie zostało bezpośrednio trafione, prawda? — spytał Sharp.

— Pociski spadały gęsto. Niech pan zejdzie na dół i zobaczy, co znaleźliśmy. Ten krater na prawo...

— Nie, dziękuję — przerwał mu Sharp, cofając się z wyraźną niechęcią. — Przeszukiwanie ruin zostawię wam.

Młody ekspert rzucił mu zaciekawione spojrzenie, ale nie wracał już więcej do tej sprawy.

— Jeśli nie natkniemy się na coś nieoczekiwanego, w ciągu tygodnia można będzie zacząć proces rekultywacji. Oczywiście najpierw trzeba pozbyć się żużlu. Jego powierzchnię pokrywają liczne pęknięcia — to przez korzenie roślin. Dzięki naturalnemu rozkładowi znaczna część żużlu przekształciła się w rodzaj organicznego pyłu.

— Świetnie — powiedział Sharp z zadowoleniem. — Dobrze będzie znów zobaczyć coś na tym pustkowiu po tylu latach.

— Jak tu było przed wojną? — spytał młodzieniec. — Urodziłem się już po wybuchu konfliktu.

— Cóż — Sharp omiół wzrokiem pokryte śniegiem pola — kiedyś cały ten region był tętniącym życiem ośrodkiem rolniczym. Uprawiali tu grejpfruty. Odmianę z Arizony. Biegła tędy część tamy Roosevelta.

— Tak — skinął głową — odkryliśmy jej pozostałości.

— Uprawiano tu bawełnę, sałatę, lucernę, winogrona, oliwki, morele... ale najlepiej pamiętam eukaliptusy.

— Nigdy nie uda nam się tego odzyskać — rzekł młodzieniec z żalem w głosie. — Co to takiego ten... eukaliptus? W życiu o czymś takim nie słyszałem.

— W Stanach już ich nie ma — powiedział Sharp. — Musiałby pan pojechać do Australii.

Słuchając, Humphrys robił notatki.

— Dobrze — powiedział głośno i wyłączył lampę. — Niech pan wraca Sharp.

Sharp zamrugał powiekami i otworzył oczy.

— Co... — Przeciągnął się ziewnął i powiódł zaspanym wzrokiem po gabinecie. — Coś o rekultywacji. Nadzorowałem działanie grupy rozpoznawczej. Jakiś bardzo młody człowiek.

— Kiedy przeprowadziliście rekultywację rejonu Phoenix? — zapytał Humphrys. — To, zdaje się, ważny segment w czasoprzestrzeni.

Sharp zmarszczył brwi.

— Nigdy. To wciąż plany. Mamy nadzieję, że da się zrealizować w przyszłym roku.

— Jest pan pewny?

— Oczywiście. Przecież to moja praca.

— Muszę znów pana odesłać — powiedział Humphrys, wyciągając rękę w stronę lampy.

— Coś się stało?

— Niech pan się odpręży — rzucił pośpiesznie Humphrys, trochę za nerwowo jak na kogoś, kto dokładnie wie, co robi. I dodał już spokojniej: — Proszę poszerzyć perspektywę. Proszę pomyśleć o wcześniejszych zdarzeniach — tych poprzedzających rekultywację Phoenix.

W taniej kawiarence w dzielnicy handlowej siedziało dwóch mężczyzn.

— Przykro mi — powiedział Paul Sharp, powoli tracąc cierpliwość. — Muszę wracać do pracy. — Podniósł filiżankę z namiastką kawy i wypił ostatni łyk.

Wysoki, szczupły mężczyzna odsunął od siebie puste naczynia, rozparł się wygodnie na krześle i zapalił cygaro.

— Zwodziłeś nas przez dwa lata — wypalił bez ogródek Giller. — To się robi męczące.

— Zwodziłem? — powtórzył Sharp, podnosząc się z miejsca. — Chyba nie bardzo rozumiem.

— Macie zamiar zająć się terenami rolniczymi... zająć się Phoenix. Więc mi nie mów, że interesują was tylko rejon przemysłowe. Jak myślisz, ile ci ludzie zdołają jeszcze przeżyć? Jeśli nie odzyskacie ich farm i gruntów uprawnych...

— Jacy ludzie?

— Mieszkańcy Petalomy — rzucił szorstko Giller. — Koczujący przy kraterach.

— Nie wiedziałem, że ktoś tam mieszka — przyznał Sharp z zażenowaniem. — Myślałem, że przenieśliście się wszyscy na tereny, które poddaje się obecnie procesowi rekultywacji, do San Francisco bądź Sacramento.

— Nawet nie zajrzałeś do petycji, które pisaliśmy — wycodził Giller. Twarz Sharpa oblał rumieniem.

— Prawdę mówiąc, nie czytałem ich. Po co miałbym to robić? Nawet jeśli koczują tam ludzie, nie zmienia to ogólnej sytuacji. Powinniście się stamtąd wynieść. To beznadziejne miejsce — dodał. — Ja wyjechałem.

— Zostałbyś — powiedział Giller cicho — gdyby była tam twoja farma. Gdyby twoja rodzina mieszkała tam od ponad stu lat. Farma to nie apteka. Apteki są wszędzie takie same.

— Farmy też.

— Nie — zaprzeczył beznamiętnie Giller. — Własna ziemia, rodzinna ziemia to coś

wyjatkowego. Będziemy tam koczować, dopóki wszyscy nie wymrą albo dopóki nie zdecydujecie się na rekultywację tych terenów. — Wziął rachunek i dodał: — Żał mi cię, Paul. W przeciwieństwie do nas nigdy nie miałeś własnych korzeni. Nigdy nas nie zrozumiesz. — Sięgając do kieszeni po portfel, spytał: — Kiedy mógłbyś tam polecieć?

— Polecieć! — powtórzył Sharp wzburzony. — Nie mam zamiaru nigdzie lecieć.

— Powinieneś znów zobaczyć miasteczko. Nie możesz podjąć decyzji, nie widząc tych ludzi i warunków, w jakich żyją.

— Nie — odparł kategorycznie Sharp. — Nie polecę. Mogę podjąć decyzję na podstawie raportów.

Giller zamyślił się.

— Spotkamy się tam — stwierdził po chwili.

— Chyba po moim trupie!

Giller kiwnął głową.

— Może i tak. Ale spotkamy się tam. Nie możesz pozwolić nam umrzeć, nawet na nas nie spojrzawszy. Musisz zdobyć się na odwagę i zobaczyć, do czego prowadzą twoje decyzje. — Wyjął kieszonkowy kalendarzyk, zaznaczył w nim jakąś datę i podał go Sharpowi. — Przyjedziemy po ciebie do biura i zabierzemy ze sobą. Specjalnym samolotem. Moim. Świetna maszyna, sam zobaczysz.

Drżąc z niepokoju, Sharp spojrział w kalendarz. To samo uczynił Humphrys, stając za plecami roztrzęsionego, bełkoczącego coś pacjenta.

Nie mylił się. Traumatyczne zdarzenie, tłumiony strach nie należały do przeszłości.

Źródłem nękającej Sharpa fobii było zdarzenie, które miało nastąpić dopiero za sześć miesięcy.

— Może pan wstać? — spytał Humphrys.

Paul Sharp drgnął na krześle.

— Ja... — zaczął i umilkł.

— Zrobimy chwilę przerwy — powiedział uspokajająco Humphrys. — Musi pan trochę odpocząć. Chciałem pana wyciągnąć z samej traumy.

— Czuję się lepiej.

— Niech pan spróbuje wstać — Humphrys podszedł bliżej i czekał, aż pacjent dźwignie się na nogi.

— Tak — westchnął Sharp — już mi lepiej. Gdzie byłem tym razem? W jakiejś kawiarni, prawda? Z Gillerem.

Humphrys wziął z biurka bloczek recept.

— Przepiszę panu coś na uspokojenie. Małe białe tabletki, które będzie pan łykał co cztery godziny. — Wypisał receptę i podał ją pacjentowi. — To powinno pomóc. Trochę się pan uspokoi.

— Dziękuję — powiedział Sharp słabym głosem. Po chwili zaś spytał: — Sporo się pan dowiedział, co?

— To prawda — przyznał Humphrys.

Niewiele mógł zrobić dla Paula Sharpa. Facet był już prawie martwy... za sześć krótkich miesięcy Giller dobiegł do niego. Szkoda, bo Sharp był miłym facetem, miłym, obowiązkowym, ciężko pracującym biurokratą, który starał się po prostu rzetelnie wykonywać swoją robotę.

— Jak pan myśli — spytał żałośnie Sharp — można mi pomóc?

— Cóż... spróbuję — odparł Humphrys, unikając jego wzroku. — Ale to tkwi bardzo głęboko.

— Narastało we mnie od lat — przyznał ponuro Sharp. Stojąc przy krześle, wydawał się mały i zagubiony. Nie przypominał dzierżącego władzę urzędnika, raczej bezbronnego, samotnego

człowieka. — Pańska pomoc wiele dla mnie znaczy. Jeśli ta fobia będzie narastać, nie wiadomo, do czego mnie doprowadzi.

— Czy kiedykolwiek myślał pan — zapytał nagle Humphrys — by przystać na żądania Gillera?

— Nie mogę — odparł Sharp. — Zawsze byłem przeciwny protekcji, a to byłaby protekcja.

— Ale przecież chodzi o pana rodzinne strony. Chodzi o pańskich przyjaciół, byłych sąsiadów.

— To moja praca — rzekł Sharp. — Nie mogę kierować się własnymi uczuciami lub uczuciami kogokolwiek innego.

— Przyzwoity z pana człowiek — powiedział mimowolnie Humphrys. — Tak mi przykro... — urwał w połowie zdania.

— Przykro? Czemu? — Sharp odruchowo ruszył w stronę drzwi. — Zabrałem panu już dość czasu. Wiem, ile wy, psychoanalitycy, macie roboty. Kiedy mogę znów pana odwiedzić? Czy w ogóle mogę tu jeszcze przyjść?

— Jutro. — Humphrys odprowadził go aż na korytarz. — O tej samej porze, oczywiście jeśli to panu odpowiada.

— Bardzo dziękuję — odparł Sharp z wyraźną ulgą. — Naprawdę jestem wdzięczny.

Wróciwszy do gabinetu, Humphrys zamknął drzwi i podszedł do biurka. Chwył słuchawkę i pośpiesznie wybrał numer.

— Dajcie mi kogoś z działu medycznego — zażądał, gdy połączono go z Wydziałem Zdolności Specjalnych.

— Kirby, dział medyczny. Słucham — głos brzmiał bardzo profesjonalnie. Humphrys krótko się przedstawił i powiedział:

— Mam tu pacjenta, który wygląda na ukrytego prekoga.

Kirby wydawał się zainteresowany.

— Skąd pochodzi?

— Z Petalomy. Hrabstwo Sonoma, na północ od zatoki San Francisco. To na wschód od...

— Znamy ten region. Było już stamtąd kilka przypadków. To dla nas złota żyła.

— Więc miałem rację — stwierdził Humphrys.

— Data urodzenia pacjenta?

— Miał sześć lat, gdy wybuchła wojna.

— Cóż — odparł Kirby, nieco rozczarowany — więc nie dostał wystarczającej dawki promieniowania. Nigdy nie uzyska zdolności stuprocentowego prekoga, a tylko z takimi tu pracujemy.

— Czy li nie pomożecie mi?

— Utajnionych, ze słabo rozwiniętymi zdolnościami jest więcej niż całkowitych. Dlatego ci pierwsi nas nie interesują. Nie możemy tracić na nich czasu. Spotka pan jeszcze z tuzin takich nedorobionych, przepytując tylko swoich pacjentów. Zdolność nie dość intensywnie zakorzeniona nie przedstawia dla nas większej wartości. Jedyne jej efekty to bardziej uciążliwe życie, nic poza tym.

— Rzeczywiście uciążliwe — zgodził się niechętnie Humphrys. — Ten człowiek za kilka miesięcy zginie gwałtowną śmiercią. Od dzieciństwa otrzymywał dobitne sygnały ukryte pod postacią fobii. I gdy jego czas nadchodzi, objawy zaostrzają się gwałtownie.

— Nie zdaje sobie sprawy z tego, co go czeka?

— Wszystko odbywa się w podświadomości.

— Biorąc pod uwagę okoliczności — orzekł Kirby — może to i lepiej. Te rzeczy są raczej nieodwracalne. Nawet gdyby wiedział, nie mógłby nic na to poradzić.

Doktor Charles Bamberg, psychiatra, wychodził właśnie z gabinetu, gdy zauważył siedzącego w poczekalni mężczyznę.

Dziwne, pomyślał. Dziś załatwiłem już chyba wszystkich. Wszedł do poczekalni.

— Chciał pan się ze mną widzieć?

Mężczyzna był wysoki i szczupły. Miał na sobie pomięty brązowy płaszcz. Gdy tylko zobaczył Bamberga, zaczął pośpiesznie gasić cygaro.

— Tak — powiedział, wstając.

— Był pan umówiony?

— Nie. — Popatrzył na Bamberga błagalnym wzrokiem. — Wybrałem pana... — zaśmiał się zakłopotany — bo ma pan gabinet na ostatnim piętrze.

— Na ostatnim piętrze? — zdziwił się Bamberg. — Nie bardzo rozumiem.

— Ja... hm, doktorze, czuję się pewnie na wysokości.

— Ach tak — powiedział Bamberg. Gwałtowny przymus, pomyślał. Fascynujące. — To znaczy — dodał na głos — gdy jest pan wysoko, jak się pan czuje? Lepiej?

— Nie — odparł mężczyzna. — Mogę wejść? Znalazłby pan dla mnie chwilę? Bamberg spojrzał na zegarek.

— W porządku — powiedział, wpuszczając mężczyznę. — Niech pan siada i opowie mi o wszystkim.

Giller usiadł.

— Trudno mi z tym żyć — powiedział gwałtownie. — Ilekroć widzę jakieś schody, nie mogę się oprzeć i muszę wejść na górę. To samo z samolotami... ciągle gdzieś latam. Mam nawet własny. Nie stać mnie na to, ale muszę go mieć.

— Rozumiem — rzekł Bamberg. — Cóż — dodał po chwili — to jeszcze żadna tragedia. Nie jest to przecież śmiertelnie niebezpieczny przymus.

Z wyrazem bezsilności na twarzy Giller wyznał:

— Gdy już jestem, na górze... — przełknął głośno ślinę. Oczy płonęły mu dzikim blaskiem. — Panie doktorze, gdy jestem wysoko... w biurze, w samolocie... nachodzi mnie inna zachcianka.

— Jaka?

— Czuję... — Giller zadrżał — czuję nieodpartą chęć, żeby kogoś wypchnąć.

— Wypchnąć?

— Przez okno... na dół. — Giller zrobił wymowny gest. — Co ze mną będzie, doktorze? Boję się, że w końcu kogoś zabiję. Był taki konus, popchnąłem go... no i ta dziewczyna w windzie... wypchnąłem ją. Była ranna.

— Rozumiem — powiedział Bamberg, kiwając głową. Stłumiona wrogość, pomyślał. Połączona z elementem seksualnym. Nic nowego.

Sięgnął po lampę.

NIEREFORMOWALNA M

I

Urządzenie miało trzydzieści centymetrów szerokości i sześćdziesiąt długości. Przypominało większe pudełko po krakersach. Cicho i ostrożnie wspięło się po ścianie betonowego budynku, opuściło dwa pokryte gumą wałki i zaczęło pierwszą część operacji.

Zatrzymało się na chwilę, wysunęło mały, złuszczoney płatek niebieskiej farby i mocno go przycisnęło do ściany, po czym ruszyło dalej. Kiedy przemierzyło betonową powierzchnię, trafiło na metalową framugę — dotarło do okna. Tu zatrzymało się i wyciągnęło maleńki skrawek tkaniny, który starannie umieściło w okuciu framugi.

W ciemnościach maszyna była prawie niewidoczna. Na chwilę omiotły ją światła jakiegoś pojazdu i znów zrobiło się ciemno. Urządzenie wróciło do przerwanej pracy.

Wysunęło plastikową końcówkę i stopiło szybę. W pograżonym w mroku apartamencie panowała niczym niezmacona cisza. Mieszkanie było puste. Urządzenie, pokryte teraz drobnymi cząsteczkami szkła, zbliżyło się do okna i wystawiło czujnik.

Po przeanalizowaniu wyników napařło na stalową framugę z siłą dokładnie stu kilogramów. Framuga wygięła się na tyle, by urządzenie mogło dostać się do środka i zjechać po ścianie na podłogę. Zaczęła się druga faza operacji.

Na drewnianej podłodze, przy lampie, urządzenie zostawiło pojedynczy ludzki włos — razem z cebulką i mikroskopijnym kawałkiem skóry. Obok pianina starannie ulokowało szczyptę przesuszonego tytoniu. Odczekało dokładnie dziesięć sekund i uruchomiło magnetyczną taśmę z nagraniem. „Ach! Jasna cholera...” — rozległo się w pograżonym w ciszy mieszkaniu. Głos był donośny i z pewnością należał do mężczyzny.

Urządzenie zbliżyło się teraz do drzwi garderoby, zamkniętych na klucz. Wspięło się po drewnianej powierzchni, dotarło do zamka, wsunęło do środka cienką wypustkę i zapadka odskoczyła. Drzwi były otwarte. Za rzędem wiszących płaszczy stała kamera wideo z samozasilaczem. Urządzenie zniszczyło pojemnik z taśmą — bardzo ważny szczegół — a wycofując się z garderoby, zostawiło kroplę krwi na resztkach przewodów i strzaskanym obiektywie. Kolejny istotny szczegół.

Odciskało właśnie sztuczny ślad buta na cienkiej warstwie kurzu, który pokrywał podłogę w garderobie, gdy w korytarzu rozległ się jakiś hałas. Urządzenie zamarło w bezruchu. Po chwili do mieszkania wszedł niski mężczyzna w średnim wieku. W jednej ręce trzymał płaszcz, w drugiej teczkę. Zobaczył intruza i stanął jak wryty.

— Chryste! A to co? — jęknął.

Urządzenie zareagowało natychmiast. Wysunęło cienką lufę, która posłała mały pocisk prosto w głowę mężczyzny. Kula przebiła kości czaszki i eksplodowała w środku. Na twarzy mężczyzny malował się wyraz absolutnego zaskoczenia. Cały czas trzymając płaszcz i teczkę, osunął się na dywan. Pęknięte okulary wciąż tkwiły na nosie. Ciało drgało jeszcze przez chwilę, po czym znieruchomiło.

Teraz, gdy wykonało już główne zadanie, urządzenie miało do zrobienia jeszcze tylko dwie rzeczy. Do jednej ze stojących na kominku pustych popielniczek wrzuciło wypaloną zapałkę i ruszyło do kuchni po szklanek wody. Wspięło się właśnie po zlew, gdy spłoszyły je czyjeś głosy.

— To tutaj — powiedział głośno jakiś mężczyzna.

— Uwaga... On tam pewnie jeszcze jest — rzucił drugi męski głos. Drzwi otworzyły się z hukiem i do mieszkania wpadło dwóch facetów w długich, ciężkich płaszczach. Urządzenie, zapominając o szklance, błyskawicznie zsunęło się na podłogę. Coś poszło nie tak. Falując i drgając, szybko zmieniało kształt i już po chwili miejsce dziwnego prostokąta zajął zwykły, nieduży odbiornik telewizyjny.

Jeden z mężczyzn — wysoki, z rudą czupryną — zajął do kuchni.

— Nikogo tu nie ma — powiedział i ruszył w głąb mieszkania.

— Okno — wskazał jego towarzysz. W apartamencie pojawiło się jeszcze dwóch mężczyzn. Teraz oddział był już w komplecie. — Nie ma szyby... Musiał wejść tędy.

— Ale już go nie ma. — Rudowłose znów pokazał się w drzwiach kuchni. Zapalił światło i wszedł do pomieszczenia. W ręku miał pistolet. — Dziwne. Przecież weszliśmy prawie od razu, jak tylko otrzymaliśmy sygnał. Spojrzał podejrzliwie na zegarek. — Rosenberg nie żyje dosłownie od kilku chwil... Jak to możliwe, by wydostał się tak szybko?

Stojąc przy drzwiach wyjściowych, Edward Ackers przysłuchiwał się głosowi, który w ciągu ostatniej pół godziny przeszedł stopniowo w zrzędlawy, monotony pisk, prawie niezrozumiale powtarzający stale tę samą skargę.

— Nie masz już dosyć? — powiedział Ackers. — Idź do domu. Weź kąpiel, jesteś wykończony.

— Nie — odparł głos, przerywając narzekania. Płynął z dużej, podświetlonej bryły o rozmytych kształtach, rysującej się na ukrytym w mroku chodniku, zaledwie kilka metrów od Ackersa. Na obracającym się neonie widniał napis: PRECZ!

Ackers policzył dokładnie; okazało się, że w ciągu kilku ostatnich minut światło neonu trzydzieści razy wyłapało pojedynczych przechodniów. Za każdym razem siedzący w budce facet zaczynał swoją przemowę. Za budką stał ciąg kin i restauracji. To był dobry punkt.

Ale to nie z powodu przechodniów postawiono tu tę budkę. Główną przyczyną był Ackers i znajdujące się w budynku za nim biura. To zaś, co mówił głos, skierowane było przeciwko Wydziałowi Wewnętrznemu. Trwało to już od tyłu miesięcy, że Ackers właściwie przestał zwracać na to uwagę i tylko podświadomie wyłapywał treść płynącą wprost do jego głowy — przyzwyczał się, jak do deszczu bębniącego o dach i szumu pojazdów na ulicy. Ziewnął tylko i czekał.

— Precz! — zawodził gniewnie głos. — No, Ackers. Powiedz coś. Działaj.

— Czekam — wyjaśnił Ackers z zadowoleniem.

Grupa przechodniów — na oko z klasy średniej — minęła budkę. Zostali natychmiast obdarowani ulotkami. W chwilę później wyrzucili je na chodnik. Ackers zachichotał głośno.

— Nie śmieć się — mruknął głos — to wcale nie jest zabawne. Wydrukowanie ich sporo kosztuje.

— Płacisz z własnej kieszeni? — zapytał Ackers.

— Częściowo. — Garth był dzisiaj sam. — Na co pan czeka? Co się stało? Widziałem, jak grupa uderzeniowa startowała przed chwilą z dachu waszego budynku...

— Może kogoś aresztujemy — odparł Ackers. — Było morderstwo.

Po drugiej stronie ciemnego chodnika mężczyzna poruszył się w swojej budce.

— Naprawdę? — rozległ się normalny głos Harveya Gartha. Harvey wychylił się z budki i obaj mężczyźni spojrzeli na siebie: Ackers, nieco korpulentny, zadbane, w eleganckim płaszczu, i Garth — drobny, dużo młodszy, o szczupłej, wręcz wychudzonej twarzy, w której było widać przede wszystkim czoło i nos.

— Sam widzisz — stwierdził Ackers. — System jest potrzebny. Nie wierz w utopię!

— Zabito człowieka, a wy naprawiacie zachwianą równowagę moralną, zabijając jego mordercę. — Głos Gartha znów przeszedł w jęklivy skowyt. — Precz z tym! Precz z systemem, który skazuje ludzi na niechybną zagładę!

— Jasne, rozdawaj te swoje ulotki — rzucił ironicznie Ackers — i wykrzykuj slogany. Najlepiej wszystko naraz. Tylko co proponujesz w zamian?

— Edukację — powiedział z dumą Harvey.

— Tylko tyle? — spytał rozbawiony Ackers. — I myślisz, że to wystarczy, żeby powstrzymać antyspołeczne odruchy? Więc bandyci są po prostu... niedouczeni?

— I psychoterapię, naturalnie. — Na mizernej twarzy Gartha pojawił się wyraz napięcia. Wyglądał teraz z budki niczym zaciekawiony żółw ze skorupy. — To chorzy ludzie... Dlatego popełniają te zbrodnie. Normalny człowiek czegoś takiego by nie zrobił. A wy jeszcze pogarszacie sprawę. Budujecie społeczeństwo poddane mściwemu i okrutnemu wymiarowi sprawiedliwości. — Oskarżycielsko wskazał na Ackersa. — To pan jest prawdziwym złoczyńcą, pan i cały Wydział Wewnętrzny. Cały System Banicji.

Neon raz po raz obracał się, pokazując napis: Precz! Chodziło oczywiście o system przymusowego usuwania zbrodniarzy — organizację, która zsyłała skazańców w odległe, zapomniane rejony wszechświata.

— Stają się dla nas niegroźni — głośno pomyślał Ackers.

— Tak? A co z mieszkańcami tamtych rejonów? — Garth znów użył starego, sprawdzonego argumentu.

Trudno, tamci mają pecha. Tak czy owak, większość skazańców starała się ze wszystkich sił wrócić na Ziemię. Jeśli udawało im się, zanim się zupełnie zestarzelili, społeczeństwo przyjmowało ich z powrotem. Co za wyzwanie... Szczególnie dla kogoś, kto przez całe życie nie wystawił nawet nosa poza Wielki Nowy Jork. Gdzieś tam w kosmosie zapewne pełno było wygnańców, którzy prymitywnymi sierpami kosili teraz zboże. Odległe zakątki wszechświata składały się głównie z nieprzyjemnych, podmokłych wiejskich osad — odciętych od świata rolniczych enklaw, których mieszkańcy utrzymywali się z wymiany owoców, warzyw i ręcznie wykonanych narzędzi.

— Wiesz, że w czasach Monarchii — zapytał Ackers — wieszano złodziei sklepowych?

— Precz! — do znudzenia powtarzał Garth, chowając się w swojej budce. Neon obracał się monotonicznie. Ackers niecierpliwie czekał na przybycie szpitalnej ciężarówki.

Znał Heimiego Rosenburga — nieduży, miły facet, nigdy nie... To prawda, był związany z jednym z tych syndykatów, które nielegalnie przemycali osadników na plantacje do zasobnych planet poza Układem Słonecznym. Wcześniej dwaj najwięksi przemytnicy zasiedlili prawie cały System Syriusza. Z każdego sześciu emigrantów czterech przemycano na statkach, które oficjalnie rejestrowano jako frachtowce. Trudno było sobie wyobrazić sympatycznego Heimiego Rosenburga w roli przedstawiciela handlowego firmy Tirol Enteprises, ale takie były fakty.

Ackers zastanawiał się nad motywami tego zabójstwa. Pewnie to kolejny incydent w nieustającej, potajemnej wojnie toczącej się pomiędzy Paulem Tirole i jego największym rywalem. David Lantano, energiczny i wyjątkowo sprytny, pojawił się w tej branży całkiem niedawno... Każdy mógł to zrobić. Wszystko zależało od tego, w jaki sposób go zabito. Mogła to być robota wynajętego zabójcy albo morderstwo nazywane „sztuka dla sztuki”.

— O, coś się zbliża — powiedział Garth. — Wygląda jak chłodnia. Rzeczywiście nadjeżdżał samochód ze szpitala. Ackers wyszedł na ulicę. Pojazd zatrzymał się i otworzono tylną klapę.

— Jak szybko tam dotarliście? — zapytał policjanta, który wysiadł z auta.

— Bardzo szybko. Prawie natychmiast — odparł funkcjonariusz. — Oczywiście ani śladu po zabójcy. Heimie nie miał szans... Wzięli go z zaskoczenia. Pocisk trafił prosto w mózdek.

Fachowa robota.

Ackers wspiał się na tył ciężarówki, by obejrzeć zwłoki.

Heimie Rosenberg leżał na plecach, z rękami wzdłuż ciała. Wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w dach samochodu. Na twarzy miał nadal wyraz absolutnego zaskoczenia. Któryś z policjantów włożył mu do ręki połamane okulary. Upadając, Rosenberg musiał rozciąć sobie policzek. Roztrzaskaną część czaszki zasłonięte wilgotną plastikową siateczką.

— Kto został w mieszkaniu? — spytał Ackers.

— Reszta moich ludzi — odparł policjant. — I ten prywatny detektyw, Leroy Beam.

— On? — mruknął Ackers, niezadowolony. — A skąd się tam wziął?

— Też odebrał sygnał alarmowy. Był akurat w pobliżu i miał ze sobą sprzęt. Biedny Heimie kazał zamontować przy instalacji alarmowej potężny wzmacniacz... Aż dziw, że sygnał nie dotarł tu, do biura.

— Podobno Heimie był bardzo strachliwy — wyjaśnił Ackers. — Wszędzie założył pluskwy. Zaczęliście zbierać dowody?

— Ekipy już się zjeżdżają. Za pół godziny powinniśmy zacząć proces specyfikacji. Morderca rozwalił kamerę wideo ukrytą w garderobie, ale... — policjant uśmiechnął się — skaleczył się, rozbijając obiektyw. Na firzewo dach znaleźliśmy kroplę krwi. Wygląda to obiecująco.

Tymczasem w mieszkaniu ofiary Leroy Beam przyglądał się, jak policjanci z Wewnętrznego zaczynają pracę. Działali sprawnie i fachowo, ale Beam nie był zadowolony.

Cały czas nie mógł się pozbyć dziwnego uczucia, że coś tu było nie tak. Nikt nie zdołałby uciec tak szybko. Heimie zginął, a po śmierci zmiana wzoru jego aktywności neuronowej uruchomiła cichy alarm. I choć nie chronił on samego właściciela, to jednak obecność takiej instalacji zapewniała w większości przypadków ujęcie zabójcy. Dlaczego więc tak się nie stało w tym wypadku?

Głęboko zamyślony, Leroy Beam ponownie znalazł się w kuchni. Przy zlewie stał mały, przenośny telewizorek. Nie wyróżniał się niczym — plastikowa obudowa w krzykliwym kolorze, jakieś pokrętła i ekran z przyciemnionego szkła.

— A to? — spytał Beam jednego z policjantów. — Ten telewizor na podłodze w kuchni? To raczej nie jest jego stałe miejsce.

Gliniarz zignorował go. W salonie specjalistyczne urządzenie analityczne badało centymetr po centymetrze. Po pół godzinie zabezpieczono już kilka śladów. Po pierwsze, kroplę krwi na zniszczonym sprzęcie wideo. Po drugie, niewyraźny odcisk buta mordercy i wreszcie kawałek spalonej zapalki w popielniczce. Spodziewano się kolejnych śladów. Dochodzenie dopiero się rozpoczęło.

Do wykrycia sprawcy potrzeba było z reguły dziewięć śladów.

Leroy Beam rozejrzał się ostrożnie. Policjanci byli pochłonięci pracą. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Beam pochylił się i podniósł telewizor. Wydawał się całkiem zwyczajny. Włączył urządzenie i czekał. Nic. Żadnego obrazu. Dziwne.

Uniósł odbiornik w górę i próbował obejrzeć ze wszystkich stron. W mieszkaniu pojawił się Edward Ackers z Wewnętrznego i Beam szybko ukrył telewizor w kieszeni długiego płaszcza.

— Co pan tu robi? — spytał Ackers.

— Rozglądam się — odparł Beam. Zastanawiał się, czy Ackers zauważył wybruszenie w jego kieszeni. — Robimy w tej samej branży, nie?

— Znał pan Heimiego?

— Ze słyszenia. Podobno był powiązany z syndykatem Tirola. Figurant miał biuro przy Piątej

Alei.

— Ładny gabinet. Oni wszyscy tam mają ładne biura — powiedział Ackers i poszedł zobaczyć, jak idzie praca.

Urządzenie do gromadzenia dowodów pracowało pełną parą. Przegląda — każdy centymetr powierzchni z pedantyczną dokładnością, zawężając stopniowo pole działania. Wszelkie nowe informacje były natychmiast przekazane do biura Wydziału, gdzie znajdował się centralny rejestr. Każdy mieszkaniec miał swoją kartę perforowaną, opatrzoną ogromną liczbą odsyłaczy.

Ackers sięgnął po telefon i zadzwonił do domu.

— Nie wrócę na noc — uprzedził. — Mam tu robotę.

— Tak? — mruknęła po chwili Ellen. — Dzięki, że zadzwoniłeś. Tymczasem dwaj policjanci z zadowoleniem oglądali nowe, cenne znalezisko.

— Zadzwonię później — dodał szybko Ackers — zanim wyjdę. Do widzenia.

— Do widzenia — odpowiedziała. Udało jej się pierwszej odłożyć słuchawkę.

Znaleźli nieuszkodzoną pluskwę — urządzenie działało bez przerwy, nawet teraz. Musiało zarejestrować każdy dźwięk, który towarzyszył zbrodni.

— Tu jest wszystko — powiedział z zadowoleniem jeden z policjantów. — Nawet to, co się działo, zanim Heimie wrócił do domu.

— Odsłuchaliście?

— Tylko kawałek. Mamy kilka słów, które wypowiada morderca. Powinno wystarczyć.

Ackers połączył się z Wydziałem.

— Czy są już jakieś wyniki specyfikacji? — zapytał.

— Coś mamy — powiedział urzędnik. — Pierwszy plik, który obejmuje, jak zwykle, sporą grupę... około sześciu miliardów nazwisk.

Po dziesięciu minutach do centralnego rejestru dotarło więcej danych. Poszukiwania zawęziły się do ludzi z grupą krwi 0, o rozmiarze buta 44 — trochę ponad miliard nazwisk. Trzecia specyfikacja — palący/niepalący — nie zmniejszyła liczby podejrzanych aż tak drastycznie. W końcu większość dorosłych paliła.

— To nagranie mocno przyspieszy sprawę. — Beam nachylił się nad Ackersem. Ręce trzymał tak, by zasłaniały wypchaną kieszeń płaszcza. — Przynajmniej będzie można ustalić wiek.

Dzięki nagraniu stwierdzono, że mordercą jest osobnik między trzydziestym a czterdziestym rokiem życia. Analiza barwy głosu wykazała prócz tego, że to mężczyzna, który waży około stu kilogramów. Niedługo potem badano wygiętą ramę okna. Siła, z jaką ją wypchnięto, pasowała do głosu na taśmie. Mieli już teraz sześć wyraźnych śladów. Krąg podejrzanych błyskawicznie się zawęził.

— To kwestia czasu — stwierdził Ackers. — A jeśli zaparkował pod ścianą budynku jeden z tych małych pojazdów, to może znajdziemy trochę otartego lakieru.

— Muszę lecieć — powiedział Beam. — Powodzenia.

— Nie zaczeka pan?

— Nie mogę. Przykro mi. — Beam ruszył w stronę drzwi. — Poza tym to ni moja sprawa. Sam muszę coś załatwić... Prowadzę badania dla poważnego koncernu górniczego.

Ackers spojrzał na jego płaszczy.

— Co to, jest pan w ciąży?

— Nic mi o tym nie wiadomo — zaczerwienił się Beam. — Prowadzę się dobrze. O to panu chodzi? — dodał, wskazując na wybrzuszenie pod płaszczem.

Policjant przy oknie wydał triumfalny okrzyk. Znalazł właśnie szczyptę tytoniu fajkowego — dodatek do trzeciej specyfikacji.

— Wspaniale — rzucił Ackers, odwrócił się i zapomniał o Leroyu.

Beam wyszedł.

Już po chwili jechał przez miasto do swojego laboratorium. Było to małe, niezależne centrum badawcze, którego nie finansował rząd. Na siedzeniu obok leżał dziwny telewizor. Wciąż nie dawał się uruchomić.

— Po pierwsze — stwierdził technik w białym kitlu — to ma źródło zasilania siedem razy potężniejsze niż zwykły przenośny telewizor. Wykryliśmy obecność promieni gamma — dodał, wskazując na detektor. — Ma pan rację, To nie jest zwykły odbiornik.

Beam ostrożnie podniósł urządzenie. Minęło pięć godzin, a oni wciąż nie dowiedzieli się niczego nowego. Złapał za tylną klapę obudowy i pociągnął z całej siły. Ani drgnęła. Nie mogła się zaciąć, bo nigdzie nie było widać śladów łączenia. Powierzchnia była idealnie jednolita. To nie była klapa, tylko jej imitacja.

— Więc co to może być?

— Nie mam pojęcia — odparł niechętnie technik. Beam wyciągnął go z domu, a teraz dochodziło wpół do trzeciej nad ranem. — Może to jakieś urządzenie obserwacyjne. Może bomba albo broń, albo zwykły gadżet.

Beam obejrzał zagadkowy przedmiot ze wszystkich stron. Szukał jakiegokolwiek rysy, zadrapania.

— Monolit — stwierdził w końcu. — Jednolita powierzchnia.

— Jak diabli — przytaknął technik. — Wszystko jest odlane. I to z cholerni trwałego materiału. Próbowałem wziąć próbkę, ale na próżno.

— Odporny na wstrząsy i upadki — zamyślił się Beam. — Supertwardy plastik. — Energicznie potrząsnął odbiornikiem. Wewnątrz usłyszał stłumiony grzechot metalowych części. — W środku coś jest.

Dobierzemy się do niego — obiecał technik — ale nie dziś. Beam postawił telewizor z powrotem na biurku. Możliwe, że zajmie im to mnóstwo czasu, a po otwarciu odkryją, że ten dziwny przedmiot nie miał nic wspólnego z zabójstwem Heimiego Rosenburga, ale z drugiej strony...

— Niech mi pan wywierci w tym dziurę — polecił technikowi. — Może coś zobaczymy.

— Próbowałem — zaprotestował pracownik. — Wiertło pękło. Zamówiłem już twardsze. To substancja pozaziemska, pewnie przywieziona z jakiegoś białego karła. Wykonano ją pod niewyobrażalnym ciśnieniem.

— Pieprzenie w bambus — rzucił Beam rozdrażniony. — Takie rzeczy mówi się tylko w reklamach.

Technik wzruszył ramionami.

— Tak czy owak, to materiał o niespotykanej twardości. Albo uzyskano go drogą naturalną, albo stworzono w specjalistycznym laboratorium. Tylko kogo byłoby na to stać?

— Jednego z największych handlarzy ludźmi — powiedział Beam. — Do tego właśnie potrzebne im bogactwo. Poza tym podróżują po rozmaitych układach słonecznych... Mają dostęp do złóż wszelkich surowców.

— Mogę już iść do domu? — zapytał technik — Dlaczego to takie ważne?

— Ta rzecz albo zabiła, albo pomogła zabić Heimiego Rosenburga. Będziemy tu tak długo, dopóki tego nie otworzymy. — Beam usiadł za stołem i sprawdził, które testy zostały już przeprowadzone. — Prędzej czy później otworzy się jak małż... Jeśli pan w ogóle pamięta, co to takiego.

Nagle włączył się sygnał ostrzegawczy.

— Ktoś jest w przedpokoju. — Beam był zaskoczony i nieco przestraszony. — Wizyta? O wpół do trzeciej w nocy? — Wstał i poszedł ciemnym korytarzem w stronę frontowych drzwi. Pewnie to Ackers. Beama gryzło trochę sumienie. Ktoś widać zauważył brak telewizora.

Ale to nie był Ackers.

Przy wejściu, w chłodnym pustym przedpokoju czekał w milczeniu Paul Tirol, a razem z nim jakaś atrakcyjna kobieta, której Beam nie znał. Na pomarszczonej twarzy Paula pojawił się uśmiech. Wyciągnął rękę na powitanie.

— Beam — odezwał się — na frontowych drzwiach znalazłem wiadomość, że jesteś na dole. Jeszcze w pracy?

Beam nieufnie zmierzył ich wzrokiem. Zastanawiał się, kim jest ta kobieta i czego może chcieć od niego Tirol.

— Muszę naprawić kilka głupich błędów — powiedział. — Cała firma mi się wali.

— Dowcipny jak zwykle. — Tirol zaśmiał się głośno. Już niemłody, był Jednak dobrze zbudowany, a ponurą twarz miał pokrytą zmarszczkami. — Znajdziesz trochę czasu? Miałbym dla ciebie coś do roboty... Jeśli jesteś zainteresowany, oczywiście.

— Zawsze. — Beam starał się ustawić tak, by Tirol nie mógł zobaczyć, co się dzieje w laboratorium. Niepotrzebnie. Drzwi od pracowni zamknęły się same. Tirol był szefem Heimiego... Pewnie dlatego czuł się upoważniony do otrzymywania wszelkich związanych z morderstwem informacji. Kto to zrobił? Kiedy? Jak? I dlaczego? Ale to i tak nie wyjaśniało, po co tu przyszedł.

— Straszna historia — powiedział bez ogródek Tirol. Nie przedstawił Beamowi kobiety i chyba nie miał takiego zamiaru. Usiadła na kanapie i zapaliła papierosa. Była szczupła, miała mahoniowe włosy, niebieski płaszcz, a na głowie chustkę.

— Tak, coś okropnego — przyznał Beam.

— Byłeś na miejscu, jak się domyślam? — To pytanie częściowo wyjaśniało cel wizyty.

— Cóż... Przechodziłem akurat w pobliżu.

— Ale nie widziałeś samego zabójstwa? — dopytywał się Tirol. — Nikt tego nie widział — przyznał Beam. — Wydział Wewnętrzny zbiera materiały. Rano powinni już ustalić sprawcę. Tirol wyraźnie się odprężył.

— To dobrze. Nie do pomyślenia, żeby taki zwyrodnialec uniknął kary. Wygnanie będzie i tak zbyt łagodną sankcją. Z takim trzeba do gazu.

— Barbarzyństwo — skrzywił się Beam. — Komora gazowa to średniowieczne metody.

Tirol spojrzął w głąb korytarza.

— Nad czym pracujesz? — zainteresował się. — Daj spokój, Leroy nie musisz mnie zbywać. Heimie Rosenburg, Panie świeć nad jego duszą, został dziś zamordowany, a ty przypadkiem pracujesz do późna w nocy. Ze mną możesz być szczery. Trafiałeś na coś związanego z tym zabójstwem, prawda?

— Zły adres. Powinieneś pogadać z Ackersem. Tirol zachichotał.

— Mogę zerknąć?

— Nie, dopóki nie zaczniesz mi płacić. Na razie jeszcze nie podpisaliśmy żadnej umowy.

— Muszę to mieć — powiedział Tirol zmienionym głosem.

— Mieć? Co? — spytał Beam, zbity z tropu.

Tirol wzdrygnął się, odsunął Beama na bok i ruszył w stronę drzwi. Otworzył je i zbiegł, głośno tupiąc po schodach, po omacku znajdując drogę. Wpadł do laboratorium. Trzasnął drzwiami.

— Ej! — krzyknął rozwścieczony Beam. Pobiegł za starszym mężczyzną i dopadł do drzwi, gotów je wywalić, jeśli zajdzie taka potrzeba. Trząsał się cały z gniewu i zaskoczenia. — Co, do cholery? — rzucił. — Nie jesteś tu u siebie!

Drzwi ustąpiły bez oporu i Beam prawie się przewrócił, wpadając do laboratorium. Przy stole,

zesztywniały ze strachu, siedział technik, a po podłodze sunął mały, metalowy przedmiot przypominający paczkę krakersów, pędził wprost na Tirola. Kiedy wskoczył mu na rękę, Paul odwrócił się i zniknął w korytarzu prowadzącym do holu.

— Co to było? — Technik zdążył nieco oprzytomnieć. Beam nie zwracał na niego uwagi. Pobiegnął za Tirolelem.

— On to zabrał! — krzyknął bezradnie.

— To... — wymamrotał technik. — Przecież to był telewizor. I uciekł.

II

Banki danych w Wydziale Wewnętrznym nieustannie analizowały zebrany materiał.

Proces zawężania kręgu podejrzanych był żmudny i długotrwały. W budynku nie zostało już zbyt wielu pracowników. Była trzecia rano. Gabinety i korytarze świeciły pustkami. W ciemnościach pracowały automatyczne urządzenia do sprzątania. Wrzało jedynie w pokoju z plikami danych. Edward Ackers cierpliwie czekał na wyniki i na kolejne specyfikacje.

Obok kilku policjantów grało w jakąś grę. Czekali ze stoickim spokojem, aż dostaną wreszcie rozkaz aresztowania. Nieustannie trwała wymiana danych pomiędzy aparaturą i ekipą w mieszkaniu Heimiego Rosenburga. Na dole Harvey Garth tkwił w swojej budce. Neon PRECZ! obracał się powoli, a Harvey zaczynał nielicznych przechodniów. Choć teraz na ulicach było już prawie pusto, nie rezygnował. Niezmordowany, nigdy się nie poddawał.

— Psychopata — powiedział z niechęcią Ackers. Nawet na szóstym piętrze cały czas dudnił mu w głowie zawodzący, jękliwy głos.

— Zgarnijmy go — zaproponował jeden z policjantów. Gra, w którą grali, skomplikowana i podchwytliwa, była odmianą oryginału z Centaura III. — Możemy unieważnić jego licencję handlową.

Gdy nie było nic innego do roboty, Ackers wymyślał i udoskonalał akt oskarżenia przeciwko Garthowi. Tworzył swego rodzaju amatorską analizę umysłowych dewiacji tego dziwaka. Edwarda bawiła ta zabawa w psychoanalitka. Dawała mu poczucie władzy.

Garth, Harvey

Wyraźna skłonność do działań wywrotowych. Uważa się za ideologicznego anarchistę, który przeciwstawia się prawnemu i społecznemu systemowi. Brak racjonalnie uzasadnionych poglądów. Powtarza wciąż te same zwroty i slogany. Jego *idée fixe* to — „Precz z Systemem Banicji”. Podporządkował temu całe życie. Nerwica, prawdopodobnie typu maniakalnego, ponieważ...

Ackers nie dokończył zdania. I tak nie wiedział, na czym polega nerwica typu maniakalnego. Ale analiza była doskonale opracowana i któregoś dnia pojawi się w oficjalnych dokumentach, a nie tylko u niego w głowie. A gdy już się tak stanie, nigdy więcej nie będzie musiał znosić tego namolnego, jękliwego głosu, który przenikał wprost do mózgu.

— Wielkie poruszenie — brzęczał na ulicy Garth. — System Banicji w obliczu załamania... wreszcie nadszedł kryzys.

— Jaki znów kryzys? — spytał na głos Ackers. Odpowiedź przyszła z dołu.

— Wszystkie maszyny w ruchu — nadawał Garth. — Wzmaga się niepokój. Zanim wstanie dzień, ktoś straci głowę. — Głos miejscami przechodził w niewyraźny bełkot. — Intryga i zabójstwo. Trupy... Policjanci gonią jak w amoku, a piękna kobieta czeka na okazję.

...zdolności Gartha są wypaczone przez jego poczucie misji. Skonstruował pomysłowe urządzenie komunikacyjne, ale wykorzystuje je jedynie do rozsiewania propagandy. A przecież z wynalazku, dzięki któremu mówca zwraca się wprost do ucha wewnętrznego słuchacza, mogłaby korzystać cała ludzkość.

Tak, to by wystarczyło: Ackers wstał i podszedł do asystenta, który zajmował się plikami.

— Jak tam? — zagadnął.

— Stopniowo eliminujemy kolejnych podejrzanych. Ale to jeszcze trochę potrwa — odparł tamten. Miał przekrwione oczy, a na brodzie szary, kilkudniowy zarost.

Ackers wrócił na swoje miejsce. Żałował, że minęły stare dobre czasy gdy używało się odcisków palców. Ale od wielu miesięcy żaden przestępca nie zostawił takich śladów, a poza tym było mnóstwo sposobów na ich usunięcie albo sfalszowanie. Nie istniał już jeden ślad, który definitywnie obciążałby sprawcę. Teraz materiały dowodowe trzeba było łączyć, tworząc łańcuchy danych.

1) próbka krwi (grupa 0)	6 139 481 601
2) rozmiar buta (44)	1 268 303 431
3) palacz	791 992 386
3a) palacz (fajka)	52 774 853
4) pleć (mężczyzna)	26 449 094
5) wiek (30-40 lat)	9 221 397
6) waga ciała (100 kg)	488 290
7) znaleziona tkanina	17 459
8) włos	866
9) posiadacz użytej broni	40

Z danych wyłaniał się coraz wyraźniejszy obraz sprawcy. Ackers potrafił go sobie wyobrazić, zupełnie jakby miał go przed sobą: raczej młody, grubawy, pali fajkę i nosi drogie tweedowe garnitury. Portret ten tworzyło dziewięć specyfikacji. Nie wyszczególniono dziesiątej, ponieważ nie zgromadzono jeszcze wystarczającej ilości danych.

Zgodnie z raportem, apartament przeszukano już dokładnie i aparatura przeniosła się teraz na zewnątrz.

— Jeszcze jeden szczegół i mamy go — stwierdził Ackers. Oddał asystentowi raport i zastanowił się, ile to jeszcze potrwa i czy znajdą kolejne ślady.

Nudził się, więc postanowił zadzwonić do żony, ale zamiast Ellen usłyszał głos elektronicznej sekretarki.

— Dobry wieczór panu — powiedział automat. — Pani Ackers udała się już na spoczynek. Proszę zostawić wiadomość, nie dłuższą niż trzydzieści sekund. Zostanie przekazana pani Ackers rano. Dziękuję.

Wściekły i bezsilny, Ackers odłożył słuchawkę. Zastanawiał się, czy Ellen naprawdę poszła spać. A może, jak zdarzało się to wcześniej, gdzieś się wymknęła. No, ale była już przecież trzecia rano. Każdy normalny człowiek spał o tej porze w najlepsze. Tylko on i Garth wciąż byli na

posterunku.

Co miał na myśli Garth, mówiąc o „pięknej kobiecie”?

— Panie Ackers — powiedział asystent — jest dziesiąta specyfikacja. Właśnie ją przesyłają.

Ackers spojrzął z nadzieją na banki plików, ale nic nie dostrzegł. Główna część aparatury analitycznej znajdowała się pod ziemią, na powierzchni zaś zainstalowano jedynie receptory odbierające dane oraz urządzenie, które Podawało gotowe wyniki. Sam fakt, że mógł spojrzeć na część pracującej Maszynerii, uspokoił go jednak. W tej chwili bank właśnie przyjmował dziesiątą partię materiału dowodowego. Już za moment miało się okazać, ile osób spełniało wszystkie kryteria i czy ta grupa będzie na tyle mała, by mogło dojść do aresztowania.

— Jest — powiedział asystent, podając mu wydruk.

Rodzaj użytego pojazdu (kolor) 7

— Mój Boże — mruknął Ackers — to wystarczy. Możemy brać się do roboty

— Chce pan wszystkie siedem kart? — Jasne, dawaj.

Po chwili na tacy przy otworze wylotowym pojawiły się białe karty. Asystent podał tacę Ackersowi, a ten szybko je przejrzał. Następnym krokiem było określenie motywu i miejsca, w którym przebywał podejrzany. O motywie jednak można było dowiedzieć się już od samych podejrzanych.

Sześć z siedmiu nazwisk nic mu nie mówiło. Dwie z tych osób żyły na Wenus, jedna w systemie Centaura, a jedna gdzieś na Syriuszu. Kolejny podejrzany przebywał obecnie w szpitalu, szósty był obywatelem Związku Radzieckiego. Siódmy mężczyzna mieszkał zaledwie parę kilometrów stąd, na przedmieściach Nowego Jorku.

— Lantano David — przeczytał Ackers.

To przesądzało sprawę. Pasował każdy szczegół. Ackers wiedział, że znaleźli ostatni element układanki. Obraz w jego głowie nabrał realnych kształtów. Właściwie to podświadomie spodziewał się zobaczyć na karcie to nazwisko. Może nawet na to liczył.

— To nasz zabójca — powiedział do policjantów drżącym głosem. — Lepiej zbierzcie jak najwięcej ludzi. To nie będzie takie proste. Pojadę z wami — dodał po chwili.

Beam wypadł na zewnątrz. Niewyraźna postać Tirola majaczyła w ciemnej ulicy. Jego towarzyszka pobiegła przodem, wskoczyła do samochodu, uruchomiła silnik, zaczekała na Paula i razem odjechali.

Beam, ciężko dysząc, stał bezradnie na chodniku i próbował złapać oddech. Zabrali telewizor i zostawili go z niczym. Pobiegł jeszcze kawałek w dół ulicy, co nie miało sensu. Jego kroki odbijały się głośnym echem na pustej ulicy. Po uciekinierach nie było ani śladu.

— A niech to — powiedział. Dopiero teraz do niego dotarło, że to dziwne urządzenie, najwyraźniej bardzo skomplikowane i wymyślne, musiało należeć do Paula Tirola. Przecież samo wskoczyło mu na rękę, gdy tylko wyczuło jego obecność. Tylko dlaczego? Szukało schronienia?

Dwie rzeczy były pewne: to coś zabiło Heimiego i należało do Tirola Paul pozbył się swojego pracownika w sposób, który nie kierowałby podejrzeń na niego samego. Taki skomplikowany robot musiał kosztować jakieś sto tysięcy dolarów.

Sporo pieniędzy jak na wykonanie czegoś tak prostego jak zabójstwo Dlaczego Tirol po prostu nie wynajął jakiegoś włóczęgi z łomem?

Beam ruszył powoli w stronę laboratorium. Po chwili zatrzymał się i zawrócił w kierunku dzielnicy handlowej. Gdy pojawiła się trzykołowa taksówka, przywołał ją i wsiadł.

— Dokąd, dobry człowieku? — popłynął głos z przekaźnika. Wszystkimi miejskimi

taksówkami sterowano na odległość z głównej centrali.

Beam podał adres jednego z barów, oparł się wygodnie i zamyślił. Morderstwo mógł popełnić każdy. Nie trzeba było do tego skomplikowanych robotów.

Maszynę zbudowano więc w innym celu. A to oznaczało, że Heimie Rosenburg zginął przez przypadek.

Masywna bryła rezydencji Davida Lantano odcinała się wyraźnie na tle nocnego nieba. Ackers przyjrzał się jej z daleka. Nie paliło się ani jedno światło. Dom wydawał się zamknięty i bezpieczny. Przed głównym wejściem rozpościerał się rozległy trawnik. Lantano był chyba ostatnim człowiekiem na Ziemi, który miał taki trawnik i nie zamierzał tego ukrywać. Za cenę tego trawnika mógłby z pewnością kupić całą planetę w innym układzie słonecznym.

— Idziemy — rozkazał Ackers. Rozdrażniło go, że Lantano tak się obnosi ze swoim bogactwem; kierując się w stronę szerokich schodów, które prowadziły na ganek rezydencji, na złość podeptał grządkę róż. Krok w krok za nim szli policjanci z grupy uderzeniowej.

— Co jest? — mruknął Lantano, obudzony w środku nocy. Był gruby, młody i sympatyczny z wyglądu. Miał na sobie elegancki, jedwabny szlafrok. Przypominał kierownika letniego obozu dla chłopców. Wydawało się, że jego miękka, nalana twarz nigdy nie przybiera smutnego wyrazu. — Co się stało, panie oficerze?

Ackers nie cierpiał, gdy zwracano się do niego w ten sposób.

— Jest pan aresztowany.

— Ja? — bąknął niewyraźnie Lantano. — Panie oficerze, od takich spraw to ja mam prawników. — Ziewnął głośno. — Może kawy? — Zaczął się chaotycznie kręcić po pokoju. Nastawił wodę.

Ackers od lat już nie pozwolił sobie na luksus wypicia filiżanki kawy. Ziemia była teraz gęsto pokryta kompleksami przemysłowymi i mieszkalny — mi' A na innych planetach nasiona kawy nie przyjęły się. Lantano miał pewnie własną, nielegalną plantację, gdzieś w Ameryce Południowej... Zbierane, którzy tam pracowali, myśleli pewnie, że wysłano ich do jakiejś odległej Pozaziemskiej kolonii.

— Nie, dziękuję — powiedział Ackers. — Musimy już iść.

Wciąż oszołomiony, Lantano opadł na miękki fotel i spojrzał na Ackersa z niepokojem.

— Pan nie żartuje — stwierdził. Jego twarz straciła pogodny wyraz. Wyglądał tak, jakby za chwilę miał znów zasnąć. — O kogo chodzi? — wybełkotał.

— Heimie Rosenburg.

— Poważnie? — Lantano powoli pokręcił głową. — Zawsze chciałem go mieć w swojej firmie. Jest naprawdę przemiły. To znaczy... był.

Ackers wolałby jak najszybciej opuścić tę luksusową rezydencję. Kawa parzyła się w dzbanku. Jej aromat go denerwował. A w dodatku na stole stał kosz pełen — Chryste Panie! — prawdziwych moreli.

— Brzoskwinie — powiedział Lantano, idąc za wzrokiem Ackersa. — Niech pan się poczęstuje.

— Skąd... pan je ma?

Lantano wzruszył niedbale ramionami.

— Syntetyczna plantacja. Hydroponika. Nie pamiętam, gdzie... Zresztą i tak nie mam głowy do tych nowych technologii.

— Wie pan, że za posiadanie naturalnych owoców grozi grzywna.

— Lepiej niech pan mi opowie — Lantano pocierał pulchne dłonie jedną o drugą — coś więcej o tej historii z Heimim, a udowodnię panu, że nie mam z tym nic wspólnego. Panie oficerze...

— Ackers. Nazywam się Ackers — powiedział Edward.

— Dobrze, panie Ackers. Nawet myślałem, że to pan, tylko nie chciałem się wygłupić. Kiedy dokładnie zabito Heimiego?

Ackers niechętnie podał mu związane ze sprawą Rosenburga informacje.

Lantano siedział przez chwilę w milczeniu, wreszcie odezwał się ponuro:

— Lepiej niech pan sprawdzi pozostałe siedem kart. Jedna z tych osób wróciła... z systemu Syriusza.

Ackers zastanawiał się, jakie mieli szansę, by zesłać człowieka takiego jak Dav id Lantano. Jego organizacja — Interplay Export — miała kontakty w najdalszych zakątkach galaktyki. Ludzie Lantany będą go szukać do upadłego. Nikomu nie udało się dotrzeć tak daleko, jak wysyłano skazańców. Rozbity na jony i niesiony przez naładowane cząstki energii, wygnaniec podróżował z prędkością światła. Nie było powrotu, system działał tylko w jedną stronę.

— Niech pan pomyśli rozsądnie — powiedział Lantano. — Gdybym to ja chciał zabić Heimiego... czy zrobiłbym to sam? Przecież to bez sensu. Zleciłbym komuś. — Dotknął Ackersa grubym paluchem. — Wydaje się panu, że narażałbym się osobiście? Wiem, że zgarniecie wszystkich, jak leci... i że z reguły udaje wam się znaleźć dość specyfikacji.

— Na pana mamy dziesięć — powiedział szybko Ackers.

— Więc macie zamiar mnie zesłać?

— Jeśli jest pan winny, będzie pan musiał się z tym pogodzić, tak jak wszyscy inni. Pańska pozycja nie ma w tym przypadku znaczenia. — Ackers denerwował się coraz bardziej. — Oczywiście na razie wypuścimy pana. Będzie pan miał mnóstwo czasu i okazji, by dowieść swojej niewinności. Może pan przecież zaskarżyć i podważyć każdą z dziesięciu kategorii.

Nie musiał chyba opisywać Lantanowi przebiegu procedury sądowej, która obowiązywała w dwudziestym pierwszym wieku. Nagie umilkł. Fotel, na którym siedział David Lantano, zdawał się zapadać w podłogę. A może to tylko złudzenie? Ackers przetarł oczy ze zdziwienia. W tej samej chwili jeden z policjantów krzyknął ostrzegawczo. Lantano próbował się wymknąć.

— A dokąd to?! — rzucił Ackers, skoczył w stronę podejrzanego i przytrzymał fotel. Jeden z jego ludzi pobiegł odłączyć źródło zasilania rezydencji. Fotel znieruchomiał pod podłogą. Na powierzchni widać było teraz tylko głowę Lantana. Udało mu się prawie całkowicie ukryć w szybie ewakuacyjnym.

— Żenująca próba... — mruknął Ackers.

— Ma pan rację — przyznał Lantano. Cały czas siedział nieruchomo. Nie próbował się podciągnąć. Minę miał niewyraźną. Znów się zamyślił, po czym powiedział:

— Mam nadzieję, że uda się to wszystko wyjaśnić. Najwyraźniej ktoś mnie wrabia. Tirol wynajął kogoś, kto wygląda jak ja, by zabił Heimiego.

Ackers i policjanci wyciągnęli go z kryjówki. Nie opierał się, znów pogrążony w myślach.

Taksówka wysadziła Leroya Beama przed wejściem do baru. Na prawo wznosił się budynek Wydziału Wewnętrznego... a na chodniku majaczył ciemny kształt budy Gartha.

Beam wszedł do baru, znalazł stolik na tyłach i usiadł. Słyszał stąd niewyraźnie propagandowe hasła Gartha. Harvey bełkotliwie gadał sam do siebie. Nie zauważył Beama.

— Precz. Precz z nimi. Banda oszustów i złodziei. — Z dusznej budy wydobywały się cuchnące opary, a Garth nie przestawał narzekać.

— Co jest? — spytał go Beam. — Coś nowego? Garth przerwał swój jadowity monolog.

— Pan tu? W barze? — zapytał zaskoczony.

— Muszę dowiedzieć się czegoś więcej o śmierci Heimiego.

— Nie żyje. Zleciała się psiarnia i tasuje karty.

— Gdy wychodziłem z jego mieszkania, mieli sześć specyfikacji. — Wcisnął guzik z wybranym napojem i wrzucił żeton.

— To musiało być wcześniej — stwierdził Garth. — Teraz mają ich więcej.

— To znaczy ile?

— W sumie dziesięć.

Dziesięć. Tyle z reguły wystarczało. I wszystkie podłożył ten robot. Cały łańcuch śladów, które spreparował, wykonując powierzone mu zadanie. Wszystkie znalazły się między betonową ścianą budynku a martwym ciałem Heimiego Rosenburga.

— To dobrze — powiedział z zastanowieniem. — Dla Ackersa.

— Powiem panu coś jeszcze — mruknął Garth. — W końcu za to mi pan płaci. Już wyjechali na aresztowanie. Ackers osobiście... razem z grupą uderzeniową.

A więc robot wykonał swoje zadanie, przynajmniej do pewnego stopnia. Beam był teraz pewien, że urządzenie po prostu nie zdążyło opuścić mieszkania. Tirol nie wiedział o cichym alarmie, który kazał zainstalować Heimie. Rosenburg był na tyle sprytny, by nie wspominać o tym nikomu.

Gdyby alarm nie ściągnął do mieszkania policji, robot sam by się wydostał z apartamentu i wrócił do Tirola, który zniszczyłby urządzenie. W ten sposób nikt by się nie dowiedział, że ślady, które znalazła policyjna aparatura, były fałszywe.

— Kogo oskarżają? — zapytał Beam.

— Davida Lantano.

— Jasne! — mruknął Leroy. — To wszystko właśnie po to. Chcą go zrobić!

Garth nie stał po żadnej ze stron. Po prostu zatrudniła go grupa niezależnych detektywów, by wylapywał i przekazywał im informacje z Wydziału Wewnętrznego. Polityka nie interesowała Harveya. A hasło Precz! i cała ta propagandowa działalność — to była tylko przykrywką.

— Wiem to ja — stwierdził Beam — i wie Lantano. Tylko żaden z nas nie może tego dowieść. Chyba że Lantano ma bardzo mocne alibi.

— Precz — rzucił głośno Garth w stronę grupki spóźnionych przechodniów. Nie chciał, by ktoś podsłuchał ich rozmowę. Chociaż tak przestroił fale swojego wynalazku, by docierały tylko do Beama, czasami w bezpośrednim sąsiedztwie budki nabierały niebezpiecznego rezonansu i ktoś niepowołany mógł je wylapać.

Pochylony nad szklanką, Leroy Beam zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. Mógł oczywiście przekazać posiadane informacje organizacji Lanta — na, która zresztą na pewno nie ucierpi na skutek jego aresztowania, ale to wywołałoby wojnę domową. Poza tym Leroy nie przejmował się zbytnio tym, że ktoś wrabiał Lantana. Wiadomo było, że jeden z wielkich handlarzy prędzej czy później wchłonie firmę drugiego. Kartel był kolejnym, naturalnym krokiem w zmaganiach takich gigantów. Gdyby Lantano zniknął, Tirol bez problemów przejąłby jego organizację. Jej pracownicy mieliby to gdzieś. Dalej robiliby to samo, tylko szef nosiłby teraz inne nazwisko.

Z drugiej strony jednak... może gdzieś, kiedyś powstać robot, który zostawi ślady Leroya Beama. Może ludzie Tirola już pracują nad takim projektem. Jeśli Tirolowi taki numer uda się raz, nie zawaha się powtórzyć go w przyszłości.

— A już miałem to draństwo w ręku — powiedział bezradnie Beam. — Przez pięć godzin bezmyślnie tłukłem w to młotkiem. Cholerny telewizor, który zmienia postać i może zabijać.

— Jest pan pewien, że go nie odzyska?

— Nie ma szans. Pewnie już go zniszczyli. No, chyba że nie dojechali, bo ta kobitka rozbiła samochód.

— Kobitka? — zainteresował się Garth.

— Kobieta, która widziała tego robota — wyjaśnił Beam — i wiedziała o jego istnieniu. Była razem z Tirolelem. — Niestety, wciąż nie miał pojęcia, kim była.

— Jak wyglądała? — dopytywał się Garth.

— Wysoka, szczupła, mahoniowe włosy. Bardzo nerwowa.

— Nie wiedziałem, że pokazuje się z nim tak otwarcie. Naprawdę musiało im zależeć na tym robocie — powiedział Garth i dodał: — Nie poznał jej pan? Chociaż z drugiej strony, to nic dziwnego. Trzyma się raczej na uboczu.

— Kto to taki?

— Ellen Ackers.

Beam zaśmiał się głośno.

— A co, robi za kierowcę u Paula Tirola?

— No, można i tak to ująć. Że robi u niego za kierowcę.

— Ile to już trwa?

— Myślałem, że pan wie. Ona i Ackers rozstali się w zeszłym roku. Ale Ackers nie pozwala jej odejść. Nie zgadza się na rozwód. Dbą o opinię publiczną. Nie może sobie pozwolić, by jakiś skandal zepsuł mu reputację. Na tym stanowisku... musi mieć krystalicznie czystą opinię.

— Wie o Paulu Tirolu i Ellen?

— Oczywiście, że nie. Wie tylko, że ona jest emocjonalnie zaangażowana. Nie obchodzi go to zbytnio... przynajmniej zanim się ludzie o tym nie dowiedzą. Interesuje go tylko zajmowane stanowisko.

— Gdyby Ackers się o tym dowiedział... — mruknął Beam — gdyby dowiedział się o powiązaniach żony z Tirolelem... zignorowałyby wszystkie dziesięć specyfikacji uzyskanych w biurze. Zrobiliby wszystko, żeby zamknąć Tirola. Nie dbałby wtedy o dowody. Te można zebrać później. — Zdecydowanym gestem odsunął pustą szklankę. — Gdzie znajduje Ackersa?

— Już panu powiedziałem: w rezydencji Lantana. Ma go aresztować.

— Wróci tu? Nie pojedzie do domu?

— Oczywiście, że tu wróci. — Garth umilkł na chwilę. — Tam pojechała chyba ciężarówka Wydziału. Widzę, że właśnie wjechały na rampę garażową. Pewnie już wrócili.

— Jest między nimi Ackers? — z napięciem w głosie spytał Beam.

— Tak, widzę go. Precz! — Głos Gartha zmienił się i przybrał na sile. — Precz z Systemem Banicja! Wygnąć tych złodziei i oszustów!

Beam wstał i wyszedł z baru.

Na tyłach mieszkania Edwarda Ackersa paliło się przyćmione światło — zapewne w kuchni. Frontowe drzwi były zamknięte na klucz. Beam stał w wyłożonym dywanem korytarzu. Wprawnym okiem obejrzał zamek w drzwiach. Otwierał się automatycznie po rozpoznaniu wzoru aktywności neuronowej — z pewnością państwa Ackers i ich najbliższych. Naturalnie jego to nie dotyczyło.

Przykłąknął, włączył kieszonkowy oscylator i ustawił go na emisję fal sinusowych. Stopniowo zwiększał ich częstotliwość i przy stu pięćdziesięciu tysiącach cps* zamek cicho szczękął. To Beamowi wystarczyło. Wyłączył oscylator, pogrzebał w swoim zapasie uniwersalnych wzorców i w końcu znalazł cylinder z najbardziej zbliżonym. Wsadził go w głowicę oscylatora. Cylinder emitował syntetyczny wzorec aktywności neuronowej, na tyle podobny do jednego z zapisanych w zamku, że drzwi otworzyły się z cichym trzaskiem.

* *Cycles per second* — cykle na sekundę (przyp. tłum.).

Beam wszedł do mieszkania.

W półmroku widać było stylowo i gustownie urządzonego salon. Ellen Ackers musiała naprawdę dbać o dom. Beam zatrzymał się i nasłuchiwał. Czy w ogóle jest w domu? A jeśli tak, to gdzie? Może śpi?

Zajrzał do sypialni. Łóżko było puste.

Jeśli nie tu, to może była teraz w mieszkaniu Tirola. Nie miał zamiaru tam jej śledzić. I tak wiele ryzykował, przychodząc tutaj.

Zajrzał do jadalni. Tu też nie było żywej duszy. Wszedł do kuchni. Również pusto. Dalej znajdował się obity tkaniną pokój dzienny. Po jednej stronie umieszczono nieco jarmarczny barek, po drugiej stała olbrzymia kanapa. Leżał na niej damski płaszcz, torebka i rękawiczki. Beam poznał rzeczy Ellen Ackers. To znaczyło, że dotarła do domu po ich spotkaniu w laboratorium Leroya.

Jedynym pomieszczeniem, którego jeszcze nie sprawdził, była łazienka. Poruszył delikatnie gałką. Drzwi były zaryglowane od wewnątrz. W środku panowała cisza, ale Beam czuł czyjąś obecność. Wiedział, że kobieta tam jest.

— Pani Ackers — powiedział, przyciskając czoło do drzwi — czy to pani? Żadnej odpowiedzi. Wiedział, że to ona. Wyczuwał wyraźnie jej strach. Przykucnął i zaczął majstrować przy magnetycznych zapadkach. Nagle, dokładnie tam, gdzie przed chwilą przykładął czoło, drzwi przebił mały pocisk, przeleciał przez pokój i utknął w ścianie.

Prawie natychmiast drzwi otworzyły się i stanęła przed nim Ellen Ackers, blada i przerażona. W drobnej dłoni ścisnęła jeden ze służbowych pistoletów męża. Beam, wciąż klęcząc, chwycił kobietę za nadgarstek. Kolejny pocisk przeleciał mu tuż nad głową. Potem i ona uknęła. Oboje dyszeli ciężko.

— Niech pani da spokój — powiedział w końcu Beam. Lufa pistoletu prawie ocierała mu się o policzek. By teraz go zastrzelić, musiałaby przyciągnąć broń bliżej siebie. Ale nie pozwolił na to. Ścisnął jej rękę jeszcze mocniej. W końcu poddała się i upuściła pistolet. Beam podniósł się.

— Pan przykucnął — szepnęła, jakby z wyrzutem.

— Staralem się otworzyć zamek. Dobrze, że celowała pani w głowę. — Podniósł pistolet i wsadził go do kieszeni. Ręce mu się trzęsły.

Ellen Ackers wpatrywała się w niego dużymi czarnymi oczami. Twarz miała nienaturalnie białą, po prostu — trupio bladą i matową, jakby ktoś posypał ją talkiem. Zdawała się być na skraju załamania nerwowego. Trzęsła się na całym ciele, sparaliżowana strachem. Próbowwała coś powiedzieć, ale nie była w stanie wydusić z siebie jednego słowa.

— Jezu — mruknął Beam zakłopotany. — Niech pani wejdzie do kuchni i usiądzie.

Popatrzyła na niego, jakby powiedział coś nieprzyzwoitego albo idiotycznego.

— Pomogę pani — dodał. Chciał podtrzymać ją za ramię, ale wyrwała się przerażona. Miała na sobie prosty zielony kostium, w którym wyglądała bardzo dobrze. Choć nieco za szczupła i zanadto nerwowa, była niewątpliwie atrakcyjna. W uszach miała drogie kolczyki z kamieniami z importu... ale poza tym wyglądała zwyczajnie.

— To pan był wtedy w laboratorium — wykrztusiła. — Nazywam się Leroy Beam. Jestem prywatnym detektywem.

Wciąż była tak wstrząśnięta, że to on musiał wskazać jej drogę do kuchni. Posadził ją na stole. Przyglądała mu się uważnie. Wydawała się teraz jeszcze bardziej przygnębiona. Poczul się nieswojo.

— Lepiej już? — spytał. Potaknęła.

— Kawy? — Zaczął przeglądać zawartość szafek. Szukał sztucznej kawy z Wenus. Nagle Ellen Ackers powiedziała: — Lepiej niech pan tam pójdzie... do łazienki. Chyba go nie zabiłam, ale

nigdy nic nie wiadomo.

Beam popędził do łazienki. Za plastikową zasłoną od razu zauważył jakiś kształt. To był Paul Tirol. Leżał w wannie, w ubraniu. Żył, ale ktoś uderzył go w tył głowy i z rany wąską strużką sączyła się krew. Beam sprawdził puls i oddech, po czym się wyprostował.

W drzwiach stała Ellen Ackers, wciąż blada i przestraszona.

— Nie żyje? Zabiłam go? — Nic mu nie będzie. Uspokoiła się wyraźnie.

— Dzięki Bogu. To wszystko stało się tak szybko... Szliśmy do niego żeby odnieść M, i wtedy to zrobiłam. Staralam się nie uderzyć go zbyt mocno. Taki był pochłonięty tym robotem... W ogóle o mnie zapomniał. — Gestykulując, wyrzucała z siebie potok słów. — Zawlokłam go z powrotem do auta i przywiozłam tutaj. Nie wiedziałam, co robić.

— A co pani ma z tym wszystkim wspólnego? Znow dostała ataku hysterii.

— Wszystko miałam zaplanowane... Gdy już zdobędę tę rzecz, miałam... — urwała.

— Zaszantażować Tirola? — dokończył. Uśmiechnęła się słabo.

— Nie, nie Paula. To on podsunął mi ten pomysł... zaraz, jak tylko technicy pokazali mu to urządzenie. Nazwał je „niereformowainą M”. M oznacza maszynę. A jest „niereformowalna”, bo nie można jej ani przeprogramować, ani niczego nowego nauczyć. Czyli nie da się jej poprawić pod względem moralności.

— Chciała pani zaszantażować męża — z niedowierzaniem mruknął Beam.

— Wtedy pozwoliłby mi odejść — przyznała. Nagle poczuł do niej szczerą szacunek.

— Rozumiem... ten cichy alarm. To nie Heimie go zainstalował... To pani. Żeby robot nie wrócił do Tirola.

— Tak. Chciałam sama go zabrać. Ale Paul miał inne plany. On również potrzebował M.

— Co poszło nie tak? Ma pani to tutaj, prawda? Wskazała na szafkę.

— Gdy pojawił się pan, schowałam tam robota.

Beam otworzył drzwiczki. Na stosie równo złożonych ręczników leżał mały, przenośny telewizor.

— Zmienił się — powiedziała głosem kogoś, kto stracił wszystko — jak tylko Paul stracił przytomność. Przez pół godziny próbowałam coś z tym zrobić. Na próżno. Zostanie już chyba w tej postaci na zawsze.

III

Beam podszedł do telefonu i wezwał lekarza. Z łazienki dobiegł cichy jęk. Tirol poruszył się. Zaczynał odzyskiwać przytomność.

— Czy to konieczne? — spytała Ellen Ackers. — Ten lekarz... musi go pan Wzywać?

Beam nie zwracał na nią uwagi. Wrócił do łazienki, przykucnął i podniósł telewizor. Odbiornik wydawał się teraz cięższy. W swojej mechanicznej tępcie i obojętności M wydawała się przeciwnikiem nie do pokonania. Gorsza niż dzikie zwierzę. Twarda i nieczuła jak kamień, pozbawiona wszelkich wyróżniających cech. Poza determinacją, pomyślał. Była zdecydowana trwać i przetrwać niczym skała uzbrojona w wolną wolę. Beam czuł się teraz tak, jakby dźwigał na barkach cały wszechświat. Postawił niereformowalną M na podłodze.

— Działa panu na nerwy, co? — stwierdziła za jego plecami Ellen. Odzyskała już swój normalny głos. Srebrną zapalniczką przypaliła papierosa i włożyła ręce do kieszeni zakietu.

— Tak — przyznał.

— Ta bezsilność. Nic nie można zrobić, prawda? Próbował już pan przecież otworzyć ją

wcześniej. Lekarze postawią Tirola na nogi i wróci do siebie, a Lantano zostanie zesłany... — Westchnęła głęboko. — A Wydział Wewnętrzny będzie działał w najlepsze, jak dotąd.

— Tak — powtórzył. Wciąż klęczał przy M. Nauczony doświadczeniem, nie tracił czasu na bezowocne próby otwarcia maszyny. Przyglądał się jej w milczeniu, nawet nie dotykając.

Paul Tirol próbował wydostać się z wanny, ale osunął się z powrotem. Zaklął głośno, stęknął i znów spróbował się podnieść.

— Ellen? — wybełkotał słabym, zachrypniętym głosem.

— Spokojnie — powiedziała przez zaciśnięte zęby. Stała, wpatrując się w niego, i paliła nerwowo.

— Pomóż mi, Ellen — powiedział słabo Paul. — Coś mi się stało... Nic nie pamiętam. Coś mnie uderzyło.

— Mogę to zanieść do Ackersa w tym stanie — odezwał się Beam. — Pani powie mu, co się stało... co ta maszyna zrobiła, i wtedy Edward odpuści Lantanowi.

Ale sam w to nie wierzył. Ackers musiałby się wtedy przyznać do bardzo poważnego błędu, a gdyby wyszło na jaw, że całkowicie się pomylił co do Lantana, byłby skończony. A razem z nim, w pewnym stopniu, również System Banicja. Taki incydent ośmieszyłby całą organizację. Właściwie już się to stało. Ackers nie ugnie się. Pójdzie swoją drogą i rzuci Lantana na pożarcie. Do diabła z abstrakcyjnym pojęciem sprawiedliwości. Z jego punktu widzenia lepiej było zachować cywilizacyjną ciągłość i dalej prowadzić społeczeństwo na spokojne wody.

— A co ze sprzętem Tirola? — zapytał Beam. — Wie pani, gdzie jest?

— Jaki sprzęt?

— To coś — wskazał na M — musiało zostać gdzieś zrobione.

— Nie tutaj. Tirol tego nie zrobił.

— W porządku — zgodził się Beam. Nie było czasu, by się spierać. Za sześć minut na dachu wylądował lekarz z całą ekipą pogotowia ratunkowego — W takim razie kto?

— Sam stop wykonano na Bellatrix — mówiła urywanym głosem. — Zewnętrzna warstwa... tworzy pancerz dla tego, co jest w środku. Trochę przypomina to balon, który napęlnia się powietrzem lub wypuszcza je z siebie. Kiedy maszyna przybiera normalną postać, przechowuje swoją ochronną powłokę w specjalnym zbiorniku.

— Kto to wykonał?

— Fabryka obrabiarek w Bellatrix... Należy do organizacji Tirola. Tych robotów używa się jako strażników wielkich plantacji na planetach leżących poza naszym Układem Słonecznym. Patrolują teren i eliminują kłusowników.

— Więc nie programuje się ich do zabicia tylko jednej osoby?

— Nie.

— A więc kto ustawił tę maszynę na Heimiego? Przecież nie zrobili tego w fabryce obrabiarek.

— Przeprogramowano ją tutaj.

Beam wstał, zabierając robota.

— Chodźmy. Zaprowadzi mnie pani tam, gdzie to zostało wyprodukowane.

Kobieta nie reagowała. Chwycił ją za rękę i popchnął w stronę drzwi. Obruszyła się i rzuciła mu gniewne spojrzenie.

— No, dalej — ponaglił. Wyszli na korytarz. W przejściu Beam zawadził telewizorem o drzwi. Chwycił mocniej robota i ruszył za Ellen Ackers.

Miasto Olum było zapuszczone i brudne — kilka małych sklepików, stacja paliw, bary i parę tanich dyskotek. Z Wielkiego Nowego Jorku lecieli tu dwie godziny.

— Niech pan skręci w prawo — powiedziała beznamiętnie Ellen. Oparła rękę na parapecie okna

i patrzyła na neony.

Lecieli nad magazynami i opustoszałymi ulicami. Paliło się tylko kilka świateł. Na jednym ze skrzyżowań Ellen dała mu znak i Beam posadził statek na dachu, pod nimi znajdował się zaniedbany drewniany budynek mieszczący sklep — W oknie wystawowym widniał szyld: Zakład ślusarski braci Fulton. Farba, którą namalowano litery, łuszczyła się i odpadała. Pod szyldem leżały gałki, klamki, zamki, klucze, piły i nakręcane budziki. Wewnątrz sklepu paliła się, migocząc, żółta nocna lampa.

— Tędy — powiedziała Ellen. Wysiadła ze statku i zeszła na dół po rozchwianych, drewnianych schodach. Beam postawił telewizor na podłodze, starannie zamknął drzwi i ruszył za kobietą. Schody prowadziły do tylnego wejścia. Leżało tu pełno pustych puszek i wilgotnych gazet powiązanych sznurkiem. Ellen otworzyła drzwi i weszła po omacku do środka.

Beam znalazł się w zagraconym, wilgotnym pomieszczeniu. Wokół pełno było blachy, rur i zwojów drutu. Minęli graciarnię i znaleźli się w krótkim korytarzu, który prowadził do warsztatu. Ellen wyciągnęła rękę i po omacku zapaliła światło. Na prawo Beam zobaczył długi, zaśmiecony stół, ręczną szlifierkę, imadło i otwornicę. Obok stołu ustawiono dwa drewniane taborety, a na podłodze leżały jakieś na wpół rozkręcone urządzenia. W tym archaicznym warsztacie panował okropny bałagan. Na kołku wisiał wytarty niebieski fartuch — ubranie rzemieślnika.

— To tu — powiedziała gorzko Ellen. — Tutaj Paul to przywiózł. To miejsce też należy do organizacji Tirola. Wszystkie te slumsy.

— Żeby zmienić program maszyny — stwierdził Beam — Tirol musiał mieć kopię wzorca aktywności neuronowej Heimiego Rosenburga. — Wysypał zawartość słoików ustawionych na stole; śruby i podkładki posypały się na zniszczony blat.

— Skopiował go z drzwi wejściowych do mieszkania Rosenburga — wyjaśniła. — Dokonał analizy zamka i po ustawieniu zapadek zorientował się, jakiego potrzebuje wzorca.

— I otworzył M?

— Mieszka tu taki mechanik — powiedziała — mały, zasuszony staruszek. Prowadzi ten sklep. Nazywa się Patrick Fulton. To on zainstalował blokadę.

— Błokadę... — Beam pokiwał głową.

— Taką, dzięki której M nie zabijała ludzi. Heimie był wyjątkiem. W obecności innych maszyna miała włączać powłokę ochronną. Na plantacjach zmieniliby pewnie formę tej powłoki. Na pewno nie byłby to telewizor. — Zachichotała histerycznie. — Tak, to by dziwnie wyglądało. Telewizor, który czai się w środku lasu. Pewnie zrobiliby z niego kamień albo jakiś pniak.

— Kamień — powtórzył Beam. Tak, mógł sobie wyobrazić, jak M czeka, Pokryta mchem. Czeka całymi miesiącami, latami, niszczyje i koroduje do chwili, gdy wyczuje obecność człowieka. Wtedy błyskawicznie się przeistacza, przyjmując swoją prawdziwą postać — trochę większego pudełka po krakersach, i atakuje...

Czegoś mu tu brakowało.

— A co z fałszerstwami? — spytał. — Te próbki farby, włosów i tytoniu które podrzuciła. Skąd się to wzięło?

— Właściciel plantacji zamordował kłusownika. W świetle prawa popełnił przestępstwo i powinien ponieść karę. Więc M podrzuciła fałszywe dowody. Ślady pazurów. Zwierzęcą krew. Sierść.

— No tak — mruknął — zagryziony przez dziką bestię.

— Niedźwiedź, dziki kot... coś, co zamieszkuje tę planetę. Naturalny drapieżnik, naturalna śmierć. — Czubkiem buta wskazała jakąś paczkę pod stołem. — Tu jest wszystko. Przynajmniej kiedyś było. Wzorzec neuronowy, nadajnik, odrzucone części M, wszystkie schematy.

Było to pudło do przewozu zasilaczy. Teraz znaleźli wewnątrz starannie zawiniętą paczkę,

zabezpieczoną przed wilgocią i insektami. Beam zdarł metalową folię i przekonał się, że właśnie tego szukał. Ostrożnie wyjął zawartość i położył na stole obok lutownic i wiertel.

— Nie brakuje niczego — powiedziała spokojnie Ellen.

— Może nie muszę pani w to mieszać — stwierdził Beam. — Wezmę te rzeczy i telewizor do Ackersa. Pani zeznania nie będą już potrzebne.

— To dobrze — odparła bez przekonania.

— Jakie ma pani plany?

— Mm... — mruknęła — nie mogę wrócić do Paula, więc nie bardzo wiem, co powinnam zrobić.

— Ten szantaż to był kiepski pomysł — zauważył.

— Tak pan uważa? — Oczy jej błyszczały.

— Jeśli zwolni Lantana, będzie się musiał podać do dymisji. Potem pewnie da pani rozwód. Tak czy inaczej, nie będzie to już miało dla niego żadnego znaczenia.

— Myślę... — zaczęła i urwała gwałtownie. Krew odpłynęła jej z twarzy. Podniosła rękę, obróciła się i zastygła w tej pozycji.

Beam błyskawicznie dopadł do wyłącznika i światło zgasło. Warsztat pogrzyżył się w ciemności. On też to usłyszał. Dokładnie w tym samym momencie co ona. Hałas na ganku, skrzypnięcie i powolny ruch, najpierw w graciarni, a teraz w korytarzu prowadzącym do pomieszczenia, w którym się znajdowali.

Ciężki mężczyzna — Beam próbował go sobie wyobrazić — porusza się sennie, krok za krokiem. Oczy przymrużone. Potężne ciało obciska drogi tweedowy garnitur. Było tak ciemno, że Beam nie mógł dojrzeć jego sylwetki, ale widział oczami wyobraźni, jak mężczyzna staje w progu. Drewniana podłoga skrzypiała. Zaskoczony, Beam pomyślał, czy Ackers już wie, że jego rozkaz został unieważniony. A może potężny mężczyzna wyszedł na wolność, używając swoich wpływów.

Przybysz znów ruszył przed siebie i nagle zaklął głośno:

— Ach! Jasna cholera!

To był głos Lantana.

Eilen krzyknęła przerażona. Beam wciąż nie zdawał sobie sprawy, co się naprawdę dzieje. Cały czas rozpaczliwie próbował włączyć światło i dopiero po kilku sekundach zorientował się, że musiał zbić żarówkę. Zapalił zapałkę, ale zgasła prawie natychmiast. Chwycił więc torebkę Ellen i przez nieznośnie długą chwilę szukał zapalniczki.

M zbliżała się do nich powoli. Wysunęła jeden ze swoich receptorów. Znów przystanęła i odwróciła się w stronę stołu.

M szukała po prostu Heimiego Rosenburga, którego wzorec tu schowano. Beam przez cały czas czuł jednak obecność Lantana. Wielki mężczyzna zdawał się wciąż obecny w pokoju. To wrażenie wkroczyło tutaj razem z maszyną, która znów odgrywała jego rolę. Beam obserwował urządzenie. M wyciągnęła i umieściła kawałek tkaniny w płataninie kabli na podłodze. Potem zostawiała kolejne dowody — krew, tytoń, pojedynczy włos. Co prawda w świetle zapalniczki nie mógł ich dostrzec. Maszyna odcisnęła na zakurzonej podłodze ślad buta, a po chwili wysunęła cienką lufę.

Ellen Ackers uciekła, zakrywając ramionami głowę. Ale maszyna nie zwracała na nią uwagi. Zbliżyła się do stołu i wycelowała. Mały pocisk przebił blat, uderzył w leżące na stole przedmioty i eksplodował. Kawałki drutu, przewodów i metalowych części wystrzeliły w powietrze.

No i Heimie nie żyje, pomyślał Beam. Podszedł bliżej, by się lepiej przyjrzeć. Maszyna chciała zniszczyć syntetyczny wzorec aktywności neuronowej Rosenburga. Odwróciła się lekko,

wycelowwała ponownie i znów wypaliła. Ściana za stołem pękła i zawaliła się częściowo.

Beam podszedł do M. Maszyna zwróciła receptor w jego stronę i cofnęła się. Znalazła się w trudnym położeniu. Jej obwody zadrżały, błysnęły i jakby z niechęcią zaczęły proces transformacji. Przez chwilę M walczyła sama ze sobą, aż wreszcie przyjęła znaną Beamowi postać telewizora. Z wnętrza obudowy doszedł Leroya cienki, ostry dźwięk. Przypominał jęk bólu. Maszyna odbierała sprzeczne bodźce. Nie była w stanie podjąć decyzji.

Najwyraźniej rozwinęła się u niej swego rodzaju nerwica sytuacyjna i ta ambiwalencja możliwych reakcji niszczyła ją. Takie cierpienie miało, w pewnym sensie, ludzki wymiar, ale Beam nie czuł żadnej litości. To żelastwo próbowało maskować się i atakować jednocześnie. Nie był to jednak upadek istoty ludzkiej, a tylko mechanizmu złożonego z przekaźników i kabli. Poza tym to właśnie człowiek padł wcześniej ofiarą tej maszyny. Heimie Rosenburg został zabity i tego nie dało się już cofnąć. Nie można było złożyć go z nowych części ani naprawić. Beam podszedł do maszyny i nogą przewrócił ją na „grzbiet”.

Rzuciła się jak robak i odskoczyła. „Ach! Jasna cholera!” — powiedział. Tocząc się po podłodze, rozsypywała szczypty tytoniu; w końcu, gubiąc krople krwi i płatki zeschniętej farby, zniknęła w korytarzu. Beam słyszał, jak miotła się w ciasnym przejściu, obijała się o ściany niczym zaślepione bólem, ranne zwierzę. Po chwili ruszył za maszyną.

M krążyła w kółko po korytarzu. Zostawiała wszędzie drobinki tkanin), włosów, tytoniu i spalone zapalki, które mieszały się z krwią.

— Ach! Jasna cholera! — powtórzyła donośnym, męskim głosem i znów zaczęła podrzucać te same przedmioty. Beam wrócił do warsztatu.

— Gdzie telefon? — zapytał Ellen.

Patrzyła na niego otepiąta.

— Niech się pani nie boi — uspokoił ją. — Nie skrzywdzi pani. Zacięła się. Będzie tak jeździć, zanim nie padnie.

— Ona po prostu zwariowała. — Ellen wzdrygnęła się.

— Nie — zaprzeczył. — To regresja. Ona po prostu chce się ukryć.

— Ach! Jasna cholera! — zaklęła w korytarzu maszyna. Beam podszedł do telefonu i wybrał numer Edwarda Ackersa.

Dla Paula Tirola banicja przyjęła najpierw postać łańcucha smug i cieni. Potem nastąpił denerwujący i ciągnący się w nieskończoność okres, w którym pusta materia krążyła wokół niego bezładnie, stopniowo układając się w kolejne wzorce.

Tirol nie pamiętał zbyt wiele z okresu między atakiem Ellen Ackers a ogłoszeniem wyroku o wygnaniu. Trudno było ustalić coś konkretnego, a wydarzenia mieszały się ze sobą jak otaczające go cienie.

Obudził się, zdaje się, w apartamencie Ackersa. Tak. Teraz sobie przypominał. Był tam też Leroy Beam. Ten transcendentalny Leroy Beam, który pojawiał się wszędzie, ustawiając innych według własnego uznania. Potem przyszedł lekarz, a w końcu pojawił się też sam Edward Ackers.

Prowadzony z bandażem na głowie do biura Wydziału Wewnętrznego. Tirol zdołał jeszcze kątem oka dostrzec mężczyznę, który w tym samym czasie stamtąd wychodził. Był to Lantano. Szedł spokojnie do domu, do swojej luksusowej posiadłości, przed którą rozciągał się prawdziwy trawnik.

Widząc go, Tirol przeraził się. Lantano zaś nawet go nie zauważył. Zamyślony, przeszedł obok niego, wsiadł do czekającego auta i odjechał.

— Ma pan tu tysiąc dolarów — powiedział mu Ackers, zanim go wysłano. Wśród krążących dookoła cieni pojawiła się teraz zniekształcona twarz Ackersa. On też stracił wszystko, tyle że na

swój sposób. — Ma pan prawo do tych pieniędzy, które może pan wydać na pierwsze potrzeby. Znajdzie pan również kieszonkowy słownik najważniejszych dialektów systemu, do którego pana wysłamy.

Jonizacja sama w sobie była bezbolesna. Nic nie pamiętał. Tylko pustkę, jeszcze czarniejszą od cieni, które płażały dokoła.

— Nienawidzi mnie pan — oskarżył na koniec Ackersa. — Zniszczyłem pana. Ale... to nie był pan. — W głowie miał mętlik: — Lantano. Wrobiony, a jednak nie... Jak to? To pan...

Ale Lantano nie miał z tym nic wspólnego. Pojechał już do domu. Teraz był tylko widzem, który się wycofał. Do diabła z nim. Do diabła z Ackerssem, z Leroyem Beamem... i do diabła z Ellen Ackers.

— No, no — mruknął Tirol, gdy jego ciało odzyskało wreszcie fizyczną postać. — Dobrześmy się bawili... co, Ellen?

Słońce oślepiło go i oszołomiony, opadł bezwładnie. Przeróżliwie żółty blask. Wszędzie wokoło nic, tylko tańczący żar.

Wyrzuciło go na środku piaszczystej drogi. Na prawo rozciągało się spalone słońcem pole kukurydzy. Na niebie zobaczył dwa żałosne ptaki. W dali rozciągało się pasmo wzgórz, których poszarpane masywy zdawały się być usypane z piasku. U ich podnóża stało kilka nędznych domów.

Miał nadzieję, że wznieśli je ludzie.

Wstał z trudem. Usłyszał słaby hałas; po piaszczystej drodze zbliżał się do niego jakiś samochód. Niepewnie, ale i z ciekawością, Tirol wyszedł mu na spotkanie.

Kierowca był człowiekiem. Szczupły młody chłopak o ciemnej, chropowatej skórze i zielonkawych włosach. Ubrany był w poplamioną płócienną koszulę i kombinezon roboczy. Z kącika ust sterczał mu zmięty, nie zapalony papieros. Auto było spalinowe. Takie, jakich używano w dwudziestym wieku. Poobijane i zniszczone, zatrzymało się z piskiem, a kierowca spojrzał krytycznie na Tirola. W radiu nadawali właśnie jakiś beznadziejny dyskotekowy kawałek.

— Poborca podatkowy? — spytał chłopak.

— O nie — odparł Tirol. Wiedział dobrze, jak wieśniacy nienawidzili poborców. — Ale... — zająknął się. Nie mógł się przecież przyznać, że jest zesłańcem z Ziemi. Równie dobrze mógłby poprosić chłopaka, żeby od razu go zlinczowali. — Jestem inspektorem — oznajmił — z Wydziału Zdrowia.

Kierowca skinął głową, zadowolony z takiej odpowiedzi.

— Dużo tu ostatnio szkodników. Macie jakiś środek na to? Bo tylko tracimy plony.

Tirol z wdzięcznością wsiadł do auta.

— Nie zdawałem sobie sprawy, że słońce może tak prażyć — mruknął pod nosem.

— Ma jakiś taki akcent — zauważył chłopak, uruchamiając silnik. — Skąd jest?

— Wada wymowy — odparł wymijająco Tirol. — Daleko do najbliższego miasta?

— Z godzinę — powiedział chłopak. Samochód z łoskotem toczył się do przodu.

Tirol bał się zapytać o nazwę planety. To by go zdradziło. Z drugiej strony zżerała go ciekawość. Może być o dwa układy słoneczne od Ziemi... albo o dwa miliony. A od jego wygnania minął miesiąc, a może siedemdziesiąt lat. Naturalnie, musi wrócić. Nie zamierza do końca życia pracować w polu na jakimś zadupiu.

— Fajna kapela, co? — zagadnął kierowca. Z radia wciąż płynęły jazgotliwe rytmy. — Kalaminy Freddy z zespołem Wesołe Włochate Gąsienice. Zna tę melodię?

— Nie — wymamrotał Tirol. Od słońca i upału rozboleła go głowa. Desperacko prosił Boga, by pozwolił mu się dowiedzieć, gdzie jest.

Miasto było żałosne — zaniedbane, sklecone z byle czego domy, brudne ulice. Tu i ówdzie przemykały oswojone kury, które grzebały w sterach śmieci. Spocony i nieszczęśliwy, Paul Tirol poszedł na przystanek autobusowy i znalazł rozkład jazdy. Przed oczami przesunęły mu się nic nie mówiące nazwy miast. Naturalnie nie było między nimi nazwy planety.

— Ile kosztuje bilet do najbliższego portu? — spytał opieszałego urzędnika w okienku.

— Zależy, o jaki port panu chodzi. Gdzie chce się pan dostać?

— W stronę Centrum — odparł Tirol. Wiedział, że mieszkańcy innych układów słonecznych nazywali Ziemię i jej system „Centrum”.

— W pobliżu nie ma żadnego między systemowego portu — poinformował beznamiętnie urzędnik.

Tirol patrzył na niego przez chwilę, zaskoczony. Najwyraźniej planeta nie należała do najważniejszych w systemie, w którym się znalazł.

— A najbliższy port międzyplanetarny? Urzędnik sprawdził coś w książce.

— Do której części systemu chce się pan dostać? — zapytał.

— Wszystko jedno. Byle był tam międzysystemowy port — wyjaśnił cierpliwie Tirol. Stamtąd mógłby wrócić.

— No to najbliżej będzie Wenus.

— Więc ten system to... — zaczął zupełnie zaskoczony Tirol i urwał w pół zdania. Przypomniał sobie, że zgodnie z prowincjonalnym zwyczajem wiele planet z odległych układów przyjmowało nazwy tych z Układu Słonecznego. Ta mogła nazywać się Mars, Jowisz albo nawet Ziemia, wszystko zależało od jej położenia względem innych planet. — Świetnie — powiedział. — Poproszę bilet w jedną stronę na Wenus.

Wenus albo raczej to, co ją udawało, okazało się posępną kulą nie większą niż byle jaki asteroid. Otaczała ją czarna, metaliczna chmura, która przesłaniała słońce. Poza hutami i kopalniami nie było tu nic. Wątpliwe urozmaicenie krajobrazu stanowiło kilka nędznych chat. Wiatr nie przestawał wiać ani na chwilę. Wzbijał tumany pyłu i kurzu.

Ale mieli tu przynajmniej międzysystemowy port, który łączył planetę z najbliższym układem i dalej, z resztą wszechświata. Właśnie w tej chwili ogromny frachtowiec pobierał ładunek rudy.

Tirol wszedł do pomieszczenia, w którym sprzedawano bilety. Wyciągnął prawie wszystkie pieniądze, jakie mu zostały.

— Bilet w jedną stronę tak blisko Centrum, jak tylko mogę stąd dolecieć — powiedział.

— Jakies życzenia co do klasy? — spytał kasjer.

— Nie. — Tirol otarł pot z czoła.

— A co do szybkości?

— Nie.

— Najdalej może pan stąd polecieć do Systemu Betelgeuse.

— Dobra, niech będzie — powiedział, zastanawiając się, co zrobi później. Stamtąd będzie już mógł skontaktować się ze swoją organizacją. Przynajmniej wrócił już do tej części wszechświata, którą opisywały mapy. Tylko że kończyły mu się pieniądze. Mimo upału poczuł na plecach chłodny dreszcz.

Najważniejszą planetą Systemu Betelgeuse była Plantagenet III. Tętniła życiem. Tu zatrzymywały się statki osobowe z osadnikami, którzy lecieli zaludnić odległe planety. Zaraz po wylądowaniu Tirol pobiegł na postój taksówek.

— Niech mnie pan zabierze do siedziby Tirol Enterprises — poprosił, modląc się, by jego firma miała tu swoją filię. Musi tu być, może tylko działa pod trochę inną nazwą. Już dawno temu

pogubił się w liczeniu placówek własnej organizacji.

— Tirol Enterprises — powtórzył z namysłem taksówkarz. — Tu nie ma takiej firmy, psze pana.

— A kto zajmuje się przemytem osadników? — zapytał zaszokowany Tirol.

Kierowca przyjrzał mu się uważnie. Był suchy i drobny, nosił okulary i patrzył na niego bez współczucia.

— Cóż — mruknął — słyszałem, że podobno można wydostać się poza system bez ważnych papierów. Działa tu taka firma... — Urwał. Tirol wcisnął mu do ręki ostatni banknot.

— Export-Import — powiedział kierowca. To było przedsiębiorstwo Lantana.

— To wszystko? — zapytał z przerażeniem Tirol.

Taksówkarz przytaknął.

Oszołomiony, Tirol odszedł od taksówki. Budyńki stojące dookoła wirowały mu nad głową. Usiadł na ławce, by złapać oddech. Serce waliło mu jak młotem. Czuł przykry ucisk w miejscu, w które uderzyła go Ellen Ackers. Powoli zdawał sobie sprawę, że nie uda mu się wrócić na Ziemię. Spędzi resztę życia tutaj, odcięty od własnej organizacji i od wszystkiego, co tak mozolnie budował przez lata.

Z trudem łapiąc powietrze, jednocześnie zdał sobie sprawę, że niedużo mu tego życia zostało.

Pomyślał o Heimim Rosenburgu.

— Zdradziłeś mnie — jęknął, zakrztusił się i zaniósł głośnym kaszlem. Zdradziłeś. Słyszysz? To przez ciebie tu jestem. To twoja wina. Nigdy ni powinienem był cię zatrudnić.

Przypomniał sobie Ellen Ackers.

— Ty też... — Siedział tak na ławce i krztusząc się, i kaszłąc, myślał o wszystkich, którzy go zdradzili. A było ich tak wielu.

Salon w rezydencji Davida Lantano urządzony był naprawdę elegancko. Lantano trzymał tu kolekcję bezcennych naczyń z dziewiętnastego wieku. Jadł właśnie obiad przy żółtym, antycznym, plastikowo — chromowym stole. Ilość i różnorodność jedzenia zdumiała Leroya Beama jeszcze bardziej niż wystrój domu.

Lantano był w doskonałym humorze i najwyraźniej miał świetny apetyt. Pod brodą miał zawiązaną lnianą serwetkę, którą właśnie oblał kawą, bekając przy tym głośno. Po zwolnieniu z aresztu musiał nadrobić zaległości w jedzeniu.

Został już poinformowany, najpierw przez własnych agentów, a teraz przez Beama, że operacja wysłania Paula Tirola zakończyła się pełnym sukcesem. Zesłano go w miejsce, z którego nie mógł wrócić. Lantana bardzo ucieszyła ta wiadomość. Wylewnie dziękował Beamowi i koniecznie chciał, by Leroy coś zjadł.

— Ładnie tu u pana — zauważył ponuro Beam.

— Sam mógłby pan sobie kupić taki dom — stwierdził Lantano.

Na ścianie salonu wisiała autentyczna, zadrukowana kartka papieru, którą przechowywano w wypełnionej helem, szklanej gablocie. To było pierwsze wydanie wiersza Ogdena Nasha*, które powinno raczej znajdować się w muzeum. Wzbudziło to w Beamie mieszane uczucia — tęsknoty i obrzydzenia.

— Tak — przytaknął — mógłbym. — Ten dom, pomyślał, Ellen Ackers, posadę w Wydziale, a może wszystko naraz. Edward Ackers przeszedł na emeryturę i dał żonie rozwód. Lantano już był bezpieczny, a Tirola zesłano. Beam zastanawiał się, czego naprawdę chce.

* Ogden Nash (1902–1971) — poeta amerykański, autor m.in. zabawnych wierszy i poematów (przyp. tłum.).

— Mógłby pan daleko zajść — powiedział ospale Lantano.

— Tak daleko jak Paul Tirol?

Lantano zaśmiał się i ziewnął.

— Ciekawe, czy zostawił tu jakąś rodzinę? Dzieci? — powiedział Beam i pomyślał o Heimim.

Lantano sięgnął do koszyka z owocami i wziął brzoskwinie. Starannie wycierał ją o rękaw szlafroka.

— Niech się pan poczęstuje — zaproponował.

— Nie, dziękuję.

Lantano obejrzał brzoskwinie, ale jej nie ugryzł. Była zrobiona z wosku. Wszystkie owoce w koszu były tylko imitacją. Nie był naprawdę tak bogaty, na jakiego starał się wyglądać. Większość z przedmiotów, które wystawiono w salonie, to były podróbki. Za każdym razem częstował swoich gości brzoskwiniami. To było wykalkulowane ryzyko. Odłożył brzoskwinie do koszyka, oparł się wygodnie i popijał kawę.

Nawet jeśli Beam nie miał żadnych planów, to on miał ich bardzo wiele. Teraz, gdy ze sceny zniknął Tirol, nabierały one całkiem realnych kształtów. Czuł się cudownie. Któregoś dnia, pomyślał, i to już niedługo, wszystkie owoce w tym koszyku będą prawdziwe.

MY, ODKRYWCY

— O kurde! — Parkhurst był wyraźnie podekscytowany. — Chłopaki, musicie to zobaczyć! Stłoczyli się przy oknie.

— Jest, tam — rzucił Barton. Serce zabiło mu mocniej. — Co za widok.

— Jak cholera! — przytaknął Leon. Cały aż drżał z podniecenia. — Chyba... chyba widzę Nowy Jork.

— Akurat — odparł któryś ironicznie. — Naprawdę! Szara plama. Nad oceanem.

— Przecież to nawet nie są Stany. Jesteśmy z drugiej strony. To musi być Syjam.

Statek pędził w przestrzeni. Odłamki skał i meteorytów z hukiem odbijały się od tarcz ochronnych. Poniżej niebioso — zielona planeta wręcz rosła w oczach, otoczona gęstym wałem chmur, które przesłaniały lądy i oceany.

— Nie wierzyłem, że jeszcze to zobaczę — rzekł Merriweather. — Byłem pewien, że utkniemy tam na dobre. — Twarz wykrzywił mu dziwny grymas. — Mars. Czerwone śmietnisko. Słońce, muchy i zgliszczka.

— Barton zna się na statkach — wtrącił kapitan Stone. — To jego zasługa.

— Wiecie, co zrobię zaraz po powrocie? — zawołał Parkhurst. — Co?

— Pojadę na Coney Island.

— Po co?

— Ludzie. Chcę znów zobaczyć ludzi. Całe tłumy. Głupkowaci, spoceni, hałaśliwi. Lody i woda. Ocean. Butelki po browarze, kartony po mleku, chusteczki higieniczne...

— I laseczki — wtrącił Vecchi. — Sześć miesięcy to kupa czasu. Idę z tobą. Będziemy siedzieć na plaży i gapić się na laski.

— Ciekawe, jakie teraz noszą kostiumy? — zastanawiał się Barton.

— Może opalają się na golasa! — krzyknął Parkhurst.

— O rany! — westchnął Merriweather. — Znów zobaczę żonę. — Dopiero po chwili zdał sobie sprawę z tego, co powiedział. — Moją żonę — dodał szeptem.

— Ja też jestem żonaty — oznajmił Stone, uśmiechając się szeroko. — Od wielu lat. — Pomyślał o Pat i Jean i poczuł ucisk w gardle. — Pewnie strasznie wyrosły.

— Wyrosły?

— Moje dzieciaki — rzucił ochryple.

Spojrzeni po sobie. Sześciu obdartych, zarośniętych facetów o błyszczących, rozgorączkowanych oczach.

— Ile jeszcze? — szepnął Vecchi.

— Godzina — odparł Stone. — Powinniśmy wylądować za godzinę.

Statek gwałtownie uderzył o ziemię. Rzuciło ich do przodu. Pojazd trząsnął się i podskakiwał, silniki hamujące wyły niemiłosiernie. W końcu wszystko ucichło i zatrzymali się z dziobem utkwionym głęboko w zboczu niedużego pagórka.

Cisza.

Parkhurst wstał niepewnie i chwycił się barierki. Z rozcięcia nad okiem kapłała krew.

— No to jesteśmy — powiedział.

Barton jęknął głośno i z trudem dźwignął się na kolana. Parkhurst pomógł mu wstać.

— Dzięki. Czy my...?

— Tak. Jesteśmy już na dole. Wróciliśmy.

Silniki umilkły. Słychać było tylko cichy plusk wody gdzieś na zewnątrz. Statek był w opłakanym stanie. Kadłub, powyginany i zmiażdżony, pękł w trzech miejscach. Wszędzie wałyły się papiery i rozbite urządzenia. Vecchi i Stone powoli dochodzili do siebie.

— Wszystko gra? — spytał ten ostatni, pocierając obolałe ramię.

— Pomóżcie mi — jęknął Leon. — Cholera, chyba skrzyłem nogę. Podnieśli go. Merriweather wciąż leżał nieprzytomny. Oucili go i pomogli mu wstać.

— No to jesteśmy — powtórzył Parkhurst, jakby sam w to nie wierząc. — To Ziemia. Wróciliśmy... żywi!

— Mam nadzieję, że próbki też jakoś przeżyły lądowanie — wtrącił Leon.

— Do diabła z nimi! — krzyknął Vecchi. Gorączkowo mocował się z zasuwami, starając się otworzyć ciężki właz. — Wynośmy się stąd jak najprędzej.

— Gdzie dokładnie jesteśmy? — spytał Barton kapitana.

— Na południu San Francisco. Na półwyspie.

— San Francisco! Ekstra... przejedziemy się tramwajem! — Parkhurst pomógł Vecchiemu odbezpieczyć właz. — San Francisco. Byłem tu raz. Mieli taki wielgaśny park. Park Golden Gate. Możemy skoczyć do wesołego miasteczka.

Właz ustąpił i otworzył się. Umilkli jak na komendę. Mrużąc oczy przed palącymi promieniami słońca, wyjrżeli na zewnątrz.

Na wprost rozciągała się zielona łąka. W oddali wznosiły się wzgórza, wyraźnie widoczne w krystalicznie czystym powietrzu. Leżącą poniżej autostradą mknęły samochody, maleńkie punkciki odbijające promienie słońca. Dalej rząd słupów telefonicznych.

— Co to za dźwięk? — spytał Stone, uważnie nasłuchując.

— To pociąg.

Nadjeżdżał gdzieś z daleka. Smuga czarnego dymu wydobywała się z komina. Po łące płaśał lekki wietrzyk, poruszając kępki trawy. Na prawo dostrzegli jakieś miasteczko. Domy i drzewa. Teatr. Stacja benzynowa sieci Standard. Przydrożne stragany. Motel.

— Myślicie, że ktoś nas zauważył? — spytał Leon.

— Na pewno.

— Musieli nas słyszeć — dodał Parkhurst. — Był taki huk, jakby wszyscy święci naraz puścili bąka.

Vecchi wyszedł pierwszy. Stał na trawie i gwałtownie się zatoczył.

— Jezu, nie mogę ustać! Stone uśmiechnął się.

— Musisz się przyzwyczaić. Za długo byliśmy w kosmosie. No, dalej — ponaglił — idziemy. Sam zeskoczył na trawę i przewrócił się.

— Do miasta — Parkhurst wylądował obok niego. — Może zapewnią nam darmowe zarcie... A co tam... nawet szampana! — Wypiął okrytą podartym mundurem pierś. — Powrót bohaterów. Klucze do miasta. Parada. Wojskowa orkiestra. Ruchome platformy z tańczącymi kobitkami.

— Tobie tylko jedno w głowie — mruknął Leon.

— No jasne — Parkhurst ruszył przed siebie, pozostali podążyli za nim. — Pośpieszcie się!

— Patrz — Stone zwrócił się do Leona — ktoś tam jest. Obserwuje nas.

— To dzieciaki — orzekł Barton. — Grupa dzieciaków. — Roześmiał się głośno. — Chodźmy się przywitać.

Ruszyli w ich stronę, brodząc w mokrej trawie, która gęsto porastała łąkę.

— Musi być wiosna — zauważył Leon. — Czuć zapach wiosny — głęboko zaczerpnął powietrza. — I trawy.

Stone szybko obliczył.

— Dziewiąty kwietnia.

Przyspieszyli kroku. Dzieci stały w milczeniu, uważnie ich obserwując.

— Ej! — krzyknął Parkhurst. — Wróciliśmy!

— Co to za miasto? — spytał Barton.

Dzieciaki wpatrywały się w nich szeroko otwartymi oczyma.

— No co jest? — mruknął Leon.

— To przez te brody. Nie wyglądamy najlepiej — powiedział Stone i zwinął dłonie w trąbkę. — Nie bójcie się! Wracamy z Marsa. Lot załogowy. Dwa lata temu... pamiętacie? W październiku minął rok.

Dzieci patrzyły na nich blade i przerażone. Nagle odwróciły się i rzuciły do ucieczki. Biegły w stronę miasteczka.

Mężczyźni przyglądali im się w osłupieniu.

— Co, u licha? — wykrztusił Parkhurst. — Co jest?

— To przez te brody — powtórzył bez przekonania Stone.

— Coś tu nie gra — dorzucił nerwowo Barton. Przeszył go nieprzyjemny dreszcz. — Naprawdę coś tu jest nie tak.

— To chyba jasne — warknął Leon. — Nasze brody — Zdarł z siebie kawał podartej koszuli. — Jesteśmy brudni. Śmierdzimy jak menele. Chodźcie. — Ruszył śladem dzieci w stronę miasta. — Już pewnie wysłali jakieś służby. Wyjdziemy im naprzeciw.

Stone i Barton spojrzeli po sobie i wolno ruszyli za Leonem. Reszta podążyła za nimi.

W ciszy przecięli łąkę i dotarli na skraj miasteczka.

Młody chłopak na rowerze, widząc ich, umknął w popłochu. Nieco dalej natknęli się na grupę robotników kolejowych, którzy porzucili narzędzia i również zwiali, wrzeszcząc wniebogłosy.

Mężczyźni obserwowali ich w milczeniu.

— O co tu chodzi? — spytał w końcu Parkhurst.

Minęli tory. Miasto rozciągało się po drugiej stronie. Weszli w niewielki, eukaliptusowy zagajnik.

— Burlingame — przeczytał Leon na tablicy informacyjnej. Spojrzeli wzdłuż ulicy. Hotele, kawiarnie. Zaparkowane auta. Stacje benzynowe. Sklepy gospodarstwa domowego. Małe prowincjonalne miasteczko, ludzie robiący zakupy. Samochody leniwie sunące wzdłuż jezdni.

Wyłonili się zza drzew. Pracownik stacji benzynowej po drugiej stronie ulicy omiół ich wzrokiem...

I zamarł.

Po chwili rzucił wąż i zaczął biec główną ulicą, pokrzykując ostrzegawczo.

Aut zatrzymały się. Kierowcy wyskakiwali i rzucali się do ucieczki. Ze sklepów wybiegali ludzie i znikali gdzieś między domami. Wpadali na siebie, przepychali się w skrajnym przerażeniu.

Po chwili ulica opustoszała.

— Dobry Boże — wymamrotał Stone. — Ale dlaczego... — Wyszedł na jezdnię. Wokół w zasięgu wzroku nie było żywej duszy.

Szli w milczeniu główną ulicą, zupełnie zdezorientowani. Panowała głucha cisza. Wszyscy uciekli. Rozległ się jęklivy dźwięk syreny. Boczna uliczka przemknął jakiś samochód.

W oknie na piętrze Barton dostrzegł pobladałą, przerażoną twarz, po czym ktoś szybko opuścił zasłonę.

— Nic z tego nie rozumiem — mruknął Vecchi.

— Odbiło im czy co? — zastanawiał się Merriweather.

Stone milczał. W głowie miał kompletną pustkę. I był zmęczony. Usiadł na krawężniku i ciężko

westchnął. Pozostali stanęli wokół niego.

— Moja kostka — jęknął Leon. Oparł się o znak stopu i zacisnął zęby. — Boli jak cholera.

— Kapitanie — spytał Barton — co z nimi?

— Nie wiem — odparł Stone. W wystrzępionej kieszeni znalazł papierosa. Po drugiej stronie ulicy zobaczył opustoszałą kawiarnię. Wszyscy — obsługa i goście — uciekli. Na ladzie wciąż stało jedzenie, na patelni smażył się hamburger, a w ekspresie bulgotała kawa.

Na chodnikach leżały torby z zakupami, porzucone przez przerażonych przechodniów. Warczał silnik porzuconego samochodu.

— No i? — spytał Leon — Co robimy? — Nie wiem.

— Nie będziemy chyba...

— Nie wiem! — Stone poderwał się i ruszył w stronę kawiarni. Patrzyli w osłupieniu, jak siada za kontuarem.

— Co on wyprawia? — zdumiał się Vecchi.

— Boja wiem — Parkhurst ruszył za Stone'em. — Co pan robi?

— Czekam na kelnera.

Parkhurst położył mu dłoń na ramieniu.

— Niech pan da spokój, kapitanie. Nikogo tu nie ma. Wszyscy zwiali. Stone nie odpowiedział. Siedział za kontuarem, tępo patrząc przed siebie. Czekał, aż ktoś go obsłuży.

Parkhurst wyszedł z kawiarni.

— Co się stało? — zapytał Bartona. — Co z nimi?

W pobliżu pojawił się łaciaty pies. Minał ich, węsząc podejrzliwie, czujny i ostrożny. Po chwili zniknął w bocznej uliczce.

— Twarze — powiedział Barton.

— Co takiego?

— Obserwują nas. Tam. — Barton wskazał jeden z budynków. — Z ukrycia. Ale dlaczego? Czemu się przed nami chowają?

Merriweather rzucił nerwowo:

— Ktoś jedzie.

Odwrócili się w stronę, którą wskazał.

Zza zakrętu w dole ulicy wyskoczyły dwa czarne samochody i jechały w ich kierunku.

— Dzięki Bogu — szepnął Leon, opierając się o ścianę budynku. — Nareszcie są. Auta zatrzymały się przy krawężniku. Wsiadła z nich grupka elegancko ubranych mężczyzn. Krawaty, kapelusze, długie szare płaszcze. Bez słowa otoczyli stojących na ulicy.

— Nazywam się Scanlan — powiedział jeden z nich — FBI. — Był starszy od pozostałych, szpakowaty. Mówił ostrym, nieprzyjemnym głosem. Uważnie przyjrzał się całej piątce. — Gdzie szósty?

— Kapitan Stone? Tam. — Barton wskazał kawiarnię.

— Dawać go tutaj.

Barton poszedł do kawiarni.

— Kapitanie, przyjechali. Czekają na zewnątrz. Stone wyszedł za nim na ulicę.

— Co to za jedni? — spytał niepewnie.

— Cała szóstka — powiedział Scanlan. Skinął na swoich ludzi. — W porządku. To już wszyscy.

Agenci podeszli bliżej, przypierając ich do ściany budynku.

— Chwileczkę! — krzyknął ochryple Barton. W głowie miał zupełny mętlik. — Co... co tu się dzieje?

— O co chodzi? — zapytał Parkhurst. Łzy płynęły mu po twarzy, rozmazując brud na

policzkach. — Powiedzcie coś, na miłość boską...

Agenci sięgnęli po broń. Vecchi cofnął się, unosząc do góry rękę.

— Proszę! — jęknął. — Co takiego zrobiliśmy? Co tu się w ogóle dzieje? W serce Leona wstąpiła nadzieja.

— Oni nas nie poznają. Biorą nas za komuchów. — Zwrócił się do Scanlana: — Jesteśmy członkami ekspedycji Ziemia — Mars. Nazywam się Leon. Pamiętacie mnie? W październiku minął rok. Wróciliśmy z Marsa. — Głos uwiązł mu w gardle. Agenci wycelowali. Lufy... połączone rurami ze zbiornikami na paliwo.

— Wróciliśmy! — wrzasnął rozpaczliwie Merriweather. — Ekspedycja Ziemia — Mars. Wróciliśmy!

Twarz Scanlana nie wyrażała żadnych uczuć.

— Czyżby? — powiedział oschle. — Przecież prom rozbił się, gdy tylko dotarł do Marsa. Nikt nie przeżył. Tego jesteśmy pewni. Wysłano bezzałogowy statek, który odnalazł i przywiózł na Ziemię ciała... całej szóstki.

Agenci otworzyli ogień. Rozpylili płonący napalm w stronę sześciu brodatych postaci. W ułamku sekundy płomienie dopadły ich. Zniknęli pod lawiną ognia. Agenci nie mogli ich teraz widzieć, ale słyszeli bardzo dobrze. I choć nie był to przyjemny odgłos, cierpliwie stali i czekali.

Scanlan kopnął czubkiem buta zwęglone szczątki.

— Trudno powiedzieć — stwierdził. — Może tylko pięciu... choć nie widziałem, żeby któremuś się udało. Wzięliśmy ich z zaskoczenia. — Pod naciskiem podeszwy zwęglony kawałek rozpadł się na drobniejsze, które wciąż bulgotały i tliły się.

Jego towarzysz, Wilks, spojrzał w dół. Był tu nowy i jeszcze nie bardzo wierzył w siłę działania napalmu.

— Może... — wykrztusił — może lepiej zaczekam w wozie.

— To jeszcze nie koniec — powiedział Scanlan i dopiero teraz spojrzał na młodszego kolegę. — Tak — dodał — lepiej wróć do samochodu.

Na ulicę zaczęli wracać ludzie. W oknach i drzwiach pojawiły się zaniepokojone twarze.

— Załatwili ich! — krzyknął jakiś chłopak. — Załatwili kosmicznych szpiegów!

Ktoś robił zdjęcia. Zebrani wokół ludzie szeroko otwartymi oczyma przyglądali się zwęglonym szczątkom.

Wilks nie mógł opanować drżenia rąk. Wśliznął się do samochodu i zatrasnął drzwi. Wyłączył szumiące radio. Nie miał siły wysłuchiwać jakichkolwiek komentarzy i udzielać wyjaśnień. Przy wejściu do kawiarni agenci w szarych płaszczach naradzali się ze Scanlanem. Po chwili część z nich ruszyła truchtem obok kawiarni w górę doliny. Wilks odprowadził ich wzrokiem. Boże, co za koszmar, pomyślał.

Scanlan wrócił do samochodu, pochylił się i wsadził głowę przez okno

— No i co? Lepiej ci?

— Trochę — odparł Wilks. — To... dwudziesty drugi raz?

— Dwudziesty pierwszy — poprawił go Scanlan. — Co parę miesięcy te samo... te same nazwiska, ci sami ludzie. Nie mogę ci obiecać, że się do tego przyzwyczaisz, ale jedno jest pewne: następnym razem nic cię nie za skoczy.

— Nie widzę w nich nic innego, obcego. Są tacy jak my — powiedział Wilks. — Wygląda na to, że właśnie usmażyliśmy sześć istot ludzkich.

— Niezupełnie — odparł Scanlan, otwierając drzwi. Usiadł z tyłu, za Wilksem. — Oni tylko wyglądają jak ludzie. W tym rzecz. Chcą tak wyglądać. Poznajesz ich przecież. Bartona, Stone'a, Leona...

— No tak — przyznał Wilks. — Coś lub ktoś żyjący tam w przestrzeni widział katastrofę promu i zbadał ciała, zanim pojawiła się nasza ekipa. Zbadał wystarczająco dokładnie. Ale... czy nie można by inaczej z nimi postąpić?

— Za mało o nich wiemy — odparł Scanlan. — Wiemy tylko, że raz za razem wysyłają repliki naszych. Próbują ich przemycić, wykiwać nas. — Jego twarz przybrała nieustępliwy wyraz. — Może są stuknięci? Albo tak odmienni, że żaden kontakt nie wchodzi w grę. Może myślą, że tu wszyscy nazywają się Leon, Merriweather, Parkhurst i Stone. Właśnie to najbardziej mnie dobija... Ale może właśnie w tym, że nie pojmują, jak bardzo my, ludzie, różnimy się od siebie, tkwi nasza szansa. Wyobraź sobie, co by się stało, gdyby kiedyś wysłali tu... jakiś zarodek... nasienie. Coś zupełnie niepodobnego do tych sześciu biedaków, którzy zginęli na Marsie... coś, na czym byśmy się nie poznali...

— Muszą mieć jakiś wzorzec — stwierdził Wilks.

Jeden z agentów dawał im znaki. Scanlan wysiadł z auta. Po chwili wrócił do Wilksa i powiedział:

— Mówią, że jest tylko pięć ciał. Jeden uciekł. Chyba go widzieli. Utyka i nie może poruszać się zbyt szybko. Idziemy go poszukać. Ty zostań tutaj i miej oczy otwarte — polecił i dołączył do pozostałych.

Wilks zapalił papierosa i usiadł z głową opartą na ramieniu. Repliki... ogólne przerażenie. Ale...

Może ktoś naprawdę starał się nawiązać kontakt?

Pojawiło się dwóch policjantów, którzy zaczęli odsuwać gapiów na bok. Przy krawężniku zatrzymał się trzeci czarny dodge wyładowany agentami, którzy wysypali się na chodnik.

Jeden z nich, nieznany Wilksowi, podszedł do samochodu i zapytał:

— Masz włączone radio?

— Nie — odparł Wilks i włączył nadajnik.

— Jeśli go zobaczysz, wiesz, jak go zabić?

— Tak.

Agent cofnął się i dołączył do pozostałych.

Gdyby to ode mnie zależało, zastanawiał się Wilks, co bym zrobił? Czym właściwie są te istoty? Coś, co wygląda i zachowuje się jak człowiek, musi mieć jakieś ludzkie uczucia. Więc jeśli oni... czymkolwiek są... czują jak ludzie, to może z czasem mogliby się nimi stać?

Od tłumy gapiów odłączyła się jakaś postać i ruszyła w jego stronę. Niepewnie potrząsnęła głową, zachwiała się i stanęła prosto tak jak inni. Wilks, szkolony przez wiele miesięcy, od razu ją zauważył. Miała teraz inne ubra — nie — luźne spodnie, krzywo zapiętą koszulę i tylko jeden but. Albo jeszcze nie wiedziała, do czego służą buty, albo była zbyt wyczerpana i poraniona, by się nimi przejmować.

Istota zbliżała się do niego. Wilks uniósł pistolet i wycelował w brzuch. Jak go uczyli na szkoleniu. Na strzelnicy wciąż ćwiczyli to na makietach, krosto w splot trzewny... trzeba przeciąć to na pół, jak insekta.

Na twarzy obcego dostrzegł wyraz narastającego zdziwienia i bólu. Istota zamarła w bezruchu, patrząc mu prosto w oczy. Nie próbowała uciekać. Dopiero teraz zauważył, że jest ciężko poparzona; prawdopodobnie i tak nie przeżyje.

— Muszę — powiedział.

Obcy wpatrywał się w niego, po czym otworzył usta i zaczął coś mówić.

Wilks strzelił.

Obcy upadł, zanim zdołał wypowiedzieć choćby jedno słowo. Martwe ciało osunęło się na ziemię obok samochodu. Wilks wysiadł.

Źle zrobiłem, pomyślał, wpatrując się w zwłoki. Strzeliłem ze strachu, Ale przecież musiałem. Nawet jeśli to było złe. Ta istota przybyła tu, żeby przeniknąć między nas, podszyć się pod nas. Tak nam mówią... i musimy wierzyć, że oni spiskują przeciwko nam, że nie są ludźmi i nigdy nimi nie będą.

Dzięki Bogu, pomyślał, że już po wszystkim.
I wtedy przypomniał sobie, że to wcale nie koniec...

Był ciepły słoneczny dzień, druga połowa lipca.
Prom wylądował z rykiem silników, przebił ogrodzenie i szopę i zatrzymał się w rowie.
Cisza.

Parkhurst wstał niepewnie i chwycił się barierki. Bolało go ramię. Otepiały, potrząsnął głową.
— Wylądowaliśmy — powiedział. W jego głosie słychać było rosnące podniecenie. — Udało się!

— Pomóżcie mi wstać — jęknął kapitan Stone. Barton podał mu rękę. Leon siedział, ścierając krew z twarzy i karku. Wnętrze statku przypominało pobojuwisko, kawałki rozbitych urządzeń wały się dookoła.

Vecchi podszedł do włazu. Drżącymi rękami zaczął odbezpieczać ciężkie zatrzaski.

— Cóż — stwierdził Barton — wróciliśmy.

— Trudno w to uwierzyć — wymamrotał Merriweather. Odsunęli rygle i pośpiesznie otworzyli właz. — To jest jak sen. Stara dobra Ziemia.

— Ej, słuchajcie — rzucił Stone, stając na ziemi. — Niech ktoś przyniesie aparat.

— Daj spokój — Leon parsknął śmiechem.

— Przynieście aparat! — krzyknął Stone.

— I to już — dodał Merriweather. — Tak jak planowaliśmy, jeśli kiedykolwiek nam się uda. To będzie historyczne zdjęcie, do szkolnych podręczników.

Vecchi przetrząsnął wnętrze promu.

— Jest, ale chyba do niczego — powiedział w końcu, podnosząc w ręce poobijany aparat.

— Może jeszcze działa — odparł Merriweather, wychodząc za Leonem. — Ale jak zrobimy sobie sami zdjęcie? Ktoś musi nacisnąć przycisk.

— Ustawimy samowyzwalacz. — Stone wziął aparat i wcisnął odpowiednie guziki. — Ustawcie się — zawołał i dołączył do pozostałych.

Aparat zrobił zdjęcie, gdy sześciu obdartych, zarośniętych mężczyzn stało przy rozbitym promie. Wpatrywali się w zielony, wiejski krajobraz, przejęci i milczący. Spojrzeli po sobie rozpalonym wzrokiem.

— Wróciliśmy! — wrzasnął Stone. — Udało się!

GRA WOJENNA

Wysoki mężczyzna wszedł do swojego gabinetu w Urzędzie Importu i Kontroli Jakości. Wyjął z drucianego kosza poranne wiadomości i usiadł przy biurku, by je przejrzeć. Włożył szkła kontaktowe i zapalił papierosa.

— Dzień dobry — rozległ się cienki głos. Patrząc przez okno na parking, Wiseman słuchał pierwszej wiadomości. — Ej, ludzie, co się u was dzieje? Wysłaliśmy wam mnóstwo... — krótka pauza, podczas której mówiący, kierownik działu sprzedaży jednej z sieci sklepów w Nowym Jorku, szukał spisu towarów — tych zabawek z Ganimedesa. Chyba rozumiecie, że musimy mieć na nie pozwolenie przy ustalaniu jesiennego planu sprzedaży. Dzięki temu zdążymy przed Bożym Narodzeniem. Gry wojenne to, podobnie jak przed rokiem, bardzo ważny produkt w naszej ofercie. Chcemy zgromadzić spory zapas.

Wiseman przewinął do miejsca, w którym nagrano nazwisko nadawcy

— Joe Hauck — brzęczał mechanicznie głos. — Sklep z zabawkami Appeleya.

Wiseman wziął czystą taśmę, by nagrać odpowiedź, gdy nagle coś go tknęło.

— No właśnie — mruknął półgłosem — Co z zabawkami z Ganimedesa? W laboratorium mieli je już od dawna. Przynajmniej od dwóch tygodni. To zrozumiałe, że ganimedejskie produkty badano ostatnio nadzwyczaj wnikliwie. W ubiegłym roku księżycy przekroczyły już wszelkie granice handlowej chciwości i — jak donosiły kręgi związane z wywiadem — rozważały możliwość zbrojnego konfliktu z konkurencją, do której bez wątpienia zaliczały się trzy planety wewnętrzne. Jak dotąd nie odnotowano nic niepokojącego. Eksportowane towary spełniały wszelkie normy jakości — żadnych produktów pokrytych trującą farbą, żadnych kapsulek zawierających bakterie czy wirusy.

A jednak...

Sprytni Ganimedejczycy w każdej chwili mogli coś wymyślić. Byli pomysłowi i bardzo inteligentni.

Wiseman wstał, wyszedł z gabinetu i skierował się do stojącego na uboczu budynku, w którym znajdowało się laboratorium.

Pinario, otoczony rozmontowanymi towarami, podniósł wzrok i spojrzał na wchodzącego do pokoju szefa.

— Dobrze, że pan przyszedł — powiedział, siląc się na uśmiech. Miał przynajmniej pięć dni opóźnienia, a to oznaczało kłopoty. — Proszę włożyć skafander ochronny... nie należy ryzykować.

— Przyszedłem w sprawie oddziału szturmującego cytadelę, tego za sześć dolarów od sztuki — wyjaśnił Wiseman, przechadzając się między stertami pudeł, które czekały na odpowiednie testy i zezwolenia.

— Aha, chodzi o te żołnierzyki z Ganimedesa — odparł z ulgą Pinario. W tej sprawie miał czyste sumienie. Każdy pracownik laboratorium znał przecież specjalne wytyczne rządu dotyczące Niebezpieczeństw Złego Wpływu Jednostek Kulturowo Wrogich Bezbronnemu Społeczeństwu Miejskiemu. Typowy urzędniczy bełkot, ale zawsze mógł zacytować odpowiedni paragraf czy dyrektywę. — Celowo poświęcam im więcej czasu — powiedział, podchodząc do Wisemana — w związku z podwyższonym stopniem ryzyka.

— Chciałbym się im przyjrzeć. Czy sądzi pan, że te wszystkie środki ostrożności są

uzasadnione, czy może przesadzamy z tym „wrogim otoczeniem”?

— Są uzasadnione, szczególnie gdy chodzi o zabawki dla dzieci — odparł Pinario.

Kilka ruchów ręką i w ścianie otworzyły się zamaskowane drzwi do bocznego pomieszczenia.

Zajrzawszy tam, Wiseman stanął jak wryty. Na środku pokoju, otoczony zabawkami, siedział plastikowy manekin, idealna imitacja pięcioletniego dziecka.

— To nudne. Zróbcie coś innego — powiedział manekin. Przerwał na chwile i powtórzył: — To nudne. Zróbcie coś innego.

Zabawki na podłodze zareagowały natychmiast na polecenie: przerwały dotychczasowe zajęcia, biorąc się za coś innego.

— To obniża koszty robocizny — wyjaśnił Pinario. — Te zabawki muszą prezentować cały swój repertuar. Gdybyśmy musieli osobiście je ożywiać, spędzalibyśmy tu całe dnie.

Przed manekinem znajdował się oddział ganimedejskich żołnierzyków oraz twierdza, którą mieli szturmować. Podkradali się do niej według jakiegoś wyrafinowanego planu, ale wystarczyła jedna komenda manekina, by zatrzymali się i zaczęli przegrupowywać.

— Nagrywacie to wszystko? — spytał Wiseman.

— Naturalnie — odparł Pinario.

Każdy żołnierz miał jakieś piętnaście centymetrów wysokości i był wykonany z praktycznie niezniszczalnego termoplastiku, z którego słynęli ganimedejscy producenci. Ich mundury stanowiły mieszaninę wszystkich bardziej znanych ubiorów wojskowych na księżycach i pobliskich planetach. Sama zaś twierdza przypominała legendarny fort. Ciemna bryła wykonana z przypominającej metal substancji, w górnej części poprzedzielana otworami strzelniczymi, wyposażona była w — zamknięty teraz — zwodzony most. Na szczycie najwyższej wieży łopotała barwna chorągiew.

Twierdza wystrzeliła w stronę nacierających niewielki pocisk, który eksplodował między żołnierzami chmurą niegroźnego dymu.

— Cytadela odpiera atak — zauważył Wiseman.

— Ale w końcu i tak przegrywa — wyjaśnił Pinario. — Musi przegrać. Z psychologicznego punktu widzenia jest symbolem rzeczywistości zewnętrznej. A żołnierzyki symbolizują zmaganie się z nią. Uczestnicząc w zdobywaniu twierdzy, dziecko uczy się, jak postępować w brutalnym świecie. W końcu wygrywa, ale dopiero po długiej i trudnej walce. To uczy cierpliwości. — dodał. — Tak przynajmniej wynika z instrukcji — podał Wisemanowi broszurę.

Przeglądając ją, Wiseman zapytał:

— I żołnierze rzeczywiście atakują za każdym razem w innym szyku?

— Zestaw pracuje już od ośmiu dni i ten sam układ nie powtórzył się ani razu. Cóż, jest ich dwunastu, więc liczba możliwych kombinacji jest spora.

Żołnierze ukradkiem zbliżali się do twierdzy. Na ścianach pojawiło się kilka kamer, które śledziły każdy ich ruch. Szturmujący zaczęli się chować za innymi zabawkami znajdującymi się w pomieszczeniu.

— Mogą wykorzystać każdy przypadkowy element terenu — wyjaśnił Pinario. — Tak zostali zaprojektowani. Jeśli zobaczą, dajmy na to, dom dla lalek, który tu testujemy, natychmiast go zajmą, wpełzną tam jak myszy. Dokładnie go spenetrują. — By podeprzeć to przykładem, podniósł duży model statku kosmicznego, wyprodukowany w jednej z fabryk na Uranie, i wytrząsnął z niego dwóch przyczajonych w środku żołnierzy.

— Ile razy zdobyli cytadelę? — zapytał Wiseman.

— Jak dotąd, udało im się raz na dziewięć. Z tyłu twierdzy jest przycisk, którym można regulować poziom trudności.

Przeszli między żołnierzami i pochylili się nad cytadelą.

— To jest również źródło zasilania — wyjaśnił Pinario. — Sprytne, co? Stąd wysyłane są też rozkazy dla żołnierzy. Przekaz o wysokiej częstotliwości z nadajnika.

Otworzył tylną część twierdzy i pokazał Wisemanowi całą instalację. Każdy rozkaz składał się z mniejszych części informacji. By wygenerować nowy szyk ataku, informacje te przetwarzano, reorganizowano i wysyłano pod postacią nowej wiadomości. Skoro jednak liczba komponentów każdego rozkazu była ograniczona, musiała również istnieć ograniczona liczba wzorów ataku.

— Testujemy je wszystkie — powiedział Pinario. — I nie da się tego przyspieszyć?

— Na to trzeba czasu. Może wykonają tysiąc różnych kombinacji ataku i...

— Tysiąc pierwsza — dokończył Wiseman — będzie polegała na tym, że zawrócą nagle i zaczną strzelać do dziecka.

— Albo coś jeszcze gorszego — dorzucił ponuro Pinario. — Cały zestaw powinien pracować bez ładowania przez jakieś pięć lat. To ogromny zapas energii. Gdyby użyto jej naraz w celu...

— Pracujcie dalej — przerwał mu Wiseman.

Spojrzeni na siebie, potem na twierdzę. Żołnierze prawie do niej dotarli. Nagle jedna ze ścian cytadeli otworzyła się, przygniatając kilku żołnierzy, a w otworze ukazała się lufa działa.

— Nigdy tego wcześniej nie widziałem — wymamrotał Pinario.

Przez chwilę nic się nie działo, po czym manekin ponowił komendę i mężczyźni z wyraźnym niepokojem na twarzach obserwowali kolejne przegrupowanie.

Dwa dni później przełożony Wisemana, niski, krępy i wiecznie niezadowolony mężczyzna o wylupiastych oczach, zjawił się w jego biurze.

— Słuchaj — powiedział Fowler. — Kończ te cholerne testy. Masz czas do jutra. — Odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę wyjścia, ale Wiseman dogonił go i zatrzymał.

— Sprawa jest zbyt poważna — odparł. — Proszę pójść ze mną do laboratorium, to panu pokażę.

Fowler zgodził się pójść do laboratorium.

— Nie masz pojęcia, ile pieniędzy zainwestowano w te zabawki! — powiedział, wchodząc do środka. — Na Księżycu statki i magazyny pełne tych towarów czekają na zgodę na sprzedaż!

Pinaria nie było nigdzie widać. Wiseman użył więc klucza zamiast gestów, które otwierały drzwi do bocznego pokoju.

Manekin wydający komendy siedział pośrodku. Wokół niego zabawki. Wykonywały swoje zadania.

— Chodzi o ten produkt — wyjaśnił Wiseman, pochylając się nad twierdzą. Jeden z żołnierzy czołgał się właśnie w jej stronę. — Jak pan widzi, jest ich dwunastu. Biorąc pod uwagę ich liczbę, energię, którą dysponuje cały zestaw, i złożony system działania...

— Chwileczkę — przerwał mu Fowler — widzę tylko jedenastu...

— Dwunasty pewnie gdzieś się schował — odparł Wiseman.

— Pan Fowler ma rację — odezwał się głos za ich plecami. Do pokoju wszedł Pinario. Twarz miał poważną i napiętą.

— Dokładnie sprawdziłem. Jeden zniknął. Przez chwilę trzech mężczyzn milczeli.

— Może zniszczyła go cytadela — zasugerował w końcu Wiseman.

— To nie takie proste — odparł Pinario. — Skoro go zniszczyła, to co stało się ze szczątkami?

— Może przekształciła je w energię — podsunął Fowler, przyglądając się uważnie cytadeli i pozostałym żołnierzom.

— Kiedy zorientowaliśmy się, że zniknął — powiedział Pinario — wpadliśmy na pewien pomysł. Zważyliśmy twierdzę i jedenastu żołnierzy. Cały zestaw waży dokładnie tyle samo, co na początku. A to oznacza, że dwunasty musi być gdzieś w środku. — Wskazał na cytadelę, która

właśnie odpierała atakujących żołnierzy.

Przyglądając się cytadeli, Wiseman miał wrażenie, że wygląda jakoś inaczej. Nie potrafił tego sprecyzować, ale był pewien, że coś się zmieniło.

— Muszę zobaczyć nagrania — powiedział.

— Co? — spytał odruchowo Pinario, po czym zaczerwienił się i szybko dodał: — Oczywiście. — Podeszedł do manekina, wyłączył go, otworzył i wyjął szpulę z taśmą. Zaniósł ją do projektora.

Oglądali nagranie — jeden atak za drugim — aż w końcu rozbolały ich oczy. Żołnierze parli naprzód, wycofywali pod ostrzałem, zbierali ponownie i znów nacierali...

— Niech pan zatrzyma taśmę — powiedział nagle Wiseman.

Pinario wykonał polecenie i powtórzył ostatni fragment.

Jeden z żołnierzy zbliżał się do podnóża twierdzy. Wystrzelona w jego kierunku rakietą eksplodowała chmurą gęstego dymu, przesłaniając go na chwilę. Pozostali żołnierze rzucili się naprzód, w desperackiej próbie starając się wspiąć na mury. Gdy dym opadł, znów widać było pierwszego wojaka, który dalej parł w stronę twierdzy. Po chwili dotarł do muru, w którym otworzyło się nieduże wejście.

Żołnierz, prawie niewidoczny na tle cytadeli, użył swego karabinu jako śrubokręta. Odkręcił sobie głowę, potem jedno ramię i obie nogi. Odłączone części natychmiast wciągnięto do twierdzy. Gdy z figurki zostały już tylko strzelba i ramię, one również wpełzły przez otwór w ścianie, który zamknął się po kilku sekundach.

Po dłuższej chwili Fowler odezwał się schrypniętym głosem:

— Rodzice podejrzewaliby, że dziecko zgubiło go albo popsuło. Z czasem poginęliby pozostali... a dziecku by się dostało.

— Co pan proponuje? — zapytał Pinario.

— Nie przerywajcie testów — odparł Fowler. — Niech szturmują dalej. Ale nie spuszczać ich z oka.

— Cały czas ktoś przy nich będzie — zapewnił Pinario.

— Lepiej będzie, jeśli pan tu zostanie — zasugerował Fowler.

Lepiej będzie, jeśli wszyscy tu zostaniemy, pomyślał Wiseman. A przynajmniej Pinario i ja.

Ciekawe, co się stało ze szczątkami.

Tak, ciekawe.

Do końca tygodnia cytadela pochłonęła jeszcze czterech żołnierzy.

Obserwując ją na monitorze, Wiseman nie dostrzegał żadnych widocznych zmian. Jeśli coś się działo, to w środku, tak że trudno to było zauważyć.

Atak trwał — żołnierze szturmowali twierdzę, a ta odpowiadała ogniem. Tymczasem na jego biurku wylądowały kolejne ganimedejskie zabawki. Lista produktów do przetestowania wydłużała się.

— Co tym razem? — zapytał sam siebie.

Pierwsza z nowych zabawek wyglądała dość prosto. Był to strój kowbojski ze starożytnego Dzikiego Zachodu. Przynajmniej tak wynikało z instrukcji. Wiseman nie przejrzał jej zbyt dokładnie. To, co napisali Ganimedejczycy, nie miało większego znaczenia.

Otworzył pudełko i wyjął kostium. Był uszyty z szarego, mało wyrazistego materiału. Ale bubel, pomyślał. Ubranie niezbyt przypominało prawdziwy kowbojski strój. Materiał wypaczał się i rozciągał. Wiseman zauważył, że jedna z kieszeni wybrzuszyła się wydatnie.

— Nie kapuję — powiedział do Pinaria. — Przecież taki szmelc się nie sprzedaje.

— Niech pan to najpierw założy — odparł Pinario. Nie bez wysiłku Wiseman wcisnął się w kostium.

— Czy to bezpieczne? — spytał.

— Tak — odpowiedział Pinario. — Już to nosiłem. Całkiem sympatyczne i dobrze działa. Ale żeby zaczęło działać, musi pan trochę pofantazjować.

— O czym?

— Wszystko jedno.

Ponieważ strój był kowbojski, Wiseman zaczął myśleć o kowbojach. Wyobraził sobie, że jest na ranczu i idzie wysypaną żwirem drogą przez pole, na którym owce o czarnych pyskach żują powoli trawę. Zatrzymał się przy ogrodzeniu — drut kolczasty i wbite w ziemię pale — i przyglądał się stadu. Chwilę później owce zbiły się w ciasną gromadkę i ruszyły w stronę ocienionego zbocza, gdzie nie sięgał już wzrokiem.

Widział drzewa, cyprysy rosnące na linii horyzontu. Wysoko w górze polujący sokół zatrzepotał skrzydłami... jakby — pomyślał Wiseman — napelniał się powietrzem, by wznieść się jeszcze wyżej. Nagle sokół poszybował w dół, nad samą ziemią zatrzymał się na chwilę i poleciał już wolniej, Wiseman szukał jakiegokolwiek śladu ofiary, ale ogołocone przez owce i spalone słońcem pola były puste. Wszędzie roiło się od świerszczy. Na drodze siedziała ropucha. Zakopała się w pyłe, tak że widać było tylko grzbiet i głowę.

Gdy Wiseman pochylił się, by dotknąć pokrytej naroślami głowy, usłyszał gdzieś obok męski głos:

— No i jak, fajnie?

— Bardzo — odparł. Wciągnął głęboko powietrze. Pachniało suchą trawą. — Jak odróżnić samca ropuchy od samicy?

— A dlaczego pytasz? — Mężczyzna stał za nim, poza zasięgiem wzroku.

— Znalazłem tu ropuchę.

— Czy mogę ci zadać kilka pytań? — powiedział mężczyzna.

— Oczywiście — odparł Wiseman. — Ile masz lat?

To było oczywiste.

— Dziesięć i cztery miesiące — powiedział z dumą.

— Gdzie się znajdujesz w tej chwili?

— Na wsi, na ranczu pana Gaylorda, gdzie tata zabiera mnie i mamę na weekendy, jeśli tylko mamy czas.

— Odwróć się i spójrz na mnie — polecił mężczyzna. — Czy mnie znasz? Niechętnie odwrócił się od zakopanej w ziemi ropuchy i spojrzał na mężczyznę o pociągłej twarzy i długim, trochę krzywym nosie.

— To pan dostarcza butan. Z firmy gazowniczej. — Rozejrzał się dookoła. Wiedział, że gdzieś przy zaworze gazowym musi stać ciężarówka. — Tata mówi, że butan jest drogi, ale nie ma innego...

Mężczyzna przerwał mu.

— Jak się nazywa ta firma?

— Nazwa jest na ciężarówce — powiedział Wiseman, odczytując duże wymalowane litery: — Dystrybucja Butanu Pinario, Petaluma, Kalifornia. Pan nazywa się przecież Pinario.

— I mógłbyś przysiąc, że masz dziesięć lat i stoisz na polu w pobliżu Petalумы w Kalifornii? — spytał pan Pinario.

— No pewnie. — Widział wznoszące się za polami porośnięte lasem wzgórza. Naszła go ochota, żeby je zbadać. Znudzila go ta rozmowa. — Do widzenia — powiedział, odchodząc. — Muszę już iść.

Pobiegl wysypaną żwirem drogą. Świerszcze uskakiwały przed nim całymi chmarami. Dysząc ciężko, pędził coraz szybciej.

— Leon! — krzyknął za nim pan Pinario. — Daj spokój! Zatrzymaj się!

— Mam tam coś do załatwienia — wołał Wiseman, nie zatrzymując się. Magle coś uderzyło go z ogromną siłą. Upadł, opierając się na rękach. Próbował wstać. W suchym południowym powietrzu coś połyskiwało. Przeraziło go to, chciał uciec jak najdalej. Nagle zamajaczył przed nim jakiś kształt, płaska ściana...

— Nie dobiegniesz tam — usłyszał głos pana Pinario. — Lepiej stój w miejscu, bo na coś wpadniesz.

Wiseman miał ręce mokre od krwi. Skaleczył się, upadając. Przerazony wpatrywał się w krew...

Pinario pomógł mu zdjąć kostium.

— To najbardziej niebezpieczna zabawka, jaką można sobie wyobrazić. Chwila zabawy i dziecko nie będzie w stanie odróżnić fikcji od rzeczywistości. Wystarczy spojrzeć na pana.

Z trudem trzymając się na nogach, Wiseman uważnie przyglądał się kostiumowi; Pinario musiał mu go wyrwać.

— Niezły numer — powiedział drżącym głosem. — Najwyraźniej uwalnia najgłębsze pragnienia. Często myślałem o powrocie do dzieciństwa, zwłaszcza do okresu, kiedy mieszkałem na wsi.

— Niech pan zwróci uwagę, że wpłótł do pańskich wspomnień elementy teraźniejszości — zauważył Pinario — żeby przedłużyć te fantazje tak długo, jak się da. Gdyby miał pan więcej czasu, pewnie i dla ściany laboratorium znalazłoby się jakieś racjonalne wytłumaczenie, na przykład zmieniałyby się w ścianę stodoły.

— Prawdę mówiąc... już zaczynałem widzieć kształty mleczarni, w której farmerzy przechowywali mleko — wyznał Wiseman.

— Jeszcze chwila — dodał Pinario — a wyciągnięcie pana z tamtej rzeczywistości byłoby prawie niemożliwe.

Skoro coś takiego działo się ze mną, to strach pomyśleć, co by było z dzieckiem, uzupełnił Wiseman w duchu.

— Drugi produkt — powiedział Pinario — to gra, głupawy pomysł. Chce pan teraz ją obejrzeć? To nic pilnego.

— Chętnie na nią zerknę — odparł Wiseman. Wziął pudełko z grą i otworzył.

— Wygląda jak stary, dobry monopol — wyjaśnił Pinario. — Nazywa się sieć. Gra składała się z planszy, papierowych pieniędzy, kostki, pionków oraz kart świadczących o posiadaniu akcji.

— Trzeba zdobywać akcje — powiedział Pinario — tak jak w innych grach tego typu. — Nie zadał sobie nawet trudu, by spojrzeć na instrukcję. — ‘Ściągnijmy tu Fowlera i zagrajmy. Musi być co najmniej trzech graczy.

Gdy dołączył do nich dyrektor wydziału, usiedli przy stole i zabrali się do gry.

— Na starcie każdy gracz ma identyczny stan posiadania — wyjaśnił Pinario. — Potem ich status się zmienia w zależności od wartości akcji posiadanych w różnych sieciach ekonomicznych. Poszczególne sieci symbolizowały małe plastikowe przedmioty, podobne do domów i hoteli z monopolu.

Rzucali kostką, przesuwali pionki po planszy, licytowali i kupowali posiadłości, płacili kary i mandaty, zbierali opłaty, a czasem lądowali na jakiś czas w „komnacie oczyszczenia”. W tym samym czasie za ich plecami siedmiu miniaturowych żołnierzy wciąż szturmowało cytadelę.

— To nudne — powiedział manekin. — Zróbcie coś innego.

Żołnierze przegrupowali się po raz kolejny i znów ruszyli na twierdzę, podchodząc coraz bliżej i bliżej.

— Ciekawe jak długo jeszcze potrwa, zanim się dowiemy, po co w ogóle zbudowali to

cholerstwo — mruknął Wiseman.

— Diabli wiedzą — Pinario łypnął na fioletowo — złote akcje, które właśnie zdobył Fowler. — Przyda mi się — powiedział. — To akcje kopalni uranu na Plutonie. Co pan za nie chce?

— Jakąś cenną posiadłość — odparł Fowler, przeglądając jego karty własności. — Możemy ubić interes.

Jak mam się skupić na grze, pomyślał Wiseman, skoro to coś zbliża się do Bóg wie jakiego końca?

— Chwileczkę — powiedział, kładąc dłoń na kartach akcji. — A jeśli ta twierdza to stos?

— Jaki znowu stos? — spytał Fowler.

— Zostawcie tę grę — burknął Wiseman.

— Ciekawy pomysł — rzekł Pinario, również kładąc rękę na stole. — Tworzy z siebie stos atomowy, kawałek po kawałku. Aż do... — urwał. — Nie, myśleliśmy już o tym. W twierdzy brak ciężkich elementów. To tylko pięcioletni akumulator i kilka elektronicznych urządzeń, którymi steruje. Nie da się z tego zrobić stosu atomowego.

— Według mnie — odparł Wiseman — powinniśmy to stąd zabrać. — Przygoda z kowbojskim kostiumem nauczyła go, że nie wolno lekceważyć pomysłowości ganimedejskich producentów. A jeśli to wdzianko to tylko początek...

Fowler spojrział mu przez ramię i powiedział:

— Zostało już tylko sześciu żołnierzy.

Miał rację. Na placu boju pozostała już tylko połowa żołnierzy. Kolejny musiał dotrzeć do twierdzy i został przez nią wchłonięty.

— Ściągnijmy tu wojskowego eksperta od materiałów wybuchowych — rzucił Wiseman. — Niech to sprawdzi. To już nie jest wyłącznie nasza sprawa. — Zwrócił się do szefa. — Zgadza się pan?

— Najpierw skończmy grę — odparł Fowler.

— Po co?

— Co do niej też musimy mieć pewność — wyjaśnił Fowler, choć było jasne, że gra wciągnęła go i chciał doprowadzić tę partię do końca. — Co mi pan da za udziały w kopalni na Plutonie? Czekam na rozsądne propozycje.

On i Pinario dobili targu i cała trójka grała jeszcze przez godzinę. W końcu stało się jasne, że przewagę osiągnął Fowler. Miał pięć kopalni, dwie firmy produkujące wyroby z plastiku, zmonopolizował rynek przetwórstwa glonów oraz kontrolował wszystkie siedem sieci sklepów sprzedaży detalicznej. Dzięki posiadanym akcjom do jego kasy trafiała większość pieniędzy.

— Odpadam — powiedział Pinario. Został z kilkoma nisko wartościowym i kartami, które nie przynosiły prawie żadnych zysków. — Ktoś chce je kupić?

Wysupłując ostatnie pieniądze, Wiseman kupił od niego akcje. Grał teraz sam przeciwko Fowlerowi.

— Ta gra to replika typowych spółek handlowych — stwierdził Wiseman. — Sieci sklepów sprzedaży detalicznej z pewnością odzwierciedlają ganimedejskie holdingi.

Poczuł dreszcz podniecenia. Wykonał kilka niezłych rzutów kostką i stanął przed szansą dodania do swych marnych holdingów nowych udziałów.

— Dzięki tej grze dzieci zyskują zdrowe podejście do rzeczywistości biznesowej — oznajmił. — To je przygotowuje do wejścia w świat dorosłych.

Chwilę później wylądował na terenach Fowlera i zapłacone kary prawie całkowicie pozbawiły go majątku. Musiał zastawić dwa pakiety akcji i w oddali zamajaczyło widmo bankructwa.

Pinario, który obserwował uważnie szturmujących żołnierzy, powiedział do Wisemana:

— Może i ma pan rację. To może być tylko część ładunku wybuchowego. Jakiś odbiornik czy

coś w tym rodzaju. I kiedy zakończy proces składania, może zacznie odbierać moc wysyłaną z Ganimedesa.

— Czy to w ogóle możliwe? — spytał Fowler, układając swoje pieniądze nominalami.

— Po tych z Ganimedesa wszystkiego można się spodziewać — odparł Pinario, przechadzając się dookoła z rękami w kieszeniach. — Kończycie już?

— Za chwilę — odpowiedział Wiseman.

— Pytam — wyjaśnił Pinario — bo zostało już tylko pięciu żołnierzy. To idzie coraz szybciej. Wchłonięcie pierwszego zabrało tydzień, a siódmego tylko godzinę. Nie zdziwię się, jeśli pozostali znikną w ciągu najbliższych dwóch godzin. Cała piątka.

— Koniec — oznajmił Fowler. Właśnie zdobył ostatnią akcję i ostatniego dolara.

Wiseman wstał od stołu.

— Dzwonię po wojsko — powiedział. — Niech to sprawdzą. A ta gra to zwykła podróbka naszego monopolu.

— Może oni nie wiedzą, że już coś takiego mamy — zasugerował Fowler. — Tyle że pod inną nazwą.

Gra sieć została dopuszczona do sprzedaży. Wiseman zadzwonił ze swojego biura do jednostki wojskowej i wyjaśnił, o co chodzi.

— Zaraz przyślemy specjalistę od materiałów wybuchowych — usłyszał w odpowiedzi. — Do jego przyjazdu nie ruszajcie obiektu.

Wiseman podziękował urzędnikowi i odłożył słuchawkę. Nie udało im się rozwiązać zagadki twierdzy. Teraz miał się tym zająć kto inny.

Ekspert od materiałów wybuchowych był młodym, krótko ostrzyżonym mężczyzną. Uśmiechał się do nich przyjaźnie, rozkładając sprzęt. Miał na sobie zwykły kombinezon, bez żadnych ochraniaczy i wzmocnień.

— Po pierwsze — powiedział po obejrzeniu twierdzy — trzeba odłączyć kable od akumulatora. Albo, jeśli wolicie, możemy poczekać, aż cykl się zakończy, i odłączyć ją, zanim zdarzy się coś nowego. Innymi słowy, możemy poczekać, aż wszystkie ruchome elementy znajdą się w twierdzy. Wtedy odłączymy przewody, rozbierzemy cytadelę i zobaczymy, co działo się w środku.

— Czy to bezpieczne? — spytał Wiseman.

— Tak mi się wydaje — odparł ekspert. — Czujniki nie wykazują obecności żadnych czynników radioaktywnych. — Usiadł na podłodze za twierdzą z kombinerkami w ręku.

Na zewnątrz pozostało tylko trzech żołnierzy.

— To nie powinno długo potrwać — oznajmił pogodnie.

Piętnaście minut później jeden z żołnierzy podszedł do podnóża cytadeli i, podobnie jak jego poprzednicy, odkręcił sobie głowę, ramię, nogi i tułów i po kawałku zniknął w środku.

— Zostało dwóch — powiedział Fowler.

Po dziesięciu minutach drugi żołnierz poszedł w ślady poprzednika. Czterej mężczyźni wymienili spojrzenia.

— To już koniec — rzekł Pinario ochryplym głosem.

Ostatni żołnierz zbliżał się do twierdzy. Parł naprzód mimo ciężkiego ostrzału.

— Statystycznie rzecz biorąc — powiedział Wiseman, by przerwać ciszę i nieco rozładować napięcie — za każdym razem to powinno trwać dłużej, bo jest ich coraz mniej. Na samym początku powinno iść bardzo szybko, potem coraz wolniej, aż w końcu ostatni żołnierz musiałby forsować twierdzę przez miesiąc, starając się...

— Bez urazy — przerwał mu ekspert — ale proszę komentarz zostawić dla siebie.

Ostatni żołnierz dotarł już do cytadeli i zaczął robić to samo, co jego poprzednicy.

— Przygotujcie się — wyszeptał nerwowo Pinario.

Części ostatniego żołnierza zostały wciągnięte do wnętrza twierdzy i otwór zaczął się zamykać. Rozległ się stopniowo narastający szum. W cytadeli coś się działo.

— Już, na miłość boską! — wrzasnął Fowler.

Młody ekspert chwycił kombinerki i przeciął dodatni kabel akumulatora. Strzeliły iskry i chłopak instynktownie odskoczył; kombinerki potoczyły się po podłodze.

— Jezuniu! — krzyknął. — Musiał być uziemiony. — Ostrożnie sięgnął po kombinerki.

— Dotknął pan obudowy — odparł Pinario. Chwycił kombinerki, przykucnął i zaczął szukać przewodu. — Może owinę je chustką. — Sięgnął do kieszeni w poszukiwaniu chustki. — Macie coś, czym mógłbym je owinać? Nie chcę, żeby mnie kopnęło. Nie wiadomo, jaką...

— Daj pan to — Wiseman wyrwał mu kombinerki. Odsunął Pinaria i zacisnął je na przewodzie.

— Za późno — powiedział cicho Fowler.

Wiseman ledwo go usłyszał. W głowie huczał mu jednostajny dźwięk. Zakrył uszy dłońmi, bezskutecznie próbując się od niego uwolnić. Dźwięk wydobywał się z cytadeli i przenikał w głąb jego czaszki. Za długo się guzdraliśmy, pomyślał. Było nas zbyt wielu. Spieraliśmy się o pierdoły, zamiast...

W głowie usłyszał czyjś głos:

— Gratulacje. Dzięki wytrwałości odniosłeś sukces.

Owładnęło nim poczucie dobrze spełnionego zadania.

— Musiałeś pokonać liczne wyzwania — ciągnął głos. — Wszyscy inni już dawno by się poddali.

Wiedział, że wszystko jest w porządku. Że niepotrzebnie się obawiał.

— Tego, czego dziś dokonałeś — mówił głos — możesz dokonywać również w przyszłości. I zawsze zdołasz pokonać przeciwności losu. Dzięki uporowi i wytrwałości wyjdiesz zwycięsko z każdej próby. Wszechświat nie jest aż tak przytłaczający i potężny...

To prawda, pomyślał nie bez ironii. Nie jest.

— Pełno w nim zwykłych ludzi — zapewniał głos. — Więc jeśli nawet jesteś jedynym, jednostką przeciw wielu, nie masz się czego bać. Uzbrój się w cierpliwość i nie obawiaj się.

— Nie będę — powiedział głośno.

Hałas ucichł, a wraz z nim umilkł też głos.

— No i tyle — rzekł Fowler po długiej chwili. — Nie rozumiem — powiedział Pinario.

— Takie było założenie — wyjaśnił Wiseman. — To zabawka terapeuty czy — na. Pomaga dziecku zdobyć pewność siebie. To, że żołnierze rozkładają się na części — uśmiechnął się — likwiduje barierę między nim a światem. Dziecko staje się jego częścią. I tym samym może okiełznać ten świat.

— Więc to jest nieszkodliwe — podsumował Fowler.

— Tyle pracy na nic — jęknął Pinario. Zwrócił się do eksperta: — Przykro mi, że ściągnęliśmy tu pana na próżno.

Wrota twierdzy stanęły otworem. Dwunastu żołnierzy wymaszerowało na zewnątrz. Cykl dobiegł końca i szturm mógł się zacząć od nowa.

— Nie wydaj na to pozwolenia — powiedział nieoczekiwanie Wiseman.

— Co? — zdziwił się Pinario. — Dlaczego?

— Nie podoba mi się to — wyjaśnił Wiseman. — Jest zbyt skomplikowane jak na ostateczny cel, w jakim zostało stworzone.

— Proszę jaśniej — zażądał Fowler.

— A co tu wyjaśniać — odparł Wiseman. — Mamy niesłychanie złożone urządzenie, które

tylko rozkłada się na części i składa z powrotem. Musi mieć jeszcze jakieś funkcje, nawet jeśli nie potrafimy...

— Ma zastosowanie terapeutyczne — przerwał mu Pinario.

— Decyzję pozostawiam panu. Leon — powiedział Fowler. — Jeśli ma pan jakieś wątpliwości, proszę wstrzymać zezwolenie. Ostrożności nigdy za wiele.

— Może się mylę — ciągnął Wiseman — ale cały czas zastanawiam się, po co oni to zbudowali. Wydaje mi się, że nadal nie znamy odpowiedzi na to pytanie.

— A co ze strojem amerykańskiego kowboja? — spytał Pinario. — Na to też pan nie wyda pozwolenia?

— Puszczę tylko tę grę — odparł Wiseman. — Sieć czy jak się tam nazywa. Pochylił się i obserwował żołnierzy szturmujących cytadelę. Wystrzały, kłęby dymu, sprytnie manewry, ostrożny odwrót... wszystko tak, jak za pierwszym razem.

— O co panu chodzi? — spytał Pinario, przyglądając mu się uważnie.

— Może to forma dywersji — powiedział Wiseman — żeby odwrócić naszą uwagę od czegoś innego. — Tak podpowiadała mu intuicja, ale nie potrafił precyzyjnie określić, czego dotyczyły te obawy. — Podpucha — dodał. — Coś się dzieje gdzie indziej. Dlatego ta zabawka jest tak skomplikowana. Żeby wzbudzić nasze podejrzenia. Po to ją zbudowali.

Postawił nogę tuż przed jednym z żołnierzy. Mechaniczna figurka skryte się za jego butem przed czujnikami cytadeli.

— Musimy mieć to coś przed samym nosem — powiedział Fowler — i dlatego tak trudno nam to dostrzec.

— Dokładnie — przytaknął Wiseman. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek dojdą prawdy. — Tak czy inaczej — dodał — zatrzymamy ją tu, gdzie możemy ją mieć na oku.

Usadowił się wygodnie, gotowy do obserwowania żołnierzy. Wiedział, że potrwa to bardzo, bardzo długo.

O szóstej wieczorem Joe Hauck, kierownik działu sprzedaży w sklepie z zabawkami Appeleya, zaparkował samochód przed domem, wysiadł i ruszył na górę po schodach.

Pod pachą trzymał dużą płaską paczkę — „próbkę”, którą sobie przywłaszczył.

— Cześć! — zawołały jego dzieci, Bobby i Lora, gdy wszedł do środka. — Masz coś dla nas, tato?

Zastąpiły mu drogę. Żona, która siedziała w kuchni, podniosła wzrok znad gazety.

— Mam dla was nową grę — powiedział Hauck. Odpakował paczkę. Nie widział nic złego w tym, że wziął sobie jeden egzemplarz. Od tygodni wisiał na telefonie, przepychając nowe gry przez Urząd Kontroli Jakości... a i tak wydali zezwolenie tylko na jedną.

Gdy dzieci wyszły, zabierając grę, żona powiedziała ściszym głosem:

— Niezła tam u was korupcja. — Zawsze niechętnie patrzyła na rzeczy, które przynosił ze sklepowego magazynu.

— Mamy ich tysiące — wyjaśnił. — Nikt nie zauważył braku jednej. Przy kolacji dzieci skrupulatnie studiowały instrukcję dołączoną do gry.

— Nie czytajcie przy stole — skarciła je pani Hauck.

Rozpierając się wygodnie na krześle, Joe Hauck kończył opowiadać o swoim dniu:

— I po tym wszystkim, co zatwierdzili? Jedną wszawą grę. Będziemy mieli szczęście, jeśli zwrócą się koszty zakupu. To zestaw szturmowy miał podbić rynek. I ugrzązł w urzędzie na dobre. Zapalił papierosa i odprężył się, czując spokój przystani, jaką był dom, obecność żony i dzieci.

— Tato, zagrasz z nami? — spytała Lora. — Tu piszą, że im więcej osób gra, tym lepiej.

— Oczywiście — odparł Hauck.

Żona zebrała naczynia ze stołu, a on wraz z dziećmi przygotował planszę, pionki, kostkę, papierowe pieniądze i karty z udziałami. Gra wciągnęła go prawie natychmiast. Powróciły wspomnienia z dzieciństwa, gdy zdobywał kolejne udziały i wreszcie przejął prawie wszystkie sieci.

Zadowolony odsunął się nieco od stołu i powiedział:

— Obawiam się, że miałem przewagę już na starcie. Grywałem już kiedyś w takie gry. Przykro to stwierdzić, kochani, ale zdaje się, że jestem górą.. dodał z satysfakcją.

— Nieprawda — zaprotestowała Lora.

— Przegrałeś — dorzucił Bobby.

— Co takiego? — zawołał Hauck.

— Osoba, która kończy z największą liczbą pakietów, przegrywa — powiedziała Lora. Pokazała mu instrukcję. — Widzisz? Chodzi o to, żeby po — zbyć się akcji. Odpadasz, tato.

— Do diabła z tym — odparł Hauck, rozgoryczony. — To żadna sztuka. — Satysfakcja nagle przysła. — Beznadziejna ta gra.

— My dwoje musimy dokończyć partię — powiedział Bobby. — Zobaczyć, kto wygra.

Wstając od stołu, Joe Hauck mruknął pod nosem:

— Nic z tego nie rozumiem. Po co komuś gra, w której wygrany wszystko traci?

Dzieci podjęły grę. W miarę, jak pieniądze i udziały zmieniały właściciela, były coraz bardziej podekscytowane. A gdy rozgrywka wkroczyła w końcową fazę, Lora i Bobby znajdowali się w stanie bliskim ekstazy.

— Nie znają monopolu — mruknął Hauck do siebie — i dlatego ta durna gra nie wydaje im się dziwna.

Tak czy inaczej, najważniejsze, że im się podoba. Na pewno świetnie się sprzedają, a tylko to się liczyło. Dzieci zaś właśnie się uczyły, jak w naturalny sposób wyzbywać się dóbr. Oddawały udziały, akcje i pieniądze chętnie z niekłamaną radością.

Lora spojrzała znad planszy i powiedziała:

— To najlepsza gra edukacyjna, jaką kiedykolwiek przyniosłeś, tato!

GDYBY NIE BENNY CEMOLI

Kiedy chłopcy zobaczyli statek, z krzykiem pobiegli przez pole. Wylądował dokładnie tam, gdzie się spodziewali. I to oni dotarli do niego pierwsi.

— Wiecie co... większego w życiu nie widziałem! — Pierwszy chłopak zatrzymał się, z trudem łapiąc dech. — On nie jest z Marsa, tylko z jakiejś odleglejszej planety. Mówię wam... — Zamilkł, przerażony rozmiarami pojazdu. Spojrzał w niebo i zrozumiał, że potwierdziły się pogłoski. Statek nie przyleciał sam. Była ich cała flotyła.

Stojąc obok napędzanej parą limuzyny, John LeConte niecierpliwie czekał, aż w aucie nagrzej się kocioł. Sam nie prowadził. Miał szofera.

— To ja powinienem być tam pierwszy — mruknął wściekle — a wyprzedziła mnie banda obdartych, chłopskich bachorów.

— Czy telefon dzisiaj działa? — zapytał swojego sekretarza. Pan Fali sprawdził coś w notatniku.

— Tak, proszę pana. Czy mam połączyć z Oklahoma City? — LeConte nigdy nie miał chudszeo pracownika. Ten człowiek chyba nawet nie wiedział, jak wygląda jedzenie, ale był wyjątkowo przydatny.

— Ci od imigracji powinni się o tym dowiedzieć — mruknął John. Westchnął ciężko. Wszystko poszło nie tak. Armada z Proximy Centauri.

Przybyła po dziesięciu latach, a żadne z urzędów wczesnego rozpoznania nie wykryło jej obecności przed lądowaniem. A teraz Oklahoma City musi zmierzyć się z nią na własnym terenie... Niedogodność, którą LeConte odczuwał bardzo dotkliwie.

Wystarczy spojrzeć na sprzęt, którym dysponują, pomyślał, obserwując transportowce, które właśnie rozładowywano. Przy nich będziemy wyglądać jak wieśniaki. Żałował teraz bardzo, że jego samochód potrzebował aż dwudziestu minut, żeby się rozgrzać. Wołałby...

Wołałby, żeby nie była to Zapora, czyli Zjednoczona Partia Rekultywacji — organizacja na siłę uszczęśliwiająca innych, która, niestety, miała w Układzie Słonecznym ogromną władzę. Pierwsze informacje o Kataklizmie otrzymała już w 2170 roku. Ruszyła w stronę Ziemi, kierując się, niczym organizm fototropowy, światłem emitowanym podczas wybuchów bomb wodorowych. Ale LeConte zdawał sobie sprawę, że rządzące ugrupowania z układu centauryjskiego wiedziały o samej tragedii znacznie więcej. Od dawna utrzymywały kontakt radiowy z innymi planetami Układu Słonecznego. Na Ziemi ocalała niewielka część zamieszkujących ją wcześniej gatunków. On sam pochodził z Marsa. Przybył tu z misją humanitarną siedem lat temu i zdecydował się zostać na stałe. Na Ziemi widział dla siebie wiele możliwości, choć warunki, jakie tu panowały, nie były najlepsze...

To wszystko nie jest takie proste, pomyślał, wciąż czekając, aż samochód się rozgrzeje. To my byliśmy tu pierwsi, a Zapora chce teraz nami rządzić. Nie uważam, żebyśmy nie dawali sobie sami rady z odbudową. Pewnie, że nie jest tak, jak przedtem... Ale dziesięć lat to za mało. Dajcie nam jeszcze dwadzieścia, a znów będą tu jeździć pociągi. Nowe spoiwo do budowy dróg też świetnie się sprzedaje. Mamy więcej zamówień, niż możemy zrealizować.

— Telefon do pana — powiedział Fali, podając mu słuchawkę przenośnego aparatu.

— Mówi John LeConte, Główny Delegat w terenie. Proszę mówić. Powtarzam: proszę mówić.

— Tu Centralny Komitet Partii. — Beznamiętny głos urzędnika co chwila zanikał. Były duże zakłócenia. — Otrzymaliśmy wiele doniesień od zaniepokojonych mieszkańców w Zachodniej

Oklahomie...

— Już tu są — przerwał mu LeConte. — Obserwuję lądowanie i jestem gotów do rozmowy z ich dowództwem. W odpowiednim terminie złożę szczegółowy raport. Nie musicie mnie sprawdzać.

— Czy flotyła jest silnie uzbrojona?

— Nie, składa się raczej z transportowców i statków pasażerskich. — Biurokraci i ekonomiści... słowem, same hieny.

— Proszę niezwłocznie spotkać się z nimi i dać im do zrozumienia, że nie są tu mile widziani i że ich przybycie nie podoba się przedstawicielom tutejszej społeczności oraz członkom Rady Pomocy Terenom Dotkniętym Skutkami Wojny. Proszę ich również poinformować, że zgromadzenie ustawodawcze przegłosuje wkrótce ustawę wyrażającą sprzeciw wobec mieszania się organizacji międzyplanetarnej w wewnętrzne sprawy jednej z planet.

— Wiem, wiem — zniecierpliwiał się LeConte — przecież już to ustaliliśmy. Wiem.

— Samochód jest już gotowy, proszę pana — poinformował go szofer.

— Proszę im powiedzieć, że nie jest pan upoważniony do prowadzenia negocjacji, a więc nie może ich pan wpuścić na Ziemię. Taką władzę ma tylko Rada, która oczywiście jest temu stanowczo przeciwna — zakończył urzędnik.

LeConte odwiesił słuchawkę i szybko ruszył w stronę limuzyny.

Mimo wyraźnego sprzeciwu ze strony lokalnych władz, Peter Hood z Zapory podjął decyzję o umieszczeniu kwatery głównej w dawnej stolicy Ziemi, Nowym Jorku. Dałoby to członkom Zapory odpowiedni prestiż. W końcu, co oczywiste, opanują całą planetę, ale na to potrzeba kilkudziesięciu lat.

Przechadzając się po ruinach dawnego dworca kolejowego, Hood myślał o przyszłości. Zdawał sobie sprawę, że gdy projekt się zakończy, on będzie już na emeryturze. Tym bardziej, że niewiele ocalało z czasów przed tragedią. Lokalne władze — polityczne miernoty, emigranci z pobliskich planet, z Marsa i Wenus — nie dokonały zbyt wiele. A jednak coś im się udało.

— Zrobili za nas najgorszą robotę — odezwał się do idącego za nim zaporowca. — Powinniśmy być im wdzięczni. Niełatwo jest zacząć od nowa w całkowicie zrujnowanym terenie.

— No, nie robią tego za darmo — zauważył Fletcher, jeden z jego ludzi.

— Pobudki nie grają tu roli. Liczą się efekty. A im udało się co nieco osiągnąć. — Pomyślał o urzędniku, który spotkał się z nim przy swojej napędzanej parą limuzynie. Gdy on i jego pobratymcy przybyli tu przed laty, nie powitał ich nikt... No, może najwyżej poparzeni promieniowaniem, brudni i wycieńczeni świadkowie Katastrofy, którzy wypełzli z piwnic i gapili się bezmyślnie. Hood wzdrygnął się.

Jeden z niższych rangą zaporowców podszedł do niego i zasalutował.

— Udało nam się zlokalizować jakąś niezniszczoną podziemną konstrukcję — zawiadomił. — Może pan umieścić tam swój personel. — Chłopak miał zażenowaną minę: — To nic nadzwyczajnego, ale żeby zdobyć coś naprawdę godnego uwagi, musielibyśmy wysiedlić miejscowych.

— Nie szkodzi — powiedział Hood. — Może być piwnica.

— Mieściła się tam kiedyś — wyjaśnił młodzieniec — olbrzymia, samosterująca, homeostatyczna gazeta „New York Times”. Będziemy mieszkać dokładnie nad jej drukarnią. Tak przynajmniej wynika z planów. Nie udało nam się jeszcze znaleźć samej gazety. Zwykle centra homeostatycznych czasopism pogrzebane były głęboko pod ziemią, nawet dwa kilometry. Wciąż nie udało nam się ustalić, jak duża część tej podziemnej konstrukcji ocalała.

— Ale to może się przydać — zauważył Hood.

— Wiemy — przytaknął tamten. — Punkty sprzedaży są rozsiane po całej planecie. Gazeta musiała mieć kiedyś ogromny nakład i wiele różnych wydań. Ile z tych punktów działa... — Urwał. — Aż dziw bierze, że lokalni polacy, tykierzy nie starali się uruchomić żadnej z ogólnoplanetywnych gazet.

— Tak, to bardzo dziwne — przytaknął Hood. Ale też ułatwiało im to zadanie. Proces jednoczenia ludzi po globalnym kataklizmie opierał się w głównej mierze na prasie. Atmosfera była tak silnie zjonizowana, że radio i telewizja nie działały. — To podejrzane — zwrócił się do podwładnych. — Może oni wcale nie starają się tu czegokolwiek odbudować? Może stwarzają tylko pozory?

— A może po prostu nie mieli wystarczających środków, by uruchomić którąś z gazet — zasugerowała Joan, żona Hooda.

Masz rację, trzeba im wierzyć na słowo, pomyślał Peter.

— Wynika z tego, że ostatnie wydanie „Timesa” — powiedział Fletcher — ukazało się w dzień Kataklizmu. Cała sieć łączności komunikacyjnych i składu gazety stoi od tamtej pory bezczynnie. Nie świadczy to najlepiej o tutejszych politykach. Z kulturą są raczej na bakier. Dzięki odnowieniu sieci gazety możemy dokonać więcej, niż im udało się zrobić przez ostatnie lata — dodał z przekąsem.

— Może się mylisz, ale trzeba próbować — odparł Hood. — Miejmy nadzieję, że główny komputer gazety nie został uszkodzony. To część, której nie jesteśmy w stanie wymienić. — Spojrzał na zięjący otwór wejścia, które odgruzowali już jego ludzie. To był ich pierwszy krok przy odbudowie tej zniszczonej planety. Gdy tylko uda im się przywrócić homeogazetę, Hood będzie mógł zająć się innymi sprawami, bo to ona przejmie na siebie część obowiązków.

— Jezu, nigdy jeszcze nie widziałem takiego rumowiska — mruknął jeden z robotników. — Można pomyśleć, że celowo przywalili to tyłoma warstwami gruzu. — W obu rękach trzymał palnik zasysający, który pochłaniał materiał i zamieniał go w energię, szybko poszerzając wejście.

— Chcę mieć jak najszybciej raport o stanie technicznym całej instalacji — zapowiedział Hood inżynierom i technikom, którzy czekali, żeby wejść do środka. — Musimy wiedzieć, ile czasu zajmie nam ponowne uruchomienie gazety, ile...

Urwał. Zbliżali się do nich dwaj mężczyźni w czarnych mundurach, policjanci ze statku Ochrony. Jednym z funkcjonariuszy był Otto Dietrich, starszy oficer śledczy, który przybył tu z nimi z Centaura. Jego obecność zaniepokoiła wszystkich. Hood zauważył, że inżynierowie i robotnicy cofnęli się i wrócili do pracy.

— Dobrze, że pana widzę — zaczął Dietrich. — Mogę pana prosić na stronę? Musimy porozmawiać. — Hood od razu wiedział, o co chodziło śledczemu. Spodziewał się tej wizyty.

— Nie chcę panu zabierać dużo czasu, bo widzę, że jest pan zajęty. Co to w ogóle jest? — rozglądał się dookoła zaciekawiony Dietrich. Od razu się ożywił.

Hood rozmawiał z dwoma policjantami w ciasnym pokoju zamienionym w biuro.

— Jestem przeciwny sądeniu tych ludzi — powiedział. — Minęło już tyle czasu. Dajmy temu spokój.

Dietrich potarł w zamyśleniu ucho.

— Ale zbrodnie wojenne to zbrodnie wojenne, nawet po tylu latach — odparł. — Zresztą, nie ma się o co spierać. Prawo wymaga, byśmy ścigali tych ludzi. Ktoś przecież musiał rozpętać tę wojnę. Może oni i dziś piastują jakieś odpowiedzialne stanowiska... Choć dla nas i tak nie ma to znaczenia.

— Ilu ma pan ze sobą ludzi? — spytał Hood.

— Dwieście oddziałów.

— Więc może pan zaczynać.

— Jesteśmy gotowi prowadzić dochodzenie... konfiskować ważne dokumenty, uczestniczyć w postępowaniu sądowym i tak dalej. Potrafimy nakłonić ludzi do współpracy, jeśli to ma pan na myśli. Rozmieściliśmy już swoich agentów w strategicznych punktach. — Dietrich przyglądał się uważnie Hoodowi. — Wszystko już przygotowane, więc nie widzę problemu. Chyba że chce pan chronić winnych, wykorzystując ich powiązania i kontakty dla własnych celów?

— Nie — odparł spokojnie Hood.

— W Kataklizmie zginęło prawie osiemdziesiąt milionów ludzi. Czy można o tym zapomnieć? A może nie dba pan o to, bo byli to tylko zwykli ludzie i nie znał pan tutaj nikogo, co?

— Nie o to chodzi — wtrącił Hood. Wiedział, że ta rozmowa nie ma sensu. Nie zdoła zmienić mentalności policjanta. — Przedstawiłem już swoje obiekcje. Uważam, że po tylu latach procesy i wyroki śmierci nie mają najmniejszego sensu, więc proszę ode mnie nie wymagać, żebym oddelegował do tego swoich ludzi. Odmawiam, bo potrzebuję teraz każdego bez wyjątku, mamy zbyt wiele do zrobienia. Czy wyraziłem się jasno?

— Wy, idealisci... — westchnął Dietrich. — Wydaje się wam, że w porównaniu z naszą pracą wasze cele są takie szlachetne, prawda? Tylko nie wie pan jeszcze, i może nigdy się nie dowie, że po odbudowaniu tego świata ci ludzie zrobią z nim to samo, jeśli nie podejmiemy pewnych kroków. Jesteśmy to winni przyszłym pokoleniom. Polityka silnej ręki teraz, to, na dłuższą metę, najbardziej humanitarna metoda. Niech mi pan powie, Hood, co to za miejsce? Co tu odkopujecie z takim trudem?

— Siedziba „New York Timesa” — odpowiedział Hood.

— Pewnie mają tu archiwum. Moglibyśmy przejrzeć ich akta? To by nam pomogło w śledztwie.

— Nie mogę zabronić panu dostępu do materiałów, które znajdziemy.

— Przydałby się szczegółowy raport o wydarzeniach politycznych poprzedzających wybuch wojny — uśmiechnął się Dietrich. — Kto, na przykład, sprawował wtedy najwyższą władzę w Stanach? Nikt z tych, z którymi do tej pory rozmawialiśmy, tego nie pamięta. — Uśmiech zniknął z jego z twarzy.

Technicy dostarczyli Hoodowi raport wczesnym rankiem następnego dnia. Źródło zasilania gazety zostało całkowicie zniszczone. Ale komputron — mózg całego systemu produkcji i dystrybucji — był nietknięty. Gdyby udało się posadzić statek bliżej, można by przywrócić zasilanie gazety przy użyciu jego generatorów. A wtedy wiedzieliby już dużo więcej.

Hood, Joan i Fletcher jedli razem śniadanie.

— Innymi słowy — powiedział Fletcher — albo się uda, albo nie. Bardzo praktycznie. Jeśli po podłączeniu do statku gazeta zacznie działać, to zadanie wykonane. Ale co w przypadku, gdyby się nie dała uruchomić? Czy technicy zrezygnują w ogóle z jej użycia?

— Smakuje jak prawdziwa kawa — zauważył Hood, przyglądając się filiżance. — Niech im pan każe sprowadzić tu jeden ze statków i podłączyć do systemu gazety. A jeśli uda się coś wydrukować, natychmiast przynieście mi egzemplarz. — Dopił kawę.

Godzinę później w pobliżu siedziby gazety wylądował statek i moc z jego generatorów popłynęła w głąb ziemi. Pod ziemią umieszczono kanały kablowe i zamknięto obieg.

Hood siedział właśnie w biurze, gdy z podziemi dobiegło go przerywane, głuche dudnienie. Udało się. Gazeta ożyła.

Jeden z zaporowców przyniósł mu świeżo wydrukowany egzemplarz. Artykuły na stronie tytułowej zupełnie zaskoczyły Hooda. Nawet w stanie uśpienia gazeta odnotowywała aktualne wydarzenia. Jej czujniki i receptory na powierzchni musiały być przez cały czas aktywne.

PO DZIESIĘCIOLETNIEJ PODRÓŻY ZAPORA JUŻ NA ZIEMI PLANY CENTRALNEJ ADMINISTRACJI

Dziesięć lat po Katakliźmie nuklearnym wewnątrzukładowa agencja rekultywacji, Zapora, przybyła na Ziemię. Na powierzchni wylądowała cała armada, którą naoczni świadkowie określili jako „przytłaczającą zarówno w wielkości, jak i różnorodności”. Pan Peter Hood, mianowany przez centauryjskie władze głównym koordynatorem, zaraz po wylądowaniu założył w ruinach Nowego Jorku centrum dowodzenia i na spotkaniu z najbliższymi współpracownikami jasno zadeklarował, że Zapora nie przybyła tu, żeby karać winnych, lecz po to, by odbudować planetę wszelkimi dostępnymi środkami. Ponadto...

Było w tym coś niesamowitego i niepokojącego zarazem. Gazeta żyła teraz własnym życiem. Udało jej się nawet przechwycić, zinterpretować i wydrukować na pierwszej stronie skróconą treść jego dyskusji z Otto Dietrichem. Cały system działał sprawnie i nie umknęła mu nawet cicha, prowadzona w odosobnieniu rozmowa. Hood musiał bardzo uważać.

Kolejny artykuł poświęcono przybyciu policji kryminalnej. Miał dość złowieszczą treść.

AGENCJA BEZPIECZEŃSTWA BIERZE NA CELOWNIK „ZBRODNIARZY WOJENNYCH”

Kapitan Otto Dietrich, starszy oficer śledczy, który przybył tu razem z flotyllą z Proximy Centauri, powiedział dziś, że wszyscy odpowiedzialni za tragedię sprzed dziesięciu lat „zapłacą za swoje zbrodnie” przed centauryjskim trybunatem. Jak ustalił „Times”, dwieście jednostek policji już podjęło działania śledcze, które mają doprowadzić do...

Gazeta ostrzegła Ziemian przed Dietrichem i Hood nie mógł się z tym nie zgodzić. „Times” był niezależny. Służył wszystkim, również tym, których starał się złapać Dietrich. A teraz każdy krok policji zostanie szczegółowo opisany, co nie spodoba się zapewne Dietrichowi, który wołał działać bez rozgłosu. Tylko że o ponownym odłączeniu gazety mógł zdecydować jedynie Hood.

A on wcale nie miał zamiaru jej zamykać.

Zaintrygował go jeszcze jeden artykuł na pierwszej stronie. Marszcząc brwi, przeczytał tekst. Nie bardzo wiedział, co ma o tym myśleć.

ZWOLENNICY BENNY’EGO CEMOLIEGO WSZCZYNAJĄ ZAMIESZKI NA PÓŁNOC OD NOWEGO JORKU

Koczujący w obozach zwolennicy Benny’ego Cemoliego, barwnej postaci ze świata polityki, starli się z okolicznymi mieszkańcami. Doszło do prawdziwej bitwy. Walczyły ze sobą grupy mężczyzn uzbrojonych w młoty, szpadle i sztachety. Obie strony spierają się, która z nich wyszła z bitwy zwycięsko. Efekt dwugodzinnej bijatyki to ponad dwudziestu rannych, z czego dwanaście osób wymagało opieki lekarskiej w zorganizowanych naprędce szpitalach polowych. Cemoli, ubrany jak zwykle w czerwoną togę, odwiedził swoich poszkodowanych zwolenników i zapewnił ich, że „to już nie potrwa długo”. Najwyraźniej myślał o zaplanowanym przez jego organizację marszu na Nowy Jork. Celem tego marszu ma być, jak twierdzi sam Cemoli, „ustanowienie, po raz pierwszy w historii, prawdziwej społecznej sprawiedliwości i równości”. Trzeba, przypomnieć, że przed jego uwięzieniem w San Ouentin...

Hood włączył interkom i zwrócił się do Fletchera:

— Niech pan sprawdzi, czy coś się dzieje na północy kraju. Podobno szykuje się tam jakieś polityczne powstanie.

— Mam dzisiejszą gazetę — odpowiedział Fletcher. — Czytałem artykuł o tym agitatorze. Statek już tam leci... za kilka minut powinienem mieć raport. Myśli pan, że... — zamilkł na chwilę — ...trzeba będzie posłać tam ludzi Dietricha?

— Miejmy nadzieję, że nie — odparł krótko Hood.

Pół godziny później Fletcher miał już gotowy raport. Hood był tak zaskoczony wynikami, że poprosił swego podwładnego, by przeczytał go jeszcze raz. Okazało się jednak, że dobrze zrozumiał treść sprawozdania. Ekipa Zapory bardzo dokładnie zbadała teren. Nie znalazła tam ani obozu, ani jakiegokolwiek zbrojnego ugrupowania. A mieszkańcy tych terenów, wypytywani przez członków ekipy, zgodnie twierdzili, że pierwszy raz słyszą nazwisko Cemoli. Zaporowcy nie znaleźli też żadnych polowych szpitali, śladów walki ani rannych. Była to wyjątkowo cicha i spokojna okolica.

Zupełnie zbity z tropu, Hood znów sięgnął po „Timesa”. Na pierwszej stronie, czarno na białym, opisano przebieg starcia i jego okoliczności. Co to wszystko miało znaczyć?

Zaniepokoiło go to bardzo.

Może ponowne uruchomienie starej, uszkodzonej gazety homeostatycznej było błędem?

Z głębokiego snu wyrwało go głośnie dudnienie pod ziemią. Hałas się wzmacniał. Hood oprzytomniał nieco i usiadł na łóżku. Odcięty od świata mechanizm sterowania znów uruchomił taśmę drukarską.

— Proszę pana — usłyszał gdzieś w ciemnościach głos Fletchera, który w końcu znalazł włącznik prowizorycznej lampy i zapalił światło — pomyślałem, że trzeba pana obudzić, sir. Przepraszam.

— Już nie śpię — mruknął Hood. Wstał z łóżka, włożył szlafrok i kapcie. — Co się tam dzieje?

— Zdaje się, że drukuje wydanie specjalne — wyjaśnił Fletcher.

Joan też się rozbudziła usiadła na łóżku i poprawiła swe splątane blond włosy

— Dobry Boże, a o czym? — zerknęła przestraszona to na męża, to na Fletchera.

— Trzeba tu natychmiast sprowadzić przedstawicieli lokalnych władz — zdecydował Hood. — Muszę z nimi pomówić. — Zaczynał przeczuwać, co się kryje za tą niespodziewaną aktywnością, jaką wykazywała gazeta. — Dawajcie mi LeConte’a, tego politykiera, który spotkał się z nami zaraz po wylądowaniu. Obudźcie go, jeśli trzeba, i przywieźcie do mnie.

Minęła godzina, zanim pyszałkowaty, nadęty facecik zjawił się ze swoim asystentem w biurze Hooda. Obaj byli ubrani w wymyślne mundury. Stali w milczeniu, wyraźnie niezadowoleni. Wpatrywali się w Hooda, czekając, co im powie.

Wciąż w kapciach i szlafroku. Hood siedział przy biurku, trzymając w ręku egzemplarz specjalnego wydania „Timesa”. Gdy weszli, po raz nie wiadomo który czytał ten sam artykuł:

Z doniesień policji nowojorskiej wynika, że legiony pod wodzą Cemoliego ruszyły na miasto. Wzniesiono barykady, gwardia narodowa w stanie gotowości...

Hood pokazał nocnym gościom tytułową stronę.

— Co to za jeden? — zapytał.

— Nie... nie mam pojęcia — wymamrotał LeConte.

— Bez żartów, LeConte — rzucił twardo Hood.

— Niech mi pan chociaż da przeczytać ten artykuł — powiedział nerwowo gość. Gazeta drżała mu w dłoniach, gdy pospiesznie przeglądał tekst. — Ciekawe — powiedział wreszcie. — Ale nie mogę panu pomóc. Nie mam pojęcia, co się tam dzieje. Sam dowiaduję się dopiero teraz. Musi pan zrozumieć, że komunikacja nie funkcjonuje tutaj normalnie. Całkiem możliwe, że jakiś ruch polityczny rozwinął się niezauważony...

— Daj pan spokój — przerwał mu Hood — przecież sam pan w to nie wierzy.

— Staram się — LeConte zaczerwienił się i zająknął — choć wyrwaliście mnie z łóżka w środku nocy.

Usłyszeli hałas i do gabinetu wpadł jak burza Otto Dietrich.

— Hood — wypalił bez ogródek — koło mojej kwatery jest kiosk „Timesa”. Właśnie to wyrzucił — machnął trzymaną w ręku gazetą. — To cholerstwo drukuje się i rozsyła na cały świat, co? Ale moje jednostki stacjonują w tym rejonie i tam się kompletnie nic nie dzieje, żadnych blokad, zbrojnych oddziałów, zupełnie nic.

— Wiem — odparł Hood. Był już tym wszystkim zmęczony. W podziemiach gazeta z łoskotem wciąż drukowała kolejne egzemplarze dodatku specjalnego, informując świat o marszu Benny ‘ego Cemoliego na Nowy Jork... umyśloną historię, która zdarzyła się zapewne tylko wewnątrz komputronu samej gazety.

— Niech pan wyłączy gazetę — zażądał Dietrich.

— Nie — sprzeciwił się Hood — musimy wiedzieć więcej.

— To żadne wytłumaczenie — nalegał Dietrich. — Na pierwszy rzut oka widać, że system jest uszkodzony. I to bardzo poważnie. Cała sieć nie działa tak, jak powinna. Będzie pan musiał poszukać sobie innego narzędzia do prowadzenia ogólnoświatowej propagandy. — Cisnął Hoodowi gazetę na biurko.

— Czy Benny Cemoli działał już przed wojną? — zapytał Hood LeConte’a.

Nie było odpowiedzi. LeConte i jego sekretarz, pan Fali, stali z zaciśniętymi ustami i poszarzałymi twarzami i spoglądali to na siebie, to na Hooda.

— Nie znam się na policyjnej robocie — zwrócił się Hood do Dietricha — ale myślę, że to coś dla pana.

Dietrich przytaknął ze zrozumieniem.

— Ma pan rację. Wy dwaj jesteście aresztowani. Chyba że zmienicie zdanie i staniecie się bardziej rozmowni. Interesuje nas wszystko, co wiecie o tym agitatorze w czerwonej todze. — Skinął na stojących przy drzwiach funkcjonariuszy.

Gdy policjanci podeszli do LeConte’a, ten odezwał się wreszcie:

— Teraz sobie coś przypominam... Był ktoś o takim nazwisku. Tylko.. nie było o nim wtedy tak głośno.

— Przed wojną? — spytał Hood.

— Tak. — LeConte wolno pokiwał głową. — Ale to nie było nic poważnego. O ile dobrze pamiętam... to taki gruby, prostacki klaun z jakiegoś zadu — pia. Miał małą stację radiową, z której nadawał. Sprzedawał jakieś urządzenia przeciwko promieniowaniu. Umieszczało się taką skrzynkę w domu i chroniła przed opadem radioaktywnym.

— Tak, teraz i ja sobie przypominam — dodał pan Fali. — Startował nawet kiedyś do senatu ONZ, ale naturalnie nic z tego nie wyszło.

— I to wszystko? — zapytał Hood.

— O, tak — zapewnił go LeConte. — Zmarł na azjatycką gripę niedługo potem. Nie żyje od piętnastu lat.

Helikopter krążył wolno nad terenem, który „Times” opisał jako centrum zamieszek. Hood mógł się sam przekonać, że nic się tu nie działo. Nie uspokoił się jednak, dopóki sam nie zobaczył, że gazeta straciła kontakt z rzeczywistością. To, co drukowała, nie miało nic wspólnego z tym, co działo się naprawdę. A jednak homeostatyczny system cały czas funkcjonował...

— Mam tu trzeci artykuł, jeśli chcesz przeczytać — powiedziała Joan. Miała w ręku najnowszy numer.

— Nie — odparł Hood.

— Piszą, że rebelianci przełamali policyjne barykady i gubernator zwrócił się o pomoc do ONZ — poinformowała go.

— Mam pomysł — stwierdził Fletcher. — Ktoś powinien napisać do gazety list. Może nawet pan, sir.

Hood spojrział na niego.

— Wydaje mi się, że wiem, co powinno się znaleźć w takim liście — mówił dalej Fletcher. — Trzeba napisać, że po przeczytaniu artykułów o Bennym Cemolim jest pan zainteresowany przyłączeniem się do jego ruchu i prosi o podanie adresu, pod który mógłby się zgłosić.

Czyli, innymi słowy, mam poprosić gazetę, żeby skontaktowała mnie z Bennym Cemolim, pomyślał Hood. Pomysł Fletchera zrobił na nim wrażenie. W tym szaleństwie mogła być jakaś metoda. Fletcher pozornie zaakceptował obłąkańczą wizję świata, jaką demonstrowała gazeta, i zaczął myśleć jej kategoriami. Zakładając, że Cemoli i marsz na Nowy Jork istniały naprawdę, to było całkiem rozsądne rozwiązanie.

— Nie chcę wyjść na idiotkę, ale jak można pisać listy do automatycznej homeogazety? — spytała Joan.

— Sprawdziłem to — wyjaśnił Fletcher. — Przy każdym kiosku, w którym się ją sprzedaje, obok otworu na monety jest też specjalna szczelina na korespondencję. Dawniej czytelnicy często korzystali z tego udogodnienia. Potrzebuję tylko podpisu pani męża. — Sięgnął do kieszeni i wyciągnął kopertę. — List jest już gotowy.

Hood przeczytał uważnie treść.

— Więc teraz chcemy przyłączyć się do bandy grubego klauna — mruknął po nosie. — Czy w następnym numerze gazety nie ukaże się artykuł: *Szef Zapory przyłącza się do marszu na stolicę Ziemi?* — zapytał Fletchera z ironicznym uśmiechem. — Czy gazeta tego nie wykorzysta?

Fletcher najwyraźniej nie wziął po uwagę takiej możliwości. Zawahał się.

— Może lepiej znajdziemy kogoś innego, żeby to podpisał — przyznał. — Któregoś z niższych rangą urzędników — dodał. — Może ja bym to zrobił.

Hood oddał mu list.

— Niech pan się tym zajmie — zarządził. — Ciekawe, jaka będzie reakcja. Jeśli w ogóle coś się stanie. — List do redaktora naczelnego, pomyślał. Pismo do złożonego, elektronicznego organizmu, który, pogrzebany głęboko pod ziemią, nie ma nad sobą zwierzchników. Jak zareaguje na takie zewnętrzne potwierdzenie swoich własnych iluzji? Czy to przywróci gazetę do rzeczywistości?

Trochę to wygląda, jakby przez te wszystkie lata przymusowego uśpienia gazeta marzyła, a teraz, rozbudzona na nowo, pozwala fragmentom swoich snów ujrzeć światło dzienne. Miesza je ze szczegółowymi i wnikliwymi analizami aktualnych i rzeczywistych zdarzeń. Co weźmie górę? Fantazje czy normalne dziennikarstwo? Wkrótce w Nowym Jorku zapewne pojawi się charyzmatyczna postać w czerwonej todze. Okaże się, że marsz zakończył się sukcesem. I co potem? Jak to pogodzić z przybyciem Zapory, z tą potężną, wszechwładną agencją? Homeogazeta będzie musiała prędzej czy później rozwikłać tę sprzeczność.

Z pewnością któraś z dwóch wersji i wydarzeń okaże się nieprawdziwa... Hood miał jednak niejasne przeczucie, że gazeta, która stworzyła przez ostatnie dziesięć lat konkretny obraz rzeczywistości, nie zrezygnuje tak łatwo ze swoich fantazji. Może, pomyślał, informacje o Zaporze i naszych planach odbudowy planety w ogóle znikną z „Timesa”. Gazeta będzie coraz rzadziej o nich wspominała, spychając te tematy na coraz dalsze strony. I w końcu pozostaną tylko wyczyny Benny’ego Cemoliego.

Nie była to miła perspektywa. Zupełnie jakbyśmy istnieli naprawdę tak długo, dopóki pisze o nas „Times”, stwierdził. Jakby nasze istnienie zależało od tej gazety.

Dwadzieścia cztery godziny później „Times” zamieścił w zwykłym wydaniu ich list. Dopiero w

druku widać było, jaki jest naciągany i sztuczny. Z pewnością gazeta nie dała się nabrać, a jednak go wydrukowała. List zdołał przebrnąć przez wszystkie stadia przetwarzania.

Drogi redaktorze!

Relacja z heroicznego marszu na dekadencją, plutokratyczną twierdzę Nowego Jorku roznieciła mój zapal. W jaki sposób zwykły obywatel może się przyłączyć do tworzącej się właśnie na naszych oczach historii? Proszę o szybką odpowiedź. Chcę jak najprędzej wstąpić w szeregi organizacji pana Cemoliego i dzielić z nim trudy i radości zwycięstwa.

*Łączę wyrazy szacunku,
Rudolf Fletcher*

Pod listem homeogazeta umieściła odpowiedź. Hood szybko ją przeczytał:

Zwolennicy Cemoliego prowadzą nabór w centrum Nowego Jorku. Oto adres: ulica Bleekmana 460, Nowy Jork 32. Może pan zgłosić się do nich, jeśli na skutek ostatnich wydarzeń policja nie zamknęła jeszcze tego nielegalnego biura.

Hood połączył się z kwaterą główną policji. Przełączono go na starszego oficera śledczego.

— Dietrich, potrzebuję pańskich ludzi — powiedział. — Czeka nas mała wycieczka i mogą być problemy.

— A więc nie chodzi tylko o odbudowę — powiedział po chwili milczenia oschłym tonem Dietrich. — Cóż, wysłaliśmy już jednego z naszych, by obserwował to miejsce przy ulicy Bleekmana. Podobała mi się pańska sztuczka z listem. Może przynieść jakieś efekty.

Niebawem Hood w towarzystwie czterech ubranych na czarno centau — ryjskich policjantów siedział na pokładzie helikoptera. Lecieli nad zrujnowaną dzielnicą Nowego Jorku, wypatrując tego, co zostało z ulicy Bleekmana. Za pomocą map udało im się zlokalizować to miejsce.

— Tam — powiedział dowodzący grupą policjant. — To musi być ten sklep z warzywami. — Helikopter obniżył lot.

To był faktycznie zwyczajny sklep warzywny. Hood nie widział nigdzie śladów działalności politycznej. Nie kręcili się tu żadni podejrzeni ludzie. Nie porozwieszano flag i transparentów. A jednak coś było nie tak. W koszach na ulicy wystawiono warzywa i owoce. Jakieś kobiety przebierały w skrzynkach z ziemniakami. Właściciel w białym fartuchu zamiatął chodnik przed sklepem. Widok był taki zwyczajny i spokojny... Za spokojny.

— Lądujemy? — spytał kapitan.

— Oczywiście — przytaknął Hood. — Bądźcie czujni.

Właściciel, widząc helikopter lądujący przed sklepem, odłożył miotłę i podszedł bliżej. Hood stwierdził, że najpewniej jest Grekiem. Miał ogromne sumiaste wąsy i lekko kręcone, siwe włosy. Przyglądał im się nieufnie. Od razu się zorientował, że ta wizyta nie wróży nic dobrego, a jednak zdecydował się powitać ich przyjaźnie. Najwyraźniej nie czuł strachu.

— Panowie — powiedział, kłaniając się — czym mogę służyć? — Uważnie spojrzął na czarne mundury policjantów, a jego twarz nie zdradzała żadnych emocji.

— Przybyliśmy tu, żeby aresztować politycznego agitatora — wyjaśnił Hood. — Pan nie musi się niczego obawiać. — Minął właściciela i skierował się w stronę sklepu. Policjanci ruszyli za nim.

— Polityczny agitator? Tutaj? — powtórzył Grek. — Ależ to niemożliwe. Pospieszył za nimi, teraz już zaniepokojony.

— Co ja takiego zrobiłem? Nic tu nie ma. Mogą panowie szukać. Proszę bardzo. — Otworzył drzwi i wpuścił ich do środka.

— Proszę, sprawdźcie sami.

— Taki właśnie mamy zamiar — stwierdził Hood. Nie tracił czasu na kontrolowanie całego sklepu. Ominął wszystkie oczywiste miejsca i ruszył na zaplecze.

Było tu pełno kartonów z puszkami i tekturowych pudeł, a jakiś młody człowiek robił właśnie inwentaryzację. Spojrzał na nich. Nic tu nie znajdziemy, pomyślał Hood. Tylko syna właściciela, nic więcej. Otworzył jeden z kartonów i zajrzał do środka. Puszki z brzoskwiniami, a obok skrzynka z salata. Oderwał zielony liść. Czuł pustkę i rozczarowanie.

— Nic tu nie ma, sir — powiedział cicho kapitan policji.

— Widzę — mruknął Hood, poirytowany.

Na prawo dostrzegł drzwi. Prowadziły do składziku. W środku znalazł miotły, cynowe wiadro, pudełka z detergentami. Ale...

Na podłodze były plamy farby.

Składzik odmalowano całkiem niedawno. Pochylił się i zdrapał trochę farby z posadzki. Była jeszcze lepka.

— Niech pan spojrzy na to — powiedział, przywołując kapitana policji.

— Co się stało, panowie? — dopytywał się nerwowo Grek. — Znaleźli panowie jakiś brud, tak? I teraz zgłosicie to do zakładu higieny, tak? Klienci się skarżyli, co? Proszę mi powiedzieć prawdę. Tak, to świeża farba. Staramy się wszystko utrzymywać w należytym porządku. Przecież to chyba w interesie społecznym, co?

Kapitan dokładnie obmacał ścianę.

— Panie Hood, tu były kiedyś drzwi — stwierdził. — Ktoś je musiał niedawno zamurować. — Spojrzał na Hooda, czekając na rozkazy.

— Wchodzimy — zdecydował Peter.

Kapitan odwrócił się do podwładnych i wydał szybko kilka poleceń. Natychmiast przynieśli z helikoptera potrzebny sprzęt i już po chwili zaczęli ciąć drewno i plastik.

Grek pobladł.

— To niedopuszczalne! Zaskarżę was! — zagroził.

— Proszę bardzo! — zachęcił go Hood. — Niech pan nas poda do sądu. — Odpadła już spora część ściany. Z hukiem zniknęła wewnątrz, a na podłogę pod ich stopami posypały się odłamki. W powietrze uniosła się chmura kurzu i pyłu.

W świetle policyjnych latarek Hood przekonał się, że ukryte pomieszczenie nie jest zbyt duże. W środku było brudno, duszno i śmierdziało stęchlizną... Pewnie od dawna nikt go nie używał. Lokal stał prawie pusty. Nie miał okien. To musiał być jakiś opuszczony skład lub mały magazyn. Wyblakłe, drewniane ściany łuszczyły się. Może przed Katakлизmem sklep potrzebował większej przestrzeni do składowania towarów. Hood rozglądał się uważnie. Poświecił na sufit, potem na podłogę. Martwe muchy, pogrzebane tu od... I nagle zauważył, że kilka z nich jeszcze żyło.

— Niech pan pamięta — powiedział kapitan — że drzwi zamurowano niedawno. Jakies trzy dni temu. Albo też wtedy pomalowano zewnętrzną ścianę.

— Te muchy — wskazał Hood — jeszcze żyją. Nie mogły upłynąć trzy dni. Ktoś zrobił to wczoraj.

Do czego służyło wcześniej to pomieszczenie? Odwrócił się do Greka, który wszedł tu za nimi, wciąż blady i spięty. To cwany lis, pomyślał Hood. Nie dowiemy się od niego za wiele.

W rogu pomieszczenia dostrzegł drewnianą szafkę z półkami. Podeszedł tam.

— Dobrze — mruknął niewyraźnie Grek — przyznaję się. Chowaliśmy tu dżin z przemytu. Wy, z Centaura, wystraszyliście nas swoim przybyciem. — Spojrzał na nich z obawą. — Nie

jesteście jak tutejsi szefowie. Ich już znamy. Są wyrozumiali. A wy! Wy jesteście poza naszym zasięgiem. A musimy przecież jakoś zarabiać na życie. — Rozłożył ręce. Wyraźnie starał się jakoś na nich wpłynąć.

Zza szafki, ledwie widoczny, wystawał kawałek papieru. Łatwo mógł ujść ich uwadze. Gdy próbowali go wyciągnąć, zaczął osuwać się niżej i głębiej. Hood przytrzymał go i podniósł powoli.

Grek zadrżał.

Było to zdjęcie przedstawiające potężnego mężczyznę w średnim wieku. Szeroką szczękę pokrywał mu kilkudniowy, czarny zarost. Czoło miał zmarszczone. Ubrany był w jakiś mundur. Wyraźnie było widać, że to zdjęcie musiało kiedyś wisieć na ścianie. Ludzie, którzy tu przychodzili, najwyraźniej oddawali temu mężczyźnie cześć. Hood od razu się zorientował, kim jest ten człowiek. Benny Cemoli w szczytowym okresie politycznej kariery. Przywódca, który spoglądał na swoich zwolenników. Więc tak wyglądał.

Nic dziwnego, że „Times” podniósł alarm.

— Wie pan, co to jest? — zapytał Hood, zwracając się do właściciela sklepu.

— Nie, nie wiem — odparł tamten. Dużą czerwoną chustką otarł z czoła pot i dodał: — Nie mam pojęcia. — Widać było wyraźnie, że kłamie.

— Jest pan jednym ze zwolenników Cemoliego, prawda? — zgadywał Hood.

Nie otrzymał odpowiedzi.

— Zabierzcie go — zwrócił się do policjantów. — Czas wracać. — Wyszedł z dusznego pomieszczenia, zabierając zdjęcie.

Hood położył zdjęcie na biurku w swym gabinecie i zaczął się zastanawiać. To już nie jest tylko wymysł „Timesa”. Teraz znamy prawdę. Ten człowiek to nie żadna legenda, a dwadzieścia cztery godziny temu na ścianie tego ukrytego pomieszczenia wisiał jego portret. I nikt by go nie zdjął, gdyby nie nasze lądowanie na Ziemi. Wypłoszyliśmy ich. Tutejsi ludzie mają wiele do ukrycia i wiedzą o tym bardzo dobrze. Próbują zacierać ślady, a robią to szybko i skutecznie. Będziemy mieli dużo szczęścia, jeśli... Joan przerwała jego rozmyślenia.

— A więc naprawdę mieli tam punkt spotkań. Gazeta miała rację. — Tak.

— Gdzie on teraz jest?

Też chciałbym to wiedzieć, pomyślał Hood.

— Czy Dietrich widział już zdjęcie?

— Jeszcze nie.

— To on jest odpowiedzialny za Katakлизм i Dietrich się o tym dowie — powiedziała Joan.

— Jeden człowiek — sprzeciwił się Hood — nie może być odpowiedzialny za taką tragedię.

— Ale to on był najaktywniejszy — stwierdziła Joan. — Dlatego ze wszystkich sił starali się go przed nami ukryć.

Hood przytaknął.

— Gdyby nie „Times” — zauważyła — być może nigdy nie dowiedzielibyśmy się o istnieniu Benny’ego Cemoliego. Bardzo dużo zawdzięczamy tej gazecie. Tego nie przewidzieli albo po prostu nie mogli się do niej dostać. Pewnie działali w pośpiechu. A poza tym przez dziesięć lat nie da się zamaskować i ukryć wszystkiego. To musi być piekielnie trudne zadanie... usunąć wszystko, co dotyczyło ogólnoswiatowego ruchu politycznego. Tym bardziej że lider tego ruchu tuż przed Katakлизmem zdołał przejąć pełną kontrolę nad Ziemią.

— To niewykonalne — zgodził się Hood. Ukryty przed światem magazyn na zapleczu sklepu... to dało mu wystarczająco wiele informacji. Teraz resztą zajmą się ludzie Dietricha. Jeśli Cemoli żyje, znajdą go, jeżeli nie... nie uwierzą. O ile dobrze znał Dietricha, nigdy nie przestaną go szukać.

— Jest i dobra strona tej sprawy — przyznała Joan. — Wielu niewinnych obywateli może odetchnąć z ulgą. Dietrich nie będzie ich teraz nękał. Poświęci całą uwagę tropieniu Cemoliego.

To prawda, pomyślał Hood. To ważna informacja. Centuriańskie służby śledcze będą teraz przez dłuższy czas zajęte. A to dobra wiadomość dla wszystkich, łącznie z jego agencją i jej ambitnym planem odbudowy.

Gdyby nie ten Benny Cemoli, doszedł do wniosku Hood, musielibyśmy wymyślić kogoś takiego. Dziwny pomysł... Ciekawe, jakim cudem przy' szedł mu do głowy. Po raz kolejny spojrzął na zdjęcie. Próbował wyczytać z niego jak najwięcej. Jaki głos miał Cemoli? Czy zdobył władzę dzięki swoim porywającym przemówieniom, jak inni demagodzy przed nim? Czy coś pisał? Może kiedyś znajdą jakieś wskazówki. A może nawet nagrania jego przemówień. Kto wie, czy gdzieś nie zachowały się jakieś taśmy wideo. Prędzej czy później wszystko się znajdzie. To tylko kwestia czasu. I wtedy sami będą się mogli przekonać, jak żyło się w cieniu tego człowieka. Zadzwoił telefon. Hood natychmiast podniósł słuchawkę.

— Mamy tu tego Greka — powiedział Dietrich. — Nafaszerowaliśmy go prochami i powiedział nam co nieco. Jest pan zainteresowany?

— Słucham.

— Mówi, że działa w Ruchu od siedemnastu lat. To weteran. Spotykali się dwa razy w tygodniu na zapleczu jego sklepu. Wtedy, na początku, Ruch był słaby i należała do niego tylko garstka zwolenników. To zdjęcie, które pan ma... Nie widziałem go oczywiście, ale Stravos... tak nazywa się nasz grecki przyjaciel... opowiedział mi o nim. Jest niezbyt aktualne. Od tamtej pory w obiegu pojawiło się już kilka nowszych, ale Stravos zatrzymał je przez sentyment dla starych czasów. Później, gdy Ruch rósł w siłę, Cemoli przestał pokazywać się na zebraniach w sklepie i Grek stracił z nim kontakt. Przez cały czas sumiennie płacił składki, ale nie miał już w organizacji nic do powiedzenia.

— A co z wojną?

— Na krótko przed Katakлизmem Cemoli przeprowadził pucz i zdobył władzę w Stanach Zjednoczonych. W czasach kryzysu ekonomicznego poprowadził marsz na Nowy Jork. Miliony ludzi były bez pracy, a on dawał im wsparcie. Starał się rozwiązać część problemów gospodarczych przez prowadzenie agresywnej polityki zagranicznej. Zaatakował kilka republik w Ameryce Łacińskiej, tych, które były w chińskiej strefie wpływów. To by był chyba pretekst do wojny... ale Stravos sam się płacze. Nie orientował się najlepiej w sytuacji międzynarodowej. Więcej dowiemy się pewnie od innych zwolenników Ruchu. Poza tym Grek jest już po siedemdziesiątce.

— Chyba go nie oskarżycie, co? — spytał Hood.

— Ależ skąd! To tylko nasze źródło informacji. Gdy powie nam już wszystko, pozwolimy mu wrócić do sklepu. Jest niegroźny.

— Czy Cemoli przeżył wojnę?

— Tak. Ale to było dziesięć lat temu. Stravos nie wie, czy Cemoli jeszcze żyje. Moim zdaniem, tak. I będziemy kierować się tym przekonaniem do momentu, aż nie udowodnimy, że jest inaczej. Nie mamy wyjścia.

Hood podziękował za te informacje i odłożył słuchawkę.

Nagle pod podłogą usłyszał głuchy łoskot. Gazeta znów się przebudziła.

— Kolejne wydanie specjalne — stwierdziła Joan, zerkając na zegarek. — Dość ekscytujące, że dzieje się to w ten sposób. Nie mogę się doczekać następnego numeru.

Co Benny Cemoli porabiał ostatnio? — zastanawiał się Hood. Wydarzenia z jego życia, które podawał obecnie „Times”, miały miejsce już wiele lat temu. Kolejne wydanie specjalne musiało być poświęcone czemuś dramatycznemu. Ciekawe. „Times” dobrze wie, co warto drukować.

On też czekał niecierpliwie.

W centrum Oklahoma City John LeConte wrzucił monetę i po chwili ze szczeliny wysunął się najnowszy numer „Timesa”, który dopiero niedawno otworzył tu swój automatyczny kiosk. LeConte wziął gazetę, przeczytał nagłówek i pobieżnie przejrzał co ważniejsze informacje. Potem podszedł do krawężnika i wsiadł do limuzyny.

— Mam tu pierwotną wersję, jeśli chce pan porównać słowo w słowo — powiedział powściągliwie Fali, podając mu teczkę z papierami.

Samochód ruszył. Szofer sam wiedział, gdzie ma jechać. Zmierzali wprost do siedziby Partii. LeConte oparł się wygodnie i zapalił cygaro. Na kolanach trzymał gazetę, która zaskakiwała dziś takim nagłówkiem:

CEMOLI WCHODZI W KOALICJĘ Z RADĄ ONZ CHWILOWE ZAWIESZENIE BRONI

— Poproszę o telefon. — Zwrócił się do swojego sekretarza LeConte.

— Oczywiście, proszę pana — Fali podał mu przenośny aparat. — Ale już dojeżdżamy. Pozwolę sobie zauważyć... nigdy nie można wykluczyć, że linia jest na podsłuchu.

— Mają teraz dość roboty w Nowym Jorku — mruknął LeConte. — Cały ten bajzel. — Na terenie, który nigdy, od kiedy pamiętam, nie odgrywał żadnej roli, pomyślał. Ale nie należało ignorować rady pana Falla. Postanowił nie dzwonić. — Co pan myśli o tym najnowszym artykule? — zapytał asystenta, pokazując mu gazetę.

— Świetny — zapewnił Fali, kiwając głową.

LeConte otworzył walizkę i wyjął zniszczony podręcznik szkolny bez okładki. Wykonano go dopiero godzinę temu — kolejny przedmiot, który mieli znaleźć intruzi z Proximy. Ta książka to był jego pomysł. Napawało go to dumą. Podręcznik opisywał w najdrobniejszych szczegółach plan przemian społecznych Cemoliego. Innymi słowy, był to obraz rewolucji napisany takim językiem, by mogło go zrozumieć dziecko.

— Jeśli wolno spytać — zaczął Fali — ciekaw jestem, czy Partia przewiduje, że kiedyś pozwoli im znaleźć ciało?

— Kiedyś na pewno — stwierdził LeConte. — Ale to dopiero za kilka miesięcy. — Wyjął z kieszeni płaszcz ołówki i niezadarnym dziecięcym pismem nagryzmolił:

CEMOLI DO DOMU

A może przedobrzyłem? Chyba jednak nie, pomyślał. Przecież musieli być też ci niezadowoleni. A już na pewno wśród spontanicznie reagujących uczniów. I dlatego poniżej dopisał:

GDZIE NASZE POMARAŃCZE?

Pan Fali zajrzał mu przez ramię:

— Co to znaczy?

— Cemoli obiecał dzieciom pomarańcze — wyjaśnił LeConte. — Kolejna pusta obietnica, której rewolucja nigdy nie spełniła. To pomysł Stravosa... W końcu prowadzi sklep z warzywami i owocami. Taki mały dodatek. — A jakże wzmacnia, pomyślał, złudzenie autentyczności. Diabeł zawsze tkwi w szczegółach.

— Byłem wczoraj w siedzibie Partii i słyszałem nową taśmę, którą spreparowali — opowiadał Fali. — Cemoli przemawia na zgromadzeniu ONZ. Coś niesamowitego. Gdybym nie wiedział...

— Kogo zatrudnili do tej roboty? — zainteresował się LeConte. Zastanawiał się, dlaczego go przy tym nie było.

— Jakiegoś wodzireja z nocnego klubu w Oklahomie. Oczywiście, mało znany. Zdaje się, że specjalizuje się w naśladowaniu innych. Nadał tej postaci groźny, patetyczny charakter... I przyznaję, że mi się podobało.

A tymczasem, pomyślał LeConte, nie ma żadnych powojennych procesów. My na Ziemi i na Marsie, liderzy z czasów wojny, zajmujący wtedy odpowiedzialne stanowiska... jesteśmy bezpieczni. Przynajmniej na razie. A może i już do końca naszych dni. Jeśli nasza strategia się sprawdzi i jeśli tamci nie odkryją tunelu do komputronu, który kopaliśmy przez pięć lat. Albo jeśli tunel sam się nie zawali.

Samochód zaparkował na zarezerwowanym miejscu przed gmachem Partii. Szofer wysiadł, by otworzyć drzwi. LeConte wyszedł bez pośpiechu. Pokazał się w świetle dnia. Nie bał się niczego. Wrzucił cygaro do rynsztoka, wolnym krokiem przeszedł przez chodnik i zniknął wewnątrz dobrze sobie znanego budynku.

WYSTĘP

Mimo później pory w olbrzymim apartamentowcu imienia Abrahama Lincolna wciąż paliły się światła, bo była to noc Zaduszek. Mieszkańcy bloku, blisko sześćset osób, zgodnie z obowiązującym prawem zgromadzili się w podziemnej sali obrad. Ustawieni rzędami, wchodzili pojedynczo — mężczyźni, kobiety i dzieci. Przy wejściu sprawdzał ich Bruce Corley. Używał do tego specjalnego czytnika nowej generacji. Dzięki temu miał pewność, że na zebranie nie wśliznie się nikt z zewnątrz, na przykład z innego apartamentowca. Mieszkańcy cierpliwie znosili kontrolę i wszystko szło wyjątkowo sprawnie.

— Bruce, bardzo nas to opóźni? — spytał Joe Purd, najstarszy lokator wieżowca. W 1980 roku, dokładnie w dniu, w którym oddano budynek do użytku, wprowadził się tu z żoną i dwójką dzieci. Teraz mieszkał sam. Żona nie żyła, a dzieci wyprowadziły się i pozakładały własne rodziny.

— Trochę — odpowiedział Bruce. — Ale za to mamy gwarancję. To urządzenie jest nieomyłne. — Dotychczas wpuszczał ludzi oceniając na oko, czy ich poznaje i czy rzeczywiście są mieszkańcami tego budynku. Niestety, ostatnio zdarzyło mu się wpuścić dwóch drani z Rewiru Red Robin Hill, którzy swoimi pytaniami i komentarzami popsuli zgromadzenie. Więcej coś takiego się nie zdarzy.

Rozdając kopie planu zebrania, pani Wells uśmiechała się i powtarzała:

— Punkt 3 A, fundusz na remont dachu, został przeniesiony do punktu 4 A. Proszę to zaznaczyć. — Lokatorzy brali plan i rozchodzili się, dzieląc na dwa obozy. Z prawej strony siadali zwolennicy frakcji liberalnej, z lewej — konserwatywnej. Każde z ugrupowań ostentacyjnie ignorowało obecność przeciwnej opcji. Kilka osób — głównie nowych mieszkańców i dziwaków — ulokowało się na tyłach auli. Zażenowani i milczący, wsłuchiwali się w gwar panujący na sali. I choć na razie panował względny spokój, uczestnicy zebrania mieli świadomość, że dziś może dojść do zaciętego sporu. Obie strony zdawały się na to przygotowane. Podawano sobie jakieś dokumenty i petycje, wymieniano się wycinkami z gazet.

Na podwyższeniu zasiadł przewodniczący Donald Klugman wraz z czterema pozostałymi członkami zarządu. Czuł się nieszczególnie. Z natury był człowiekiem spokojnym i nie nadawał się do rozstrzygania zażartych sporów — Zwykle już sama obecność wśród zgromadzonych kosztowała go wiele nerwów. I pomyśleć, że właśnie dzisiaj musiał aktywnie uczestniczyć w zebraniu. Że właśnie dzisiaj przypadła mu funkcja przewodniczącego — akurat w dniu, w którym wprowadzono do porządku obrad sporny temat szkoły.

Aula zapełniła się już prawie cała. Kapelan, Patrick Doyle, ubrany w białą komżę, wstał i uniósł ręce, uciszając zebranych.

— Zaczniemy od modlitwy — powiedział z ponurą miną, odchrząknął i wyciągnął niedużą kartkę. — Proszę teraz wszystkich zebranych, by zamknęli oczy i pochyłili głowy. — Ojcze nasz — zaczął — my, mieszkańcy apartamentowca imienia Abrahama Lincolna, błagamy Cię, pobłogosław to zgromadzenie. Eee... Prosimy Cię, byś w Twojej łaskawości pozwolił nam dziś zebrać pieniądze na naprawę dachu. Błagamy Cię, by nasi chorzy ozdrowieli, a bezrobotni znaleźli zatrudnienie. Natchnij nas mądrością, abyśmy wybierając tych, którzy mają z nami tutaj w przyszłości zamieszkać, przyjęli tylko najlepsze kandydatury. Prosimy Cię również, Boże, zachowaj wszelkich obcych z dala od tego budynku, aby nie zakłócili naszego spokoju. Przede wszystkim jednak, Panie Wszechmogący, uwolnij Nicole Thibodeaux od zatokowych bólów głowy, przez które nie występowała ostatnio w telewizji, i spraw, by okazało się, że bóle te nie

mają nic wspólnego z wypadkiem, który przytrafił jej się dwa lata temu. Amen.

— Amen — odpowiedzieli zgodnym chórem zebrani. Klugman wstał w tym samym momencie.

— Zanim zajmemy się nurtującymi naszą małą społeczność problemami — powiedział — zapraszam was, drodzy zebrani, do obejrzenia części artystycznej. Na początek wystąpią trzy siostry Fettersmoller z mieszkania 205. Zaprezentują układ taneczny do melodii *I'll Build a Stairway to Stars*.

Na scenie pojawiły się trzy jasnowłose dziewczynki. Publiczność знаła je dobrze z wielu poprzednich występów.

Dziewczęta, ubrane w pasiaste spodnie i lśniące srebrne żakiety, zaczęły już występ, gdy drzwi otworzyły się i stanął w nich spóźniony Edgar Stone.

Nie zdążył na czas, ponieważ sprawdzał test swego sąsiada z naprzeciwka, pana Iana Duncana. Wchodząc do sali, wciąż miał przed oczami ten test, w którym Duncan wypadł wyjątkowo słabo. Nawet bez sprawdzenia do końca pracy sąsiada Stone wiedział, że ocena będzie negatywna.

Tymczasem na scenie dziewczynki śpiewały coś zachrypniętymi głosami i Stone zaczął się poważnie zastanawiać, po co tu w ogóle przyszedł. Jedyne rozsądne powody, jakie mu się nasuwały, to grzywna, którą musiałby zapłacić za opuszczenie zebrania. Zgromadzenia zawsze były obowiązkowe. Mierzył go poziom tych amatorskich występów. Pamiętał jeszcze stare czasy telewizji, gdy puszczała naprawdę dobre programy rozrywkowe. Występowali w nich zawodowcy. A dziś... Wszyscy artyści z prawdziwego zdarzenia byli związani kontraktami z Białym Domem, a telewizja zrobiła się nieznosnie edukacyjna i całkiem nierozrywkowa. Stone przypomniał sobie sceny z komedii z Jackiem Lemmonem czy Shirley MacLaine, które niegdyś nadawano wieczorami. Spojrzał na wygibasy trzech złotowłosych dziewczątek i jęknął z rezygnacją.

Corley usłyszał to i posłał mu surowe spojrzenie.

Przynajmniej udało się opuścić modlitwę, pomyślał Stone. Pokazał swój identyfikator nowej maszynie Corleya i został wpuszczony do środka. Zajął jedno z nielicznych pustych miejsc. Czy Nicole oglądała ten występ? Czy na sali był dzisiaj łowca talentów z Białego Domu? Rozejrzał się. Wszędzie dokoła widział same znajome twarze. Zebrani tracili czas, oglądając występ córek Fettersmollerów. Oparł się wygodnie, zamknął oczy i słuchał. To mu wystarczyło... nie był w stanie jeszcze na to patrzeć. Nigdy im się nie uda. Powinny się z tym pogodzić, one i ich rodzice. Kompletnie beztalencia... jak my wszyscy zresztą. Apartamentowiec Abrahama Lincolna miał zenująco nikły wkład w życie artystyczne kraju. I choć jego mieszkańcy bardzo się starali, raczej nie należało spodziewać się rychłej poprawy.

Kiepski występ siostr przypomniał mu o Duncanie, który dzisiaj rano, błądzący i roztrzęsiony, wręczył mu rozwiązany przez siebie test. Stone wiedział, że jeśli Duncan obleje, czekają go bardzo przykre konsekwencje. Zostanie wydalony z budynku imienia Abrahama Lincolna. Zniknie z oczu mieszkańcom i będzie musiał wrócić do dawnego, zniechęconego statusu. Znowu zamieszkać w akademiku, zmuszany do pracy fizycznej, jak wszyscy oni za młodu.

Oczywiście zwrócą mu pieniądze, które zapłacił za swoje mieszkanie, dużo pieniędzy — prawdopodobnie oszczędności całego życia. Z jednej strony Stone nawet mu zazdrościł. Co ja bym zrobił, zapytał sam siebie w myślach, gdyby wypłacili mi teraz cały wkład za mieszkanie? Może wyjechałbym gdzieś, kupił jeden z tych nielegalnie używanych statków, którymi handlują na giełdach, i...

Burza oklasków wyrwała go z zamyślenia. Sam też zaczął bić brawo. Dziewczynki skończyły występ. Na scenie stał teraz Klugman i prosił o ciszę.

— Wierzę, że podobał się państwu występ — powiedział. — To nie jedyna atrakcja tego wieczoru.

Tak, pomyślał Stone, zaczyna się. Był zdenerwowany. Należał do grupy radykałów, która opowiadała się za likwidacją szkoły podstawowej wewnątrz budynku. Dzieci, wysłane do publicznej szkoły, miałyby dzięki temu kontakt z rówieśnikami z innych apartamentowców.

Pomysł ten spotkał się z ostrym sprzeciwem, choć ostatnio przybywało coraz więcej zwolenników takiego rozwiązania. Byłoby to dla dzieci pouczające doświadczenie. Przekonałyby się, że mieszkańcy innych budynków nie różnią się od nich zbyt wiele. Bariery między lokatorami poszczególnych apartamentowców zatarłyby się stopniowo i ludzie zaczęliby się ze sobą lepiej komunikować.

Tak przynajmniej widział to Stone. Niestety, konserwatyści byli zgoła odmiennego zdania. Jeszcze na to za wcześnie, twierdzili. Dzieci klóciłyby się, który budynek jest najlepszy, a to mogłoby pogłębić rozłamy między nimi. Kiedyś na pewno uda się wcielić w życie ten plan, ale na razie jeszcze nie pora.

Narażając się na wysoką grzywnę, Ian Duncan opuścił dziś zgromadzenie i został w domu. Przeglądał rządowe publikacje o religijno-politycznej historii Stanów Zjednoczonych, tak zwane relpole. To była jego słaba strona. Z trudem udawało mu się zrozumieć niektóre czynniki ekonomiczne, nie mówiąc już o założeniach dwudziestowiecznych doktryn religijnych i politycznych. Przerastały go skomplikowane procesy, takie jak na przykład powstanie Partii Republikańsko — Demokratycznej. Najpierw były to dwa oddzielne ugrupowania, które toczyły zaciętą walkę o władzę. Połączyły się dopiero w 1985 roku i od tej pory stanowiły monolit. Rządziły wspólnie, a do nowo powstałej partii należeli wszyscy dorośli obywatele, którzy opłacali składki członkowskie i chodzili na zebrania. Co cztery lata wybierano nowego prezydenta... mężczyznę, który, jak sądzili, najbardziej spodoba się Nicole.

Miło było wiedzieć, że naród ma taką siłę i wybiera męża dla Nicole. W pewnym sensie dawało to wyborcom władzę większą nawet od tej, którą sprawowała sama Nicole. Ich ostatni wybór, ten Taufic Negal, wyraźnie nie przypadł jej do gustu. Ich związek był raczej chłodny, choć Nicole jako dama nigdy publicznie się do tego nie przyznała.

Kiedy po raz pierwszy Pierwsza Dama zyskała wyższą pozycję niż prezydent? — to było jedno z pytań w teście relpol. — Innymi słowy, kiedy społeczeństwo przeszło na matriarchat? — mruknął Duncan. Około 1990 roku. Na to pytanie znam akurat odpowiedź. Z każdym rokiem pozycja prezydenta słabła, a status Pierwszej Damy rósł w oczach wyborców. I to właśnie samo społeczeństwo czuło taką potrzebę. Czy była to potrzeba posiadania matki, żony czy kochanki, a może każdej po trochu? Tak czy owak, stało się, jak chcieli ludzie. Mieli Nicole, a ona realizowała co najmniej te trzy role.

Telewizor w rogu pokoju głośno zawył. To znak, że zaraz się zacznie Duncan westchnął głęboko, zamknął rządowe biuletyny i wlepił wzrok w ekran odbiornika. Specjalny program nadawany wprost z Białego Domu. Może znów zwiedzanie samego budynku albo szczegółowy opis nowego hobby Nicole? Czy zajęła się teraz zbieraniem porcelanowych filiżanek? Jeśli tak, to pokażą nam je wszystkie, jedna po drugiej, jak na defiladzie.

Jak zwykle, na ekranie pojawiła się najpierw nalana twarz Maxwella Jamisona, rzecznika prasowego Białego Domu. Unosząc dłoń, Jamison wy. konał znany wszystkim gest powitalny.

— Witam was, obywatele tego kraju — powiedział uroczyście. — Czy zastanawialiście się kiedyś, jak by to było móc dotrzeć na samo dno Pacyfiku? Nicole bardzo interesuje ten problem i dlatego zaprosiła dziś do siebie trzech wybitnych oceanologów. Opowiedzieli jej ciekawe historie, które i państwo zaraz usłyszają, bo nagraliśmy tę rozmowę całkiem niedawno.

Znów będę w Białym Domu, pomyślał Duncan. choć nie osobiście. My, którzy nie możemy się tam dostać, bo brak nam talentu, który zainteresowałby Pierwszą Damę, wciąż możemy zobaczyć,

jak tam jest. A wszystko dzięki telewizji.

Dziś nie miał specjalnej ochoty na oglądanie programu, ale wypadało to zrobić. Nigdy nie wiadomo. Może pod koniec dadzą jakiś quiz — niespodziankę. Dobry wynik w takim konkursie mógłby poprawić mu humor, który stracił po napisaniu kolejnego relpolu, sprawdzanego teraz przez sąsiada, pana Stone'a.

Na ekranie pojawiło się oblicze kobiety, którą wielbił cały naród... a może nawet cała planeta. Łagodne rysy, jasna cera, ciemne inteligentne oczy — mądra, choć nieco łobuzerska twarz Nicole Thibodeaux. Iana Duncana ogarnęło przerażenie. Zawiódł ją. Czuł, że jakimś cudem wiedziała o beznadziejnych wynikach jego testów i, choć nie dała tego po sobie poznać, widział, że była rozczarowana.

— Dobry wieczór — powiedziała głębokim, łagodnym głosem Nicole.

— To nie moja wina — mamrotał Duncan — po prostu nie mam głowy do tych abstrakcji. Cała ta religijno — polityczna filozofia... nic z tego nie rozumiem. Nie mógłbym się skoncentrować na zwykłej rzeczywistości? Powinienem raczej wypalać cegły albo robić buty. — Gdzieś na Marsie, na pograniczu, pomyślał. Znów schrzaniłem sprawę, oblałem test. Mam trzydzieści pięć lat i jestem skończony. Ona o tym wie. — Pozwól mi odejść, Nicole — mruknął zdesperowany. — Nie chcę już więcej testów. I tak je obleję. Nie przydam się Partii Republikańsko — Demokratycznej. Mam za słabą pamięć. Już pod koniec programu zapomnę o wszystkim, co powiedziano o oceanach.

Pomyślał o swoim bracie, Alu. Al mógł mu pomóc. Pracował dla Szalonego Luke'a w jednej z jego giełd. Sprzedawał tam stare, używane statki, na które mogli sobie pozwolić nawet biedacy. Przy odrobinie szczęścia można było takim pojazdem dolecieć nawet na Marsa. O drodze powrotnej nie było już oczywiście mowy. Al, pomyślał Ian, mógłbyś załatwić mi taki statek... po niższej cenie.

Tymczasem na ekranie Nicole mówiła właśnie o głębinach oceanów.

— To zachwycający świat, pełen świecących stworzeń, których nie da się porównać z niczym, co żyje na powierzchni. Naukowcy szacują, że w oceanach jest więcej form życia, niż...

Twąz Nicole zniknęła, a jej miejsce zajął obraz przedziwnej, groteskowej ryby. To też forma propagandy, pomyślał Duncan. Chcą odwrócić naszą uwagę od Marsa. Nie życzą sobie, żebyśmy stąd wyjeżdżali, żebyśmy opuścili partię... i ją. Ryba gapiała się na niego wylupiastymi oczami. Mimo woli zaczął się jej przyglądać. Jezu, ale dziwactwa żyją tam, pod wodą, stwierdził. Nicole, zniewoliłaś mnie. Gdyby tylko udało się wygrać, mnie i Alowi! Może byśmy teraz występowali przed tobą, co naprawdę by nas uszczęśliwiło. Prowadziłabyś wywiad ze znanymi oceanologami, a my gralibyśmy cicho gdzieś w tle *II Partię* Bacha. Ian poszedł do szafy, pochylił się i ostrożnie wyjął zawinięty w kawałek materiału przedmiot. Pamiętał, jak wielkie nadzieje pokładał za młodu w tym instrumencie. Czułym gestem odwinął materiał i wyciągnął dzban. Wziął głęboki oddech i dmuchając w otwór, wydobył kilka głuchych dźwięków. Bracia Duncan i ich jug band*. W młodości on i Al potrafili zagrać na tych nietypowych instrumentach własne aranżacje dzieł Bacha, Mozarta czy Strawińskiego. Ale ten szurzy pomiot — łowca talentów z Białego Domu — nigdy nie zorganizował dla nich prawdziwego przesłuchania. Jesse Pigg z Alabamy, inny słynny muzyk grający na improwizowanych instrumentach, dostał się do Białego Domu i oczarował całą rodzinę Thibodeaux swoją interpretacją ballad folkowych *Derby Rum* i *John Henry*.

— Ale my — powiedział mu kiedyś Duncan — gramy klasykę, późne sonaty Beethovena.

— Odezwiemy się do was — obiecał łowca talentów. — Jeśli wasz repertuar zainteresuje

* Jug band — grupa muzyków, którzy grają na nietypowych instrumentach. Najczęściej są to dzbany, słoje, garnki, tarki lub butelki.

Nicky.

Nicky! Duncan zbladł. Boże, być na takiej stopie z samą Nicole! On i Al, mamrocząc coś bez ładu i składu, zeszli ze sceny. Ustąpili miejsca następnym ubiegającym się o występ w Białym Domu — sforze psów, które, przebrane w stroje z czasów elżbietańskich, udawały postaci z *Hamleta*. Psy również się nie dostały, ale była to raczej wątpliwa pociecha.

— Powiedziano mi — ciągnęła dalej Nicole — że w głębi oceanu jest bardzo mało światła... Zresztą sami popatrzcie na to dziwadło... — Przez ekran przepłynęła teraz niewielka ryba, pchając przed sobą coś świecącego.

Nagle ktoś zastukał do drzwi. Duncan otworzył ze strachem. Na korytarzu stał pan Stone, jego sąsiad. Wyglądał na zdenerwowanego.

— Nie był pan na Zaduszkach? — zapytał. — Sprawdź to i wszystko się wyda. — W rękę trzymał poprawiony test Duncana.

— No i jak mi poszło? — zapytał Ian.

Stone wszedł do mieszkania i zamknął za sobą drzwi. Spojrzał na telewizor, przez chwilę śledził rozmowę Nicole z oceanologami, wreszcie powiedział zachrypniętym głosem:

— Zdał pan.

— Zdałem? — spytał zaskoczony Duncan, biorąc od niego test. Nie mógł w to uwierzyć. Przejrzał go pełen wątpliwości — i zrozumiał. Kierowany ludzkimi pobudkami, Stone sfalszował wynik i ocenił test lepiej, niż na to zasługiwał, Ian podniósł wzrok. Chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. To okropne, pomyślał Duncan. Co ja teraz zrobię? Jego własna reakcja zaskoczyła go.

Zdał sobie sprawę, że chciał oblać. Dlaczego? Żeby się stąd wydostać, żeby mieć jakąś wymówkę, zostawić to wszystko — pracę, mieszkanie — i wyjechać. Kupić jakiegoś gruchota i polecieć nim na Marsa, gdzie rozsypałby się zupełnie.

— Dzięki — powiedział ponuro.

— Kiedyś może mi się pan jakoś odwdzięczy — rzucił nerwowo Stone.

— Ależ oczywiście — przytaknął Duncan.

Stone pospiesznie opuścił mieszkanie, zostawiając go sam na sam z telewizorem, dzbanem, sfalszowanymi wynikami testu i myślami, które wirowały Duncanowi w głowie.

Al Duncan siedział w małej przybudówce na tyłach Szalonej Giełdy 3. Nogi położył na stole, palił papierosa i obserwował przechodniów, ulice i sklepy w centrum Reno w stanie Nevada. Na ulicy stały zaparkowane dość przyzwoite statki. Przymocowano do nich długie żerdzie z kolorowymi flagami i proporcami. Poniżej Al zauważył mały kształt, który czaił się pod transparentem firmy Szalony Luke.

Nie tylko on go zauważył. Po ulicy spacerowała trzyosobowa rodzina — matka, ojciec i kilkuletni syn. Nagle maluch ożywił się, zaczął podskakiwać radośnie i krzyknął:

— Tata, zobacz, co tam jest! To papula!

— O cholera — powiedział mężczyzna uśmiechając się — rzeczywiście. Patrz, Marion, tam, pod tym transparentem siedzi jedno z tych marsjańskich stworzeń. Chodź, podejźmy i pogadamy z nim. — Kobieta popatrzyła na papulę, ale nawet się nie zatrzymała.

— Mamo, proszę! — nie rezygnował malec.

Al Duncan przycisnął guzik mechanizmu sterowania ukrytego pod koszulą — Papula wychyliła się spod transparentu i Al nakazał jej ruszyć za kobietą. Stworek przebiegał szybko sześcioma krótkimi nóżkami. Bezsensowny kapelusik zsunął mu się z jednej czułki, a rozbiegane oczka szukały matki chłopca. Mechanizm tropizmowy zadziałał i papula, ku uciesze chłopca i jego ojca, ruszyła za odchodzącą kobietą.

— Tata, patrz! Ono idzie za mamą! Mamo, odwróć się!

Kobieta spojrzała za siebie, zobaczyła przypominające półmisek stworzenie o niezdarnym pomarańczowym ciele i parsknęła śmiechem.

— Przyjrzyjcie się śmiesznej papuli. Powiedz coś. papula, powiedz miłej pani dzień dobry — pomyślał Al.

Skierowane do kobiety myśli, które wysyłała papula, dotarły też do Ala. Stworek witał się z nią, mówił, jak cieszy się ze spotkania. Kusił ją, aż zawróciła i stanęła obok męża i syna. Teraz cała trójka odbierała wiadomości od sympatycznej istoty z Marsa, która przybyła na Ziemię w pokojowych zamiarach. Papula uwielbiała ich, tak jak oni ją. Przekazała im to w formie ciepłej i kojącej. Przełatała na nich całą sympatię, do jakiej przywykła na swojej planecie.

Jakim wspaniałym miejscem musi być Mars — bez wątpienia wyobrażali sobie teraz małżonkowie, słuchając w myślach relacji papuli. Życie nie jest tam tak okrutne i chore jak na Ziemi. Nikt nikogo nie szpieguje, nie każe rozwiązywać politycznych testów, nie zakłada teczek w służbach bezpieczeństwa. — Pomyślcie o tym — mówiła im w myśłomowie papula, a oni stali jakby przyrośnięci do chodnika. — Tam każdy jest panem swego losu, można uprawiać ziemię, wierzyć w co się chce, być sobą. Spójrzcie na siebie — boicie się nawet stać tu i słuchać tych opowieści. Boicie się...

— Lepiej już chodźmy — powiedział zdenerwowany mężczyzna.

— Och, nie — prosił malec — jak często mamy okazję spotkać papulę? Pewnie jej właścicielami są ci sprzedawcy statków. — Chłopiec wskazał biuro firmy Szalony Luke i nagle wszyscy spojrzeli na Ala.

— Jasne — powiedział ojciec. — To taki chwyt reklamowy, który właśnie zaczął działać. Zmiękcza nas, żebyśmy w końcu coś kupili. — Nie patrzył już teraz z sympatią na papulę. — Kieruje tym pewnie ten facet.

Wszystko, co wam powiedziałam — papula wysłała kolejny impuls — to prawda. I nie chodzi tylko o złapanie klientów. Możecie się sami przekonać, jak cudownie jest na Marsie. Polećcie tam... jeśli oczywiście macie dość odwagi. Kupcie u Szalonego Luke'a jeden z używanych statków, póki jeszcze można. Może któregoś dnia prawo się zmieni i nie będzie wolno ich sprzedawać. Znikną wszystkie giełdy. Bezpowrotnie stracie jedyną szansę na wyrwanie się z tego despotycznego społeczeństwa.

Al zwiększył teraz siłę impulsów wysyłanych przez papulę. Starał się omamić mężczyznę. Musisz kupić któryś ze statków — nalegała papula. Proponujemy uproszczoną formę zapłaty, korzystny system ratalny, gwarancję, a w ofercie mamy wiele różnych modeli.

Mężczyzna zrobił krok w stronę giełdy. Pospiesz się — wmawiała mu papula — w każdej chwili władze mogą zamknąć zakład i wtedy bezpowrotnie stracisz szansę.

— Tak to działa — powiedział z trudem mężczyzna. — Ten stwór zwabia tu ludzi. To hipnoza. Musimy już iść. — Ale dalej stał w miejscu. Za późno, teraz już musiał kupić jeden ze statków, a Al przyciągał go coraz bliżej giełdy.

Nadszedł czas, by dobić targu, pomyślał Al. Nie spiesząc się wstał, wyłączył papulę, otworzył drzwi od biura, wyszedł na zewnątrz i... między stojącymi w rzędach pojazdami zobaczył znajomą postać. Szła wprost na niego. To jego brat, Ian. Nie widzieli się od lat. Czego chciał, po co zjawił się tak nagle? Nie mógł z tym chwilę zaczekać?

— Al — rzucił Ian, machając mu na przywitanie — możemy pogadać? Masz chyba chwilę, co? — Zbliżył się do brata, blady i roztrzęsiony. Gdy widzieli się ostatnim razem, wyglądał o wiele lepiej.

— Posłuchaj... — Ale było już za późno. Klienci wyrwali się spod uroku papuli i odchodzili szybko w dół ulicy.

— Nie chciałem ci przeszkadzać — wymamrotał Ian.

— Nie przeszkadzasz — powiedział ponuro Al, patrząc na znikającą za rogiem rodziną. — Co się stało? Nie wyglądasz najlepiej. Jesteś chory? Wejdz do biura — dodał, puszczając brata przodem.

— Wyciągnąłem swój dzban. Pamiętasz, jak próbowaliśmy dostać się do Białego Domu? — spytał Ian, gdy byli już w środku. — Al, musimy spróbować jeszcze raz. Jak Boga kocham, nie daję już sobie rady. Mam dość bycia nikim. Przecież powiedzieliśmy sobie kiedyś, że to będzie najważniejsza rzecz w naszym życiu. — Drżącą ręką otarł pot z czoła.

— Ja już nawet nie mam swojego dzbana — przyznał się po chwili Al.

— Musisz go gdzieś mieć. A nawet jeśli nie, to możemy podzielić się moim, nagrać osobno nasze części, potem przegrać je na taśmę jako całość i zaprezentować ten materiał w Białym Domu. Dłużej już tego nie wytrzymam. Czuję się jak w pułapce. Zacznę grać albo zwariuję. Gdybyśmy od zaraz zaczęli ćwiczyć *Wariacje Goldbergowskie*, to za dwa miesiące...

— Cały czas mieszkasz w tym wieżowcu... Abrahama Lincolna? — przerwał mu Al. Ian przytaknął.

— I cały czas pracujesz w Pało Alto jako kontroler sprzętu? — Nie mógł pojąć, czemu brat jest taki przygnębiony. — Kiedy sytuacja stanie się nie do wytrzymania, zawsze możesz wyemigrować. Gra na dzbanach odpada. Nie (obiłem tego od lat. Właściwie to nie gram od czasu, gdy przestaliśmy się widywać. Poczekaj chwilę... — Wcisnął guzik w urządzeniu kontrolującym papulę i stworek posłusznie zszedł z chodnika i schował się pod transparent.

— Myślałem, że już wyginęły — powiedział Ian, zerkając na papulę.

— No i dobrze myślałeś — odparł Al. — Ale...

— To model — wyjaśnił Al — taka maskotka. Ja nią steruję. — Pokazał mu nadajnik. — Ściąga tu ludzi. Chodzą plotki, że Luke ma jeden autentyczny okaz, na podstawie którego zbudował tę podróbkę. Policja nie może się czepiać, bo oficjalnie Luke jest teraz obywatelem Marsa i wolno mu posiadać prawdziwą papulę. — Al usiadł i zapalił papierosa. — Oblej test — rzucił — to stracisz mieszkanie, odzyskasz wkład, przyniesiesz forszę do mnie, a ja załatwię ci statek, który zawiezie cię prosto na Marsa. Co ty na to?

— Już próbowałem oblać test — mruknął Ian — ale nie pozwolili mi. Sreparowali wyniki. Nie chcą, żebym wyjechał.

— Jacy „oni”?

— Facet z mieszkania naprzeciwko. Nazywa się Ed Stone. Zrobił to celowo. Widziałem, jak na mnie patrzył. Może myślał, że mi robi przysługę... Sam już nie wiem. — Rozejrzał się. — Masz fajne biuro. Spisz tu, prawda? A jak giełda się przenosi, to ty razem z nią.

— Jasne — przytaknął Al. — Zawsze musimy być gotowi do startu. Policji kilka razy prawie udało się go złapać, choć giełda rozpędzała się do szybkości orbitalnej w sześć minut. Papula wykryła obecność policjantów, ale nie na tyle wcześnie, by giełda mogła spokojnie uciec. Każda ucieczka przebiegała w pośpiechu i często gubił albo zostawiał na Ziemi część statków.

— Policja cały czas depcze ci po piętach — zdziwił się Ian — a wyglądasz, jakbyś w ogóle o to nie dbał. To chyba dzięki twojemu podejściu do życia.

— Jeśli mnie złapią — powiedział Al — Luke wpłaci kaucję i mnie wyciągnie. — Zawsze miał za sobą szefa, wpływowego i bogatego, więc czym się tu martwić? Luke był potentatem w handlu używanymi statkami i znał setki sztuczek. Klan Thibodeaux ograniczał się do umieszczania w gazetach rozmaitych artykułów, które go oczerniały. Często też dyskutowali w telewizji na temat jego prymitywizmu i miernej jakości statków, które sprzedawał. Obawiali się go trochę, to pewne.

— Zazdroszczę ci tego spokoju, zimnej krwi — powiedział Ian.

— Czy w twoim apartamentowcu nie ma kapelana? — spytał Al. — Idź ■pogadaj z nim.

— To na nic — burknął z goryczą Ian. — Kapelanem został teraz Patrick Doyle. Sam jest w

jeszcze większym dołku niż ja. Nie mówiąc już o naszym przewodniczącym, Donie Klugmanie... to dopiero strzępek nerwów. Prawdę powiedziawszy, cały nasz budynek drży w posadach z niepokoju. Może to ? powodu tych zatokowych bólów głowy, na które cierpi ostatnio Nicole.

Al spojrzał na brata i przekonał się, że Ian nie żartuje. Już jako dziecko miał obsesję Białego Domu i najwyraźniej została mu ona do dzisiaj.

— Dla twojego dobra — zdecydował Al — znajdę swój dzban i zacznę ćwiczyć. Spróbujemy jeszcze raz. Ian gapił się na niego; z wdzięczności nie mógł wydusić nawet słowa.

W części administracyjnej apartamentowca imienia Abrahama Lincolna Don Klugman i Patrick Doyle czytali podanie, które złożył pan Ian Duncan z mieszkania 304. Ian chciał wziąć udział w organizowanych dwa razy w tygodniu występach. Zależało mu, żeby jego pokaz odbył się w obecności łowcy talentów z Białego Domu. Podanie, jak stwierdził Klugman, można by właściwie załatwić od ręki, gdyby nie jeden nietypowy szczegół. Duncan prosił, żeby pozwolono mu wystąpić z kimś spoza apartamentowca.

— To jego brat — wyjaśnił Doyle. — Opowiadał mi kiedyś o nim. Przed laty to był ich popisowy numer. Muzyka barokowa na dwa dzbany. Coś nowatorskiego.

— W którym wieżowcu mieszka jego brat? — zapytał Klugman. To, czy Duncan uzyska zgodę, zależało od stosunków, jakie łączyły apartamentowiec Lincolna z tym drugim.

— W żadnym. Sprzedaje te gruchoty dla Szalonego Luke'a... no wiesz. Te tanie stateczki, które nie doleczą dalej jak na Marsa. Z tego, co wiem, mieszka na jednej z latających giełd. Taki koczowniczy tryb życia. Musiałeś o nich słyszeć.

— Tak, słyszałem — przytaknął Klugman. — W takim razie rzecz jest wykluczona. Nie możemy wpuścić na scenę faceta, który bierze w tym udział. Nie widzę powodów, dla których Ian Duncan nie mógłby wystąpić sam. Jestem przekonany, że to może być udany pokaz, ale w naszych przedstawieniach nigdy nie występowali obcy. Zgodnie z tradycją biorą w nich udział tylko mieszkańcy naszego apartamentowca. To nie podlega dyskusji. — Rzucił kapelanowi krytyczne spojrzenie.

— No dobrze — zauważył Doyle — ale to krewny jednego z lokatorów — Mieszkańcom wieżowca wolno zapraszać krewnych, żeby obejrzeni występy... więc dlaczego tacy goście nie mogliby również brać w nich udziału? To dla Iana bardzo ważne. Wiesz, że ostatnio mu nie szło. Nie jest zbyt inteligentny. Po prawdzie, nadaje się chyba najlepiej do pracy fizycznej. Ale jeśli ma talent, jeśli rzeczywiście potrafi grać na...

Przeglądając dokumenty, Klugman stwierdził, że łowca talentów odwiedzi ich apartamentowiec za dwa tygodnie. Na ten wieczór zaplanowano oczy — wiście same dobre występy... Bracia Duncan i ich barokowy jug band musieliby zaprezentować się najlepiej, a to było mało prawdopodobne. Skoro do grania używali zwykłych dzbanów...

— Dobrze — powiedział — zgadzam się.

— Bardzo szlachetny gest — z rozrzewnieniem zauważył Doyle. — Myślę, że będziemy się dobrze bawić, słuchając Bacha i Vivaldiego w nowatorskim wykonaniu Braci Duncan.

Klugman skrzywił się, ale przytaknął.

— Zabierasz ją ze sobą? — zapytał Ian. Stali przed wejściem do sali koncertowej na pierwszym piętrze apartamentowca Abrahama Lincolna.

— Nic nie rozumiesz — mruknął Al, wskazując na papulę, która posłusznie za nim człapała. — Chyba chcemy wygrać, co?

— Ale nie w ten sposób — odpowiedział po chwili namysłu Ian. Wiedział, co zamierza brat. Papula miała wpłynąć na widownięć tak, jak działała na klientów przed giełdą. Opanowałyby

podświadomość widzów i narzuciła korzystny dla braci werdykt. To tyle, jeśli chodzi o etykę sprzedawcy, pomyślał. Al nie widział w tym nic złego. Jeśli nie mogli wygrać muzyką, zrobi to za nich papuła.

— A ty co? — zapytał Al. — Po czyjej jesteś stronie? Nie robimy nic złego. To stara sztuczka handlowców. Ci z góry używają takich trików od stuleci... to stara i sprawdzona metoda manipulowania opinią publiczną. Zastanów się, nie graliśmy od lat. — Dotknął ukrytego przy pasie urządzenia sterującego i papuła przyspieszyła, by ich dogonić. Al nie zrobił jednak tego tylko po to, żeby ponaglić stworzonko...

A dlaczego by nie? — ta myśl nieoczekiwanie pojawiła się w głowie lana. W końcu wszyscy tak postępują.

— Powiedz jej, żeby mi dała spokój — powiedział z trudem.

Al wzruszył ramionami i nieznośna myśl zniknęła równie nagle, jak się pojawiła. Ale ziarno zostało zasiane, Ian nie był już tak zdecydowanie przeciwny temu pomysłowi.

Al zauważył to i poszedł za ciosem.

— To i tak nic w porównaniu z tym, czym dysponuje Nicole. Jedna papuła tu czy tam... co za różnica? Prawdziwe zagrożenie to telewizja. Potężne narzędzie perswazji. Papuła działa prymitywnie. Od razu wyczujesz, że cię napuszcza. Z telewizją jest inaczej. Trudno to wyczuć, szczególnie gdy przemawia do ciebie Nicole. A jednak presja jest, niewidzialna i skuteczna...

— Nie znam się na tym. Wiem jedno: jeśli nam się nie uda, jeśli nie dostaniemy się do Białego Domu, moje życie straci sens. I wiem, że nikt nie wbił mi tego do głowy. To ja sam tak czuję. To mój pomysł, do cholery. — Otworzył drzwi do auli i puścił Ała przodem. Po chwili obaj znaleźli się na scenie przed częściowo wypełnioną widownią.

— Widziałeś ją kiedyś? — spytał Al.

— Codziennie ją oglądam.

— Ale na żywo... czy widziałeś ją kiedyś na żywo?

— A niby gdzie? — mruknął Ian. Przecież po to właśnie startowali do Białego Domu. Żeby zobaczyć ją naprawdę. Żeby nie była już tylko postacią z telewizji, fantazją... Żeby stała się prawdziwa.

— Ja ją widziałem. Raz — powiedział Al. — Właśnie wylądowałem Szalo — nąGiełdą3 na głównej ulicy handlowej w Shreveport. Było wcześniej rano, tak koło ósmej. Zobaczyłem oznakowane auta. Z początku pomyślałem, że to gliny, i już chciałem startować. Ale się myliłem. Cały sznur rządowych aut z Nicole w środku. Jechała na uroczyste otwarcie jakiegoś apartamentowca, największego ze wszystkich, jakie kiedykolwiek zbudowano.

— To budynek imienia Paula Bunyana*. Drużyna futbolowa z wieżowca Abrahama Lincolna grała z nimi co roku mecz towarzyski i zawsze dostawała baty. Budynek Bunyana ma ponad dziesięć tysięcy mieszkańców. Wszyscy wywodzą się z administracji. To ekskluzywny apartamentowiec dla najbliższych współpracowników Partii. Czynsz jest tam horrendalnie wysoki.

— Ty wiesz lepiej — z namysłem powiedział Al. Usiadł przed widownią, trzymając na kolanach dzban. Szturchnął papulę czubkiem buta. Stworek zajął miejsce za jego krzesłem. — Oj tak — mruknął — spodobałaby ci się. To nie to samo co w telewizji. Zupełnie nie to samo. Ian pokiwał głową. Był coraz bardziej zdenerwowany. Za kilka minut zaczynali swój występ. Nadszedł czas próby.

Al widział, jak nerwowo brat ściska swój dzban.

— Słuchaj, to mam w końcu użyć papuli czy nie? — rzucił, unosząc pytająco brew.

* Legendarna postać w kulturze amerykańskiego pogranicza, drwal-olbrzym, bohater licznych przygód i opowieści (przyp. tłum.).

— Tak — burknął Ian.

— Świetnie — odparł Al, wkładając rękę za pazuchę. Nie spiesząc się, ustawił odpowiednio wszystkie pokrętła. Papula wyszła zza jego krzesła; jej czułki drgały zabawnie, a oczy latały we wszystkie strony.

— Patrzcie — powiedział stary Joe Purd, zachwycony jak dziecko — to papula.

Jakaś kobieta wstała, by lepiej widzieć. Wszyscy uwielbiają papule, pomyślał Ian. Wygramy, i nieważne, czy potrafimy grać, czy nie. Tylko co potem? Czy spotkanie z Nicole tylko pogorszy sprawę? Przecież nie o to chodziło w tym wszystkim. Ta droga prowadzi do rozczarowania, bólu i niespełnienia.

Ale było już za późno, żeby się wycofać. Zamknięto drzwi od sali, Don Klugman wstał i poprosił o ciszę.

— Cóż, kochani — powiedział prosto w przypięty do klapy mały mikrofon — czeka nas dziś kilka atrakcji, które urozmaicą wieczór. Jak możecie państwo przeczytać w programie, pierwsi wystąpią bracia Duncan. Zagrają na dzbanach składankę utworów Bacha i Haendla. Jestem pewien, że wszyscy będziemy się świetnie bawić. — Złożył ukłon w stronę Iana i Alę, jakby chciał zapytać: „Chyba dobrze was zapowiedziałem?”

Al nie zwrócił na to nawet najmniejszej uwagi. Obserwując czujnie publiczność, pomanipulował chwilę przy nadajniku, po czym podniósł dzban, spojrzął na Iana i dał znak. Zaczęli od *Malej fugi g-moll*.

Bum, bum, bum. Bum–bum bum–bum bum de bum. De bum, de bum, de de–de bum... Al poczerwieniał na twarzy, z całych sił dmuchając w dzban.

Papula przechadzała się w poprzek sceny, aż wreszcie, wykonując serię niezdarnych ruchów, zlązła na widownię. Zaczęła działać.

Jedna z nowych wiadomości wywieszonych na tablicy informacyjnej koło bufetu wprawiła w zdumienie Edgara Stone’a. Bracia Duncan zostali wybrani przez łowcę talentów i mieli wkrótce wystąpić w Białym Domu. Stone z niedowierzaniem przeczytał ogłoszenie kilkakrotnie. Zastanawiał się, jakim cudem temu niepozornemu, znerwicowanemu facetowi udało się odnieść taki sukces.

— To jakiś kant — powiedział sam do siebie. — Taka sama historia, jak z testem relpol. Ja pomogłem mu wtedy... a teraz kto inny pomógł mu dostać się do Białego Domu.

Stone był na występie. Słyszał, jak grali, i wiedział doskonale, że nie byli dość dobrzy. Może nie najgorsi, musiał to przyznać, ale intuicja podpowiadała mu, że i tak coś się za tym kryje.

W duchu żałował teraz, że sfalszował wyniki testu. To dzięki mnie Duncan miał szansę stanąć do konkursu, pomyślał. Ta świadomość wzbudziła w nim gniew.

Nic dziwnego, że Duncan tak słabo wypadł w relpolu. Nie miał czasu się uczyć. Ćwiczył grę i nie interesowały go przyziemne zobowiązania, które Stone i inni mieszkańcy musieli wypełniać. Być artystą, pomyślał Edgar, to wygodna sprawa. Nie musisz się podporządkowywać i robisz to, na co masz ochotę.

— Oszukał mnie — mruknął pod nosem.

Wściekły, zbiegł na drugie piętro i poszedł do biura kapelana. Nacisnął dzwonek i drzwi się otworzyły. Duchowny siedział przy biurku i pracował. Wyglądał na zmęczonego.

— Eee... ojcie — powiedział Stone — chciałbym się wypowiedzieć. Czy może mi ojciec poświęcić chwilkę? To dla mnie bardzo ważne.

Patrick Doyle skinął głową i potarł czoło.

— Jezu — mruknął — jak nie urok, to... przemarsz wojsk. Już dziesięciu chciało dziś skorzystać ze spowiednika. Ale proszę bardzo — wskazał na wnękę obok biurka — niech pan siada

i się podłączy. Wysłucham, jak skończę wypełniać te druki 4–10 dla Boise.

Targany słusznym w swoim mniemaniu gniewem, Edgar Stone drżącymi rękami przyczepił sobie elektrody w odpowiednich miejscach głowy, wziął mikrofon i zaczął mówić. Szpule z taśmą natychmiast się uruchomiły.

— Dałem się nabrać i powodowany niesłuszną litością naruszyłem zasady obowiązujące w naszym apartamentowcu. Jednak najbardziej martwi mnie nie sam czyn, lecz pobudki, które mną kierowały. Zrobiłem to, bo pomyliłem się co do jednego z naszych lokatorów. Człowiek, o którym mówię, pan Ian Duncan, wypadł w poprzednim teście bardzo słabo. Wiedziałem, że jeśli nie zaliczy kolejnego, zostanie wysiedlony z naszego apartamentowca. Identyfikowałem się z nim, bo sam uważam siebie za życiowego nieudacznika. To dlatego sfalszowałem wyniki testu, który napisał. Naturalnie, trzeba dopilnować, żeby jeszcze raz podszedł do relpolu, tym razem uczciwie. — Spojrzał na kapelana, ale ten zdawał się nie słuchać.

To załatwi sprawę Duncana i jego jug bandu, pomyślał Stone.

Spowiednik skończył już analizować jego wypowiedź i drukował teraz kartę z wynikami. Doyle wstał ociężale, żeby ją obejrzeć. Przeczytał dokładnie treść i spojrzał na Edgara.

— Panie Stone, to nie była szczerza spowiedź. Niech pan zacznie jeszcze raz. Proszę mówić szczerze. Radziłbym zacząć od przyznania się, że celowo i świadomie starał się pan wprowadzić spowiednika w błąd.

— Nieprawda — zaprzeczył bez przekonania Stone. — Może omówilibyśmy tę sprawę prywatnie? Zafalszowałem wyniki testu Iana Duncana, ale moje motywy...

— Nie jest pan przypadkiem zazdrosny — przerwał mu Doyle — że Duncan odniósł sukces? No wie pan, cała ta sprawa z Białym Domem...

Stone milczał.

— Możliwe — przyznał po chwili. — Ale to nie zmienia faktu, że Duncan mieszka tu bezprawnie. Bez względu na moje pobudki, powinno się go wysiedlić. Niech pan to sprawdzi w *Regulaminie dla Apartamentowców*. Jestem pewien, że przepisy określają wyraźnie, co należy zrobić w takiej sytuacji.

— Nie może pan teraz wyjść bez prawdziwej spowiedzi — zauważył Doyle. — Spowiednik nie pozwoli panu na to. Najwyraźniej próbuje pan poprawić sobie samopoczucie, wyrzucając sąsiada z domu. Niech pan najpierw się wypowiada, a potem możemy przedyskutować prawne konsekwencje problemu Duncana.

Stone westchnął głośno i znów założył elektrody.

— Niech będzie — mruknął. — Nienawidzę Iana Duncana, bo ma talent, którego mnie brakuje. Jestem gotów stanąć przed trybunałem lokatorskim, który orzeknie, jaką karę powinienem ponieść, ale nalegam też, by Duncan napisał po raz kolejny test relpol. Nie wycofam się z tego. On mieszka między nami bezprawnie. To niemoralne!

— No, przynajmniej teraz jest pan szczerzy — zauważył Doyle.

— Prawdę mówiąc — ciągnął Stone — dosyć podobał mi się występ Dunca — nów. Ale muszę działać w interesie naszej społeczności.

Stone odniósł wrażenie, że spowiednik parsknął drwiąco, wypluwając kolejną kartę z wynikami, ale pewnie było to tylko złudzenie.

— Pograża się pan — mruknął Doyle, czytając wynik spowiedzi. — Niech pan tylko na to spojrzysz — pokazał mu papier. — Pański umysł jest zagubiony w chaosie. Kiedy spowiadał się pan po raz ostatni?

Stone zaczerwienił się.

— Gdzieś w sierpniu — wymamrotał. — Kapelanem był wtedy Pepe Jones.

— Czeka nas sporo pracy — powiedział Doyle. Zapalił papierosa i rozparł się wygodnie w

fotelu.

Po wielu sporach i kłótniach zdecydowali, że koncert w Białym Domu zaczną od *Chaconne d-mol* Bacha. Al zawsze to lubił, mimo że był to trudny utwór — dwudźwięk i tak dalej... Już na samą myśl Ian dostawał gęsiej skórki. Żałował, że nie wybrali czegoś prostszego. Mógł namówić brata do *Suity na wiolonczelę solo nr 5*. Ale było za późno. Al wysłał już sekretarzowi Białego Domu, Haroldowi Slezakowi, program ich występu.

— Nie przejmuj się — pocieszył fana. — Ty grasz jako drugi dzban. Nie masz chyba nic przeciwko temu, żebym był pierwszy, co?

— Nie — odparł Ian. Właściwie to nawet się z tego cieszył. Al musiał zagrać o wiele trudniejszą część.

Przed budynkiem Szalonej Giełdy 3 papula patrolowała ulicę, szukając Potencjalnych klientów. Była dopiero dziesiąta rano i nie pojawił się jeszcze nikt godny uwagi. Dziś giełda wylądowała w pagórkowatej części Oakland w Kalifornii. Dookoła biegły obsadzone drzewami, kręte uliczki. Z okien giełdy Ian widział apartamentowiec imienia Joego Louisa*. Wieżowiec miał dziwny kształt, ale robił wrażenie. Mieściło się w nim tysiąc mieszkań, a jego lokatorami byli głównie dobrze sytuowani Afroamerykanie. Apartamentowiec prezentował się w porannym świetle wyjątkowo okazale. Przy drzwiach stał uzbrojony strażnik, który zatrzymywał każdego, kto nie był mieszkańcem Joego Louisa.

— Slezak musi zatwierdzić nasz program — przypomniał mu Al. — Może Nicole nie będzie chciała słuchać *Chaconne*. Ma bardzo wyrafinowany gust i często go zmienia.

Oczami wyobraźni Ian widział Nicole w swej sypialni. Upozowana na olbrzymim łóżku, w różowej narzutce z falbanami, jadła śniadanie i przeglądała program ich występu. Miała zdecydować, czy go akceptuje, Ian zdał sobie sprawę, że już wiedziała o ich istnieniu. Słyszała o nich. Dzięki temu ich życie stawało się pełniejsze i bardziej wartościowe. Teraz dopiero żyli naprawdę. Byli jak dzieci, które, robiąc cokolwiek, potrzebują zainteresowania matki. Swoim spojrzeniem Nicole mimo woli powoływała ich do życia.

Ale kiedy już przestanie na nas patrzeć... co wtedy? — pomyślał. Co stanie się z nami potem? Czy rozplyniemy się i znów popadniemy w zapomnienie? Wrócimy do formy przypadkowych, nieuformowanych atomów. Wrócimy tam, skąd przyszliśmy... do świata niebytu. Do miejsca, w którym dotąd żyliśmy.

— Poza tym — mówił dalej Al — Nicole może zażyczyć sobie bisów. Może nawet poprosić nas, żebyśmy zagrali któryś z jej ulubionych utworów. Zrobiłem mały wywiad i okazuje się, że czasem prosi o *Wesołego farmera* Schumanna. Pamiętasz to jeszcze? Lepiej poćwiczmy. Tak na wszelki wypadek. — Zagrał kilka taktów.

— Nie dam rady — powiedział nagle Ian — po prostu nie dam rady. To zbyt wiele dla mnie znaczy. Schrzaniły coś, zobaczysz. Nie spodobamy się jej i wyrzucą nas stamtąd. I do końca swoich dni będziemy musieli z tym żyć.

— Posłuchaj — przekonywał go Al — mamy papulę, to daje nam... — Urwał nagle. Wysoki, lekko przygarbiony starszy mężczyzna szedł w ich stronę po chodniku. Ubrany był w drogi, uszyty z naturalnych tkanin garnitur. — Mój Boże, to sam Luke. — Al wyglądał na wystraszonego. — Do tej pory widziałem go tylko dwa razy. Coś się musiało stać.

— Lepiej przywołaj papulę — poradził mu Ian. Jednak papula sama ruszyła w stronę Szalonego Luke'a.

Al rozpaczliwie manipulował przy nadajniku.

* Słynny czarnoskóry bokser amerykański. Debiutował w pierwszej połowie XX wieku (przyp. tłum.)

— Nie mogę. Nie reaguje — powiedział przerażony.

Papula podeszła już do Luke'a, który pochylił się i wziął ją na rękę.

— Uprzedził mnie. Ma nadajnik, który może wyłączyć mój. — Al patrzył na brata oszołomiony.

Luke wszedł do biura.

— Dostałem w wiadomość, że używasz jej poza godzinami pracy, na własny użytek — powiedział do Ala nieprzyjemnym tonem. — Wiesz, że to wbrew regułom. Papule należą do firmy, a nie do poszczególnych operatorów.

— No co ty, Luke — wymamrotał Al.

— Powiniennem cię zwolnić, ale jesteś dobrym sprzedawcą, więc tego nie zrobię — Na razie jednak będziesz musiał wyrobić normę bez pomocy papuli — oświadczył Luke. — Czas to pieniąż — dodał, zabierając stworzenie. — Muszę lecieć. — Spojrzał na dzban Ala. — I wbij sobie wreszcie do głowy, że na tym się nie gra, tylko pije się w tym piwo.

— Słuchaj, Luke, to sprawa publiczna. Grając dla Nicole, buduję też prestiż twojej firmy, rozumiesz? — powiedział Al.

— Niepotrzebny mi prestiż — odparł Luke, zatrzymując się przy drzwiach. — Nicole nie jest moją klientką. Może sobie kierować swoim społeczeństwem jak chce. a ja będę kierował moją firmą, jak mnie się podoba. Ona nie wchodzi mi w drogę, a ja jej. Taki układ mi odpowiada. Nie spieprz tego, Al. Powiedz Slezakowi, że nie możesz wystąpić, i sprawa załatwiona. Żaden normalny facet w twoim wieku nie dmucha w puste butelki.

— I tu się mylisz — wytknął mu Al. — Sztukę można odnaleźć wszędzie, nawet w tych zwyczajnych dzbanach.

— Teraz już nie możesz zmiękczyć Pierwszej Rodziny przy użyciu papuli. Lepiej to przemyśl... — powiedział Luke, dłubiąc w zębach srebrną wykałaczką. — Odważysz się na to bez niej?

— On ma rację — mruknął do Alana po chwili milczenia Al. — To dzięki papuli nam się udało. Ale... co tani, pojedziemy do Białego Domu bez niej.

— Masz jaja — stwierdził Luke — ale brak ci rozumu. Choć i tak cię podziwiam. Teraz widzę, dlaczego byłeś zawsze najlepszym sprzedawcą. Nigdy się nie poddajesz. Możesz wziąć papulę na ten wieczór, gdy będziecie występować, ale jutro rano mi ją oddasz. — Rzucił Alowi istotkę, a ten złapał ją i przytulił. — Może to i napędzi nam klientów, ale wiem jedno: Nicole nas nie lubi. Zbyt wielu ludzi uciekło przed nią, kupując od nas statki. Jesteśmy dziuraw fartuchu mamusi i mamusia odobrze tym wie. — Uśmiechnął się, pokazując złote zęby.

— Dzięki, Luke — powiedział Al.

— Ale to ja będę sterował papulą — zaznaczył tamten. — Na odległość. Jestem w tym lepszy od ciebie. W końcu to jaja zbudowałem.

— Jasne — przytaknął Al. — I tak będę miał zajęte ręce.

— To prawda — mruknął Luke. — Żeby utrzymać tę butlę, będziesz potrzebował obu rąk. Ianowi nie podobał się ton, jakim to powiedział. Co on kombinuje? Ale i tak nie mieli z bratem większego wyboru. Musieli mieć papulę po swojej stronie. A Luke z pewnością świetnie ją obsługiwał. Pokazał to już, odcinając od niej Ala. No i, jak powiedział, Al i tak będzie miał zajęte ręce.

— Panie Luke — spytał Ian — czy spotkał pan kiedyś Nicole? — To, że zadał takie pytanie, zaskoczyło nawet jego samego.

— Jasne — odparł spokojnie Luke — dawno temu. Miałem teatrzyk pacynek. Ojciec i ja podróżowaliśmy, robiąc przedstawienia, i w końcu zawędrowaliśmy do Białego Domu.

— I co się stało? — dopytywał się Ian.

Luke milczał przez chwilę.

— Nie była zachwycona — powiedział wreszcie. — Stwierdziła, że nasze pacynki są nieprzyzwoite.

I wtedy ją znienawidziłeś, pomyślał Ian. Nigdy jej tego nie darowałeś, co?

— A były? — spytał.

— Nie — odpowiedział Luke. — To prawda, w jednym akcie pokazywaliśmy striptiz, bo mieliśmy takie śmieszne kukielki — dziewczynki, ale nikt się nigdy na to nie skarżył. Ojciec się podłamał, ale ja się tym nie przejąłem. — Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji.

— Czy Nicole była już wtedy Pierwszą Damą? — spytał Al.

— No jasne — potwierdził Luke. — Jest nią od siedemdziesięciu trzech lat. Nie wiedzieliście o tym?

— To niemożliwe — powiedzieli niemal jednocześnie obaj bracia.

— Ale to prawda. To już stara kobieta. Babunia. Choć wciąż nieźle się trzyma. Sami zobaczycie.

— Ale w telewizorze... — bąknął zaskoczony Ian.

— No tak — zgodził się Luke — w telewizorze wygląda na dwadzieścia parę. Ale poszperajcie trochę w książkach do historii. Wszystko tam jest.

Fakty nie miały żadnego znaczenia, pomyślał Ian, skoro codziennie widzieli w telewizji młodą kobietę.

Łzesz, Luke, stwierdził w myślach. Wiemy o tym wszyscy. Mój brat ją widział. Powiedziałyby mi, gdyby naprawdę była stara. Nienawidzisz jej i dlatego tak mówisz.

Wstrząśnięty odwrócił się do Luke'a plecami. Nie chciał mieć więcej nic wspólnego z tym człowiekiem. Siedemdziesiąt trzy lata w Białym Domu... Bzdura. Musiałaby teraz mieć z dziewięćdziesiąt. Starał się odrzucić tę myśl, choć nie bardzo mu wychodziło.

— Powodzenia, chłopcy — powiedział Luke, żując wykałaczkę.

W nocy Ian miał okropny sen. Obłeśna stara kobieta o zzieleniałych, pomarszczonych pazurach starała się go nimi pochwycić. Wyła, domagając się czegoś od niego... Nie wiedział, o co jej chodzi, bo jej słowa zlewały się w jeden, nic nieznaczący bełkot. Wrzeszcząc coś, odsłaniała poźółkłe, połamane zęby. Z ust ciekła jej ślina. Walczył, by się uwolnić i uciec...

— Chryste Panie — dotarł do niego głos brata — obudź się wreszcie. Musimy się spieszyć. Za trzy godziny mamy być w Waszyngtonie.

Nicole... zdał sobie sprawę, wciąż półprzytomny. To ona była w tym śnie. Stara i pomarszczona. Al, to była ona.

— Dobra — wymamrotał, wstając z łóżka polowego. — Posłuchaj, Al... A jeśli ona naprawdę jest stara, jak mówi Luke? Co wtedy? Co zrobimy?

— Zagramy — odparł Al — tak jak ustaliliśmy.

— Ale ja nie dam rady — jęknął Ian. — Nie będę umiał tego zaakceptować. To chyba jakiś koszmar. Luke kontroluje papulę, a Nicole jest stara... po co ffly tam w ogóle jedziemy? Nie możemy po prostu znów zacząć oglądać telewizji? Może kiedyś zobaczymy ją, choć raz w życiu, tak jak ty, z daleka. Mnie by to w zupełności wystarczyło. Chcę zachować jej dotychczasowy obraz.

— Nie — sprzeciwił się Al. — Musimy przez to przejść. Pamiętaj, zawsze możesz wemigrować na Marsa.

Giełda była już w powietrzu. Lecieli w stronę Wschodniego Wybrzeża, do Waszyngtonu.

Gdy wylądowali, powitał ich Slezak — niski, otyły, przesympatyczny facet. Uścisnął im dłonie i ruszyli w stronę Białego Domu.

— To bardzo ambitny program — powiedział Slezak. — A jeśli naprawdę potraficie go wykonać, to ja nie mam żadnych zastrzeżeń. Rodzina i sama Nicole też zresztą nie. Ona jest nastawiona wyjątkowo entuzjastycznie do wszystkich nowatorskich odmian sztuki. Jak wynika z waszych życiorysów, wykonujecie prymitywne nagrania z dwudziestego wieku, z lat dwudziestych. Znacie więc jug bandy, które ocalały po wojnie secesyjnej. Różni was tylko repertuar. Wy nie gracie muzyki folkowej.

— Zgadza się — przytaknął Al.

— Ale moglibyście wcisnąć jeden folkowy numer, co? — zapytał Slezak, gdy mijali strażników przy bramie. Szli teraz długim korytarzem. Na ścianach paliły się lampy w kształcie świec, na podłodze leżał miękki dywan. — Sugerowalibyśmy na przykład *Rockabye My Sarah Jane*. Macie to w swoim repertuarze? Jeśli nie...

— Mamy — odparł krótko Al. — Umieścimy to gdzieś pod koniec.

— Świetnie — powiedział Slezak, przepuszczając ich przodem. — Mogę spytać, co to za stworzenie niesiesz? — Zerknął na papulę bez specjalnego entuzjazmu. — To jest żywe?

— To nasz totem — wyjaśnił Al.

— To znaczy... taki talizman? Maskotka?

— Właśnie — odpowiedział Al. — Pomaga nam pokonać tremę. — Poklepał papulę po głowie. — A poza tym bierze udział w pokazie. Tańczy w rytm naszej muzyki. No, wie pan, jak taka małpka.

— Ale numer! — Slezak wyraźnie odzyskiwał zapał. — Teraz rozumiem Nicole będzie zachwycona. Lubi takie miękkie, puszyste zwierzaki. — Otworzył im drzwi.

A tam siedziała ona.

Luke nie wie nawet, jak bardzo się pomylił, pomyślał Ian. Była piękniejsza niż w telewizji i bardziej autentyczna. To rzucało się w oczy najbardziej. Zmysły też wyczuwały to od razu. Siedziała w jasnoniebieskich, bawełnianych spodniach, mokasynach i luźno zapiętej, białej koszuli, przez którą Ian widział albo zdawało mu się, że widzi, gładką, opaloną skórę. Wyglądała tak nieoficjalnie. Bezpretensjonalna i naturalna. Włosy miała krótko przystrzyżone. Fryzura odsłaniała piękną, kształtną szyję i uszy. I była taka cholernie świeża i młoda, pomyślał. I taka pełna życia. Nie wyglądała nawet na dwadzieścia lat. W telewizji nie dało się tego zauważyć.

— Nicky, to Ian i Al — przedstawił ich Slezak. — Panowie mają swój jug band.

Odłożyła gazetę, spojrzała na nich i uśmiechnęła się.

— Jedliście już śniadanie? Jeśli nie, to proponuję kanadyjski bekon, świeże bułeczki i kawę. — Dziwne, ale jej głos wcale nie dobiegał z miejsca, w którym się znajdowała, Ian spojrzał w górę i zobaczył rząd umieszczonych pod sufitem głośników. Zrozumiał, że oddzielają od nich szyba. Takie zabezpieczenie. Poczul się trochę rozczarowany, chociaż rozumiał to. Gdyby coś jej się stało...

— Jedliśmy już, pani Thibodeaux — powiedział Al. — Dziękujemy pięknie. — On też wpatrywał się w głośniki.

Jedliśmy już, pani Thibodeaux, powtórzył w myślach Ian. A czy nie było przypadkiem odwrotnie? Czy ona, siedząc tam w niebieskich spodniach i koszuli, po prostu nie pożerała ich?

Pojawił się prezydent, Taufic Negal, szczupły, elegancki mężczyzna. Stał za Nicole, a ona spojrzała na niego i powiedziała:

— Zobacz, Taffy, mają papulę... ale pocieszna, co?

— Bardzo — przytaknął prezydent, stając obok żony.

— Chcę ją zobaczyć — powiedziała Nicole. — Wpuśćcie ją tutaj. — Dała znak i szklana bariera podjechała do góry.

Al postawił papulę na ziemi. Stworzonko podreptało do Nicole i wskoczyło jej na kolana.

— Coś takiego — powiedziała Nicole — to tylko zabawka.

— Wszystkie wyginęły — wyjaśnił Al. — O ile mi wiadomo. Ale to oryginalny model, odwzorowanie szczątków znalezionych na Marsie.

Szklany parawan znów zjechał w dół, odcinając Ala od papuli. Al stał, gapiąc się tępo. Wyglądał na zasmuconego. Odruchowo dotknął nadajnika, początkowo nic się nie stało, ale chwilę później papula ożywiła się, uwolniła z rąk Nicole i zeskoczyła na podłogę. Nicole krzyknęła zachwycona. Jej oczy płonęły.

— Jeśli ci się podoba, kochanie — powiedział prezydent — to możemy sprowadzić ci taką. Nawet parę, jeśli chcesz.

— Co ona potrafi? — zwróciła się Nicole do Ala.

— Tańczy do ich muzyki, psze pani. Ma rytm we krwi, nie mam racji, panie Duncan? — wyjaśnił gardłowym głosem Slezak. — Może by panowie coś teraz zagrali? Coś krótkiego, żeby pani Thibodeaux mogła zobaczyć? — dodał, pocierając dłonie.

Al i Ian spojrzeli na siebie. —

— Ja... jasne — mruknął Al. — Zagramy coś Schuberta. Fragment *Pstrąga*. Dobra, Ian, przygotuj się. — Zdjął pokrowiec ochronny, podniósł dzban i chwycił go trochę niezgrabnie, Ian uczynił to samo. — Jestem Al Duncan i zagram na pierwszym dzbanie — powiedział. — A obok mnie mój brat, Ian, na drugim. Zapraszamy na koncert przebojów muzyki klasycznej. Na początek Schubert. — Na sygnał dany przez Ala zaczęli grać.

Bump bump–bump BUMP BUMP buuump bump ba–bump–bump bup–bup–bup–buppppp.

Nicole chichotała.

Przepadliśmy, pomyślał Ian. Boże, stało się najgorsze. Jesteśmy żalosi. Przestał grać, jednak Al się nie poddawał. Dał w dzban ze wszystkich sił. Poczerwieniał na twarzy z wysiłku. Chyba się nie zorientował, że Nicole zakrywa dłonią usta, by ukryć śmiech. Al grał do końca.

— Ta papula — Nicole starała się mówić normalnie — w ogóle nie tańczyła. Nie ruszyła się z miejsca... dlaczego? — spytała, krztusząc się ze śmiechu.

— Nie mogę jej teraz kontrolować. Jest zdalnie sterowana — powiedział grobowym głosem Al. — Masz zacząć tańczyć — zwrócił się do papuli.

— Och, to wspaniale — powiedziała do męża Nicole. — Zobacz, musi ją błagać, żeby zatańczyła. Tańcz, czymkolwiek jesteś Tańcz, dziwny stworku z Marsa, a raczej podróbka stworka z Marsa. Tańcz — szturchnęła papulę czubkiem buta, starając się zachęcić ją do działania. — No dalej, mała, śliczniutka istotko z kabli i plastiku. Proszę.

Papula skoczyła i ugryzła ją.

Nicole krzyknęła. W tej samej chwili usłyszeli huk i stworzonko rozpadło się na kawałki. Pojawił się agent ochrony z pistoletem w ręku. Uważnie obserwował fruwające w powietrzu szczątki papuli. Na jego twarzy nie było widać żadnych emocji, ale ręce mu drżały. Al zaczął kłać, powtarzając raz po raz te same trzy czy cztery słowa.

— To robota Luke'a — powiedział do brata. — Zemścił się. Już po nas. — Był blady i przygaszony. Powoli i z namaszczeniem zaczął pakować swój dzban.

— Jesteście aresztowani — powiedział kolejny agent, wchodząc do pokoju. Stanął za ich plecami i trzymał ich na muszce.

— Wiadomo — powiedział Al, kiwając smutno głową. — Nie mamy z tym nic wspólnego, więc nas aresztujcie. — Cały dygotał.

Nicole, wsparta na ramieniu męża, podeszła do nich.

— Ugryzła mnie, bo się śmiałam? — zapytała cicho.

Slezak otarł pot z czoła. Milczał, wpatrując się w nich bezmyślnie.

— Przykro mi — powiedziała Nicole. — Rozdrażniłam ją, tak? Co za wstyd. Na pewno spodobałby się nam wasz występ.

— To wina Luke'a — wyjaśnił Al.

— Luke'a? — Przyjrzała mu się uważnie. — Szalonego Luke'a? Tego od niezupełnie legalnych giełd z używanymi statkami? Tak, pamiętam go. Jego lepiej też aresztujmy — zwróciła się do męża.

— Oczywiście, kochanie — przytaknął prezydent, zapisując coś w notatniku.

— A ten wasz cały jug band... to tylko przykrywka, co? Chcieliście nas skrzywdzić, prawda? To zbrodnia przeciwko państwu. Trzeba będzie gruntownie przemyśleć całą procedurę występów w Białym Domu. To daje możliwości wielu nieżyczliwym nam ludziom. To naprawdę okropne. — Nicole była błada i wyglądała na bardzo zmartwioną.

— Proszę mi uwierzyć, Nicole... — zaczął Al.

— Nie jestem żadną Nicole — powiedziała bez ogródek — więc proszę mnie tak nie nazywać. Nicole Thibodeaux nie żyje od wielu lat. Nazywani się Kate Rupert. Jestem jej czwartą następczynią, aktorką. Dzięki temu, że wyglądam wystarczająco podobnie, dostałam tę pracę. Co prawda czasami, gdy zdarzają się takie rzeczy, wołałabym, żebym nigdy jej nie dostała. Nie mam żadnej władzy. Rządzi jakaś rada... gdzieś tam... Nigdy nie widziałam tych ludzi. Oni już o tym wiedzą, prawda? — zapytała męża.

— Tak — potwierdził prezydent — dostali informacje.

— Widzi pan — zwróciła się Kate do Ala — nawet prezydent ma większą władzę niż ja. — Uśmiechnęła się słabo.

— Ile już było zamachów na pani życie? — zapytał Al.

— Sześć albo siedem — odparła — wszystkie dokonane przez ludzi z zaburzeniami psychicznymi. Niewyleczony kompleks Edypa czy coś w tym rodzaju. Naprawdę, nie bardzo mnie to interesowało. — Zwróciła się do męża: — Myślę, że ci dwaj... Oni chyba nie do końca wiedzą, co się dzieje. Może są niewinni. — Mówiła teraz również do agentów i Slezaka. — Czy zostaną zlikwidowani? Nie rozumiem, dlaczego nie można usunąć im tylko części pamięci i puścić wolno?

— Jeśli tak sobie życzysz... — wzruszył ramionami prezydent.

— Tak — powiedziała — właśnie tego sobie życzę. To mi ułatwi pracę. Zabierzcie ich do kliniki w Bethesda, a potem wypuśćcie. A teraz czas przygotować się do następnego występu.

Agent skinął głową i popchnął lana lufą pistoletu.

— Proszę tym korytarzem — powiedział.

— Oczywiście — wymamrotał Ian. Co się właściwie stało? — myślał. Nic z tego nie rozumiem. Ta kobieta to nie Nicole i, co gorsza, w ogóle już nie ma Nicole. Zostało tylko złudzenie, telewizyjny image, za którym kryje się grupa rządzących. Ale co to za ludzie i skąd mają władzę? Czy kiedykolwiek się tego dowiemy? Prawda ukryta pod płaszczykiem iluzji... Czy powiedzą nam wszystko? Zresztą, co by to zmieniło? Jak...

— Żegnaj — odezwał się Al.

— Co? — spytał Ian, zaszokowany. — Co ty mówisz? Przecież nas wypuszczą, prawda?

— Ale nie będziemy się pamiętać. Uwierz mi. Nie mogą pozwolić, żebyśmy pamiętali kogokolwiek lub cokolwiek z tego, co się dziś wydarzyło. — Wyciągnął rękę. — Do widzenia, Ian. Bądź co bądź dotarliśmy aż tutaj. Tego też nie będziesz pamiętać, ale to fakt, udało nam się. — Uśmiechnął się ponuro.

— Ruszać się — ponaglał agent.

Ściskając w rękach dzbany, poszli korytarzem w dół, w stronę wyjścia, gdzie czekała na nich czarna, medyczna półciężarówka.

Była już noc. Ian Duncan ocknął się na jakiejś opustoszałej ulicy, zziębnięty i zmęczony.

Światła peronu załadunkowego kolejki jednotorowej oślepiły go. Co ja tu robię? — spytał sam siebie, oszołomiony. Spojrzał na zegarek. Ósma. Powinienem być chyba na spotkaniu zaduszkowym, pomyślał zupełnie zdezorientowany. Nie mogę przepuścić dwóch pod rząd. To grozi straszną grzywną. Byłbym zrujnowany.

Zaczął iść. Przed sobą, w pewnej odległości, zobaczył znajomą sylwetkę apartamentowca Abrahama Lincolna. Rząd wież i mnóstwo okien. Ruszył biegiem. Oddychał ciężko, ale starał się utrzymać równe tempo. Pewnie już po zgromadzeniu, pomyślał. Światła w auditorium pogaszone. Jasna cholera!

— Zebranie już się skończyło? — spytał portiera, przechodząc przez recepcję i pokazując identyfikator.

— Chyba się panu pomyliło, panie Duncan — wyjaśnił portier, odkładając pistolet. — Spotkanie było wczoraj. Dziś jest piątek.

Coś tu było nie tak. Nie odpowiedział jednak nic, kiwnął tylko głową ruszył w stronę windy.

Gdy wysiadał na swoim piętrze, otworzyły się drzwi jednego z mieszkań i ktoś cicho wymówił jego nazwisko.

To był Corley. Takie spotkania były ryzykowne, więc Ian zachował ostrożność.

— O co chodzi? — zapytał.

— Słyszałem — nerwowym szeptem wyrzucił z siebie Corley — że jest jakiś problem z pana ostatnim relpelem. Podobno mają obudzić pana jutro o piątej czy szóstej rano i dać do rozwiązania kolejny. — Rozejrzał się po korytarzu. — Niech pan dokładniej przestudiuje późne lata osiemdziesiąte, a szczególnie ruchy religijno — kolektywistyczne. Zrozumiał pan?

— Jasne. Bardzo dziękuję. Może kiedyś się odwdzięczę... — urwał, bo Corley już zniknął w swoim mieszkaniu i zarygłował drzwi.

To bardzo ładnie z jego strony, stwierdził Ian. Pewnie uratował mnie przed eksmisją.

Wrócił do swojego mieszkania, obłożył się książkami o historii Stanów Zjednoczonych i zdecydował, że będzie się uczył całą noc. Musiał zdać ten test. Nie miał wyboru.

Żeby nie usnąć, włączył telewizor. Na ekranie zobaczył sympatyczną twarz Pierwszej Damy. Jej miły, kojący głos rozpląnął się po pokoju.

— ...wystąpi przed nami kwartet saksofonowy — mówiła Nicole. — Zagra Wagnera, a przede wszystkim mój ulubiony utwór, *Die Meistersinger*. Mam nadzieję, że wszystkim spodoba się ten koncert. A na jego zakończenie wraz z prezydentem przygotowaliśmy dla państwa niespodziankę. Utwory Jero — me'a Kerna i Cole'a Portera zagra znowu tak przez państwa lubiany wiolonczelista Henri LeClercq. — Uśmiechnęła się, a obłożony stertą książek Ian również odpowiedział uśmiechem.

Ciekawe, jak to jest wystąpić w Białym Domu, pomyślał. Wystąpić przed Pierwszą Damą. Szkoda, że nigdy nie nauczyłem się grać na żadnym instrumencie. Nie potrafię grać, nie umiem pisać wierszy. Nie tańczę i nie śpiewam. Nic. Pustka. Żadnych perspektyw! Gdybym pochodził z muzycznej rodziny, ojciec czy brat mogliby mnie nauczyć...

Niechętnie napisał kilka zdań o francuskiej Partii Chrześcijańsko-Faszystowskiej, która powstała w 1975 roku, i znów zapatrzył się w telewizor. Nicole demonstrowała teraz płytkę ceramiczną z Delft, którą, jak wyjaśniła, nabyła w małym sklepiku w Vermont. Ależ piękny, czysty kolor... Obserwował zafascynowany, jak jej silne, szczupłe palce pieszczą lśniąca powierzchnię pokrytego glazurą kafelka.

— Widzicie państwo — mówiła Nicole aksamitnym głosem — takie kafelki z pewnością wyglądałyby świetnie w waszej kuchni. Wspaniałe.

— Tak — przytaknął Duncan.

— Kto z was chciałby mieć takie kafelki? — zapytała. — Ręka w górę. Ian posłusznie podniósł

rękę.

— Och, jak dużo — zauważyła Nicole, prezentując jeden ze swoich czarujących uśmiechów. — Cóż, może później znów wybierzemy się na wycieczkę po Białym Domu. Co państwo na to?

— Tak, tak, koniecznie — Ian aż podskoczył z radości w fotelu. Zdawało się, że Pierwsza Dama uśmiecha się wprost do niego. On też posłał jej uśmiech, po czym z wielką niechęcią wrócił do książek, do smutnej rzeczywistości swojego codziennego, monotonnego życia. Nagle coś uderzyło w okno jego mieszkania.

— Ianie Duncan, nie mam zbyt wiele czasu — usłyszał czyjś głos.

Za oknem zobaczył wehikuł przypominający kształtem duże jajo. Unosił się w powietrzu na wysokości jego mieszkania. W środku siedział mężczyzna, który machał do niego energicznie. Jajo wydawało dziwne dźwięki. Mężczyzna kopniakiem otworzył właz i podciągnął się, wychodząc na zewnątrz.

Czy to już początek testu? Ian wstał bezradnie. Tak szybko? Jeszcze się nie przygotowałem, pomyślał.

Mężczyzna przygasił silniki, obrócił statek i skierował dysze wydechowe prosto w okno Duncan. Pokój zatrzęsł się. Wkoło fruwały papiery i kawałki plastiku. Okno wypadło z hukiem, a przez powstały otwór mężczyzna znów krzyknął na Iana, starając się wpłynąć na jego umysł.

— Ej, Duncan, rusz się! Mam już twojego brata. Leci innym statkiem. — Starszy mężczyzna w drogim, uszytym z naturalnych tkanin garniturze wyszedł z pojazdu i stanął na parapecie. — Jeśli ma nam się udać, musimy ruszać natychmiast. Nie pamiętasz mnie chłopcze, co? Al też nie. Chyle przed nimi czoło. Zrobili kawał naprawdę dobrej roboty. Ian gapił się na niego i zastanawiał, kim jest ten mężczyzna, kto to taki ten Al i co tu się właściwie dzieje.

— Psychologowie mamuśki świetnie się spisali. Na medal — mówił dalej nieznajomy — Ta Bethesda... to musi być miłe miejsce. Mam nadzieję, że nigdy mnie tam nie wyślą. — Podszedł do Iana i złapał go za ramię. — Policja zamyka wszystkie moje giełdy. Muszę zwiewać na Marsa, a ty jedziesz ze mną. Musisz się jakoś pozbierać. Nazywam się Szalony Luke... Teraz mnie nie pamiętasz, ale przypomnisz sobie, jak już będziemy na Marsie i spotkasz się z bratem. Pospiesz się. — Luke pchał go w stronę dziury po oknie i dalej, na statek... a właściwie na używany gruchot.

— Dobra, idę — powiedział Ian. Zastanawiał się, co powinien ze sobą zabrać. Co mu się przyda na Marsie? Po raz ostatni rozejrzał się po mieszkaniu. Gdzieś w oddali słyszał wycie policyjnych syren.

Luke wskoczył na statek i podał mu rękę. Ian wsiadł za nim. Na podłodze statku roilo się od pomarańczowych istot, które dreptały dookoła, kiwając pociesznie czulkami. Papule, przy pomniał sobie... albo coś takiego.

Wszystko będzie w porządku, przekazywały mu papule. Nie bój się. Szalony Luke wywiezie cię stąd na czas. Teraz się odpręż.

— Tak — powiedział Ian. Oparł się o ścianę statku i głęboko odetchnął. po raz pierwszy od wielu lat poczuł się naprawdę spokojny.

Statek wystrzelił w pustkę nocy. Mknął ku planecie, która leżała daleko stąd.

PROJEKT

I

Rano Aaron Tozzo dokładnie ogolił głowę. Cały czas miał przed oczami ten sam koszmarny obraz. Piętnastu skazańców z Obozu Nachbaren, każdy wzrostu zaledwie kilku centymetrów, pędziło w kosmos maleńkim statkiem, który rozmiarami ledwo dorównywał nadmuchanemu balonikowi. Wehikuł mknął prawie z prędkością światła, a ludzie na pokładzie nie wiedzieli i nie dbali zbytnio, co się z nimi stanie.

Aarona najbardziej przerażało w tej wizji to, że była całkiem realna. Wytarł głowę, natarł skórę olejkami i wcisnął przycisk na szyi, żeby połączyć się z centralą Biura.

— Przyznaję, że nie możemy zrobić nic, żeby ściągnąć ich z powrotem na Ziemię — powiedział — ale przynajmniej nie wysyłamy kolejnej ekipy.

Centrala zarejestrowała wiadomość i przesłała ją do jego wszystkich współpracowników. Przyznali mu rację. Słuchając ich, wkładał bluzę, buty i płaszcz. Z całą pewnością ten lot to była pomyłka. Nawet zwykli ludzie zdawali sobie z tego sprawę.

— Ale musimy kontynuować — powiedział Edwin Fermeti, przełożony Tozza, przekrzykując pozostałych. — Mamy już kolejnych ochotników.

— Także z Obozu Nachbaren? — zapytał Aaron. Więźniowie zawsze chętnie się na to zgadzali. W obozie przeżyliby najwyżej pięć, może sześć lat. A gdyby lot na Proximę zakończył się powodzeniem, obiecano im wolność. Tyle że nie wolno im było wrócić na żadną z pięciu zamieszkanym planet Układu Słonecznego.

— A co to za różnica, skąd ich wzięliśmy? — zapytał Fermeti.

— Powinniśmy raczej udoskonalić Instytut Penologii, a nie szukać drogi do innych gwiazd — zauważył. Zaświtała mu myśl, by zrezygnować z pracy i zająć się reformami.

Później, gdy siedział przy śniadaniu, żona pogłaskała go współczująco po ramieniu.

— Nie udało ci się rozwiązać problemu, co? — powiedziała.

— Nie — przyznał — i teraz nawet już mnie to nie obchodzi. — Nie powiedział jej o kolejnym statku pełnym skazańców, którego nie udało się powieła szyć. Nie mógł rozmawiać o tym z nikim spoza wydziału rządowego.

— Mogą sami tu wrócić? — spytała.

— Nie. Zmniejszono ich tutaj, w naszym systemie słonecznym. Żeby wrócić, muszą odzyskać dawny ciężar i masę. W tym cały problem. — Sączył zdenerwowany herbatę, nie zwracając uwagi na żonę. Kobiety, pomyślał. Miłe dla oka, ale niezbyt inteligentne. — To nie stanowiłoby problemu, gdyby lecieli tam i z powrotem. Ale to ma być próba skolonizowania, a nie wycieczka objazdowa, która wraca do punktu wyjścia.

— Ile czasu trzeba, żeby dolecieli do Proximy? — spytała Leonore. — W takiej zmniejszonej postaci?

— Jakies cztery lata.

— To niesamowite — przyznała, wyraźnie pod wrażeniem.

Tozzo jęknął poirytowany, odepchnął krzesło i wstał. Szkoda, że jej tam nie wysłali, pomyślał, skoro uważa to za niesamowite. Ale ona była za cwa — na, by zgłosić się na ochotnika.

— Więc miałam rację — zauważyła łagodnie. — To Biuro wysłało tam ludzi. Sam to właśnie przyznałeś.

Tozzo poczerwieniał.

— Tylko nie powtarzaj tego swoim znajomym plotkarom, bo wyleją mnie z roboty — spojrzał na nią wymownie.

Zostawił ją z tą groźbą i wyszedł do Biura.

Gdy otwierał drzwi swojego gabinetu, przywitał go Edwin Fermeti.

— Myślisz, że Donald Nils bada teraz Proximę? — zapytał. Nils był wielokrotnym zabójcą, który zgłosił się na ochotnika na jeden z lotów. — Może dźwiga teraz kostkę cukru... pięć razy większą niż on sam.

— Bardzo zabawne — mruknął ironicznie Tozzo. Fermeti wzruszył ramionami.

— Chciałem trochę poprawić ten pesymistyczny nastrój. Myślę, że wszyscy się powoli zniechęcamy. — Wszedł za Aaronem do gabinetu. — Może sami powinniśmy zgłosić się do kolejnego lotu. — Zabrzmiało to tak, jakby mówił poważnie. Tozzo rzucił mu szybkie spojrzenie. — Żartowałem — zapewnił Fermeti.

— Jeszcze jedna próba — oznajmił Tozzo — i jeśli znów się nie uda, odchodzę.

— Wiesz co — powiedział Fermeti — teraz przyjmujemy inną taktykę. — podszedł do nich współpracownik Tozza, Craig Gilly. Fermeti zwrócił się teraz do obydwoh. — Użyjemy prekognitów, żeby uzyskać formułę przywrócenia. — Oczy mu zaświeciły, gdy zobaczył ich miny.

— Ale skąd weźmiemy prekoga? — bąknął zaskoczony Gilly. — Oni wszyscy już nie żyją. Na rozkaz prezydenta unicestwiono ich dwadzieścia lat temu.

Tozzo popatrzył na Fennetiego z podziwem.

— Chcesz sprowadzić jednego z przeszłości, co, Fermeti? — powiedział.

— Właśnie — odparł przełożony. — Cofniemy się do złotego wieku prekognicji... do dwudziestego wieku.

Przez chwilę Tozzo nie wiedział, o co mu chodzi, ale potem przypomniał sobie wszystko.

W pierwszej połowie dwudziestego wieku pojawiło się tylu prekognitów — ludzi obdarzonych darem przewidywania przyszłości — że powołano do życia coś w rodzaju stowarzyszenia. Ugrupowanie miało siedziby w Los Angeles, Nowym Jorku, San Francisco i Pensylwanii. Wszyscy jego członkowie się znali i wydawali liczne czasopisma, które ukazywały się przez kilkadziesiąt lat. W tych pismach otwarcie ogłaszali, co się wydarzy w przyszłości. A jednak... ówczesne społeczeństwo zdawało się nie zwracać na nich większej uwagi.

— Krótko mówiąc — podsumował Tozzo — masz zamiar użyć jednego z wehikułów Instytutu Archeologii, znaleźć któregoś z najsłynniejszych prekognitów i przywieźć go tu z przeszłości.

— No właśnie — przyznał Fermeti. — Dostarczę go tu, żeby nam pomógł.

— Ale jak? Nie będzie przecież znał naszej przyszłości, tylko swoją, dwudziestowieczną.

— Biblioteka Kongresu udostępniła nam komplet dwudziestowiecznych prekognitywnych czasopism. — Fermeti uśmiechnął się szeroko. Najwyraźniej dobrze się bawił. — Mam nadzieję... i po cichu na to liczę... że wśród innych artykułów znajdziemy również ten, w którym opisano nasz problem. Prawdopodobieństwo trafienia na taki tekst nie jest wcale takie małe... Ci ludzie pisali o wielu zagadnieniach, które dotyczyły przyszłych cywilizacji.

— Bardzo sprytnie — przyznał po chwili Gilly. — Myślę, że to mogłoby rozwiązać nasze kłopoty. A co za tym idzie, szansa podróży z prędkością światła do innych gwiazd stałaby się wreszcie realna.

— Tak — zgodził się Tozzo z kwaśną miną — tylko że kończą nam się skazańcy. — W gruncie rzeczy pomysł przełożonego dosyć mu się spodobał. No i fascynowała go perspektywa spotkania twarzą w twarz z autentycznym, dwudziestowiecznym prekognitą. Ich złota era zakończyła się dawno temu... i nie trwała niestety zbyt długo.

Może zresztą nie tak krótko, jeśli za pierwszego prekognitę uznać Jonathana Swifta, a nie H.G. Wellsa. Swift opisał przecież dwa księżyce Marsa i ich niezwykle układ orbitalny na długo przed wynalezieniem teleskopów które pozwoliły potwierdzić jego wizję. Niektóre podręczniki określały Swifta jako prekursora.

II

Komputery Biblioteki Kongresu potrzebowały paru sekund, by, artykuł po artykule, przewertować kruche, pożółkłe zszywkę czasopism i wybrać tekst, który bezpośrednio dotyczył utraty i przywrócenia masy jako *modus operandi* międzygwiazdnych podróży kosmicznych. Wzór Einsteina, według którego masa ciała rosła proporcjonalnie do jego prędkości, przyjmowano w dwudziestym wieku za pewnik i nikt wówczas nie zwrócił uwagi na artykuł wydrukowany w prekognistycznym czasopiśmie „If” w sierpniu 1955 roku.

Tozzo i Fermeti przeglądali odbitkę tekstu. Artykuł nosił tytuł *Nocny lot* i liczył zaledwie parę tysięcy słów.

— No i? — spytał Fermeti, gdy skończyli czytać.

— Żadnych wątpliwości. To nasz Projekt. Sporo tu przekłamań, na przykład nasze Biuro Emigracyjne to w artykule „Przestrzeń, spółka z o.o.”, a autor uważa nas za firmę komercyjną. Ale to naprawdę niesamowite. Pan to, według autora, oczywiście Edmond Fletcher. Imiona są podobne, choć nie do końca trafione, jak i cała reszta. Ja nazywam się Alison Torelli. — Pokiwał głową z podziwem. — Ci prekognici... przedstawiają obraz przyszłości trochę wypaczony, a jednak w gruncie rzeczy...

— W gruncie rzeczy prawdziwy — dokończył Fermeti. — Masz rację, ten tekst mówi o naszym Projekcie. Autor nazwał go Topik, jak ten pająk wodny, który tak daleko skacze. To bardzo dobra nazwa, nie uważasz? Dlaczego sami na to nie wpadliśmy? Może ją zmienić?

— Sam widzisz, że prekognita, który napisał ten artykuł, nie podaje ani formuły na przywrócenie masy, ani nawet na jej utratę. Twierdzi po prostu, że ją znamy. — Tozzo wziął kopię artykułu i przeczytał na głos:

Problem przywrócenia masy statku i jego pasażerów po zakończeniu lotu okazał się wyjątkowo trudną do pokonania barierą. A jednak Torelli i jego zespół znaleźli w końcu rozwiązanie. Po brzemiennej w skutkach implozji statku „Morski Skaut”...

— I tyle — powiedział. — Co nam to daje? Tak, ten prekognita przewidział sto lat temu nasze położenie... ale pominął wszystkie techniczne szczegóły.

Zapadło milczenie.

— To nie znaczy, że ich nie znał — zauważył wreszcie Fermeti. — Dziś wiemy już, że członkowie stowarzyszenia często byli naukowcami. — Przejrzał dane biograficzne. — Autor tego artykułu na co dzień pracował jako specjalista od hodowli kurcząt na Uniwersytecie Kalifornijskim.

— I nadal masz zamiar go tu sprowadzić?

— Mam tylko nadzieję, że wehikuł zadziała w obie strony — potwierdził Fermeti. — Gdyby chodziło o podróż w przyszłość, a nie wstecz, moglibyśmy zagwarantować pełne bezpieczeństwo temu... — spojrzął na artykuł — ...Poulowi Andersonowi.

— A czym ryzykujemy? — spytał Tozzo.

— Możliwe, że nie będziemy w stanie wysłać go z powrotem do przeszłości albo, co gorsza...

— Fermeti urwał na chwilę — ...częściowo stracimy go gdzieś po drodze. Wylądujemy tylko z jego jedną połową. Wehikuł nieraz już przepoławiał różne rzeczy.

— W dodatku ten facet to nie skazaniec z Obozu Nachbaren, co? — zauważył Tozzo. — Po takiej wpadce trudno się będzie wytłumaczyć.

— Zrobimy to jak należy. — Fermeti nagle się ożywił. — Wyślemy do roku 1954 dobry zespół ludzi. Już oni dopilnują, żeby Anderson cały wszedł do maszyny, a nie na przykład tylko jedną nogą. W ten sposób zmniejszymy ryzyko nieszczęśliwego wypadku.

A więc decyzje już zapadły. Plan był jasny. Pożyczony z Instytutu Archeologii wehikuł czasu wyruszy do 1954 roku i przywiezie stamtąd prekognitę Poula Andersona.

Z badań przeprowadzonych przez Instytut Archeologii wynikało, że we wrześniu 1954 roku Poul Anderson mieszkał na ulicy Grove w Berkeley. Brał właśnie udział w konferencji, na którą zjechali prekognici z całych Stanów. Zjazd odbywał się w hotelu Sir Francis Drake w San Francisco. Prawdopodobnie podczas tej konferencji, w obecności Andersona i innych najbardziej znanych prekognitów, ustalano plany na cały następny rok.

— To naprawdę bardzo proste — tłumaczył Fermeti Tozzowi i Gilly'emu. — Poleci tam dwóch naszych. Będą mieli podrobione identyfikatory i wystąpią jako członkowie narodowego stowarzyszenia prekognitów... To takie prostokątne kartki zatopione w plastiku, które przypina się do kłapy ubrania. Nie muszą chyba zapewniać, że będą mieli na sobie stroje z dwudziestego wieku. Odnajdą Poula Andersona, odciągną go na bok...

— I co? — wtrącił sceptycznie Tozzo.

— Powiedzą mu, że reprezentują niezarejestrowane zrzeszenie prekognitów z Battlecreek w Michigan i że przywieźli makietę pojazdu do podróży w przyszłość. Najpierw poproszą pana Andersona, który był wtedy bardzo popularny, żeby zechciał się sfotografować obok maszyny. Potem zaproponują zdjęcie w środku. Z naszych badań wynika, że Anderson miał opinię sympatycznego i bezpośredniego człowieka, a na podobnych konferencjach obracał się w towarzystwie, które umiało zadbać o dobry nastrój. Nie odmówi.

— To znaczy, co on tam robił? — zapytał Tozzo. — Wąchał klej? Fermeti uśmiechnął się.

— Niezupełnie. To było popularne wśród nastolatków. Chodzi mi raczej o picie alkoholu.

— Rozumiem — mruknął Tozzo.

— Jeśli idzie o ewentualne kłopoty — mówił dalej Fermeti — należy pamiętać, że na to ściśle tajne spotkanie Anderson zabrał żonę, Karen, która przebrała się za kobietę z Wenus... krótka spódniczka, błyszcząca góra i jakiś hełm. Wzięli też ze sobą nowo narodzoną córeczkę, Astrid. Sam Anderson się nie przebierał. Nie musiał ukrywać swojej tożsamości. Jak większość dwudziestowiecznych prekognitów był człowiekiem spokojnym i nikogo się nie obawiał. Ale w przerwach między oficjalnymi naradami prekognici, już bez żon, spacerowali, grali w pokera, spierali się, a niektórzy nawalali jeden drugiego...

— Co takiego? — przerwał mu Tozzo. — Nawalali?

— Albo, jak opisano w raporcie, spotykali się, by się nawalić. Tak czy owak, dzielili się na grupki, które urzędowały w bawialniach lub restauracjach hotelowych. W takim momencie powinniśmy go dopaść. W zamieszaniu nikt nie zauważył jego zniknięcia. Spodziewamy się odstawić go z powrotem dokładnie o tej samej porze, może parę godzin później lub wcześniej... Ale raczej później, bo dwóch Andersonów na konferencji mogłoby wywołać konsternację.

Tozzo był pod wrażeniem.

— Brzmi nieźle — przyznał.

— Cieszę się, że ci się podoba — powiedział cierpko Fermeti — bo będziesz jednym z uczestników akcji.

— To lepiej zacznę poznawać realia życia w dwudziestym wieku — odparł zadowolony Tozzo. Sięgnął po egzemplarz „If” z maja 1971 roku. Ten numer zainteresował Aarona już wcześniej. Ludzie z 1954 roku nie będą go jeszcze znali, to oczywiste... ale w końcu poznają. A kiedy już się to stanie, nie zapomną tego nigdy...

W czasopiśmie znalazł pierwszy odcinek podręcznika Raya Bradbury’ego. Genialny prekognita z Los Angeles potępiał zorganizowaną przez Gutmana rewolucję polityczną, która miała się później przetoczyć przez wewnętrzne planety Układu Słonecznego. Bradbury już wtedy ostrzegał przed Gutmanem, ale jego opinię zignorowano. Teraz Gutman nie żył, a jego ranatyczni zwolennicy stali się terrorystami. Gdyby świat wtedy posłuchał przestróg Bradbury’ego...

— Co to za mina? — zapytał Fermeti. — Nie chcesz lecieć?

— Ależ chcę — zapewnił Tozzo. — Tylko to cholernie duża odpowiedzialność. To nie są zwykli ludzie.

— Pewnie masz rację — przyznał Fermeti.

III

Następnego dnia Aaron Tozzo, już w dwudziestowiecznym ubraniu, stojąc przed lustrem, zastanawiał się, czy Poul Anderson da się nabrać i pójdzie z nimi do wehikułu czasu.

Przebranie było takie jak trzeba. Tozzo miał brodę i wąsy, popularne w latach pięćdziesiątych, a na głowie perukę.

To też był szczegół modny w tamtych czasach. Mężczyźni i kobiety nosili wówczas ogromne kolorowe peruki — czerwone, zielone, niebieskie albo bardziej konserwatywne, szare. To było jedno z najbardziej zaskakujących zjawisk w dwudziestym wieku.

Peruka Tozza była czerwona. Podobała mu się. Wziął ją z Los Angeles, z Muzeum Historii Kultury, a kustosz osobiście go zapewnił, że to model męski. Musieli starannie dopracować szczegóły, żeby uniknąć zdemaskowania. Jeżeli wszystko dobrze przygotują, ryzyko wpadki będzie niewielkie.

A jednak Tozzo wciąż się denerwował.

Wreszcie wszystko zostało zapięte na ostatni guzik i nadszedł czas podróży. Aaronowi miał towarzyszyć Gilly. Wsiedli do wehikułu, a Tozzo zajął miejsce za sterami. Instytut Archeologii przekazał im dokładną instrukcję obsługi, którą Aaron miał teraz przed sobą. Gdy tylko Gilly zamknął wąż, Tozzo wziął byka za rogi (to takie dwudziestowieczne powiedzonko) i uruchomił wehikuł.

Kontrolki zabłyśły, potwierdzając planowany kurs. Cofali się w czasie do roku 1954, na Kongres Prekognitów w San Francisco.

Gilly siedział obok Aarona i powtarzał sobie dwudziestowieczne zwroty ze specjalnego słownika.

— To chyba ta chawira, stary... — mruknął i odchrząknął. — Spoko, wyluzuj! Co jest? Zrywamy się. Nudna ta imprezka! — Pokręcił z niedowierzaniem głową. — Chyba nigdy nie doszukam się tu sensu — usprawiedliwił się przed Tozzem. — Czarna magia!

Zapaliła się czerwona lampka, znak, że zbliżają się do końca podróży. Po chwili turbiny umilkły. Stali na wprost wejścia do hotelu Sir Francis Drake, w centrum San Francisco.

Wszędzie wokół chodzili na własnych nogach ludzie w osobiwie staroświeckich strojach.

Tozzo zauważył, że nie ma tu jednotorówek. Cały ruch odbywał się na ziemi. Co za tłok, pomyślał, patrząc na samochody i autobusy, posuwające się powoli jeden za drugim po zakorkowanych ulicach. Jakiś urzędnik w niebieskim mundurze starał się kierować ruchem, ale jego wysiłki były daremne.

— Czas na drugą część operacji — powiedział Gilly. On też gapił się na pojazdy sunące po ulicach. — Dobry Boże — westchnął — popatrz na te krótkie spódniczki. Całe kolana na wierzchu. Nie atakuje ich koci wirus?

— Nie wiem — odparł Tozzo. — Ale wiem, że powinniśmy już wejść do hotelu.

Ostrożnie unieśli właz i wysiedli na chodnik. I w tym momencie Tozzo zdał sobie sprawę, że popełnili błąd.

Wszyscy mężczyźni byli gładko ogoleni.

— Gilly — rzucił — musimy pozbyć się zarostu. — Szybko oderwał Gil — ly'emu doklejaną brodę i wąsy. Ale peruki... te były w porządku. Większość mężczyzn nosiła coś na głowach. Tozzo zauważył tylko kilku ogolonych na łyso. Kobiety również nosiły peruki, bardzo luksusowe peruki... A może były to ich naturalne włosy?

W każdym razie on i Gilly nie będą się teraz wyróżniać z tłumu. Ruszyli w stronę wejścia do hotelu.

Przemknęli przez chodnik (niesamowite, jak wolno chodzili tu ludzie) i weszli do staromodnego holu hotelowego. Wnętrze przypominało muzeum. Tozzo rozglądał się dookoła. Szkoda, że nie mieli czasu, by przyjrzeć się wszystkiemu dokładnie.

— Co z naszymi identyfikatorami? — spytał nerwowo Gilly. — Myślisz, że się nie wyda? — Incydent z zarostem najwyraźniej wytrącił go z równowagi.

Każdy z nich miał przypięte do kłap płaszcza fachowo spreparowane identyfikatory. Po chwili jechali już windą na właściwie piętro.

Wysiedli w zatłoczonym holu. Zobacz) li grupki mężczyzn, rozmawiających wesoło. Wszyscy mieli na głowach peruki lub naturalne włosy i byli gładko ogoleni. Było tu też sporo kobiet — niektóre w obcisłych strojach, zwanych trykotami. Panie przechadzały się dookoła, rozsyłając promienne uśmiechy. I choć w tych czasach wymagano zakrywania biustu, i tak było na co popatrzeć.

— Zatkalo mnie — wyszeptał Gilly. — Zauważyłem tu kilku z...

— Wiem — przerwał mu Tozzo. Projekt mógł zaczekać, przynajmniej przez chwilę. Mieli niepowtarzalną okazję, aby porozmawiać z prekognitami, posłuchać, co mają do powiedzenia...

W ich stronę szedł przystojny facet w ciemnym, lekko połyskującym garniturze, pewnie z domieszką jakiegoś syntetyku. Mężczyzna nosił okulary, a jego włosy i opalona skóra... wszystko miało ten sam ciemny odcień. Tozzo spojrzał na identyfikator.

— A.E. van Vogt — przeczytał.

Van Vogta zatrzymał jakiś wielbiciel

— Czytałem obie wersje *World of Null A* — zaczął — i wciąż nie rozumiem zakończenia, no, wie pan... jak staje się Nim. Mógłby mi pan to wyjaśnić? I jeszcze ten moment z drzewem, gdy...

— Zdradzę panu pewien sekret — odpowiedział z uśmiechem prekognita. — Zaczynam jakąś fabułę, a potem akcja rozwija się już samoistnie. I dlatego potrzebuję kolejnej fabuły, by zakończyć całą historię.

Tozzo, który przysłuchiwał się krótkiej rozmowie, wyczuł u van Vogta coś tajemniczego, jakieś głębokie uduchowanie. Tak, pomyślał, to dobre słowo: lecznicze uduchowanie. Ten człowiek wprost emanował dobrocią.

— Ten facet ma takie same spodnie jak ja! — powiedział nagle van Vogt, odwrócił się od

wielbiciela i zniknął w tłumie.

Tozzo czuł w głowie zamęt. W końcu właśnie miał okazję zobaczyć i posłuchać A.E. van Vogta...

— Popatrz — pociągnął go za rękaw Gilly. — Ten potężny, sympatyczny gość na sofie to Howard Browne, redaktor „Amazing”, pisma prekognitów!

— Muszę zdążyć na samolot — oznajmił Browne wszystkim, którzy go słuchali, i nerwowo rozejrzał się dookoła.

— Ciekawe, czy doktor Asimov też tu dzisiaj jest — zainteresował się Gilly.

Tozzo zauważył, że przecież mogą o to spytać. Podszedł do młodej kobiety w blond peruce i zielonym trykocie.

— Gdzie jest doktor Asimov? — zapytał dwudziestowiecznym żargonem.

— A kto go tam wie — odparła dziewczyna.

— Ale jest gdzieś tutaj, proszę pani?

— Nie.

Gilly znów szarpnął Tozza za rękaw.

— Musimy znaleźć Poula Andersona, pamiętasz? Wiem, że miło jest pogawędzić z kobitkami, ale...

— Pytałem o Asimova — warknął Tozzo. Przecież to Isaac Asimov był pomysłodawcą ogromnego przemysłu robotów pozytronowych, który rozwinął się w dwudziestym pierwszym wieku. Jak mogłoby go tu zabraknąć?

Minął ich postawny, dobrze zbudowany mężczyzna. Tozzo poznał Jacka Vance'a. Vance przypominał trapera albo pogromcę dzikich zwierząt. Trzeba się go wystrzegać, pomyślał Aaron. Jeśli wdamy się w jakąś awanturę, ten facet sam bez trudu mógłby unieszkodliwić nas obu.

Zauważył, że Gilly rozmawia z następną dziewczyną w jasnej peruce i zielonym trykocie.

— Jest tu Murray Leinster? — zapytał ją. — No, ten facet, którego praca o czasie równoległym jest wciąż uważana za najważniejsze dzieło badań teoretycznych? Czy on...

— A bo ja wiem — mruknęła dziewczyna wyraźnie znudzona.

Tozzo znalazł się w grupce otaczającej jednego z uczestników zjazdu.

— ...bardzo dobrze — mówił prekognita. — Jeśli, podobnie jak Howard Browne, wolicie podróże samolotem, to w porządku. Ja i tak uważam, że to ryzykowne. Sam w ogóle nie latam. Właściwie to nawet jazda samochodem stanowi duże ryzyko. Z reguły kładę się wtedy na tylnym siedzeniu. — Mężczyzna nosił krótko przyciętą perukę i krawat. Miał sympatyczną, okrągłą twarz i przenikliwe oczy.

Był to Ray Bradbury. Tozzo ruszył w jego kierunku.

— Zaczekaj! — szepnął gniewnie Gilly. — Pamiętaj, po co tu przybyliśmy! Za plecami Bradbury'ego, przy barze, Tozzo zauważył starszego, zmęczonego życiem mężczyznę w brązowym garniturze, małych okularach i z drinkiem w ręku. Poznał go z rysunków we wczesnych publikacjach Gernbacka. To był znakomity prekognita z Nowego Meksyku, Jack Williamson.

— Zawsze uważałem — mówił do Williamsona jeden z jego wielbicieli — że *Legion of Time* to najlepsze dzieło science fiction, jakie kiedykolwiek czytałem.

Williamson uśmiechnął się zadowolony.

— W założeniu to miało być krótkie opowiadanie — wyznał — ale faktycznie trochę się rozrosło. Tak, ja też bardzo lubię ten tekst.

Tymczasem Gilly zawędrował do przyległej sali, gdzie zastał dwie kobiety i mężczyznę, zajętych dyskusją. Jedną z pań — atrakcyjną, ciemnowłosa, w sukni z odkrytymi ramionami — nazywała się, jak wynikało z jej identyfikatora, Evelyn Paige. Drugą kobietą była słynna Margaret St Clair. Gilly podszedł do niej bez namysłu.

— Uważam, że pani artykuł *The Scarlet Hexapod* we wrześniowym „If” z 1959 roku jest znakomity... — zaczął i urwał przerażony.

Przecież Margaret St Clair jeszcze go nie napisała. Ba, nawet nie miała pojęcia, że w ogóle go napisze. Gilly poczerwieniał i szybko się wycofał.

— Przepraszam — wybełkotał. — Proszę mi wybaczyć. Musiałem coś pokręcić.

Margaret St Clair spojrzała na niego przenikliwie.

— Wrzesień 1959 roku? A pan co, przybysz z przyszłości?

— Zabawne — wtrąca się Evelyn Paige. — Ale wracając do tematu... — Rzuciła Gilly’emu karcące spojrzenie. — Zdaje się, Bob, że mówiłeś coś o... — zwróciła się do towarzyszącego im mężczyzny. Gilly od razu poznał Roberta Blocha.

— Panie Bloch, pański artykuł *Sabbatical* w „Galaxy” był...

— Myli mnie pan z kimś innym, kolego — przerwał mu Bloch. — Nigdy nie napisałem nic, co nosiłoby tytuł *Sabbatical*.

Chryste, znów to samo, pomyślał Gilly. Dwa razy z rzędu ten sam głupi błąd. Przecież *Sabbatical* też jeszcze nie napisano. Lepiej się stąd wynieść. Wycofał się i odszukał Tozza. Aaron wydawał się zdenerwowany.

— Znalazłem Andersona — oświadczył.

Gilly poczuł, że robi mu się gorąco.

Swego czasu uważnie przestudiowali zdjęcia dostarczone przez Bibliotekę Kongresu i teraz nie mieli żadnych wątpliwości. Stał przed nimi sławny prekognita — wysoki, szczupły, żeby nie powiedzieć chudy. Miał kręcone włosy... a może to była peruka? Nosił okulary i sprawiał miłe wrażenie. Ze szklanką whisky w ręku prowadził ożywioną dyskusję z innym prekognita — mi. Najwyraźniej świetnie się tu czuł.

Tozzo i Gilly dyskretnie dołączyli do grupy.

— Słucham? — Anderson nie dosłyszał wypowiedzi jednego z prekognitów — Tak, tak. To prawda — przytaknął wreszcie. — Tak, Tony, masz rację. W stu procentach.

Tozzo zdał sobie sprawę, że rozmówcą Andersona jest doskonały prekognita Tony Boucher; jego wizja odnowy religijnej w następnym stuleciu okazała się nadzwyczaj trafna. Opisany w najdrobniejszych szczegółach cud w jaskini, gdzie robot... Tozzo popatrzył z podziwem na Bouchera, po czym znów zerknął na Andersona.

— Poul — zagadnął inny prekognita — wiesz, jak Włosi pozbyliby się Anglików, gdyby ci zdecydowali się w 1943 na okupację Italii? Wyspiarze zajęliby oczywiście najlepsze hotele, a makaroniarze zdarliby z nich, ile tylko by się dało.

— Jasne — uśmiechnął się Anderson. — A Brytyjczycy, jak przystało na dżentelmenów, nic by nie powiedzieli...

— ...ale wynieśliby się po angielsku — dokończył prekognita i cała grupa wybuchnęła śmiechem. Tylko Tozzo i Gilly stali cicho z boku.

— Panie Anderson — zaczął w końcu nerwowo Tozzo — reprezentujemy grupę prekognitów amatorów z Battlecreek w stanie Michigan. Chcielibyśmy zrobić panu zdjęcie na tle makiety wehikułu czasu.

— Co takiego? — zainteresował się Anderson.

Tozzo powtórzył głośniej. Tym razem do Andersona dotarło.

— Pięknie, pięknie... a gdzie to jest? — spytał.

— Na dole, przed wejściem do hotelu — odparł Gilly. — Nie dalibyśmy rady wnieść na górę.

— No, jeśli to nie zabierze zbyt wiele czasu... — zgodził się Anderson przeprosił pozostałych i ruszył za Tozzem i Gillym w stronę windy.

— Czas brać się do roboty — rzucił w ich stronę jakiś wysoki mężczyzną — Coś się szykuje, Poul.

— Jedziemy na dół — powiedział nerwowo Tozzo.

— To jedźcie, byle nie na rękach — zażartował prekognita i pomachał im przyjaźnie na pożegnanie. Przyjechała winda i weszli do środka.

— Kris coś dzisiaj wesolutki — zauważył Anderson.

— No, jeszcze jak — Gilly użył jednego z wyuczonych wyrażen.

— Widzieliście gdzieś Boba Heinleina? — zapytał Anderson, kiedy zjeżdżali. — Z tego, co wiem, on i Mildred Clingerman poszli gdzieś pogadać o kotach i nie wrócili.

— Tak to bywa, buda tonie, łańcuch pływa — rzucił Gilly kolejne dwudziestowieczne powiedzonko.

Anderson zerknął na niego, uśmiechnął się niepewnie i zamilkł. W końcu znaleźli się przed hotelem. Anderson na widok pojazdu aż zamrugał ze zdziwienia.

— A niech mnie... — powiedział, podchodząc bliżej. — Cholera, robi wrażenie. Bardzo się cieszę, że mnie wyciągnęliście. — Wyprostował się i posłał im przyjazny uśmiech. — Mogę tu stanąć? — upewnił się.

Gilly zrobił mu zdjęcie autentycznym dwudziestowiecznym aparatem, który pożyczili z Smithsonian Institution.

— A teraz w środku — zaproponował Gilly, zerkając na Tozza.

— Oczywiście — zgodził się Anderson. — Cholera. Karen byłaby zachwycona — stwierdził, znikając w wehikule. — Szkoda, że jej tu nie ma.

Błyskawicznie wsiedli za nim. Gilly zamknął właz, a Tozzo w tym czasie, z instrukcją w rękę, już wciskał na desce rozdzielczej jakieś guziki.

Turbiny zaszumiały, ale Anderson zdawał się ich w ogóle nie słyszeć, tak był pochłonięty oglądaniem pulpitu sterowania.

— O rany — wymamrotał.

Wehikuł pędził już z powrotem w przyszłość, a nieświadomy niczego Anderson podziwiał wnętrze pojazdu.

IV

— Panie Anderson — odezwał się na powitanie Fermeti — to dla mnie prawdziwy zaszczyt.

Wyciągnął rękę, ale Anderson nie zwrócił na niego uwagi. Patrzył przez otwarty właz na panoramę miasta.

— Co to jest? — spytał zupełnie zbity z tropu.

Chodziło mu chyba o sieć jednotorówki. Tak przynajmniej pomyślał Tozzo. To dziwne, bo przecież za czasów Andersona mieli już jednotorówkę.. — przynajmniej w Seattle. A może nie? Może pojawiła się później? Tak czy owak, na twarzy prekognity malował się wyraz najgłębszego zdumienia.

— Pojedyncze wagoniki — wytłumaczył Tozzo. — U was jeżdżą tylko zbiorowe, długie wagony. Później, to znaczy już nie za pana czasów, każdy dom, każda rodzina mogła założyć własne połączenie z siecią kolejki. Wyprowadzano wagonik z garażu, podłączano się do terminalu kolejowego i podróżowano po wspólnych trasach. Rozumie pan teraz?

Ale Anderson wyglądał na jeszcze bardziej zaskoczonego.

— Jak to „nie za moich czasów”? Umarłem czy co? — zapytał ponuro. — Myślałem, że to

będzie bardziej podobne do scen z Walhalli, z wikingami i takie tam. A nie tak futurystycznie.

— Wciąż pan żyje, panie Anderson — zapewnił go Fermeti — a to, co ma pan przed oczami, to widok z połowy dwudziestego pierwszego stulecia. Jestem panu winien wyjaśnienie. Został pan przez nas uprowadzony, ale odstawimy pana z powrotem. Ma pan moje słowo.

Anderson otworzył ze zdziwienia usta i nie powiedział nic więcej. Gapił się tylko, zaskoczony, na wszystko dookoła.

Donald Nils, wielokrotny morderca, siedział w jednym z przedziałów międzygwiazdowego pojazdu Biura Emigracji, który poruszał się z prędkością światła. Wyliczył właśnie, że w jednostkach miary używanych na Ziemi miał teraz jakieś trzy centymetry wysokości. Zaklął rozgoryczony.

— To naprawdę zbyt okrutna kara — mruknął głośno. — To wbrew Konstytucji. — Ale potem przypomniał sobie, że przecież zgłosił się na ochotnika. Chciałem wyrwać się z Obozu Nachbaren, z tej zawszonej dziury, pomyślał. No i udało się. Nawet jeśli mam tylko niecałe trzy centymetry wzrostu, i tak zdołałem przejąć dowodzenie tym parszywym statkiem. A jeśli kiedykolwiek dolecimy do choleralnej Proximy, będę dowodził całym jej pieprzonym układem słonecznym. W końcu uczyłem się od samego Gutmana. I jeśli to nie załatwi cholernego Obozu Nachbaren, to chyba nic nie da mu rady...

W drzwiach pojawił się Pete Bailly, jego zastępca.

— Hej, Nils. Przeglądałem mikrofilm z numerem tego pisma prekognitów „Astounding”, tak jak mi kazałeś. Znalazłem artykuł o przepływie masy, ale chociaż w Nowym Jorku byłem kiedyś jednym z najlepszych elektroników, nie wiem, czy potrafię zbudować takie urządzenie. — Spojrzała na Nilsa. „To bardzo skomplikowane.

— Musimy zawrócić na Ziemię — stwierdził Nils.

— Kiepski pomysł — powiedział Bailly. — Lepiej już lećmy na Proximę.

W nagłym przypiływie złości Nils zrzucił ze stołu plik mikroreprodukcji.

— To pieprzone Biuro Emigracji! Wykiwali nas!

Bailly wzruszył ramionami.

— Mamy przecież dość zarcia, bibliotekę i mnóstwo filmów.

— Zanim dotrzemy do Proximy — warknął Nils — zdążysz obejrzeć z nich... — szybko policzył w myślach — ...jakieś dwa tysiące razy.

— No to nie musimy ich wcale oglądać. Albo puszczejmy je od tyłu. A ty co? Znalazłeś coś?

— Przejrzałem kopię artykułu ze „Space Science Fiction” — powiedział już spokojniej Nils. — Nosi tytuł *The Variable Man* i dotyczy problemu pod — róży z prędkością szybszą niż prędkość światła, kiedy znika się i pojawia na nowo. Jakiś Cole ma zamiar udoskonalić tę metodę, opierając się na tym, co napisał jeden z prekognitów. — Zamyślił się na chwilę. — Gdyby udało nam się zbudować taki statek szybszy od światła, moglibyśmy wrócić na Ziemię i przejąć władzę.

— To szaleństwo — zaoponował Bailly.

— Ja tu dowodzę — rzucił gniewnie Nils.

— Pięknie — mruknął Bailly — mamy kapitana czubka. Nie ma dla nas powrotu na Ziemię. Musimy zbudować sobie nowy świat na planetach Proximy i na zawsze zapomnieć o Niebieskiej Planecie. Dzięki Bogu, że są z nami kobiety. A nawet gdybyśmy wrócili, co moglibyśmy zrobić, mając kilka centymetrów wzrostu? Wszyscy by nas wyśmiali.

— Nikt nie będzie się ze mnie naśmiewał — warknął cicho Nils.

Ale wiedział, że Bailly ma rację. Będą mieli szczęście, jeśli uda im się znaleźć w bibliotece statku odpowiednie wskazówki i wymyślić sposób na bezpieczne lądowanie... To już samo w sobie było wystarczająco skomplikowane.

— Damy radę — mruknął pod nosem. — Żeby tylko wszyscy mnie słuchali i robili to, co im każę, bez zadawania głupich pytań.

Pochylił się nad stołem i uruchomił mikrofilm z grudniowym numerem „If” z 1962 roku. Był tam jeden taki artykuł, który szczególnie go zaciekał... A miał całe cztery lata, żeby dokładnie go przeczytać, zrozumieć i zastosować podane w nim informacje.

— Pańska zdolność prekognicji niewątpliwie pomogła panu przygotować się na coś takiego, panie Anderson. — Fermeti starł się nad sobą panować, ale głos mu drżał.

— Dlaczego nie odeślecie mnie teraz? — spytał Poul, wyraźnie spokojniejszy.

Fermeti spojrzął na Tozza i Gilly’ego.

— Mamy problem natury technicznej — wyjaśnił — i dlatego sprowadziliśmy pana do naszej czasoprzestrzeni. Widzi pan...

— Myślę, że lepiej będzie, jeśli zaraz odstawicie mnie z powrotem — przerwał mu Anderson. — Karen będzie się niepokoić. — Wyciągnął szyję i rozejrzał się dookoła. — Myślałem, że to będzie mniej więcej tak wyglądać — mruknął — i nie bardzo się pomyliłem... Co to za wysoki budynek, o tam?

— To nasza wieża modlitwy — wyjaśnił Tozzo.

— W swoim artykule — cierpliwie tłumaczył Fermeti — pod tytułem *Nocny lot z wrześnieowego numeru „If” z 1955 roku*, porusza pan interesującą nas kwestię — Udało nam się zredukować masę międzygwiazdowego pojazdu, ale jak dotąd wszystkie próby jej przywrócenia...

— No właśnie — ucieszył się Anderson. — Pracuję nad tym teraz. Powinienem oddać to Scottowi za kilka tygodni. To mój agent — wyjaśnił.

Fermeti odczekał chwilę.

— Czy byłby pan skłonny podać nam formułę na przywrócenie masy, panie Anderson? — zapytał wreszcie.

— Mmm... Tak, to właściwie określenie. Przywrócenie masy... Całkiem do przyjęcia — pokiwał głową z uznaniem prekognita. — Ale nie opracowałem jeszcze żadnej formuły. Nie chciałem, żeby tekst był zbyt techniczny. Ale myślę, że potrafiłbym stworzyć taki wzór, jeśli tego ode mnie oczekujecie. — Umilkł, najwyraźniej pogrążony w myślach. Trzej mężczyźni czekali, ale nie usłyszeli już nic więcej.

— Pana zdolności prekognistyczne... — zaczął Fermeti.

— Słucham? — spytał Anderson zdziwiony. — Prekognistyczne? — uśmiechnął się nieznacznie. — O, nie. Tak bym tego nie nazwał. Wiem, że John wierzy w takie rzeczy, ale dla mnie kilka eksperymentów na Uniwersytecie Duke’a to jeszcze nie dowód.

Fermeti wpatrywał się długo w Andersona.

— Niech pan weźmie choćby ten tekst ze stycznia 1953 w „Galaxy” — powiedział cicho. — *The Defenders...* O ludziach, którzy żyją pod ziemią, na powierzchni zaś przebywają roboty, które udają, że prowadzą wojnę, ale tak naprawdę wypuszczają tylko sfalszowane raporty. A ludzie...

— Czytałem to — przyznał Anderson. — Bardzo dobry tekst, może poza końcem. Nie podobało mi się zbyt.

— No to musi pan wiedzieć, że wszystko to sprawdziło się w 1996 roku, podczas trzeciej wojny światowej. I dzięki temu tekstowi udało nam się wykryć oszustwa robotów. Każde słowo tam napisane okazało się prorocze...

— Napisał to Philip Dick — poinformował Anderson.

— Zna go pan? — zainteresował się Tozzo.

. — Spotkałem go wczoraj na konferencji — odparł Anderson. — Po raz pierwszy. Dostyc nerwowo gość. Wyglądał, jakby się czegoś bał.

— Czy mam przez to rozumieć, że żaden z was nie zdaje sobie sprawy, że jesteście prekognitami? — Fermeti stracił nad sobą panowanie. Głos mu drżał.

— Cóż — powiedział powoli Anderson — niektórzy pisarze science fiction w to wierzą. Myślę, że Alf van Vogt zalicza się do tej grupy — uśmiechnął się do Fermetiego.

— A pan dalej nic nie rozumie? — rzucił Fermeti. — Umieścił nas pan w swoim tekście. Dokładnie opisał całe Biuro! I nasz międzygwiazdny Projekt!

— No nie, coś podobnego! Nigdy bym nie przypuszczał... — wymamrotał po dłuższym milczeniu Anderson. — Dziękuję, że mi pan to powiedział.

Fermeti odwrócił się do Tozza.

— Najwyraźniej musimy zmienić całe nasze wyobrażenie o połowie dwudziestego wieku.

Tozzo nie miał wątpliwości.

— Z naszego punktu widzenia ich niewiedza się nie liczy. Nieważne, czy byli świadomi swych zdolności, czy nie. One i tak w nich tkwiły.

Tymczasem Anderson podszedł do wystawy pobliskiego sklepu z upominkami.

— Ciekawe bibeloty — zauważył. — Mógłbym kupić coś Karen. — Popatrzył pytająco na Fermetiego. — Mogę tam wejść i rozejrzeć się?

— Jasne — rzucił Fermeti, poirytowany.

Poul Anderson zniknął w sklepie, a oni zostali na zewnątrz, wciąż dyskutując o odkrytych właśnie faktach.

— Musimy umieścić go w otoczeniu, które zna — stwierdził Fermeti. — Trzeba sprowadzić mu zwykłą maszynę do pisania, a potem namówić go do napisania tekstu o utracie masy i jej przywróceniu. Czy on sam uzna ten artykuł za oparty na faktach, czy nie, jest zupełnie nieistotne, bo i tak jego treść będzie rzeczywista. W Smithsonian Institution na pewno mają sprawną maszynę do pisania na kartki formatu A4. Zgadzaście się na ten plan?

— Powiem wam, co myślę — odezwał się Tozzo. — Uważam, że popełniliśmy karygodny błąd, pozwalając mu wejść do sklepu z pamiątkami.

— A to czemu? — spytał Fermeti.

— Chyba wiem, o co ci chodzi — ożywił się nagle Gilly. — Anderson nas wykiwał. Uciekł pod pretekstem, że chce kupić żonie upominek.

Fermeti zbladł jak ściana i pędem pobiegł do sklepu. Tozzo i Gilly rzucili się za nim.

W sklepie nie było nikogo. Prekognita zwiął.

Minie trochę czasu, zanim mnie złapią, myślał Anderson, wybiegając tylnym wyjściem. A jest sporo do zrobienia, skoro już się tu znalazłem. Co za okazja! Na starość będę miał co opowiadać wnukom.

Wnukom... przypomniał sobie córkę i żonę. Wiedział, że prędzej czy później będzie musiał wrócić, niezależnie od tego, co tu odkryje... To tylko krótka wizyta.

Ale póki tu był... Najpierw pójdę do biblioteki, obojętnie której, stwierdził, i rozejrzę się za jakimiś książkami do historii, które powiedzą mi, co stało się między tą chwilą a rokiem 1954.

Chciał dowiedzieć się czegoś o zimnej wojnie i jak się skończyła dla Stanów Zjednoczonych i dla Rosji. I o badaniach kosmosu. Był pewien, że do roku 1975 udało się wysłać człowieka na Księżyc. Teraz z pewnością latają już po całym kosmosie. Skoro mają wehikuł czasu, to muszą mieć j statki kosmiczne.

Zobaczył jakieś otwarte drzwi i bez wahania wszedł do środka. Kolejny sklep, większy od tego z upominkami.

— W czym mogę pomóc, proszę pana? — zapytał zupełnie łysy mężczyzna. Chyba wszyscy tu mieli ogolone głowy. Nieznajomy gapił się na włosy i ubranie Andersona, ale powstrzymał się od

komentarza.

— Mmm... — chrząknął Anderson, zastanawiając się nad odpowiedzią. Co oni tu właściwie sprzedawali? Rozejrzył się. Jakieś lśniące urządzenia elektroniczne. Ale do czego służą...?

— Kiedy ostatni raz pan się muskał, sir?

— A co to znaczy? — zapytał Anderson.

— Dostaliśmy nowe muskacze, no wie pan... — powiedział sprzedawca, podchodząc do jednej z połyskujących maszyn. — Tak, wygląda mi pan na indywiduala. Proszę się nie gniewać, to nie jest niezgodne z prawem. — Sprzedawca zachichotał. — Ten nietypowy strój... Sam pan go zrobił, sir? Muszę przyznać, że to świadczy o wysokim stopniu indywidualizmu. Czy materiał też pan tkął samodzielnie?

— Nie — zaprzeczył Poul. — Prawdę mówiąc, to mój najlepszy garnitur.

— Ha, choroba... dobry żart. Całkiem inteligentny. A co z pana głową? Nie golił się pan chyba od paru tygodni.

— Nie — przyznał Anderson. — Cóż, może jednak potrzebuję muskacza. — Najwyraźniej wszyscy w kraju mieli takie urządzenie; musiało być popularne jak telewizor w dwudziestym wieku. Cóż, trzeba stać się częścią kultury.

— Rodzina liczna? — spytał sprzedawca. Wyciągnął centymetr i zaczął mierzyć Andersonowi długość rękawa.

— Trzy osoby — odparł Poul, zupełnie zbity z tropu.

— Ile lat ma najmłodsza?

— Dopiero co się urodziła. Sprzedawca pobladł.

— Wynoś się pan stąd, zanim wezwę polpol — powiedział cicho.

— A co to takiego? — wymamrotał Poul, myśląc, że się przesłyszał.

— Jest pan przestępcą — jęknął tamten. — Powinni pana zamknąć w Obozie Nachbaren.

— No, nic... I tak dziękuję — powiedział Poul i skierował się do drzwi. Sprzedawca nie spuszczał go z oka, dopóki Anderson nie wyszedł ze sklepu

— Cudzoziemiec? — usłyszał za plecami kobiecy głos. Jakiś pojazd zatrzymał się przy krawężniku. Poul pomyślał, że wyglądał jak łóżko, i po chwili zdał sobie sprawę, że to jest łóżko. Kobieta przyglądała mu się ciemnymi, inteligentnymi oczami. Z ogoloną głową nie wyglądała najlepiej, ale poza tym była całkiem atrakcyjna.

— W ogóle nie jestem stąd — powiedział. Nie mógł oderwać od niej oczu. Czy wszystkie kobiety ubierały się tutaj w ten sposób? Odkryte ramiona mógł jeszcze zrozumieć, ale...

No i to łóżko. W połączeniu z jej strojem... To było ponad jego siły. Ciekawe, czym się zajmowała? I to w miejscu publicznym. Co to za społeczeństwo...? Zasady moralne uległy widać ogromnej przemianie.

— Szukam biblioteki — powiedział. Wolał nie zbliżać się do łóżka, które miało koła, silnik i coś w rodzaju steru.

— Biblioteka jest o blysk stąd — poinformowała go kobieta.

— O co? — zapytał zdziwiony.

— Podpuszczasz mnie, co? — stwierdziła. Wszystkie odsłonięte części jej ciała pokryły się rumieńcem. — To nie jest śmieszne. Na pewno nie bardziej niż twoja obrzydliwie zarosnięta głowa. Przynajmniej mnie to nie bierze. — A jednak nie odjechała. Stała przy krawężniku, wpatrując się w niego ponuro. — Może potrzebujesz pomocy. Może powinnam się nad tobą zlitować. Wiesz, że polpol może zgarnąć cię w każdej chwili.

— Może postawię pani kawę i pogadamy o tym gdzieś? Naprawdę muszę znaleźć jakąś bibliotekę.

— Pójdę z tobą — zgodziła się. — Chociaż nie mam pojęcia, co to jest kawa. Ale jeśli mnie dotkniesz, natychmiast wezwę...

— Nie, nie — zaprotestował. — Proszę się nie obawiać. Muszę tylko zebrać materiały historyczne. — W tym momencie zdał sobie sprawę, że jeśli znajdzie jakieś dane techniczne, mógłby z nich zrobić użytek.

Jaką książkę najlepiej stąd przemycić? — zastanawiał się. Almanach? Może słownik? Podręcznikowe teksty, które mówiłyby o wszystkich dziedzinach wiedzy językiem zrozumiałym dla laików? Tak, to najlepsze rozwiązanie. Podręcznik dla licealistów albo studentów. Mógłby zedrzeć okładkę, rozdzielić strony i ukryć je pod płaszczem.

— Gdzie tu jest najbliższa szkoła? — Musiał to wiedzieć natychmiast. Miał świadomość, że niedługo go dopadną.

— A co to znaczy „szkoła”?

— Miejsce, dokąd wysyła się dzieci — wyjaśnił.

— Biedny chory człowieku — powiedziała cicho.

V

Tozzo, Gilly i Fermeti stali przez chwilę bez ruchu. Pierwszy odezwał się Aaron.

— Wiecie, co się z nim stanie, prawda. Złapie go polpol i natychmiast wyśle w podróż w jedną stronę... do Obozu Nachbaren. Za sam wygląd. Może już tam jest.

Fermeti popędził do najbliższego wideofonu.

— Skontaktuję się z władzami Obozu — zapowiedział. — Porozmawiam z Porterem. Jemu można ufać. Mam nadzieję...

Na ekranie wideofonu pokazała się barczysta postać majora Pottera.

— O, witam, panie Fermeti. Potrzebuje pan więcej skazańców, co? — zaśmiał się cicho. — Zużywa pan ich szybciej od nas.

Za Potterem Fermeti widział centralny plac olbrzymiego obozu internowania. Przestępcy, zarówno polityczni, jak i pospolici kryminaliści, kręcili się tam, ćwiczili, grali w nudne, bezsensowne gry, które, jak wiedział, ciągnęły się w nieskończoność, czasem trwając całymi miesiącami. Robili to za każdym razem, gdy wypuszczano ich z cel, które były pracowniami.

— Tym razem chcemy, by nie trafił do was pewien osobnik — powiedział Fermeti i dokładnie opisał Poula Andersona. — Jeśli polpol go przyśle, proszę natychmiast się ze mną skontaktować. I pod żadnym pozorem nie róbcie mu krzywdy. Zrozumiał pan? Chcemy go z powrotem, całego i zdrowego.

— W porządku — zgodził się Potier. — Niech pan chwilę zaczeka. Włączę wyszukiwanie wszystkich nowo przyjętych. — Uruchomił komputer 315 — R, wcisnął jakiś klawisz i powiedział: — Komputer wychwyci poszukiwanego, gdy go do nas wyślą. System identyfikacji nie wpuści Andersona do obozu.

— Ale nie ma go jeszcze? — zapytał nerwowo Fermeti.

— Nie — odparł Porter, ziewając ostentacyjnie. Fermeti przerwał połączenie.

— Co teraz? — powiedział Tozzo. — Możemy użyć ganimedyjskiej gąbki tropiącej. — Te obrzydliwe stworzenia, gdy złapały poszukiwanego, podłączały się do jego układu krwionośnego jak pijawki. — Albo lepiej zastosujmy detektor fal mózgowych. Mamy przecież wzór jego EEG. Tylko że to od razu ściągnie polpol. — Zgodnie z prawem, wykrywacza mógł używać jedynie polpol. W końcu to dzięki temu urządzeniu złapano przecież samego Gutmana.

— Moim zdaniem, powinniśmy ogłosić ogólnoplanetarny alarm drugiego stopnia — zdecydował Fermeti. — To zwróciłoby uwagę zwykłych informatorów. Wszyscy wiedzą, że za podane informacje przy drugim stopniu automatycznie przysługuje nagroda.

— Tylko że wtedy może dojść do linczu — zauważył Gilly. — To też trzeba brać pod uwagę. Po chwili ciszę przerwał Tozzo.

— Spróbujmy przez moment pomyśleć logicznie. Gdyby zabrano was z dwudziestego wieku do naszych czasów, co byście zrobili? Dokąd poszli?

— Poszukałbym najbliższego portu kosmicznego — powiedział cicho Fermeti — żeby kupić bilet na Marsa albo jedną z odleglejszych planet... to w naszych czasach zwykła rzecz, ale dla niego nie do pojęcia w dwudziestym wieku.

Spojrzeni po sobie.

— Tylko że Anderson nie wie, gdzie znajduje się najbliższy port — stwierdził Gilly. — Trochę czasu zajmie mu poznanie terenu. My możemy tam pojechać jednotorówką.

Już po chwili byli w drodze do portu kosmicznego.

— Niesamowita sytuacja — zauważył Gilly, gdy siedzieli w przedziale. Kolejka podskakiwała to w górę, to w dół. — Nasza ocena dwudziestowiecznego umysłu okazała się zupełnie mylna. Trzeba wyciągnąć z tego faktu odpowiednie wnioski. Gdy już odzyskamy Andersona, trzeba go lepiej wy badać. Na przykład zjawisko poltergeista. Jak je wtedy interpretowali? Albo seanse spirytystyczne... Czy zdawali sobie sprawę, czym naprawdę są? A może po prostu wiązali je z okultyzmem i nie starali się inaczej tego wytłumaczyć?

— Anderson mógłby odpowiedzieć na te i na wiele innych pytań — stwierdził Fermeti. — Ale my wciąż nie rozwiązaliśmy naszego najważniejszego problemu. Musimy nakłonić go, by uzupełnił wzór przywrócenia masy, stosując ściśle matematyczne wzory, a nie mętne, poetyckie aluzje.

— To genialny człowiek, ten Anderson — powiedział z namysłem Tozzo. — Popatrzcie tylko, jak łatwo nas wykiwał.

— Właśnie — przytaknął Fermeti — nie doceniliśmy go i takie są skutki. Na przyszłość musimy być ostrożniejsi. Inaczej nasza nieuwaga znów się na nas zemści. — Minę miał bardzo ponurą.

Idąc wzdłuż prawie pustej ulicy, Anderson zastanawiał się, dlaczego kobieta zareagowała w ten sposób. Pamiętał, że jego uwaga o dzieciach wystraszyła również sprzedawcę. Czy narodziny były tu czymś nielegalnym? A może, tak jak kiedyś seks, teraz uznawano to za temat intymny i nie wypadało o tym rozmawiać publicznie?

Tak czy inaczej, pomyślał, jeśli mam tu zostać trochę dłużej, muszę ogolić głowę. I, jeśli to możliwe, zdobyć inne ubranie. Musi tu gdzieś być jakiś fryzjer. A monety, które mam w kieszeni, mógłbym drogo sprzedać jakiemuś kolekcjonerowi.

Rozejrzał się z nadzieją, ale otaczały go tylko wysokie, jasno oświetlone budynki z tworzywa i metalu, które składały się na to miasto. Wszystko tu było tak obce, jakby...

Dał spokój rozmyśleniom, bo nagle coś wypełzło na ulicę i zastąpiło mu drogę. Śluzowaty, ciemnożółty kształt rozmiarami dorównywał dorosłemu człowiekowi. Po chwili wahania istota, pulsując i falując całym ciałem, ruszyła w jego stronę. A może to człowiek, w jakiejś nowej, ewolucyjnej postaci? — zastanawiał się Anderson wycofując się ze strachem i obrzydzeniem. Nagle zdał sobie sprawę, co to takiego.

Znalazł się przecież w erze podróży kosmicznych. Ta istota pochodziła z innej planety.

— Eee... — wymamrotał Poul — czy mogę zająć chwilkę i o coś zapytać? Bezkształtna postać zatrzymała się, a Poul poczuł, że w jego głowie pojawiła się obca, wysłana z zewnątrz myśl:

Przechwyciłem pana pytanie. Oto odpowiedź: przybyłem wczoraj z Cal — listo. Dotarły do mnie jednak także inne ciekawe myśli... jest pan podróżnikiem z przeszłości.

Poul wyczuł, że istota, choć taka uprzejma, jest szalenie ciekawa jego historii.

— Tak — powiedział — z 1954 roku, i szuka pan fryzjera, biblioteki i szkoły. Wszystkiego naraz, bo nie zostało panu wiele czasu do chwili, gdy znów pana pochwyć. — Istota wydawała się zatroskana jego położeniem.

Czy można panu jakoś pomóc? Mógłbym pana wchłonać, ale to byłaby ostateczna i nieodwracalna symbioza... i chyba niezbyt podoba się panu takie rozwiązanie. Myśli pan o żonie i córce. Pozwoli pan, że wyjaśnię przyczynę nieporozumień, jakie wyniknęły po pańskich uwagach na temat dzieci. Otóż Ziemianie po tym, co działo się tu jeszcze kilka lat temu, majążakaz prokreacji. Była wojna, sam pan rozumie, pomiędzy fanatycznymi poplecznikami Gutmana a liberalnymi oddziałami generała McKinleya. I ten drugi wygrał.

— Co mam zrobić? — zapytał Paul. — Jestem zupełnie zagubiony. — Czuł nieznośny chaos w głowie i narastające zmęczenie. Zbyt wiele naraz się wydarzyło. Jeszcze niedawno stał z Tonym Boucherem w hotelu Sir Francis Drake, popijał drinki, gawędził... a teraz oto rozmawiał z wielką, bezkształtną istotą z planety Callisto. Delikatnie mówiąc, trudno mu się było przestawić i dopasować do nowej sytuacji.

Co za ironia losu. Ja, istota zupełnie obca, jestem tu akceptowany, a pan ich przodek, jest ścigany i traktowany jak dziwak — myślał dalej stwór z Cal — listo.

Gdyby nie włosy i to śmieszne ubranie, wyglądałby pan, przynajmniej dla mnie, tak samo jak oni. Polpol, drogi przyjacielu, to nic innego jak policja polityczna. Tropią dewiantów i odmieńców, zwolenników pokonanego Gutmana, którzy teraz działają z ukrycia jako znienawidzeni przez społeczeństwo terroryści. Wielu z nich wywodzi się z potencjalnie niebezpiecznych i kryminogennych środowisk. Myślę tu o tak zwanych nonkonformistach, których określa się również mianem indywiduali. To jednostki, które w miejsce ogólnie przyjętego, obiektywnego systemu wartości wstawiają swój własny, subiektywny i zindywidualizowany. Dla Ziemian to sprawa życia i śmierci, skoro Gutman był tak bliski zwycięstwa.

— Muszę się ukryć — zdecydował Poul.

Tylko nie bardzo jest gdzie. Chyba że chce pan zejść do podziemia i przyłączyć się do zwolenników Gutmana, terrorystów podkładających bomby... Ale to raczej nie dla pana. Możemy pójść dalej razem, a gdy ktoś pana zaczepi, powiem, że jest pan u mnie na służbie. Pan ma kończyny, których mnie brakuje, i zawsze możemy powiedzieć, że to przez mój kaprys albo dziwactwo nie ogolił pan głowy i przebrał się w ten przedziwny strój. Cała odpowiedzialność za pański nietypowy wygląd spadnie zatem na mnie. Poza tym to całkiem normalne, że pozaziemskie istoty wyższego rzędu biorą sobie do pomocy ludzi.

— Dziękuję — powiedział Poul. Stwór ruszył wolno przed siebie. — Ale są pewne rzeczy, które muszę załatwić... — dodał Anderson.

Idę właśnie do zoo, poinformował go przybysz z Callisto.

Poulowi przysła do głowy niezbyt miła myśl.

Litości, zareagował natychmiast obcy. Anachroniczne dwudziestowieczne żarty nie są tu mile widziane. Nie jestem jednym z mieszkańców tego zoo. Przebywają w nim niższe formy życia, takie jak paskudniaki czy szczeżuje. Wraz z rozwojem podróży międzyplanetarnych ogrody zoologiczne stały się...

— A któredy mogę dostać się do terminalu kosmicznego? — wtrącił Anderson. Starał się, by ta prośba zabrzmiała naturalnie.

Wiele pan ryzykuje, ostrzegła istota, pokazując się w publicznych miejscach. Polpol prowadzi całodobową inwigilację.

— Mimo to chcę się tam dostać. — Gdyby udało mu się wejść na międzyplanetarny prom, opuścić Ziemię i zobaczyć inne światy...

Ale przecież oni i tak wymazaliby mu to wszystko z pamięci! Ta myśl przeraziła go. Muszę zacząć robić notatki, pomyślał rozpaczliwie, i to natychmiast!

— Czy mogę prosić o ołówek? — spytał swojego przewodnika. — Nie, nie, chwileczkę... Mam swój. Przepraszam. — Co za głupi pomysł. Dlaczego taki galaretowaty stwór miałby nosić przy sobie ołówek?

Znalazł w kieszeni jakąś ulotkę z konferencji i zaczął zapisywać w dużym skrócie to, co przydarzyło mu się do tej pory. W końcu schował kartkę do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyjął drugą.

Mądre posunięcie, zauważyła istota. A teraz, jeśli nie odstrasza pana moje wolne tempo, zaprowadzę pana do portu kosmicznego. Po drodze opowiem panu co nieco o historii Ziemi od pańskich czasów do chwili obecnej. — Poul posłusznie ruszył obok wolno pełzającej istoty. Cóż, raczej nie miał wyboru. — Związek Radziecki... W 1983 wybuchła tragiczna w skutkach wojna z komunistycznymi Chinami, do której w końcu przyłączyły się Izrael i Francja... To przykre, ale wtedy właśnie rozwiązano problem, co zrobić z Francją, państwem sprawiającym w drugiej połowie dwudziestego wieku najwięcej problemów.

Poul wszystko to notował.

Po pokonaniu Francji... — myślała dalej istota, a Poul starał się zapisać jak najwięcej.

— Jeśli chcemy dopaść Andersona, zanim wsiądzie na prom — oznajmił Fermeti — musimy działać. — Nie chodziło mu tylko o nich trzech. Wiedział, że trzeba zorganizować obławę, a do tego był potrzebny polpol. Nie uśmiechało mu się takie rozwiązanie, ale zdawał sobie sprawę, że nie mieli wyjścia. Minęło już sporo czasu, a oni wciąż nie mogli znaleźć prekognity.

Przed nimi rozciągał się budynek portu kosmicznego, kształtem przypominający ogromny dysk. W jego środku znajdował się punkt startowy, miejsce spalone przez płomień silników lądujących i startujących statków. Fermeti bardzo lubił tereny dookoła portu, bo nie było tu gęstej zabudowy. Czuło się przestrzeń, jak w czasach jego młodości... jeśli oczywiście ktoś odważyłby się tak otwarcie myśleć o dzieciństwie.

Pomieszczenia terminalu, usytuowane głęboko pod ziemią, osłaniała gruba warstwa rekseroidu, który miał chronić pasażerów w razie katastrofy promu na powierzchni. Fermeti stanął przy rampie prowadzącej w dół i niecierpliwie czekał na Tozza i Gilly'ego.

— Wezw ę polpol — zdecydował Tozzo i jednym ruchem rozerwał opaskę, którą nosił na nadgarstku.

Nad ich głowami natychmiast pojawił się policyjny statek.

— Jesteśmy pracownikami Biura Emigracji — zaczął Fermeti. Opisał im charakter Projektu i dość niechętnie wyjaśnił, skąd wziął się tu Poul Anderson.

— Włosy na głowie... — powtarzał porucznik policji. — Dziwaczne ciuchy. Dobrze, panie Fermeti, będziemy go szukać, aż znajdziemy. — Skinął głową na pożegnanie i statek zniknął równie szybko, jak się pojawił.

— Są skuteczni — przyznał Tozzo.

— Ale nie budzą zbyt wielkiej sympatii — stwierdził Fermeti.

— Czuję się w ich obecności nieswojo — wyznał Aaron. — Ale chyba tak właśnie ma być.

Stanęli na rampie, która z zawrotną prędkością przeniosła ich na niższą kondygnację. Fermeti zamknął oczy i skrzywił się, czując gwałtowne przeciążenie i utratę wagi. To było prawie tak okropne, jak sam start promu. Dlaczego w ich czasach wszystko musiało się odbywać w takim tempie? Z pewnością jeszcze w ubiegłej dekadzie życie toczyło się bardziej leniwie i spokojniej.

Zeszli z rampy i otrząsnęli się. Natychmiast podszedł do nich dowódca policji tego budynku.

— Namierzyliśmy waszego człowieka — poinformował.

— Nie odleciał? — ucieszyli się Fermeti. — Dzięki Bogu. — Rozejrzał się wokół.

— Tam — wskazał oficer.

Przy stoisku z gazetami Poul Anderson przyglądał się czemuś z uwagą. Trzej pracownicy Biura natychmiast go otoczyli.

— O, dzień dobry — powiedział Anderson. — Pomyślałem, że czekając na statek zobaczę, co się teraz wydaje.

— Przykro mi, Anderson, ale nadal potrzebujemy pańskich nadzwyczajnych zdolności. Musimy zabrać pana ze sobą z powrotem do Biura.

Nagle Anderson pochylił się, odskoczył i zaczął uciekać. Jego wysoka, przygarbiona postać malała, oddalając się od nich coraz bardziej. Biegł w stronę wyjścia.

Fermeti niechętnie sięgnął do kieszeni i wyjął pistolet usypiający.

— Nie zostawił mi wyboru — mruknął i nacisnął spust.

Anderson potknął się i runął jak długi na posadzkę. Fermeti schował broń.

— Nic mu nie będzie — powiedział pozbawionym emocji głosem. — Ocknie się. Najwyżej zetrze sobie skórę na kolanie. — Spojrzał na obu podwładnych. — Ocknie się, ale oczywiście dopiero w Biurze.

Ruszyli poprzez poczekalnię w stronę leżącego nieruchomo mężczyzny.

— Pozwolimy panu wrócić do swoich czasów — zapewnił Fermeti — jeżeli poda nam pan wzór na przywrócenie masy. — Dał znak i pracownik Biura wniósł starodawną maszynę do pisania.

— Nie używam walizkowej maszyny — sprzeciwił się Anderson. Siedział w gabinecie naprzeciwko Fermetiego.

— Nie ma pan wyjścia — poinformował go Fermeti. — Wiemy, jak przenieść pana z powrotem do Karen. Pamięta pan Karen, swoją małą córeczkę i hotel Sir Francis Drake? Jeśli nie będzie pan współpracował, nie pomożemy panu. Jest pan prekognitą, więc z pewnością pan przewidział, że tak się to skończy.

— Nie mogę pracować bez świeżo zaparzonej kawy — powiedział Anderson.

— Zdobędziemy dla pana kawę — zadeklarował Fermeti. — Ale zaparzy pan ją sobie sam. Dostarczymy również ekspres do kawy z Smithsonian In — stitution, ale na tym kończy się nasza rola.

Anderson przyjrzał się szpulom z taśmą.

— Czerwona i czarna — mruknął. — Co prawda używam zawsze czarnej, ale może być. — Rozejrzał się ponuro, wkręcił papier i zaczął pisać. Na górze strony pojawiły się litery:

NOCNY LOT — POUL ANDERSON

— Mówi pan, że „If” to kupiło? — zapytał.

— Z całą pewnością — odparł Fermeti.

Anderson pisał dalej:

Trudności w Przestrzeni, spółce z o.o., zaczęły działać Edmondowi Fletcherowi na nerwy. Cały statek zniknął, a wraz z nim ludzie, którzy byli na pokładzie. I choć Fletcher nie znał ich osobiście, miał wyrzuty sumienia. Teraz, gdy mył się nasączonym hormonami mydłem...

— Zaczął od samego początku — powiedział z niechęcią Fermeti. — Jeśli nie ma innego wyjścia, będziemy musieli się tu jeszcze z nim pomęczyć. Ciekawe, ile mu to zajmie... Jak szybko taki facet pisze? Jako prekognitą wie, co się stanie za chwilę, więc to powinno przyspieszyć sprawę. — Ale może to było tylko pobożne życzenie.

— Jest już ta kawa? — zapytał Anderson.

— Zaraz będzie — zapewnił Fermeti.

— Mam nadzieję, że kolumbijska.

Artykuł był gotowy, zanim przyniesiono kawę.

Anderson wstał odrętwiały i przeciągnął się, żeby rozprostować kości.

— Myślę, że o to(panom chodziło. Formułę przywrócenia masy umieściłem na stronie dwudziestej.

Fermeti złapał tekst i zaczął szybko kartkować. Tak, właśnie o to chodziło. Tozzo zajął mu przez ramię i przeczytał:

Jeśli statek poruszał się po torze lotu, który prowadził go w pobliże Proximy, powinien odzyskać właściwa sobie masę dzięki procesowi wchłonięcia energii słonecznej z gwiazdy. Zatem to sama Proxima była odpowiedzią na problem Torellego. Teraz miał już w głowie gotowe rozwiązanie.

Tozzo przeczytał formułę. Jak napisano w artykule, masa zostanie przywrócona dzięki energii gwiazdy, która zmieni się w materię — największe źródło mocy we wszechświecie. Przez cały ten czas mieli odpowiedź na wyciągnięcie ręki!

Zakończyły się wreszcie ich kłopoty.

— Czy teraz — zapytał Anderson — mógłbym już wrócić do swoich czasów?

— Tak — powiedział krótko Fermeti.

— Chwileczkę — wtrącił się Tozzo. — Jest jeszcze coś, o czym nie wolno nam zapomnieć. — Pamiętał instrukcję użycia wehikułu czasu. Odciągnął Fermetiego na bok i szepnął: — Nie możemy odesłać go do przeszłości z wiedzą, jaką tutaj zdobył.

— O czym ty mówisz? Jaka znów wiedza? — zdziwił się Fermeti. — No... nie jestem pewien, ale to ma związek z naszym społeczeństwem.

Taka jest, zgodnie z instrukcją, pierwsza zasada podróży w czasie. Nie wolno pod żadnym pozorem zmieniać przeszłości. A sam fakt, że Anderson zetknął się z naszym światem, już zmienia przeszłość.

— Chyba masz rację — powiedział po chwili namysłu Fermeti. — Mógł zabrać jakieś przedmioty, na przykład ze sklepu z upominkami. Jeśli wywiezie je do swojego świata, mogą przyspieszyć postęp technologiczny.

— Mógł też coś podpatrzeć na stoisku z gazetami w porcie — zauważył Tozzo — albo w czasie wędrowki między sklepem a terminalem. Poza tym... sama świadomość, że on i jego koledzy są prekognitami...

— To zbyt niebezpieczne — zdecydował Fermeti. — Musimy usunąć mu ten okres z pamięci. — Powoli podszedł do Poula Andersona. — Proszę mnie spokojnie wysłuchać. Przykro mi, ale będziemy musieli wymazać panu z pamięci wszystko, co się tu wydarzyło.

— Wielka szkoda — stwierdził po namyśle Anderson. — Ale nie zaskoczył mnie pan — dodał, traktując sytuację filozoficznie. — Wiem, że to się tak załatwia.

— Gdzie możemy dokonać zmiany w jego komórkach pamięci? — zapytał Tozzo.

— W Instytucie Penologii — odparł Fermeti. — Tymi samymi kanałami, którymi udało nam się załatwić skazańców. — Wyciągnął pistolet usypiający i wycelował w Poula. — Proszę z nami. Nie pochwałam tego, ale... nie możemy postąpić inaczej.

VI

W Instytucie Penologii, dzięki zastosowaniu bezbolesnych elektrowstrząsów, usunięto Poulowi Andersonowi te komórki pamięci, w których znajdował się zapis ostatnich wydarzeń. Przetransportowano półprzytomnego do wehikułu i już po chwili wyruszył w podróż do 1954 roku. Miał się spotkać w hotelu Sir Francis Drake z żoną i małą córeczką.

Gdy wehikuł powrócił pusty, Tozzo, Gilly i Fermeti odetchnęli z ulgą i otworzyli butelkę stuletniej szkockiej whisky, którą Fermeti chował na specjalną okazję. Misja zakończyła się całkowitym sukcesem. Mogli teraz znów spokojnie zająć się Projektem.

— A gdzie rękopis Andersona? — ocknął się nagle Fermeti. Odstawił szklanę i zaczął rozglądać się po biurze.

Nie było żadnego rękopisu. Tozzo zauważył, że stara maszyna do pisania firmy Royal też gdzieś zniknęła.

Nagle poczuł dreszcz przerażenia. Zrozumiał, co się stało.

— Rany Boskie! — wybełkotał. — Niech ktoś przyniesie kopię numeru, w którym miał się ukazać artykuł. Natychmiast!

— O co chodzi, Aaron? Mów jaśniej — zażądał Fermeti.

— W chwili, gdy usunęliśmy Andersonowi z pamięci wszystko, co się tu zdarzyło, odebraliśmy mu również materiał potrzebny do napisania tego tekstu — wyjaśnił Tozzo. — To właśnie spotkanie z nami miało go zainspirować do napisania *Nocnego lotu*. — Chwycił sierpniowy numer „If” z 1955 roku i otworzył na spisie treści.

Nie było tam artykułu Poula Andersona. Zamiast niego na stronie siedemdziesiątej ósmej znaleźli tekst Philipa K. Dickaza tytułowany *Wzór Yancy’ego*.

No i nie udało im się uniknąć zmiany przeszłości. W dodatku wzór do ich Projektu zniknął... bezpowrotnie.

— Trzeba było zostawić przeszłość w spokoju — powiedział ochryple Tozzo. — Popelniliśmy straszliwy błąd, przywożąc go tutaj. — Napił się whisky, roztrzęsiony.

— Przywożąc kogo? — Gilly popatrzył na niego ze zdziwieniem.

— Jak to? Nie pamiętasz? — Tozzo przyglądał mu się z niedowierzaniem.

— O czym wy w ogóle mówicie? — wtrącił niecierpliwie Fermeti. — I Co robicie w moim gabinecie? Powinniście być w pracy. — Spojrzał na butelkę i szklanki. — I kto otworzył tę whisky, do diabła?

Tozzo drżącymi dłońmi przerzucał kartki czasopisma. Czuł, że wszystko zaczyna mu się rozmywać. Rozpaczliwie starał się zachować wspomnienia ostatnich godzin, ale był bezsilny. Przywieźli z przeszłości jakiegoś prekognitę, prawda? Ale jak on się nazywał? Miał gdzieś w głowie to nazwisko, ale z każdą chwilą stawało się jakby mniej wyraźne... Anderson czy Ander — ton, coś w tym rodzaju. Ten człowiek miał coś wspólnego z Projektem Biura i z utratą masy w czasie podróży międzygwiazdnych.

Na pewno?

Tozzo potrząsnął głową.

— Coś mi chodzi po głowie... — mruknął. — Jakies słowa... „Nocny lot”. Mówi to coś

któremuś z was?

— „Nocny lot” — powtórzył Fermeti. — Pojęcia nie mam, co to znaczy. Ale to byłaby dobra nazwa dla naszego Projektu.

— Tak — przytaknął Gilly — pewnie do tego właśnie się odnosi.

— Zdaje się, że nasz Projekt nazywa się Topik? — powiedział Tozzo. Tak mu się przynajmniej wydawało. Starał się usilnie skupić myśli.

— Tak naprawdę — stwierdził Fermeti — to nigdy nie nadaliśmy mu nazwy. Ale zgadzam się z tobą. Mnie też bardziej się podoba „Nocny lot”. To dobra nazwa.

Drzwi gabinetu otworzyły się, wpuszczając posłańca.

— Przesyłka ze Smithsonian Institution — oznajmił. — Panowie to zamówili — wyciągnął paczkę i położył na biurku Fermetiego.

Trzej mężczyźni patrzyli na niego w osłupieniu.

— Dziwne — mruknął Torelli. — To chyba jakaś pomyłka.

— Tak czy owak — powiedział Fletcher — czas wracać do Projektu Topik.

Torelli i Gilman bez protestu ruszyli w stronę swojego gabinetu na pierwszym piętrze Przestrzeni, spółki z o.o. — prywatnej firmy, dla której od tyłu miesiący bezskutecznie starali się opracować Projekt.

Poul Anderson stał w holu hotelowym i rozglądał się zupełnie zagubiony. Gdzie był? Co się z nim działo? Dlaczego wyszedł z hotelu, gdzie odbywał się zjazd pisarzy science fiction? Minęła godzina. Tony Boucher i Jim Gunn wyszli już na obiad, a on nigdzie nie mógł znaleźć żony i córeczki.

Ostatnia rzecz, jaką pamiętał, to dwóch wielbicieli z Battlecreek, którzy chcieli, żeby obejrzał coś na zewnątrz. Pewnie wyszedł to zobaczyć, ale nic sobie nie przypominał.

Zdenerwowany, poszukał w kieszeni fajki. Zamiast niej znalazł jakiś zmięty kawałek papieru.

— Dajesz coś na aukcję, Poul? — chciał wiedzieć jeden z organizatorów konferencji. — Zaraz zaczynamy licytację... Trzeba się spieszyć.

— Coś osobistego? — spytał Anderson, wciąż wpatrując się w znalezione w kieszeni kartkę.

— No wiesz... maszynopis już wydanego opowiadania, oryginalny rękopis czy jakieś twoje notatki. — Mężczyzna czekał na jego reakcję.

— Znalazłem właśnie coś w kieszeni — powiedział Poul, cały czas wpatrzony w kartkę. Była zapisana jego pismem, chociaż w ogóle tego nie pamiętał. Wyglądało to na historię o podróży w czasie. Wszystko przez tego bourbona z wodą... Powinien też chyba lepiej się odżywiać. — Proszę. To nic wielkiego, ale powinno wystarczyć. — Po raz ostatni spojrzął na notatki. — To historia o polityku nazwiskiem Gutman i o podróży w czasie. Pojawia się tam też jakaś inteligentna forma pozaziemska. — Podał papier organizatorowi.

— Dzięki — powiedział tamten i pobiegł do sąsiedniej sali, gdzie już zaczynała się aukcja.

— Postawię z dziesięć dolców — powiedział Howard Browne, mijając go z szerokim uśmiechem — a potem muszę złapać autobus na lotnisko. — Zamknął za sobą drzwi od pokoju aukcyjnego.

Pojawiła się Karen z Astrid.

— Idziemy na aukcję? — spytała Poula. — Może kupimy oryginalnego Finlaya?

— No, czemu nie — powiedział Poul i wszyscy troje weszli do sali za Howardem Browne'em.

CO MÓWIĄ UMARLI?

I

Ciało Louisa Sarapisa od tygodnia spoczywało w kapsule ze specjalnego bezodpryskowego tworzywa. Tłum ludzi czekał w długiej kolejce, by po raz ostatni zobaczyć zmarłego. Jak zwykle przy takich okazjach nie zabrakło głęboko przejętych starszych pań w czarnych płaszczach, które szlochały głośno i chowały twarze w dłoniach.

W rogu olbrzymiej sali, w której ustawiono trumnę, Johnny Barefoot niecierpliwie czekał na swoją kolej. Nie chodziło mu jednak o to, by przyjrzeć się zmarłemu i opłakiwać jego odejście. Miał do wykonania zgoła odmienne zadanie. W firmie Louisa Sarapisa był menedżerem do spraw public relations i starzec właśnie jego wybrał w swoim testamencie na osobę, która miała... przywrócić zmarłemu życie.

— Cholera — mruknął Barefoot i spojrzął na zegarek. Audytorium zamykano dopiero za dwie godziny, a on by ł już głodny. Poza tym dookoła kapsuły z ciałem rozstawiono przenośną powłokę chłodzącą i w sali było prawie zimno, co dodatkowo pogarszało sprawę.

Żona Johnny'ego, Sara Belle, przyniosła mu termos z gorącą kawą.

— Napij się. — Odgarnęła mu z czoła kruczoczarne, proste włosy: — Nie wyglądasz najlepiej.

— Wiem — przytaknął. — Mam tego dosyć. Nie obchodził mnie za życia, a jeszcze mniej obchodzi teraz. — Wskazał ruchem głowy na trumnę i przechodzących obok niej żałobników.

— *Nil nisi bonum* — powiedziała cicho Sara.

Spojrzał na nią zdziwiony. Nie rozumiał tych słów. Pewnie były w obcym języku. Sara skończyła college.

— Tak mówił Królik — wyjaśniła z uśmiechem. — To znaczy: milcz, jeśli nie masz do powiedzenia nic dobrego. To z *Bambi*, takiego starego filmu. Gdybyś chodził ze mną na zajęcia do Muzeum Sztuki Nowoczesnej...

— Posłuchaj — przerwał jej gwałtownie. — Nie chcę przywracać tego starego oszusta do życia. Jak ja się w to wplątałem? Powinienem był odejść, kiedy ten zator przykuł go do łóżka. A tymczasem wplątałem się w to na dobre.

— Odłącz go.

— C... co?

Zaśmiała się.

— Boisz się? Odłącz powłokę chłodzącą. Ciało się ociepli i ze zmartwychwstania nici, nie? — Jej szarobłękitne oczy śmiały się do niego. — Boisz się go, prawda, Johnny? Biedaku. — Poglaskała go po ramieniu. — Rozwiódłabym się z tobą, ale nie zrobię tego. Potrzebujesz mamusi, która się tobą zajmie.

— Tak nie można — mruknął. — Louis jest bezbronny. To by było... nieludzkie.

— Prędzej czy później będziesz musiał mu się sprzeciwić — powiedziała szeptem. — Teraz, gdy jest półumarły, masz nad nim przewagę. To najlepszy moment. I może ci się to upiecze. — Odwróciła się, wsadziła ręce do kieszeni i odeszła.

Johnny był w podłym nastroju. Zapalił papierosa i oparł się o ścianę. Jego żona miała rację... jak zwykle. Półumarły w bezpośredniej konfrontacji z żywym nie miał żadnych szans. A jednak Johnny nie mógł tego zrobić. Przecież od dzieciństwa podziwiał Louisa. Sarapis zorganizował i kontrolował rynek przewozowy między Ziemią a Marsem z łatwością, z jaką dziecko przesuw

miniaturowe modele statków w grze planszowej. W chwili śmierci, w wieku siedemdziesięciu lat, Louis zarządzał poprzez firmę Wilhelmina Securities ponad setką mocniej lub słabiej powiązanych ze sobą przedsiębiorstw, których siedziby mieściły się na obu planetach. Wartość handlowa jego sieci była praktycznie nie do oszacowania, nawet dla celów podatkowych. A zresztą nikt nie odważyłby się podjąć takiego zadania... nawet rządowi eksperci z urzędu podatkowego.

Dzieci, pomyślał Johnny, muszą pamiętać o dzieciach. Są teraz w szkole, ty Oklahomie. Mógłby bawić się w coś takiego, gdyby nie miał rodziny. A obie córki kochał nad życie... Sarę oczywiście też. Muszę myśleć o nich, a nie o sobie, stwierdził. Czekał więc posłusznie, aż nadejdzie moment, kiedy będzie mógł, zgodnie z ostatnią wolą starca, zabrać jego ciało. Zobaczymy. Ma pewnie jeszcze w sumie chyba z rok półśmierci. Na pewno rozważne podzieli ten czas na okres jakichś dwudziestu lat. Jeden miesiąc w tym roku, kolejny w następnym. Później, gdy będzie miał już coraz mniej czasu zacznie skracać te okresy do, powiedzmy, tygodnia. A potem... jeden, dwa dni...

W końcu zostanie mu już tylko parę godzin. Sygnał będzie słaby — ledwie mała iskierka elektrycznej aktywności w zamrożonym mózgu. Zamigocze po raz ostatni, a słowa przetwarzane przez aparaturę wzmacniającą ucichną na zawsze. Nadejdzie wreszcie czas na spoczynek... na grób. Tylko że zanim to nastąpi, czeka ich wspólne dwadzieścia pięć lat. Mózg starca przestanie funkcjonować gdzieś około 2100 roku.

Johnny Barefoot zaciągnął się głęboko papierosem. Przypomniawszy sobie dzień, gdy po raz pierwszy, jako młody chłopak, znalazł się w biurze firmy Archimedean Enterprises. Wystraszony, wybełkotał do dziewczyny za biurkiem, że przyszedł w sprawie pracy. Miał na sprzedaż kilka świetnych po — my słów, które rozwiązałyby problem strajków. W owym czasie w portach lotniczych dochodziło do aktów przemocy, prowokowanych przez konkurujące ze sobą związki pracownicze. Dzięki planowi Barefoota Louis Sarapis wkrótce mógł przestać się z nimi liczyć. Johnny już wtedy wiedział, że takie postępowanie nie było do końca legalne, ale za to skuteczne... i warte mnóstwo pieniędzy. Dziewczyna wysłała go do pana Pershinga, szefa zatrudnienia, a ten skierował do samego Sarapisa.

— Chce pan powiedzieć, że moje statki powinny startować z powierzchni Oceanu Atlantyckiego? — zdziwił się wtedy Sarapis. — Spoza pięciokilometrowego pasa ograniczającego?

— Związki zawodowe to ogólnonarodowa organizacja, ale żaden z jej oddziałów nie ma władzy na pełnym morzu, a pańska firma handlowa operuje na arenie międzynarodowej — wyjaśnił Johnny.

— Do tego są potrzebni ludzie. Będę potrzebował tyle samo albo nawet więcej pracowników. Skąd ich weźmiemy?

— Niech ich pan nielegalnie ściągnie z Birmy, Indii albo Malezji — poradził Johnny. — Młodych i niewykwalifikowanych, których pan sam wyszkoli, a potem potrąci im z pensji za transport i naukę. Innymi słowy, w podpisanych kontraktach umieści pan klauzulę, że muszą odpracować poniesione przez pana nakłady. — To pachniało niewolnictwem i Johnny dobrze o tym wiedział. Ale Louis Sarapis kupił pomysł. Małe prywatne imperium na sio ku oceanu, gdzie mieli pracować robotnicy pozbawieni wszelkich świadczeń prawnych i socjalnych. Coś wspaniałego.

Sarapis zrobił dokładnie tak, jak radził Barefoot. Johnny'ego zatrudnił w wydziale public relations. Było to wymarzone miejsce dla kogoś, kto świetne pomysły nietechnicznej natury, wymarzone miejsce dla nieś czyli kogoś, kto nie skończył żadnych studiów — beużytecznego, nie kształconego outsidera.

— Powiedz, Johnny — zapytał go kiedyś Sarapis — jak to możliwe, że taki spryciarz jak ty

nigdy nie poszedł do szkoły? Każdy dziś wie, że to samobójstwo. Może drzemie w tobie jakaś potrzeba samounicestwienia? — Uśmiechnął się, pokazując rząd zębów z nierdzewnej stali.

— Masz rację, Louis — odpowiedział ponuro Barefoot. — Chcę umrzeć. Nienawidzę samego siebie. — Przypomniawszy sobie wtedy pomysł, dzięki któremu dostał tę pracę. Tyle że wymyślił to na długo po tym, jak rzucił szkołę. — Może powinienem pójść do psychoanalityka — stwierdził.

— Nie warto — poradził mu Louis. — To sami oszuści. Mam tu kilku takich w firmie. Twój problem to zawiść. Jesteś zbyt zachłanny. Jeśli nie możesz mieć wszystkiego naraz, rezygnujesz. Nie potrafisz dążyć do celu, walczyć.

Ale teraz mam wszystko, pomyślał wtedy, i to samo myślał teraz. Pracuję dla ciebie. Każdy chce mieć u ciebie posadę, bo proponujesz różne stanowiska.

Tłum żałobników przesuwiał się powoli. Johnny zastanawiał się, ilu z nich to pracownicy Sarapisa, członkowie rodzin pracowników albo ludzie, którzy korzystali z zasiłku publicznego, jaki trzy lata temu załatwił im w Kongresie. Starzec Sarapis odgrywał rolę dobrego ojca biednych, głodujących i bezrobotnych. Do jego darniowych zup ustawiały się takie kolejki, jak teraz do jego trumny.

I może stali w nich ci sami ludzie.

Rozmyślania Johnny'ego przerwał kręcący się po audytorium strażnik.

— Czy to nie pan był człowiekiem od public relations w organizacji Louisa? — zapytał.

— Tak. — Johnny zgasił papierosa i odkręcił termos z kawą, który przyniosła mu Sara. — Chce pan trochę? — zapytał. — A może chłód panujący w publicznych aulach już panu nie dokucza? — dodał. Urząd Miasta Chicago udostępnił to pomieszczenie za darmo, w dowód wdzięczności za wszystko, co Louis zrobił dla tego okręgu. Otworzył tu kilka fabryk i dał wielu obywatelom pracę.

— Do tego trudno się przyzwyczaić — odparł strażnik, biorąc od niego k z kawą. — Wie pan, panie Barefoot, zawsze pana podziwiałem. Jest pan przecież niestudem, a jednak zaszedł pan na sam szczyt. Zarabia pan mnóstwo pieniędzy, jest powszechnie znany i ceniony. To dla nas, innych niestudów, wielka motywacja.

Johnny mruknął coś, popijając kawę.

— Jasne — mówił dalej strażnik — to głównie panu Sarapisowi powinniśmy być wdzięczni, bo on dał panu tę pracę. Mój szwagier też dla niego pracował. To było pięć lat temu, w czasach, gdy tylko Sarapis zatrudniał nowych pracowników. Słyszy się tu i tam, jakim był sknerą. Nie chciał wpuścić związków i tak dalej. Ale prawda jest taka, że gdyby nie on, wielu ludzi nie miałoby dziś emerytury... Mój ojciec do śmierci brał pieniądze z funduszu emerytalnego. No i te wszystkie ustawy, które przepchnął w Kongresie. Sami nie przegłosowałyby żadnej, ale on potrafił naciskać, kiedy chodziło o prawa potrzebujących.

Johnny znów coś mruknął.

— Nic dziwnego, że zebrał się tu dzisiaj taki tłum. Kto teraz będzie pomagał najslabszym, niestudom, takim jak ja czy pan, kiedy jego zabrakło? — zapytał strażnik.

Johnny nie potrafił mu odpowiedzieć na to pytanie.

Właściciel kostnicy Ukochani Bracia i Siostry Herbert Schoenheit von Vogelsang musiał porozumieć się z ostatnim adwokatem pana Sarapisa, słynnym prawnikiem Claude'em St. Cyrem. Obowiązkiem von Vogelsanga było dowiedzieć się, jak należało rozłożyć pozostały półmarłemu okres jego pół — śmierci. Słowem, von Vogelsang odpowiadał za techniczną stronę całego przedsięwzięcia.

Miała to być rutynowa procedura, a jednak już na początku pojawiła się nieprzewidziana przeszkoda. Nie mógł skontaktować się z St. Cyrem, pełnomocnikiem Sarapisa.

Psiakrew, pomyślał von Vogelsang odkładając słuchawkę, coś się musiało stać. To niesłychane,

żeby nie można było skontaktować się z człowiekiem na takim stanowisku.

Dzwonił z magazynu — krypty, gdzie półumarłych trzymano pod specjalnymi powłokami chłodzącymi. Do biurka podszedł jakiś człowiek. Wyglądał na urzędnika. Rozglądał się dookoła ze smutkiem, a w rękę ścisnął odcinek paragonu. Najwyraźniej przyszedł odebrać krewnego. Zbliżało się Święto Zmartwychwstania, dzień, w którym czczono półumarłych. W tym okresie zawsze wzmagał się ruch.

— Proszę bardzo — powiedział von Vogelsang z ciepłym uśmiechem — osobiście się panem zajmę.

— To starsza pani — wyjaśnił klient — około osiemdziesiątki. Drobna i wysuszona. Chcę z nią porozmawiać, ale także zabrać ją na trochę — dodał. — To moja babcia.

— Jedną chwilkę — powiedział von Vogelsang i wrócił do magazynu, by sprawdzić numer 3054039-B.

Znalazł go bez problemu i przeglądał teraz raport załadunkowy. Wynikało z niego, że staruszcze pozostało jeszcze do rozdysponowania piętnaście dni półśmierci. Natychmiast wepchnął w otwór trumny przenośny wzmacniacz, włączył urządzenie, wyszukał właściwą częstotliwość i sprawdził poziom aktywności mózgowej.

Po dłuższej chwili z kolumn popłynął głos:

— ...i wtedy Tillie skręciła kostkę, i myśleliśmy, że nigdy się nie zagoi, bo uparła się, że od razu zacznie chodzić...

Zadowolony, von Vogelsang odłączył wzmacniacz i zawołał jednego z pracowników. Kazał mu przetransportować numer 3054039-B na platformę załadunkową, gdzie interesant mógł odebrać trumnę samochodem lub helikopterem.

— Sprawdził ją pan? — zapytał klient, płacąc należność.

— Osobiście — odparł Herb. — Jest w idealnym stanie. — Uśmiechnął się. — Wesołych Świąt Zmartwychwstania, panie Ford.

— Dziękuję — powiedział mężczyzna, ruszając w stronę platformy. Kiedy przyjdzie na mnie czas, stwierdził Herb, każę moim potomkom wskrzeszać się tylko na jeden dzień co sto lat. W ten sposób będę mógł obserwować historię ludzkości. Tylko że to narażałoby spadkobierców na spore koszty i bez wątpienia prędzej czy później daliby sobie spokój, wyjęli ciało z ochronnej powłoki i — nie daj Bóg — pochowali.

— Grzebanie w ziemi — mruknął pod nosem — to barbarzyństwo. Pozostałość po prymitywnych obrządkach naszych przodków.

— Tak, proszę pana — przytaknęła znad maszyny do pisania sekretarka, panna Beasman.

W martwej ciszy sali rozmów kilku klientów kontaktowało się ze swoimi półumarłymi, których dowożono w tym celu z magazynu. Było tu cicho i spokojnie. Oddani żyjący często tutaj przychodzili, by oddać cześć krewnym i znajomym. Opowiadali im, co działo się na zewnątrz i pocieszali półumarłych w chwilach ich rzadkiej aktywności mózgowej. Poza tym... płacili Herbowi Schoenheit von Vogelsangowi. Kostnica była bardzo dochodowym interesem.

— Ojciec jest w marnej formie — zaczął Herba młody mężczyzna. — Może mógłby pan zobaczyć, co się dzieje. Bardzo pana proszę.

— Ależ naturalnie — odparł uprzejmie Herb i ruszył za młodzieńcem alejką między trumnami. Raport załadunkowy wskazywał, że krewnemu klienta zostało zaledwie kilka dni półśmierci. To tłumaczyło kiepską jakość procesu myślowego. Mimo to głos półumarłego stał się wyraźniejszy, gdy Herb podłączył wzmacniacz. Już prawie po nim, pomyślał. Było raczej oczywiste, że syn nie życzył sobie oglądać raportu. Nie chciał wiedzieć, że głos słabnie, bo zbliża się nieuchronny koniec. Dlatego Herb nie wspominał o tym. Po prostu oddalił się, zostawiając ich samych. Po co miałby mówić takie rzeczy? Po co Jeszcze bardziej zatruwać mu życie?

Na platformie załadunkowej pojawiła się ciężarówka. Wsiadło z niej nich mężczyzn ubranych w znajome niebieskie kombinezony. Herb wiedział, że przyjechali z firmy Atlas — Międzyplanetarny Skład i Transport. Przywieźli kolejnego półumarłego albo chcieli zabrać kogoś z już nieżywych. Wszedł robotnikom na spotkanie.

— O co chodzi, panowie?

— Przywieźliśmy pana Louisa Sarapisa — powiedział kierowca. — Macie tu dla niego gotowe miejsce?

— Naturalnie — zapewnił Herb. — Tylko nie mogę zaprogramować dla niego okresu półśmierci, bo pan St. Cyr jest nieuchwytny. Kiedy mam go wskrzesić?

Z ciężarówki wysiadł teraz trzeci mężczyzna, o ciemnych włosach i niepokojących, czarnych oczach.

— Nazywam się John Barefoot. Pan Sarapis w testamencie wyznaczył mnie do tej roli. Proszę wskrzesić go natychmiast. Takie dostałem rozkazy.

— Rozumiem — przytaknął Herb. — W porządku. Proszę go wnieść i zaraz podłączymy aparaturę.

— Zimno tu — zauważył Barefoot. — Zimnej niż w audytorium.

— No cóż, to raczej zrozumiałe... — stwierdził Herb.

Robotnicy wyciągnęli już trumnę. Herb przez chwilę przyglądał się zmarłemu. Twarz Sarapisa była sina. Robi wrażenie, stary pirat, pomyślał Herb. Dobrze, że już nie żyje. Komu potrzebne było to jego miłosierdzie? Na pewno nie nam. Zatrzymał to jednak dla siebie i bez słowa zaprowadził robotników na przygotowane miejsce.

— Za piętnaście minut zacznie mówić — obiecał Barefootowi, który wyglądał na zdenerwowanego. — I proszę się nie martwić. Na tym etapie awarie praktycznie się nie zdarzają. Na początku wewnętrzny ładunek szczątkowy jest nadal dość silny.

— Dopiero później — domyślił się Barefoot — gdy zaczyna zanikać... Wtedy zaczynają się problemy, tak?

— Dlaczego chce, by wskrzesić go tak szybko? — zapytał Herb. Barefoot zmarszczył brwi i nic nie odpowiedział.

— Przepraszam — powiedział Herb. Majstrował jeszcze przy przewodach, które należało bardzo dokładnie podłączyć do katodowych końcówek w trumnie. — W niskich temperaturach — mruknął — prąd płynie w sposób praktycznie niezakłócony. Przy minus stu pięćdziesięciu stopniach czynny opór elektryczny właściwie nie istnieje, więc... — Założył nasadkę anodową. — Sygnał powinien być silny i czysty — dodał i włączył wzmacniacz.

Usłyszeli szum. Nic więcej.

— No i? — spytał Barefoot.

— Sprawdzę jeszcze raz instalację — mruknął Herb. Zastanawiał się, co mogło być nie tak.

— Jeśli teraz pan coś sknoci i stracimy go... — Barefoot nie musiał kończyć. Herb wiedział dobrze, co chciał powiedzieć.

— Chce wziąć udział w Republikańsko — Demokratycznym Zgromadzeniu Narodowym? — zapytaj. Zgromadzenie miało się odbyć jeszcze w tym miesiącu, w Cleveland. W przeszłości Sarapis był aktywnym działaczem zaplecza sceny politycznej zarówno w Partii Republikańsko — Demokratycznej, jak i Liberalnej, szczególnie w czasie zgromadzeń, na których wybierano tego, kto miał startować w wyborach prezydenckich. Mówiło się otwarcie, że poprzedniego kandydata Partii Republikańsko — Demokratycznej wyznaczył właśnie sam Sarapis. Schludny, przystojny Gam przegrał, ale niedużą różnicą głosów.

— I co? Ciągle nic? — dopytywał się Barefoot.

— To znaczy...

— To znaczy, że nic — Barefoot był wyraźnie poirytowany. — Jeśli nie uda się panu w ciągu dziesięciu minut, połączę się z Claude'em St. Cyrem i zabierzemy Louisa z pana kostnicy, a potem oskarżymy was o zaniedbanie obowiązków.

— Robię, co mogę — zapewnił go Herb. Spocił się z nerwów. — Proszę pamiętać, że to nie nasza firma zakładała powłokę ochronną. A właśnie tutaj może być jakiś błąd.

W jednostajny szum wdarły się teraz głośnie trzaski i zakłócenia.

— Czy to on? Wraca? — zapytał Barefoot.

— Nie — przyznał Herb. Zdenerwował się jeszcze bardziej. Takie objawy nie wróżyły niczego dobrego.

— Niech pan próbuje dalej. — Barefoot nie musiał mu tego powtarzać. Herbert Schoenheit von Vogelsang uwijał się jak w ukropie. Wykorzystując całą swoją wiedzę i wieloletnie doświadczenie, starał się wskrzesić Sarapisa, ale ten, jak na złość, milczał.

Nie dam rady, pomyślał Herb z przerażeniem. Nie rozumiem, co się dzieje. Co się stało? Taki ważny klient i akurat awaria. Pracował dalej. Ani razu nie spojrzął w stronę Barefoota. Nie miał odwagi.

Siedzący przy radioteleskopie na Stacji Kennedy'ego, po ciemnej stronie Księżyca, starszy technik Owen Angress zdał sobie sprawę, że aparatura wychwyciła właśnie sygnał wysłany z rejonu oddalonego od granic systemu słonecznego o jakiś tydzień świetlny w kierunku Proximy. Obszar ten zwykle nie był celem obserwacji Komisji ONZ do spraw Komunikacji w Głębokim Kosmosie, ale sygnał, który teraz przechwycili, był naprawdę niezwykły.

Zawierał zapis ludzkiego głosu, słaby i urywany, mimo że przetworzono go przez wzmacniacze i przechwycono przez ogromną antenę radioteleskopu.

— ...trzeba czasu — mówił głos. — I jeśli ich znam, a tak mi się wydaje, to Johnny wróciłby, gdybym nie miał go na oku. Ale przynajmniej nie jest oszustem, jak ten St. Cyr. Dobrze zrobiłem, zwalniając go. Zakładając, że mogę.. — Głos zanikł nagle.

Co tam jest? — zastanawiał się Angress, zaskoczony.

— Na jednej pięćdziesiątej drugiej roku świetlnego — mruknął. Spojrzął szybko na mapę dalekiego kosmosu, którą właśnie poprawiał. — Nic. Tylko chmury pyłu. — Nie mógł pojąć, co oznaczał ten sygnał. Czyżby odbił się od powierzchni Księżyca, wysłany przez jeden z pobliskich przekaźników? Czy w takim razie było to tylko echo?

A może źle odczytywał namiary?

Nie, to niemożliwe. Dziwna rzecz... Jakby tam, w przestrzeni, ktoś zastanawiał się głośno... Siedział przy przekaźniku i roztrząsał coś, powoli i sennie... Nie, to kompletny absurd.

— Powinienem zameldować o tym Wycoffowi z Radzieckiej Akademii Naukowej — mruknął pod nosem. Wycoff był obecnie jego przełożonym, a w przyszłym miesiącu zostanie nim Jamison z MIT. — A może to statek dalekiego zasięgu, który...

Znów dało się słyszeć ten sam głos:

— ...że Gam jest głupcem. Teraz już to wiem. Halo? Co? Wracam już? Na litość boską... Najwyższy czas! Ej! Johnny! To ty?

Angress chwycił słuchawkę i wstukał kod połączenia do Związku Radzieckiego.

— No, powiedz coś, Johnny! — domagał się głos. — Dalej, synu. Jest tyle rzeczy, o których chcę pogadać. Tyle do zrobienia. Zgromadzenie już się zaczęło? Tutaj nie ma się poczucia czasu. Nic się nie widzi i nie słyszy. Kiedyś sam się przekonasz... — Głos ucichł ponownie.

Takie rzeczy Wycoff zwykle określa mianem „zjawiska”, stwierdził Angress. I całkowicie go rozumiem.

II

Claude St. Cyr słyszał w wieczornych wiadomościach, jak spiker mówił coś o odkryciu, jakiego dokonał radioteleskop na Księżycu. Nie zwrócił jednak na tę informację specjalnej uwagi.

— Tak — odezwał się do Gertrudy Harvey. — Jak na ironię, osobiście sporządziłem testament Sarapisa, razem z klauzulą, że po jego śmierci mam być zwolniony w trybie natychmiastowym. I powiem ci, dlaczego tak się stało Louis żywił wobec mnie jakieś paranoiczne podejrzania. Wydawało mu się — że taki zapis w testamencie uchroni go przed... — odmierzył odrobinę wytrawnego wina i dolał do dżinu — ...przedwczesnym odejściem. — Uśmiechnął się, a Gertruda, która siedziała w kuszącej pozie na kanapie obok męża, odpowiedziała uśmiechem.

— No i bardzo mu to pomogło — zauważył Phil Harvey.

— Cholera — zaprotestował St. Cyr. — Nie miałem nic wspólnego z jego śmiercią. To był zator... Wielki zakrzep, który zaczopował go, jak korek szyjkę butelki. — Rozśmieszyło go to porównanie: — Natura sama znalazła na niego sposób.

— Posłuchajcie, co mówią w telewizji — powiedziała Gertruda. — Coś dziwnego. — Podeszła do odbiornika i zaczęła się przysłuchiwać.

— Pewnie znów coś o Kencie Margrave — stwierdził St. Cyr. — Znów jakieś przemówienie. — Przez ostatnie cztery lata Margrave był ich prezydentem. Liberał, który pokonał Alfonsa Gama, kandydata osobiście wyznaczonego do tej roli przez Sarapisa. Mimo wszystkich swoich wad, Margrave był politykiem z prawdziwego zdarzenia. Udało mu się przekonać całe rzesze wyborców, że wybór maskotki Sarapisa na prezydenta nie byłby najlepszą decyzją.

— Nie — powiedziała Gertruda, naciągając na kolana krótką spódniczkę — To z agencji kosmicznej, zdaje się. Coś naukowego.

— Naukowego! — parsknął St. Cyr. — Skoro tak, to posłuchajmy. Zrób głośniej. Pewnie znów znaleźli nową planetę w Systemie Oriona — mruknął pod nosem. — Kolejny cel naszej zbiorowej egzystencji.

— Niezwykły głos — mówił spiker — płynący gdzieś z odległego kosmosu, zadziwił dziś naukowców ze Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego.

— O nie — jęknął St. Cyr. — Znów głos z kosmosu... Proszę, tylko nie to! — Zaśmiał się głupawo, odszedł od telewizora i zwrócił się do Phila. — Tego nam właśnie trzeba. Głos z kosmosu... który okaże się głosem... no wiesz, kogo.

— Kogo? — zapytał Phil.

— Boga, naturalnie. Radioteleskop w Stacji Kennedy'ego przechwycił głos Boga i teraz otrzymamy kolejny zestaw przykazań. — Zdjął okulary i otarł twarz lnianą chusteczką.

— Ja tam zgadzam się z żoną. To bardzo ciekawe — stwierdził ponuro Phil Harvey.

— Posłuchaj, stary. Dobrze wiesz, że to kolejne radio tranzystorowe, które jakiś japoński student zgubił w czasie podróży z Ziemi na Callisto. Dryfując, zawędrowało poza nasz Układ Słoneczny. Teraz teleskop złapał jego sygnał i wszyscy naukowcy dostali kota. — Uśmiech zniknął z twarzy Claude'a. — Wyłącz to, Gert. Mamy poważniejsze sprawy na głowie.

Posłuchała go niechętnie.

— Czy to prawda. Claude — spytała — że w kostnicy nie mogli wskrzesić Louisa? Ze nie jest jeszcze w półśmierci, choć zażyczył sobie tego w testamencie?

— Nikt z organizacji już się ze mną nie kontaktuje — poskarżył się St. Cyr. — Nie słyszałem takie plotki. — Właściwie to dobrze wiedział, że to prawda. Miał w firmie Wilhelmina wielu przyjaciół, ale nie lubił przyznawać się do takich znajomości — Myślę, że to prawda.

Gertruda wzdygnęła się.

— Wyobraźcie sobie, że nie mogą was wskrzesić. To musi być straszne.

— Ale to naturalny stan — zauważył jej mąż, popijając martini. — Dawniej nikt nawet nie słyszał o półśmierci.

— Ale dziś jest inaczej — upierała się.

— Wróćmy do tematu — poprosił Phila St. Cyr. Harvey wzruszył ramionami.

— Jeśli uważasz, że jest o czym rozmawiać. — Spojrzał na St. Cyra krytycznie. — Mogę cię zatrudnić jako prawnika, jeśli na pewno tego chcesz. Ale pamiętaj, że u mnie nie będzie tak jak u Louisa. To nie byłoby sprawiedliwe wobec innych prawników, których zatrudniam.

— Wiem o tym doskonale — zapewnił go St. Cyr. Firma przewozowa Phila nie mogła się równać z potężną organizacją Sarapisa. Harvey był jednym z mniej ważnych przedsiębiorców transportowych między Marssem a Ziemią.

Ale St. Cyrow i właśnie na tym zależało. Liczył, że w ciągu najbliższego roku, wykorzystując swoje doświadczenie i kontakty, usunie Harveya i przejmie Elektra Electronics.

Pierwsza żona Harveya miała na imię Elektra. St. Cyr poznał ją, zanim się rozwiodła z Philem, ale i potem nie przestał się z nią spotykać. Ich spotkania nabrały teraz bardziej osobistego, duchowego charakteru. Zawsze uważał, że podczas rozwodu Elektra została źle potraktowana. Harvey wynajął świetnego prawnika, któremu nie sprostął adwokat Elektry — Harold Faine. Zresztą Harold pracował wówczas jako młody prawnik razem z St. Cyrem. Claude do dziś nie mógł sobie darować, że sam nie podjął się wtedy tej sprawy. Tylko że praca w firmie Sarapisa pochłaniała mu zawsze tyle czasu... Nie mógłby tego wtedy pogodzić.

A teraz, gdy Sarapis nie żył, St. Cyr definitywnie zakończył współpracę z firmami Wilhelmina i Archimedean Enterprises. Mógł nadrobić wreszcie stracony czas i pomóc kobiecie, którą (nie bał się tego przyznać) bardzo kochał.

Tyle że był na razie na początku drogi. Za wszelką cenę musiał dostać się do firmy Harveya — i najwyraźniej to mu się właśnie udało.

— Czyli umowa stoi? — zapytał, wyciągając do Phila dłoń.

— Jasne — zgodził się Harvey. Nie wyglądał na specjalnie przejętego, uściśnął jednak rękę St. Cyra. — A tak przy okazji — napomknął. — Z tego, co słyszałem... a to dość pewne źródło... Sarapis kazał cię zwolnić z zupełnie innego powodu, niż twierdzisz.

— Doprawdy? — St. Cyr starał się ukryć zdenerwowanie.

— Podobno podejrzewał, że ktoś, prawdopodobnie ty, nie chce, by wrócił do stanu półśmierci. Uważał, że możesz znaleźć kostnicę, gdzie pracują znani ci ludzie... którym nie udałoby się go wskrzesić. — Przyglądał się St. Cyrowi uważnie. — Dziwne, ale tak się właśnie stało.

Zapadło głucho milczenie.

— Dlaczego Claude miałby zrobić coś takiego? — zapytała Gertruda.

— Nie mam pojęcia — przyznał Harvey i z namysłem potarł brodę. — Nie rozumiem nawet samej idei półśmierci. Czy to prawda, że półumarli patrzą na świat z innej perspektywy? Widzą rzeczy, których nie dostrzegali za życia?

— Tak, też to słyszałam. Psychologowie tak twierdzą — przytaknęła Gertruda. — Dawni teologowie nazywali ten stan nawróceniem.

— Może Claude bał się, że Sarapis dostrzeże coś, czego widzieć nie powinien — zasugerował Harvey. — Ale to oczywiście tylko domysły.

— No właśnie — zauważył St. Cyr. — Wszystko to domysły. Poza tym nie znam nikogo w branży pogrzebowej. — Mówił spokojnym głosem, ale sam przed sobą przyznawał, że cała ta rozmowa jest dziwnie nieprzyjemna. Z boku rzeczywiście mogło to tak wyglądać.

Pojawiła się służąca i oznajmiła, że podano do stołu. Cała trójka wstała i ruszyła do jadalni.

— Claude, kto jest dziedzicem Sarapisa? — zapytał Phil Harvey.

— Jego wnuczka. Kathy Egmont. Mieszka na Callisto. Doprawdy niezły z niej numer... Ma dopiero dwadzieścia lat, a już pięć razy siedziała w więzieniu, głównie za narkotyki. Ostatnio, o ile mi wiadomo, uwolniła się od nałogu, ale za to stała się fanatyczką religijną. Nigdy nie poznałem jej osobiście. Wymieniali z Louisem tony listów.

— Więc kiedy testament starego zostanie urzędowo zatwierdzony, ona przejmie cały majątek i polityczne wpływy?

— Niezupełnie — zaprzeczył St. Cyr. — Politycznych wpływów nie można dostać w spadku. Kathy przejmie ekonomiczną sieć Sarapisa. Reprezentuje dominującą spółkę macierzystą, którą zarejestrowano, zgodnie z prawem stanu Delaware, pod nazwą Wilhelmina Securities. Teraz będzie należała do dziewczyny. Może zrobić z tego użytek, jeśli w ogóle dotrze do niej, co tak naprawdę otrzymała w spadku.

— Nie zabrzmiało to zbyt optymistycznie — stwierdził Phil.

— Wszystkie listy, przynajmniej według mnie, świadczą o tym, że dziewczyna jest chora psychicznie i ma przestępcze skłonności. To ostatnia osoba, która powinna odziedziczyć majątek Louisa.

Zasiedli do stołu.

W środku nocy Johnny'ego Barefoota obudził telefon. Johnny usiadł na łóżku i po omacku znalazł aparat.

— Halo! Co to za kawały? — warknął. Słyszac jego głos, Sara Belle poruszyła się.

Odpowiedział mu słaby, damski głos.

— Przepraszam, panie Barefoot... Nie chciałam pana obudzić, ale mój prawnik poradził mi, żebym natychmiast po przylocie na Ziemię do pana zadzwoniła. Mówi Kathy Egmont... a właściwie już pani Kathy Sharp. Poznaje mnie pan?

— Tak — Johnny ziewnął i przetarł oczy. W pokoju było zimno. Sara podciągnęła wyżej kołdrę i obróciła się na drugi bok. — Mam po panią przyjechać? Ma się pani gdzie zatrzymać?

— Nie mam tu żadnych znajomych — wyznała. — Ale w porcie polecili mi hotel Beverely, więc tam się zatrzymam. Przyleciałam z Callisto natychmiast po otrzymaniu informacji o śmierci dziadka.

— Faktycznie, szybko się pani zjawila — przyznał. Sądził, że przyleci nie wcześniej niż jutro.

— Czy mogłabym — zapytała nieśmiało — zatrzymać się u pana? Przeraza mnie wielki hotel, gdzie nikt mnie nie zna.

— Przykro mi. Jestem żonaty. — Za późno ugryzł się w język. Przecież mógł w ten sposób obrazić dziewczynę. — To znaczy — wyjaśnił — nie mamy wolnego pokoju. Proszę dzisiaj jakoś się przemęczyć w Beverely, a jutro znajdę pani lepsze mieszkanie.

— Dobrze — odpowiedziała z rezygnacją. — Proszę mi jeszcze powiedzieć, panie Barefoot, czy udało się już wskrzesić dziadka?

— Niestety nie — przyznał. — Ale specjaliści pracują nad tym.

Gdy wychodził z kostnicy, nad trumną Sarapisa obradowało pięciu techników, którzy starali się ustalić przyczynę usterki.

— Muszę przyznać, że nie jestem specjalnie zaskoczona.

— Jak to?

— Dziadek był jedyny w swoim rodzaju. Wie pan to pewnie lepiej ode mnie, przecież przebywał pan z nim na co dzień. Ale... jakoś nie potrafię wyobrazić sobie dziadka takiego bezwładnego. Nie widzę go jako półumarłego. Zawsze był taki zaradny i pełen życia. Czy po tym wszystkim, czego dokonał, wyobraża pan sobie Louisa, jak leży biernie i nieruchomo?

— Porozmawiamy jutro — powiedział Johnny. — Przyjadę po panią do hotelu około

dziewiątej. Dobrze?

— Może być. Cieszę się, że wreszcie pana poznałam, panie Barefoot. Mam nadzieję, że zostanie pan w Archimedean i będzie dla mnie pracował. Do zobaczenia. — Odłożyła słuchawkę.

Mój nowy szef, pomyślał Johnny. No, no.

— Kto to? — mruknęła Sarah. — O tej godzinie?

— Właściciel Archimedean. Mój szef.

— Louis Sarapis? — usiadła gwałtownie. — Aha... To ta jego wnuczka. Już tu jest tak? No i co o niej myślisz?

— Boja wiem... Wygląda na przerażoną. W porównaniu z Ziemią jej świat jest mały i ograniczony. — Nie powiedział żonie wszystkiego tego, co wiedział o Kathy. Nie wspomniał ani słowem o uzależnieniu, narkotykach i więzieniu.

— Czy wolno jej teraz przejąć interesy Louisa? Nie powinna poczekać, aż skończy się jego okres półśmierci?

— Z prawnego punktu widzenia Sarapis nie żyje. Jego testament został już uwierzytelniony — wyjaśnił Johnny. A poza tym, pomyślał, on nawet nie jest jeszcze w stanie półśmierci. Martwy i milczący spoczywa w trumnie z plastiku, pod powłoką ochronną, która widocznie nie zapewniła mu wystarczającej ochrony.

— Myślisz, że się z nią dogadasz?

— Nie wiem nawet — odparł szczerze — czy będę próbował. — Nie podobało mu się, że jego szefem ma zostać kobieta. Tym bardziej młodsza od niego. Poza tym, jak słyszał, miała psychopatyczną osobowość. Chociaż przez telefon wydawała się dość sympatyczna. Johnny rozbudził się już zupełnie i siedział teraz na łóżku, rozmyślając.

— Na pewno jest bardzo ładna — powiedziała Sarah Belle. — Zakochasz się w niej i zostawisz mnie.

— Nie sądzę — mruknął — by miało się stać coś takiego. Raczej popracuję dla niej. Przemęcę się kilka miesięcy, a potem odejdę i poszukam innej roboty. — Tylko co z Louistem? — pomyślał. — Czy uda się go w końcu wskrziesić? To była teraz największa niewiadoma.

Gdyby im się udało, Sarapis mógłby pokierować wnuczką. I choć z prawnego i fizjologicznego punktu widzenia pozostawał martwy, wciąż, do pewnego stopnia, był w stanie kierować swoim imperium. Na razie jednak było to niemożliwe. A przecież starzec życzył sobie, by wskrzeszono go natychmiast, koniecznie przed Zgromadzeniem Demokratyczno-Republikańskim. Louis dobrze wiedział, komu zostawia swoją korporację. Miał świadomość, że dziewczyna nie poradzi sobie sama. A ja, pomyślał Johnny, niewiele mogę dla niej zrobić. Claude St. Cyr mógłby jej pomóc, ale Louis usunął go z organizacji. Co nam więc pozostało? Trzeba dalej próbować. Może uda się wskrziesić Louisa, nawet jeśli trzeba będzie w tym celu objechać wszystkie kostnice w Stanach, na Kubie i w Rosji.

— Widzę, że coś cię gryzie — powiedziała Sarah Belle. Włączyła małą lampkę przy łóżku i sięgnęła po szlafrok. — Środek nocy to nie pora, by rozwiązywać poważne problemy.

Tak chyba czuje się półumarły, pomyślał Johnny. Głowa mu ciążyła. Przetarł twarz, by odpędzić sen.

Rano zaparkował w podziemnym garażu hotelu Beverely i wjechał windą do głównego holu. Przy wejściu przywitała go uśmiechnięta recepcjonistka. Hotel nie jest zbyt luksusowy, pomyślał Johnny, ale przynajmniej czysty i schludny. Typowy hotel rodzinny, gdzie zatrzymywało się też z pewnością wielu emerytów. Najwyraźniej Kathy była przyzwyczajona do skromnego życia.

Zapytał o nią i recepcjonistka skierowała go do kawiarni.

— Czeka przy śniadaniu. Uprowadza, że może się pan pojawić, panie Barefoot.

W kawiarni panował spory ruch. Prawie wszystkie stoliki były zajęte. Zatrzymał się przy wejściu i poszukał wzrokiem Kathy. Zastanawiał się, jak wygląda. Może to ta ciemnowłosa dziewczyna o zamysłonym spojrzeniu, siedząca w samym rogu? Podszedł bliżej i zobaczył, że ma farbowane włosy. Bez makijażu jej twarz była nienaturalnie blada. Kathy wyglądała na osobę, która sporo wycierpiała, choć nie nauczyło ją to wiele. Przyglądał jej się przez chwilę i doszedł do wniosku, że jest nieszczęśliwa, a mimo to ani myśli cokolwiek zmienić w swym życiu.

— Kathy? — spytał.

Dziewczyna spojrzała na niego pustym wzrokiem. Twarz miała zupełnie pozbawioną wyrazu.

— Tak — powiedziała cicho. — Pan John Barefoot? — Usiadł naprzeciwko niej. Obserwowała go, a w jej spojrzeniu zauważył coś dziwnego. Jakby wyobrażała sobie, że zaraz rzuci się na nią i... nie daj Boże... wykorzysta. Przypomina małe, wystraszone zwierzątko, pomyślał, które odwróciło się plecami do ściany i czeka, skąd padnie pierwszy cios.

Jej bladość była zapewne wynikiem długiego nadużywania narkotyków. Ale to nie usprawiedliwiała tego beznamytnego tonu i pustej twarzy. A jednak... mogła się podobać. Miała regularne, delikatne rysy, które, gdyby tchnąć w nią więcej życia, na pewno robiłyby wrażenie. I może tak było... Wiele lat temu.

— Zapłaciłam za bilet, hotel i śniadanie — powiedziała — i zostało mi tylko pięć dolarów. Mógłby pan... — zawahała się. — Nie bardzo wiem, co mam ze sobą zrobić. Czy... jestem już właścicielką firmy dziadka? Mogłabym wziąć coś z jego pieniędzy?

— Wypiszę pani czek na sto dolarów. Odda mi pani później. — Wyjął książeczkę czekową.

— Naprawdę? — spytała zaskoczona i uśmiechnęła się. — Ufa mi pan czy chce zrobić na mnie wrażenie? W końcu był pan u dziadka specjalistą od public relations, prawda? Czy dziadek umieścił pana w testamencie? Nie pamiętam. Wszystko stało się tak szybko.

— Cóż... przynajmniej nie wylał mnie, jak Claude'a St. Cyra.

— Więc zostaje pan. — To ją chyba trochę uspokoiło. — Zdaje się, że jestem teraz pana... szefową.

— Na to wygląda. Jeśli oczywiście potrzebuje pani faceta od public relations. Sam Louis nigdy nie był tego do końca pewien.

— Proszę mi powiedzieć, co zrobiono do tej pory, by go wskrzesić. W dużym skrócie opisał jej sytuację.

— Nie podano tego jeszcze do publicznej wiadomości? — zapytała.

— Wiem o tym tylko ja i właściciel kostnicy, Herbert Schoenheit von Vogelsang. Swoją drogą, co za przedziwne nazwisko. Możliwe też, że pogłoski dotarł już do Phila Harveya, który ma firmę przewozową, i do Claude'a St. Cyra. Oczywiście Louis powinien wydać jak najszybciej oświadczenie dla prasy. Im dłużej będzie milczał...

— Musimy je spreparować — zdecydowała. — Trzeba udawać, że mamy z nim kontakt. To będzie pana nowe zadanie, panie Funnyfoot. — Znów się uśmiechnęła. — Zajmie się pan oświadczeniami dla prasy, dopóki nie uda nam się wskrzesić dziadka albo dopóki z tego nie zrezygnujemy. Myśli pan, że tak się to skończy? — Po chwili dodała: — Chciałabym go zobaczyć, jeśli to możliwe.

— Zabiorę panią do kostnicy. I tak za godzinę miałem tam jechać.

Kathy pokiwała głową i wróciła do śniadania.

Dziewczyna stała przy przezroczystej trumnie i wpatrywała się w zmarłego. Johnny zastanawiał się, o czym myśli. Może zamierza zapukać w szybę i powiedzieć: „Dziadku, obudź się”. I może to wreszcie by coś dało. Bo próbowali już wszystkiego.

— Nic z tego nie rozumiem, panie Barefoot — mamrotał załośnie, potrząsając głową, Herb

Schoenheit von Vogelsang. Technicy pracowali nad nim całą noc. Sprawdzili połączenia... i nic. Podłączyliśmy elektroencefalograf, który potwierdził aktywność mózgu. Życie pośmiertne nie wygasło, ale wciąż nie możemy nawiązać z nim kontaktu. Jak pan widzi, na całej powierzchni czaszki umieściliśmy sondy. — Wskazał na płataninę kabli, które łączyły głowę zmarłego z aparaturą wzmacniającą. — Sam już nie wiem, co robić, proszę pana.

— A metabolizm mózgu? — zapytał Johnny.

— Istnieje w wymiernym stopniu. Wezwaliśmy ekspertów spoza firmy i ustalili jego obecność. Utrzymuje się na normalnym poziomie, jak u każdego zmarłego.

— To bez sensu — stwierdziła spokojnie Kathy. — On był zbyt wielkim człowiekiem. To dobre dla stetryczających staruszek, które raz do roku zabiera się na Święto Zmartwychwstania. — Odwróciła się od trumny. — Chodźmy stąd, Johnny — zarządziła.

W milczeniu wyszli z kostnicy. Był słoneczny wiosenny dzień, a na rosnących wzdłuż chodnika drzewach wiśniowych pojawiły się już pierwsze kwiaty.

— Śmierć — przerwała ciszę Kathy — i odrodzenie. Technologiczny cud. Może Louis zobaczył, jak jest po drugiej stronie, i zmienił zdanie... Może on po prostu nie chce tu wracać.

— Boja wiem... Aparatura wykryła ładunki elektryczne. Jego mózg wciąż pracuje. A to znaczy, że on jest tu i cały czas o czymś myśli. — Johnny pozwolił Kathy wziąć się pod ramię, gdy przechodzili przez ulicę.

— Słyszałem — powiedział cicho — że interesuje cię religia.

— To prawda — odparła. — Kiedyś, gdy jeszcze brałam, zdarzyło mi się przedawkować... no, nieważne. W każdym razie serce przestało mi bić. Przez kilka minut byłam w stanie śmierci klinicznej. Uratowali mnie podczas reanimacji. No wiesz... masaż serca i elektrowstrząsy. Przez te kilka chwil doświadczyłam tego, co spotyka półumarłych.

— Lepiej tam jest?

— Nie wiem, czy lepiej, czy gorzej. Na pewno inaczej. Jak we śnie. I nie chodzi mi o to, że wszystko jest nierealne i rozmyte. Nie. Tam po prostu nie obowiązuje logika. No i nie ma grawitacji. To podstawowa różnica. Czuje się taką lekkość. Nie wiem, jakie to ma znaczenie, ale pomyśl tylko, ile typowych marzeń sennych bierze się właśnie z poczucia lekkości.

— Odmieniło cię to — zgadł Johnny.

— Pozwoliło mi pokonać nałóg, jeśli o tym myślisz. Nauczyłam się kontrolować swoje żądze i tłumić zachłanność. — Zatrzymała się przy stoisku z gazetami i przeczytała nagłówek. — Widziałeś to?

GŁOS Z DALEKIEGO KOSMOSU WPRAWIA NAUKOWCÓW W ZAKŁOPOTANIE

— Ciekawe — powiedział.

Kathy wzięła gazetę i przeczytała artykuł pod nagłówkiem.

— Bardzo dziwne — stwierdziła. — Przechwycili głos jakiejś czującej, żywej istoty... Sam zobacz. — Podała mu gazetę. — Ze mną było tak samo, kiedy umarłam. Zdawało mi się, że dryfuję w przestrzeni. Uwolniłam się najpierw od grawitacji Callisto, a potem od słonecznej. Wydostałam się poza nasz układ. Ciekawe, kto to taki? — Wzięła od niego gazetę i jeszcze raz przeczytała artykuł.

— Należy się dziesięć centów — rzucił w ich stronę robokiosk.

Johnny wrzucił monetę.

— Nie wydaje ci się, że to może być dziadek? — zapytała.

— Raczej nie.

— A ja myślę, że to on. — Wpatrywała się w przestrzeń, zamyślona. — Wiem, że to on. Zobacz tylko. Wszystko zaczęło się tydzień po jego śmierci, a głos dobiega z miejsca oddalonego właśnie o tydzień świetlny. Czas się zgadza. Poza tym tu jest wszystko o tobie, o mnie i o tym St. Cyrze, prawniku, którego dziadek zwolnił. Jest też coś o Zgromadzeniu, tylko wszystko poprzekręcane. Ale tak właśnie dzieje się po śmierci. Myśli stają się chaotyczną magmą. Nie układają się w logiczną całość. — Uśmiechnęła się do niego. — Mamy duży problem. Możemy go usłyszeć przez radioteleskop na Stacji Kennedy'ego, ale on nie może słyszeć nas.

— Chyba to jednak nie...

— Ależ na pewno — przerwała mu. — Od razu wiedziałam, że nie zadowolili go półśmierć. Tam, daleko w kosmosie, znów może cieszyć się pełnią życia. I nieważne, co tam robi... My i tak nie jesteśmy w stanie mu w tym przeszkodzić. — Ruszyła dalej, Johnny za nią. — Myślę, że to, co zdołała w kosmosie, będzie przynajmniej tak doniosłe jak jego ziemskie dokonania. Tego możesz być pewien. Boisz się?

— Nie wiem, co mam o tym myśleć. Na razie muszę uwierzyć. Potem zacznę się bać. — A może jednak miała rację. Mówiła o tym tak przekonująco. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, jakie na nim robiła, i chyba troszkę jej uwierzył.

— Powinieneś się bać. Tam Louis zyska ogromną potęgę. Będzie mógł bardzo wiele. Wpłynie też na nas. Na to, co robimy, mówimy i w co wierzymy. Nawet bez tego radioteleskopu... Może dociera do nas właśnie w tej chwili? Podświadomie?

— Nie wierzę w to — powiedział, choć tak naprawdę wierzył, wbrew sobie samemu. Miała rację. To by było w stylu Louisa.

— Dowiemy się więcej, gdy zacznie się Zgromadzenie, bo na tym mu najbardziej zależy — powiedziała Kathy. — Poprzednim razem nie udało mu się zrobić Gama prezydentem. To jedna z nielicznych porażek w jego życiu.

— Gam? — Johnny był zaskoczony. — Przecież Gam jest już skończony. Czy on jeszcze w ogóle żyje? Przepadł cztery lata temu...

— Mój dziadek nigdy z niego nie zrezygnował — zauważyła. — Gam żyje. Prowadzi indyczą farmę czy coś w tym rodzaju... na Io. A może to kaczkę. Tak czy owak, jest tam i czeka.

— Czeka? Na co?

— Aż dziadek się z nim skontaktuje. Tak jak zrobił to przed czterema laty.

— Nikt już nie zgłasza na Gama! — oburzył się Johnny.

Uśmiechnęła się i nie powiedziała już nic. Ścisnęła go tylko mocniej za ramię. Zupełnie jakby znów się przestraszyła, pomyślał. Tak samo jak wtedy, w nocy, gdy do niego zadzwoniła. Może nawet jeszcze bardziej.

III

Przystojny, elegancki mężczyzna w kamizelce i krawacie wstał, kiedy Claude St. Cyr wyszedł z biura firmy St. Cyr i Faine.

— Panie St. Cyr... — zagadnął. Claude rzucił mu przelotne spojrzenie.

— Pan wybaczy, spieszę się do sądu — powiedział. — Sekretarka umówi pana na spotkanie. — Dopiero teraz poznał mężczyznę. To był Alfons Gam.

— Mam tu telegram od Louisa Sarapisa — powiedział Gam i sięgnął do kieszeni płaszcza.

— Przykro mi — powiedział oschle St. Cyr. — Pracuję teraz dla pana Phila Harveya. Współpracę z panem Sarapisem zakończyłem parę tygodni temu. — Zatrzymał się, ciekaw, o co tu

chodzi. Spotkali się już kiedyś z Gamem, w czasie kampanii wyborczej cztery lata temu. St. Cyr reprezentował go parokrotnie w sprawach o zniesławienie. Kilka razy Gam występował jako oskarżony, a kilka razy jako powód. St. Cyr nie lubił go.

— Dostałem ten telegram przedwczoraj — wyjaśnił Gam.

— Ale Sarapis nie... — Claude urwał. — Niech mi pan to pokaże. — Wyciągnął rękę, a Gam podał mu telegram.

Louis informował w nim Gama o swoim całkowitym poparciu w przededniu Zgromadzenia. Gam nie mylił się. Telegram wysłano trzy dni temu, ale przecież to nie miało żadnego sensu.

— „Nie potrafię tego w żaden sposób wyjaśnić, panie St. Cyr — ciągnął Gam. — Wygląda na pismo Louisa. On chce, żebym znowu startował. Sam nigdy bym się na to nie zdecydował. Wycofałem się już z polityki. Mam teraz fermę perliczek. Pomyślałem, że może pan mi wyjaśni, kto i po co to wysłał... zakładając, że nie zrobił tego Louis — dodał.

— A jak niby Sarapis miałby to zrobić?

— Mógł napisać to przed śmiercią i zlecić komuś, żeby wysłał telegram w określonym dniu. Na przykład mógł polecić to panu. — Gam wzruszył ramionami: — Ale wygląda na to, że nie pan przysłał mi tę wiadomość. Może pan Barefoot?

— Rzeczywiście ma pan zamiar ponownie startować w wyborach?

— Jeśli Louis sobie tego życzy.

— I co, znów pan przegra? A cała partia razem z panem? I wszystko to dla widzimisię jakiegoś mściwego, zawziętego starca? — St. Cyr przerwał na chwilę. — Niech pan wraca na swoją fermę i zapomni o polityce. Po raz kolejny chce pan udowodnić, jakim jest nieudacznikiem? Wszyscy w partii to wiedzą, Gam. Ba... żeby tylko w partii. Wie to cała Ameryka.

— Gdzie mogę znaleźć pana Barefoota?

— Nie mam pojęcia — odparł St. Cyr i ruszył do wyjścia.

— Będę potrzebował prawnika — rzucił za nim Gam.

— Do czego? Znów ktoś pana oskarżył? Pan nie potrzebuje prawnika, panie Gam, tylko lekarza... Psychiatry, który wytłumaczy panu, skąd ta nagła chęć udziału w kampanii. I wie pan co... — St. Cyr zbliżył się i szepnął niu do ucha: — Jeśli Louis za życia nie potrafił wepchnąć pana na ten stołek, to po śmierci tym bardziej mu się to nie uda. — Odwrócił się na pięcie i od — szedł, zostawiając Gama z telegramem w ręku.

— Proszę zaczekać.

Claude St. Cyr zatrzymał się niechętnie.

— Tym razem mi się uda — powiedział donośnie Gam, gubiąc gdzieś swój piskliwy głos. Zdawał się pewny swego.

— Życzę powodzenia. Panu i Louisowi.

— A więc on żyje.

— Nie powiedziałem tego. Nie wyczuł pan ironii?.

— Ale on żyje — stwierdził z namysłem Gam. — Jestem tego pewien. Chciałbym go odnaleźć. Odwiedziłem kilka kostnic, ale nie ma go tam. Chyba że mnie okłamano. Nie wiem, ale będę szukał dalej. Muszę koniecznie się z nim spotkać. Dlatego przyleciałem tu z Io — dodał.

St. Cyr odwrócił się i wyszedł. Co za miernota, pomyślał, kompletne zero. Marionetka Louisa. Wzdrygnął się. Aż strach pomyśleć, że mógłby zostać naszym prezydentem. Boże uchovej!

A gdybyśmy wszyscy byli tacy jak Gam?!

Ta wyjątkowo odrażająca myśl już na początku dnia zepsuła mu humor. A miał jeszcze sporo pracy.

On i Phil Harvey mieli dziś spotkanie z Kathy Egmont Sharp. Chcieli złożyć jej propozycję. Chodziło o wymianę akcji dających prawo głosu w zarządzaniu Wilhelmina Securities, dzięki

którym Harvey przejąłby kontrolę nad firmą. Ponieważ wartość korporacji była ogromna, w zamian Harvey nie oferował pieniędzy, lecz ziemię. Był właścicielem ogromnych posiadłości lądowych na Ganimedesie. Dostał je od Rosjan za pomoc techniczną, której im udzielił.

Szansę, że Kathy przystanie na ten projekt, były zerowe.

Trzeba było jednak spróbować. W razie odmowy następny krok w tej rozgrywce był łatwy do przewidzenia. St. Cyr skrzywił się na samą myśl. Sytuacja w rejonach, gdzie obie firmy bezpośrednio ze sobą konkurowały, zrobi się wyjątkowo nieprzyjemna. Claude wiedział, że organizacja Kathy jest teraz w rozkładzie. Po śmierci starego natychmiast dały o sobie znać związki zawodowe. Stało się to, z czym zawsze tak bezwzględnie walczył Louis. Mniejsze organizacje związkowe starały się przejąć kontrolę nad jego Archimedean.

Sam St. Cyr stał po stronie związków. Już czas najwyższy, by wróciły na scenę. Dotychczas powstrzymywały je tylko brudne sztuczki, które stosował Louis. Sarapis był w tej materii bezwzględny i niezmordowany. Kathy przeciwnie. A Johnny Barefoot...

Czego można oczekiwać od niestuda? — pomyślał St. Cyr. I w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu. A ten nieuk pewnie nawet nie wie, gdzie leży Paryż...

Poza tym Barefoot miał teraz pełne ręce roboty. Budował pozytywny image Kathy. Prawie by mu się to udało, gdyby nie kłótnie związkowców. Kobieta z jej przeszłością... narkotyki, religijny fanatyzm i wreszcie więzienie... Johnny był w swoim żywiole.

Znakomicie mu się udało poprawić jej fizyczny wizerunek. Wyglądała teraz naprawdę słodko i niewinnie, co Johnny skwapliwie wykorzystał. Zamiast drukować w gazecie wypowiedzi Kathy, posyłał zdjęcia. Były ich tysiące. Pozowała dosłownie wszędzie — z psami, dziećmi, na kiermaszach dobroczynnych, w szpitalach i tak dalej.

Kathy jednak w nieoczekiwany sposób zepsuła ten wizerunek.

Uparcie twierdziła, że pozostaje w kontakcie ze zmarłym Louistem. Uważała, że to właśnie on znajdował się teraz o tydzień świetlny od granic Układu Słonecznego. Słyszała go, tak jak i inni... z tą różnicą, że jakimś cudem on mógł słyszeć ją również.

St. Cyr wjechał samoobsługową windą na dach, gdzie znajdowało się lądowisko helikopterów. Śmiał się głośno. O religijnym fanatyzmie Kathy rozpisywała się teraz prasa brukowa. Nie można było tego ukryć, bo Kathy głośno mówiła o tym w miejscach publicznych... w restauracjach i popularnych barach. Nawet jeśli była z Johnnym, on też nie miał na nią wpływu.

Nie pomógł jej też incydent na jednym z przyjęć, kiedy to rozebrała się do naga. Twierdziła, że nadejścia godzina oczyszczenia. Pomazała sobie przy tym niektóre części ciała szkarłatnym lakierem do paznokci. Traktowała to, zdaje się, jak rodzaj rytuału... Oczywiście była pijana.

I ta kobieta, pomyślał St. Cyr, rządzi teraz Archimedean. Kobieta, której musimy się pozbyć, dla naszego dobra... i wszystkich innych. Czuł się tak, jakby otrzymał mandat, upoważnienie od społeczeństwa. To było jak obywatelski obowiązek, a jedynym człowiekiem, który tego nie widział, był Johnny.

Johnny ją lubi. I o to w tym wszystkich chodzi. Ciekawe, zastanawiał się, co na to Sara Belle?

Już w lepszym nastroju, St. Cyr wsiadł do helikoptera, zamknął właz i uruchomił silnik. Myślami znów wrócił do spotkania z Alfonsem Gamem. Natychmiast stracił dobry humor.

Tych dwoje, Kathy Egmont Sharp i Alfons Gam, pomyślał, działa w przeświadczeniu, że Louis Sarapis żyje.

Ale nie tylko to ich łączyło. Byli również jednakowo nieprzyjemni i jednakowo niepewni. Niestety, parszywy los chciał, że ciągle musiał mieć z nimi do czynienia.

Po śmierci Louisa wcale nie jest lepiej, stwierdził. Jest nawet gorzej, bo muszę częściej ich spotykać.

Wystartował, kierując maszynę w stronę budynku Phila Harveya w centrum Denver.

Wiedział, że się spóźni. Włączył nadajnik i wybrał numer Harveya.

— Phil, słyszysz mnie? Tu St. Cyr. Lecę już na zachód. — Przerwał i czekał na odpowiedź.

Nadeszła, ale nie taka, jakiej się spodziewał. Z głośników popłynął nieprzerwanym strumieniem jakiś bełkot, słowa zlewały się ze sobą. Poznał to od razu. Już kilka razy natknął się na coś takiego, oglądając telewizję.

— ...się tymi atakami.. Musisz wierzyć w siebie, Alfons. Ludzie poznają się na porządnym człowieku. Czekaj cierpliwie. Wiara przenosi góry. Wiem, co mówię. Popatrz, ile udało mi się w życiu osiągnąć...

St. Cyr wiedział, że była to nadająca z odległego kosmosu istota. Jej bełkot, teraz o silniejszy, niczym plamy na słońcu zagłuszał normalne kanały komunikacyjne. Claude zaklął, skrzywił się z niesmakiem i wyłączył nadajnik.

Przejmowanie ogólnodostępnych pasm jest niezgodne z prawem, pomyślał. Powinienem zawiadomić Federalną Komisję Łączności.

Przeleciał na polami uprawnym jakiejś farmy.

Mój Boże, pomyślał przerażony, ten głos... zupełnie jak stary Louis.

A może Kathy Sharp miała rację?

Johnny Barefoot pojawił się w fabryce Archimedean w Michigan. Był umówiony z Kathy. Zastał ją w bardzo złym stanie.

— Nie rozumiesz, co się dzieje? — zapytała. Znajdowali się w dawnym biurze Louisa. — Nie radzę sobie z tym. Wszyscy to widzą. Nic nie zauważyłeś? — Wpatrywała się w niego dzikim wzrokiem.

— Nie, nie zauważyłem — powiedział, choć tak naprawdę doskonale zdawał sobie sprawę, że miała rację. — Uspokój się i usiądź. Harvey i St. Cyr będą tu lada chwila i nie powinni zobaczyć cię w takim stanie. — To spotkanie nie było po jego myśli. Wiedział jednak, że nie sposób go uniknąć i dlatego nie protestował, gdy Kathy zgodziła się na nie już teraz.

— To znaczy? — Usiadł zdenerwowany. — O co chodzi?

— Znow zaczęłam brać, Johnny. Ta odpowiedzialność i ta presja... To ponad moje siły. Przepraszam. — Spuściła wzrok i smutno patrzyła w podłogę.

— Co bierzesz?

— Nie chcę się wdawać w szczegóły. To pochodna amfetaminy. Wyczyta — łam gdzieś, że przy ilościach, jakie zażywam, może wywoływać psychozę Ale i tak mnie to nie obchodzi. — Odwróciła się do niego plecami i dopiero teraz zauważył, jak bardzo ostatnio schudła. Już wcześniej zauważał jej podkrążone oczy i zniszczoną twarz. Nie znał tylko przyczyny. Teraz okazało się, że nawrót uzależnienia wywołał u niej objawy podobne do występujących przy ostrej nadczynności tarczycy, przyspieszając procesy somatyczne.

— Przykro mi to słyszeć — powiedział. Od samego początku bał się tego, a jednak przegapił objawy i dowiedział się dopiero od niej. — Myślę, że powinien zająć się tobą lekarz. — Zastanawiał się, jak zdobywała narkotyki. Cóż, przy jej doświadczeniu zapewne nie miała z tym większych problemów.

— Te substancje zakłócają równowagę emocjonalną — poinformowała go. — Człowiek robi się agresywny i łatwo wpada w histerię. Chcę, żebyś o tym pamiętał na przyszłość. W razie czego nie wiń mnie, tylko prochy. — Próbowwała się uśmiechnąć, ale nie bardzo jej się to udało.

Podszedł i położył jej rękę na ramieniu.

— Posłuchaj. Kiedy Harvey i St. Cyr się pojawią, lepiej będzie, jeśli przyjmiesz ich ofertę.

— No... dobrze.

. — Chcę, żebyś z własnej woli poszła do szpitala.

— Do czubków? — zapytała z goryczą.

— Tam ci będzie lepiej. Odpoczniesz trochę od odpowiedzialności, która na tobie spoczywa. Potrzebujesz długiego wypoczynku. Jesteś fizycznie i nerwowo wyczerpana, ale dopóki bierzesz amfetaminę, sama nie...

— ...nie czuję zmęczenia — dokończyła. — Johnny, nie mogę sprzedać firmy Harveyowi i St. Cyrowi.

— Czemu?

— Louis tego nie chce. Nie... — urwała na chwilę — ...nie zgadza się.

— Twoje życie i twoje zdrowie...

— ...psychiczne, tak?

— Masz za dużo do stracenia — powiedział. — Chrzanić Louisa. Chrzanić Archimedean. Ty też chcesz wylądować w trumnie? Męczyć się w półśmierci? To wszystko nie jest tego warte. To tylko pieniądze. Ty jesteś najważniejsza.

Uśmiechnęła się. Nagle na biurku odezwał się interkom.

— Pani Sharp — zawiadomiła recepcjonistka — przybyli panowie Harvey i St. Cyr. Czy mam ich wpuścić?

— Tak.

Drzwi otworzyły się i do pokoju weszli Claude i Phil. Sprawiali wrażenie bardzo pewnych siebie.

— Hej! Johnny! — rzucił od progu St. Cyr.

— Pan Barefoot będzie rozmawiał z panami w moim imieniu — powiedziała Kathy.

Johnny spojrzał na nią. Czy to znaczyło, że zgadza się na sprzedaż firmy?

— Co to za propozycja? — zapytał. — Co panowie oferują za większą część akcji i uzyskanie kontroli nad Wilhelmina Securities w Delaware? Nie wyobrażam sobie, co mogłoby stanowić równowartość.

— Ganimedes — odpowiedział krótko St. Cyr. — Dajemy wam cały księżyc. Dosłownie.

— Rozumiem — oznajmił Johnny. — Prezent od Związku Radzieckiego. Czy międzynarodowe sądy uznały to za zgodne z prawem?

— Tak. Wszystko jest w porządku. Trudno oszacować wartość Ganime — desa, ale na pewno jest ogromna. J z każdym rokiem będzie rosła. Może nawet się podwoi. Oto propozycja mojego klienta. Dobrze wiesz, Johnny, że to świetna oferta. Znamy się nie od dziś. Skoro tak mówię, to wiesz, że to prawda.

Chyba rzeczywiście, stwierdził Johnny. Pod wieloma względami to bardzo korzystna oferta. Najwyraźniej Harvey chciał grać uczciwie.

— W imieniu pani Sharp... — zaczął, ale Kathy weszła mu w słowo.

— Nie — powiedziała stanowczym głosem. — Nie mogę sprzedać firmy On się na to nie zgadza.

— Przecież dałaś mi pozwolenie, żebym cię reprezentował, Kathy.

— Cóż — rzuciła ostro — teraz je cofam.

— Jeśli chcesz, żebym dalej dla ciebie pracował, musisz stosować się do moich rad — oburzył się Johnny. — Ustaliliśmy wcześniej...

Na biurku zadzwonił telefon.

— Posłuchaj go. — Podniosła słuchawkę i podała ją Johnny'emu. — Sam zobaczysz.

Johnny wziął od niej telefon.

— Słucham — odezwał się. Usłyszał dziwne trzaski, jakby ktoś tarł czymś o metalowy przewód.

— ...nakazuję odzyskać kontrolę. Twoja rada jest absurdalna. Ona potrafi się pozbierać.

Wszystko przez te prochy. Panikujesz, bo jest chora, ale dobry lekarz wyciągnie ją z tego. Załatw jej opiekę medyczną. Weź też prawnika i upewnij się, żeby nie miała z tego powodu kłopotów z prawem. Odetnij ją od źródła narkotyków. Zmusz do... — Nie chciał słuchać dalej tego bełkotu. Roztrzęsiony, rzucił słuchawkę.

— Wiesz dobrze, że to był Louis — powiedziała.

— Tak, wiem.

— Rośnie w siłę. Teraz słycać go o wiele lepiej. Nie potrzeba już radioteleskopu ze Stacji Kennedy'ego. Słyszałam go wczoraj przed zaśnięciem.

— Z całą pewnością rozważymy panów propozycję — zwrócił się Johnny do Harveya i St. Cyra. — Potrzebujemy ekspertyzy dotyczącej wartości terenów, które panowie oferują. Z pewnością chcielibyście również przeprowadzić kontrolę ksiąg w Wilhelminie. A na to potrzeba czasu. — Słyszał drżenie własnego głosu. Jeszcze nie otrząsnął się po szoku, jaki przeżył. Przed chwilą w słuchawce słyszał głos żywego Louisa Sarapisa.

Umówił się z St. Cyrem i Harveyem jeszcze tego samego dnia. Teraz zabrał Kathy na późne śniadanie. Przyznała niechętnie, że od wczoraj nic nie jadła.

— Nie jestem głodna — wyjaśniła. Bez przekonania dłubała w talerzu.

— Nawet jeśli to był Louis — stwierdził Johnny — to nie...

— „Nawet jeśli”? To był on. Z każdym dniem staje się potężniejszy. Może czerpie energię ze słońca?

— No dobrze, więc to był Louis — przyznał bez przekonania. — Nieważne! Musisz działać w swoim interesie, a nie w jego.

— Nasze interesy są takie same — zaprotestowała. — Oboje chcemy utrzymać Archimedean.

— Ale czy on może ci pomóc? Czy może dostarczyć ci to, czego nam brak? Najwyraźniej nie traktuje twojego uzależnienia dość poważnie. Cały czas mnie pouczał — zdenerwował się Johnny. — Zrób to, zrób tamto. Co to za pomoc? Nic nam to nie daje w obecnej sytuacji.

— Johnny... nie potrzebuję już radia i telewizji. Czuję go przy sobie przez cały czas. To mistyczny dar, jak sądzę. Moja religijna intuicja pomaga mi utrzymać z nim kontakt. — Wypiła trochę soku pomarańczowego.

— Chciałaś chyba powiedzieć: twoja amfetaminowa psychoza! — dociął jej.

— Powiedziałam już. Nie pójdę do szpitala. Nie dobrowolnie. Jestem chora, ale nie aż tak. Przewyciężę tę słabość, bo nie jestem już sama. Mam dziadka i mam... — uśmiechnęła się — ...ciebie. Mimo Sary Belle.

— Nie, jeśli nie sprzedasz firmy Harveyowi i nie przyjmiesz terenów na Ganimedesie.

— Odejdiesz?

— Tak.

— Dziadek też mówił, że się wycofasz. — Posłała mu lodowate spojrzenie czarnych oczu.

— Nie wierzę, by coś takiego powiedział.

— Porozmawiaj z nim.

— Jak? — zapytał.

Kathy wskazała na telewizor w rogu restauracji.

— Włącz i posłuchaj. Johnny wstał.

— Nie muszę. Już podjąłem decyzję. Będę w hotelu, gdybyś zmieniła zdanie. — Odszedł spokojnie od stolika. Czy go zawoła? Idąc, nasłuchiwał. Nie zawołała.

Wyszedł z restauracji i stanął na chodniku. Sprowokowała go, by odkrył karty, i stało się. Teraz już nie miał wyjścia. Musiał odejść.

Bez celu spacerował ulicami. Był pewny, że to on ma rację. Wiedział to. Żeby tylko nie była taka uparta... Dlaczego nie ustąpiła? Zdał sobie sprawę, że pewnie z powodu Louisa. Gdyby nie

stary, już dawno zdecydowałyby się na sprzedaż. To nie do niej miał pretensje, ale do niego.

Co teraz? — pytał sam siebie. Wracać do Nowego Jorku? Szukać nowej pracy? Może zgłosić się do Alfonsa Gama? Gdyby się powiodło, mogłyby być z tego przyzwoite pieniądze. A może powinienem zostać tu, w Michigan i liczyć na to, że Kathy zmieni zdanie?

Ile można tak ciągnąć? — zastanawiał się. Nieważne, co powie jej Sarapis. Albo w co uwierzy, że on mówi. Wszystko jedno.

Przywołał taksówkę i podał kierowcy adres. Niebawem wszedł do hotelowego holu. Wyszedł stąd rano, a wracał dopiero teraz, późnym wieczorem. Znowu miał się znaleźć w pustym, złowrogim pokoju. Teraz mógł jedynie siedzieć i czekać w nadziei, że Kathy zmieni zdanie i zadzwoni do niego. Nie miała już spotkań, na które Johnny musiałby pójść.

Gdy stanął pod drzwiami pokoju, wewnątrz zadzwonił telefon.

Przez chwilę stał z kluczem w ręku. Ostry dźwięk słysząc było wyraźnie w hotelowym korytarzu. Czy to Kathy? Czy to znowu on? Otworzył drzwi, wszedł do pokoju i podniósł słuchawkę.

— Halo?

Znowu ten sam jazgot i monotony monolog:

— ...nieładnie, że ją tak zostawiłeś, Barefoot. Zdradziłeś własną profesję. Znasz przecież swoje obowiązki. Są takie same wobec niej, jakie miałeś wobec mnie. A mnie nigdy byś tak nie potraktował, nawet w największym gniewie. Celowo zleciłem, żebyś to właśnie ty zaopiekował się mną po śmierci — bo chciałem zatrzymać cię w organizacji. Nie możesz... — Przerażony Johnny odłożył słuchawkę.

Telefon natychmiast zaczął dzwonić znowu.

Tym razem nie odebrał.

— Idź do diabła, Louis — mruknął pod nosem. Podeszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Przypomniała mu się rozmowa, jaką odbył kiedyś, dawno temu, z Sarapisem. Zrobiła na Johnnym ogromne wrażenie. Wynikało z niej, że Johnny nie poszedł do college'u, bo chciał umrzeć. Patrząc na ulicę, pomyślał, że może powinien skoczyć. Przynajmniej nie musiałby odbierać tych cholernych telefonów...

Najgorsza jest ta jego starcza demencja, stwierdził. Jego myśli są niejasne jak we śnie. Zupełnie irracjonalne. Ten starzec nie ożył. Nawet nie jest półumarłym. On po prostu więdnie i zanika stopniowo gdzieś między jaźnią a wiecznym mrokiem. A my musimy wysłuchiwać, jak stacza się ku nieuchronnej śmierci.

Ale nawet w tak szczątkowej formie ma swoje pragnienia. Domaga się różnych rzeczy, i to kategorycznie. Johnny ma zrobić to, Kathy tamto... To, co zostało z Louisa Sarapisa, wciąż żyło i działało na tyle skutecznie, by dostać, czego chciało. A najgorsze, że nie sposób odciąć się od tej farsy — od karykatury tego, czym Louis był za życia.

Telefon nie przestawał dzwonić.

Może to nie Louis? — pomyślał Johnny. Może to Kathy? Podeszedł do aparatu, podniósł słuchawkę i natychmiast ją odłożył. Znowu to samo. Niepowiązane fragmenty osobowości Louisa... Wzdrygnął się. Czy on jest wszędzie?

Miał straszne przeczucie, że tak.

Włączył telewizor. Na ekranie pojawił się rozmazany obraz, który zaczął układać się w ludzką twarz.

I wszyscy to oglądają, pomyślał Johnny. Zmienił kanał. Ta sama rozmyta, niewyraźna twarz. Z głośników płynął potok niezrozumiałych, bełkotliwych słów:

— ...mówię ci po raz kolejny, że twój podstawowy obowiązek to... — Johnny wyłączył

odbiornik. Niewyraźny obraz i dźwięk zniknęły. W pokoju słychać teraz było tylko uparty dzwonek telefonu.

Podniósł słuchawkę.

— Louis, słyszysz mnie? — powiedział.

— ...gdy nadejdzie czas wyborów, sami zobaczą. Człowiek, który ma tyle odwagi, by kandydować po raz drugi i ponieść finansowe ryzyko, bo przecież to tylko dla bogatych ludzi... kiedy koszty kampanii są... — I tak bez końca. To nie była rozmowa. Starzec nie mógł go słyszeć. To nieprzerwany, koszmarny monolog. Nie było tu miejsca na dialog.

A jednak Louis wiedział, co się dzieje na Ziemi. W jakiś dziwny sposób zdawał się dostrzegać, że Johnny odszedł z firmy.

Barefoot odwiesił słuchawkę, usiadł i zapalił papierosa.

Nie mogę wrócić do Kathy, pomyślał, chyba że zmienię zdanie co do sprzedaży firmy. A tego nie zrobię. Więc taka ewentualność odpada. Co mi zostaje?

Jak długo jeszcze Sarapis będzie mnie nękał? Czy jest jakieś miejsce, gdzie mogę się od niego uwolnić?

Znów podszedł do okna i spojrzał w dół.

Claude St. Cyr zatrzymał się przy robokiosku, wrzucił drobne i wyciągnął gazetę.

— Dziękuję pięknie — powiedziała maszyna.

Artykuł na pierwszej stronie... St. Cyr wpatrywał się z niedowierzaniem w stronę tytułową. Przez chwilę pomyślał, że stracił rozum. Nie rozumiał tego, co czytał. Tekst był zupełnie bez sensu. Wszystko wskazywało na to, że homeostatyczny system druku elektronicznej, w pełni zautomatyzowanej gazety zepsuł się. Artykuł składał się z bezmyślnie poukładanych wyrazów. To było gorsze od *Finnegans Wake*.

Ale czy na pewno nie miało to sensu? Jeden akapit przykuł jego uwagę.

W oknie pokoju hotelowego, gotów skoczyć Jeśli chcesz z nią dalej współpracować, lepiej tam idź. Potrzebuje go od czasu, gdy porzucił ją mąż, Paul Sharp. Hotel Antler. Pokój 604 Masz jeszcze trochę czasu. Johnny jest w gorącej wodzie kąpany Mysłą, że, blefując, coś wskóra Ale na mnie nie działają takie sztuczki Na nią też nie. W jej żyłach płynie moja krew Ja...

— Johnny Barefoot jest w hotelu Antler — zwrócił się St. Cyr do stojącego obok Harveya. — Zaraz wyskoczy z okna. Stary Sarapis nas o tym ostrzega. Lepiej tam chodźmy.

— Barefoot jest po naszej stronie. Nie możemy pozwolić, by coś mu się stało. Ale czemu Sarapis...

— Po prostu tam chodźmy. — St. Cyr ruszył w stronę zaparkowanego helikoptera, a Harvey pobiegł za nim.

IV

Telefon nagle przestał dzwonić. Johnny odwrócił się i zobaczył Kathy. Stała, trzymając w ręku słuchawkę.

— Zadzwonił do mnie i powiedział mi, gdzie jesteś i co chcesz zrobić — wyjaśniła.

— To jakieś wariactwo — odparł. — Nie miałem zamiaru... — Odsunął się od okna.

— On myślał, że to zrobisz — powiedziała Kathy.

— I to dowodzi, że może się mylić. — Papieros dopalał się sam w popielniczce. Johnny podszedł i zgasił go.

— Dziadek zawsze cię lubił. Nie chciał, by coś ci się stało.

— Jeśli o mnie chodzi, to nic mnie już z nim nie łączy.

Kathy przystawiła słuchawkę do ucha. Nie zwracała uwagi na Johnny'ego. Słuchała dziadka, więc Barefoot nie powiedział nic więcej. Nie było sensu.

— Mówi, że Claude St. Cyr i Phil Harvey już tu idą. Im również kazał przyjść.

— To miło z jego strony — uciął krótko Johnny.

— Ja też cię lubię, Johnny. I wiem, za co dziadek tak cię cenił. Naprawdę zależy ci na moim dobru. Może pójde do tego szpitala, na tydzień albo kilka dni.

— Czy to wystarczy?

— Powinno. — Podała mu słuchawkę. — Chce z tobą porozmawiać. Lepiej go wysłuchaj. On i tak znajdzie sposób, by do ciebie dotrzeć. Wiesz o tym.

Niechętnie wziął od niej telefon.

— ...brak ci zajęcia i to cię dołuje. A kiedy nie pracujesz, wydaje ci się, że nic nie jesteś wart. Taką masz naturę. I to mi się w tobie podoba. Sam jestem taki. Posłuchaj, bo mam dla ciebie zadanie związane ze Zgromadzeniem. Musisz tak urobić publikę, żeby Alfons Gama został kandydatem. Jeśli ci się to uda, odwalisz kawał dobrej roboty. Zadzwoń do Gama. Zadzwoń do Alfonsa Gama. Zadzwoń...

Johnny odłożył słuchawkę.

— Zdaje się, że dostałem pracę — powiedział. — Będę reprezentował Gama. Przynajmniej tak twierdzi Louis.

— Zrobisz to? — spytała. — Będiesz jego człowiekiem od public relations na Zgromadzeniu?

Wzruszył ramionami. Czemu nie? Gam ma pieniądze. Może dobrze zapłaci. Z pewnością też nie jest gorszy od prezydenta Margrave'a. Poza tym... Muszę mieć pracę, zrozumiał Johnny. Muszę żyć. Mam żonę i dwójkę dzieci. A to nie przelewki.

— Myślisz, że Gam ma tym razem szansę? — zapytała.

— Nie bardzo. Ale w polityce cuda się zdarzają. Masz przykład Richarda Nixona, który w 1968 wrócił na fotel w wielkim stylu.

— Jaka jest według ciebie najlepsza metoda, żeby Gamowi się udało?

— Omówię to z nim, a nie z tobą.

— Wciąż jesteś zły — powiedziała cicho — bo nie chcę sprzedać firmy — A gdybym tobie oddała rządy w Archimedean?

— A co Louis na to? — zapytał po chwili.

— Nie rozmawiałam z nim jeszcze na ten temat.

— Wiesz, że on się nie zgodzi. Mam za mało doświadczenia. Oczywiście wiem, jak działa firma, bo byłem w niej od początku, ale...

— Nie oceniaj się tak nisko — powiedziała łagodnym tonem.

— Proszę cię — rzucił — tylko bez kazań. Spróbujmy zostać przyjaciółmi, zwykłymi przyjaciółmi. — Jednego nie cierpię, pomyślał. Gdy poucza mnie kobieta. Nawet dla mojego dobra.

Drzwi otworzyły się na oścież i do pokoju wpadł Claude, a za nim Phil. Na widok Johnny'ego i Kathy zawahali się.

— Więc i panią tu przysłał — wysapał St. Cyr, z trudem łapiąc oddech.

— Tak. Bardzo martwił się o Johnny'ego. — Poglaskała Barefoota po ramieniu. — Widzisz, ilu masz przyjaciół? Tych bliższych i dalszych.

— Tak — odparł Johnny. Cały czas czuł wewnętrzny smutek.

Po południu St. Cyr znalazł trochę czasu, by zajrzeć do domu Elektry Harvey, byłej żony jego obecnego pracodawcy.

— Posłuchaj, kochanie — powiedział. — Staram się, by ci było jak najlepiej. I jeśli udami się to, co zamierzam... — objął ją i przytulił — ...odzyskasz trochę z tego, co straciłaś. Chociaż tyle, żebyś mogła znów cieszyć się życiem. — Pocałował ją, a ona oddała pocałunek i wtuliła się w niego. To było bardzo przyjemne uczucie. I trwało dłużej niż zwykle.

W końcu odsunęła się i zapytała:

— A tak przy okazji, co się dzieje z telefonami i telewizją? Nie mogę się nigdzie dodzwonić... Linia cały czas zajęta. A w telewizji obraz jest zamazany i niewyraźny. Zawsze pokazują tę samą dziwną twarz.

— Nie przejmuj się tym. Już nad tym pracujemy. Nasi szukają źródła tych sygnałów. — Jego ludzie odwiedzali wszystkie kostnice. W końcu musieli trafić na tę, w której spoczywało ciało Louisa. A wtedy ten bełkot ucichnie wreszcie... przynosząc wszystkim ulgę.

Elektra podeszła do stolika, by przygotować drinki.

— Czy Phil o nas wie? — zapytała. Nalała do szklanek whisky i dodała po trzy krople gorzkiej wódki.

— Nie — odpowiedział St. Cyr — i teraz to już nie jego sprawa.

— Ale Phil jest uprzedzony do byłych żon. Nie spodobałoby mu się to. Stwierdziłby, że jesteś wobec niego nielojalny, bo skoro on mnie już nie lubi, ty też powinieneś czuć to samo. On to nazywa „prawością”.

— Cieszę się, że jest taki prawy, ale nic nie mogę na to poradzić. Zresztą on się i tak o nas nie dowie.

— Mimo to cały czas się martwię — powiedziała, podając mu drinka. — Włączyłam ostatnio telewizor i... Wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale wydawało mi się, że... Myślałam, że ten ktoś na ekranie wspominał o nas. Na szczęście strasznie mamrotał, albo może to przez te zakłócenia. Ale jestem pewna, że słyszałam nasze imiona. — Rzuciła mu smutne spojrzenie i poprawiła sukienkę.

— Kochanie, to niemożliwe — powiedział przestraszony. Wstał i włączył telewizor.

Dobry Boże, pomyślał. Czy Louis Sarapis jest wszędzie? Czy ze swojej kryjówki w przestrzeni widzi wszystko?

To nie była zbyt pocieszająca myśl, szczególnie w chwili, gdy starał się namówić wnuczkę Louisa do wejścia w układ, któremu starzec był przeciwny.

On się na mnie odgrywa, uświadomił sobie St. Cyr i szybko wyłączył telewizor.

— Właściwie nawet miałem do pana dzwonić, panie Barefoot — przyznał Alfons Gam. — Pan Sarapis przysłał mi telegram, w którym radzi zatrudnić pana. Obawiam się jednak, że tym razem musimy wymyślić nową strategię, bo Margrave ma nad nami sporą przewagę.

— To prawda — przyznał Johnny. — Bądźmy realistami. Tym razem ktoś nam pomoże... Louis Sarapis.

— Louis pomagał nam ostatnio — zauważył Gam — i nie udało się.

— Tylko że teraz będzie to inna pomoc. — Przecież, pomyślał Johnny, stary kontroluje wszystkie media gazety, radio i telewizję. Nawet telefony... Z taką władzą Louis mógł osiągnąć niemal wszystko.

On mnie wcale nie potrzebuje, stwierdził. Jednak nie powiedział tego Gamowi, który najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, jaką ogromną władzę posiadał teraz Louis. A poza tym Johnny nie chciał stracić tej roboty.

— Oglądał pan ostatnio telewizję? — zapytał Gam. — A może próbował pan gdzieś zadzwonić

albo kupić gazetę? Wszędzie ta sama bezsensowna paplanina. Jeśli to Louis, to nie wierzę, by mógł nam zbytnio pomóc w czasie Zgromadzenia. To, co mówi, nie ma sensu. Kompletny bełkot.

— Wiem — odparł zdawkowo Johnny.

— Obawiam się, że plan, który Louis ułożył sobie na półśmierć, raczej się nie powiodł. — Gam wyglądał na mocno przygnębionego. W niczym nie przypominał faceta, który ma wygrać wybory. — Z całą pewnością pan podziwia go teraz bardziej niż ja. Szczerze mówiąc, rozmawiałem z panem St. Cyrem, a to, co mi powiedział, nie napawa optymizmem. Jestem zdecydowany iść dalej, ale... — urwał. — Claude St. Cyr powiedział mi bez ogródek, że jestem nieudacznikiem.

— I co? Ma pan zamiar wierzyć w to, co mówi panu St. Cyr? On i Phil Harvey są teraz po drugiej stronie barykady. — Johnny'ego zaskoczyła naiwność i uległość Gama.

— Powiedziałem mu, że i tak wygram, ale... na miłość boską... ten jazgot w telewizji i w telefonach jest straszny. Zniechęca mnie. Chcę uwolnić się od niego i nie mogę.

— Rozumiem pana — mruknął Johnny.

— Louis nigdy nie był taki. Teraz po prostu bredzi. Nawet jeśli załatwi mi kandydaturę... to nie wiem, czyja tego chce. Jestem już zmęczony, panie Barefoot. Cholernie zmęczony.

— Jeśli liczy pan na to, że tchnę w pana życie i nadzieję, to trafił pan pod niewłaściwy adres. — Głos płynący z telewizji, radia i telefonów działał na niego podobnie. Johnny po prostu nie był w stanie powiedzieć Gamowi niczego pocieszającego.

— Pracuje pan w public relations — powiedział Gam. — I co, potrafi pan wzbudzić entuzjazm tam, gdzie go nie ma? Niech pan przekona mnie, panie Barefoot, a wtedy ja przekonam świat. — Wyjął z kieszeni telegram. — To przyszło ostatnio od Louisa. Najwyraźniej ma taki sam dostęp do telegrafu, jak do innych mediów. — Podał papier Johnny'emu.

— Louis wyrażał się tu jeszcze dość jasno — zauważył Johnny.

— O to mi chodzi. Jego stan pogarsza z dnia na dzień. Zgromadzenie rozpoczyna się jutro i aż strach pomyśleć, jak się wtedy zaprezentuje. Mam złe przeczucia i nie chcę się w to mieszać. A jednak — dodał — dalej pragnę startować w wyborach. I dlatego, panie Barefoot, będzie pan pośrednikiem. Przejmie pan rolę przewodnika.

— To znaczy?

— Medium między Bogiem a człowiekiem — wyjaśnił Gam.

— Mogę panu zagwarantować, że jeżeli będzie pan opowiadał takie rzeczy, to na pewno nie wygra pan na Zgromadzeniu.

— Napije się pan? — zapytał Gam z uśmiechem, wychodząc do kuchni. — Szkocka? Bourbon?

— Może być bourbon.

— Co pan myśli o tej wnuczce Louisa?

— Lubię ją — powiedział Johnny. I to była prawda.

— Mimo odsiadki w więzieniu, uzależnienia, psychotycznej osobowości i religijnego fanatyzmu?

— Właśnie.

— Myślę, że panu odbiło — stwierdził Gam — ale nie mogę się z panem nie zgodzić. To dobra dziewczyna. Znam ją od pewnego czasu i nie rozumiem jej postępowania. Nie jestem psychologiem, ale to musi mieć coś wspólnego z Louisem. Jest mu bardzo oddana. To dziecinne, ale i fanatycznie silne uczucie. A dla mnie także wruszające w swojej prostocie.

— Okropny ten bourbon — stwierdził Johnny.

— Old Sir Muskrat. — Gam skrzywił się. — Rzeczywiście, ohyda.

— Musi pan podawać lepsze drinki, jeśli chce pan wygrać..

— Po to zatrudniam pana.

— Rozumiem. — Johnny poszedł do kuchni, wlał bourbona z powrotem do butelki i rozejrzał

się za szkołą.

— Jak zamierza pan zbudować mój wizerunek i załatwić mi tę kandydaturę? — zapytał Gam.

— Myślę, że jest tylko jedno wyjście. Musimy wykorzystać sentyment, jakim darzą Louisa po jego śmierci. Widziałem tłumy przy trumnie. Imponujące. Ci ludzie stali tam wiele godzin. Kiedy żył, bali się go, jego władzy, ale teraz mogą oddychać swobodniej. Odszedł, a razem z nim cały strach.

— Johnny, on nie odszedł. W tym cały problem. Wiesz dobrze, że ten bełkot w TV i telefonach... to on!

— Ale ludzie tego nie wiedzą — zauważył Johnny. — Nie mają pojęcia, co o tym myśleć. Reagują podobnie jak technik, który jako pierwszy usłyszał ten bełkot na Stacji Kennedy'ego. Z jakiej racji mieliby łączyć sygnał wysyłany z kosmosu z Louistem, który jest tu, na Ziemi?

— Myślę, że popełniasz błąd — powiedział po chwili milczenia Gam. — Ale Louis radził, żebym cię zatrudnił, i zrobię tak. Masz wolną rękę. Zdaję się na twoje doświadczenie i ocenę sytuacji.

— Dzięki. Możesz na mnie liczyć. — W głębi ducha nie był jednak tak pewny swego. A jeśli ludzie okażą się sprytniejsi, niż myślał? Może rzeczywiście popełniam błąd? — zastanowił się. Tylko co innego im pozostało? Albo wykorzystają dawne powiązania Gama z Louistem, albo nie będąmieli do zaoferowania kompletnie nic.

Do Zgromadzenia pozostał jeden dzień, a oni mieli tylko to. Johnny wiedział, że ich sytuacja nie była do pozazdroszczenia. Zadzwoił telefon.

— To pewnie on — stwierdził Gam. — Chcesz z nim pogadać? Jeśli mam być szczery, to sam boję się odebrać.

— Niech dzwoni — powiedział Johnny. Gam miał rację, to było ponad ich siły.

— Tylko że nie da się od niego uciec — zauważył Alfons. — Skoro chce do nas dotrzeć, to i tak mu się uda. Jeśli nie przez telefon, to przez TV albo gazetę. Wczoraj próbowałem napisać coś na elektronicznej maszynie do pisania... i zamiast mojego tekstu zaczęły pojawiać się jego słowa.

Żaden z nich nie odważył się jednak podnieść słuchawki. Telefon dzwonił bez przerwy.

— Chcesz jakąś zaliczkę? — zapytał Gam.

— Przydałoby się trochę gotówki. Dziś przecież odszedłem z Archimedean.

Gam sięgnął do płaszcza po portfel.

— Wypiszę ci czek — powiedział i dodał: — Lubisz ją, a jednak nie potrafisz z nią pracować, co?

— Otóż to. — Johnny smutno pokiwał głową. Nie chciał powiedzieć nic więcej, a Gam nie naciskał. Nawet jeśli brakowało mu innych zalet, był dżentelmenem, a Johnny to doceniał.

Gam podał mu czek. Telefon od razu przestał dzwonić.

Przypadek? Czy może coś się za tym kryło? — zastanawiał się Johnny. Louis zdawał się widzieć absolutnie wszystko... Stało się to, czego Sarapis sobie życzył. Dał im to właśnie do zrozumienia.

— Myślę, że to dobra decyzja, Johnny — stwierdził krótko Gam. — Mam nadzieję, że dojdziecie z Kathy do porozumienia. Dla jej dobra. Ona potrzebuje pomocy. Twojej też.

Johnny mruknął coś pod nosem.

— Teraz, gdy już dla niej nie pracujesz, postaraj się, dobrze?

— Przemyślę to — odparł Johnny.

— Ta dziewczyna jest bardzo chora, a dźwiga ogromny ciężar... wielką odpowiedzialność. Nieważne, co was skłóciło... spróbuj to jakoś załagodzić, zanim będzie za późno. To jedyna właściwa droga.

Johnny milczał, ale gdzieś w duchu czuł, że Gam ma rację.

Tylko jak to zrobić? W jaki sposób dotrzeć do osoby psychicznie nie zrównoważonej? Jak można załagodzić taki konflikt? Byłoby to bardzo trudne nawet między dwójkiem normalnych ludzi... a w ich przypadku dochodziły jeszcze dodatkowe podteksty.

Na pewno miał w tym swój udział Louis i uczucia, jakie żywiła do niego Kathy. To powinno się zmienić. Ten ślepy zachwyty... Musiałaby się go wyzbyć.

— A co myśli o niej twoja żona? — zapytał nagle Gam.

— Sara? — zdziwił się Johnny. — Nie poznała jej nawet. Czemu pytasz? Gam przyglądał mu się w milczeniu.

— Cholernie dziwne pytanie — stwierdził Johnny.

— Cholernie dziwna dziewczyna... ta Kathy — powiedział Gam. — Dziwniejsza niż myślisz, przyjacielu. Wielu rzeczy jeszcze nie wiesz. — Nie powiedział nic więcej.

— Trzeba ustalić jedną rzecz — zwrócił się Phil Harvey do Claude'a St. Cyra. — Gdzie jest ciało? Inaczej nigdy nie przejmujemy pełnej kontroli nad Wilhelminą.

— Cały czas trwają poszukiwania — tłumaczył cierpliwie Claude. — Przeszukujemy kostnice, jedną po drugiej. Najwyraźniej ktoś dobrze płaci za to, żebyśmy nie znaleźli Louisa. Jeśli chcemy, by wreszcie zaczął mówić...

— Ta dziewczyna słucha jego rozkazów z za grobu. Chociaż stary coraz bardziej od rzeczy... ona wciąż jest posłuszna. Dziwne... — Harvey pokręcił głową.

— Masz rację. Dziś rano przy goleniu włączyłem telewizor... On jest wszędzie. Osacza nas.

— Dziś pierwszy dzień Zgromadzenia. Louis robi wszystko, by kandydatem został Gam. — Harvey spojrział za okno na tłum ludzi i samochody za oknem. — Johnny też tam jest. Pracuje teraz dla Gama. Jeszcze jeden pomysł Louisa. Może teraz nam się powiedzie. Wiesz, o co mi chodzi. Może zapomniał o Kathy. Boże, przecież on nie może obserwować wszystkiego na raz,

— Tylko że dziewczyny nie ma już w Archimedean — zauważył Claude.

— To gdzie jest? W Delaware? W Wilhelmina Securities? Powinniśmy znaleźć ją bez trudu.

— Jest chora. Leży w szpitalu, Phil. Przyjęli ją wczoraj w nocy. Chodzi o narkotyki, jak sądzę. Zapadło milczenie.

— Sporo wiesz — powiedział w końcu Harvey. — Skąd masz te informacje?

— Słuchałem telefonu i telewizji. Nie wiem tylko, gdzie jest ten szpital. Może gdzieś na Ziemi, a może na Marsie albo na Księżycu. Odniosłem wrażenie, że jest z nią naprawdę niedobrze. To, że Johnny ją zostawił, bardzo ją podłamało. — Posłał Harveyowi ponure spojrzenie. — To wszystko, co wiem, Phil.

— Myślisz, że Johnny wie, gdzie ją trzymają?

— Wątpię.

— Założę się, że próbowała się z nim skontaktować albo wkrótce to zrobi. Szkoda, że nie możemy zainstalować mu podsłuchu — stwierdził Harvey.

— Przecież telefony i tak nie działają. Słyszać tylko bełkot Louisa. — Claude zastanawiał się, co się stanie z Archimedean Enterprises, jeśli okaże się, że Kathy nie może dalej pełnić swoich obowiązków. Skomplikowana sprawa. Zależy, czy przyjmie się prawa Ziemi, czy...

— Nie możemy znaleźć ani jej, ani Louisa. A Zgromadzenie już się zaczęło i pewnie wybiorą tego żalostnego Gama, cholerną maskotkę Sarapisa. A potem Gam zostanie wybrany na prezydenta. Obaj to wiemy. — Patrzył na St. Cyra niezadowolony. — Jak dotąd, niezbyt wiele udało ci się dokonać, Claude.

— Przeszukamy też szpitale, tylko że to potrwa. Jest ich kilkadziesiąt tysięcy. Ale jeśli nie ma jej tutaj, to znaczy, że może być wszędzie. — Claude czuł narastającą bezsilność. — Stoimy w miejscu i kręcimy się w kółko, pomyślał. Trzeba uważnie oglądać telewizję. Może to coś da.

— Jadę na Zgromadzenie — oznajmił Harvey. — Zobaczymy się później — Jak się czegoś dowiesz, w co zresztą nie wierzę, skontaktuj się ze mną. — Wyszedł, zostawiając St. Cyr samego.

— Szlag by to trafił. Co mam teraz robić? Może też powinienem pojechać na Zgromadzenie? — mruknął Claude. Została mu jednak jeszcze jedna kostnica. Jego ludzie już tam wprawdzie byli, ale wolał ją sprawdzić jeszcze raz, osobiście, bo wydawała się w stylu Louisa. Prowadził ją nadskakujący i usługowy typ o dziwnym nazwisku — Herbert Schoenheit von Vogelsang. Po niemiecku znaczyło to „Herbert Piękno Ptasiego Śpiewu”. Nazwisko pasujące do faceta, który w centrum Los Angeles prowadził kostnicę Ukochani Bracia i Siostry. Firma miała też oddziały w Chicago, Nowym Jorku i Cleveland.

Już na miejscu Claude zażądał, by spotkał się z nim Herbert Schoenheit von Vogelsang we własnej osobie. W kostnicy panował spory ruch. Zbliżało się Święto Zmartwychwstania i tłum ludzi czekał w kolejce, by na ten okres odebrać swoich bliskich.

— Słucham pana — powiedział Schoenheit von Vogelsang, gdy po dłuższej chwili zjawił się wreszcie w biurze. — Chciał się pan ze mną widzieć.

St. Cyr położył na kontuarze wizytówkę, która przedstawiała go jako radcę prawnego Archimedean Enterprises.

— Nazywam się Claude St. Cyr — poinformował. — Pewnie pan o mnie słyszał.

Schoenheit von Vogelsang spojrział na wizytówkę i zbladł.

— Daję panu słowo, panie St. Cyr, że próbowaliśmy już wszystkiego — wymamrotał. — Wydaliśmy ponad tysiąc dolarów z kasy firmy, by przywrócić kontakt. Sprowadziliśmy z Japonii najwyższej klasy sprzęt. I nic. — Odsunął się od lady. — Niech pan wejdzie i sam zobaczy. Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że ktoś robi to celowo. Awaria na taką skalę nie może być dziełem przypadku. Myślę, że pan rozumie...

— Muszę go zobaczyć.

— Naturalnie — powiedział właściciel kostnicy. Błady i przejęty, zaprowadził St. Cyr do zimnego magazynu. Claude mógł wreszcie zobaczyć trumnę, którą wcześniej wystawiono na widok publiczny. — Ma pan zamiar wnieść oskarżenie? — zapytał von Vogelsang. — Zapewniam pana, że...

— Przyjechałem go zabrać — przerwał mu Claude. — Niech pan każe ludziom załadować trumnę na ciężarówkę.

— Jak pan sobie życzy, panie St. Cyr — pokornie zgodził się von Vogelsang. Zawołał dwóch pracowników i wydał im instrukcje. — Ma pan tu samochód?

— Da mi pan swój — powiedział chłodno St. Cyr.

Po chwili trumna znalazła się w aucie. Kierowca czekał, aż St. Cyr po wie mu, dokąd ma jechać.

— A co z oskarżeniem? — wymamrotał von Vogelsang, gdy St. Cyr wspiął się już do kabiny ciężarówki. — Nie chce pan chyba pozwać nas za niedopilnowanie obowiązków? Bo jeśli tak, to...

— Uznajemy sprawę za zamkniętą — uciął Claude i dał kierowcy sygnał do odjazdu.

Gdy tylko znaleźli się na ulicy, St. Cyr wybuchnął śmiechem.

— Co pana tak śmieszy? — zapytał kierowca.

— Nic takiego — odparł Claude, chichocząc.

Trumna ze zwłokami stała w mieszkaniu St. Cyr. Kierowca już odjechał. Claude podniósł słuchawkę i wykręcił numer, nie mógł jednak połączyć się z Harveyem. Słyszał tylko nieprzerwany pomruk i bełkot Louisa Sarapisa. Zniesmaczony, odłożył słuchawkę. Skoro nie może dodzwonić się do Phila, sam musi podjąć decyzję.

Dosyć już tego, pomyślał. Nie ma co dłużej zwlekać.

Przeszukał biurko i znalazł swój pistolet ogniowy. Wycelował w trumnę i nacisnął spust.

Powłoka chłodząca stopiła się niemal natychmiast. Sama trumna syczała i trzeszczała, gdy rozpuszczał się plastik. Ciało Louisa poczerniało i w końcu zwęgliło się zupełnie. Przypominało teraz kupkę zastygłego żużlu.

St. Cyr schował broń do szuflady.

Znów podniósł słuchawkę i próbował zadzwonić.

— ...tylko Gam może tego dokonać. Tylko Gam, i przy nim trwam... To dobre hasło, Johnny. Tylko Gam, i przy nim trwam. Zapamiętaj to. Dajcie mikrofon, a powiem wam... Tylko Gam. I przy nim trwam. Tylko Gam...

To był Louis. St. Cyr przysłuchiwał się tej paplaninie i nie wierzył własnym uszom. Rzucił słuchawkę i popatrzył na zwęglone szczątki Louisa Sarapisa. Nic z tego nie rozumiał. Szybko włączył telewizor. Nic się nie zmieniło. Obraz był wciąż zamazany i niewyraźny, a z głośnika płynął potok niezrozumiałych słów.

Głos Louisa nie mógł zatem pochodzić od niego samego. St. Cyr spalił przecież ciało na popiół. To, co pokazywały wszystkie media, nie miało nic wspólnego z Louistem Sarapisem.

Claude usiadł w fotelu i drżącą ręką zapalił papierosa. Próbował pozbierać myśli. Zdawało mu się, że rozwikłał zagadkę, ale okazało się to tylko złudzeniem.

V

Claude zostawił helikopter przed kostnicą, więc teraz musiał skorzystać z jednotorówki. Pojechał na Zgromadzenie. Było tu tłoczno i panował niesłychany harmider. Udało mu się jednak dopchać do maszyny informacyjnej, gdzie sprawdził, w którym pomieszczeniu mógł znajdować się Harvey. Wysłał mu wiadomość, że czeka w głównym holu.

Po kilku minutach przez tłum przecisnął się Phil.

— Co się stało, Claude? — Spojrzał na bladą twarz prawnika i dodał: — Jezu, mów szybko!

— Głos, który słyszymy, to nie Louis — wykrztusił St. Cyr. — Ktoś się pod niego podszywa!

— Skąd wiesz?

St. Cyr opowiedział Harveyowi o znalezieniu ciała Sarapisa.

— Jesteś absolutnie pewien, że to był Louis, że nie oszukali cię w kostnicy?

— Teraz już niczego nie jestem pewien, ale tak mi się wydaje. — I tak było już za późno, by się o tym przekonać. Spalił przecież zwłoki na popiół i żadna analiza nie miała sensu.

— No więc kto wysłał sygnał? — zastanawiał się głośno Harvey. — A jeśli to jakaś obca forma życia? Albo jakieś echo, którego nie rozpoznajemy? Sygnał wysłany bez celu?

St. Cyr zaśmiał się.

— Sam zaczynasz bredzić. Przestań, Phil.

— Jeśli uważasz, że to ktoś tutaj... — jęknął Harvey.

— Tego nie wiem — przyznał szczerze St. Cyr. — Ale wydaje mi się, że to ktoś z Ziemi. Musiał znać Louisa na tyle dobrze, by móc podrobić jego głos i charakterystyczne zwroty. — Umilkł. Tyle jeszcze potrafił wydedukować. Dalej były już same niewiadome. Przerazająca pustka, której nie umiał zappełnić. Przynajmniej na razie.

Jest w tym coś obłąkanego, pomyślał. Braliśmy to za efekt starczej demencji i rozkładu, ale to może być jakaś forma szaleństwa. A może już sam rozkład jest szaleństwem? Nie znał odpowiedzi na te pytania. Nie był psychiatrą. Wiedział o psychiatrii tyle, ile potrzebne mu było w pracy prawnika. A tego, z czym się teraz zetknął, nie dało się wytłumaczyć żadnym paragrafem czy

ustawą.

— Czy ktoś zaproponował już kandydaturę Gama? — zapytał Harveya.

— Jeszcze nie, ale chodzą plotki, że ma to zrobić jakiś delegat z Montany.

— Widziałeś Johnny'ego Barefoota?

— Owszem — powiedział Harvey. — Ma pełne ręce roboty. Przydziela delegatom zadania. Gam, oczywiście, jeszcze się nie pokazał. Pojawi się dopiero po zakończeniu przemówienia i... wtedy rozpęta się piekło. Oklaski, transparenty, okrzyki, wiwaty... i cały ten cyrk. Jego zwolennicy są dobrze przygotowani.

— A zauważyłeś jakikolwiek ślad obecności... — St. Cyr zawahał się — ...Louisa? Tego, co myśleliśmy, że jest Louistem? Sam nie wiem, jak to powiedzieć. Wiesz, o co mi chodzi.

— Nic nie zauważyłem.

— Myślę, że wkrótce da o sobie znać.

Harvey przytaknął bez słowa. Zgadzał się z Claude'em w zupełności.

— Boisz się? — zapytał St. Cyr.

— No pewnie. Teraz jeszcze bardziej. Skoro nie wiemy, z kim albo z czym mamy do czynienia...

— Po pierwsze trzeba zachować czujność. — Czuł to samo co Phil.

— Może powinniśmy powiedzieć Johnny'emu? — zasugerował Harvey. — Niech sam się o tym dowie.

— Dobra, Claude — powiedział Phil — jak sobie chcesz. W końcu to ty znalazłeś starego. Mam do ciebie pełne zaufanie.

Właściwie to już żałuję, że go znalazłem. Wolałbym nie wiedzieć tego, co wiem teraz, pomyślał St. Cyr. Lepiej było, gdy wierzyliśmy, że to stary Louis nagabuje nas na każdym kroku.

Nie było to miłe, ale teraz jest jeszcze gorzej, stwierdził. Chociaż czuję, że odpowiedź na wszystkie pytania jest tam. I czeka, aż ją znajdziemy. Muszę spróbować ją znaleźć, powiedział sobie. Muszę!

W jednym z gabinetów samotny Johnny Barefoot oglądał relację z przebiegu Zgromadzenia. Chwilowo Louis zniknął z wizji, a jego miejsce zajął delegat z Montany, który wygłaszał przemówienie w imieniu Alfonsa Gama. Zgłosił go jako kandydata, który będzie ubiegać się o fotel prezydencki.

Johnny był półprzytomny. Całe to Zgromadzenie — narady, transparenty, zebrania, parady — działało mu na nerwy. Nie nadawał się do tego. Cholerna szopka, pomyślał. I po co to wszystko? Jeśli Gam chciał nominacji, mógł ją zdobyć i bez tego.

Johnny nie mógł przestać myśleć o Kathy Egmont Sharp.

Nie widział jej od czasu, gdy poszła do szpitala w San Francisco. Od tamtej pory nie wiedział, w jakim jest stanie i czy poddaje się terapii.

Coś mu mówiło, że nie.

Jak bardzo była chora? Z pewnością sprawa jest poważna, z narkotykami czy bez. Tak mu się przynajmniej wydawało. Może już nigdy nie wyjdzie ze szpitala. Wcale nie było to wykluczone.

Z drugiej strony, gdyby chciała wyjść i tak by wyszła. Miała swoje sposoby. Tego był pewien.

Wszystko zależało od niej samej. Zgłosiła się przecież dobrowolnie. I tak samo mogła wyjść. Nikt nie mógł jej nic nakazać... Taka już po prostu była. Tyle że to też symptom jej choroby, pomyślał.

Drzwi od pokoju otworzyły się nagle.

Johnny odwrócił się od telewizora.

W progu stał Claude St. Cyr. W ręku trzymał pistolet, wycelowany w Barefoota.

— Gdzie ona jest? — warknął.
— Nie wiem — powiedział Johnny, wstając powoli.
— Wiesz. Gadaj, albo cię zabiję.
— Co mam mówić? — zastanawiał się, co pchnęło St. Cyra do tak desperackiego kroku.
— Czy jest na Ziemi? — Claude zamknął za sobą drzwi i podszedł bliżej.
— Tak — niechętnie przyznał Johnny.
— W którym mieście? — zażądał Claude.
— Co ty wyprawiasz? — zapytał Johnny. — To nie w twoim stylu, Claude. Zawsze stałeś po stronie prawa.

— Myślę, że ten głos to Kathy. Bo na pewno nie Louisa. Reszty nie jestem pewien, ale Kathy jest wystarczająco szalona, by zrobić coś takiego. Który szpital?

— Jedyne sposobem, by przekonać się, że to nie Louis, to zniszczyć ciało.

— Właśnie to zrobiłem — wyjaśnił St. Cyr. — A więc jednak go znalazłeś. Dotarłeś do von Vogelsanga. I stąd to wszystko, pomyślał Johnny.

Drzwi otworzyły się z hukiem i do pokoju wtargnęła grupa delegatów — zwolenników Gama. Krzyczeli, wiwatowali i trąbili. Nieśli proporzyczki, l'kwiaty i zdjęcia Gama. St. Cyr odwrócił się, celując w nich. Barefoot wykorzystał chwilę jego nieuwagi, skoczył między delegatów, przecisnął się do drzwi i uciekł korytarzem.

Wpadł do małego audytorium, gdzie zebrali się zwolennicy Gama. |Z umieszczonych pod sufitem kolumn monotony głos powtarzał wciąż to samo:

Gam Gam — na niego stawiam! Gam Gam — i przy nim trwam! Gam Gam — na niego stawiam! Gam Gam — i przy nim trwam! Gam Gam — na niego stawiam! Gam Gam — i przy nim trwam...

Kathy, to nie możesz być ty, pomyślał Johnny. Przecisnął się między płaszącymi delegatami w śmiesznych kapeluszach, którzy wymachiwali chorągiewkami. Wypadł szybko na zatłoczoną ulicę. Starał się wydostać z tłumu.

Jeśli to naprawdę ty, to jesteś zbyt chora, by cię wypuścili. Czekalaś, aż Louis umrze? Nienawidzisz nas aż tak bardzo? A może cię przerażamy? Jak wytłumaczyć to, co robisz...? Dlaczego to robisz?

Przywołał taxikopter.

— San Francisco — powiedział do pilota.

Może nie jesteś świadoma tego, co robisz. Może to dzieje się niezależnie od ciebie, rodzi się w podświadomości. Może twój umysł funkcjonuje na dwóch płaszczyznach. Pierwsza, zewnętrzna, to ta, którą widzimy, a druga...

Ta, którą słyszymy.

Czy powinniśmy się nad tobą litować? A może znienawidzić cię i bać się? Ile zła możesz jeszcze wyrządzić? To chyba najważniejsze pytanie. Na swój sposób, pomyślał, kocham cię. Zależy mi na tobie, a to przecież rodzaj miłości, innej wprawdzie niż ta, którą czuję do żony i dzieci, ale zawsze miłości. Do diabła, to przerażające. Może St. Cyr się myli. Może to nie ty.

Helikopter błyskawicznie wzniósł się w górę i ruszył na zachód.

St. Cyr i Harvey stali na ulicy, obserwując start.

— Udało się — powiedział St. Cyr. — Obstawiałbym Los Angeles albo San Francisco.

Phil Harvey przywołał drugi helikopter.

— Widzi pan tę taksówkę, która właśnie wystartowała? — powiedział do pilota. — Proszę

lecieć za nią, tylko tak, żeby ci w środku nas nie widzieli.

— Niby jak? Skoro ja będę widział jego, to i on mnie — rzucił taksówkarz, włączył licznik i wznosił maszynę. — Nie lubię takich sytuacji. Bywają niebezpieczne.

— Niech pan włączy radio — powiedział St. Cyr — jeśli naprawdę chce pan usłyszeć coś niebezpiecznego.

— A, daj pan spokój! I tak nie działa. Jakieś zakłócenia. Może plamy na słońcu albo jakiś amator bawi się nadajnikiem. Straciłem mnóstwo kursów, bo operator nie mógł wywołać mnie z centrali. Powinna się tym zająć policja.

St. Cyr nie powiedział już nic, a Harvey, również w milczeniu, obserwował lecący przed nimi helikopter.

Gdy znaleźli się nad kompleksem szpitalnym. Johnny kazał taksówkarzowi wylądować na dachu głównego budynku. Zauważył drugi helikopter i utwierdził się w przekonaniu, że go śledzili. Nie miało to już jednak żadnego znaczenia.

Znalazł schody, zszedł na trzecie piętro i podszedł do pielęgniarki.

— Gdzie znajdę panią Sharp?

— Musi pan zapytać w rejestracji — odparła siostra. — Pora odwiedzin zaczyna się...

Nie czekał, aż skończy. Pobiegł w głąb szpitala.

— Pani Sharp leży w pokoju 309 — powiedziała starsza pielęgniarka w okularach. — Ale żeby się z nią zobaczyć, musi pan mieć zgodę doktora Grossa. Wydaje mi się, że wyszedł teraz na obiad. Wróci około drugiej, jeśli zechce pan poczekać. — Wskazała mu poczekalnię.

— Dziękuję. Zaczekam. — Minał pokój dla oczekujących i wyszedł drzwiami na końcu korytarza. Zszedł schodami w dół i poszukał pokoju 309. Nie zajęło mu to dużo czasu. Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Spojrzał na łóżko. Było puste.

— Kathy — powiedział.

Stała w szlafroku, przy oknie. Odwróciła się i spojrzała na Johnny'ego przebiegle i z nienawiścią. Nie odrywając od niego wzroku, powiedziała:

— Tylko Gam, i przy nim trwam. — Opluła go i zaczęła podkradać się bliżej. Uniosła rękę, wystawiając ostre paznokcie. — Gam to prawdziwy mężczyzna — szepnęła. Wzrok miała szalony i dziki. Ta Kathy, którą znał, zniknęła na jego oczach. — Gam Gam Gam — powiedziała i uderzyła go w twarz.

Cofnął się.

— To ty. Claude St. Cyr miał rację — stwierdził. — Wychodzę. — Nie oglądając się za siebie, próbował znaleźć drzwi. Bał się. Chciał się wydostać jak najszybciej. — Kathy, wypuść mnie. — Wpiła się paznokciami w jego ramię, uwiesiła na nim i patrzyła mu prosto w twarz z okrutnym uśmiechem.

— Już jesteś martwy — szepnęła. — Idź sobie. Cuchniesz padliną.

— Jasne — powiedział. Wreszcie udało mu się znaleźć klamkę. Kathy puściła go. Widział, jak się zamierza, i przykucnął. Celowała w twarz. Chciała wydrapać mu oczy, ale chybiła. — Pozwól mi odejść — rzucił, zasłaniając twarz rękami.

— Jestem Gam. I tylko Gam i w nim trwam. Żyję. Gam... — zaśmiała się opętańczo. — Wychodzę. St. Cyr miał rację. Pozwól mi odejść, Kathy — mówiła, naśladując jego głos. Zagroziła mu drogę do drzwi. — Okno — powiedziała. — No już, zrób to, co chciałeś zrobić w hotelu. Kiedy ci przeszkodziłam... — Rzuciła się na niego. Cofał się przerażony, aż oparł się plecami o ścianę.

— To rodzi się w twojej głowie — powiedział — ta nienawiść. Wszyscy cię lubimy. Ja, Gam,

St. Cyr i Harvey. Po co to wszystko?

— Po to, by pokazać wam, jacy naprawdę jesteście. Jeszcze to do ciebie nie dotarło? Jesteście gorsi nawet ode mnie, boja przynajmniej jestem szczerą.

— Dlaczego podszywałaś się pod Louisa?

— Ja jestem Louisem — warknęła. — Po śmierci nigdy nie osiągnął stanu półśmierci, bo go pożarłam. Wszedł we mnie. Czekałam na to. Razem z Alfonsem wszystko przygotowaliśmy. Nadajnik i taśmy, tam w przestrzeni, były gotowe już od dawna. Wystraszyliśmy was, co? Byliście zbyt przerażeni, by nam przeszkodzić. Gam dostanie nominację. Już ją dostał. Czuję to.

— Jeszcze nie — zaprzeczył Johnny.

— To kwestia czasu — powiedziała. — Wkrótce się pobierzemy. — Uśmiechnęła się. — A ty zdechniesz jak oni wszyscy. — Podeszła do niego nucąc: — Jestem Gamem i Louisem. A kiedy już wszyscy zginiecie, będę tobą, Claude'em i innymi. Pożrę was wszystkich. — Otworzyła szeroko usta i zobaczył jej białe jak śmierć, ostre zęby.

— I będziesz rządzić w królestwie umarłych — powiedział i uderzył ją z całych sił w szczękę. Odrzuciło ją do tyłu. Upadła na podłogę, ale natychmiast się podniosła i rzuciła na niego. Uskoczył w bok. Widział jej wykrzywioną, zniekształconą twarz. Nagle drzwi do pokoju otworzyły się i stanął w nich St. Cyr. Był z nim Harvey i dwie pielęgniarki. Kathy zatrzymała się, więc i Johnny stanął.

— Chodź, Barefoot — powiedział Claude. Johnny przeszedł przez pokój i stanął obok nich. Kathy poprawiła sobie ubranie.

— A więc to było ukartowane — powiedziała. — Johnny miał mnie zabić, a wy byście się temu spokojnie przyglądali.

— Umieścili w przestrzeni ogromny nadajnik — wyjaśnił Johnny. — Już jakiś czas temu. Czekali, aż Louis umrze. Może nawet sami mu w tym pomogli. Wszystko po to, by Gam otrzymał nominację i został prezydentem. Do tego czasu terroryzowaliby nas przekazami z kosmosu. Ona jest chora. Bardziej chora niż którykolwiek z nas mógłby przypuszczać. Skrzętnie to przed nami ukrywała.

— Nadaje się tylko do domu wariatów. — Choć St. Cyr zwykle potrafił zachować zimną krew, teraz głos mu się łamał. — W testamencie figuruję jako powiernik. Mogę odebrać jej prawo do majątku, zaskarżyć ją i skierować na przymusowe leczenie psychiatryczne. Trzeba orzec, czy jest poczytalna.

— Złożę wniosek do sądu — powiedziała Kathy. — Z łatwością przekonani ławę przysięgłych, że jestem normalna. Robiłam to już wcześniej. Nic trudnego.

— Możliwe, ale usuniemy wasz nadajnik. Do tego czasu władze już do niego dotrą.

— Zabierze im to parę miesięcy — odparła. — Nawet najszybszy statek nie doleci tam prędeją. A wtedy będzie już po wyborach. Alfons zostanie prezydentem.

St. Cyr spojrział na Barefoota.

— Może i tak — wymamrotał.

— Dlatego umieściliśmy go tak daleko. Alfons dał pieniądze, a ja swoje zdolności. Odziedziczyłam je po Louise. Mogę zrobić wszystko, jeśli tylko wystarczająco tego pragnę.

— Chciałaś, żebym skoczył, a jednak nie zrobiłem tego — zauważył Johnny.

— Zrobiłbyś. Niedużo brakowało — zapewniła go. — Tylko oni ci przeszkodzili. — Mówiła już całkiem spokojnie. — I prędzej czy później to zrobisz. Nie odpuszczę ci. Nie ma takiego miejsca, gdzie mógłbyś się przede mną schować. Wiesz, że zawsze cię znajdę... całą waszą trójkę. — Patrzyła na nich, jakby chciała wchłonąć ich wzrokiem.

— Ja też mam trochę władzy, kontaktów i pieniędzy — wtrącił się Harvey. — Myślę, że wystarczy, by pokonać Gama. Nawet jeśli otrzyma nominację.

— Masz władzę, ale brak ci wyobraźni — stwierdziła Kathy. — Nie jesteś dość potężny. Nie możesz się ze mną równać. — Była bardzo pewna siebie.

— Chodźmy stąd — powiedział Johnny. Zostawił pokój 309 i Kathy Egmont Sharp.

Długo spacerował po stromych ulicach San Francisco. Nie zwracał uwagi na budynki i ludzi. Włączył się bez celu z rękami w kieszeniach. Popołudnie przeszło w wieczór. Zapadł mrok, który rozświetlały uliczne latarnie. Szedł tak przed siebie, dopóki nie poczuł, jak bardzo bołą go nogi. Od rana nie miał nic w ustach. Zatrzymał się więc i rozejrzał.

Gdzie zniknęli Claude St. Cyr i Phil Harvey? Nie pamiętał, by się z nimi pożegnał. Nie pamiętał nawet, jak wyszedł ze szpitala. Ale cały czas pamiętał o Kathy, chociaż starał się zapomnieć. A może wcale nie chciał. To było zbyt ważne, żeby tak po prostu wyrzucić wszystko z pamięci. Wiedział, że wszyscy, którzy znaleźli się w pokoju 309, zapamiętają to na całe życie.

Spojrzał na stoisko z gazetami. Na pierwszej stronie wielkimi, czarnymi literami wydrukowano:

NOMINACJA DLA GAMA. GAM OBIECUJE WALCZYĆ JAK LEW W LISTOPADOWYCH WYBORACH

Więc dopięła swego, pomyślał. Udało się im obojgu. A teraz musieli jeszcze tylko pokonać Margrave'a. A ta rzecz w kosmosie cały czas nadawała. I będzie tak jeszcze w ciągu najbliższych miesięcy.

Wygrają, stwierdził.

Koło apteki znalazł aparat. Wrzucił pieniądze i wybrał numer do domu.

Ale w słuchawce zamiast głosu żony usłyszał dobrze znany jazgot: — Listopad dla Gama. Gam prezydentem wszystkich panów i dam. Gam dla panów i dam. Wasz Gam! — Rozłączył się.

Wszedł do małego baru, zamówił kanapkę i kawę. Usiadł i jadł mechanicznie. Jedzenie już mu nie smakowało. Wiedział jednak, że musi się pożywić. Potem wstał i podszedł do lady, żeby zapłacić. Co mogę zrobić? — pytał sam siebie. Czy w ogóle można coś zrobić? Zabrali nam wszystkie środki masowego przekazu. Kontrolują radio, telewizję, telefony, telegrafy... dosłownie wszystko. Nie zostawili nam nic, nie mamy szans na obronę. Porażka. Oto co nas czeka w najbliższej przyszłości. A kiedy już przejmą władzę... zginiemy.

— Dolar dziesięć — powiedziała dziewczyna za ladą.

Zapłacił i wyszedł.

Przywołał taxikopter i wsiadł.

— Do domu — polecił.

— Dobra, kolega, a pamiętasz adres? — zapytał przyjaźnie taksówkarz.

Podał mu chicagowski adres, oparł się wygodnie i przygotował do długiej podróży. Miał tego dosyć i musiał się wycofać. Wracał do żony i dzieci. Dla niego walka już się skończyła.

Zobaczyła go w drzwiach.

— Jezus Maria! Johnny! Jak ty wyglądasz? — jęknęła. — Pocałowała go i wpuściła do środka, do ciepłego, przytulnego salonu. — Myślałam, że świętujesz.

— Świętuję? — powtórzył ochryplym głosem.

— Przecież twój człowiek dostał nominację. — Weszła do kuchni, by zaparzyć kawę.

— No tak — przyznał. — W końcu byłem jego specjalistą od public relations.

— Lepiej się połóż — poradziła. — Jeszcze nigdy nie widziałam cię w takim stanie. Co się stało?

Usiadł na tapczanie i zapalił papierosa.

— Mogę coś dla ciebie zrobić? — spytała zaniepokojona.

— Nie.

— Czy to nie Louis Sarapis gada ciągle w TV i telefonach? Głos jakby jego. Rozmawiałam z Nelsonami i mówią, że to na pewno on.

— Nie, to nie on. Louis nie żyje.

— Ale ten okres półśmierci...

— Mówię ci. On nie żyje.

— Wiesz, kto to Nelsonowie, prawda? Wprowadzili się niedawno do mieszkania obok...

— Nie jestem w nastroju do rozmów.

Sara Belle umilkła na chwilę.

— Jeszcze tylko powiem ci jedno... choć pewnie nie będziesz zbyt zadowolony — dodała. — Powiedzieli mi... Ci Nelsonowie to zwykli, normalni ludzie... No więc powiedzieli mi, że nawet jeśli Alfons Gam dostał nominację, i tak nie będą na niego głosować. Po prostu im się nie podoba. Mruknął coś.

— Jesteś zły? — zapytała. — Myślę, że to reakcja na presję, którą wywiera Louis w telewizji, radiu... Wszyscy mają już tego dosyć. Myślę, że przesadziliście trochę z tą kampanią, Johnny. — Spojrzała na niego niepewnie. — Taka jest prawda.

Wstał.

— Idę do Phila Harveya. Wrócę późno — zapowiedział. Patrzyła, jak wychodzi. Zaczynała poważnie się o niego martwić.

U Phila spotkał Gertrudę Harvey i Claude'a St. Cyra. Siedzieli w dużym pokoju, popijali drinki, ale nikt się nie odzywał. Harvey spojrzał przelotnie na Johnny'ego i odwrócił głowę.

— Poddajemy się? — spytał go Johnny.

— Jestem w kontakcie z Kentem Margrave'em. Spróbujemy uszkodzić nadajnik. Ale z tej odległości to szansa jedna na milion. Poza tym nawet najszybszy pocisk doleci tam najprędzej za miesiąc.

— No, ale to już coś — powiedział Barefoot. Byłoby to jeszcze przed wyborami. Zostałoby im wtedy kilka tygodni na przeprowadzenie kampanii. — Czy Margrave wie, jak poważna jest sytuacja?

— Tak. Powiedzieliśmy mu właściwie wszystko — odparł Claude St. Cyr.

— To nie wystarczy — stwierdził Phil. — Jest jeszcze jedna rzecz, którą ktoś musi zrobić. Wchodzisz w to, Johnny? Właśnie ciągniemy zapaliki. — Barefoot zobaczył na ławie trzy zapaliki. Jedna była krótsza. Phil dołożył jeszcze jedną.

— Najpierw ona. I to jak najszybciej. Potem, jeśli będzie to konieczne, także Alfons.

Johnny Barefoot poczuł na plecach zimny dreszcz. Phil Harvey wziął wszystkie zapaliki, przemieszał dokładnie i ukrył w dłoni.

— Dobra, Johnny. Przyszedłeś ostatni, to pozwolę ci ciągnąć na początku. Weź zapalikę.

— Ja? Nie — powiedział Johnny.

— No to ciągniemy bez ciebie — zdecydowała Gertruda Harvey i wyciągnęła pierwszą zapalikę. Potem jedną wziął Claude St. Cyr i w ręku Phila zostały już tylko dwie.

— Kochałem ją — powiedział Johnny. — Cały czas kocham.

— Wiem — przyznał Phil.

— Dobrze — zgodził się z ciężkim sercem Johnny — pociągnę. — Wziął od Harveya jedną z zapalek.

Tę krótszą.

— A więc to ja — powiedział.

— Dasz radę? — zapytał Claude.

Barefoot milczał przez chwilę, a w końcu odezwał się:

— Pewnie, że dam. Czemu nie? — Właśnie, czemu nie miałbym tego zrobić? — pomyślał. — W końcu to kobieta, w której się zakochałem, więc z pewnością mogę ją i zabić. Nie da się inaczej. Nie mamy wyboru.

— To wcale nie musi być takie trudne — wyjaśnił Claude St. Cyr. — Gadaliśmy z technikami Phila. Powiedzieli nam coś ciekawego. Okazuje się, że część transmisji musi napływać z bliskiego źródła, bo teksty dotyczą najświeższych wiadomości. Tak było z twoją próbą samobójczą w hotelu. Gdyby sygnał płynął z odległego kosmosu, pojawiłaby się zauważalna różnica w czasie.

— Są zwykłymi ludźmi. Nawet oni nie mają wpływu na pewne rzeczy — powiedziała Gertruda.

— Po pierwsze, musimy znaleźć ich bazę tu, na Ziemi albo gdzieś w naszym Układzie Słonecznym — mówił dalej Claude St. Cyr. — Możliwe, że jest na farmie Gama, na Io. Jeśli okaże się, że Kathy wyszła już ze szpitala, spróbuj najpierw poszukać jej na Io.

— Dobrze — powiedział Barefoot.

— Napijesz się czegoś? — zapytał Harvey.

Johnny skinął głową.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu i sączyli drinki.

— Masz pistolet? — zapytał St. Cyr.

— Mam — odpowiedział Johnny. Odstawił pustą szklanekę i wstał.

— Powodzenia — rzuciła na pożegnanie Gertruda.

Johnny otworzył drzwi i wyszedł w mrok. Wieczór był bardzo chłodny.

ORFEUSZ KULAWY

W jednym z biur Centrum Konsultantów Wojskowych Jesse Slade wyrzął przez okno na ulicę. Pomyślał z żalem o kwiatach, zielonej trawie i straconej możliwości długiej wyprawy w nieznane. Westchnął głośno.

— Przykro mi — powiedział klient siedzący po drugiej stronie biurka. — Chyba pana nudzę.

— Ależ skąd — zaprzeczył Slade, z trudem powracając do ponurej rzeczywistości. — Zobaczmy... — Przejrzał dokumenty, które ów klient, niejaki Walter Grossbein, wręczył mu przed chwilą. — Uważa pan, że wystarczającą podstawą do zwolnienia pana ze służby wojskowej są chroniczne problemy ze słuchem, które lekarze cywilni przypisują przebytemu niegdyś ostremu zapaleniu ucha wewnętrznego. Cóż... — Obejrzał stosowne zaświadczenie.

Do jego obowiązków — których zresztą nie cierpiał — należało wskazywanie klientom skutecznych sposobów na uzyskanie zwolnienia ze służby wojskowej. Sytuacja na wojnie przeciwko Rzeczom przedstawiała się niekorzystnie; z rejonu Proximy donoszono o licznych ofiarach i liczba klientów firmy znacznie wzrosła.

— Panie Grossbein — powiedział Slade z namysłem — gdy wchodził pan do gabinetu, zauważyłem, że jakby bezwiednie przechyla się pan na jedną stronę.

— Naprawdę? — spytał zaskoczony Grossbein.

— Tak, i od razu pomyślałem sobie: oho, ten człowiek ma poważne zaburzenia równowagi. A to ma związek z uszami, panie Grossbein. Słuch, z punktu widzenia ewolucji, to naturalne przedłużenie zmysłu równowagi. Niektóre istoty wodne niższego rzędu potrafią wchłonąć ziarnko piasku, i po pozycji, jaką zajmuje w ich wypełnionym wodą ciele, orientują się, czy płyną w górę czy w dół.

— Chyba rozumiem, o co panu chodzi — odparł Grossbein.

— Niech pan zatem sam to powie — zachęcił go Slade.

— Rzeczywiście... gdy idę, często przechylam się na jedną stronę.

— A w nocy?

Grossbein zmarszczył brwi, po czym oznajmił radośnie:

— Tak, w ciemnościach kompletnie tracę orientację.

— Świetnie — podsumował Jesse Slade i zaczął wypełniać formularz B-30. — To załatwia sprawę zwolnienia.

— Nie wiem, jak się panu odwdzięczę — powiedział uszczęśliwiony Grossbein.

Ależ to proste, pomyślał Slade. Pięćdziesięciodolarowym banknotem. W końcu gdyby nie my, zmieniłbyś się wkrótce w wyblakły szkielet leżący w jakimś rowie na odległej planecie.

Na myśl o odległych planetach znów ogarnęła go tęsknota. Chciał wyrwać się z tego ciasnego biura, uciec od klientów, z którymi musiał się użerać dzień po dniu.

Przecież musi istnieć życie inne niż to, pomyślał. Czy naprawdę nie dostanie od życia już nic więcej?

W dole, u wylotu ulicy, był neon, który palił się dzień i noc. Wakacje z Muzami, głosił napis, a Jesse Slade dobrze wiedział, co oznaczają te słowa. Postanowił, że tam pójdzie. Dzisiaj. Podczas przerwy na kawę o dziesiątej trzydzięci. Po co czekać do popołudnia.

Zakładał właśnie płaszcz, gdy do gabinetu wszedł Hnatt, jego przełożony.

— Jak tam, Slade, co słyhać? Nie wyglądasz najlepiej.

— Wychodzę, panie Hnatt — odparł Slade. — Muszę się stąd wyrwać. Doradziłem piętnastu

tysiącom facetów, jak uniknąć służby wojskowej. Czas zadbać o siebie.

Hnatt poklepał go po plecach.

— Słusznie. Jesteś przemęczony, Slade. Weź sobie wolne. Wykup wycieczkę w czasie do jakiejś odległej cywilizacji. To ci dobrze zrobi.

— Dziękuję, panie Hnatt. Taki właśnie mam zamiar — powiedział Slade i wyszedł z biura. Znalazłszy się na ulicy, ruszył w stronę neonu.

Dziewczyna za kontuarem, blondynka o zielonych oczach i wyjątkowo bujnych kształtach, powitała go szerokim uśmiechem.

— Pan Manville zaraz pana przyjmie, panie Slade. Proszę spocząć. Na stoliku znajdzie pan oryginalne dziewiętnastowieczne egzemplarze „Harper’s Weekly”. I kilka „Mad Comics” z dwudziestego stulecia — to klasyka pamfletu, nie ustępują Hogarthowi.

Nieco spięty, Slade usiadł i próbował skupić się na lekturze. W „Harper’s Weekly” znalazł artykuł, którego autor twierdził, że budowa Kanału Panamskiego jest niemożliwa i projekt został odrzucony przez francuskich inżynierów. Zaciekawilo go to na moment — argumenty i tok rozumowania były logiczne i przekonujące — ale wkrótce powróciły zwykłe znużenie i zniecierpliwienie. Wstał i jeszcze raz podszedł do biurka.

— Pan Manville jeszcze nie przyszedł? — zapytał z nadzieją. Za plecami usłyszał męski głos:

— Hej, tam, przy kontuarze.

Odwrócił się i zobaczył wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę o bystrych jasnych oczach.

— Znalazł się pan w niewłaściwym stuleciu — powiedział nieznajomy. Slade głośno przełknął ślinę.

Mężczyzna podszedł bliżej.

— Nazywam się Manville, drogi panie — przedstawił się, wyciągając rękę. Uścisnęli sobie dłonie. — Musi się pan stąd wyrwać. Jak najszybciej.

— Przyszedłem, żeby skorzystać z waszych usług — wyjąkał Slade.

— Miałem na myśli przeszłość. — Oczy Manville’a rozbłysły. — Z kim mam przyjemność? — Wykonał dobitny gest. — Zaraz, zaraz. Już mam. Jesse Slade z Centrum Konsultantów.

— Zgadza się — odparł Slade z podziwem.

— Świetnie. Przejdźmy zatem do interesów — rzekł Manville. — Zapraszam do mojego gabinetu. — Zwrócił się do hojnie obdarzonej przez naturę recepcjonistki: — Panno Frib, proszę dopilnować, żeby nikt nam nie przeszkadzał.

— Oczywiście, panie Manville — odparła panna Frib. — Dopilnuję tego.

— Wiem, panno Frib.

Manville wprowadził Slade’a do elegancko urządzonego biura. Na ścianach wisiały stare mapy i ryciny, a meble... Slade’a zamurowało. Styl wczesnoamerykański, z drewnianymi kołkami zamiast gwoździ. Wart fortunę klosz z Nowej Anglii.

— Czy mogę... — zaczął.

— Ależ naturalnie. Proszę spocząć na tym fotelu z epoki Dyrektoriatu — powiedział Manville. — Tylko ostrożnie. Jeśli pochyli się pan do przodu, może się spod pana wyślizgnąć. Nosimy się z zamiarem zamontowania gumowych podkładek czy czegoś w tym rodzaju. — Wyglądał na poirytowanego faktem, że musi omawiać podobne drobiazgi. — Panie Slade — zaczął bez ogródek — będę z panem szczerzy. Jest pan człowiekiem inteligentnym, więc chyba możemy sobie darować wstępne banały.

— Oczywiście — odparł Slade. — Proszę mówić.

— Podróże w czasie, które mamy w ofercie, są dość niezwykle. Stąd nazwa firmy: Wakacje z Muzami. Chyba rozumie pan, o co chodzi?

— Cóż — zaczął Slade. Był trochę zagubiony, ale się starał. — Pomyślmy. Muza to istota, której głównym celem jest...

— Dawanie natchnienia i inspiracja — przerwał mu niecierpliwie Manville. — Slade, nie jest pan, szczerze mówiąc, jednostką specjalnie twórczą. I dlatego czuje pan nudę i zniechęcenie do świata. Maluje pan? Píše muzykę? Spawa i wytapia metalowe rzeźby z porzuconych kadłubów rakiet czy krzesel ogrodowych? Nie. Nie robi pan nic. Jest pan zupełnie bierny. Czyż nie mam racji?

Slade kiwnął głową.

— Trafił pan w sedno, panie Manville.

— Trafiłem, ale kulą w płot — odparł poirytowany Manville. — Pan mnie nie słucha, Slade. Nic nie uczyni pana bardziej kreatywnym, bo nie ma pan tego w sobie. Jest pan zbyt pospolity, zwyczajny. Nie mam zamiaru nakłaniać pana do malowania palcami ani do wyplatania koszy z wikliny. Nie jestem zwolennikiem teorii Junga. Nie wierzę, że sztuka jest odpowiedzią, rozwiązaniem. — Odchylając się do tyłu, wycelował palec w Slade'a. — Niech pan posłucha, Slade. Możemy panu pomóc, ale tylko wtedy, jeśli pan będzie chciał pomóc sobie. A skoro nie jest pan twórczy, byłoby najlepiej, gdyby — i w tym możemy pomóc — zajął się pan motywowaniem tych, którzy są. Teraz pan rozumie?

— Rozumiem, panie Manville — odparł Slade po chwili. — Naprawdę.

— Świetnie — powiedział Manville, kiwając głową. — Zatem mógłby pan zainspirować jakiegoś sławnego muzyka, jak Mozart czy Beethoven, albo naukowca, takiego jak Albert Einstein, czy rzeźbiarza, jak sir Jacob Epstein — któregośkolwiek z niezliczonych pisarzy, muzyków, poetów. Mógłby pan na przykład spotkać się z sir Edwardem Gibbonem podczas jego podróży nad Morze Śródziemne i wdać się z nim w luźną pogawędkę... Hm, proszę spojrzeć na te ruiny. Pozostałość po starożytnej cywilizacji. Ponure cienie zmierzchu zdają się przypominać, że nawet tak potężne imperium jak Rzym upadło. Swoją drogą, ciekawe, jak do tego doszło?

— Dobry Boże — rzucił rozgorączkowany Slade — już rozumiem. Teraz to do mnie dotarło. Będę powtarzał słowo „zmierzch” i tym samym podsunę Gibbonowi temat jego wielkiego dzieła, *Zmierzchu cesarstwa rzymskiego*. I... — zająknął się — to będzie moja pomoc.

— Pomoc? — powtórzył Manville. — To mało powiedziane. Bez pańskiej inicjatywy świat z pewnością nie doczekałby się tak wiekopomnego dzieła. Pan, panie Slade, może zostać muzą sir Edwarda. — Sięgnął po cygaro marki Upmann z 1915 roku i zapalił.

— Muszę to jeszcze przemyśleć — powiedział Slade. — Chcę mieć pewność, że zainspiruję właściwą osobę. To znaczy, oni wszyscy zasługują na inspirację, ale...

— Ale chce pan znaleźć osobę, która będzie panu szczególnie odpowiadała — dokończył Manville, wypuszczając chmurę gęstego, niebieskawego dymu. — Niech pan przejrzy nasz informator. — Podał mu dużą kolorową trójwymiarową broszurę. — Proszę wziąć to do domu, przeczytać i wrócić, gdy podejmie już pan decyzję.

— Niech pana Bóg błogosławi, panie Manville — powiedział mu żarliwie Slade.

— I niechże się pan uspokoi — rzekł Manville. — Świat się nie kończy... wiemy to, bo sprawdziliśmy osobiście. — Uśmiechnął się, a Slade odpowiedział mu uśmiechem.

Dwa dni później Jesse Slade ponownie zawitał w siedzibie firmy Wakacje z Muzami.

— Panie Manville — powiedział — podjąłem już decyzję. — Wziął głęboki oddech i ciągnął dalej: — Długo myślałem i w końcu doszedłem do wniosku, że najbardziej chciałbym znaleźć się w Wiedniu i natchnąć Ludwika van Beethovena do napisania *IX symfonii*. Wie pan, tego motywu z czwartej części utworu. Baryton śpiewa bum–bum de–da de–da bum–bum, córy Elizjum; no wie pan. — Zaczerwienił się: — Nie jestem muzykiem, ale zawsze podziwiałem *IX symfonię*, a w

szczegółności...

— Ktoś pana uprzedził — przerwał mu Manville.

— Co? — Slade nie bardzo rozumiał.

— Ktoś już to zrobił, panie Slade — Manville, wyraźnie zniecierpliwiony, usiadł za swoim wspaniałym dębowym biurkiem z żaluzjowym zamknięciem, rocznik 1910. Wyciągnął gruby, czarny segregator i czegoś w nim szukał. — Dwa lata temu niejaka Ruby Welch z Montpelier w Idaho pojechała do Wiednia i podsunęła Beethovenowi pomysł na motyw przewodni części chóralnej *IX symfonii*. — Z głośnym trzaskiem zamknął segregator i uważnie spojrzął na Slade'a: — No więc? Jaki jest pana następny wybór?

— M... muszę to przemyśleć — zająknął się Slade. — Proszę mi dać trochę czasu.

Manville popatrzył na zegarek:

— Ma pan dwie godziny, do trzeciej po południu. Do widzenia, panie Slade.

Wstał z fotela. Slade również się poderwał.

Godzinę później w swoim ciasnym biurze w siedzibie Centrum Konsultantów Jesse Slade w nagłym i nieoczekiwanym przyplwywie świadomości zdał sobie sprawę, kogo chciałby zainspirować. Natychmiast włożył płaszcz, wytłumaczył się przed pełnym zrozumienia Hnattem i popędził do Wakacji z Muzami.

— O, pan Slade — powiedział Maiwille, widząc go. — Szybko pan wrócił? Proszę do gabinetu. — Ruszył przodem. — No dobrze. Słucham. — Zamknął drzwi.

Jesse Slade oblizal spierzchnięte wargi, odkaszlnął i powiedział:

— Panie Manville, chciałbym natchnąć... Cóż, może najpierw kilka słów tytułem wstępu. Zna pan pewnie złote lata science fiction złotego okresu, czyli z lat tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt?

— Tak, oczywiście — odparł Manville niecierpliwie, marszcząc gniewnie czoło.

— Gdy byłem w college'u — ciągnął Slade — musiałem napisać pracę magisterską z literatury angielskiej. Dlatego czytałem bardzo dużo dwudziestowiecznej fantastyki naukowej. Najbardziej spodobał mi się trzech pisarzy. Robert Heinlein ze swoją *Historią przyszłości*, Isaac Asimov i jego trylogia *Fundacja* i wreszcie... — wziął głęboki oddech — autor, którego twórczości dotyczyła moja praca. Jack Dowland. Z tej trójki jego właśnie okrzyknięto najwybitniejszym. Jego opowiadania zaczęły się ukazywać w pięćdziesiątym siódmym roku. Drukowane je w czasopiśmie, potem wyszło również wydanie książkowe. W sześćdziesiątym trzecim uznano go za...

— Hm — mruknął Manville. Ponownie sięgnął po segregator i zaczął go kartkować. — Dwudziestowieczna fantastyka naukowa... to zawęży krąg... na pana korzyść. Zobaczmy.

— Mam nadzieję — powiedział Slade cicho — że nikt się tym dotąd nie zajął.

— Jest jeden klient — poinformował go Manville. — Leo Parks z Vacaville w Kalifornii. Przeniósł się, żeby zniechęcić A.E. van Vogta do pisania romansów i westernów, i przekonał go do zajęcia się science fiction. — Przewrócił jeszcze kilka kartek i dodał: — A w zeszłym roku jedna z naszych klientek, panna Julie Oxenblut z Kansas, wyraziła chęć zainspirowania Roberta Heinleina do napisania *Historii przyszłości...* Czy to nie Heinleina pan wymienił?

— Nie — odparł Slade — mówiłem o Jacku Dowlandzie, największym z nich trzech. Heinlein był wybitnym pisarzem, ale proszę mi wierzyć, panie Manville, że Dowland był zdecydowanie lepszy.

— Nie, nikt się tym wcześniej nie zainteresował — stwierdził Manville, zamykając segregator. Z szuflady biurka wyjął odpowiedni formularz. — Proszę to wypełnić — powiedział — a my zajmiemy się resztą. Czy zna pan dokładną datę i miejsce, gdzie Dowland zaczął pracę nad swoją historią przyszłości świata?

— Tak — odparł Slade. — Mieszkał wtedy w małej miejscinie w Nevadzie, przy autostradzie 40. Miasto nazywało się Purpleblossom. Były tam trzy stacje benzynowe, kawiarenka, bar i sklep. Dowland przeniósł się tam, żeby przesiąknąć tą atmosferą. Chciał pisać opowiadania o Dzikim Zachodzie, w formie telewizyjnych scenariuszy. Liczył, że się na tym dorobi.

— Widzę, że sporo pan wie na jego temat — zauważył z podziwem Manville.

— W Purpleblossom — ciągnął Slade — Dowland napisał kilka scenariuszy do westernów, ale nie był z nich zadowolony. Tak czy owak, został tam, próbując sił w innych formach. Pisał książki dla dzieci, artykuły o seksie przedmałżeńskim do kolorowych magazynów... a potem, zupełnie niespodziewanie, w roku pięćdziesiątym szóstym nagle zajął się science fiction i od razu napisał nowelę, która przewyższała wszystkie dotychczasowe. To było swoiste *consensus gentium* tamtych czasów. Czytałem ją, panie Manville, i w pełni zgadzam się z tą opinią. Nowela nosi tytuł *The Father on the Wall* i wciąż umieszcza się w antologiach. A czasopismo, które ją wydrukowało w sierpniu pięćdziesiątego siódmego roku, „Fantasy & Science Fiction”, zostanie zapamiętane na zawsze.

Maiwille pokiwał głową.

— I to jest owo *opus magnum*, którego powstanie chce pan zainspirować. To i wszystkie następne.

— Właśnie o to mi chodzi — potwierdził Slade.

— Proszę wypełnić formularz — powiedział Manville — a my zajmiemy się resztą. — Uśmiechnął się do Slade'a, a ten odwzajemnił uśmiech.

Pilot wehikułu czasu, niski, krępy, krótko ostrzyżony młodzieniec o grubych rysach twarzy, zwrócił się do Slade'a.

— OK. kolego, gotowy czy nie? Proszę się zdecydować.

Slade jeszcze raz obejrzał dwudziestowieczny ubiór, który dostarczyła firma Wakacje z Muzami. Było to wliczone w wygórowaną, jego zdaniem, cenę wycieczki. Wąski krawat, spodnie bez mankietów i koszula w paski... Tak, pomyślał Slade, tak właśnie ubierano się w tamtych czasach. Włoskie mokasyny o wąskich noskach i kolorowe elastyczne skarpetki świetnie pasowały do reszty. Z pewnością może uchodzić za mieszkańca Stanów w roku 1956, nawet w Purpleblossom w Nevadzie.

— Teraz niech mnie pan uważnie posłucha — powiedział pilot, zapinając Slade'owi pasy bezpieczeństwa. — Musi pan pamiętać o kilku sprawach. Po pierwsze, może pan wrócić do dwa tysiące czterdziestego roku tylko ze mną. Jasne? To nie spacer w parku. Po drugie, musi pan uważać, żeby nie zmienić przeszłości. To znaczy, musi się pan trzymać swojego zadania i tylko do tego się ograniczyć.

— Rozumiem — przytaknął Slade, trochę zdumiony tym ostrzeżeniem.

— Zbyt wielu klientom — wyjaśnił pilot — zdziwiłby się pan, jak wielu, odbija palma, gdy tylko znajdą się w przeszłości. To złudzenie władzy — chcą zapobiec wojnom, zlikwidować głód i ubóstwo... no wie pan. Zmienić bieg historii.

— Nie mam takiego zamiaru — zapewnił go Slade. — Nie interesują mnie tego typu przedsięwzięcia. — Samo spotkanie z Jackiem Dowlandem i możliwość zainspirowania go były wystarczającym przeżyciem. Choć z drugiej strony, potrafił zrozumieć pobudki tych, o których mówił pilot. W pracy spotykał wielu różnych ludzi.

Pilot zatrzasnął właz wehikułu, sprawdził, czy pasażer jest prawidłowo zapięty, i zajął miejsce za sterami. Wcisnął jakiś przełącznik i już po chwili Slade znalazł się w drodze na wymarzone wakacje, z dala od monotonii biura. Pędził do roku 1956, by dokonać najbardziej twórczej rzeczy w swoim nieciekawym życiu.

Popołudniowe słońce Newady prażyło i oślepiało. Slade mrużył oczy, wypatrując miasteczka Purplebiossom. Ale otaczały ich tylko skały i piach. Pustynny krajobraz przecinała wąska droga, biegnąca między rosnącymi wokół jukami.

— Na prawo — pokazał pilot. — Dojdzie pan tam w dziesięć minut. Mam nadzieję, że pamięta pan warunki umowy. Lepiej niech pan jeszcze raz ją przejrzy.

Z kieszeni na piersi płaszcz z lat pięćdziesiątych Jesse Slade wyjął żółtą kartkę.

— Mam trzydzieści sześć godzin. Odbierze mnie pan z tego samego miejsca. Jeżeli nie stawię się w wyznaczonym czasie i nie będziecie mogli mnie zabrać, to mój problem. W takim wypadku firma nie ponosi odpowiedzialności.

— Wszystko się zgadza — powiedział pilot, wsiadając do wehikułu. — Powodzenia, panie Slade. Czy też może powinienem powiedzieć: Powodzenia, muzo Jacka Dowlanda. — Uśmiechnął się na wpół ironicznie, na wpół przyjaźnie i zniknął we wnętrzu pojazdu.

Jesse Slade stał samotnie na środku pustyni, ćwierć mili od miasteczka Purplebiossom.

Ruszył w kierunku wskazanym przez pilota, raz po raz wycierając chustką spocony kark.

Dom Jacka Dowlanda odnalazł bez problemu, bo w miasteczku było tylko siedem domów. Wszedł na rozlatującą się drewnianą werandę, omiatając spojrzeniem stojący na podwórku śmietnik, sznur do bielizny i jakieś porzucone fragmenty rur kanalizacyjnych. Na podjeździe stał jakiś stary, rozklekotany samochód — musiał sprawiać takie wrażenie nawet w 1956 roku.

Slade zadzwonił do drzwi i nerwowo poprawił krawat. Po raz kolejny powtórzył w myślach przygotowaną kwestię. W tym momencie swego życia Jack Dowland nie pisał jeszcze opowiadań science fiction. Należało o tym pamiętać. Ten niewinny dzwonek do drzwi zwiastował nadejście nowej ery, życiowy przełom. Oczywiście Dowland nie miał o tym bladego pojęcia. Co teraz robi? Píše? Czyta jakąś gazetę z Reno? A może śpi?

Slade usłyszał kroki. Czekał w napięciu.

Drzwi się otworzyły i zobaczył młodą kobietę w lekkich, bawełnianych spodniach i klapkach, z włosami związanymi w koński ogon. Miała śliczne, drobne stopy, a jej skóra była gładka i błyszcząca. Złapał się na tym, że wpatruje się w nią zbyt natrętnie, nieprzyzwyczajony do tak odsłoniętego kobiecego ciała.

— Słucham? — spytała uprzejmie, choć z lekką nutą zniecierpliwienia. Właśnie odkurzała. W salonie w głębi domu stał pojemnikowy odkurzacz typu G.E. Jego obecność dowodziła, że historycy byli w błędzie, sądząc, iż te urządzenia zniknęły po 1950 roku.

— Pani Dowland? — spytał Slade. Kobieta skinęła głową. Zza jej pleców wyjrzało małe dziecko, zaciekawione obecnością nieznajomego. — Jestem wielbicielem pani męża i jego wybitnych... — Uups, pomyślał, nie tędy droga. Odchrząknął głośno. Książki z tego okresu wspominały o takim zachowaniu podczas rozmowy. — Chciałem powiedzieć co innego, droga pani. Dobrze znam utwory pani małżonka Jacka. Odbyłem długą podróż po piaszczystych, suchych bezdrożach, by móc podziwiać go przy pracy. — Uśmiechnął się z nadzieją.

— Zna pan utwory Jacka? — wydawała się zaskoczona, ale i zadowolona jednocześnie.

— Z telewizji — powiedział. — To znakomite scenariusze.

— Jest pan Anglikiem, prawda? — spytała. — Zechce pan wejść? — Otworzyła szerzej drzwi. — Jack pracuje na poddaszu... dzieci strasznie hałasują. Ale jestem pewna, że chętnie zrobi sobie przerwę i z panem porozmawia. Zwłaszcza że przyjechał pan z tak daleka, panie...

— Slade — przedstawił się Jesse. — Zacznie macie państwo domostwo.

— Dziękuję — wprowadziła go do mrocznej, chłodnej kuchni. Na środku stał okrągły plastikowy stół, a na nim karton mleka, talerz z żaroodpornego szkła, cukiernica, dwie filiżanki i

inne zdumiewające przedmioty. — Jack! — krzyknęła, stając u podnóża schodów — przyjechał jakiś twój wielbiciel! Chce się z tobą zobaczyć!

Na górze otworzyły się drzwi. Rozległy się kroki i po chwili pojawił się Jack Dowland, młody, przystojny, z nieco przerzedzoną brązową czupryną. Miał na sobie sweter i luźne spodnie, a na szczupłej, inteligentnej twarzy posępny grymas.

— Przecież pracuję — rzucił krótko. — I choć robię to w domu, jest to taka sama praca jak każda inna. — Spojrzał na Slade'a. — O co panu chodzi? Co to za historia z tym „wielbicielem”? Wielbiciel moich utworów? Których? Jezu, od dwóch miesięcy nic nie sprzedałem. Niedługo dostanę od tego wszystkiego zajoba.

— Jacku Dowland. To wszystko dlatego, że nie znalazł pan jeszcze odpowiedniego dla siebie gatunku literackiego — powiedział Slade. Słyszał drzenie własnego głosu. Nadeszła ta chwila.

— Napije się pan piwa, panie Slade? — spytała pani Dowland.

— Dziękuję pani, chętnie — odparł Slade. — Jacku Dowland — podjął — jestem tu, by pana natchnąć.

— Skąd pan przyjechał? — spytał Dowland podejrzliwie. — I dlaczego ma pan tak śmiesznie zawiązany krawat?

— Cóż w tym zabawnego, jeśli mogę spytać? — Slade denerwował się coraz bardziej.

— Węzeł powinien być podciągnięty pod szyję, a u pana zwisa luźno na piersiach. — Dowland obszedł go dookoła, przyglądając się krytycznie. — I po co ogolił pan głowę? W tak młodym wieku chyba nie jest pan jeszcze łysy?

— Zgodnie z panującym obecnie zwyczajem — wyjaśnił Slade bez przekonania — należy mieć głowę gładko ogoloną. Przynajmniej w Nowym Jorku.

— Czyżby? — spytał Dowland. — Coś pan za jeden, jakiś szajbus czy co? I czego pan właściwie chce?

— Przybyłem tu, by chwalić pana talent — odparł Slade. Czuł narastającą wściekłość. Nie został właściwie potraktowany i miał tego pełną świadomość. — Jacku Dowland — ciągnął, jękając się lekko — wiem o pańskich dziełach więcej niżli pan sam. Wiem, że najważniejsze dla pana jest science fiction, a nie telewizyjne westerny. Proszę mnie wysłuchać, jestem pana muzą — urwał i zaczerpnął powietrza.

Dowland wpatrywał się w niego przez chwilę, po czym odchylił głowę do tyłu i wybuchnął głośnym śmiechem.

Pani Dowland, również się śmiejąc, powiedziała:

— Cóż, wiedziałam, że Jack miał muzę, ale myślałam, że to kobieta. Czy mężczyzna może być muzą?

— Tak — rzucił gniewnie Slade. — Leon Parks z Vacaville w Kalifornii, który natchnął A.E. van Vogta, był mężczyzną. — Nogi odmówiły mu posłuszeństwa, więc usiadł przy stole. — Niech pan posłucha, Jacku Dowland...

— Na litość boską — przerwał mu Dowland — proszę mnie tak nie tytułować. Albo imię, albo nazwisko. W ogóle jakoś dziwnie pan mówi. Szaleju się pan najadł czy co?

— Coś do jedzenia? — spytał Slade, całkiem zbity z tropu. — Nie, dziękuję. Piwo wystarczy.

— No dobra — powiedział Dowland — muszę wracać do pracy. Mówiłem już: pracuję w domu, ale to też praca.

Nadeszła odpowiednia chwila. Slade odchrząknął i rzekł:

— Jack, jeśli mogę tak do ciebie mówić, zastanawiam się, jak to się stało, że jeszcze nie wzięłeś się za science fiction. Wydaje mi się, że...

— Powiem ci, dlaczego — przerwał mu Dowland, Chodził w tę i z powrotem, z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie. — Bo wisi nad nami cholerna wojna wodorowa. Przyszłość jest

ponura. Kto chciałby o tym pisać? Jeezu — potrząsnął zrezygnowany głową. — A poza tym, kto to czyta? Pruszczaci gówniarze. Nieprzystosowani popaprańcy. To gówno warte. Wymień choć jedno dobre opowiadanie science fiction. Znalazłem kiedyś w autobusie w Utah takie pismo. Gówno! Nawet gdyby mi dobrze płacili, nie napisałbym takich bzdur. A płacą gówniane pieniądze, jakieś pół centa za słowo. Kto się z tego utrzyma? — Zdegustowany ruszył w stronę schodów. — Wracam do pracy.

— Zaczekaj — rzucił Slade w nagłym odruchu desperacji. Wszystko poszło nie tak. — Wysłuchaj mnie, Jacku Dowlandzie.

— Kurde, znowu zaczynasz te śmieszne gadki? — powiedział Dowland, ale zatrzymał się w pół kroku. — No więc? — ponaglił.

— Panie Dowland, przybyłem tu z przyszłości — oznajmił Slade. Złamał zasady. Tego nie wolno mu było zrobić. Maiwille ostrzegał go, ale teraz wydawał się to jedyny sposób, by zatrzymać Jacka Dowlanda.

— Co? — wykrzyknął Dowland. — Skąd?

— Podróżuję w czasie — wykrztusił Slade i umilkł.

Dowland zawrócił i ruszył w jego stronę.

Gdy Slade przybył na umówione miejsce, zastał już tam młodego pilota, który siedział na ziemi przed wehikulem i czytał gazetę. Chłopak podniósł na niego wzrok i uśmiechnął się szeroko.

— Cały i zdrowy. No dobrze, panie Slade, możemy wracać. — Otworzył wąż i wpuścił Slade'a do środka.

— Niech mnie pan stąd zabierze — wymamrotał Slade. — Jak najszybciej.

— Co się stało? Nie podobała się panu wycieczka?

— Zabierz mnie pan z powrotem — burknął Slade.

— W porządku — rzucił pilot, unosząc brwi. Przypiął Slade'a pasami i usiadł na fotelu obok.

Gdy wrócili do siedziby firmy, pan Manville już na nich czekał.

— Slade — mruknął z ponurą miną — proszę do mojego gabinetu. Mam panu coś do powiedzenia.

Kiedy znaleźli się sami w biurze Manville'a, Slade powiedział:

— Był w złym nastroju. Niech mnie pan nie obwinia, panie Manville. — Spuścił głowę. Czuł się pusty i bezużyteczny.

— Pan... — Manville popatrzył na niego z niedowierzaniem. — Nie udało się panu! To pierwszy taki przypadek!

— Może mógłbym tam wrócić — zasugerował nieśmiało Slade.

— Wrócić!? — wrzasnął Maiwille. — Przecież pan nie tylko go nie zainspirował, ale wręcz zniechęcił do science fiction!

— Skąd pan o tym wie? — Slade liczył po cichu, że uda mu się zabrać tę ponurą tajemnicę do grobu.

— Wystarczyło przejrzeć opracowania poświęcone dwudziestowiecznej literaturze. Pół godziny po pana odlocie wszystkie teksty dotyczące Dowlanda zniknęły, w tym jego biografia zamieszczona w *Encyclopaedia Britannica*.

Slade milczał, wpatrując się w podłogę.

— Przeprowadziłem więc szybkie dochodzenie — ciągnął Manville. — Komputery Uniwersytetu Kalifornijskiego sprawdziły wszystkie wzmianki o Jacku Dowlandzie.

— A były jakieś? — wymamrotał Slade.

— Owszem — odparł Manville — kilka. W paru wysoce specjalistycznych artykułach, których autorzy nadzwyczaj szczegółowo potraktowali ten okres w literaturze. To przez pana Jack

Dowland jest teraz zupełnie nieznany szerszej publiczności; i był nieznany za życia. — Sapiąc gniewnie, pogroził Slade'owi palcem. — To przez pana Jack Dowland nigdy nie napisał swojej słynnej historii przyszłości. Przez tę pańską „inspirację” dalej pisał scenariusze do westernów... i zmarł w wieku czterdziestu sześciu lat jako prawie nieznany pismak.

— Żadnej prozy science fiction? — zapytał Slade z niedowierzaniem. Czy aż tak bardzo sknocił sprawę? Trudno było w to uwierzyć. Wprawdzie Dowland odrzucił wszystko, co Slade starał się mu przekazać i w dziwnym nastroju wrócił na poddasze, ale...

— No dobrze — przyznał Manville — udało mi się znaleźć jedno opowiadanie science fiction pióra Jacka Dowlanda. Krótkie, słabe i zupełnie zapomniane. — Otworzył szufladę biurka i wyciągnął z niej pożółkłe pismo, które rzucił Slade'owi. — Nosi tytuł *Orfeusz kulawy*, a opublikował je pod pseudonimem Philip K. Dick. Nikt go wtedy nie czytał i dziś też nikt nie czyta. Opisuje wizytę, jaką złożył pisarzowi... — z wściekłością spojrzął na Slade'a — zyczliwy mu idiota z przyszłości. Człowiek ten starał się natchnąć Dowlanda do napisania mitologicznej historii przyszłości świata. No, Slade. i co pan na to?

— Opisał moje odwiedziny. To oczywiste — odpowiedział grobowym głosem Slade.

— I zarobił jedyne pieniądze, jakie kiedykolwiek zapłacono mu za science fiction... śmiesznie małe pieniądze, wzięwszy pod uwagę poświęcony czas i włożony wysiłek. To pan jest bohaterem tego opowiadania. I ja... Chryste, Slade, pan musiał wszystko mu wypaplać.

— To prawda — przyznał Slade. — Starałem się go jakoś przekonać.

— Ale się panu nie udało. Wziął pana za kompletnego czubka i oszołoma. A opowiadanie napisał, będąc w bardzo złym nastroju. Mam pytanie. Czy pracował, gdy pan się zjawił?

— Tak — odparł Slade — ale pani Dowland powiedziała...

— Nie ma... Nie było żadnej pani Dowland! Dowland nigdy się nie ożenił! To musiała być żona sąsiada, z którą miał romans. Nic dziwnego, że się tak wściekł na pana widok. Przerwał mu pan randkę z tą dziewczyną, kimkolwiek była. Ona też występuje w opowiadaniu. Opisał wszystko, a potem zostawił dom w Purpleblossom i przeniósł się do Dodge City w Kansas.

Zapadła cisza.

— Hm — mruknął w końcu Slade — czy mógłbym spróbować jeszcze raz? Z kimś innym? Myślałem o Paulu Ehrlichu i jego cudownym lekarstwie na...

— Posłuchaj no — przerwał mu Manville — ja też trochę myślałem. Wyślę pana w przeszłość, ale nie do doktora Ehrlicha, Beethovena czy Dowlanda... do nikogo, kto się przyczyni! do rozwoju cywilizacji.

Slade wpatrywał się w niego z przerażeniem.

— Wróci pan — wycedził Manville — aby zniechęcić takich ludzi, jak Adolf Hitler, Karol Marks i Sanrome Clinger...

— Więc myśli pan, że jestem tak beznadziejny... — wybełkotał Slade.

— Tak właśnie myślę. Zaczniemy od Hitlera, gdy odsiadywał wyrok po nieudanej próbie przejęcia władzy w Bawarii. Właśnie wtedy dyktował Rudolfowi Hessowi *Mein Kampf*. Omówiłem to już z szefostwem i wszystko gotowe. Umieścimy tam pana jako współwzięnia, jasne? Doradzi pan Hitlerowi, tak jak Dowlandowi, żeby zaczął pisać. Tyle że w tym wypadku będzie go pan nakłaniał do napisania szczegółowej autobiografii, w której przedstawi swój polityczny program naprawy świata. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem...

— Rozumiem — wymamrotał Slade, wpatrując się w posadzkę. — To... myślę, że to szczytna idea, ale ja już chyba dość nabruździłem.

— To nie mój pomysł — rzucił Manville. — Wszystko znajdzie pan w opowiadaniu Dowlanda. — Otworzył pożółkłe pismo na odpowiedniej stronie. — Niech pan to przeczyta, Slade. Według Dowlanda, po spotkaniu ze mną wyruszył pan do nazistowskich Niemiec, żeby odwieść Adolfa

Hitlera od napisania autobiografii i tym samym zapobiec drugiej wojnie światowej. Jeśli zawali pan sprawę z Hitlerem, weźmiemy się za Stalina. A jeśli i tu pan nawali, to...

— Dobrze już, dobrze — mruknął Slade — rozumiem. Nie musi mi pan tłumaczyć.

— Zrobi pan to — powiedział Manville — bo w opowiadaniu też się pan zgadza. Zatem postanowione.

Slade skinął głową i dodał:

— Cokolwiek, byle jakoś zadośćuczynić za Dowlanda. Manville spojrzał na niego i wypalił bez ogródek:

— Jest pan skończonym idiotą! Jak można było tak spieprzyć sprawę?

— Miałem zły dzień — usprawiedliwił się Slade. — Jestem pewien, że następnym razem pójdzie mi o wiele lepiej. — Może z Hitlerem, pomyślał. Może uda mi się zniechęcić Hitlera i będę pierwszym człowiekiem w historii, który dokona czegoś takiego.

— Nazwaliśmy pana antymuzą — przerwał jego rozważania Manville.

— Zgrabnie — przyznał Slade.

— To także nie mój pomysł — przyznał Manville. — Niech pan pochwali Jacka Dowlanda. To też jest w jego opowiadaniu. Na samym końcu.

— Więc takie jest zakończenie? — spytał Slade.

— Niezupełnie — odparł Manville. — W ostatniej scenie wystawiam panu rachunek... za odesłanie pana do czasów Adolfa Hitlera. Pięćset dolarów, płatne z góry — powiedział, wyciągając rękę — na wypadek, gdybyśmy się mieli już nie spotkać.

Jesse Slade z rezygnacją sięgnął do kieszeni swojego dwudziestowiecznego płaszcza i wyciągnął z niej portfel.

BEZTROSKA PAT

O dziesiątej rano przeraźliwy dźwięk syreny wyrwał Sama Regana ze snu. Dobrze znał ten sygnał i głośno przeklął zrzutowców. Wiedział, że dawali im znak. Musieli mieć pewność, że fuksiarze — a nie dzikie zwierzęta — dotrą do zrzuconych paczek.

Po co te nerwy? Dotrzemy do zrzutu, pomyślał Regan, zapinając pyłoodporny kombinezon. Założył buty i, zlorzecząc, ruszył ociężale w stronę rampy. Dołączyli do niego inni fuksiarze, wszyscy w podobnych nastrojach.

— Wcześniej dzisiaj — żalił się Tod Morrison. — Założę się, że zrzucą tylko podstawowe produkty. Cukier, mąka, smalec... żadnych fajnych rzeczy, takich jak słodycze.

— I tak powinniśmy być im wdzięczni — zauważył Norman Schein.

— Wdzięczni! — Tod aż przystanął — Wdzięczni?

— Tak — powiedział Schein. — Co, według ciebie, byśmy jedli, gdyby dziesięć lat temu nie zauważyli dymu?

— Cóż — mruknął Tod z ponurą miną — po prostu nie lubię, jak przylatują za wcześniej. To, że wciąż się tu kręcą, nawet mi nie przeszkadza.

Podważając ramionami klapę na szczycie rampy, Schein rzucił z przekąsem:

— Cholernie miło z twojej strony, Tod. Zrzutowcy posikaliby się ze szczęścia, gdyby usłyszeli to wyznanie.

Z całej trójki Sam Regan wyszedł na powierzchnię ostatni. Nie lubił tam przebywać i miał gdzieś, że inni o tym wiedzą. Nikt go nie zmusił do opuszczenia bezpiecznego schronu Pinole; zawsze robił to dobrowolnie. Zauważył, że wielu mieszkańców kryjówki zostało na dole, licząc na to, iż ci, którzy poszli po zrzut, coś im przyniosą.

— Ale jasno — mruknął Tod, mrugając w oślepiającym słońcu. Transportowiec wisiał nisko nad ziemią, jak zawieszony na sznurku.

Dobry pilot, pomyślał Tod. On czy też raczej to prowadziło statek lekko i bez pośpiechu. Machnął w kierunku maszyny i syrena znów zawyła, tak przeraźliwie, że musiał zakryć uszy. To już nie jest śmieszne, stwierdził w duchu. Po chwili syrena ucichła. Zrzutowiec dał sobie spokój.

— Daj mu znak, że może zrzucać — powiedział do Toda Norm Schein. — Ty masz chorągiewkę.

— Dobra — odparł Tod i zaczął machać czerwonym proporcem, który kiedyś zostawili im Marsjanie.

Z dolnej części statku wyleciała kapsuła, wystawiła stateczniki i lotem spiralnym opadała na ziemię.

— Cholera — burknął Sam Regan. — Zwykła dostawa. Nie ma spadochronu. — Odwrócił się rozczarowany.

Rozejrzał się dookoła i uznał, że powierzchnia wyglądała dziś wyjątkowo ponuro. Na prawo stał niedokończony dom z drewna, które sprowadzono z oddalonego o dziesięć mil Vallejo. Budowniczy gdzieś przepadł — może zabiły go dzikie zwierzęta, a może radioaktywny pył — i dzieło jego rąk stało teraz porzucone. Sam Regan zauważył, że od ostatniego razu, gdy był na powierzchni, w czwartek albo w piątek, warstwa pyłu zrobiła się znacznie grubsza. Cholerny pył, pomyślał. Wszędzie tylko kamienie, gruz i pył. Świat staje się coraz większym śmietniskiem i nikt z tym nie walczy. A wy? — spytał w duchu krążącego nad ich głowami marsjańskiego zrzutowca. Z waszą technologią? Może przylicicie tu pewnego dnia z ogromną ścierką i odkurzacie

powierzchnię Ziemi, przywrócić jej blask świeżości?

Albo raczej, pomyślał, blask starości, żeby znów wyglądała jak za „dawnych dni”, jak mówią dzieciaki. Fajnie by było. Zamiast ciągle coś zrzucić, moglibyście pomyśleć o takiej pomocy.

Transportowiec zakreślił jeszcze jedno koło. Pilot wypatrywał na piasku jakiejś wiadomości od fuksiarzy. Napiszę to, postanowił Sam. Przywieźcie ścierkę do kurzu, przywróćcie blask naszej cywilizacji. Zgoda, kolego?

Statek przyspieszył gwałtownie i po chwili zniknął mu z oczu. Pędził do bazy na Księżycu albo prosto na Marsa.

We włazie, przez który wyszli na powierzchnię, pojawiła się głowa Jean, żony Sama. Była w kapeluszu, który chronił ją przed oślepiającym słońcem.

— Coś przydatnego? Nowego? — spytała Jean, marszcząc brwi.

— Raczej nie — odparł Sam. Kapsuła już wylądowała i ruszył w jej kierunku, brnąc przez zwały kurzu i pyłu. Kadłub kapsuły pękł przy zderzeniu z ziemią i widać było znajdujące się w środku pojemniki. Wyglądało na to, że dostali jakieś dwieście pięćdziesiąt kilogramów soli... Można to zostawić zwierzętom, pomyślał Sam.

Zrzutowcy przejawiają dość szczególną troskę. Wciąż przywożą na Ziemię żywność. Pewnie sądzą, że całe dnie spędzamy najedzeniu. Schron był po brzegi wypełniony prowiantem. Choć należało podkreślić, że kryjówka była jedną z mniejszych w północnej Kalifornii.

— Ej — powiedział Schein, zaglądając do kapsuły. — Chyba jest coś, co się przyda. — Znalazł zardzewiały metalowy pręt, który w dawnych czasach musiał służyć jako wspornik, i wetknął go w pęknięty kadłub, uruchamiając mechanizm spustowy kapsuły. Tylna część otworzyła się, ukazując cały transport.

— W tym pudle są chyba radia — powiedział Tod. — Tranzystorowe. — Gładząc się po krótkiej, czarnej brodzie, dodał: — Może użyjemy ich do rozbudowania makiet.

— Moja już ma radio — odparł Schein.

— Więc zbuduj sobie samonaprowadzającą się kosiarkę do trawy — rzucił Tod. — Tego chyba nie masz? — Dobrze znał makietę Scheinów. Razem z żoną często grywali z nimi w Beztroską Pat. Obie drużyny szły łeb w łeb.

— Biorę te radia — powiedział Sam Regan — przydadzą mi się. — Jego makietą, w przeciwieństwie do makiet Scheina i Toda, nie miała jeszcze automatycznie otwieranej bramy do garażu.

— Do roboty — ponaglił Schein. — Zostawimy tu żarcie, weźmiemy tylko radia. Jeśli ktoś chce zabrać prowiant, niech to zrobi, zanim dorwą się do niego psokoty.

Zabrali się do pracy. Przenosili i układali w pobliżu wejścia do schronu rzeczy, które mogły się przydać do rozbudowy skomplikowanych makiet Beztroskiej Pat.

Świadomy swych obowiązków, dziesięcioletni Timothy Schein, siedział po turecku i powoli, ale wprawnie ostrzył osetką nóż. Przeszkadzały mu dochodzące zza ściany odgłosy kłótni między jego rodzicami a państwem Morrison. Znowu grali w Beztroską Pat. Jak zwykle.

Ile razy dziennie można grać w tę kretyńską grę? — pytał sam siebie Timothy. Zdaje się, że bez przerwy. Osobiście nie widział w tym nic ciekawego, ale oni spędzali nad nią całe dnie. Zresztą nie byli wyjątkiem. Z tego, co mówiły inne dzieciaki, nawet te z sąsiednich schronów, ich rodzice robili dokładnie to samo, czasem nawet w nocy.

— Beztroska Pat idzie do sklepu — powiedziała podniesionym głosem jego matka. — W drzwiach jest fotokomórka. Same się otwierają. Patrzcie — umilkła na chwilę. — Widzicie, już jest w środku.

— Ma wózek — dodał, wspierając żonę, ojciec Timothy'ego.

— Nieprawda — zaprzeczyła pani Morrison — to nie tak. Daje listę sprzedawcy i on pakuje jej towary do wózka.

— Tak się dzieje tylko w małych osiedlowych sklepikach — wtrąciła matka Timothy'ego. — A to jest supermarket. W małych sklepach nie ma fotokomórek przy drzwiach.

— Jestem pewna, że wszystkie małe sklepy miały fotokomórki — upierała się pani Morrison. Po chwili do dyskusji włączył się jej mąż. Mówili coraz głośniejsze i w końcu wybuchła kolejna kłótnia. Jak zwykle.

A chust z nimi, powiedział Timothy w duchu, używając najmocniejszego słowa, jakie znali on i jego kumple. Co to jest ten supermarket? Sprawdził ostrze noża — zrobił go sam z ciężkiej metalowej patelni — po czym poderwał się i ruszył pędem wzdłuż korytarza i zastukał w umówiony sposób do drzwi kwatery Chamberlainów.

Otworzył mu Fred, jego rówieśnik.

— Cześć. Gotowy? Widzę, że naostrzyłeś nóż. Co chcesz upolować?

— Na pewno nie psokota — powiedział Timothy. — Coś smaczniejszego. Mięso psokotów już mi się przejadło. Ma zbyt ostry smak.

— Twoi starzy grają w Beztroską Pat? — No.

— Moi też, z Benteleysami. — Spojrzał na Timothy'ego z ukosa. Obaj byli rozczarowani tym, co robili ich rodzice. A może w tę głupią grę grano wszędzie na świecie? Wcale by się nie zdziwili.

— Po co twoi w to grają? — spytał Timothy.

— Z tych samych powodów, co twoi — odparł Fred.

— Ale dlaczego? Nie rozumiem tego, więc cię pytam. Nie możesz odpowiedzieć?

— Grają, bo... — Fred urwał. — Sam ich spytaj. Chodź, idziemy na górę. Czas zacząć polowanie. — Oczy mu zapłonęły. — Zobaczmy, co uda nam się dzisiaj złapać i zabić.

Wspięli się na szczyt rampy, otworzyli właz i przykucnęli między pokrytymi pyłem kamieniami. Rozglądali się czujnie dookoła. Timothy czuł, jak serce mu wali. Ta chwila zawsze wzbudzała w nim ogromne emocje. Pierwszy moment po wyjściu na powierzchnię. Tu nigdy nie było tak samo. Pył, dziś cięższy, był ciemnoszary, ciemniejszy niż poprzednim razem. Wydawał się bardziej gęsty, bardziej tajemniczy.

Gdzieniedzie, pokryte grubą jego warstwą, leżały porzucone pakunki. Zrzucano je tylko po to, by zgniły. Nikt się nimi nie interesował. Timothy zauważył nową kapsułę, którą zrzucano dziś rano. Większość ładunku wciąż tkwiła w kadłubie. Dorośli zabrali tylko niewielką część.

— Patrz — powiedział cicho Fred.

Dwa psokoty — zmutowane psy albo koty, nikt nie wiedział tego na pewno — węsząc, kręciły się wokół kapsuły. Zwabił je zapach porzuconego jedzenia.

— Dziś nas nie obchodzi — rzucił Timothy.

— Ale tamten wygląda na niezłe wypaszonego — powiedział z żalem w głosie Fred. Ale to Timothy miał nóż. Fred był uzbrojony tylko w żyłkę z metalowym odważnikiem na końcu. Można tym było zabić z pewnej odległości ptaka czy nawet małe zwierzę, ale nie psokota, który z reguły ważył od siedmiu do dziesięciu kilogramów. Czasem zdarzały się nawet i większe sztuki.

Wysoko na niebie mknął maleńki punkt. Timothy wiedział, że to transportowiec wiozący prowiant do jakiegoś schronu. Ci zrzutowcy mają sporo roboty. Zawsze w drodze. Nigdy się nie zatrzymują, bo gdyby zrobili sobie przerwę, to dorośli by poumierali. To byłby dopiero pech! — pomyślał ironicznie. Bardzo smutne.

— Pomachaj mu, to może coś zrzuci. — Fred mrugnął do Timothy'ego i obaj wybuchnęli głośnym śmiechem.

— Dobra — odparł Timothy. — Niech pomyślę, czego mi potrzeba? — Znów się roześmieli.

Było zabawne, że mogli czegoś potrzebować. Należało do nich przecież wszystko na powierzchni, jak okiem sięgnąć... Mieli więcej niż sami zrzutowcy, dużo, dużo więcej.

— Myślisz, że oni wiedzą — spytał Fred — że nasi starzy grają w Beztroską Pat rzeczami pochodzącymi ze zrzutów? Założę się, że nie mają pojęcia o Beztroskiej Pat. W życiu nie widzieli lalki, a gdyby kiedyś zobaczyli, na pewno by się wściekli.

— Racja — przytaknął Timothy. — Tak by się wkurzyli, że przestaliby zrzucać te wszystkie rzeczy. — Spojrzał na Freda porozumiewawczo.

— E, nie — powiedział Fred — lepiej im nie mówmy. Ojciec spuściłby ci lanie. Ja też bym oberwał.

Tak czy owak, pomysł był ciekawy. Wyobraził sobie najpierw zdziwienie, a potem wściekłość zrzutowców. Ale byłby ubaw. Zobaczyliby reakcję ósmionogich Marsjan, którzy mieli w sobie tyle życzliwości i miłosierdzia, by nieść pomoc ginącej cywilizacji ludzkiej. I taką otrzymywali zapłatę za swą uczynność — kretyńska gra w Beztroską Pat, na którą dorośli marnowali mnóstwo czasu i niemal wszystkie zrucane dobra.

Zresztą trudno by było przekazać zrzutowcom tę wiadomość. Obie rasy poza zrzutami nie utrzymywały prawie żadnych kontaktów. Za bardzo różniły się od siebie.

Na prawo od nich, tuż obok niedokończonego domu, przebiegł duży brązowy królik. Timothy wyszarpnął nóż.

— O rany! — krzyknął — Łapmy go! — Ruszył pędem przez gruzowisko. W ślad za nim biegł Fred. Stopniowo zaczęli doganiać zwierzę. Biegli bardzo szybko i bez trudu. Robili to wcześniej nie raz.

— Rzucaj! — wrzasnął Fred i Timothy zatrzymał się gwałtownie, uniósł rękę, wycelował, po czym cisnął ciężkim, ostrym nożem w królika.

Nóż przebił zwierzę na wylot. Królik przekoziółkował po ziemi, wzbijając tumany kurzu.

— Założę się, że dostaniemy za niego dolara! — krzyknął Fred, skacząc radośnie. — Za samą skórę... dostaniemy z pięćdziesiąt centów za samą skórę!

Popędzili w stronę królika. Chcieli go dopaść, zanim zrobi to jakiś czerwonoogoniasty jastrząb czy dzienna sowa.

Norman Schein podniósł swoją Beztroską Pat i powiedział ponuro:

— Wycofuję się. Nie chce mi się już grać. Jego żona zaprotestowała z oburzeniem.

— Daj spokój. Norm. Beztroska Pat jest już w centrum. Zaparkowała swój kabriolet, forda ze składanym metalowym dachem. Wrzuciliśmy dziesięciocentówkę do parkometru. Zrobiła już zakupy, a teraz siedzi w poczekalni u psychoanalityka, czytając „Fortune”... Jesteśmy daleko przed Morrisona — mi! Dlaczego chcesz się teraz wycofać?

— Bo nie możemy się dogadać — mruknął Norman. — Twierdzisz, że psychoanalitycy brali za wizytę dwadzieścia dolców za godzinę, a ja dobrze pamiętam, że tylko dychę. Żaden nie brał dwudziestu. Działasz na naszą niekorzyść? Przecież Morrisonowie zgodzili się na dziesięć dolarów. Prawda? — zwrócił się do Morrisonów siedzących po drugiej stronie planszy, na którą składały się połączone makiety obu par.

— Ty częściej chodziłeś do psychoanalityka — powiedziała Helen Morrison do męża. — Jesteś pewien, że brał tylko dziesięć?

— Chodziłem głównie na terapie grupowe — odparł Tod. — W stanowej poradni zdrowia psychicznego w Berkeley oni brali tyle, ile mogłeś zapłacić. A Pat poszła do prywatnego gabinetu.

— Trzeba spytać kogoś innego — stwierdziła Helen i spojrzała na Normana. — Myślę, że powinniśmy zawiesić grę. — Patrzyła na męża ze złością, bo to przez jego upór musieli przerwać rozgrywkę na całe popołudnie.

— Zostawiamy makiety tak, jak są? — spytała Fran Schein. — Chyba tak będzie lepiej. Dokończymy grę po kolacji.

Norman Schein spoglądał na połączone makiety. Na wystawne, drogie sklepy, jasno oświetlone ulice, na których stały nowoczesne samochody, oraz na dwupoziomowy dom Beztroskiej Pat, gdzie spotykała się ze swoim chłopakiem Leonardem. Właśnie dom zawsze podobał mu się najbardziej. Był najważniejszą częścią każdej makiety... niezależnie od tego, jak bardzo się od siebie różniły.

Na przykład szafa Beztroskiej Pat w dużej sypialni. Jej stroje: rybaczeki, białe bawełniane szorty, dwuczęściowy kostium kąpielowy w kropki, swetry z puszystej wełny... I zestaw stereo, kolekcja płyt, też w sypialni...

On też kiedyś tak żył, w dawnych czasach. Norm Schein wciąż pamiętał własną kolekcję płyt i eleganckie ubrania, takie jak chłopaka Pat, Leonarda. Kaszmirowe marynarki, tweedowe garnitury, włoskie koszule i buty z Anglii. Nie miał wprawdzie sportowej wersji jaguara XKE jak Leonard, ale mercedesa benza z 1963 roku. Jeździł nim do pracy.

Wtedy to się żyło, pomyślał. Tak jak Pat i Leonard. To było prawdziwe życie.

Wskazał radio z budzikiem, które Beztroska Pat trzymała koło łóżka.

— Pamiętasz nasze radio z budzikiem? — zapytał żonę. — Budziło nas co rano muzyką klasyczną, którą puszczała w KSFR. Audycja nazywała się *Wolfgangarze*. Od szóstej do ósmej.

— Tak — Fran smutno pokiwała głową. — Ty wstawiałeś pierwszy. Wiedziałam, że powinnam wstać, przygotować ci bekon i kawę, ale lubiłam sobie poleżeć tak z pół godziny, dopóki dzieciaki się nie obudzą.

— Coś ty! Dzieci budziły się grubo przed nami — powiedział Norm. — Nie pamiętasz? Oglądały już kreskówki. Wstawałem i robiłem im na śniadanie płatki z mlekiem, a potem szedłem do pracy, do Ampeksu w Redwood City.

— No tak — przyznała Fran — telewizja. — Ich Beztroska Pat nie miała telewizora. Przegrali go w rozgrywce z Reganami w zeszłym tygodniu, a Norm nie zdążył jeszcze zrobić nowego. Udawali więc, że Pat oddała odbiornik do naprawy. W ten sposób można było wytłumaczyć brak wielu rzeczy, które powinna mieć.

Gdy gram, pomyślał Norman, to czuję, jakby czas się cofał, jakbym znów żył w tamtych czasach, przed wojną. Zawstydził się, ale tylko na krótką chwilę. Wstyd ustąpił pragnieniu, by pograć trochę dłużej.

— Nie róbmy przerwy — powiedział niespodziewanie. — Zgadza się, że psychoanalityk może wziąć od Pat dwadzieścia dolarów. Dobra?

— Dobra — przytaknęli jednocześnie Morrisonowie, wracając do makiety.

Tod Morrison podniósł ich Beztroską Pat, pogładził jej blond włosy — Pat Scheinów była brunetką — i poprawił zapinki przy spódnicy.

— Co ty wyrabiasz? — spytała jego żona.

— Ładna ta spódniczka — powiedział Tod. — Świetnie ją uszyłaś.

— Znałeś kiedyś, w dawnych czasach, dziewczynę podobną do Pat? — spytał Norm.

— Nie — odparł ponuro Tod Morrison. — A szkoda. Widywałem takie dziewczyny, najwięcej, gdy mieszkałem jeszcze w Los Angeles, w czasie Wojny koreańskiej. Ale nigdy nie poznałem żadnej osobiście. Były też cudowne piosenkarki, jak Peggy Lee czy Julia London... bardzo podobne do Beztroskiej Pat.

— Graj — ponagliła go Fran. Norm, bo to był jego ruch, zakręcił bąkiem.

— Jedenaście — powiedział. — Mój Leonard wychodzi od mechanika i jedzie na tor wyścigowy. — Przesunął lalkę Leonarda do przodu.

— Wiecie co — powiedział w zamyśleniu Tod — byłem ostatnio na powierzchni. Grzebaliśmy trochę z Billem Fernerem w jednej z kapsuł zrzutowych. I Bili powiedział mi ciekawą rzecz. Spotkał raz fuksiarza ze schronu, który leży gdzieś na terenie dawnego Oakland. Oni nie mają Beztroskiej Pat, Nigdy o niej nawet nie słyszeli. Wiecie, w co grają?

— No w co? — spytała Helen.

— Mają zupełnie inną lalkę — ciągnął Tod, marszcząc czoło. — Bili mówi, że ten gość z Oakland nazywał ją Towarzyska Connie. Słyszeliście kiedyś o niej?

— Towarzyska Connie — powtórzyła z namysłem Fran. — Dziwaczne. Ciekawe, jaka jest. Ma chłopaka?

— No pewnie — odparł Tod. — Ma na imię Paul. Connie i Paul. Wiecie co. Powinniśmy wybrać się kiedyś do tego schronu w Oakland i zobaczyć, jak oni wyglądają i jak żyją. Może podpatrzylibyśmy kilka rzeczy i dodali je potem do naszych makiet.

— Moglibyśmy nawet z nimi zagrać — rzucił Norm.

— Czy Beztroska Pat mogłaby grać przeciwko Towarzyskiej Connie? — spytała Fran. — Czy to możliwe? Ciekawe, co by się stało?

Zapadło milczenie. Żadne z nich nie znało odpowiedzi na to pytanie.

Gdy zdejmowali skórę z królika, Fred powiedział do Timothy'ego:

— Skąd się wzięła nazwa fuksiarz? Brzmi okropnie. Czemu jej używają?

— Fuksiarz to ktoś, kto przeżył wojnę wodorową — wyjaśnił Timothy. — No wiesz, fuksem. Kapujesz? Kiedyś ludzi było o wiele więcej, ale prawie wszyscy zginęli.

— Ale co to jest ten fuks?

— Fuks jest wtedy, kiedy los ci sprzyja i udaje ci się przeżyć — odparł Timothy. Nie miał na ten temat nic więcej do powiedzenia. Sam tylko tyle wiedział.

— No, ale ty i ja — powiedział Fred po namyśle — nie jesteśmy fuksiarza — mi, bo urodziliśmy się już po wojnie. Nie przeżyliśmy jej.

— Zgadza się — przytaknął Timothy.

— Więc od dziś każdy, kto nazwie mnie fuksiarzem — oznajmił Fred — dostanie w łeb.

— Zrzutowiec — mówił dalej Timothy — to też wymyślone słowo. Pochodzi z czasów, gdy na tereny objęte kataklizmem zrzucano z samolotów odrzutowych żywność i takie tam. Te paczki nazywały się zrzutami.

— Wiem o tym — mruknął Fred. — Nikt cię nie prosił o wyjaśnienia.

— O rany, tak tylko mówię — wyjaśnił Timothy.

Chłopcy wrócili do przerwanej roboty.

— Słyszałeś kiedyś o Towarzyskiej Connie? — spytała męża Jean Regan. Rozejrzała się dokoła, sprawdzając, czy nie słyszy ich ktoś z innej rodziny. — Helen Morrison mi powiedziała. Wie to od Toda, któremu opowiedział o tym Bili Ferner. To może być prawda.

— Ale co? — spytał Sam.

— Że w schronie w Oakland nie mają Beztroskiej Pat, tylko Towarzyską Connie. No i pomyślałam, że ta... no wiesz... ta pustka i nuda, które nas czasem nachodzą... może gdybyśmy zobaczyli tę Connie, moglibyśmy dodać coś do naszej makiety, żeby była... — szukała odpowiedniego słowa — ...pełniejsza.

— Nie podoba mi się ta nazwa — powiedział Sam Regan. — Towarzyska Connie. Trąci tandetą. — Nabrał na łyżkę zbożową papkę, którą zrzucili ostatnio Marsjanie, i zaczął jeść. — Założę się, że Towarzyska Connie nie jada takich brei. Je cheeseburgery ze wszystkimi dodatkami, takie z restauracji samochodowych.

— Może byśmy się tam wybrali? — zaproponowała Jean.

— Do schronu w Oakland? — Sam wytrzeszczył na nią oczy. — To dwadzieścia kilometrów stąd. Kawał drogi za schronem w Berkeley!

— Ale to ważne — upierała się Jean. — Bili twierdzi, że jeden fuksiarz z Oakland doszedł aż tutaj, szukając jakichś elektronicznych części... Jeśli jemu się udało, to nam też się uda. Mamy kombinezony pyłoodporne, które nam zrzucili. Jestem pewna, że damy radę.

Mały Timothy Schein, który siedział obok, podsłuchał, co mówiła.

— Pani Regan — powiedział — Fred Chamberlain i ja pójdziemy tam, jeśli nam zapłacicie. Co pani na to? — Szturchnął Freda. — Pójdziemy, prawda? Za jakieś pięć dolców.

Fred odwrócił się do pani Regan z poważną miną i powiedział:

— Moglibyśmy przynieść pani Towarzyską Connie. Za pięć dolarów na głowę.

— Słodki Jezu! — westchnęła pani Regan i zmieniła temat.

Ale później, po kolacji, gdy zostali z Samem tylko we dwoje, wróciła do rozmowy.

— Sam, muszę ją zobaczyć — wypaliła. Sam brał właśnie kąpiel w ocynkowanej tubie, która służyła im za wannę, więc siłą rzeczy musiał jej wysłuchać. — Teraz, skoro wiemy już, że istnieje, musimy zagrać przeciwko komuś ze schronu w Oakland. Przynajmniej tyle. Proszę cię. Proszę. — Z nerwowo splecionymi dłońmi chodziła w tę i z powrotem po ich małym pokoju. — Przecież ta Towarzyska Connie może mieć stację Shella, terminal lotniczy z pasem dla odrzutowców, kolorowy telewizor i francuską restaurację, gdzie serwują ślimaki, jak ta, do której chodziliśmy zaraz po ślubie... Muszę zobaczyć tę makietę.

— No, nie wiem — wahał się Sam. — Jest w tej Towarzyskiej Connie coś, co mi się nie podoba...

— Ale co? — Nie wiem.

— Wiesz dobrze! Jej makieta jest po prostu dziesięć razy lepsza od naszej — powiedziała z wyrzutem Jean — bo ona sama jest o niebo lepsza od Beztroskiej Pat.

— Może i o to chodzi — mruknął Sam.

— Jeśli ty nie chcesz tam pójść, nie chcesz nawiązać kontaktu z tymi z Oakland, to znajdzie się ktoś inny... ktoś ambitniejszy cię uprzedzi. Taki Norman Schein na przykład. On nie jest taki strachliwy.

Sam nie powiedział już ani słowa. Kapał się dalej, ale ręce mu drżały.

Zrzutowiec przywiózł ostatnio skomplikowaną maszynę, jakiś rodzaj mechanicznego komputera. Przez kilka tygodni komputery — jeśli naprawdę nimi były — leżały nietknięte. Wreszcie Norman Schein wymyślił, jak można je wykorzystać. Pracował nad niszczarką do odpadków i do jej wykonania użył niektórych części wyjętych z komputerów. Chciał wstawić to urządzenie do kuchni Pat.

Za pomocą maleńkich, precyzyjnych narzędzi, które mieszkańcy schronu zaprojektowali i wykonali własnoręcznie, a bez których jakiegokolwiek unowocześnienia w makiecie nie byłyby możliwe, montował nowy sprzęt. Pochłonięty tym zajęciem, dopiero po chwili zauważył, że Fran stoi za jego plecami i uważnie mu się przypatruje.

— Nie lubię, gdy ktoś patrzy mi na ręce — powiedział, przytrzymując maleńką pincetą miniaturową część.

— Wiesz — zaczęła Fran — wpadłam na pewien pomysł. Czy to ci czegoś nie przypomina? — spytała, kładąc przed nim tranzystorowe radio, jedno z tych, które znaleźli dzień wcześniej.

— Przypomina. Automat do otwierania drzwi garażu — rzucił nerwowo Norm. Nie przerywał pracy. Sprawnie mocował miniaturowe części w rurze odpływowej zlewu. Tak precyzyjna robota

wymagała najwyższego skupienia.

— Ale skoro jest radio, to musi też gdzieś być nadajnik — powiedziała Fran. — Zrzutowcy nie zostawialiby radia, gdyby było inaczej.

— No i? — spytał, nie rozumiejąc.

— Może nasz burmistrz ma jeden — podsunęła Fran. — Może mamy jeden w tym schronie i moglibyśmy połączyć się z Oakland. Ich przedstawiciele mogliby spotkać się z nami w połowie drogi... na przykład przy schronie w Berkeley. I tam moglibyśmy zagrać. Wtedy nie trzeba by było wędrować dwadzieścia pięć kilometrów.

Norman zawahał się. Odłożył pincetę i powiedział z namysłem:

— Chyba masz rację. Ale nawet jeśli burmistrz Hooker Glebę ma nadajnik, to czy pozwoli nam go użyć? A jeśli tak, to...

— Spróbować zawsze można — naciskała Fran. — Nie zaszkodzi.

— Dobrze — powiedział Norm, wstając z miejsca.

Burmistrz schronu w Pinole, niski mężczyzna o chytrym wyrazie twarzy, ubrany w wojskowy mundur, w milczeniu wysłuchał tego, co miał mu do powiedzenia Norm Schein. Potem uśmiechnął się przebiegle:

— Pewnie, że mam nadajnik. Od dawna. Pięćdziesięciowatowy. Ale po co chcesz się skontaktować ze schronem w Oakland?

— To moja sprawa — odparł wymijająco Norm.

— Pozwolę ci z niego skorzystać za piętnaście dolców — rzekł po chwili namysłu Hooker Glebę.

Norm aż się wzdrygnął. Dobry Boże. To były ich wszystkie pieniądze... Potrzebowali przecież gotówki do gry w Beztroską Pat. W tej grze za wszystko trzeba było płacić pieniędzmi.

— To za dużo — stwierdził.

— Niech będzie dziesięć — powiedział burmistrz, wzruszając ramionami. W końcu zgodzili się na sześć i pół dolara.

— Uzyskam połączenie — powiedział Hooker Glebę. — Ty nie wiesz, jak. Ale to chwilę potrwa. — Zaczął kręcić korbą generatora, który był połączony z nadajnikiem. — Dam wam znać, gdy się połączę, ale płaciecie z góry. — Wyciągnął dłoń i Norm z niechęcią położył na niej pieniądze.

Dopiero późnym wieczorem Hookerowi udało się nawiązać kontakt ze schronem w Oakland. Zadowolony z siebie, pojawił się w kwaterze Schei — nów w porze kolacji.

— Wszystko gotowe — oznajmił. — Wiedzieliście, że w Oakland mają właściwie dziewięć schronów? Ja nie wiedziałem. Z którym chcieliście gadać? Połączyłem się z takim o kodzie radiowym Czerwona Wanilia. — Zachichotał. — Są twardzi i podejrzliwi. Z trudem udało mi się uzyskać od nich jakąkolwiek odpowiedź.

Norman zerwał się od stołu i popędził do kwatery burmistrza. Hooker, dysząc ciężko, starał się za nim nadążyć.

Nadajnik był włączony. Z głośnika dobiegały trzaski i szumy. Norm usiadł przed mikrofonem.

— I co? Mam po prostu zacząć mówić? — spytał Hookera Glebe'a.

— Powiedz: tu schron w Pinole. I powtórz to kilka razy, a kiedy już odpowiedzą, mów to, co masz im do powiedzenia. — Burmistrz majstrował coś przy kontrolkach nadajnika, wyraźnie przejęty swoją rolą.

— Tu schron w Pinole — powiedział do mikrofonu Norm. Z głośnika natychmiast popłynęła wyraźna odpowiedź.

— Tu Czerwona Wanilia Trzy — głos był zimny i oschły. Hooker miał rację.

— Czy macie u siebie Towarzyską Connie?

— Tak, mamy — odparł fuksiarsz z Oakland.

— Więc was wyzywam — powiedział Norm, czując jak krew pulsuje mu w skroniach. — My mamy Beztroską Pat. Chcemy zagrać przeciwko waszej Towarzyskiej Connie. Gdzie moglibyśmy się spotkać?

— Beztroska Pat — powtórzył fuksiarsz z Oakland. — Tak, słyszałem o niej, o jaką stawkę chcecie grać?

— U nas gra się głównie o pieniądze — odparł Norman.

— Forsy mamy tu pod dostatkiem — powiedział uszczypliwie fuksiarsz z Oakland. — Nie interesuje nas. Macie inną propozycję?

— Bo ja wiem — Norm czuł się niezręcznie, rozmawiając z kimś, kogo nie mógł zobaczyć. Nie był do tego przyzwyczajony. Ludzie, pomyślał, powinni rozmawiać twarzą w twarz, tak żeby można było widzieć ich reakcje. — Spotkajmy się w połowie drogi, to omówimy szczegóły — zaproponował. — Może przy schronie w Berkeley. Co wy na to?

— To za daleko — odparł tamten. — Chcecie, żebyśmy taszczyli tam naszą Connie z całą makietą? Jest za ciężka, a poza tym po drodze coś się może popsuć.

— Nie, chcemy tylko omówić zasady i stawkę — wyjaśnił Norman.

— No dobra. Tak może być — odpowiedział fuksiarsz z Oakland. — Ale pamiętajcie o jednym... traktujemy Towarzyską Connie cholernie serio, więc bądźcie przygotowani na poważną dyskusję.

— Będziemy przygotowani — zapewnił go Norman.

Hooker Glebę przez cały ten czas kręcił korbą generatora. Zlany potem i czerwony ze zmęczenia, zaczął nerwowymi gestami pokazywać Normowi, żeby kończył już rozmowę.

— Przy schronie w Berkeley — powiedział Norm. — Za trzy dni. I przyslijcie najlepszego gracza, z największą i najbardziej autentyczną makietą. Nasze makiety to prawdziwe dzieła sztuki.

— Powiemy ci, jak je zobaczymy — odparł fuksiarsz z Oakland. — U nas robią je elektrycy, stolarze i sztukatorzy z prawdziwego zdarzenia, a nie tacy amatorzy jak u was.

— Jakoś sobie radzimy — warknął gniewnie Norm, po czym odłożył mikrofon i zwrócił się do Hookera Glebę'a, który natychmiast przestał kręcić korbą. — Dołożymy im. Poczekaj, aż zobaczą niszczarkę do odpadków kuchennych, którą właśnie montuję w mojej makiecie. Wiesz, że w dawnych czasach byli ludzie, którzy nie mieli ich w swoich domach?

— Taa, pamiętam — odpowiedział poirytowany Hooker. — Sporo się nakręciłem za takie marne pieniądze. Zdaje się, że zrobiłeś mnie w konia. — Patrzył na Normę z taką wrogością, że ten aż poczuł się nieswojo. Burmistrz każdego schronu mógł wyeksmitować dowolnie wybranego mieszkańca. Takie było prawo.

— Dam ci czujnik przeciwpożarowy, który zrobiłem do swojej makiety — powiedział Norm. — Zamontowałem go na rogu budynku, w którym mieszka chłopak Beztroskiej Pat, Leonard.

— Może być — zgodził się Hooker. Wrogość ustąpiła przed chciwością. — Chcę go zobaczyć, Norm. Jestem pewien, że będzie świetnie wyglądał na mojej makiecie. Właśnie czegoś takiego potrzebowałem. Dzięki.

— Nie ma sprawy — powiedział Norman, wzdychając z ulgą.

Norman wrócił z dwudniowego wypadu do schronu w Berkeley z taką liną, że żona od razu wiedziała, iż pertraktacje z ludźmi z Oakland nie poszły najlepiej.

Tego ranka w rzucie znaleźli kartony syntetycznego herbatopodobnego napoju. Fran napelniła filiżankę męża, czekając na relację ze zdarzeń, które rozegrały się czternaście kilometrów na południe.

— Targowaliśmy się — powiedział Norm, siadając na łóżku, które dzielił z żoną i dzieckiem.
— Nie chcą pieniędzy. Nie chcą też żadnych towarów... To jasne, przecież do nich też latają zrzutowcy.

— No to czego chcą?

— Beztroskiej Pat — mruknął Norm i zamilkł.

— Słodki Jezu — zawołała wstrząśnięta.

— Ale jeśli my wygramy — dodał po chwili Norman — zabierzemy ich Towarzyską Connie.

— A co z makietami?

— Każda strona zatrzyma swoją. Nagrodą jest tylko Pat. Nie interesuje ich nawet Leonard.

— A co będzie, jeśli ją przegramy?

— Zrobię nową — odparł Norm. — Zajmie to trochę czasu, ale mamy w schronie sporo termoplastu i sztucznych włosów. I dużo różnych farb. Potrwałoby to z miesiąc, ale dałbym radę. Przysnąję, wołałbym tego uniknąć, ale... — jego oczy zaśniły — nie rozpatrujemy od razu najczarniejszego scenariusza. Pomyśl, jak wspaniale byłoby wygrać Towarzyską Connie. Myślę, że mamy spore szanse. Ich przedstawiciel jest cwany i, jak powiedział Hooker, twardy... ale ten, z którym teraz gadałem, nie wydawał się zbytym fuksiarem. No wiesz, nie wyglądał mi na kogoś, kto ma szczęście.

Element szczęścia był w tej grze bardzo istotny, pojawiał się, ilekroć trzeba było zakręcić bakiem.

— Nie podoba mi się, że mamy graco samą Pat — powiedziała Fran. — Ale skoro tak twierdzisz... — posłała mu słaby, wymuszony uśmiech — zgadzam się. A jeśli wygrasz Towarzyską Connie... kto wie, może po śmierci Hookera wybiorą cię na burmistrza. Ależ to musi być uczucie! Wygrać czyjaś lalkę... nie samą grę, nie pieniądze, ale lalkę!

— Dam radę — powiedział poważnym głosem Norm — przecież mam fuksa. — Czuł to w sobie. Ten sam fart, który pozwolił mu przetrwać wojnę wodorową. Albo się go ma, albo nie. On wiedział, że go ma.

— Czy nie powinniśmy poprosić Hookera o zwołanie zebrania, na którym wybralibyśmy najlepszego gracza? To by zwiększyło szansę na zwycięstwo — zasugerowała Fran.

— Posłuchaj — powiedział dobitnie — to ja jestem najlepszy. Ja pójdę. A ty razem ze mną. Tworzymy dobry zespół i nie wolno tego zmieniać. Poza tym do niesienia makiety potrzeba dwóch osób. — W końcu, pomyślał, waży jakieś trzydzieści kilo.

Plan wydawał mu się dobry, ale gdy podzielił się nim z innymi mieszkańcami schronu, mieli wiele zastrzeżeń. Cały następny dzień zszedł im na kłótniach i sporach.

— Nie możecie sami taszczyć makiety — powiedział Sam Regan. — Albo weźcie więcej ludzi do pomocy, albo przewieźcie ją na jakimś wózku czy czymś takim — dodał z ponurą miną.

— A skąd ja wezmę wózek? — spytał Norm.

— Damy radę jakiś zrobić — odparł Sam. — Pomogę ci, na ile będę w stanie. Prawdę mówiąc, sam chętnie bym z wami poszedł, ale już powiedziałem żonie, że cały ten pomysł mi się nie podoba. — Poklepał Normana po plecach. — Podziwiam cię za odwagę, ciebie i Fran. Chciałbym być taki — powiedział ze smutkiem.

W końcu stanęło na tym, że Norm użyje taczki. On i Fran mieli pchać ją na zmianę. Dzięki temu oboje będą mogli co jakiś czas odpocząć, niosąc tylko zapas jedzenia i wody oraz noże do obrony przed psokotami.

Właśnie układali części makiety na taczce, gdy podszedł do nich Timothy.

— Tato, zabierzcie mnie ze sobą — poprosił. — Za pięćdziesiąt centów pójdę z wami jako przewodnik i zwiadowca. Pomogę wam też w polowaniu.

— Sami damy sobie radę — odparł Norm. — Ty zostań w schronie. — Myśl, że syn miałby uczestniczyć w tak poważnym przedsięwzięciu, zirytowała go. Było w tym coś... obrazoburczego.

— No, daj buziaka na pożegnanie — powiedziała Fran z uśmiechem, po czym przestała zwracać uwagę na chłopca, zajęta pakowaniem makiety. — Mam nadzieję, że taczka się nie wywróci. — Z niepokojem spojrziała na męża.

— Na pewno nie — uspokoił ją — jeśli będziemy ostrożni. Chwilę później pchali taczkę w górę rampy. Zaczęła się ich podróż do Berkeley.

Półtora kilometra od schronu w Berkeley zaczęli się potykać o puste lub częściowo opróżnione kapsuły: pozostałości po zrzutach, takie same jak wokół ich własnego schronu. Norm Schein odetchnął z ulgą; podróż okazała się nie taka straszna. Wprawdzie od pchania taczki dłonie miał całe opuchnięte i pokryte bąblami, a Fran skręciła nogę i szła teraz utykając, ale dotarcie do celu zajęło im mniej czasu, niż przewidywali, co sprawiło go w dobry nastrój.

Zauważył jakąś postać, która kryła się, kucając w pyłe. Chłopiec. Norm pomachał w jego stronę i zawołał:

— Ej, synu! Jesteśmy ze schronu w Pinole. Mamy spotkać się tu z ludźmi z Oakland. Pamiętaj mnie?

Dzieciak odwrócił się bez słowa i zaczął uciekać.

— Nie bój się — powiedział Norm do żony. — Pobiegł zawiadomić ich burmistrza. To miły staruszek. Nazywa się Ben Fennimore.

Po jakimś czasie pojawiła się grupa dorosłych. Zbliżali się ostrożnie. Norm z ulgą postawił taczkę i otarł twarz chustką.

— Czy drużyna z Oakland już jest? — krzyknął.

— Jeszcze ich nie ma — odparł wysoki starszy mężczyzna z opaską na rękawie i w ozdobnej czapie. — Czy to ty, Schein? — spytał, przypatrując mu się. Był to Ben Fennimore. — Już wróciłeś ze swoją makieta? — Fuksiarze z Berkeley stłoczyli się wokół taczki, patrząc z podziwem na makieta Schei — nów.

— Oni też mają tu Beztroską Pat — wyjaśnił żonie Norm. — Tylko... — ściszył głos — ich makiety są bardzo proste. Dom, garderoba, samochód... Nic więcej. Zupełny brak wyobraźni.

Jedna z kobiet zwróciła się do Fran. — Własnoręcznie zrobiliście każdy mebel? — Nie czekając na odpowiedź, powiedziała do stojącego obok mężczyzny: — Widzisz, Ed, czego oni dokonali?

— Widzę — odparł Ed, kiwając głową, i spytał Norma i Fran: — Czy jak już wszystko ustawicie, będzie można popatrzeć? No bo chyba rozłożycie makieta w naszym schronie?

— Owszem — odpowiedział Norm.

Mieszkańcy Berkeley pomogli im pchać taczkę przez ostatnie półtora kilometra. Niebawem dotarli do schronu.

— Jest duży — zauważył Norm. — Pewnie ma ze dwa tysiące mieszkańców. Tu mieścił się kiedyś uniwersytet kalifornijski.

— Aha — powiedziała Fran, nieco onieśmielona wizytą w obcym miejscu. Po raz pierwszy od wielu lat... właściwie od czasu wojny... widziała tylu nieznajomych naraz. To było ponad jej siły. Norm poczuł, jak kuli się ze strachu i przytula do niego.

Gdy dotarli na pierwszy poziom i zaczęli rozkładać makieta, podszedł do nich Ben Fennimore i powiedział:

— Zauważyliśmy tych z Oakland. Przygotujcie się. Liczymy na was, bo my też mamy Beztroską Pat.

— Czy widział pan kiedyś Towarzyską Connie? — spytała go Fran.

— Nie, proszę pani — odparł uprzejmie Fennimore — ale wiele o niej słyszałem. Jesteśmy przecież sąsiadami Oakland. Powiem wam coś... Doszły nas słuchy, że Connie jest trochę starsza od Pat... bardziej... eee... dojrzała. Nie bądźcie tym zaskoczeni — dodał.

Norm i Fran popatrzyli na siebie.

— Dziękujemy — powiedział Norm. — Tak, musimy być przygotowani na wszystko. A Paul?

— Och, nic specjalnego — odparł Fennimore. — To Connie rozdaje karty. Nawet nie jestem pewien, czy on ma własne mieszkanie. Ale lepiej zaczekajmy na fuksiarzy z Oakland. Nie chcę was wprowadzić w błąd... Moja wiedza opiera się tylko na plotkach i domysłach. Sami rozumiecie...

— Widziałem raz Connie — wtrącił mężczyzna stojący nieopodal. — Jest znacznie starsza od Pat.

— Na ile oceniasz Pat? — spytał Norm.

— Na jakieś siedemnaście, góra osiemnaście lat — odparł tamten.

— A Connie? — W napięciu czekał na odpowiedź.

— Ona może mieć nawet dwadzieścia pięć.

Od strony rampy dobiegły jakieś hałasy. Pojawili się kolejni fuksiarze z Berkeley, a za nimi dwóch mężczyzn niosących platformę, na której zamontowano okazałą makieta.

To była drużyna z Oakland. Nie para, mąż i żona, lecz dwóch facetów o surowych twarzach i wyniosłych spojrzeniach. Kiwnęli Normanowi i Fran, dziękując za przybycie. Następnie ostrożnie postawili platformę z makieta.

Za nimi szedł trzeci fuksiarz z Oakland. Niósł metalowy pojemnik, który przypominał pudełko na kanapki. Norm od razu się zorientował, że właśnie w nim znajduje się Towarzyska Connie. Mężczyzna wyjął klucz i zaczął otwierać pojemnik.

— Możemy zaczynać w każdej chwili — powiedział najwyższy z mężczyzn. — Tak jak ustaliliśmy wcześniej, do gry użyjemy kołowrotka z numerami, a nie kostki. Trudniej będzie oszukiwać.

— Oczywiście — powiedział Norm i z wahaniem wyciągnął rękę. — Nazywam się Norman Schein, a to jest Fran, moja żona i partnerka w grze.

Mężczyzna, najwidoczniej przywódca grupy, odpowiedział:

— Jestem Walter R. Wynn. To mój partner Charley Dowd, a facet z pudełkiem to Peter Foster. Nie będzie z nami grał. Pilnuje makiety. — Powiódł wzrokiem po fuksiarzach z Berkeley, jakby chciał powiedzieć: Wiemy, że kibicujecie Beztroskiej Pat, ale nic nas to nie obchodzi. Nie boimy się was.

— Jesteśmy gotowi do gry, panie Wynn — powiedziała Fran cichym, ale pewnym głosem.

— Co z pieniędzmi? — spytał Fennimore.

— Myślę, że obie drużyny mają ich dosyć — powiedział Wynn, wyciągając plik banknotów. Norm zrobił to samo. — Ale nie o pieniądze tu chodzi. Używamy ich tylko do gry.

Norm przytaknął. Rozumiał, co miał na myśli mężczyzna. Liczyły się tylko lalki. I teraz po raz pierwszy zobaczył Towarzyską Connie.

Foster, którego zadaniem była opieka nad nią, włożył lalkę do sypialni. Na widok Towarzyskiej Connie Normanowi zaparło dech w piersiach. Rzeczywiście, była starsza. Była dojrzałą kobietą, nie dziewczyną... Już na pierwszy rzut oka widać było różnicę między nią a Pat. Wyglądała jak żywa. Nie zrobiono jej z termoplastu, lecz wyrzeźbiono z drewna i pomalowano. A te włosy. Zupełnie jak prawdziwe.

— I co pan o niej myśli? — spytał Wynn z lekkim uśmiechem.

— Robi... wrażenie — wykrztusił Norm.

Gracze z Oakland oglądali Pat.

— Odlana z termoplastu — zauważył jeden. — Sztuczne włosy. Niezłe ubrania. Wszystko ręczna robota, to widać. Ciekawe, potwierdziło się to, co słyszeliśmy. Beztroska Pat jest nastolatką, a nie kobietą.

Wzięli partnera Connie i posadzili w sypialni, obok niej.

— Chwileczkę — zaoponował Norm. — Wkładacie Paula, czy jak mu tam na imię, do sypialni Connie? Czy on nie ma własnego mieszkania?

— Są małżeństwem — wyjaśnił Wynn.

— Małżeństwem! — Norman i Fran wpatrywali się w niego osłupiali.

— Owszem — powiedział Wynn. — Dlatego mieszkają razem. Wasza para nie jest małżeństwem, prawda?

— Nie — odrzekła Fran. — Leonard jest chłopakiem Pat... — głos uwiązał jej w gardle. — Norm — chwyciła męża za rękę i szepnęła: — Nie wierzę mu. Mówi tak, żeby zyskać przewagę, bo jeśli oboje wystartują z tego samego pokoju...

— Posłuchajcie, panowie — powiedział Norm. — To nie w porządku, że robicie z nich małżeństwo.

— Nie „robimy” z nich małżeństwa. Oni są małżeństwem. — Odpowiedział spokojnie Wynn. — Nazywają się Connie i Paul Lathrope. Mieszkają w Piedmont, przy placu Arden pod numerem dwudziestym czwartym. Są rok po ślubie, większość graczy wam to powie.

— Może to prawda — pomyślał Norm. Był głęboko wstrząśnięty.

— Spójrz na nich, Norm — powiedziała Fran, klękając przy makiecie z Oakland. — Wspólna sypialnia, wspólny dom. Norman, nie rozumiesz? Tu jest tylko jedno łóżko. Szerokie, podwójne łóżko. Jak Beztroska Pat i Leonard mają przeciwko nim grać? — Głos jej zadrżał. — Przecież to niemoralne.

— To zupełnie inny typ makiety — powiedział Norm do Waltera Wynna. — Jesteśmy przyzwyczajeni do czegoś innego. Sami widzicie — wskazał na makietę Beztroskiej Pat. — Nalegam, aby podczas tej rozgrywki Connie i Paul nie mieszkali razem i nie byli małżeństwem.

— Ale nim są. To fakt — wtrącił Foster. — Sami zobaczcie... ciuchy w tej samej szafie. — Pokazał im szafę. — I w tej samej komodzie. — Komodę też im pokazał. — Zajrzyjcie do łazienki. Dwie szczoteczki do zębów w jednym kubku. Widać gołym okiem, że nie zmyślamy.

Zapadło milczenie.

Po chwili Fran powiedziała zduszonym głosem:

— Skoro są małżeństwem, czy, czy... byli ze sobą... blisko? Wynn uniósł brwi i skinął głową.

— Oczywiście, przecież to mąż i żona. Czy widzi pani w tym coś zdrożnego?

— Pat i Leonard jeszcze nigdy nie... — urwała w pół zdania.

— To też oczywiste — zauważył Wynn. — Oni tylko ze sobą chodzą. Rozumiemy to.

— Nie możemy grać — powiedziała Fran — po prostu nie możemy. — Chwyciła męża za ramię. — Wracajmy do naszego schronu, Norman. Proszę.

— Chwileczkę — zaprotestował Wynn. — Skoro wycofujecie się z gry, to musicie nam oddać Beztroską Pat.

Dwaj pozostali mężczyźni z Oakland skinęli głowami. Norm zauważył, że podobnie zrobiło wielu fuksiarzy z Berkeley, z Benem Fennimore na czele.

— Mają rację — powiedział do żony Norm. — Trzeba będzie ją oddać. Lepiej zagrajmy, kochanie.

— Dobrze — odparła słabym głosem — zagramy. — Pochyliła się i zakreśliła igłą kołowrotka. Zatrzymał się na szóstce.

Walter Wynn uśmiechnął się, przykucnął i sam zakreślił. Wypadła czwórka. Rozpoczęto grę.

Ukryty za przysypaną gruzem i śmieciami kapsułą, którą zrzuciono dawno temu, Timothy Schein zobaczył rodziców idących po pylistym pustkowiu. Pchali przed sobą taczkę i wyglądali na znużonych i wyczerpanych.

— Cześć — krzyknął Timothy, skacząc z radości. Bardzo się za nimi stęsknił.

— Cześć, synu — mruknął ojciec, kiwając głową. Postawił taczkę, zatrzymał się i otarł twarz chustką.

Nadbiegł zdyszany Fred Chamberlain.

— Dzień dobry panu, dzień dobry pani. Wygraliście? Pokonali tych z Oakland? Założę się, że tak? — Z pytającym wyrazem twarzy patrzył to na Fran, to na Norma.

— Tak, Freddy, wygraliśmy — powiedziała cicho Fran.

— Zobaczcie, co przywieźliśmy — dodał Norm.

Chłopcy podbiegli do taczki, na której, pośród mebli i sprzętów Beztroskiej Pat, leżała inna lalka. Większa, o pełniejszych kształtach i dużo starsza od Pat... Wpatrywali się w nią, a ona wbiła martwe spojrzenie w szare niebo nad ich głowami. Więc tak wygląda Connie, pomyślał Timothy. Rany.

— Mieliśmy sporo szczęścia — powiedział Norm. Powoli na powierzchni pojawiali się inni. Jean i Sam Reganowie, Tod Morrison z żoną Helen. Po chwili ukazał się sam burmistrz Hooker Glebę. Czerwony na twarzy z wysiłku, do którego nie nawykł, szedł chwiejnym krokiem i ciężko dyszał.

— Wylosowaliśmy kartę umorzenia długów, gdy byliśmy sporo za nimi — opowiadała Fran. — Mieliśmy do spłacenia pięćdziesiąt tysięcy, ale dzięki karcie zrównaliśmy się z drużyną z Oakland. Potem wyciągnęliśmy kartę, która pozwala przesunąć się dziesięć pól do przodu, i wylądowaliśmy na polu skumulowanej puli, przynajmniej na naszej makiecie. Była o to ostra kłótnia, bo ci z Oakland pokazali nam, że na ich makiecie w tym samym miejscu jest pole podatku od prawa do zatrzymania dzierżawionej nieruchomości. Ale wyrzuciliśmy nieparzystą liczbę i wróciliśmy na naszą makietę — westchnęła głośno. — Dobrze być znowu w domu. To była ciężka, naprawdę ciężka potyczka, Hooker.

— Pokażcie no tę Towarzyską Connie, kochani — wysapał burmistrz. — Mogę ją podnieść i pokazać wszystkim?

— Jasne — odparł Norm.

Hooker podniósł lalkę.

— Wygląda jak prawdziwa — powiedział, oglądając ją dokładnie. — Ale nasza ma ładniejsze ubrania. Te nie wyglądają na ręczną robotę.

— Bo nie są. Tylko sama lalka jest wyrzeźbiona, a nie odlana — wyjaśnił Norm.

— Aha — Hooker przyglądał się Connie ze wszystkich stron. — Dobra robota. Jest... Jakby to powiedzieć... pełniejsza niż Pat. Co to za strój? Jakiś tweedowy kostium czy co?

— Garsonka do pracy — wyjaśniła Fran. — Wygraliśmy ją razem z Connie. Tak zostało ustalone.

— Bo wiesz, ona pracuje — dodał Norm. — Jest psychologiem w firmie prowadzącej badania rynku. Specjalistka od gustów i potrzeb klientów. Bardzo dobrze płatne stanowisko... Zarabia dwadzieścia tysięcy rocznie, o ile dobrze pamiętam.

— Kurde — mruknął Hooker. — A nasza Pat chodzi do college'u. Nadal jest uczennicą. — Wyglądał na zakłopotanego. — No cóż, to było do przewidzenia, że w pewnych sprawach nas wyprzedzą. Najważniejsze, że wygraliście. — Uśmiechnął się jowialnie. — Beztroska Pat zostawiła Connie w tyle. — Podniósł lalkę wyżej, żeby wszyscy mogli ją obejrzeć. — Zobaczcie, kochani, z czym wrócili Norman i Fran!

— Uważaj na nią, Hooker — powiedział stanowczym głosem Norm.

— Co? — Hooker zamarł. — Dlaczego, Norm?

— Ona jest w ciąży — odparł Norman.

Zapadła martwa cisza. Słysząc było tylko szum wiatru, który wzbijał dokoła tumany kurzu.

— Skąd wiesz? — spytał Hooker.

— Oni nam powiedzieli. Ci z Oakland. I dlatego wygraliśmy coś jeszcze... po długim sporze, który musiał rozstrzygnąć Fennimore. — Sięgnął do taczki i wyciągnął mały skórzany woreczek, a z niego różowe, rzeźbione niemowlę. — Wygraliśmy je, bo Fennimore uznał że, z technicznego punktu widzenia, stanowi obecnie integralną część Connie.

Hooker wpatrywał się w figurkę.

— Connie jest mężatką — wyjaśniła Fran. — Żoną Paula. Od roku. Pan Wynn powiedział, że jest w trzecim miesiącu. Powiedział o tym dopiero po naszym zwycięstwie. Nie chciał, ale wszyscy przyznali, że tak było uczciwiej. Myślę, że mieli rację. Ja też bym powiedziała.

— Dorzucili też embrion — dodał Norm.

— Tak — potwierdziła Fran. — Żeby go zobaczyć, trzeba oczywiście otworzyć Connie...

— Dostyc — przerwała jej Jean Regan. — Proszę.

— Proszę tego nie robić, pani Schein — powiedział Hooker, cofając się.

— Na początku nas też to zaszokowało, ale potem... — zaczęła Fran.

— To logiczne — wtrącił się Norm. — Przecież Pat też kiedyś...

— Nie — przerwał mu gwałtownie Hooker. Pochylił się i podniósł z ziemi kamień. — Nie — powtórzył, unosząc rękę. — Przestańcie. Ani słowa więcej. Reganowie również podnieśli kamienie. Nikt się nie odzywał.

— Wyośmy się stąd, Norm — przerwała milczenie Fran.

— Słusznie — powiedział Tod Morrison. Jego żona kiwnęła głową.

— Wracajcie do Oakland — rzekł Hooker. — Już tu nie mieszkacie. Jesteście obcy, inni. Zmieniliście się.

— Tak — mruknął Sam Regan pod nosem. — Nie myliłem się. Było się czego obawiać. — Zwrócił się do Norma: — Trudno stąd dotrzeć do Oakland?

— Doszliśmy tylko do Berkeley — odparł Norm. — Do schronu w Berkeley. — Wydawał się zupełnie zaskoczony rym, co się działo. — Chryste Panie — powiedział — nie możemy tak po prostu zawrócić i znów ruszyć w drogę. Ledwo trzymamy się na nogach. Musimy trochę odpocząć!

— A gdyby ktoś pchał taczkę? — spytał Sam Regan. Podszedł i stanął obok nich. — Mogę pchać to cholerstwo. Ty prowadzisz, Schein — spojrzał na żonę, ale Jean nawet nie drgnęła. Nie odłożyła też kamienia, który trzymała w ręku.

Timothy Schein złapał ojca za ramię.

— Czy teraz mogę pójść z wami, tato? Proszę, zabierzcie mnie ze sobą.

— Dobrze — odparł Norm. Ochłonał już trochę. — Nie jesteśmy tu mile widziani. — Odwrócił się do Fran. — Chodźmy. Sam będzie pchał taczkę, więc powinniśmy dotrzeć tam przed zmrokiem. Jeśli nie, przenocujemy pod gołym niebem. Timothy pomoże nam z psokotami.

— Chyba nie mamy wyboru — rzuciła Fran. Była bardzo blada.

— To też zabierzcie — powiedział Hooker, podając jej rzeźbione niemowlę. Schowała je ostrożnie do skózanego woreczka. Norm położył Connie na taczce; byli gotowi do drogi.

— Was też to czeka — powiedział do fuksiarzy z Pinole. — Oakland jest bardziej nowoczesne. To wszystko.

— Ruszajcie — ponaglił Hooker. — Idźcie już.

Norm chciał podnieść taczkę, ale Regan odsunął go na bok i sam ją dźwignął.

— Chodźmy — powiedział.

Ruszyli w drogę. Trójka dorosłych, a przed nimi Timothy Schein, który trzymał nóż w pogotowiu na wypadek ataku psokotów. Skierowali się na południe w stronę Oakland. Szli w milczeniu. Nie mieli sobie nic do powiedzenia.

— Źle się stało — odezwał się Norman, gdy byli już prawie dwa kilometry za schronem.

— Kto wie — odparł Sam. — A może właśnie dobrze. — Nie wyglądał na specjalnie zmartwionego, mimo że to on stracił żonę. Poświęcił najwięcej z nich, a jednak... jakoś to znosił.

— Cieszę się, że tak sądzisz — powiedział ponuro Norm. Szli dalej, pogrążeni w myślach.

Po dłuższej chwili Timothy zagadnął ojca:

— W tych wielkich schronach na południu... jest więcej do roboty, prawda? To znaczy, oni nie siedzą i nie zajmują się tylko grą. — Miał nadzieję, że się nie myli.

— Tak myślę — odparł ojciec.

Nad ich głowami przemknął transportowiec. Timothy rzucił mu przelotne spojrzenie, teraz bowiem interesowało go co innego. Tyle tu było dookoła nowych rzeczy i tyle jeszcze ich zobaczy, dalej na południu.

— Tych z Oakland ta gra i lalka czegoś nauczyły — mruknął ojciec. — Connie dorosła, a oni razem z nią. Nasi fuksiarze nigdy się tego nie nauczą od Beztroskiej Pat. Wątpię, czy kiedykolwiek coś do nich trafi. Powinna dorosnąć, tak jak Connie. Przecież Connie też kiedyś musiała być taka jak Pat. Bardzo dawno temu.

Timothy nie słuchał tego, co mówił ojciec. Kto by się interesował jakimiś grami i lalkami? Pobiegnął do przodu ciekawy, co ich jeszcze czeka. Wypatrywał możliwości dla siebie, dla mamy i taty, i dla pana Regana też.

— Nie mogę się doczekać — krzyknął do ojca, a Norm Schein zdobył się na słaby, zmęczony uśmiech.

ZASTĘPCA

Godzinę przed rozpoczęciem porannego programu na kanale szóstym popularny kłown telewizyjny Jim Briskin siedział w swoim gabinecie z zespołem produkcyjnym. Rozmawiali o raporcie, z którego wynikało, że w odległości ośmiuset jednostek astronomicznych od Słońca wykryto okręty nieznanej i prawdopodobnie wrogo nastawionej floty. To była bardzo ważna wiadomość. Ale jak ją przedstawić kilkumiliardowej widowni, rozsianej po trzech planetach i siedmiu księżycach?

Peggy Jones, sekretarka Briskina, zapaliła papierosa i powiedziała:

— Nie wystrasż ich, Jim-Jam. Musisz to powiedzieć na luzie. — Zaczęła przeglądać depesze, które ich komercyjna stacja otrzymała z Prezydronu 40-D.

Prezydron 40-D, homeostatyczna, rozwiązująca problemy maszyna z Białego Domu, wykrył obecność potencjalnego wroga. Dysponując władzą prezydenta Stanów Zjednoczonych, natychmiast wysłał okręty zwiadowcze. Wszystko wskazywało na to, że flotylla przybyła z innego układu słonecznego, ale jednostki zwiadowcze musiały potwierdzić tę informację.

— Na luzie — powtórzył posępnie Jim Briskin. — Mam się uśmiechnąć i powiedzieć: „Sie ma, towarzysze, stało się to, czego zawsze się obawialiśmy, cha, cha, cha”. — Spojrzał na Peggy. — Na Ziemi i Marsie będą mieli niezły ubaw, ale co z mieszkańcami najbardziej oddalonych księżyców? — W razie ataku odległe kolonie oberwałyby pierwsze.

— Nie, to się nikomu nie spodoba — powiedział jego doradca Ed Fineberg. On też wyglądał na zmartwionego. Miał rodzinę na Ganimesesie.

— Nie mamy czegoś lżejszego na początek programu? — spytała Peggy. — Podała Briskinowi stertę depesz. — Może coś wybierzesz. No wiesz... jak sprawa tej krowy — mutanta, której sąd w Alabamie przyznał prawa wyborcze...

— Wiem — mruknął Briskin i zabrał się do przeglądania depesz. Szukał czegoś w rodzaju reportażu o zmutowanej sójce, która po wielu trudach i perypetiach nauczyła się szyć i pewnego kwietniowego ranka uszyła, na oczach kamer sieci Briskina, gniazdo dla siebie i potomstwa.

Znalazł jedną ciekawą informację. Gdy tylko ją zobaczył, wiedział, że właśnie czegoś takiego im trzeba, by złagodzić mroczny ton dzisiejszych wiadomości. Poczul ulgę. Świat toczył się swoim torem, niezależnie od sensacyjnej wiadomości z miejsca oddalonego o osiemset jednostek astronomicznych.

— Patrzcie — powiedział, uśmiechając się — stary Gus Schatz wreszcie wyciągnął kopyta.

— Kto to jest Gus Schatz? — pytała zaskoczona Peggy. — Nazwisko brzmi znajomo.

— Związkowiec — wyjaśnił Briskin. — Pamiętasz? Dwadzieścia dwa lata temu związki wysłały go do Waszyngtonu jako zastępcę prezydenta. Nie żyje, a związkowcy wybierają następnego... — Rzucił jej depeszę. — Przeprowadzę z nim wywiad. Jeśli oczywiście potrafi mówić.

— Teraz pamiętam — przyznała Peggy. — Cały czas utrzymują posadę zastępcy, na wypadek gdyby Prezydron zawiódł. Zdarzyło się to kiedyś?

— Nie — powiedział Ed Fineberg — i nigdy się nie zdarzy. Kolejny przykład, jak związki obsadzają fikcyjne stołki swoimi ludźmi. Są wszędzie, jak szarańcza.

— Ale i tak — wtrącił Briskin — ludzie to łykną. Życie prywatne zastępcy prezydenta... dlaczego związkowcy wybrali jego... jakie ma hobby. I co ma zamiar robić w czasie kadencji, by nie zanudzić się na śmierć. Stary Gus nauczył się oprawiać książki. Zbierał stare pisma

samochodowe i oprawiał je w papier welinowy ze złotymi literami.

Ed i Peggy kiwnęli głowami.

— Dobry pomysł — powiedziała Peggy. — Możesz z tego zrobić ciekawy materiał, Jim–Jam: jak ze wszystkiego zresztą. Zadzwoń do Białego Domu. A może jeszcze go tam nie ma?

— Pewnie wciąż siedzi w siedzibie związku w Chicago — rzucił Ed. — Spróbuj tam. Związek Pracowników Służby Cywilnej, wschodnia filia.

Peggy podniosła słuchawkę i szybko wybrała numer.

O siódmej rano Maximiliana Fischera obudziły jakieś głosy. Podniósł głowę z poduszki i nasłuchiwał. Hałas dobiegał z kuchni. Piskliwy głos jego gospodyni, potem męskie głosy, których nie znał. Wciąż półprzytomny usiadł na łóżku. Nie śpieszył się; lekarz kazał mu unikać wysiłku, oszczędzać osłabione serce. Ubrał się powoli.

Pewnie chodzi o jakieś fundusze, pomyślał. Mówią, jak ci kolesie. Trochę wcześniej. Nie przestraszył się. Mam mocne plecy. Spoko.

Starannie zapiął różowajedwabną koszulę w zielone pasy, jedną ze swoich ulubionych. Dodaje mi klasy, uznał, schylając się z trudem, by wciągnąć spodnie ze skóry renifera. Rozmawiaj z nimi jak równy z równym, pomyślał, przyglądając przed lustrem przerzedzone włosy. Jeśli będą zbyt zachłanni, poskarżę się Patowi Noble'owi z nowojorskiego działu kadr. Nie muszę tego znosić. Siedzę w związku już od lat.

W drugim pokoju ktoś rzucił stanowczo:

— Fischer... zbieraj klamoty i rusz się. Mamy dla ciebie robotę. Zaczynasz od zaraz.

Robotę, pomyślał Max. Targały nim mieszane uczucia. Nie wiedział, czy się cieszyć, czy martwić. Od przeszło roku brał kasę z funduszy związku, podobnie zresztą jak wszyscy jego znajomi. Kurde, myślał, a jak to jakaś straszna tyrka i każą mi się schylać cały czas albo wciąż gdzieś łązić. Rozgniewało go to. Co za chamstwo. Za kogo oni się uważają? Otworzył drzwi i stanął naprzeciw nich.

— Posłuchajcie... — zaczął, ale jeden ze związkowców natychmiast mu przerwał.

— Zbieraj manele, Fischer. Gus Schatz kopnął w kalendarz. Jedziesz do Waszyngtonu i zajmiesz jego miejsce. I pośpiesz się, bo inaczej zlikwidują to stanowisko i znów trzeba będzie zorganizować strajk albo ich pozwać. Nie potrzeba nam takich sensacji, rozumiemy się? Zmiana musi być tak płynna, żeby nikt nawet jej nie zauważył.

— Ile dostanę? — spytał Max.

— Nie masz tu nic do gadania — odparł związkowiec lekceważącym tonem. — Zostałeś wyznaczony do tej roli. Nie podskakuj, bo nic nie dostaniesz, darmożjadzie. Nie wiem, czy w twoim wieku miałbym ochotę szukać nowej roboty.

— Dajcie spokój — zaprotestował Max. — Mogę w każdej chwili zadzwonić do Pata Noble'a...

Związkowcy zbierali jego rzeczy.

— Pomożemy ci się spakować. Pat chce cię widzieć w Białym Domu o dziesiątej.

— Pat! — powtórzył Max. Sprzedali go. Związkowcy roześmiali się, wyciągając z szafy walizki.

Wkrótce potem jechali kolejką jednotorową przez równiny Środkowego Zachodu. Maximilian Fischer w milczeniu obserwował przesuające się za oknem obrazy. Nie odezwał się ani słowem do siedzących obok związkowców.

Chciał wszystko gruntownie przemyśleć. Co wiedział o urzędzie, który miał objąć? Praca zaczynała się koło ósmej... gdzieś o tym czytał. Potem przez Biały Dom przewalały się gromady

turystów, którzy chcieli obejrzeć Prezydron 40–D. Najwięcej było dzieciaków... nie cierpiał ich, bo zawsze naśmiewały się z jego tuszy. Kurde, będą ich tam całe miliony, a jemu nie wolno opuszczać budynku. Takie było prawo. Nie mógł oddalić się od Prezydronu 40–D dalej niż sto metrów, dwadzieścia cztery godziny na dobę, w dzień i w nocy. A może pięćdziesiąt? Tak czy owak, ta maszyna miała prawie całkowitą kontrolę, więc jeśli coś by się z nią stało... Lepiej dowiem się czegoś więcej, pomyślał. Jakiś kurs w TV, coś o administracji rządowej. Tak na wszelki wypadek.

Zwrócił się do jednego ze związkowców:

— Słuchaj, kolego, czy ta posada daje mi jakąś władzę? To znaczy, czy mogę...

— To taka sama robota jak każda inna w związkach — usłyszał w odpowiedzi. — Siedzisz i jesteś w gotowości. Zapomniałeś już, jak się pracuje, co? — Roześmiał się, szturchając swego kolegę łokciem. — Zobacz, Fischer, chce wiedzieć, jaką będzie miał władzę. — Teraz obaj wybuchnęli śmiechem. — Wiesz co, Fischer — wycedził urzędnik — jak już ustawisz się w Białym Domu, no wiesz, dostaniesz swój stołek, łóżko, talony na obiady i pranie i harmonogram oglądania telewizji, pokręć się trochę koło Prezydronu 40–D. Pokręć się tam trochę, aż cię zauważą.

— Bujaj się — mruknął Max.

— A potem — ciągnął dalej związkowiec — pogadaj z nim. Hej, panie Prezydron, to ja, twój kumpel Max. Wiesz, jak jest. Rączka rączkę myje. Ty podrzucisz mi zarządzenie...

— Ale w zamian za co? — spytał drugi urzędnik.

— Rozbawi go. Opowie mu historię swego życia. Jak wyrastał w biedzie i nędzy, jak sam się wykształcił, gapiąc się w telewizor przez siedem dni w tygodniu, i wreszcie, patrzcie państwo, wspinał się na sam szczyt. Dostał posadę... — urzędnik zarechotał — wiceprezydenta.

Maximilian poczerwieniał z gniewu, ale nie powiedział już nic. W milczeniu wyglądał przez okno.

W Białym Domu zaprowadzono go do niedużego pokoju. Kiedyś należał do Gusa. I choć usunięto wszystkie stare, wyblakłe magazyny motoryzacyjne, na ścianach wciąż wisiało kilka plakatów: volvo S122 rocznik 1963, peugeot 403 z 1957 i inne modele z dawnych czasów. Na regale znalazł niezwykle dokładny plastikowy model studebakera starlighta w wersji coupe z 1950 roku.

— Wykitował, pracując nad tym — wyjaśnił jeden z urzędników, stawiając walizki Maksa. — Wiedział wszystko o tych przedturbinowych samochodach... tylko na cholere komu taka wiedza.

Max skinął głową.

— Wiesz już, co będziesz robił? — spytał związkowiec.

— Skąd — odparł Max. — Muszę się zastanowić. Dajcie mi trochę czasu. — Podniósł z półki studebakera i obejrzał go od spodu. Miał ochotę zniszczyć model, więc odłożył go pospiesznie i odwrócił się.

— Zrób sobie kulę z recepturek — poradził mu związkowiec.

— Co takiego? — spytał Max.

— Ten zastępca, co był tu przed Gusem, Louisjakiąstam... zbierał gumki recepturki. Zrobił z nich kulę, wielką jak cholera, a potem umarł. Nie pamiętam nazwiska, ale tę jego kulę trzymają teraz w Smithsonian Institution.

Na korytarzu rozległy się kroki i po chwili w drzwiach stanęła recepcjonistka Białego Domu, ascetycznie ubrana kobieta w średnim wieku.

— Panie prezydencie, jest tu ten kłown z wiadomości. Chce zrobić z panem wywiad. Proszę spławić go jak najszybciej, bo mamy dziś kilka wycieczek i ktoś może zechcieć pana zobaczyć.

— Dobrze — rzucił krótko Max. Odwrócił się do kłowna. To był sam Jim–Jam Briskin, ulubieniec publiczności. — Chciał się pan ze mną zobaczyć? — spytał Briskina. — To znaczy, czy aby na pewno ze mną chce pan zrobić wywiad? — Nie miał pojęcia, co Briskina mogło w nim zainteresować. Wyciągając rękę, dodał: — To mój pokój, ale modele i zdjęcia zostały po Gusie. Nic panu o nich nie opowiem.

Briskin miał na głowie krzykliwą, wściekle czerwoną perukę kłowna, która nadawała jego twarzy przedziwny odcień. Wprawdzie na żywo wyglądał starzej, ale na twarzy miał ten sam przyjacielski uśmiech, za który wszyscy go kochali. Symbol poufałości, znak firmowy równego gościa, który jednak potrafił błysnąć kąśliwym dowcipem, gdy wymagała tego sytuacja. Briskin był typem faceta, którego... cóż, pomyślał Max, chciałoby się mieć za szwagra.

Uścisnęli sobie dłonie.

— Jesteśmy na wizji, panie Fischer, czy też raczej: panie prezydencie. Mówi Jim–Jam. Specjalnie dla naszej wielomiliardowej widowni, rozsianej po wszystkich zakamarkach Układu Słonecznego, chciałbym zadać panu kilka pytań. Jakie to uczucie, gdy ma się świadomość, że w razie nawet chwilowej awarii Prezydronu 40–D przejmie pan najbardziej odpowiedzialny urząd, jaki kiedykolwiek piastował człowiek? Zostanie pan przecież nie zastępcą, ale prezydentem Stanów Zjednoczonych. Czy nie spędza to panu snu z po — . wiek? — Uśmiechnął się. Za jego plecami kamerzyści celowali w nich ruchomymi obiektywami. Ostre światło osłepiało Maksa. Czuł, że zaczyna się pocić pod pachami, na karku i twarzy. — Jakie uczucia targają panem — spytał Briskin — gdy stoi pan u progu nowego wyzwania, które może całkowicie odmienić pańskie życie? O czym się myśli w takim momencie?

— To... to wielka odpowiedzialność — odparł Max po chwili. I wtedy zdał sobie sprawę, że Briskin śmieje się z niego, śmieje się w kułak. To wszystko było jednym wielkim żartem. A ludzie na wszystkich planetach i księżycach o tym wiedzieli. Znali przecież poczucie humoru Jim–Jama.

— Jest pan postawnym mężczyzną, panie Fischer — zauważył Briskin — rzekłbym nawet, że z pana kawał chłopca. Czy uprawia pan jakiś sport, ćwiczy regularnie? Pytam, bo nowa posada zmusza pana do przebywania ciągle w tym pokoju. Zastanawiam się, jak zmieni się pańskie życie.

— Cóż — zaczął Max — zdaję sobie oczywiście sprawę, że pracując dla rządu, trzeba być zawsze na posterunku. Tak, ma pan rację. Nie wolno mi opuszczać tego miejsca w dzień ani w nocy, ale to mi nie przeszkadza. Jestem na to przygotowany.

— Proszę nam powiedzieć — zadał kolejne pytanie Briskin — czy... — Nagle przerwał. Odwrócił się do jednego z techników i powiedział zmienionym głosem: — Zdjęli nas z anteny.

Jakiś facet w słuchawkach precyzyjnie przycisnął się między kamerami.

— Na monitorze, posłuchaj. — Podał Briskinowi słuchawki. — Prezydron przerwał nam program. Nadaje biuletyn informacyjny.

Briskin przyłożył słuchawki do ucha, skrzywił się i powiedział:

— Te okręty znajdują się osiemset jednostek astronomicznych stąd. Mówi, że są wrogo nastawione. — Podniósł głowę i spojrzał na technika. Czerwona peruka zsunęła mu się trochę na bok. — Zaczęli atak.

W ciągu następnej doby obcym udało się nie tylko spenetrować Układ Słoneczny, ale i uszkodzić Prezydron 40–D.

Wiadomość ta dotarła do Maximiliana Fischera nie bezpośrednio. Siedział właśnie w bufecie w Białym Domu i jadł kolację.

— Pan Maximilian Fischer?

— Taa — odparł Max, spoglądając na stojących wokół jego stolika agentów ochrony prezydenckiej.

— Jest pan prezydentem Stanów Zjednoczonych.

— Nie, nie — zaprzeczył Max. — Jestem zastępcą prezydenta, a to zasadnicza różnica.

— Prezydron 40–D nie może pełnić obowiązków przez przynajmniej miesiąc — ochroniarz wyjaśnił. — Zgodnie z konstytucją jest pan teraz prezydentem i głównodowodzącym sił zbrojnych. Jesteśmy tu, by zapewnić panu bezpieczeństwo. — Uśmiechnął się groteskowo, a Max odpowiedział podobnym uśmiechem. — Rozumie pan? Czy wie pan, co to znaczy?

— Jasne — odparł Max. Pojął teraz, co oznaczał ten przyciszony gwar rozmów, gdy z tacą w rękę czekał w kolejce po jedzenie. Stało się jasne, dlaczego personel Białego Domu przyglądał mu się tak dziwnie. Odstawił kubek z kawą i wytarł usta serwetką. Nie śpieszył się. Chciał sprawiać wrażenie pogrążonego w myślach. Tak naprawdę jednak miał w głowie zupełną pustkę.

— Powiedziano nam — mówił dalej ochroniarz — że jest pan niezwłocznie potrzebny w ochronie Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Chcą, żeby był pan obecny przy ustalaniu ostatecznej wersji założeń strategicznych.

Z bufetu przeszli do windy.

— Strategia — powtórzył Max, gdy jechali na dół. — Mam kilka pomysłów. Uważam, że czas podjąć kroki przeciwko okrętom wroga. Zgadzacie się ze mną?

Agenci pokiwali głowami.

— Trzeba pokazać, że się nie boimy — ciągnął Max. — Opracujemy strategię i wykończymy gnojków.

Agenci roześmiali się dobredusznie. Rozochocony Max szturchnął dowódcę grupy.

— Stany Zjednoczone to cholernie silny kraj. Mogą dokopać każdemu.

— Pokaż im, Max — rzucił jeden z agentów i wszyscy wybuchnęli śmiechem. Max również.

Gdy wyszli z windy, zatrzymał ich wysoki, elegancki mężczyzna.

— Panie prezydencie — powiedział — nazywam się Jonatan Kirk, jestem rzecznikiem prasowym Białego Domu. Myślę, że w obliczu tak wielkiego zagrożenia powinien pan przed spotkaniem z ludźmi z ABN przemówić do narodu. Społeczeństwo chce wiedzieć, jaki jest ich nowy prezydent. — Wręczył Maksowi kartkę papieru. — Oto oświadczenie przygotowane przez Radę Doradztwa Politycznego; kodyfikuje ono pańską...

— Ocipieliście? — Max oddał mu kartkę, nawet na nianie spojrzawszy. — To ja jestem prezydentem, nie pan. Kirk? Burkę? Shirk? Nigdy o panu nie słyszałem. Dajcie mi mikrofon, a przemówię bez waszej pomocy. Albo sprowadźcie mi tu Pata Noble'a, może on będzie miał jakieś pomysły. — Przypomniał sobie, że to Pat go w to wrobił. — Nie, on się nie przyda. Dajcie mi mikrofon.

— Sytuacja jest naprawdę poważna — niecierpliwił się Kirk.

— No jasne — odparł Max. — Więc daj mi pan spokój i trzymaj się z daleka, to i ja nie będę się wtrącał w pańskie sprawy. To chyba uczciwy układ, co? — Poklepał rzecznika po plecach. — I obu nam wyjdzie na zdrowie.

Pojawiła się grupa ludzi z kamerami i reflektorami. Wśród nich Max dostrzegł Jim–Jama Briskina z ekipą.

— Ej, Jim–Jam — krzyknął. — No i patrz, zostałem prezydentem!

Jim Briskin podszedł do niego niechętnie.

— I nie muszę zwijać jakiegoś kretyńskiego kłębka ani robić modeli łódek. Nic z tych rzeczy. — Uścisnął serdecznie dłoń Briskina. — Z góry dziękuję — dodał — za gratulacje.

— Moje gratulacje — rzekł cicho Briskin.

— Dzięki — rzucił Max, ściskając mu rękę tak, że aż chrupnęło. — Oczywiście prędzej czy później naprawią to gadające pudło i znów zajmę stanowisko zastępcy. Ale... — uśmiechnął się radośnie do wszystkich wokół. W korytarzu było pełno ludzi z telewizji, pracowników Białego

Domu, wojskowych i agentów ochrony.

— Czekają pana trudne zadanie, panie Fischer — powiedział Briskin.

— Tak — odparł Max.

Coś w oczach Briskina mówiło: ciekawe, czy mu pan podoła? Ciekawe, czy jest pan w stanie podźwignąć taki ciężar?

— Pewnie, że dam sobie radę — powiedział Max do mikrofonu Briskina.

— Może i tak — odrzekł Briskin, ale jego twarz wyrażała powątpiewanie.

— Co, już mnie pan nie lubi? — spytał Max. — Czemu?

Briskin nie odpowiedział. Tylko spojrzał na niego jakoś dziwnie.

— Słuchaj pan — zaczął Max — jestem teraz prezydentem. Mogę wam zamknąć tę głupią stację... Mogę nasać na was FBI, kiedy tylko zechcę. I do waszej informacji: prokurator generalny, jakkolwiek się nazywa, właśnie wyleciał z roboty. Na jego miejsce mianuję człowieka, którego znam i któremu ufam.

— Rozumiem — odparł Briskin. Wyglądał, jakby pozbył się wątpliwości. Wyrobił już sobie opinię, której Max nie potrafił odgadnąć. — Stanowisko upoważnia pana do tego, prawda? Skoro jest pan prezydentem...

— Uważaj, Briskin — ostrzegł go Max. — Dla mnie jesteś nikim, nawet z tą swoją wielką widownią — Odwrócił się tyłem do kamery i wszedł przez otwarte drzwi do schronu ABN.

Następnego ranka w podziemnym schronie Agencji Bezpieczeństwa Narodowego Maximilian Fischer sennie przysłuchiwał się najnowszym informacjom, które płynęły z jazgoczącego telewizora. Służby wywiadowcze wykryły w Układzie Słonecznym obecność kolejnych trzydziestu okrętów wroga. Całkowitą liczbę tych, które przekroczyły jego granice, szacowano na siedemdziesiąt. Tor lotu każdego z nich był bacznie obserwowany przez całą dobę.

Max wiedział, że to nie wystarczało. Prędzej czy później będzie musiał wydać rozkaz ataku. Wahał się. Kto pilotował te okręty? Nikt w CIA nie miał o tym bladego pojęcia. Jaką siłą dysponował przeciwnik? Tego też nie wiedzieli. I... czy atak miał jakieś szanse powodzenia?

A były jeszcze problemy natury ekonomicznej. Prezydron cały czas coś majstrował, przygotowywał plany gospodarcze, obniżał podatki, obcinał stopy procentowe... a był uszkodzony. Jezu, pomyślał ponuro Max, co ja wiem o bezrobociu? To znaczy, skąd mam wiedzieć, które fabryki otworzyć na nowo?

Zwrócił się do generała Tompkinsa, przewodniczącego połączonego kolegium szefów sztabów, który siedział obok niego, przeglądając raport o alarmowym starciu taktycznych okrętów obronnych Ziemi.

— Czy wszystkim okrętom przydzielono zadania?

— Tak, panie prezydencie — odparł generał.

Max skrzywił się, ale w tonie Tompkinsa nie wyczuł ironii.

— Dobrze — mruknął. — Miło to słyszeć. W systemie obrony raketowej nie ma już żadnych dziur. Żeby znowu któryś z ich okrętów się nie przedostała jak ten, który uszkodził Prezydron. Nie życzę sobie więcej takich sytuacji.

— Uruchomiliśmy program Defcon jeden — wyjaśnił generał Tompkins. — Pełna gotowość bojowa od szóstej naszego czasu.

— A co z okrętami rozmieszczonymi w punktach strategicznych? — zdążył się już zorientować, że tak nazywali siły uderzeniowe.

— Możemy rozpocząć atak w każdej chwili — powiedział generał, spoglądając na zebranych, którzy potwierdzili jego słowa. — Możemy rozprawić się z każdym z siedemdziesięciu intruzów, którzy naruszyli granice naszego Układu Słonecznego.

Max jęknął z bólu.

— Ktoś ma coś na zgagę? — spytał. Cały ten zgiełk go dobijał. Trzeba się nieźle namęczyć, pomyślał. Czemu te gnoje po prostu nie wyniosą się z naszego układu? Znaczy się, czy musimy z nimi walczyć? Cholera wie, jak się zemszczą, jeśli zniszczymy im te statki. Z tymi obcymi nigdy nic nie wiadomo... nie można im ufać.

— Jedna rzecz nie daje mi spokoju — powiedział głośno. — Ich odwet. — Westchnął.

— Nie da się z nimi negocjować, to raczej oczywiste — zauważył generał Tompkins.

— No to do roboty. Dołóżcie im porządnie — rzucił Max, rozglądając się za jakimś proszkiem na żołądek.

— Uważam, że to bardzo trafna decyzja — przyznał generał Tompkins, a wszyscy zebrani dookoła stołu zgodnie mu przytaknęli.

— Mamy dla pana dość dziwną wiadomość — powiedział jeden z doradców, wyciągając jakąś depezę. — Jim Briskin złożył do Sądu Federalnego stanu Kalifornia pozew przeciwko panu. Twierdzi, że w obliczu prawa nie jest pan prezydentem, bo nie startował pan w wyborach.

— To znaczy, że jego zdaniem powinienem zostać wybrany w głosowaniu? To jedyny powód?

— Tak, sir. Poprosił sąd federalny o rozstrzygnięcie sprawy. I zgłosił własną kandydaturę do fotela prezydenckiego.

— Co?

— Briskin twierdzi, że nie tylko powinien pan wcześniej ubiegać się o to stanowisko i zostać wybrany większością głosów, ale uważa też, że powinien pan zmierzyć się z nim w walce o prezydenturę. A świadomy swej popularności...

— Co za kretynizm! — skomentował Max. — I co wy na to? Nikt się nie odezwał.

— No cóż — powiedział Max — wszystko ustalone. Wojacy dołożą porządnie obcym, my tymczasem przyciśniemy sponsorów Jim–Jama, browar Reinlander i firmę Calbest Electronics. To go trochę przystopuje.

Zgromadzeni przy stole pokiwali głowami. W teczkach zaszeleściły papiery. Spotkanie dobiegło końca.

On gra nie fair, pomyślał Max. Jak mogę startować, skoro szansę nie są równe — on, gwiazda telewizji, i ja? To nieuczciwe. Nie mogę do tego dopuścić.

Niech Jim–Jam sobie startuje, stwierdził w końcu. Na dobre mu to nie wyjdzie. Nie pokona mnie, bo trup nie może wygrać.

Tydzień przed wyborami Telscan, międzyplanetarny ośrodek badania opinii publicznej, opublikował najnowsze sondaże. Czytając je, Max Fischer miał coraz czarniejsze myśli.

— Zerknij na to — powiedział do swego kuzyna Leona Laita, prawnika, którego ostatnio mianował na prokuratora generalnego.

Jego sytuacja była bardzo kiepska. Gdyby wybory doszły do skutku, Jim Briskin pokonałby go miażdżącą przewagą głosów.

— Dlaczego tak się dzieje? — spytał Leon. Podobnie jak Max, był dużym, brzuchatym facetem, który przez długie lata zajmował stanowisko zastępcy. Prowadził siedzący tryb życia i nowa posada przysparzała mu wielu trudności. Jednak z uwagi na rodzinną lojalność trwał na posterunku. — Dlatego, że on kontroluje wszystkie stacje telewizyjne? — spytał, sącąc piwo z puszki.

— Nie — odparł Max. — Dlatego, że mu w nocy świeci pepek. Jasne, że chodzi o telewizję, ty jęlopie... wszystkie kanały wałkują w kółko to samo, pracując na jego wizerunek. To kłown, błazen. Ten czerwony czerep jest dobry dla prezentera, ale nie przystoi prezydentowi. — Był tak wściekły, że głos uwiązł mu w gardle.

Lecz najgorsze miało dopiero nadejść.

O dziewiątej wieczorem Jim–Jam Briskin rozpoczął dwudziestosiedmiogodzinny telewizyjny maraton wyborczy na wszystkich kanałach. Ostateczny krok, który miał go wnieść na szczyt popularności i zapewnić zwycięstwo.

Max Fischer siedział na łóżku w swojej prezydenckiej sypialni i podjadając ze stojącej przed nim tacy, oglądał telewizję.

Ten Briskin, pomyślał ze złością.

— Zobacz — zwrócił się do kuzyna. Prokurator generalny siedział w głębokim wygodnym fortelu. — Zobacz tego palanta. — Wskazał na ekran.

— Obłeśniak — powiedział Leon Lait, przeżuwając cheeseburgera.

— Wiesz, skąd ten cwaniak nadaje? Z przestrzeni kosmicznej, jeszcze za Plutonem. Z najdalszego przekaźnika, do którego twoi chłopcy z FBI nie dotrą i za milion lat.

— Dobra — zapewnił go Leon. — Powiedziałem im, że nie mają innego wyjścia, bo ich prezydent, a mój kuzyn wydał takie polecenie.

— Ale to potrwa — odparł Max. — Leon, jesteś cholernie powolny. Ale powiem ci coś. Wysłałem tam statek, „Dwight. D. Eisenhower”. Jest gotowy zrobić im kuku. No wiesz, wielkie bum i koniec telewizyjnego show. Wystarczy jedno moje słowo.

— To dobrze, Max.

— Wcale się do tego nie palę — wyznał Max.

Program nabierał tempa. Na scenie ukazała się śliczna, uśmiechnięta Peggy Jones, w błyszczącej sukni wieczorowej z odkrytymi ramionami. No proszę, a teraz będzie striptiz pierwsza klasa, pomyślał Max. Choć sama laska niczego sobie. Usadowił się wygodniej i wbił wzrok w ekran. Cóż, może nie prawdziwy striptiz, ale Briskin i jego ludzie umieli wykorzystać wdzięk i seks. Prokurator generalny przestał przeżuwać cheeseburgera. Mlaskanie ucichło na chwilę.

Tymczasem na ekranie Peggy śpiewała:

*Każda rodzina,
Czy duża, czy mała,
Głosuje na Jima,
Z nim przyszłość wspaniała.*

— O, Boże — jęknął Max. Jednak sposób, w jaki to zaśpiewała, każdy ruch jej szczupłego, smukłego ciała... wszystko było bez zarzutu. — Myślę, że czas dać rozkaz chłopakom z „Eisenhowera” — powiedział, wpatrując się w telewizor.

— Skoro tak uważasz, Max — odrzekł Leon. — Możesz być pewien, że zaświadczę, iż działałeś zgodnie z prawem. O to nie musisz się martwić.

— Daj no ten czerwony telefon — powiedział Max. — To specjalnie strzeżona linia. Może jej używać tylko głównodowodzący. Niezłe, co? — Wziął telefon od prokuratora generalnego. — Zadzwoń do generała Tompkinsa, a on wyda rozkaz załodze okrętu. Masz dzisiaj pecha, Briskin — dodał, po raz ostatni zerkając na ekran. — Ale sam tego chciałeś. Po co ci było to zamieszanie, wojna ze mną?

Dziewczyna w srebrzystej sukni zniknęła, a przed kamerami pojawił się Jim–Jam Briskin. Max zawahał się.

— Witajcie, kochani towarzysze — zaczął Briskin, ucisząc gestem publiczność. Oklaski szły z taśmy — Max wiedział, że na tym odludziu nie ma żadnej publiczności. Przycichły na chwilę, po czym wybuchły ze zdwojoną siłą. Briskin uśmiechnął się przyjaźnie, czekając na ciszę.

— To kant — mruknął Max. — Tam nie ma żadnej publiki. Cwaniaki, on i jego ludzie to cwaniaki. Jego notowania już poszły w górę.

— Pewnie — zgodził się z nim prokurator generalny. — Też to zauważyłem, Max.

— Towarzysze — powiedział poważnym tonem Jim Briskin. Patrzył prosto w obiektyw. — Jak zapewne wiecie, prezydent Maximilian Fischer i ja początkowo dobrze się dogadywaliśmy.

Wciąż trzymając rękę na czerwonym telefonie, Max przyznał mu w duchu rację.

— Nasze drogi rozeszły się — ciągnął Briskin — bo mieliśmy odmienne zdania co do użycia siły... brutalnej siły. Dla Maksa Fischera urząd prezydencki to tylko narzędzie do spełniania osobistych potrzeb. Wierzę, że jego intencje są słuszne. Chce na przykład kontynuować skuteczną politykę Prezydronu. Ale jeśli chodzi o środki... rzecz ma się zupełnie inaczej.

— Posłuchaj go, Leon — rzekł Max i pomyślał: Bez względu na to, co powie, i tak zrobię to, co zamierzałem. Nikt nie będzie wchodził mi w drogę, bo taki mam obowiązek. Tego wymaga moje stanowisko i każdy na moim miejscu postąpiłby tak samo.

— Nawet prezydent — mówił Briskin — musi przestrzegać prawa. Nie może go naruszać, bez względu na władzę, jaką dysponuje. — Umilkł na chwilę, po czym powiedział ciszej: — Wiem, że w tej właśnie chwili FBI, wykonując rozkaz wydany przez Leona Laita, protegowanego Maxa Fischera, próbuje zamknąć tę stację, by mnie uciszyć. Dla osiągnięcia własnych celów Max Fischer robi użytek ze swej władzy, traktuje organy ścigania jako przedłużenie...

Max podniósł słuchawkę.

— Słucham, panie prezydencie. Tu CL generała Tompkinsa — odezwał się głos po drugiej stronie.

— A co to? — spytał Max.

— Centrum Łączności, jednostka 600–1000, sir. Z pokładu statku „Dwight D. Eisenhower”, łączność nawiązana przez nadajnik na stacji Pluton.

— Aha — mruknął Max, kiwając głową. — Bądźcie w gotowości, zrozumiano? Czekajcie na dalsze rozkazy. — Zakrył dłonią słuchawkę: — Leon — zwrócił się do kuzyna, który właśnie skończył cheeseburgera i zabierał się do truskawkowego koktajlu. — Nie mogę tego zrobić. Przecież Briskin mówi prawdę.

— Rozkaz Tompkinsowi — powiedział Leon. Beknął głośno, poklepał się po brzuchu i dodał: — Przepraszam.

Jim Briskin kontynuował swoje wystąpienie:

— Bardzo możliwe, że przemawiając do was teraz, ryzykuję życiem. Musimy spojrzeć prawdzie w oczy: mamy prezydenta, który dla osiągnięcia własnych celów jest gotów posunąć się nawet do zbrodni. To typowa taktyka tyranii. Na naszych oczach rodzi się tyrania, która zastąpi racjonalne i bezinteresowne rządy Prezydronu 40–D, homeostatycznego urządzenia do rozwiązywania problemów, zaprojektowanego, zbudowanego i uruchomionego przez najtęższe umysły, umysły oddane misji wartości ocalenia składających się na naszą tradycję. Przejście od tego stanu do jednoosobowej tyranii jest, delikatnie mówiąc, smutne.

— Teraz już nie mogę tego zrobić — powiedział cicho Max.

— Dlaczegoż to? — spytał Leon.

— Nie słyszałeś, co powiedział? Mówił o mnie. To ja jestem tym tyranem. Chryste — Max odłożył słuchawkę. — Za długo zwlekałem.

— Trudno mi to przyznać — dodał po chwili. — Ale... to by oznaczało, że on ma rację. — Wiem, że jama, pomyślał. Pytanie tylko, czy i oni to wiedzą? Czy opinia publiczna to wie? Nie mogę pozwolić, żeby się dowiedzieli. Powinni podziwiać i szanować swego prezydenta. Wielbić go. Nic dziwnego, że tak słabo wypadam w sondażach. Nic dziwnego, że Jim Briskin postanowił ze mną konkurować, gdy tylko dowiedział się o mojej nominacji. Oni mnie nie znają, ale

wyczuwają, że Jim–Jam mówi prawdę. Nie mam wystarczającej klasy.

Nie nadaję się na prezydenta.

— Wiesz co, Leon — powiedział — zrobię to, a potem ustąpię z urzędu. To będzie moja ostatnia oficjalna decyzja jako prezydenta. — Po raz kolejny chwycił czerwoną słuchawkę. — Wydam rozkaz, żeby załatwili Briskina, a potem niech kto inny będzie sobie prezydentem. Ktoś, kogo wybiorą ludzie. Choćby Pat Noble albo ty. Mam to gdzieś. — Potrząsnął telefonem. — Hej tam, w CL — powiedział głośno — odezwiście się. — Zwrócił się do kuzyna: — Zostaw mi trochę koktajlu. W końcu połowa jest moja.

— Spoko, Max — odrzekł Leon.

— Czy nikogo tam nie ma? — rzucił Max do telefonu i czekał. — Coś tu nie gra — powiedział do Leona. — Łączność zerwana. To pewnie znowu ci obcy.

Spojrzał na telewizor. Nie było obrazu.

— Co się dzieje? — zastanowił się. — Co oni chcą mi zrobić? Kto za tym stoi? — Rozejrzał się wystraszony. — Nic nie kapuję.

Leon ze stoickim spokojem pił koktajl. Wzruszył ramionami, dając Maksowi do zrozumienia, że nie zna odpowiedzi, ale jego nalana twarz pobleła.

— Za późno — powiedział Max. — Z jakiegoś powodu jest już za późno. — Powoli odłożył słuchawkę. — Mam wrogów, Leon, potężniejszych ode mnie i od ciebie. I nawet nie wiem, kto to taki. — Siedział w milczeniu przed czarnym ekranem. Czekał.

Nagle z telewizora popłynęły słowa:

— Pseudoautonomiczny biuletyn informacyjny. Proszę czekać. — I znów cisza.

Zerknąwszy na Eda Fineberga i Peggy, Jim Briskin zamarł w oczekiwaniu.

— Obywatele i obywatelki Stanów Zjednoczonych — zabrzmiał monotony, beznamiętny głos — okres bezkrólestwa się skończył, sytuacja wróciła do normy. — Na ekranie pojawiła się ruchoma wstążka z tekstem przemowy; Prezydron 40–D swoim zwyczajem przerwał program i przejął kontrolę nad przekaźnikami telewizyjnymi.

Głos pochodził z syntetycznego organu mowy, w który wyposażony był ten homeostatyczny mechanizm.

— Kampania wyborcza zostaje wstrzymana — powiedział Prezydron 40–D. — To punkt pierwszy. Obecny prezydent, Maximilian Fischer zostaje usunięty ze stanowiska. To punkt drugi. Punkt trzeci: jesteśmy w stanie wojny z obcymi, którzy wtargnęli do naszego układu. Punkt czwarty: James Briskin, który do was przemawiał...

Briskin zrozumiał, że już po wszystkim.

W słuchawkach wciąż słyszał bezosobowy głos.

— Po czwarte: James Briskin, który do was przemawiał, ma natychmiast przestać. Nakazuje się także, by wskazał ewentualne przyczyny, dla których miałby nadal prowadzić działalność polityczną. W interesie publicznym nakłania się go do politycznego milczenia.

Uśmiechając się do Peggy i Eda Fineberga, Briskin powiedział:

— To już koniec. Mam po prostu trzymać głowę na kłódce.

— Możesz dochodzić swoich praw w sądzie — odparła Peggy. — Możesz zgłosić sprawę do rozpatrzenia przez Sąd Najwyższy. Unieważniano już decyzje Prezydronu. — Położyła mu rękę na ramieniu, ale się odsunął. — Chcesz walczyć?

— Przynajmniej mnie nie usunięto — powiedział Briskin. Był zmęczony. — Dobrze, że Prezydron znów działa — dodał, by uspokoić Peggy. — To oznacza powrót do stabilizacji.

— Co teraz zrobisz, Jim–Jam? — spytał Ed. — Wrócisz do browaru Reinlander i Calbestu i postarasz się odzyskać dawną posiadłość?

— Nie — mruknął Briskin. Na pewno nie. Ale... nie mógł zamilknąć politycznie. Nie potrafił wypełnić polecenia Prezydronu. Było to dla niego niewykonalne. Prędzej czy później znów zacznie mówić, niezależnie od konsekwencji. I jestem pewien, pomyślał, że Max Fischer też się nie podporządkuje... żaden z nas tego nie zrobi.

A może odpowiem na zarzuty, zaskarżę je... pozwę Prezydron 40-D do sądu. Jim-Jam Briskin — powód, Prezydron 40-D — pozwany. Uśmiechnął się. Muszę znaleźć dobrego adwokata. Lepszego niż ten Leon Lait, kuzyn Maksa Fischera.

Wszedł do pakamery w studiu nagrań i zaczął zakładać płaszcz. Czekala ich długa podróż na Ziemię, a on chciał ruszać jak najszybciej.

— Nie wracasz na antenę, żeby dokończyć program? — spytała Peggy.

— Nie — odparł zdawkowo.

— Ale Prezydron niedługo zamilknie i co wtedy zostanie? Cisza w eterze. Tak nie można, Jim-Jam. Tak po prostu wyjść... Nie mogę uwierzyć, że to robisz. To nie w twoim stylu.

Zatrzymał się przy drzwiach.

— Słyszałaś, co powiedział. Jakich udzielił mi instrukcji.

— Nikt nie zostawia ciszy w eterze — nalegała Peggy. — To jak próżnia, Jim, a natura nie znosi próżni. I jeśli nie ty, to szybko znajdzie się ktoś inny. Zobacz, Prezydron już schodzi z anteny. — Wskazała na ekran. Napisy zniknęły. Żadnego ruchu, dźwięku czy obrazu. — To twój obowiązek — powiedziała — i dobrze o tym wiesz.

— Znow możemy nadawać? — spytał Eda.

— Wycofał się, przynajmniej na razie — odparł Ed, wskazując opustoszałą scenę, na którą skierowane były obiektywy kamer i światła. Nie powiedział nic więcej. Nie musiał.

Jim Briskin, wciąż w płaszczu, ruszył w kierunku sceny. Z rękami w kieszeniach stanął przed kamerami, uśmiechnął się i powiedział:

— Myślę, drodzy towarzysze, że to koniec przerwy. Przynajmniej na jakiś czas. Cóż... kontynuujemy.

Zebrał kolejne nagrane oklaski, nad których natężeniem czuwał cały czas Ed Fineberg. Jim Briskin podniósł ręce i dał nieobecnej widowni znak, by ucichła.

— Czy może ktoś z państwa zna dobrego adwokata? — zapytał. — Jeśli tak, dzwońcie do nas natychmiast... zanim FBI zdoła nas odciąć.

Gdy Prezydron zakończył przemowę, Maximilian Fischer zwrócił się do swego kuzyna Leona:

— Zdaje się, że właśnie straciłem robotę.

— Przykro mi, Max — powiedział Leon. — Na to wygląda.

— Ty zresztą też — zauważył Max. — Zapowiada się niezła czystka. Tego możesz być pewny. Usunięty — zgrzytnął gniewnie zębami — to nawet brzmi obraźliwie. Mógł przecież użyć innego określenia, na przykład „zakończy karierę”, „wycofa się”...

— To chyba sposób, w jaki on normalnie się wyraża — odrzekł Leon. — Nie denerwuj się, Max. Masz słabe serce. Wciąż przecież jesteś zastępcą, najważniejszym zastępcą w kraju, zastępujesz samego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Nie zapominaj o tym. Właściwie powinieneś się cieszyć. Nie masz już żadnych zmartwień, zdjął ci z pieców ogromny ciężar.

— Ciekawe, czy mogę dokończyć ten posiłek — zastanawiał się Max, biorąc tacę z jedzeniem. Teraz, gdy już się wycofał, wrócił mu apetyt. Wybrał kanapkę z sałatką drobiową. — Jest moja — powiedział z pełnymi ustami. — Nadal tu mieszkam, to i jeść mogę regularnie, prawda?

— Prawda — potwierdził Leon, uruchamiając swój prawniczy umysł. — W umowie między Kongresem a związkami jest taki zapis. Pamiętasz? Nie strajkowało się na darmo.

— To były czasy... — rozmarzył się Max. Skończył kanapkę i zabrał się za ajerkoniak. Teraz,

gdy nikt nie oczekiwał od niego podejmowania ważnych decyzji, czuł się znacznie lepiej. Odetchnął głęboko i ułożył się wygodnie na stercie poduszek, o które się opierał.

Chociaż to podejmowanie decyzji nawet mi się podobało, pomyślał. To było... szukał w głowie odpowiedniego słowa. Było inne niż posada zastępcy albo siedzenie na zasiłku. Dawało...

Satysfakcję. Tak, właśnie satysfakcję. Poczucie osiągnięcia czegoś ważnego. Już mu tego brakowało. Czuł pustkę, jakby nagle wszystko straciło sens.

— Leon — powiedział — mógłbym jeszcze pobyć sobie tym prezydentem tak... z miesiąc. Podobało mi się to. Wiesz, co mam na myśli?

— Tak, chyba rozumiem, o co ci chodzi — odparł Leon.

— Nie, nie rozumiesz — rzucił Max.

— Staram się — zapewnił Leon. — Naprawdę.

— Nie powinienem był wysłać tych koleś, tych inżynierów, żeby naprawili Prezydron — stwierdził Max z goryczą. — Trzeba było wstrzymać ten projekt na jakieś pół roku.

— Teraz już po sprawie — zauważył Leon.

Doprawdy? — spytał siebie Max. W końcu Prezydronowi 40-D może się coś przytrafić. Jakiś wypadek.

Rozmyślał o tym, jedząc jabłecznik i zagryzając go grubym plastrem teksańskiego sera. Znał kilka osób, które zgodziłyby się podjąć takiego zadania... robiły wcześniej podobne rzeczy.

Poważny, prawie śmiertelny wypadek, pomyślał. Którejś nocy, gdy wszyscy będą spali. W Białym Domu zostaną tylko ja i ta maszyna. Nie czarujmy się — obcy pokazali nam, jak to się robi.

— Zobacz, Jim—Jam wrócił na wizję — powiedział Leon, wskazując na telewizor. Miał rację. Jim Briskin w swojej słynnej czerwonej peruce znów mówił coś dowcipnego i głębokiego zarazem. — Słuchaj — rzucił Leon — on nabija się z FBI. I to w jego sytuacji?! Ten gość naprawdę ma jaja.

— Nie przeszkadzaj mi — burknął Max — Chyba widzisz, że myślę. — Wyciągnął rękę i ściszył telewizor.

Sprawy, które musiał przemyśleć, wymagały skupienia.

I CO TERAZ Z RAGLANDEM PARKIEM?

W salonie swojej luksusowej posiadłości w pobliżu John Day, miasta drwali w stanie Oregon, Sebastian Hada oglądał telewizję i jadł winogrona, przemycane z Doliny Sonoma w Kalifornii przez pilotów. Pestki wypluwał do kominka, jednocześnie z uwagą słuchając tego, co dziennikarz Wiedzy mówi na temat popiersi wykonanych przez dwudziestowiecznych rzeźbiarzy.

Żeby się tak udało ściągnąć do stacji Jima Briskina, pomyślał Hada. Najpopularniejszy telewizyjny klaun — prezenter, ze swoją czerwoną peruką i dowcipnymi, popularnymi komentarzami... Wiedza go potrzebowała. Hada zdawał sobie z tego sprawę, tylko że...

Tylko że rządził nimi teraz idiota, cwany idiota — prezydent Maximilian Fischer, który swego czasu pokłócił się z Jimem Briskinem i wpakował sławnego kłowna za kratki. I dlatego Briskin był teraz nieosiągalny i dla stacji komercyjnych, które obsługiwały trzy zamieszkane planety, i dla Wiedzy. A tymczasem Fischer rządził sobie w najlepsze.

Gdyby jakimś cudem udało mi się wyciągnąć Briskina z paki, zastanawiał się Hada, może z wdzięczności zgodziłby się pracować dla mnie i zostawił swoich sponsorów, browar Reinlander i firmę Calbest Eletronics. W końcu tamci, mimo wszystkich skomplikowanych zabiegów prawniczych, nie dali rady go uwolnić. Nie mają odpowiednich znajomości i nie wiedzą, jak się do tego zabrać... w przeciwieństwie do mnie.

Thelma, jedna z żon Hady, weszła do pokoju i ustawiła się za nim, aby popatrzeć na ekran.

— Nie stawaj mi za plecami, proszę — powiedział Hada. — Wiesz, że tego nie cierpię. Lubię patrzeć ludziom prosto w twarz. — Obrócił się w fotelu.

— Lis wrócił — oznajmiła Thelma. — Widziałam go. Gapił się na mnie. — Roześmiała się radośnie. — Zupełnie zdziczał, taki niezależny... trochę jak ty, Seba. Szkoda, że go nie nakrećiałam.

— Muszę wyciągnąć Jim–Jama — powiedział głośno Hada. Decyzję podjął już wcześniej.

Podniósł słuchawkę i wybrał numer Nata Kamińskiego, szefa produkcji stacji Wiedza na Culone, satelicie przekąźnikowym Ziemi.

— Dokładnie za godzinę — powiedział do podwładnego — zaczniecie we wszystkich programach domagać się uwolnienia Jima Briskina. On nie jest zdrajcą, chociaż tak twierdzi Fischer. Bezprawnie odebrano mu prawa polityczne i wolność wyrażania własnych opinii. Zrozumiałeś? Pokaż klipy z Bri — skinem, odbuduj mu wizerunek... no wiesz. — Hada rozłączył się i zadzwonił do swojego adwokata, Arta Heaviside'a.

— Wyjdę na dwór i nakarmię zwierzęta — powiedziała Thelma.

— Proszę bardzo — zgodził się, zapalając abdulla, produkowanego w Anglii tureckiego papierosa, swoją ulubioną markę. — Art? — powiedział do słuchawki. — Bierzymy się za sprawę Jima Briskina. Znajdź jakiś sposób, żeby wyciągnąć go z pudła.

— Jeśli się w to wdamy, Seba — zaprotestował Art — będziemy mieli na karku prezydenta i całe FBI. To zbyt śliska sprawa.

— Potrzebuję Briskina — nalegał Hada. — Wiedza stała się ostatnio strasznie nadęta... włącz telewizor i pooglądaj chwilę. Edukacja i sztuka... Potrzebujemy wyrazistej osobowości, dobrego komika i prezentera. Potrzebujemy Jim–Jama. — Z badań wynikało, że ich poziom oglądalności drastycznie się obniżył. Tracili widownię. Tego jednak nie powiedział Artowi... to wiadomość poufna.

— Dobrze, Seba — westchnął adwokat — ale pamiętaj, że oskarżają go o podburzanie

nastrojów społecznych w czasie wojny.

— Wojny? Jakiej wojny?

— Te statki obcych... rozumiesz, o czym mówię. Te, co w lutym zakłóciły przestrzeń naszego Układu Słonecznego. Do cholery, Seba, wiesz dobrze, co się dzieje... Stąpasz twardo po ziemi i wiesz, że mamy wojnę, więc nie udawaj.

— Moim zdaniem — odparł Hada — ci obcy nie są wrogo nastawieni. — Odłożył słuchawkę wściekły. To wymówka dla Maksa Fischera, by utrzymać stołek, pomyślał. Walić w bębny wojenne. Siał panikę. A jakież to straty ponieśliśmy ostatnio z rąk obcych? Zresztą nie wykupiliśmy Układu Słonecznego na własność. Tylko tak nam się wydaje.

Tak czy owak, telewizja edukacyjna Wiedza cienko przedła, a on jako właściciel sieci musiał działać. A może ze mnie też powoli uchodzi para? — spytał sam siebie.

Znowu sięgnął po telefon. Wybrał numer swojego psychoanalityka, doktora Ito Yasumi, w jego rezydencji na obrzeżach Tokio. Potrzebuję pomocy, powiedział sobie w duchu. Twórca i sponsor Wiedzy potrzebuje pomocy, a doktor Yasumi mu jej udzieli.

Doktor Yasumi przyjrzał mu się zza biurka.

— Może problem wynika z posiadania ośmiu żon — powiedział. — To o jakieś pięć za dużo. — Wskazał Hadzie sofę. — Spokój jest najważniejszy, Hada. To smutne, że taki potentat jak ty poddaje się stresowi. Boisz się, że FBI prezydenta Fischera dopadnie cię jak Briskina, co? — uśmiechnął się.

— Bzdura — mruknął Hada — nie boję się nikogo i niczego. — Leżał na wznak, z rękami pod głową, wpatrując się w reprodukcję obrazu Paula Klee na ścianie... A może to był oryginał? Dobry analityk zarabia kupę forsy. Od niego Yasumi brał tysiąc dolarów za pół godziny.

— Może — zaczął z namysłem Yasumi — powinienes się upomnieć o władzę. Hada. Przygotuj pucz. Obal Maksa Fischera. Zagraj po swojemu, zostań prezydentem, uwolnij Jim-Jama... i po problemie.

— Za Fischerem stoi wojsko — powiedział ponuro Hada. — Jest głównodowodzącym. Generał Tompkins, który go lubi, na pewno go nie zdradzi. — Już wcześniej przyszło mu do głowy takie rozwiązanie. — Może powinienem polecić do posiadłości na Callisto — mruknął. Uwielbiał ją, a poza tym Fischer nie miał tam nad nim władzy, bo było to duńskie terytorium, a nie amerykańskie. — Tak czy owak, nie chcę otwartej walki. Nie jestem wojownikiem ani ulicznym rozrabiaką. Jestem człowiekiem kultury.

— Jesteś organizmem biofizycznym z wbudowanymi odruchami. Żyjesz, a wszystko, co żyje, walczy o przetrwanie. I jeśli zajdzie taka konieczność, będziesz walczył, Hada.

— Muszę lecieć, Ito — powiedział Seba, zerkając na zegarek. — O trzeciej jestem umówiony w Hawanie. Muszę pogadać o pracy z takim nowym bardem... ballady i banjo. Powalił na kolana całą Amerykę Łacińską. Nazywa się Ragland Park. Może wnieść trochę życia do Wiedzy.

— Słyszałem o nim — powiedział doktor Yasumi. — Widziałem go też w jednej z komercyjnych stacji. Dobry jest. Bardzo młody. W połowie Amerykanin z Południa, w połowie Duńczyk. Długie czarne wąsy i niebieskie oczy. Magnetyczna osobowość, jak sam siebie nazywa.

— Tylko co mają wspólnego ballady barda z edukacją? — wymamrotał Hada.

— Powiem ci coś — zaczął Yasumi. — Jest w tym Ragsie coś dziwnego. Nawet w telewizorze to widać.

— I stąd to szaleństwo na jego punkcie?

— To coś więcej, tak myślę — zauważył Yasumi. — No wiesz, choroba psychiczna i paranormalne siły są ze sobą blisko związane, jak w zjawisku poltergeista. Wielu schizofreników paranoidalnych to telepaci. Wychwytują nieprzychylnie myśli z otoczenia.

— Wiem — powiedział Hada, jednocześnie zdając sobie sprawę, że za te psychologiczne

dyrdymały płaci kupę forsy.

— Ostrożnie z nim — pouczał go doktor Yasumi. — Jesteś nerwus, łatwo się unosisz. Najpierw ten pomysł z Jim–Jamem Briskinem... żeby rozjuszyć FBI... a teraz ten Rags Park. Ty jesteś jak kapelusznik, jak ludzka pchła. Najlepiej, mówię, stanąć twarzą w twarz z Fischerem, zamiast działać podstępnie.

— Podstępny? Ja? — mruknął Hada.

— Jesteś najbardziej podstępnym pacjentem, jakiego mam — powiedział bez ogródek Yasumi. — Aż do szpiku kości, Hada. Uważaj, bo inaczej sam się wyrolujesz, na zawsze — mówiąc to, smutno pokiwał głową.

— Będę ostrożny — zapewnił Hada, myśląc o Ragsie Parku. Prawie nie słuchał tego, co mówi doktor Yasumi.

— Mała przysługa — powiedział Ito. — Jeśli się uda, pozwól mi zbadać pana Parka. Byłoby miło. OK? Dla twojego dobra, Hada. Poza tym chodzi o ciekawość zawodową. Może to nowy rodzaj zdolności parapsychicznych, kto wie.

— Dobra — zgodził się Hada — zadzwonię. — Ale nie ja za to zapłacę, pomyślał. Badanie Ragsa zrobisz na własny koszt.

Przed spotkaniem z bardem miał jeszcze trochę czasu, żeby pojechać do więzienia i odwiedzić Briskina.

Hada nigdy wcześniej nie widział Jim–Jama na żywo i zaskoczyło go, że wygląda o wiele starszej niż w telewizji. Możliwe zresztą, że dobiło go aresztowanie i cały ten zatarg z prezydentem. Każdy na jego miejscu pewnie wyglądałby podobnie, pomyślał, gdy wpuszczano go do celi.

— Jak pan się wplątał w tę aferę z Fischerem? — spytał Hada. Briskin wzruszył ramionami.

— Przecież pan dobrze wie. Wczoraj się pan nie urodził. — Zapalił papierosa i patrzył gdzieś przed siebie.

Hada wiedział, co ma na myśli. Mówił o zniszczeniu Prezydronu 40–D — ogromnego komputera, który zajmował się rozwiązywaniem wszelkiego rodzaju problemów. Prezydron sprawował władzę w państwie i dowodził siłami zbrojnymi. Wszystko skończyło się z chwilą, gdy rozwaliła go wystrzelona przez obcych rakietą. Do władzy doszedł wówczas prezydent — zastępca Max Fischer — kmiot wybrany przez związki zawodowe, prymityw o niespotykanym chłopskim sprycie. Gdy już naprawiono Prezydron 40–D, maszyna nakazała Fischerowi ustąpić z zajmowanego stanowiska, a Jimowi Briskinowi nie mieszać się więcej do polityki. Żaden z nich nie posłuchał. Briskin zaczął prowadzić kampanię przeciwko Maksowi Fischerowi, a ten, sobie tylko znanymi metodami, zdołał znów odłączyć komputer i w rezultacie po raz kolejny przejął władzę w państwie.

Pierwszą rzeczą, którą zrobił jako prezydent USA, było wpakowanie Jima Briskina do więzienia.

— Widział się już pan z moim adwokatem, Artem Heaviside'em? — spytał Hada.

— Nie — odparł krótko Briskin.

— Niech pan posłucha, przyjacielu — zaczął Hada. — Bez mojej pomocy zostanie pan tu do końca życia, chyba że Max Fischer umrze pierwszy. Tym razem już nie popełni tego błędu i nie dopuści do naprawy Prezydronu 40–D. Załatwił go na dobre.

— I pewnie pan chce, żebym w zamian za uwolnienie pracował w jego telewizji — powiedział Briskin, zaciągając się nerwowo papierosem.

— Potrzebuję pana, Jim–Jam. Pokazanie prezydenta Fischera jako żadnego władzy bufona wymagało nie lada odwagi. Ten człowiek to zagrożenie dla nas wszystkich. Jeśli szybko nie połączymy sił, wkrótce obaj będziemy martwi. Przecież sam pan powiedział w jednym z

programów, że Fischer nie cofnie się przed niczym, nawet przed zabójstwem, byle tylko osiągnąć to, co sobie założył.

— Czy pracując u pana będę mógł mówić to, co zechcę? — spytał Briskin.

— Daję panu całkowitą swobodę. Może pan szydzić ze wszystkich i atakować każdego, łącznie ze mną.

— Przyjmuję pańską propozycję, Hada — powiedział Briskin po chwili namysłu — choć nie wierzę, by nawet Altowi Heaviside'owi udało się mnie stąd wyciągnąć. Leon Lait, minister sprawiedliwości Fischera, osobiście prowadzi przeciwko mnie dochodzenie.

— Niech się pan nie poddaje — poradził Hada. — Miliardy widzów czekają, kiedy wreszcie opuści pan tę celę. We wszystkich moich programach apelujemy o uwolnienie pana. Presja społeczna rośnie bardzo szybko. Nawet Max Fischer nie może jej lekceważyć.

— Boję się tylko, że może mnie tu spotkać jakiś przykry „wypadek” — zaczął Briskin. — Taki, jaki przytrafił się Prezydronowi 40-D tydzień po odzyskaniu przezeń władzy. Jeśli ta maszyna nie mogła się obronić, to ja...

— Pan się boi? — spytał Hada z niedowierzaniem. — Jim-Jam Briskin, najstłynniejszy klaun — prezenter... boi się? Nie wierzę.

Zapadło milczenie.

— Powodem, dla którego moi sponsorzy nie mogli mnie stąd wyciągnąć, były naciski ze strony prezydenta. Po prostu dokręcił im śrubę, a ich prawnicy wcale tego przede mną nie kryli. A kiedy Fischer się dowie, że pan mi pomaga, dobierze się także do pana. — Briskin uważnie przyjrzał się swojemu rozmówcy. — Czy jest pan dość twardy, by to wytrzymać?

— Jestem — zapewnił Hada. — Jak powiedziałem doktorowi Yasumi...

— Przyciśnię też pańskie żony — przerwał mu Briskin.

— To rozwiodę się ze wszystkimi — rzucił nerwowo Hada. Briskin podał mu rękę.

— No to mamy układ — powiedział. — Przejdę do Wiedzy, jak tylko mnie pan stąd wyciągnie. — Uśmiechnął się słabo, ale z nadzieją.

Hada był zadowolony z takiego obrotu sprawy.

— Słyszał pan kiedyś o Ragsie Parku, takim folkowym bardzie? — zapytał. — Dziś o trzeciej przyjmuję go do pracy.

— Mam tu telewizor i czasem pokazują niektóre z jego kawałków — odparł Briskin. — Brzmi nieźle, tylko co to ma wspólnego z edukacją? Raczej nie pasuje do Wiedzy.

— Świat się zmienia, Wiedza też. Musimy trochę osłodzić nasz dydaktyzm. Tracimy widownię. Nie chcę stracić całej stacji. Samo założenie... Wiedza czyli Wiedza i Edukacja dla Zwjkiego Amerykanina.

Większa część nieruchomości, których właścicielem był Hada, znajdowała się w Portland w stanie Oregon. Nabył je dziesięć lat temu. Nie były wiele warte — w porzuconej dzielnicy slumsów, zniszczone i odpychające. Jednak Portland miało u niego specjalne względy. Urodził się tam.

W dodatku po głowie cały czas chodziła mu jedna myśl. Jeśli z jakichś przyczyn kolonie na innych planetach i księżycach kiedyś się wyludnią, a na Ziemię zaczną napływać tłum osadników, prawdopodobnie stare miasta znów się zaludnią. W sytuacji, gdy w pobliżu odleglejszych planet wciąż kręciły się statki obcych, taka ewentualność nabierała bardzo realnych perspektyw. Zanotowano już zresztą przypadki, gdy całe rodziny powracały na Ziemię...

Wiedza zatem nie była jedynie bezinteresowną i nie przynoszącą żadnych dochodów publiczną agencją. Programy edukacyjne Hady przemyślały ukryte przesłanie, wabiąc widzów kuszącą wizją wielkiego miasta i pokazując, jak wiele mogłoby ono dać jego potencjalnym mieszkańcom. Jednocześnie cały czas przekonywano oglądających, że kolonie nie mają im już do zaoferowania

niczego więcej. „Porzućcie trudne, surowe życie na dalekim pograniczu — namawiano dzień i noc w biuletynach Wiedzy. — Wracajcie na rodzimą planetę, by ocalić podupadające miasta. To one są waszym prawdziwym domem”.

Czy Briskin zdawał sobie z tego sprawę? Hada w to wątpił. Czy podejrzewał, jaki był właściwy cel Wiedzy?

Łatwo to sprawdzić... Trzeba ty Iko wcześniej wyciągnąć go z więzienia i postawić przed kamerami stacji Wiedza.

O trzeciej Sebastian Hada spotkał się w hawańskim biurze Wiedzy z bardem Raglandem Parkiem.

— Cieszę się, że mogę pana poznać — powiedział nieśmiało Rags Park. Był wysoki i szczupły, a czarne wąsy zasłaniały mu prawie całe usta. Widać było, że jest zażenowany, ale jego błękitne oczy patrzyły przyjaźnie. Hada zauważył, że jest w nim coś bardzo sympatycznego; w powietrzu unosiła się jakaś aura świętości. Zrobił na Hadzie duże wrażenie.

— A więc gra pan na gitarze i pięciostunowym banjo? — spytał Hada. — Ale chyba niejednocześnie, co?

— Nie, proszę pana — wymamrotał Rags — wymieniam instrumenty. Chce pan, żebym coś teraz zagrał?

— Gdzie się pan urodził? — spytał Nat Kamiński. Hada przywiózł ze sobą szefa produkcji, bo w takich sprawach opinia Nata była nieoceniona.

— W Arkansas — odparł Rags. — Moja rodzina hoduje tuczniaki. — Miał ze sobą banjo i zagrał kilka taktów. — Znam naprawdę smutną piosenkę, która wzruszy was do łez. *Biedny Stary Hoss*. Chcecie posłuchać?

— Wiemy, jak śpiewasz — powiedział Hada. — Wiemy bardzo dobrze. — Starał się wyobrazić sobie tego przedziwnego młodzieńca, jak wypełnia w kanale Wiedzy przerwy między programami o dwudziestowiecznych rzeźbiarzach, ale jakoś nie mieściło mu się to w głowie...

— Założę się, że jest jedna rzecz, o której pan nie wie, panie Hada — powiedział Rags. — Nie wie pan, że śpiewam sporo własnych ballad.

— Twórczy umysł — Kamiński z powagą zwrócił się do Hady. — To dobrze. — Na przykład — ciągnął dalej Rags — ułożyłem kiedyś balladę o facecie, który nazywał się Tom McPhail i przebiegł dziesięć mil z wiadrzem wody, żeby ugasić ogień w łóżeczku swojej maleńkiej córki.

— No i udało mu się? — spytał Hada.

— A jakże. W ostatniej chwili. Tom McPhail biegł coraz szybciej i szybciej, dźwigając wiadro z wodą. — Rags zaczął śpiewać:

*Oto biegnie dzielny Tom,
Z każdym krokiem bliżej dom.
Z każdym krokiem większy trud,
Tom już prawie pada z nóg.*

Banjo zawodziło jęklonie.

— Od jakiegoś czasu oglądam pana występy i nigdy nie słyszałem tej ballady — zauważył Nat.

— Ach — westchnął Rags — miałem przez tę piosenkę sporo kłopotów, panie Kamiński. Okazało się, że gdzieś w Pocatello, w stanie Idaho, naprawdę jest jakiś Tom McPhail. Kiedy śpiewałem o starym Tomie McPhailu w moim programie czternastego stycznia, ten facet wkurzył się... i pozwał mnie do sądu.

— Przecież to mogła być zwykła zbieżność nazwisk — zasugerował Hada.

— Niestety — powiedział Rags zdenerwowany — w domu tamtego gościa naprawdę zdarzył się pożar i facet pobiegł spanikowany z wiadrem do oddalonego o dziesięć mil potoku. Wszystko dokładnie tak, jak w mojej balladzie.

— I co, on też zdążył na czas z wodą?

— Jakimś cudem tak — odparł Rags.

— Lepiej by było dla wszystkich — Hada zwrócił się wprost do Kamiń — skiego — żeby ten chłopak jednak został przy staroangielskich balladach, takich jak *Greensleeves*. To bardziej pasuje do Wiedzy. Co za pech — dodał z namysłem — dać bohaterowi ballady imię kogoś, kto naprawdę istnieje i... Zdarzyło się panu od tamtego czasu coś podobnego?

— Niestety, tak — przytaknął Rags. — Ułożyłem w zeszłym tygodniu taką balladę... o pannie Marshy Dobbs. Posłuchajcie.

*Marsha Dobbs, nieprzytomnie zakochana,
Jest złodziejką, bo kocha żonatego pana.
Serce Jackowi Cooksowi rozdziera,
Jego małżeństwo przez nią umiera.*

— To pierwsza zwrotka — wyjaśnił Rags. — Jest jeszcze siedemnaście. Opowiadają, jak Marsha przychodzi do biura Jacka Cooksa jako nowa sekretarka, wychodzi z nim na lunch, a potem spotykają się wieczorem w...

— Jest jakiś morał w tej historii? — zapytał Kamiński.

— Oczywiście — zapewnił go Rags. — Nie bierz cudzego męża, bo niebiosa srogo pomszczą zdradzaną małżonkę. Co w tym wypadku wygląda tak:

*Wirus strasznej zarazy kochanków spowija,
I wnet złodziejką Marszę w męczarniach zabija,
Panią Cooks ręką Boża z opresji wyzwala,
W zdrowiu ją zachowuje, żyć dalej pozwala. Pani Cooks...*

— Dobra, Rags, wystarczy — przerwał mu Hada i z niesmakiem odwrócił się do Kamińskiego.

— Założę się — powiedział Kamiński — że gdzieś tam mieszka prawdziwa Marsha Dobbs, która ma romansik ze swoim szefem, Jackiem Cooksem.

— Właśnie — przytaknął Rags. — Żaden prawnik się do mnie nie zgłosił, ale przeczytałem o tym w „New York Timesie”. Marsha zmarła na atak serca, spowodowany jakimś wirusem. Zaraziła się nim od Jacka Cooksa w motelu, podczas jednej ze wspólnie spędzonych nocy.

— Wyrzuciłeś tę piosenkę ze swojego repertuaru? — spytał Kamiński.

— Hm... — mruknął Rags — Trudna decyzja. Nikt mnie, jak dotąd, nie pozwał. Lubię tę balladę. Chyba ją zatrzymam.

Co sugerował doktor Yasumi? — pomyślał Hada. Wyczuł u chłopaka paranormalne zdolności... Może to taka parapsychologiczna skłonność do pecha przy wyborze postaci do ballad, postaci, które już istnieją? Co nam po takim talencie?

Z drugiej strony jednak, rozważał, może to jakaś odmiana zdolności telepatycznych... a gdyby się odrobinę tym zająć, może się stać bardzo użyteczna.

— Ile czasu ci potrzeba, by ułożyć balladę? — spytał Ragsa.

— Mogę ot tak, na zawołanie — odparł Park. — Nawet teraz. Dajcie mi tylko jakiś temat, a ułożę wam piosenkę na poczekaniu.

Hada zastanowił się moment i powiedział:

— Moja żona, Thelma, dokarmiła ostatnio szarego lisa, który, jak przypuszczam, zabił i zjadł naszą najlepszą roueńską kaczkę.

Rags zastanowił się chwilę, po czym zaśpiewał:

*Pani Thelma Hada z lisem rozmawiała,
Dom mu z pięknej sosny sama zbudowała.
Pan Sebastian rankiem usłyszał szczekanie,
To mu zły lis kaczkę pożarł na śniadanie.*

— Tyle że kaczki nie szczekają, tylko kwaczą — wytknął pul Kamiński.

— Fakt — przyznał Rags i zaraz dodał:

*Niestety, szef produkcji zrobił mnie na cacy:
Kaczki nie szczekają więc ja nie mam pracy.*

— Dobra, Rags. Niech ci będzie. Wygrałeś — roześmiał się Kamiński. — Ja bym go zatrudnił — zwrócił się do Hady.

— Jeszcze jedno pytanie — powiedział Hada. — Myśli pan, że ten lis naprawdę zeżarł mi kaczkę?

— Cholera — mruknął Rags — nic mi o tym nie wiadomo.

— Ale z ballady tak wynika — zauważył Hada.

— Muszę się zastanowić — odparł Rags. Znow zagrał na banjo i zaśpiewał:

*Ciekawe pan Hada zadał mi pytanie,
Czyżby miał o mnie tak niskie mniemanie?
Może niezwykle mam umiejętności
I telepatią zabawiam swych gości.*

— Skąd pan wiedział, że myślałem o telepatii? — zapytał Hada. — Pan czyta w myślach, prawda? Yasumi miał rację.

— Proszę pana, ja tylko gram i śpiewam. Zabawiam ludzi, tak jak Jim–Jam Briskin, ten komik, którego prezydent Fischer zamknął w więzieniu.

— Nie obawa się pan tego samego? — spytał otwarcie Hada.

— Prezydent nic do mnie nie ma — wyjaśnił Rags. — Nie piszę ballad politycznych.

— Jeśli będzie pan dla mnie pracował — powiedział Hada — niewykluczone, że kiedyś o to poproszę. Próbuję wyciągnąć Jim–Jama z więzienia. Dziś zacząłem kampanię we wszystkich programach.

— Tak, powinni go wypuścić — przytaknął Rags. — To było niewłaściwe, że prezydent uzyl do tego FBI... ci obcy nie są wcale aż tak niebezpieczni.

Kamiński pocierał w zamyśleniu brodę.

— Niech pan ułoży piosenkę o Briskinie, Maksie Fischerze i obcych... o całej sytuacji politycznej — zaproponował. — Takie podsumowanie.

— Wiele pan ode mnie wymaga — zauważył Rags z ironicznym uśmiechem.

— Proszę spróbować — nalegał Kamiński. — Zobaczymy, jak panu wychodzą polityczne epigramaty.

— Ho ho ho — zdziwił się Rags — epigramaty. Teraz widzę, że mam do czynienia z ludźmi z Wiedzy. Dobrze, panie Kamiński, spróbuję. Co pan na to? — I wyrecytował:

*Mały, gruby prezydent złymi uczynkami
Za grubymi zamknął Jim–Jama kratami.
Lecz Sebastian Hada strasznie się napalił,
Bo ujrzał swą szansę w tym, że go ocali.*

— Ma pan tę robotę — rzucił Hada, szukając formularza kontraktowego.

— Uda nam się, panie Park? — spytał Kamiński. — Niech pan powie, jak to się wszystko skończy?

— Wolałbym... eee... raczej nie — mruknął Rags. — Przynajmniej nie teraz. Myśli pan, że potrafię również przepowiadać przyszłość, co? Że nie tylko jestem telepatą, ale i prekognitą? — zaśmiał się cicho. — Uważacie, że mam mnóstwo różnych talentów. To mi schlebia, dziękuję — uklonił się z kpiącą miną.

— Będzie pan dla nas pracował, jak rozumiem — powiedział Hada. — Czy chęć współpracy z nami i z Wiedzą oznacza... że nie wierzy pan, by prezydent Fischer mógł nas pokonać?

— Cóż, równie dobrze wszyscy możemy skończyć w więzieniu, razem z Jim–Jamem — burknął Rags. — Wcale bym się nie zdziwił. — Nie wypuszczając banja, usiadł gotów do podpisania kontraktu.

W swojej sypialni w Białym Domu prezydent Maximilian Fischer od godziny oglądał program Wiedza, w którym wciąż powtarzano jedno i to samo hasło: „Uwolnić Jim–Jama Briskina”. Max świetnie wiedział, kto za tym wszystkim stoi.

— Panie ministrze — zwrócił się do swojego kuzyna, Leona Laita — proszę mi przynieść dossier wszystkich żon Hady. Ma ich siedem albo i osiem. Zdaje się, że przyszedł czas bardziej radykalnych rozwiązań.

Gdy przyniesiono mu osiem teczek, Max usiadł i zaczął je uważnie przeglądać. Marszczył czoło, nerwowo żuł cygaro El Producto i czytał szeptem, starając się zrozumieć jak najwięcej.

Jezu, ale niektóre z tych pań miały popaprane życie, pomyślał. Powinny się poddać chemicznej psychoterapii. To by ustabilizowało ich mózgowy metabolizm. Nie był zresztą zaskoczony. Spodziewał się już od dawna, że Sebastian Hada przyciąga właśnie taki typ kobiet.

Jedna z kobiet zainteresowała Maksa szczególnie. Zoe Martin, czwarta żona Hady, lat trzydzieści jeden, mieszkająca obecnie z dziesięcioletnim synem na Io.

Stwierdzono u niej silne zaburzenia psychiczne.

— Panie ministrze — zwrócił się do Leona — ta dama utrzymuje się z renty przyznanej przez Państwowy Wydział Zdrowia Psychicznego. Hada nie płaci jej ani centa. Proszę sprowadzić ją do Białego Domu. Mam dla niej robotę.

Następnego ranka Zoe Martin Hada wprowadzono do jego gabinetu.

Między dwoma roslymi agentami FBI stała wychudzona, choć wciąż atrakcyjna kobieta. W jej rozgorączkowanych oczach widać było wrogość i szaleństwo.

— Witam panią, pani Zoe Hada — powiedział Max. — Wiem o pani to i owo. To pani jest prawdziwą żoną Hady, a pozostałe to zwykłe oszustki, prawda? Sebastian nieźle panią urządził, co? — Cekał w milczeniu, obserwując jej twarz.

— Zgadza się — odezwała się Zoe. — Od sześciu lat staram się udowodnić to, co pan właśnie powiedział. Aż trudno uwierzyć... Naprawdę chce mi pan pomóc?

— Oczywiście — zapewnił ją Max. — Ale musimy to zrobić po mojemu. Jeśli myśli pani, że ten skunks Hada się zmienił, to jest pani w błędzie. Jedyne, co pani pozostało... — zawiesił na chwilę głos — ...to odpowiedzieć pięknym za nadobne.

Zrozumiała go, rozumiała bardzo dobrze. Na jej twarzy znów pojawił się wyraz nienawiści.

— Przyjrzałem mu się, Hada, i nie mam pojęcia, na czym polega jego dar — odezwał się doktor Yasumi, marszcząc brwi. — Rags Park nie czyta w myślach, więc nie jest telepatą. Nie potrafi też, moim zdaniem, przewidzieć przyszłości, nie jest zatem prekognitą. Cały czas jednak wyczuwam w nim silne paranormalne zdolności.

Hada słuchał w milczeniu. Rags Park wyszedł z sąsiedniego pomieszczenia. Wydawał się rozbawiony tym, że doktor Yasumi nic sobie nie robił z jego obecności. Uśmiechnął się do nich obu szeroko i usiadł.

— Jestem zagadką — poinformował Hade. — Zatrudniając mnie, dostał pan za mało lub zbyt wiele... i sam pan nie wie, jak jest. Ale ani ja, ani doktor Yasumi nie potrafimy panu pomóc.

— Chcę, żeby natychmiast zaczął pan pracę w Wiedzy — powiedział zniecierpliwiony Hada. — Proszę komponować i śpiewać ballady o niesłusznym uwięzieniu i prześladowaniu Jima Briskina przez Leona Laita i FBI. Niech pan zrobi z Laita potwora, a z Maksa Fischera spiskującego, chciwego cymbała. Jasne?

— Tak — pokiwał głową. — Trzeba wzburzyć opinię publiczną. Miałem tego świadomość, podpisując kontrakt. Nie będę już apolityczny.

— Mam do pana prośbę — wtrącił doktor Yasumi. — Mógłby pan przygotować balladę o wyjściu Jim–Jama z więzienia?

Hada i Rags spojrzeli na niego zdziwieni.

— Nie o tym, co jest teraz — wyjaśnił doktor — ale o tym, jak chcielibyśmy, żeby było.

— Dobra — zgodził się Rags wzruszając ramionami.

Drzwi do gabinetu Hady otworzyły się z trzaskiem i stanął w nich zdenerwowany szef ochrony, Dieter Saxton.

— Panie Hada, właśnie zastrzeliliśmy kobietę, która próbowała wdrzeć się do pana z bombą domowej roboty. Ma pan chwilę, żeby zidentyfikować zabiłą? Pomyśleliśmy, że to może jedna... to znaczy, że to pana żona.

— Chryste! — krzyknął Hada, podrywając się z miejsca i pobiegł za Saxtonem w dół korytarza.

Na podłodze w pobliżu głównego wejścia leżała kobieta, którą dobrze znał. Zoe, pomyślał. Pochylił się i dotknął jej twarzy.

— Strasznie mi przykro — wymamrotał Saxton. — Naprawdę nie mieliśmy wyboru, panie Hada.

— W porządku — powiedział Hada. — Z pewnością było tak, jak pan twierdzi. — Ufał Saxtonowi. Bo jeśli nie jemu, to komu?

— Lepiej będzie — doradził Saxton — jeżeli teraz jeden z chłopców będzie panu cały czas wszędzie towarzyszył. Nawet wewnątrz biura.

— Ciekawe, czy to Fischer ją wysłał — zastanawiał się Hada.

— Niewykluczone — odparł Saxton. — Ja bym na to stawiał.

— Tylko dlatego, że staram się wyciągnąć Briskina z więzienia? — Hada był głęboko wstrząśnięty. — Ten człowiek mnie zadziwia. — Wstał niepewnie.

— Niech mi pan pozwoli dobrać mu się do tyłka — nalegał ściszym głosem Saxton. — Dla pana własnego bezpieczeństwa. On nie ma prawa być prezydentem. Prezydron 40–D to nasz jedyny prawdziwy prezydent i wszyscy o tym wiemy, że Max się go pozbył.

— Nie — zaprotestował Hada — nie uznaję zabójstwa.

— To nie zabójstwo — tłumaczył Saxton. — To zapewnienie panu, pańskim dzieciom i żonom bezpieczeństwa.

— Może i tak — mruknął Hada — ale nie wolno nam tego robić. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

— Zostawił Saxtona i ruszył ze spuszczoną głową do biura, gdzie czekali na niego Rags i Yasumi.

— Wszystko słyszeliśmy — powiedział Yasumi. — Nie załamuj się, Hada. Ta kobieta miała schizofrenię paranoidalną. Cierpiała na manię prześladowczą. Od początku było wiadomo, że bez psychoterapii zginie gwałtowną śmiercią. Nie masz powodu winić siebie czy Saxtona.

— Kiedyś ją kochałem — mruknął Hada.

Rags cicho grał na gitarze i śpiewał coś po nosem. Nie słyszeli, co. Może ćwiczył już balladę o ucieczce Jim–Jama z więzienia.

— Powinieneś posłuchać rady Saxtona — nalegał doktor Yasumi. — Niech przez cały czas będzie z tobą ochroniarz. — Poklepał Hadę po ramieniu.

— Panie Hada — odezwał się Rags — mam już chyba gotową balladę o... — Nie chcę jej teraz słuchać — burknął Hada. — Później, Rags, później. — Chciał, żeby wyszli i zostawili go samego.

Może rzeczywiście powinienem zareagować, pomyślał. Najpierw radził to Yasumi, teraz Saxton. Co poradziłby mu Jim–Jam? Miał przecież tyle zdrowego rozsądku. Powiedziałby: nie przez zabójstwo. Tak właśnie by powiedział, znam go przecież.

A jeśli on tak mówi, to znaczy, że ma rację.

— Proszę o balladę o tym wazonie mieczyków, tam na regale — zlecił Ragsowi Yasumi. — Niech pan zaśpiewa, jak wznosi się i lata, dobrze?

— To żadna ballada — zaprotestował Rags — a poza tym dostałem już zlecenie od pana Hady.

— To część badania — wyjaśnił Yasumi.

— Cóż, nie udało się — zwrócił się niezadowolony Max Fischer do swojego kuzyna Leona Laita.

— Nie bardzo, Max — przytaknął Leon. — Ma dobrych ludzi. To nie Briskin. Za Hadą stoi cała korporacja.

— Czytałem kiedyś w jednej książce — mruknął ponuro Max — że jak trzech się kłóci, to dwóch prędzej czy później zjednoczy siły przeciw trzeciemu. To nieuniknione. I dokładnie tak się dzieje. Hada i Briskin to teraz sojusznicy, a ja zostałem sam. Musimy ich jakoś rozdzielić, Leon, a potem przeciągnąć jednego z nich na naszą stronę. Briskin kiedyś nawet mnie lubił. Nie podobały mu się tylko moje metody.

— Poczekaj, aż się dowie, że napuściłeś na Hadę jego byłą żonę. Wtedy naprawdę cię zniełubi.

— Myślisz, że Briskin już nigdy nie będzie z nami?

— Niestety, Max, sprawy między nim a tobą nigdy nie wyglądały gorzej. Możesz o nim zapomnieć.

— Mam pewien pomysł — powiedział Fischer. — Jeszcze nie do końca go przemyślałem, ale łączy się z tym uwolnienie Jim–Jama. Liczę na to, że okaże wdzięczność.

— Odbiło ci?! — zdumiał się Leon. — Jak coś takiego mogło ci w ogóle przyjść do głowy? To zupełnie nie w twoim stylu.

— Sam nie wiem — jęknął Max — ale tak jest.

— Eee... Mam już moją balladę, panie Hada. Tak jak prosił doktor Yasu — mi, opowiada o uwolnieniu Jim–Jama. Chce pan posłuchać? — zapytał Rags Park.

— Dawaj pan — odparł zasepiony Hada. W końcu oplaca tego barda, więc może wreszcie dostanie coś w zamian.

Akompaniując sobie na gitarze, Rags zaśpiewał:

*Jim–Jam w więzieniu zdrowie traci,
Bo nikt za niego kaucji nie wpłacił.*

Maksa to wina, Maksa Fischera!

— Ostatnia linijka to będzie refren — wyjaśnił Rags. — Może tak być?

— Tak — krótko odpowiedział Hada.

*Stwórca na Maksa grzmiał rozgniewany:
„Ten człek w więzieniu? — niecne to plany”.
I wnet zakrzyknął: „Maksa to wina!
Niezgodnie z prawem uwięził Jima.*

*Ciężka to zbrodnia, ciężka i kara,
Do piekła, Maksie, do piekła zaraz.
Jedyny sposób win odkupienia —
Jima natychmiast puścić z więzienia”.*

— Teraz będzie moja wersja dalszych wydarzeń — powiedział Rags, odchrząknął i śpiewał dalej:

*Gdy podły Fischer głos usłyszał z Nieba,
Rzekł do Leona: „Dobro czynić trzeba.
Prędko wysyłaj wieści do więzienia,
Niech Briskinowi mówią «Do widzenia»*

*Więc Jim–Jam Briskin na wolność wychodzi,
Promień nadziei znów mu życie słodzi.*

— To tyle — powiedział Rags. — Dość rytmiczna ta ballada, taka do przytupywania. Podoba się panu?

Hada niechętnie pokiwał głową.

— Tak, tak. Może być.

— Czy mam powiedzieć panu Kamińskiemu, że chce pan, bym ją wykonał w Wiedzy?

— Proszę bardzo — przytaknął zrezygnowany Hada. Wciąż nie mógł się otrząsnąć po śmierci Zoe. Czuł się winny, bo to w końcu jego ochroniarz ją zastrzelił. Fakt, że była chora psychicznie i że chciała go skrzywdzić, nie miał tu żadnego znaczenia. Zginął człowiek. To było morderstwo. — Nagle coś zaświtało mu w głowie. — Chciałbym — zwrócił się do Ragsa — żeby ułożył pan dla mnie następną balladę.

— Chyba wiem, o co panu chodzi — przytaknął ze współczuciem Rags. — Chce pan usłyszeć balladę o tragicznej śmierci Zoe. Myślałem już o tym i mam gotową piosenkę. Proszę posłuchać:

*Była raz pani, ładna i miła,
Co w życiu nieraz bardzo błędziła,
A w końcu całkiem rozum straciła.
Wiadomo kto jej błędzić pomagał,
Kto ją do złego sprytnie namawiał —
Podły Max Fischer, jego to sprawka...*

— Niech pan mnie tak nie wybiela — przerwał mu gwałtownie Hada. — Też jestem winny. Nie

tylko Max. Proszę nie robić z niego chłopca do bicia.

— Za bardzo pan chwali prezydenta w swoich balladach — wtrącił się milcząco odtąd Yasumi.
— W tej o uwolnieniu Jima prezydent słyszy głos z Nieba i czyni dobro. To nie tak. To panu Hadzie powinno się przypisywać uwolnienie Jim–Jama. Niech pan posłucha, Park, ułożyłem z tej okazji wiersz.

Yasumi wyrecytował:

*Jim–Jam już nie w więzieniu.
Przyjaciel, Sebastian Hada, uwolnił go.
Briskin tego przyjaciela kocha i szanuje.*

— Dokładnie trzydzieści dwie sylaby — wyjaśnił skromnie doktor Yasumi. — Tradycyjne starojapońskie haiku nie wymaga rymów i tym różni się od amerykańskich i angielskich ballad. Najważniejsze, by trafić w sedno. Może pan — zwrócił się do Ragsa — wpleść to w swoje ballady, dodać sekcję rytmiczną, kuplety, to, co zwykle.

— Naliczyłem trzydzieści trzy sylaby — zauważył Rags. — Trudno, mam bardzo twórczy umysł i nie przywykłem, by mi rozkazywano, jak mam komponować. — Zwrócił się do Hady: — Dla kogo ja właściwie pracuję, dla pana czy dla niego? Z tego co wiem, to pan mi płaci.

— Rób, co mówi — polecił mu Hada. — To geniusz.

— Dobra — mruknął Rags — ale nie tego się spodziewałem, podpisując kontrakt. — Usiadł w kącie pokoju i zajął się nową piosenką.

— Z czym mamy tu do czynienia, doktorze? — zapytał Hada.

— To się jeszcze okaże — odpowiedział tajemniczo Yasumi. — Hipoteza o jego paranormalnych zdolnościach może okazać się prawdziwa... A może nie.

— Pan też odniósł wrażenie, że coś się kryje w tych balladach.

— Tak — przytaknęła Yasumi. — Są jak ważny dokument. Poczekaj, Hada. Dowiesz się, jeśli mam rację... w końcu się dowiesz. A jeśli nie mam, to i tak bez znaczenia — uśmiechnął się do Hady pocieszająco.

W biurze prezydenta Maksa Fischera zadzwonił telefon. Minister sprawiedliwości wydawał się bardzo poruszony.

— Max, pojechałem dziś do więzienia federalnego, żeby unieważnić zarzuty przeciwko Briskinowi, tak jak kazałeś... — Leon zawahał się. — On zniknął, Max. Wypuścili go. — Głos mu drżał.

— Jak to? — spytał Max, bardziej zaskoczony niż zły.

— Art Heaviside znalazł jakiś sposób, nie wiem jaki. Muszę zobaczyć się z Dale'em Winthropem, sędzią stanowym. To on ponad godzinę temu podpisał nakaz zwolnienia. Jestem z nim umówiony... Jak tylko skończę spotkanie, zadzwonię do ciebie.

— Niech to szlag — wycedził Max — spóźniliśmy się. — Odłożył słuchawkę i zamyslił się. O co chodziło Hadzie? Jaki miał plan? Czegoś tu nie rozumiem, pomyślał.

Ależ naturalnie, doszedł do wniosku, teraz Jim Briskin wróci na ekrany, tyle że w Wiedzy.

Włączył telewizor i z ulgą stwierdził, że zamiast Briskina pokazują jakiegoś barda, który przygrywał sobie na banjo.

Nagle zdał sobie sprawę, że chłopak śpiewa o nim.

*Gdy podły Fischer głos usłyszał z Nieba,
Rzekł do Leona: „Dobro czynić trzeba.*

Prędko wysyłaj wieści do więzienia...

— Chryste Panie, przecież tak właśnie było! Tak postąpiłem! — zawołał zdumiony Max. — Niesamowite, pomyślał. Co to ma znaczyć? Co to za facet, który w telewizji wyśpiewuje sekrety, o jakich nie ma prawa wiedzieć?

Telepata, stwierdził na koniec. To musi być telepata.

Młodzieniec śpiewał teraz o Sebastianie Hadzie i jego udziale w uwolnieniu Jima Briskina. To też była prawda, mruknął Max sam do siebie. Leon dowiedział się w więzieniu, że to właśnie adwokat Hady wyciągnął Jima... Lepiej uważnie posłucham sobie tego barda, stwierdził Max. Wydaje się, że on wie więcej ode mnie.

Ale piosenkarz już skończył.

— Była to ballada polityczna, którą wykonał dla państwa Rags Park, światowej sławy bard — wyjaśnił spiker sieci Wiedza. — Pan Park będzie występował w naszym programie co godzinę i śpiewał piosenki skomponowane na poczekaniu, u nas w studio. Park przegląda najświeższe doniesienia i na ich podstawie układa swoje ballady...

Max wyłączył telewizor.

Podobne do kalipso, stwierdził. Nowe ballady. Boże, pomyślał z niesmakiem, a jeśli ten Rags zaśpiewa balladę o powrocie Prezydronu 40–D? Mam przecucie, że słowa jego ballad się sprawdzają. To mi wygląda na paranormalne zdolności. A ci z opozycji wykorzystują to. Z drugiej strony, ja też chyba muszę mieć jakieś nadprzyrodzone zdolności, skoro zaszedłem tak wysoko.

Usiadł i ponownie włączył telewizor. Czekał, przygryzając dolną wargę, i zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. Na razie nic nie przychodziło mu do głowy, ale wiedział, że prędzej czy później coś wymyśli. A zanim tamci wpadną na pomysł przywrócenia Prezydronu 40–D...

— Rozwiązałem już zagadkę Ragsa Parka, Hada. Chcesz posłuchać? — zapytał doktor Yasumi.

— Bardziej interesuje mnie teraz, że wypuścili Jim–Jama — odparł Hada. Odłożył słuchawkę, nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie usłyszał. — Zaraz tu będzie — poinformował doktora Yasumi. — Już jedzie, kolejką. Dopilnujemy, by doleciał na Callisto. Tam władza Maksa nie sięga, więc nie będą mogli go aresztować. — W głowie miał mnóstwo pomysłów. — Jim–Jam może nadawać z naszego przekaźnika na Callisto — odezwał się nagle. — Może tam zamieszkać w mojej rezydencji... Będzie mu jak w raju. Jestem pewien, że się zgodzi.

— Briskin wyszedł — przerwał mu Yasumi — dzięki nadprzyrodzonym zdolnościom Ragsa, więc lepiej mnie uważnie posłuchaj. Nawet sam Rags nie zdaje sobie sprawy z własnych możliwości i, na miły Bóg, nie wiadomo, w którym momencie obróci się to przeciwko tobie.

— Dobrze już — mruknął niechętnie Hada. — O co chodzi z tym Ragsem?

— Między jego balladami a rzeczywistością zachodzi związek przyczynowo–skutkowy. To, co Rags wyśpiewa w swoich balladach, zdarza się potem naprawdę. Ballady wyprzedzają fakty, ale w bardzo niewielkim stopniu. Rozumiesz teraz? To może być niebezpieczne, jeśli Rags zorientuje się i zacznie robić z tego użytek.

— Jeśli to prawda — zauważył Hada — to musimy poprosić go o ułożenie ballady, w której powraca Prezydron 40–D. — To była pierwsza myśl, jaka zaświtała mu w głowie. Max Fischer zostałby wówczas tylko zastępcą i miałby jedynie symboliczną władzę.

— No właśnie — przytaknął doktor Yasumi. — Tyle że teraz, gdy układa te wszystkie polityczne ballady, o wiele łatwiej będzie mu się zorientować, jak niezwykły ma dar. Jeśli ułoży piosenkę o Prezydronie i ten rzeczywiście...

— Ma pan rację — przerwał mu Hada. — Nawet Park to zrozumie — dodał i pogrążył się w myślach. Ragland Park był w gruncie rzeczy nieporównanie groźniejszy od Maksa Fischera. Z drugiej strony... trudno było sobie wyobrazić tego pocziwca nadużywającego władzy w taki

sposób, w jaki robił to Max.

Jednak taka władza w rękach jednego człowieka... To o wiele za dużo.

— Trzeba od dziś uważnie przeglądać teksty jego ballad i pilnować, aby unikał pewnych tematów. Nad treścią piosenek powinieneś czuwać osobiście — poradził Yasumi.

— Chciałbym, o ile to będzie możliwe... — zaczął Hada i umilkł. Na biurku odezwał się interkom.

— Pan Briskin już jest — usłyszeli głos recepcjonistki.

— Proszę go tu przysłać — powiedział uradowany Hada. — Już tu jest, Ito — zwrócił się do doktora, jednocześnie otwierając drzwi gabinetu. Za nimi stał Jim–Jam Briskin, zmęczony i ponury.

— Pan Hada pana wyciągnął — poinformował go doktor Yasumi.

— Wiem i jestem wdzięczny. — Briskin wszedł do gabinetu, a Hada natychmiast zamknął i zaryglował drzwi.

— Panie Jim–Jam — zaczął bez ogródek — mamy teraz ogromne problemy. Tak źle nie było jeszcze nigdy. Max Fischer schodzi na dalszy plan. Musimy stawić czoło sile absolutnej, jedynej w swoim rodzaju i niezależnej. Teraz żałuję, że się w to wplątałem. Czyj to był w ogóle pomysł, by ściągnąć tu Ragsa Parka?

— Twój, Hada — przypomniał mu Yasumi. — I ostrzegałem cię zawczasu.

— Lepiej powiem Ragsowi, żeby na razie nie układał żadnych nowych ballad — zdecydował Hada. — To musi być pierwszy krok. Zaraz zadzwonię do studia. Boże, przecież on może swoimi piosenkami wysłać nas na dno Atlantyku albo gdzieś w kosmos.

— Bez paniki — przerwał mu ostro Yasumi. — Znów histeryzujesz, Hada. Nerwowo jak zwykle. Uspokój się i pomyśl.

— Jak mogę być spokojny — odpowiedział Hada — skoro ten prostak ma moc, dzięki której może porozstawiać nas po kątach jak zabawki? Przecież on może zawładnąć całym wszechświatem.

— Niekoniecznie — sprzeciwił się doktor Yasumi. — Może gdzieś są jakieś granice tej władzy. Wciąż mało wiemy o takich zdolnościach. Trudno je zbadać w warunkach laboratoryjnych, poddać rygorystycznym, wielokrotnie powtarzanym próbom.

— Z tego, co panowie mówią, rozumiem, że... — zaczął Briskin.

— Wyciągnęliśmy pana dzięki zaimprovizowanej balladzie — wyjaśnił mu Hada. — Ja zleciłem jej ułożenie. Zdziałało, tyle że teraz mamy problem z samym bardem. — Z rękami w kieszeniach chodził po gabinecie tam i z powrotem.

I co teraz z Raglandem Parkiem? — zadawał sobie desperackie pytanie.

Na ziemskim satelicie Culone, w głównym studiu programu Wiedzy Ragland Park siedział ze swoim banjo i gitarą, przeglądając depesze z najświeższymi informacjami. Przygotowywał się do następnego występu.

Jak się okazało, Jim–Jam Briskin wyszedł już z więzienia. Zwolnił go jeden z sędziów stanowych. Uradowany tą wiadomością, Ragland chciał w pierwszej chwili poświęcić temu jedną ze swoich ballad. Przypomniał sobie jednak, że przecież zaśpiewał już o tym kilka piosenek. Potrzebował nowych tematów. Kolejna ballada o uwolnieniu Briskina byłaby już naprawdę nudna.

Z kontrolki dobiegł go głos Nata Kamińskiego:

— Gotów do wejścia, panie Park?

— Pewnie — przytaknął. Nie był wprawdzie całkiem przygotowany, ale wiedział, że za chwilę będzie.

A może ballada o tym facecie z Chicago, Robinsonie, którego cocker spaniel został w biały

dzień zaatakowany na ulicy przez rozwścieczonego orła?

Nie, to za mało polityczne, stwierdził.

Więc może coś o końcu świata? Zderzenie Ziemi z meteorytem albo inwazja obcych, którzy przejmują władzę... taka naprawdę przerażająca ballada o ludziach mordowanych, przecinanych na kawałki promieniami laserów?

To znów nie pasowało do programu Wiedzy. Nie było dość intelektualne.

To może jakaś piosenka o ludziach z FBI? — pomyślał. Nigdy wcześniej o nich nie śpiewałem. Ludzie Leona Laita, w długich, szarych płaszczach, łyse pały i grube karki... wychowankowie college'u, z walizkami w rękach...

Trącając struny gitary, zaśpiewał cicho:

*Szef wydziału powiada do Harka:
„Dawaj mi tu tego chłystka Parka.
Dla konformizmu groźny on,
A jego zbrodnie wielkie są”.*

Chichocząc, zastanawiał się nad dalszym ciągiem. Ballada o nim samym. Ciekawy pomysł... jak też na to wpadł?

Był tak zajęty układaniem słów do piosenki, że nie zauważył, jak do studia weszło trzech roślących mężczyzn — długie szare płaszcze, krótkie włosy, grube karki. Rozejrzeli się i ruszyli prosto w jego stronę, każdy z walizką w ręku... bez wątpienia wychowankowie college'u.

To będzie naprawdę świetna ballada, powiedział do siebie Park. Najlepsza w całej mojej karierze.

Dotknął strun i zanucił:

*Z bronią po ciemku się zjawili,
Biednego Parka zastrzelili.
Trąbka wolności w głos się żali,
Że na śmierć taką go skazali.
Nieprędko o tej strasznej zbrodni
Nasz podupadły świat zapomni.*

W tym momencie ballada się urwała. Agent dowodzący grupą operacyjną FBI opuścił pistolet. Lufa jeszcze dymiała. Kiwnął głową pozostałym i powiedział do ukrytego w rękawie mikrofonu:

— Wiadomość dla pana Laita. Misja zakończona pełnym sukcesem.

— Świetnie. Natychmiast wracać do kwatery głównej. Rozkaz z samej góry.

Oznaczało to oczywiście, że rozkaz wydał sam prezydent Maximilian Fischer. Agenci doskonale o ty wiedzieli; wiedzieli też, kto ich tu przysłał.

W swoim biurze w Białym Domu Maximilian Fischer odetchnął z ulgą na wieść o śmierci Raglanda Parka. Mało brakowało, pomyślał. Ten facet mógł mnie naprawdę załatwić... mnie i cały świat.

Niesamowite, stwierdził, że udało się go dopaść. Najwyraźniej los nam sprzyjał. Ciekawe dlaczego.

— Może to moje nadprzyrodzone zdolności pomogły załatwić tego barda — mruknął pod nosem i uśmiechnął się. — Może mam zdolność wpływania na bardów, którzy układają piosenki o własnej śmierci...

I nagle uświadomił sobie prawdziwą istotę problemu. Trzeba z powrotem zamknąć Jima Briskina. Tylko że to nie będzie łatwe. Hada nie jest głupi. Przewiezie go na któryś z odległych księżyców, gdzie on, Max Fischer, nie ma władzy. To będzie długi i ciężki pojedynek, pomyślał, ja przeciwko tym dwóm. I może nawet uda im się mnie pokonać.

Westchnął.

— Czeka mnie jeszcze sporo pracy — mruknął. — Ale dam sobie radę. — Podniósł słuchawkę i wykręcił numer Leona Laita.

TAKI BREJAL TO MA ŻYCIE!

Wsunął w otwór platynową dwudziestodolarówkę i po krótkiej chwili psychoanalitik uruchomił się samoczynnie. Jego oczy zaświeciły przyjaźnie, poruszył się na krześle i chwyciwszy długopis i żółty notatnik, powiedział:

— Dzień dobry panu. Może pan zaczynać.

— Witam, doktorze Jones. Chyba nie pan napisał ostateczną wersję biografii Freuda. To było jakieś sto lat temu. — Zaśmiał się nerwowo. Nie należał do zamożnych, więc kontakt z nowoczesnym, w pełni homeostatycznym psychoanalitikiem był dla niego zupełnie nowym doświadczeniem. — Mam zacząć tak po prostu czy chciałby pan poznać kilka informacji tytułem wstępu?

— Może na początek prosiłbym o przedstawienie się i odpowiedź na pytanie *warum mich* — dlaczego to mnie pan wybrał.

— Nazywam się George Munster, pomost czwarty, blok WEF-395, kondominium San Francisco założone w 1996.

— Bardzo mi miło, panie Munster. — Doktor Jones wyciągnął rękę i George ją uściśnął. Stwierdził, że była raczej miękka i miała taką samą temperaturę jak normalna ludzka dłoń. Sam uścisk był zdecydowanie męski.

— Widzi pan — zaczął Munster — jestem byłym żołnierzem, weteranem wojennym. Dzięki temu dostałem mieszkanie w WEF-395. Wojskowi mieli pierwszeństwo.

— Ach, tak — odrzekł doktor Jones, odmierzając upływający czas cichym tykaniem. — Chodzi zapewne o wojnę z Brejalami.

— Walczyłem na niej trzy lata — potwierdził Munster, nerwowo przyglądając długie, ciemne, przerzedzone przez czas włosy. — Nienawidziłem Brejali i zgłosiłem się na ochotnika. Miałem zaledwie dziewiętnaście lat i dobrą pracę... ale krucjata, której celem było wytepienie Brejali w Układzie Słonecznym, wydawała mi się najważniejsza.

— Hm... — mruknął doktor Jones, tykając i kiwając głową.

— Biłem się dzielnie — ciągnął George Munster. — Otrzymałem nawet dwa odznaczenia i pochwałę za męstwo. Uzyskałem stopień kaprała. Udało mi się w pojedynkę wysadzić satelitę obserwacyjnego pełnego Brejali. Ilu ich tam było, nie dowiemy się nigdy, bo jak wszystkie Brejale, ci również mogli zlewać się ze sobą. — Umilkł na chwilę, owładnięty emocjami. Samo wspomnienie i rozmowa o wojnie były ponad jego siły... Położył się na kozetce, zapalił papierosa i próbował się uspokoić.

Brejale przybyły z innego układu gwiazdowego, prawdopodobnie z Proximy. Kilka tysięcy lat temu osiedliły się na Marsie i Tytanie. Biologicznie pochodziły od jednokomórkowej ameby, były jednak dość znacznych rozmiarów i miały wysoko rozwinięty system nerwowy. Mimo to zachowały znaczną część cech swego jednokomórkowego przodka: rozmnażały się przez podwójny podział i poruszały na nibynóżkach. Stanowiły potencjalne zagrożenie dla osadników z Ziemi.

Przyczyną wojny był konflikt na tle ekologicznym. ONZ planowała zmianę atmosfery Marsa, by stała się znośniejsza dla ziemskich kolonistów. Zmiana ta była jednak nie do przyjęcia dla zamieszkujących Marsa Brejali. I stąd cała awantura.

A przecież, wspominał Munster, nie można było zmienić tylko połowy atmosfery. Nie dało się zatrzymać ruchów cząsteczkowych Browna. W ciągu dziesięciu lat zmieniona atmosfera pojawiła

się nad całą planetą, skazując — przynajmniej tak twierdzili — Brejali na cierpienie. W odwecie brejalska armada dotarła do Ziemi i zainstalowała na orbicie serię zaawansowanych technicznie satelitów, których zadaniem była zmiana atmosfery na błękitnej planecie. Nie udało się zrealizować tego planu, gdyż Biuro Wojskowe ONZ natychmiast przystąpiło do działania. Satelity zestrzelono za pomocą rakiet samonaprowadzających dalekiego zasięgu... i to był początek wojny.

— Czy jest pan żonaty, panie Munster? — spytał doktor Jones.

— Nie, proszę pana — odparł Munster. — I... — wzdrygnął się — zaraz pan zrozumie, dlaczego. Otóż, widzi pan, panie doktorze... — zgasił papierosa. — Będę z panem szczerzy. W czasie wojny byłem ziemskim szpiegiem. Taką przydzielono mi rolę. To była nagroda za męstwo na polu walki... sam o to nie prosiłem.

— Rozumiem — przytaknął doktor Jones.

— Czy aby na pewno? — głos uwiązał Munsterowi w gardle. — Zdaje pan sobie sprawę, co było wówczas konieczne, by prowadzić działalność szpiegowską wśród Brejali?

Doktor Jones kiwnął głową i powiedział:

— Tak, panie Munster. Musiał pan pozbyć się na jakiś czas swego ludzkiego ciała i przyjąć odrażającą powłokę typową dla Brejali.

Munster nie odpowiedział. Zaciskał i rozluźniał pięści, a po drugiej stronie biurka doktor Jones tykał cicho, również bez słowa.

Tego wieczora w swoim mieszkaniu w bloku WEF-395 Munster otworzył małą butelkę whisky Teacher's i pił ją z kubka, bo nie miał siły, by przynieść sobie szklankę z szafki nad zlewem.

Co dała mu sesja z doktorem Jonesem? Nic, tak przynajmniej myślał. Jediną różnicę poczuł w portfelu, który i tak świecił pustkami, ponieważ...

Ponieważ na dwanaście godzin na dobę — mimo wysiłków własnych i specjalistów z Zakładu Opieki Zdrowotnej dla Weteranów przy ONZ — Munster przyjmował swój dawny brejalski kształt. Zmieniał się w bezkształtną masę przypominającą organizmy jednokomórkowe. Działo się to w jego mieszkaniu w bloku WEF-395.

Wszystkie pieniądze, jakie miał, dostawał z Biura Wojskowego. O znalezieniu jakiegokolwiek pracy nie było mowy, bo gdy tylko go zatrudniano, stres związany z nową posadą powodował natychmiastową przemianę na oczach pracodawcy i kolegów.

A to nie wpływało pozytywnie na kontakty z nowo poznanymi ludźmi.

Jak zwykle około ósmej poczuł, że znów zaczyna się przemieniać. Znał dobrze to uczucie i szczerze go nienawidził. Zdążył jeszcze dopić whisky, odstawił kubek na stół i... zmienił się w homogeniczną breję.

Zadzwoił telefon.

— Nie mogę teraz odebrać — rzucił w stronę aparatu. Przekaznik telefonu zapisał jego wiadomość i przekazał ją dzwoniącemu. Munster stał się przezroczystą, galaretowatą masą. Pełznął powoli w stronę telefonu, który, mimo otrzymanej wiadomości, nie przestawał dzwonić. Czuł narastający gniew. Jakby mało mu było kłopotów.

Dotarłszy do aparatu, przekształcił część swego ciała w nibynóżkę i podniósł słuchawkę. Z ogromnym trudem zmienił następną kawałek bezwładnej masy w coś przypominającego aparat mowy i wydukał:

— Jestem zajęty. Proszę zadzwonić później. — Najlepiej jutro rano, dodał w myślach. Gdy wróce do normalnej postaci.

W mieszkaniu było bardzo cicho.

Munster, wyczerpany, przetoczył się z powrotem na dywan i podpełzł do okna, gdzie zmienił się w coś przypominającego kolumnę, by móc wyrzeć na zewnątrz. Choć jego obecne ciało nie

było wyposażone w żrenice, miało jeden czuły na światło punkt, dzięki któremu mógł z nostalgią podziwiać panoramę San Francisco, Golden Gate i wielki plac zabaw na wyspie Alcatraz.

Niech to szlag, pomyślał z goryczą. Nie mogę się ożenić. Nie mogę mieć normalnego życia, jak inni. Wciąż zmieniam się w maskarę, w którą przemienili mnie ważniacy z Biura Wojskowego...

Gdy przyjmował to zadanie, nie wiedział, jak fatalne skutki przyniesie. Zapewniali go, że przemiana będzie „tylko tymczasowa, na czas misji”. Czcze gadki. Misja sryjsja, pomyślał z wściekłością. To gównu ciągnie się już od jedenastu lat.

Pociągało to za sobą poważne problemy natury psychologicznej. I stąd wizyta u doktora Jonesa. Telefon znowu zadzwonił.

— No nie! — powiedział głośno Munster, z mozołem wlokąc się w stronę aparatu. — Koniecznie tego chcesz? Dobra! — Każdy ruch pod postacią Brejala zajmował dużo czasu. — Pogadamy sobie. Możesz nawet włączyć wideotelefon i przyjrzeć mi się uważnie. — Już przy telefonie włączył opcję podglądu. — No, gap się do woli — powiedział, gdy jego bezkształtna postać pojawiła się przed okiem kamery.

Z głośnika popłynął głos doktora Jonesa:

— Przepraszam, że niepokoję pana w domu, panie Munster, szczególnie w tak... nieodpowiednim stanie. — Homeostatyczny psychoanalityk przerwał na chwilę. — Ale właśnie poświęciłem trochę czasu na rozwiązywanie przypadku, który zdaje się bardzo podobny do pana sprawy. I chyba udało mi się znaleźć częściowe rozwiązanie.

— Co takiego? — spytał Munster zaskoczony. — To znaczy, że dzisiejsza medycyna umożliwia...

— Nie, nie — zaprzeczył doktor pośpiesznie. — Proszę pamiętać, że nie zajmuję się aspektami fizycznymi. Gdy skontaktował się pan ze mną, chodziło o dostosowanie psychologiczne...

— Zaraz u pana będę i wtedy porozmawiamy — powiedział Munster i w tym samym momencie zdał sobie sprawę, że w obecnym stanie nie może tego zrobić. Dopełnienie do biura doktora Jonesa zajęłoby mu kilka dni. — Panie Jones — rzucił — teraz widzi pan, z czym się borykam. Co noc od ósmej wieczór do siódmej rano jestem uwięziony w mieszkaniu... Nie mogę nawet przyjść do pana i zasięgnąć rady...

— Proszę się uspokoić, panie Munster — przerwał mu doktor Jones — i proszę mi wreszcie pozwolić powiedzieć to, co mam panu do powiedzenia. Nie tylko pan znajduje się w podobnej sytuacji. Wiedział pan o tym?

— Oczywiście — odparł Munster. — Podczas wojny przemianie poddano osiemdziesięciu trzech Ziemiaków. Z tych osiemdziesięciu trzech — znał liczby na pamięć — przeżyło sześćdziesięciu jeden. Pięćdziesięciu należy obecnie do organizacji o nazwie Weterani Innej Wojny. Ja też jestem jej członkiem. Spotykamy się dwa razy w miesiącu i wspólnie przechodzimy przemianę... — zaczął powoli odkładać słuchawkę. Więc za to płacił tyle pieniędzy, za nic niewarte informacje. — Do widzenia, panie doktorze — wymamrotał. Doktor Jones był wyraźnie podekscytowany.

— Panie Munster, ja nie mówię o innych Ziemiakach. Przeprowadziłem mały wywiad i odkryłem, że według rejestrów Biblioteki Kongresu przemianie poddano również piętnastu Brejali. Zmieniono ich w pseudoziemiaków, również dla celów szpiegowskich, tyle że na rzecz drugiej strony. Czy teraz pan rozumie?

— Nie bardzo — odrzekł Munster po chwili.

— Nosi pan w sobie psychiczną blokadę, która nie pozwala, by ktoś panu pomógł — wyjaśnił doktor Jones. — Powiem panu, czego od pana oczekuję. Proszę być jutro w moim gabinecie o jedenastej rano. Zajmiemy się rozwiązaniem pańskiego problemu. Dobranoc.

— Proszę mi wybaczyć, panie doktorze, ale w obecnym stanie mój umysł nie funkcjonuje

najlepiej — odparł ze znużeniem Munster. Odwiesił słuchawkę, wciąż nie rozumiejąc, co się stało. Więc po Tytanie chodziło teraz piętnastu Brejali skazanych na ludzką postać... I co z tego? W jaki sposób miałyby mu to pomóc?

Cóż, może dowie się tego jutro o jedenastej.

Wchodząc do poczekalni, zauważył, że w głębokim fotelu w rogu siedzi olśniewająco piękna młoda dziewczyna. Czytała nowy egzemplarz „Fortune”.

Munster wybrał miejsce, z którego mógł ją swobodnie obserwować. Rozkoszował się jej widokiem, udając, że również czyta jeden z egzemplarzy „Fortune”. Szczupłe, zgrabne nogi, drobne, delikatnie zarysowane łokcie. Utlenione na blond włosy opadające gęstymi falami na kark, twarz o ostrych, wyrazistych rysach i inteligentnym spojrzeniu. Urocza dziewczyna, pomyślał. Wpatrywał się w nią z zachwytem... aż wreszcie podniosła głowę i posłała mu chłodne spojrzenie.

— Nudno tak czekać — wykrztusił.

— Często przychodzi pan do doktora Jonesa? — spytała.

— Nie — przyznał. — To moja druga wizyta.

— Ja jestem po raz pierwszy — powiedziała dziewczyna. — Chodziłam do innego elektronicznego homeostatycznego psychoanalityka w Los Angeles, ale wczoraj wieczorem doktor Bing zadzwonił do mnie i powiedział, żebym przyleciała tutaj i zobaczyła się z doktorem Jonesem. Czy to dobry specjalista?

— Hm — mruknął — chyba tak. — To się okaże, pomyślał. Drzwi do gabinetu otworzyły się i stanął w nich doktor Jones.

— Panno Arrasmith — powiedział z lekkim ukłonem. — Panie Munster — skinął głową George’owi. — Zechcieliby państwo wejść razem?

— To kto płaci dwadzieścia dolarów? — spytała dziewczyna. Psychoanalityk milczał, po prostu się wyłączył.

— Ja zapłacę — powiedziała panna Arrasmith, sięgając do torebki.

— Nie, nie — zaprotestował Munster. Wyjął dwudziestodolarówkę i wrzucił do szczeliny na monety.

Doktor Jones natychmiast się ożywił.

— Prawdziwy z pana dżentelmen, panie Munster — powiedział z uśmiechem i wprowadził ich oboje do gabinetu. — Proszę usiąść. Panno Arrasmith, pozwoli pani, że bez niepotrzebnych wstępów wyjaśnię panu Munsterowi jej... sytuację. — Zwrócił się do Munstera: — Panna Arrasmith jest Brejalem.

Munster wlepił wzrok w dziewczynę.

— Naturalnie teraz — ciągnął Jones — znajduje się w swoim ziemskim kształcie. Dla niej ten stan jest swego rodzaju przymusową postacią. W czasie wojny działała za liniami Ziemiań, pracując na rzecz Brejalskiej Ligi Wojennej. Schwymano ją i osadzono w areszcie, ale po wojnie nie została oskarżona ani skazana.

— Wypuścili mnie — powiedziała panna Arrasmith niskim, opanowanym głosem. — Wciąż byłam w ludzkiej postaci. Zostałam na Ziemi ze wstydu. Nie mogłam wrócić na Tytana i... — urwała.

— Dla każdego dobrze urodzonego Brejala — wyjaśnił doktor Jones — to wielki dyshonor.

Panna Arrasmith kiwnęła głową. Sciskała w ręku małą chusteczkę z irlandzkiego płótna i starała się zachować spokój.

— Tak jest, panie doktorze. Pojechałam na Tytana, aby zasięgnąć porady u tamtejszych autorytetów medycznych. Po kosztownej i długotrwałej kuracji udało im się przywrócić mnie do

dawnej postaci. Ale pozostaję sobą tylko przez... — zawahała się — jedną czwartą doby. Pozostałe trzy czwarte... spędzam w obecnej formie. — Opuściła głowę i osuszyła chusteczką załzawione oczy.

— Jezu — rzucił Munster — i tak ma pani szczęście. Ludzka postać ma zdecydowaną przewagę nad formą ciała Brejala... wiem coś o tym. Jako Brejal trzeba pełzać... Jest się jak wielka meduza. Brak jakiegokolwiek szkieletu, który trzyma w pionie. No i ten podwójny podział... beznadziejna sprawa. Naprawdę beznadziejna. W porównaniu z ziemską formą... no, wie pani... prokreacji. — Zaczerwienił się.

— Przez jakieś sześć godzin wasze ludzkie formy zbiegają się ze sobą — powiedział doktor Jones, tykając. — To samo z postacią brejałską, ale tylko na godzinę. Tak więc w ciągu dwudziestu czterech godzin macie siedem, w czasie których wasze formy są takie same. Wydaje mi się... — Bawił się długopisem i kartką. — To nie tak źle. Jeśli rozumieją państwo, do czego zmierzam.

— Ale przecież pan Munster i ja jesteśmy naturalnymi wrogami — powie — i działa po chwili panna Arrasmith.

— Cóż, tak było ładnych parę lat temu — zauważył Munster.

— W rzeczy samej — przyznał doktor Jones. — To prawda, że pani Arrasmith jest Brejałem, a pan Munster człowiekiem, ale... — wykonał znaczący gest — oboje jesteście wyrzutkami w swoim otoczeniu. Jesteście bezdomni i stąd u obojga częściowa utrata tożsamości. Jeśli nic się nie zmieni, wasz stan będzie się pogarszał, prowadząc do ciężkiej choroby psychicznej. Chyba że uda wam się zbliżyć do siebie. — Psychoanalityk zamilkł. — Myślę, że mamy sporo szczęścia, panie Munster — powiedziała cicho panna Arrasmith. — Jak mówi doktor Jones, nasze ziemskie formy zbiegają się na siedem godzin w ciągu dnia... możemy wykorzystać ten czas i zapomnieć o przykrej samotności. — Uśmiechnęła się do niego z nadzieją. Miała wspaniałą figurę, a krótka spódniczka podkreślała jej walory.

Patrzając na nią, Munster zastanawiał się.

— Proszę mu dać trochę czasu — powiedział do dziewczyny doktor Jones. — Z mojej analizy jego psychiki wynika, że uzna to za rozsądne wyjście j i zgodzi się.

Panna Arrasmith czekała, raz po raz poprawiając płaszcz i ocierając oczy chusteczką.

Kilka lat później w gabinecie doktora Jonesa zadzwonił telefon. Odebrał go w swój zwykły sposób.

— Proszę włożyć dwudziestodolarówkę, jeśli chcą państwo ze mną rozmawiać.

— Słuchaj pan, dzwonię z biura prawnego ONZ — rozbrzmiał po drugiej stronie linii szorstki męski głos — a my nie mamy w zwyczaju płacić dwudziestu dolarów za rozmowę. Więc włącz się natychmiast, Jones.

— Zrozumiałem, sir — powiedział doktor Jones i prawą ręką przesunął małą dźwigenkę za uchem, która uruchomiła darmową rozmowę.

— Czy w 2037 roku doradził pan pewnej parze małżeństwo? — spytał prawnik z ONZ. — Niejakiemu George'owi Munsterowi i Vivian Arrasmith, obecnie Munster?

— Tak, a o co chodzi? — odparł doktor Jones po sprawdzeniu tej informacji w swoim banku pamięci.

— Czy zbadał pan również prawne komplikacje wynikające z ich ówczesnej sytuacji?

— Hm, nie — odrzekł Jones. — To nie moja sprawa.

— Możemy pana oskarżyć o udzielenie porady niezgodnej z prawem ONZ.

— Nie ma takiego prawa, które zabroniłoby Brejalowi i Ziemianinowi wziąć ślub.

— No dobra, doktorku, przyjedziemy poszperać w ich aktach.

— Wykluczone — zaprotestował doktor Jones. — To pogwałcenie etyki.

— Załatwimy nakaz i skonfiskujemy je.

— Proszę bardzo — doktor Jones sięgał już za ucho, by się wyłączyć.

— Poczekaj pan chwilę. Nie wiem, czy to pana zainteresuje, ale Munste — rowie mają teraz czworo dzieci. I, zgodnie z prawami Mendla, potomstwo odpowiada ściśle współczynnikowi jeden dwa jeden. Jedna brejalska dziewczynka, jeden chłopiec–hybryda, jedna dziewczynka–hybryda i jedna dziewczynka–człowiek. Z prawnego punktu widzenia problem polega na tym, że Brejalska Rada Najwyższa uważa, iż brejalska dziewczynka czystej krwi jest obywatelką Tytana i sugeruje, iż jedno z dzieci — hybryd także powinno podlegać jej jurysdykcji — wyjaśniał ekspert z ONZ. — Widzi pan, małżeństwo Munsterów jest w rozkładzie. Rozwodzą się i trudno stwierdzić, według jakich praw należy rozpatrywać ich szczególny przypadek.

— Co jest przyczyną rozpadu ich małżeństwa? — spytał Jones.

— Nie wiem i guzik mnie to obchodzi. Może fakt, że dwoje dorosłych i dwoje dzieci paraduje co dzień raz jako Brejal, raz jako człowiek. Pewnie ciężko im to wytrzymać. Jeśli chce im pan udzielić porady psychologicznej, to proszę bardzo. Żegnam. — Prawnik z ONZ rozłączył się.

Czyżbym popełnił błąd, doradzając im małżeństwo? — zastanawiał się Jones. Może powinienem się z nimi skontaktować. Jestem im to winien.

Otworzył książkę telefoniczną Los Angeles i zaczął szukać ich nazwiska.

Dla Munsterów to było sześć trudnych lat.

George przeniósł się z San Francisco do Los Angeles. On i Vivian zamieszkali w trzy-, a nie dwupokojowym mieszkaniu w kondominium. Ona, jako że przez trzy czwarte dnia zachowywała ludzką postać, dostała pracę na piątym lotnisku Los Angeles. A on...

Jego renta stanowiła jedną czwartą zarobków żony i boleśnie to odczuwał. Żeby zwiększyć swe dochody, szukał sposobów na zarobienie pieniędzy bez wychodzenia z domu. W końcu w jakiejś gazecie znalazł ogłoszenie następującej treści:

Zbij majątek we własnym domu! Hoduj olbrzymie żaby z Jowisza, które wykonują dwudziestopięciometrowe skoki. Mogą brać udział w zawodach żab (tylko tam, gdzie to legalne) i...

W 2038 roku kupił pierwszą parkę importowanych z Jowisza żab i zaczął ich hodowlę, oczekując szybkich profitów. Hodowlę założył w bloku, gdzie mieszkał. Leopold, jego częściowo homeostatyczny dozorca, pozwolił mu za darmo użyć do tego celu części piwnicy.

Ale z uwagi na relatywnie słabą ziemską grawitację żaby mogły skakać na niewyobrażalne odległości i piwnica okazała się dla nich za ciasna. Odbijały się od ścian jak zielone piłki pingpongowe i wkrótce wyzdychały. Stało się jasne, że aby pomieścić cały miot tego cholerstwa, trzeba było znacznie więcej miejsca niż w piwnicy bloku QEK-604.

W tym okresie urodziło się ich pierwsze dziecko. Było Brejalem czystej krwi, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę miało postać galaretowatej masy i George na próżno czekał, że choć na krótką chwilę zmieni się w człowieka.

Miał o to pretensje do Vivian i pewnego dnia, gdy oboje przybrali ziemską postać, poruszył tę kwestię.

— Jak mam to uznać za moje dziecko? — spytał. — To... przecież obca mi istota. — Był zniechęcony, nawet przerażony. — Doktor Jones powinien był to przewidzieć. Może to tylko twoje dziecko... wygląda tak samo jak ty.

Oczy Vivian napelniły się łzami:

— Naprawdę tak myślisz?

— Tak, do ciężkiej cholery. Walczyliśmy z wami... byliście dla nas nie lepsi od portugalskich

trygonów. — Rozzłoszczony, założył płaszcz. — Idę do klubu Weteranów Innej Wojny — oznajmił żonie. — Na piwo. — I już po chwili szedł na spotkanie ze starymi kumplami, zadowolony, że może wyrwać się z domu choć na trochę.

Siedziba klubu mieściła się w centrum Los Angeles, w obskurnym, dwudziestowiecznym betonowym budynku, który zdecydowanie wymagał remontu. Organizacja WIW dysponowała skromnymi funduszami, bo większość jej członków, podobnie jak George Munster, żyła z rent wypłacanych przez ONZ. Mieli tam jednak stół do bilardu, trójwymiarowy telewizor, kilka tuzinów taśm z popularną muzyką oraz szachy. George zwykle pił piwo i grał w szachy z kolegami, raz jako Brejal, raz jako człowiek. To było jedyne miejsce, w którym akceptowano obie formy.

Tego wieczora siedział z Pete'em Rugglesem, weteranem, który także ożenił się z żeńskim Brejalem, zmieniającym się, podobnie jak Vivian, w kobietę.

— Pete, nie zniosę tego dłużej. Zamiast dziecka mam galaretowatą breję. Przez całe życie chciałem mieć dzieciaka, i na co mi przyszło? Mam dziecko, które wygląda, jakby morze wyrzuciło je na brzeg.

Pete, który również przebywał właśnie w ludzkiej postaci, wziął łyk piwa i powiedział:

— Cholera, George, niezły bajzel. Ale chyba wiedziałeś, w co się pakujesz, żeniąc się z nią? I. Boże drogi, zgodnie z prawem Mendla, następne dziecko...

— Chodzi o to — przerwał mu Munster — że nie szanuję własnej żony. Od tego się wszystko zaczyna. Traktuję ją jak coś. I siebie też. Jesteśmy oboje rzeczami. — Jednym haustem dopił piwo.

— Ale z punktu widzenia Brejali... — powiedział z namysłem Pete.

— Po której ty właściwie jesteś stronie, co? — krzyknął George.

— Nie wrzeszcz na mnie — odburknął Pete — bo oberwiesz.

Po chwili okładali się wściekle pięściami. Na szczęście Pete gwałtownie przeszedł przemianę i nikomu nic się nie stało. George siedział teraz sam, a Pete odpełził do chłopaków, którzy już wcześniej zmienili się w Brejali.

Może znajdziemy nowe społeczeństwo, na jakimś odległym, opuszczonym księżycu, pomyślał George. Ani ziemskie, ani brejałskie.

Muszę wracać do Vivian, uznał. Co innego mi pozostało? I tak mam szczęście, że ją znalazłem. Inaczej byłbym tylko weteranem całe dni przesiadującym w klubie i żłopiącym piwsko. Bez żadnej przyszłości, nadziei prawdziwego życia...

Chodził mu po głowie nowy plan zarobienia dużych pieniędzy. Sprzedaż wysyłkowa. Zamieścił ogłoszenie w „Sunday Evening Post”: NIESAMOWITE MAGNETYTY, PRZYNOŚĄCE SZCZĘŚCIE Z INNEGO UKŁADU GWIEZDNEGO! Kamienie sprowadzano z Proximy i można je było dostać na Tytanie. To Vivian skontaktowała go ze swoimi ziomkami. Ale jak dotąd tylko kilka osób szarpnęło się na półtora dolara.

Jestem do niczego, pomyślał George.

Kolejne dziecko, urodzone zimą 2039 roku, było hybrydą. Przez dwanaście godzin na dobę zachowywało ludzką formę, więc George miał wreszcie potomka, który — przynajmniej częściowo — należał do jego gatunku.

Wciąż świętował narodziny Maurice'a, gdy do ich drzwi zastukała delegacja mieszkańców budynku QEK-604.

— Przynieśliśmy petycję — powiedział przewodniczący delegacji. — Chcemy, żebyście się stąd wynieśli.

— Ale dlaczego? — spytał zaskoczony George. — Przecież do tej pory wam nie przeszkadzaliśmy.

— Chodzi o to, że teraz macie dziecko hybrydę, które wkrótce zechce bawić się z naszymi dziećmi, a to już się nam nie podoba...

George zatrzasnął im drzwi przed nosem.

Ale martwiła go niechęć sąsiadów. I pomyśleć, że to za nich walczyłem. Teraz wiem, że nie są tego warci.

Po godzinie siedział już w klubie, popijając piwo i rozmawiając z Shermanem Downsem, który też ożenił się z Brejalem.

— Sherman, to wszystko nie ma sensu. Nikt nas tu nie chce. Musimy wyemigrować. Może czas spróbować na Tytanie, w świetle Viv.

— Na litość boską — zaprotestował Sherman — nie chcę, żebyście się stąd zwijali, George. — Myślałem, że te elektromagnetyczne pasy odchudzające zaczęły się ostatnio sprzedawać.

Przez ostatnie kilka miesięcy George produkował i sprzedawał skomplikowane elektromagnetyczne odchudzające gadżety, które pomogła mu zaprojektować Vivian. Konstrukcja opierała się na zasadzie znanej na Tytanie, ale kompletnie obcej Ziemianom. Interes szedł bardzo dobrze, popyt przewyższał podaż. Ale...

— Przydarzyło mi się ostatnio coś strasznego, Sherman — zwierzył się George. — Byłem w aptece i złożyli duże zamówienie na te pasy. Tak się ucieszyłem, że... — głos uwiązł mu w gardle. — Sam wiesz, co było dalej. Przemiana. Na oczach setki klientów. Kiedy zleceniodawca to zobaczył, od razu wycofał zamówienie. Tego właśnie wszyscy się boimy... Gdybyś widział, jak zmieniło się ich nastawienie.

— Zatrudnij kogoś do sprzedaży — zasugerował Sherm. — Normalnego człowieka.

— To ja jestem według ciebie nienormalny? Licz się ze słowami — rzucił ostro George.

— Nie to chciałem...

— Wiem dobrze, co chciałeś — warknął wściekły George i zamierzył się na Shermana. Na szczęście chybił, a po chwili obaj przeszli gwałtowną przemianę. W furii złazi się ze sobą, ale w końcu kumpłom udało się ich jakoś rozdzielić.

— Jestem takim samym człowiekiem jak ci, co chodzą po ulicach, i dowalę każdemu, kto temu zaprzeczy — powiedział do Shermana w myślomowie, której normalnie używali Brejale.

W tym stanie nie mógł sam wrócić do domu. Musiał zadzwonić po Vivian, żeby go odebrała. Jakie to było upokarzające.

Samobójstwo, uznał, to jedyne rozwiązanie.

Tylko jak to zrobić? Gdy był Brejalem, nie czuł bólu. Więc trzeba to zrobić właśnie wtedy. Kilka substancji mogło go całkowicie rozpuścić... Mógł na przykład wejść do chlorowanego basenu, który znajdował się w sali rekreacyjnej bloku QEK-604.

Pewnej nocy Vivian znalazła go na brzegu basenu.

— George — powiedziała — proszę cię, idź do doktora Jonesa.

— Nie — odparł, uformowawszy część ciała w aparat głosowy — to na nic. Viv, ja już nie mogę dłużej. — Nawet pasy były jej pomysłem. Zawsze był na drugim miejscu... zawsze o krok za nią, i z każdym dniem ten dystans się powiększał.

— Możesz dać dzieciom tak wiele — powiedziała. Miała rację.

— Wpadnę do Biura Wojskowego ONZ — postanowił. — Pogadam z nimi. Może znają już jakąś metodę, która pozwoli ustabilizować mój stan.

— Ale jeśli na stałe odzyskasz ziemską postać, co się stanie ze mną?

— Będziemy mieli dla siebie osiemnaście godzin na dobę!

— Ale nie będziesz chciał być ze mną. Znajdziesz sobie jakąś Ziemiankę.

To nie byłoby w porządku, uznał. Odrzucił ten pomysł.

Wiosną 2041 roku urodziło im się trzecie dziecko. Dziewczynka, która, podobnie jak Maurice,

była hybrydą. W dzień przybierała formę ziemską, w nocy zmieniała się w Brejala.
Tymczasem George znalazł częściowe rozwiązanie swoich problemów.
Znalazł sobie kochankę.

Spotykał się z Niną w hotelu Elizjum, zapuszczonym drewnianym budynku w centrum Los Angeles.

— Nina — powiedział George, siedząc obok niej na rozklekotanej sofie hotelowej i popijając whisky — dzięki tobie moje życie znowu ma sens. — Bawił się guzikami jej bluzki.

— Szanuję cię — odparła, pomagając mu rozpiąć koszulę — chociaż kiedyś... byłeś wrogiem moich.

— Boże — jęknął George — zabraniam ci myśleć o przeszłości... powinniśmy oboje wymazać ją z pamięci. — Liczy się tylko przyszłość, dodał w myślach.

Sprzedaż pasów szła tak dobrze, że zatrudniał teraz piętnastu Ziemian i stał się właścicielem małej, nowoczesnej fabryki na obrzeżach San Fernan — do. Gdyby nie szaleńcze podatki narzucone przez ONZ, byłby już bogatym człowiekiem... Zastanawiał się, jakie podatki trzeba płacić na terenach kontrolowanych przez Brejali, na przykład na Io.

Pewnego wieczoru rozmawiał na ten temat w klubie WIW z Reinholtem, mężem Niny, który, rzecz jasna, nie wiedział o romansie żony.

— Reinholt — mówił George, sącząc piwo — mam wielkie plany. Ten socjalizm proponowany przez ONZ to nie dla mnie. Duszę się w tym. Cudowny Pas Magnetyczny Munstera to coś... — szukał odpowiedniego określenia — czego Ziemia nie udźwignie. Wiesz, co mam na myśli?

— Przecież jesteś Ziemianinem — zauważył chłodno Reinholt. — Jeśli przeniesiesz fabrykę na tereny Brejali, zdradzisz własną...

— Poczekaj — przerwał mu George. — Mam przecież jedno brejałskie dziecko i dwoje mieszańców, a czwarte jest w drodze. Z tymi na Tytanie i Io łączą mnie silne więzi emocjonalne.

— Ty zdrajco — warknął Reinholt i walnął go pięścią w twarz. — I posuwasz mi żonę — dodał, zadając kolejny cios w brzuch. — Zabiję cię!

George zmienił się w Brejala i ciosy Reinholta lądowały bezboleśnie w galaretowatym ciele. Po chwili i on się przemienił i wlał się w George'a, próbując wchłonąć jego jądro komórkowe.

Na szczęście kumple w porę ich rozdzielili i nic poważnego się nie stało.

Później tego wieczora wciąż roztrzęsiony George siedział z Vivian w salonie ich ośmiopokojowego apartamentu w nowym, ekskluzywnym kompleksie mieszkaniowym ZGF-900. Mało brakowało, a teraz oczywiście Reinholt powie Viv całą prawdę. Oznaczało to zdaniem George'a definitywny koniec ich małżeństwa. Może właśnie spędzali ze sobą ostatnie wspólne chwile.

— Viv — powiedział — kocham cię. Musisz mi uwierzyć. Ty, dzieci... no i fabryka... to całe moje życie. — Przyszedł mu do głowy naprawdę desperacki pomysł. — Wynieśmy się stąd. Jeszcze dziś wieczorem. Zabierzmy dzieciaki i lećmy na Tytana.

— Nie mogę — odparła Vivian — Wiem, jak moi traktowałiby mnie i ciebie, i dzieci. Jedź sam. Przenieś tam fabrykę. Ja zostanę tutaj. — Jej ciemne oczy napełniły się łzami.

— Do diabła — rzucił George. — Co to za życie? Ty tutaj, a ja na Io... co to za małżeństwo? Z kim zostaną dzieci? — Pewnie z Viv... Choć jego firma zatrudniała bardzo zdolnych prawników... może skorzysta z ich pomocy.

Następnego ranka Vivian dowiedziała się o Ninie i wynajęła własnego prawnika.

— Posłuchaj — powiedział George do swojego najzdolniejszego prawnika, Henry'ego Ramarau, z którym właśnie rozmawiał przez telefon. — Załatw mi opiekę nad czwartym

dzieckiem. To będzie Ziemianin. Co do dwóch mieszkańców jakoś się dogadamy. Ja wezmę Maurice'a, a ona Kathy. No i oczywiście tę meduzę, którą nazywa naszym pierwszym dzieckiem. Jeśli o mnie chodzi, to nie roszczę sobie do niej żadnych praw. — Odłożył słuchawkę i odwrócił się do rady kierowniczej firmy. — Na czym stanęliśmy? Na analizie struktury praw podatkowych Io?

W następnych tygodniach perspektywa przeniesienia firmy na Io stawała się z ekonomicznego punktu widzenia coraz bardziej kusząca.

— Kup ziemię na Io — polecił swemu agentowi terenowemu Tomowi Hendrickowi. — I to tanio. Nie chcę porażki już na starcie. — Zwrócił się do sekretarki, panny Nolan. — Nie wpuszczaj do mnie nikogo. Czuję, że będę miał kolejny atak. To z nerwów. Cała ta przeprowadzka na Io. No i sprawy osobiste.

— Dobrze, panie Munster — odparła panna Nolan, wyprowadzając Toma Hendricka z gabinetu. — Nikt nie będzie panu przeszkadzał.

Można było na niej polegać w tej materii. Ostatnio George przechodził przemianę dużo częściej niż zwykle i zawsze pilnował, by nikt go w tym czasie nie niepokoił.

Kiedy nieco później odzyskał ludzką postać, panna Nolan poinformowała go, że dzwonił doktor Jones.

— A niech mnie — powiedział, cofając się myślami do wydarzeń sprzed sześciu lat. — Myślałem, że już dawno poszedł na złom. Proszę zadzwonić do doktora Jonesa i dać mi znać, gdy się pani połączy. Porozmawiam z nim.

Po chwili panna Nolan miała Jonesa na linii.

— Doktorze — zaczął George, rozpierając się w fotelu i bawiąc orchideą na biurku — jak dobrze znów pana usłyszeć.

W słuchawce rozległ się homeostatyczny głos doktora Jonesa:

— Widzę, że ma pan sekretarkę.

— Tak — potwierdził George. — Jestem potentatem. Zajmuję się produkcją pasów odchudzających. To coś jak obroże przeciwpczelne dla kotów. Co mogę dla pana zrobić, doktorze?

— Ma pan czworo dzieci...

— Właściwie troje, czwarte w drodze. I wie pan, to czwarte jest dla mnie bardzo ważne. Według praw Mendla ma być stuprocentowym Ziemianinem i robię wszystko, by przyznano mi nad nim opiekę. Vivian... pamięta ją pan... wróciła na Tytana. Jest wśród swoich, tam, gdzie jej miejsce. A ja wynająłem najlepszych lekarzy, na jakich mnie stać, by ustabilizowali mój stan. Mam już dość tych ciągłych zmian. Ten idiotyzm trwa zbyt długo.

— Z pańskiego tonu wnioskuję, że jest pan teraz poważnym, zapracowanym człowiekiem, panie Munster — rzekł doktor. — Od naszego ostatniego spotkania zrobił pan duży postęp.

— No dobrze — rzucił niecierpliwie George — czemu zawdzięczam pański telefon?

— Pomyślałem, że... eee... mógłbym połączyć pana z Vivian.

— Z Vivian? — zachnął się George — Nigdy. Niech pan posłucha, doktorze, muszę kończyć. Właśnie finalizujemy bardzo poważne przedsięwzięcie.

— Panie Munster — spytał Jones — czy jest jakaś inna kobieta?

— Jest inny Brejal — odparł George i odłożył słuchawkę. Dwa Brejale to lepsze niż nic, dodał w myślach. Czas wracać do interesów... Nacisnął guzik na biurku i po chwili pojawiła się panna Nolan. — Proszę znaleźć Henry'ego Ramaraua. Muszę się dowiedzieć, czy...

— Pan Ramarau czeka na drugiej linii — odparła panna Nolan. — Mówi, że to pilne.

George przełączył telefon i powiedział:

— Cześć, Hank, co jest?

— Właśnie okryłem, że aby zarządzać fabryką na Io, musi pan mieć obywatelstwo Tytana — wyjaśnił prawnik.

— To chyba da się załatwić? — spytał George.

— Aby je dostać... — Ramarau zawahał się. — Powiem to bez owijania w bawełnę. Musi pan być Brejalem.

— Chyba nim jestem, do cholery — rzucił George. — Przynajmniej przez większość dnia. Czy to nie wystarczy?

— Obawiam się, że nie — odpowiedział Ramarau. — Sprawdziłem to, pamiętając o pana dolegliwości. Okazuje się, że musi pan być stuprocentowym Brejalem. Dwadzieścia cztery godziny na dobę.

— Hm... — mruknął George — to niedobrze. Ale jakoś sobie poradzimy z tym problemem. Posłuchaj, Hank, jestem umówiony z Eddym Fullbrightem, moim konsultantem medycznym. Pogadamy później, dobra? — Odłożył słuchawkę i pogrążył się w myślach. Cóż, uznał w końcu, skoro trzeba. Jest, jak jest, i muszę się z tym pogodzić.

Podniósł słuchawkę i wykręcił numer swojego lekarza Eddiego Fullbrighta.

Platynowa dwudziestodolarówka wpadła do szczeliny i uruchomiła system. Doktor Jones ożywił się, otworzył oczy i zobaczył olśniewającą młodą kobietę. Po szybkiej konsultacji z bankiem pamięci rozpoznał w niej panią Munster, dawniej pannę Vivian Arrasmith.

— Dzień dobry, Vivian — powiedział z uśmiechem. — O ile mi wiadomo, powinna pani być teraz na Tytanie. — Wstał i wskazał jej krzesło.

Vivian otarła chusteczką wielkie, ciemne oczy i zaszlochała.

— Panie doktorze, wszystko mi się zawaliło. Mój mąż ma inną... wiem tylko, że nazywa się Nina i plotkują tym wszyscy jego koledzy w WIW-ie. Pewnie jest Ziemianką. Oboje wystąpiliśmy o rozwód. I teraz toczymy okropną batalię o dzieci. — Poprawiła płaszcz. — Spodziewam się kolejnego.

— Wiem — odparł Jones. — Tym razem będzie to Ziemianin czystej krwi. Jeśli oczywiście prawo Mendla... choć odnosi się tylko do potomstwa zwierząt.

— Byłam na Tytanie, żeby zasięgnąć porady medycznej u ginekologów i prawnej u adwokatów zajmujących się sprawami rozwodowymi. W ciągu miesiąca spotkałam się z całą armią specjalistów. Teraz wróciłam i nie mogę nigdzie znaleźć George'a... Jakby zapadł się pod ziemię.

— Żałuję, ale nie mogę pani pomóc — powiedział doktor Jones. — Rozmawiałem z pani mężem, lecz odpowiadał ogólnikami... Jest teraz tak ważną figurą, że trudno się do niego dostać.

— I pomyśleć — wykrztusiła Vivian przez łzy — że osiągnął to dzięki pomysłowi, który ja mu podsunęłam. Dzięki brejałskiemu wynalazkowi.

— Ironia losu — stwierdził Jones. — Cóż, jeśli chce pani odzyskać męża...

— Jestem pewna, że chcę, panie Jones. Szczerze mówiąc, przeszłam na Tytanie specjalną terapię. Wszystko to, bo go kocham. Bardziej niż własnych rodaków.

— Jakie są rezultaty? — spytał Jones.

— Dzięki najnowocześniejszym osiągnięciom medycyny — wyjaśniła — udało im się ustabilizować mój stan. Teraz zachowuję swoją ludzką postać przez całą dobę, bez żadnych przerw. Porzuciłam swój naturalny wygląd, by ratować małżeństwo.

— To olbrzymie poświęcenie — zauważył poruszony doktor Jones.

— Gdybym tylko mogła go odnaleźć...

Podczas uroczystości rozpoczęcia budowy na Io George Munster pod — pełzył do łopaty i wysunąwszy nibynóżkę, chwycił ją i wykopał symboliczną grudkę ziemi.

— To wielki dzień — zagrzmiął z imitacji aparatu głosowego, w który przekształcił część swego jednokomórkowego ciała.

— Święte słowa, panie Munster — powiedział Hank Ramarau z dokumentami w rękach.

Jeden z urzędników, przypominający, jak George, wielką, przezroczystą breję, podpełzł do Ramaraua, odebrał od niego papiery i zahuczał:

— Przekażemy je naszemu rządowi. Jestem pewien, że są w porządku.

— Ręczę za to — odparł Ramarau. — Pan Munster nie przyjmuje już ludzkiej formy. Wykorzystał najnowsze zdobycze medycyny, by ustabilizować swój stan. Nie grożą mu już żadne przemiany. Pan Munster zawsze dotrzymuje słowa.

— To historyczna chwila — powiedziała w myślomowie do grona uczestniczących w ceremonii miejscowych Brejali wielka brejowata masa, która była kiedyś George'em Munsterem. — To dla mieszkańców Io zwiastun nowej jakości życia. Znajdą tu pracę. Ten region rozwinie się dzięki oryginalnemu brejałskiemu wynalazkowi: czarodziejskiemu odchudzającemu pasowi Munstera.

Tłum zgotował mu myślomowę.

— To dla mnie dzień chwały — oznajmił George, po czym ruszył powoli w stronę samochodu. Szofer czekał w aucie, by zabrać go do apartamentu hotelowego w Io City; George wykupił apartament na własność.

Kiedyś wykupił cały hotel. Już zaczął lokować zyski w nieruchomościach. To — jak uznali inni mieszkańcy Io, inni Brejale — było bardzo patriotyczne i opłacalne zarazem.

— Nareszcie odniosłem sukces — George wysłał tę wiadomość do wszystkich, którzy mogli ją odebrać.

Wśród aplauzu zgromadzonych wtoczył się na rampę, a stamtąd do wyprodukowanego na Tytanie samochodu.

UWAGI

Wszystkie uwagi i komentarze wyróżnione kursywą zostały napisane przez Philipa K. Dicka. W nawiasie podano, kiedy powstały. Większość z poniższych uwag to komentarze do tomu *Opowiadania najlepsze* oraz *Ostatni Pan i Władca*. Kilka komentarzy Dick napisał również na życzenie pism lub wydawnictw.

Data po tytule opowiadania oznacza, kiedy agent Dicka po raz pierwszy otrzymał od autora rękopis (według zapisów Scott Meredith Literary Agency). Dalej podano informacje o czasopiśmienniczych pierwodrukach opowiadań.

Opowiadania zostały ułożone (na tyle, na ile to było możliwe) chronologicznie przez Gregga Rickmana i Paula Williamsa.

Autofabryka

11.10.1954, „Galaxy”, listopad 1955

Tom Disch wyraził się o tym opowiadaniu, że jest jednym z pierwszych ekologicznych ostrzeżeń w literaturze SF. Jednak pisząc ten tekst chciałem powiedzieć, że jeśli fabryki w pełni się zautomatyzują, może wytworzyć się u nich, jak u istot żywych, instynkt przetrwania... i w rezultacie sięgną po dobrze nam znane środki. (1976)

Naprawa

11.10.1954, „Science Fiction Stories”, lipiec 1955

Wielu fanom nie podobało się to opowiadanie. Zarzucano mi negatywne podejście. A ja, już wtedy, zacząłem dostrzegać pierwsze oznaki tego, jak bardzo maszyny zdominowały nasze życie. Mam na myśli szczególnie te urządzenia, którymi otaczamy się dobrowolnie i które zdają się najmniej groźne. Nigdy jednak nie wierzyłem osobiście, że na ulicach Nowego Jorku siac będzie zniszczenie ogromne, pobrzękujące metalowe monstrum. Bardziej przerażało mnie to, że kiedyś, w domowym zaciszu, gdzie nie będzie nikogo, kto mógłby mi pomóc, mój własny telewizor, żelazko czy toster oznajmi, że przejmuje kontrolę nad domem, i wręczy mi listę nowych zasad. Nienawidzę wykonywać polecenia maszyn i salutować czemuś zrobionemu w fabryce. (Nie wydaje się wam, że prezydent został zaprogramowany, by mówił i robił to, co mówi i robi?). (1976)

Monopolistka

18.10.1954, „If, kwiecień 1955

Wzór Yancy'ego

18.10.1954; „If”, sierpień 1955

Oczywiście, Yancy to prezydent Eisenhower. W czasach jego rządów wszyscy baliśmy się syndromu „faceta w szarym, flanelowym garniturze”. Przerażało nas, że cały kraj może stać się jedną osobą — zbiorowiskiem identycznie myślących i żyjących klonów. (Choć wtedy jeszcze nikt nie używał słowa „klon”). Na tyle podobało mi się to opowiadanie, że na jego podstawie powstała powieść Prawda półostateczna. Mój ulubiony fragment to ten, w którym okazuje się, że wszystko, co mówi rząd, jest kłamstwem. Osobiście cały czas wierzę, że tak właśnie jest naprawdę. I afera „Watergate” potwierdziła moją teorię. (1978)

Raport mniejszości

22.12.1954, „Fantastic Universe”, styczeń 1956

Mechanizm pamięci, „If” lipiec 1959

Niereformowalna M

02.06.1955, „Science Fiction Stories”, styczeń 1957

W swej twórczości staram się zawsze znaleźć odpowiedź na dwa, bardzo dla mnie istotne pytania: czy można uznać nasz świat za rzeczywisty, a jeśli tak, to w jakim stopniu? Oraz: czy wszyscy jesteśmy ludźmi? W tym opowiadaniu maszyna nie udaje człowieka. Podkłada tylko spreparowane dowody, które wskazują na ściśle określoną osobę. Falszerstwo jest dla mnie fascynującym zjawiskiem. Uważam, że nie ma takiej rzeczy, które nie można by podrobić lub sfalszować. Falszywe wskazówki sprawiają, że jesteśmy w stanie uwierzyć we wszystko. Teoretycznie falszerstwa nie ogranicza nic. A kiedy już otworzymy umysł i zaakceptujemy pojęcie falszerstwa, odkrywamy całkiem inną rzeczywistość. To podróż w jedną stronę. I myślę, że może to być dobra podróż... jeśli ktoś nie traktuje tego zbyt poważnie. (1978)

My, odkrywcy

06.05.1958; „Fantasy & Science Fiction”, styczeń 1959

Gra wojenna

31.10.1958; „Galaxy”, grudzień 1959

Gdyby nie Benny Cemoli

27.02.1963; „Galaxy”, grudzień 1963

Zawsze wierzyłem, że przynajmniej połowa ze słynnych postaci w historii ludzkości nie istniała naprawdę. Ludzie często wymyślają to, co jest im w danej chwili potrzebne. Całkiem prawdopodobne, że Karol Marks został stworzony przez jakiegoś wynajętego pisarza. I jeśli to prawda... (1976)

Występ

23.03.1963; „Fantastic”, luty 1964; opowiadanie było umieszczone w powieści Dicka *Simulakra*

Projekt

10.04.1963; „If”, styczeń 1964

Co mówią umarli

15.04.1963; „Worlds of Tomorrow”, czerwiec 1964

Orfeusz kulawy

16.04.1963; opowiadanie opublikowane w „Escapade” około 1964 roku, pod pseudonimem Jack Dowland

Beztraska Pat

18.4.1963; „Amazing”, grudzień 1963

Opowiadanie to napisałem kierowany nagłym impulsem. Przyglądałem się, jak moje dzieci bawią się lalkami Barbie. Oczywiście, lalkami o tak bujnych kształtach nie powinny bawić się

dzieci, ale to tylko teoria. Barbie i Ken to dwie miniaturki dorosłych. Głównym założeniem było, by kupować im nieskończone ilości ubrań i tym podobnych gadżetów, jeśli lalki miały żyć na poziomie, do którego były przyzwyczajone. Oczami wyobraźni widziałem więc, jak którejś nocy Barbie wchodzi do mojej sypialni i mówi: „Chcę futro z norek”, albo, co gorsza: „Ej, koleś... przejedziesz się ze mną do Vegas nowym jaguarem XKE? „Bałem się, że żona nakryje mnie i Barbie razem. Wiedziałem, że ukatrupiłaby mnie na miejscu.

Sprzedanie Beztroskiej Pat do „Amazing” okazało się bardzo trafną decyzją. Redaktorem pisma była wtedy Cele Goldsmith — jeden z najlepszych wówczas redaktorów. Avram Davidson z „Fantasy & Science Fiction” odrzucił ten tekst, ale przyznał później, że gdyby wiedział wtedy o Barbie, bez wahania kupiłby opowiadanie. Swoją drogą, trudno uwierzyć, by ktoś wtedy nie słyszał o Barbie. Ja regularnie wydawałem na nią fortunę. Kosztowała mnie tyle, co telewizor, który, jak Barbie, co rusz potrzebował czegoś nowego. Poza tym zawsze uważałem, że Ken powinien sam kupować sobie ubrania.

We wczesnych latach sześćdziesiątych pisałem bardzo wiele i powstały wtedy niektóre z moich najlepszych powieści i opowiadań. Żona nie pozwalała mi pracować w domu, Mięć za dwadzieścia pięć dolarów wynajmłem małą chatkę za miastem i każdego ranka chodziłem tam pieszo. Po drodze spotykałem zwykle parę pasących się krów i moje własne stado owiec, które dreptały bezmyślnie za przewodnikiem. Czuję się bardzo samotny, odcięty od świata w małej, wiejskiej chacie. Może brakowało mi Barbie, która zostawała z dziećmi w domu. I dlatego Beztroska Pat to może reakcja na moje marzenia. Chciałbym bardzo zobaczyć Barbie albo Beztroską Pat czy Towarzyską Connie w drzwiach mojej chatki.

Zamiast tego jednak pojawiło się coś innego, okropnego — oczami wyobraźni zobaczyłem twarz Palmera Eldritch, która stała się podstawą powieści Trzy stygmaty Palmera Eldritch.

Otóż szedłem sobie któregoś dnia wiejską drogą do wynajętego domku. Czekano mnie jakieś osiem godzin pisania w zupełnym odosobnieniu. Spojrzałem w niebo i zobaczyłem tę twarz. Nie zobaczyłem jej tak dosłownie, ale była tam, i nie była to ludzka twarz, lecz przepastne uosobienie zła doskonałego. Teraz już wiem (wtedy zaledwie się domyślałem), dlaczego ją zobaczyłem — długie miesiące odosobnienia, brak kontaktu z bliźnimi, i to w dosłownym tego słowa znaczeniu... No, w każdym razie oblicze pojawiło się nade mną. Ogromne, przybyło jedną czwartą nieba. Zamiast oczu miało dwie ziejące dziury... Było metaliczne i okrutne. A najgorsze, że to był Bóg.

Pojechałem do kościoła Saint Columbia's Episcopal i porozmawiałem z księdzem. Doszedł do wniosku, że ukazał mi się Szatan, i udzielił mi namaszczenia — nie najwyższego namaszczenia, lecz leczniczego. Nie pomogło. Twarz na niebie nie zniknęła. I chodziłem tak dzień w dzień pod jej pustym spojrzeniem.

Wiele lat po napisaniu Trzech stygmatów Palmera Eldritch, gdy sprzedałem już tekst wydawnictwu Doubleday — to była moja pierwsza praca dla nich — w magazynie „Life” natknąłem się na pewną ilustrację. Przedstawiała wieżyczkę obserwacyjną, którą Francuzi wzniesli nad Marną w czasach pierwszej wojny światowej. Mój ojciec walczył w drugiej bitwie pod Marną w 5. Pułku Piechoty Morskiej. Był jednym z pierwszych amerykańskich żołnierzy — wysłanych do Europy. Gdy byłem mały, ojciec pokazał mi swój mundur, maskę gazową i resztę sprzętu przeciwgazowego. Opowiadał, jak żołnierze wpadali w czasie ataków gazowych w panikę, gdy zamókł węgiel w ich filtrach, i jak czasami owładnięci strachem zdzierali maski i uciekali na oślep. Te wojenne opowieści przerażały mnie, podobnie jak sam kontakt z maską i hełmem. Jednak największy strach ogarniał mnie, gdy ojciec zakładał maskę, a ja nie mogłem zobaczyć jego twarzy. Nie był już wtedy moim ojcem. Nie był już nawet istotą ludzką. Miałem wtedy zaledwie cztery lata, ale wiele lat później ten obraz powrócił do mnie. Rodzice rozwiedli się i nie widziałem ojca przez długi czas, ale pamiętałem bardzo dobrze jego opowieści o żołnierzach rozrywanych przez

szrapnele, o ludziach trafionych pociskami, którym wnętrzości wypływały na wierzch i pamiętałem, jak ojciec zakładał przy mnie swoją maskę gazową. I kilkadziesiąt lat później, w 1963, podczas samotnego spaceru, to metalowe, ślepe i nieludzkie oblicze powróciło do mnie, teraz olbrzymie, metaliczne, transcendentne i pełne zła w najczystszej postaci.

Stwierdziłem, że najlepszym egzorcyzmem będzie opisać je, i tak też uczyniłem. I mara zniknęła, ale ponieważ widziałem już zło, często mówiłem później: „Zło ma twarz z metalu”. Jeśli sami chcecie je zobaczyć, pooglądajcie zdjęcia wojennych masek Greków z Attyki. Kiedy ludzie chcą siać przerażenie i śmierć, zakładają właśnie takie metalowe twarze. Rycerze chrześcijańscy, z którymi walczył Aleksander Newski, też nosili maski. Jeśli widzieliście film Eisensteina, wiecie, o czym mówię. Oni wszyscy wyglądali tak samo. Nie widziałem Aleksandra Newskiego przed napisaniem Trzech stygmatów. Ale gdy później obejrzałem, dostrzegłem w nim tę samą twarz, która ukazała mi się w 1963 roku i w którą zmienił się mój ojciec, gdy byłem jeszcze dzieckiem.

I dlatego Trzy stygmaty to powieść, która jest wynikiem wszechwładnych, atawistycznych lęków; lęków, które mają źródło we wczesnym dzieciństwie oraz wiążą się ściśle z uczuciem osamotnienia i żalu po tym, jak opuścił nas ojciec. W powieści występuje on niejako w dwóch osobach. Jest Palmerem Eldritchem (złym, diabolicznym ojcem w masce) i jest Leo Buleroem, czułym, sympatycznym i bardzo ludzkim człowiekiem. Książka zrodziła się z najprawdziwszego bólu i cierpienia. W 1963 roku doświadczyłem ponownie uczucia samotności, które towarzyszyło mi, gdy w dzieciństwie ojciec odszedł. Strach i przerażenie zawarte w powieści to najgłębsza częśćka mnie. Nie stworzyłem ich tylko dla potrzeb książki. Wyrażają chęć posiadania dobrego ojca i strach przed jego złym wcieleniem — czyli ojcem, który nas porzucił.

Zatem Beztroska Pat stała się dla mnie narzędziem, nośnikiem, który mogłem przekształcić w tematyczną podstawę powieści, jaką miałem zamiar napisać. Beztroska Pat jest tą nieustanną kusicielką — jak napisał to Goethe: das Ewig — Weibliche, wieczną kobiecością. Samotność stworzyła powieść, a tęsknota opowiadanie. Rzecz można zatem, że powieść to w dużej mierze mieszanka strachu przed odrzuceniem i fantazji o pięknej kobiecie, która na nas czeka... gdzieś, Bóg wie gdzie. Cały czas staram się to ustalić. Ale kiedy siedzi się samemu przed maszyną do pisania, wypuszcza jedno opowiadanie za drugim, a dni mijają i nie ma się do kogo odezwać, nie można z nikim pobyć, to nie dziwne, że człowiek zaczyna widzieć i pisać o martwych, metalicznych Marzach i ciepłych, pięknych kobietach. Tym bardziej, że w domu, niejako pro forma, ma się żonę i cztery córki. W domu, skąd zostało się wydalonym, skazanym na mały szalas, w którym zimą panuje taki chłód, że zamarza tusz w taśmie do maszyny. Wtedy przychodzą do głowy dziwne rzeczy. Ze mną też nie było inaczej. I właściwie tak mi już chyba zostało.

Trzy stygmaty przyjęto w różny sposób. W Anglii niektórzy krytycy okrzyknęli powieść mianem bluźnierstwa. Terry Carr, który był wówczas moim agentem w Scott Meredith, powiedział mi, że ta powieść to wariactwo, chociaż później zmienił zdanie. Inni krytycy znów dostrzegli w niej głębię. Dla mnie zawsze będzie przerażająca. Nie byłem w stanie zrobić korekty, tak bardzo mnie przerażała. To mroczna podróż w świat mistycznego i pozaziemskiego zła, jak je wtedy rozumiałem. Chciałbym, by pewnego dnia do mych drzwi zastukała Beztroska Pat, ale z drugiej strony paraliżuje mnie strach, że gdy już usłyszę pukanie, za drzwiami będzie stał Palmer Eldritch. Jeśli mam być szczerzy, to od napisania powieści, czyli od jakichś siedemnastu czy może więcej lat nie zapukało żadne z nich. I dlatego wydaje mi się, że w życiu nie zdarzają się rzeczy, których najbardziej się boimy, ale nie spotykają nas niestety również te, których najmocniej pragniemy. Ina tym polega różnica między życiem a literaturą. I sądzę, że to dobry układ, choć mogę się mylić.

(1979)

Zastępca

18.04.1963; „Amazing”, październik 1963

Co teraz z Raglandem Parkiem?

29.04.1963; „Amazing”, listopad 1963

Taki Brejal to ma życie!

06.05.1963; „Galaxy”, luty 1964

Na początku mojej kariery, we wczesnych latach pięćdziesiątych, współpraca z „Galaxy” stanowiła moje główne źródło utrzymania. Horacemu Goldowi z „Galaxy” bardzo podobały się moje teksty, ale John W. Campbell Junior z „Astounding” uważał je za bezwartościowe i mówił o nich, że są „porąbane”. Zwykle lubiłem czytać „Galaxy”, bo można tam było znaleźć wiele rzeczy, łącznie z takim naukami jak socjologia i psychologia. Campbell (przeczytał jeden mój tekst!) twierdził, że psionika jest niezbędnym założeniem science fiction. Ponadto uważał, że psioniczna postać w opowiadaniu powinna mieć kontrolę nad przebiegiem zdarzeń. Innymi słowy „Galaxy” oferowała swobodę, której nie sposób było znaleźć w „Astounding”. Jednak później strasznie pokłóciłem się z Horacym Goldem. Miał on wstrętny zwyczaj zmieniania tekstu bez konsultacji z autorem — dodawał sceny i postacie, usuwał pesymistyczne zakończenia zastępując je optymistycznymi. Wielu pisarzy nie cierpiało tego, a ja byłem na to wręcz obsesyjnie wyczulony. I mimo, że w owym czasie to współpraca z „Galaxy” była moim głównym źródłem utrzymania, powiedziałem, Goldowi, że jeśli nie przestanie zmieniać moich tekstów, to nie sprzedam mu już nic więcej... I nie kupił już ode mnie nic więcej.

Moje teksty wróciły na łamy „Galaxy” dopiero, gdy redaktorem naczelnym został tam Fred Pohl, i to on właśnie kupił ode mnie opowiadanie Taki Brejal to ma życie! W tym tekście widać wyraźnie moją niechęć do wojny; niechęć, która, jak na ironię, podobała się Goldowi. Pisząc to opowiadanie nie miałem na myśli wojny w Wietnamie, ale wojnę w ogólnym tego słowa znaczeniu. Interesowało mnie szczególnie jedno zagadnienie: w jaki sposób wojna potrafi zmienić człowieka, że upodabnia się do wroga? Hitler powiedział kiedyś, że prawdziwe zwycięstwo nastąpi dla Niemiec w chwili, gdy ich największy wróg, czyli Stany Zjednoczone, żeby wygrać, upodobnią się do III Rzeszy — staną się państwem totalitarnym. Zatem Hitler nawet w przegranej oczekiwał Zwycięstwa. Pamiętałem o jego opinii i obserwowałem wzrost potencjału militarnego w Ameryce po zakończeniu drugiej wojny światowej. Zdałem sobie sprawę, w jakim stopniu ten sukinsyn miał rację. Pokonaliśmy Niemców, ale Stany i Związek Radziecki coraz bardziej upodabniały się do państwa nazistowskiego. Wydawało mi się to wtedy nawet trochę ironiczne i zabawne. I pomyślałem, że może uda mi się coś o tym napisać bez wdawania się w niepotrzebną polemikę. Ale zagadnienie przedstawione w opowiadaniu jest prawdziwe. Zobaczcie, ile musieliśmy zrobić, by przegrać w Wietnamie? Aż strach pomyśleć, ile kosztowałyby nas wygrana. Hitler uśmiełby się po pachy i śmiałby się w głównej mierze z nas... i właściwie to tak było. Tylko że był to pusty i ponury śmiech, pozbawiony wszelkiej wesołości. (1979) Pokazałem tu całkowitą i bezsensowną ironię wojny. Człowiek zmienia się w Brejala, a Brejal, wróg człowieka, przeistacza się w istotę ludzką i to oddaje wszystko — daremność, bezsens, czarny humor i głupotę. A w opowiadaniu wszystkie te elementy bardzo dobrze ze sobą współgrają. (1976)